



GRAHAM  
MASTERTON

*Pani fortuny*

«Książnica»

# GRAHAM MASTERTON

---

## *Pani fortuny*

Przełożyła z angielskiego  
Ewa Pankiewicz

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału  
*Lady of Fortune*

Opracowanie graficzne  
*Marek J. Piwko*

Fotografia na okładce  
© Igor Stepovik

Motto zaczerpnięte z Kupca Weneckiego W. Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha [w:] William Shakespeare Dzieła dramatyczne, tom 2. Komedie, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1973.

Motto zaczerpnięte z Pieśni harfiarza [w:] Johann Wolfgang von Goethe Wybór poezji, w przekładzie Mieczysława Jastruna, Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo, Wrocław 1968, wyd. II

LADY OF FORTUNE Copyright © 1984 by Graham Masterton

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany ani przesyłany za pośrednictwem urządzeń mechanicznych bądź elektronicznych.

Niniejsze zastrzeżenie obejmuje również fotokopiowanie oraz przechowywanie w systemach gromadzenia i odtwarzania informacji.

For the Polish edition © Publicat S.A., MMXI

ISBN 978-83-245-7891-7

Wydawnictwo „Książnica”  
40-160 Katowice  
Al. W. Korfantego 51/8  
oddział Publicat S.A, w Poznaniu  
tel. 32 203-99-05  
faks 32 203-99-06  
[www.ksiaznica.com](http://www.ksiaznica.com)  
e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

Wydanie pierwsze  
Katowice

*Dla Mike'a Oliveya  
przede wszystkim za przyjaźń*

Księga pierwsza

## CHLEB ZE ŁZAMI

Kto nigdy chleba swego nie jadł z płaczem,  
Kto nigdy w długie, zatroskane noce  
Na łóżku siedząc nie lał łez rozpaczy,  
Ten nie zna was, niebiańskie moce!

J.W. Goethe, *Pieśń Harfiarza*

# 1

Nawet z całym swoim majątkiem George „Getry” Sabatini był tylko w jednej dwudziestej tak bogaty jak ona. Jednak wydawał na nią pieniądze niczym indyjski nabab albo Kaligula, kierując cyrkiem Barnum & Baileys ze strojami projektowanymi przez Lanvina, klejnotami Tiffany'ego i akompaniamentem modnych „Chicago Footwarmers”.

Dni i noce z George'em wspominała jeszcze wtedy, kiedy już dawno uleciało z jej pamięci, co książę Windsoru mówił do niej na koktajlach w El Morocco albo dlaczego Tallulah Bankhead nadepnęła na nogę Mossa Harta w La Hiff's Tavern.

Pewnego razu, bez żadnego powodu, którego mogłaby się domyśleć, przysłał jej tysiąc białych róż. Wnoszone przed drzwi jej domu na Long Island przez dwunastu czarnoskórych chłopców w pudrowanych perukach, złotych fraczkach i białych pończochach, wyglądały jak kopczyki pachnącego śniegu. W dniu jej urodzin wynajął srebrny dwupłatowiec, który przeleciał nad ogrodem, zostawiając na niebie słowa *JESTEŚ UROCZA* napisane różowym dymem. „Różowym!”, zachwycał się reporter kroniki towarzyskiej nowojorskiego „World-Telegram”.

Scenerię ich romansu – początku, rozkwitu i końca – była pewna gorąca, pochmurna noc w sierpniu 1927 roku. Tamtej nocy George przeszedł sam siebie i Effie zakochała się w nim bez pamięci, a Long Island pograżyła się w rozmarzonym śnie, lecz następnego ranka przebudzenie przyniosło jedynie krępujące uczucie, że w nocy stało się coś bardzo wielkiego i bardzo szczególnego, ale tylko Bóg wie co.

George przesłał jej list z wiadomością, że ten wieczór będzie „wieczorem wersalskim”, w stylu osiemnastowiecznym, tylko dla nich, prosząc, aby ubrała się w kostium, który po obiedzie przyniesie jej specjalny posłaniec. Na końcu dodał: *Uwielbiam Cię. Szaleję za Tobą. Twój Cyrano de Bergerac.*

Kostium dostarczono w dużym pudle owiniętym w różową bibułę i obwiązany białą jedwabną wstążką, na tylnym siedzeniu szafirowego kabrioletu. Kierowca wręczył jej pakunek „z wyrazami uwielbienia pana

Sabatiniego”. Gdy pokojówka Louise otworzyła pudło w buduarze na piętrze, ujrzała w nim czarną jedwabną krynolinę haftowaną w ciemnoróżowe róże i pomarańczowe motyle, z głęboko wyciętym dekoltem obszytym perłami. W pudle mieściła się również wysoka pudrowana peruka w stylu madame Pompadour z zaczesanymi do góry lokami.

O zmierzchu, gdy wokół latarni stojących wzdłuż werandy zaczęły wirować robaczki świętojańskie, a ciepła różowawa mgiełka osiadła na trawnikach, kabriolet powrócił, tym razem z dwiema skrzynkami najlepszego francuskiego szampana, „w celach kąpielowych”. Kiedy zaś radośnie się pluskała, zanurzona do pasa w wybornie musującym winie, a jej śmiech rozbrzmiewał echem w bizantyjskim marmurowym salonie kąpielowym, sześciu muzyków odzianych w rokokowe peruki i pompy dyskretnie zebrało się na trawniku, by potem nagle zagrać donośnie *Muzykę sztucznych ogni* Haendla.

Ta scena, gdy wreszcie zeszła do ogrodu na tyłach domu, przypominała jakąś nadzwyczajną dekadencją fantazję. Orkiestra grała jazzową wersję wiedeńskiej muzyki kameralnej, w lekkim, synkopowanym rytmie, a na każdym drzewie kołysały się lśniąca papierowe lampiony. Byli tam również żonglerzy i tancerze w kostiumach ze strusimi piórami i migotliwymi cekinami. Dymią kadzidła z tłącącego się drewna różanego i sandałowego palonego po obu stronach werandy w wysokich konchach wykonanych z brązu pochodni. Kilku nagich chłopców liczących nie mniej niż trzynaście, lecz nie więcej niż piętnaście lat, z włosami spiętymi złożonymi liśćmi, a jeden piękniejszy od drugiego, baraszkowało na trawie.

I właśnie w tę bajkę, Effie, sama wyglądająca bajecznie, weszła w swej wysokiej białej peruce i czarnej krynolinie, zdumiona i rozbawiona. Dotarła do balustrady werandy i przystanąła.

– Cóż – rozległ się głęboki, dźwięczny głos – podoba ci się?

Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko powoli i z niedowierzaniem skinąć głową. Z cienia wyszedł sam George Sabatini; bardzo wysoki mężczyzna o wąskiej twarzy, nieskazitelnie wypomadowanych włosach i kształtnie wydatnym nosie. Jego oczy błyszczały jak polerowane czarne perły, a żabot był biały jak śnieg.

– Widziałem to w jakiejś książce – mówił dalej. – Nosila tytuł „Wersal”. Nawet nie byłem pewien, co to znaczy, ale wiedziałem, że mi się podoba. Zatem to on, tylko dla nas. Wersal.

– George – powiedziała Effie – jesteś szalony.

Położył rękę na jej odsłoniętych ramionach. Teraz razem przyglądali się połykaczowi ognia, który posyłał ku nocnemu niebu wielkie pióropusze płomieni.

– Przecież wyznałem w liście, że szaleję za tobą.

– Ależ to musiało kosztować fortunę! I kim są ci nadzy chłopcy?

– Daruj mi. Po prostu poleciłem sprowadzić nagich chłopców, więc ich sprowadzono. Skąd miałbym wiedzieć, kim są? Może bezrobotnymi poborcami podatkowymi.

Effie roześmiała się i ujęła dłoń George'a.

– Popełniasz dla mnie takie szaleństwa, George. Doprawdy nie wiem dlaczego.

– Nie wiesz dlaczego? Nie rozumiesz, co do ciebie czuję. Nie widziałas napisu na niebie?

– George, tak nie można. Zamieniasz jawę w sen. To nie jest życie. Nawet dla mnie. Z niczym podobnym wcześniej się nie spotkałam. A ty zawsze tak robisz. Ilekroć jestem z tobą, muszę się uszczypnąć, aby mieć pewność, że nie zasnęłam i że to mi się nie śni.

– To jest prawda, Effie. Posłuchaj... wyciągnij rękę i do tknij. To prawda. Co jeszcze mogę zrobić, aby wyrzucić na tobie wrażenie? Jesteś najbogatszą kobietą na świecie. W jaki sposób mężczyzna może zaimponować najbogatszej kobiecie na świecie?

Effie zaszeleściła rąbkami krynoliny i halek na trawie.

– Jestem pod wrażeniem, George. Muszę to przyznać. Nie jestem jednak najbogatszą kobietą na świecie. Ty zaś nie musisz mi imponować. Nie w ten sposób.

Czarnoskóry lokaj podszedł z tacą, na której stały dwa kieliszki szampana w kształcie tulipanów. George podał jej jeden.

– Mam nadzieję, że nie masz go dość po szampańskiej kąpeli – powiedział.

Effie uniosła kieliszek ku niemu. Szampan pienił się i lśnił w świetle papierowych lampionów.

– Jesteś wspaniałym mężczyzną, George. Postacią z prawdziwego życia.

Wziął ją pod rękę i sprowadził kręconymi schodami w stronę laguny, gdzie było ciszej i ciemniej. Laguna zdawała się zawieszona w ciepłym ogrodowym krajobrazie niczym tajemne, magiczne wejście do innego świata i innego czasu.

– Tobie wydaje się, że śnisz, Effie, ale to ja śnię. To sen: po prostu stać tu z tobą. Ja, George Sabatini z Monero Street... To sen. Mojego ojca nie było stać na buty dla mnie, dopóki nie skończyłem dziesięciu lat i musiałem pójść do pracy. A teraz, spójrz...

– George, to nie ma znaczenia, kim byłeś – powiedziała Effie. – Ważne jest tylko to, kim jesteś teraz.

George podniósł głowę i zasłonił ręką usta, jakby nie mógł znaleźć słów, aby wyrazić to, co tak rozpaczliwie pragnął jej powiedzieć. Zaśmiał się tylko, na poły szyderczo, ze swej własnej słabości.

– George... – zaczęła Effie, ale on uniesieniem palca poprosił ją o



milczeniu.

– Nie przerywaj – rzekł. – To co mam do powiedzenia, jest bardzo ważne. Ćwiczyłem to, jakkolwiek by to nazwać, przez cały dzień. Przed lustrem, wiesz? Wciąż na nowo. Cóż, nie chcę opuścić ani jednego słowa, które zamierzam ci powiedzieć.

Z tyłu dobiegł ich wybuch śmiechu. To polykacz ognia podpalił ogromną drewnianą obręcz, a nadzy chłopcy z ekscytacją kolejno przez nią przeskakiwali. Muzycy grali „Cztery pory roku” Vivaldiego, a żonglerka podrzucała w górę żywe żółwie. Od strony klonów dziewczyna w srebrnym trykocie dawała pokaz gimnastyczny i przemierzała trawnik, robiąc gwiazdę za gwiazdą.

– To fantastyczne – powiedziała Effie, potrząsając głową.

– Nie owe pospolite weekendowe imprezy na Long Island, ale to...

George skrzywił się, gdy mu przerwała i jedną rękę wsunął do kieszeni spodni, a drugą rysował ciasne kręgi w powietrzu.

– Nie kształcono mnie, Effie, więc to nie przychodzi mi łatwo, jednak odnoszę sukcesy, a moje serce znajduje się tam, gdzie powinno. Idę przez życie, ciężko pracując i jestem dobry dla porządných ludzi, a surowy dla złych. Niektórzy nazywają mnie szaleńcem. Cóż, niekiedy ty również. Chyba nim jestem. Ale mam też ambicję, wiesz? Chcę się zajmować czymś ważniejszym niż tylko zarabianiem pieniędzy i prowadzeniem jakiegoś przedsięwzięcia. Pragnę zrozumieć, po co zarabiam te pieniądze. – Spojrzał na swe osłonięte białymi getrami kostki i dodał: – Kiedyś myślałem, że pieniądze zarabia się na te wspaniałe domy, dwunastocylindrowe packardy, alkohol i kobiety; że to jest najważniejsze. Jednak im więcej zarabiałem, tym częściej zacząłem się ocierać o ludzi, którzy mieli więcej niż ja, ale najwyraźniej nie sądzili, że domy, packardy i kobiety są interesujące. Cóż więc wydaje im się zajmujące? Co tobie wydaje się takie interesujące? Masz jakąś tajemnicę, Effie, i to jest coś, czego nie pojmuję, ale pragnę zrozumieć. To jest coś, czym mogłabyś się ze mną podzielić, coś, czego mogłabyś mnie nauczyć.

Effie wyciągnęła rękę i łagodnie dotknęła jego rękawa.

– Czy próbujesz mi coś powiedzieć, George?

– Próbuję... – George się zająknął – próbuję powiedzieć, że się w tobie zakochałem... Po uszy. Kocham cię. I bardzo pragnę... i jak ty to nazywasz... uznać?... uznałbym za wielki zaszczyt, gdybyś rozważyła... wyjdźcie za mnie... – musnął jej wargi, a potem dodał: – Zostanie panią Sabatini, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Tamtej nocy Effie zabrała go do swojej sypialni.

Żonglerzy, polykacze ognia i muzycy zostali poczęstowani w kuchni kurczętami i piwem, a potem odesłani do domów ich osobowymi i bagażowymi samochodami oraz hałaśliwymi autobusami. Effie z okna sypialni przyglą-

dała się, jak odjeżdżali, omiatając światłami trawniki, drzewa i donice płożącej się lobelii.

George siedział bez marynarki na skraju łóżka.

– Nie chcę, żebyś źle o mnie myślała, Effie – powiedział. – Nie chcę, abyś sądziła, że korzystam z okazji.

Opuściła zasłony.

– Nie sądzę – uśmiechnęła się.

Rozwiązała wstążki gorsetu, który unosił obcisłą górę jej sukni i uwolniła z niego piersi, niczym słodki deser z foremek. Miała duże jaskraworóżowe sutki, a talię tak smukłą, że gdy szeleszcząc dołem krynoliny, podeszła do George'a, mógł niemal zamknąć wokół niej swoje szerokie dłonie. Z ostrożnością i czcią pocałował jej pępek.

– Mam czterdzieści trzy lata, George – rzekła cicho. – Znam swój umysł. I znam swoje ciało. Wciąż jestem piękna, chociaż już nigdy nie będę ponownie ładna. Dzisiejszej nocy pragnę cię tak samo, jak ty pragniesz mnie.

George patrzył na nią, nie zdejmując dłoni z jej bioder.

– Nigdy nie pieściłem w ten sposób żadnej kobiety, Effie. Jesteś samą elegancją. Wiesz co, masz klasę, która wyziera z każdego zakamarka twojego ciała.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło. W lustrze z drugiej strony pokoju widziała siebie; szykowną kobietę w wysokiej bajkowej peruce, nagą do pasa, jeśli nie liczyć sznura klejnotów wokół szyi. Jej smukłe ciało niczym labędzia szyja wznosiło się z szerokiej krynoliny.

Nadzy położyli się na baldachimowym łóżku okrytym miękką kołdrą z kwiatowym wzorem, które oświetlała tylko jedna żarówka podtrzymywana przez jakąś chromową nagą piękność w stylu art déco. George był smukły, śniady i o wiele bardziej muskularny, niż się wydawał w stroju oficjalnym. Ciemne owłosienie wyzierało mu spod pach i gęsto rosło wokół penisa. Na lewym ramieniu widać było piętnastocentymetrową białą bliznę, grubą jak zamek błyskawiczny. Effie dotknęła jej, ale nic nie powiedziała. Wiedziała, że George drogę w górę sobie wywalczył, a w Nowym Jorku oznaczało to walkę nieustającą i brutalną, prowadzoną z uwagą, by nigdy do nikogo nie odwrócić się plecami, nawet do przyjaciół.

Effie miała ciało kobiety dziesięć lat młodszej. Była szczupłą blondynką o szeroko rozstawionych oczach tak fioletowo-niebieskich jak wirginijska trzykrotka. Na jej nosie i ramionach rozsiały się ledwie widoczne piegi, ale szyja za sprawą starannych masaży i kosztownych kremów była gładka i biała, a piersi nadal pozostawały jędrne. Co roku spędzała dwa tygodnie w prywatnym uzdrowisku w Sky Mountain, gdzie dzięki ćwiczeniom i diecie pozbywała się stresów pozostałych pięćdziesięciu tygodni.

George przesunął otwartą dłoń po jej brzuchu, aż dotarł do delikatnego

złotego meszku na wzgórku Wenery.

– Jesteś jak z bajki – wyszeptał ochryple.

Patrzył prosto w jej oczy z wyrazem, którego nie umiała zinterpretować. Uwielbienie? Zachwyt? A może niedowierzanie? I właśnie tak, wciąż patrząc, zgął długi środkowy palec i łagodnie ją otworzył. Jej wilgotne wargi wydały najwspanialszy dźwięk, niczym śpiący kochanek otwierający usta w środku zupełnie cichej nocy.

Nie powiedział nic więcej. Był milczącym kochankiem. Ale jego prężne ciało pozwalało mu wyrażać namiętność, jaką ku niej płonął w swoistym seksualnym balecie. Chcąc dokonać penetracji, położył się plecami na kołdrze, ją zaś uniósł nad sobą tak, aby na twardy wyprostowany penis opadła powoli z całą gracją bohaterki „Jeziora łabędziego”. Chwyciwszy go za ramiona, zadrżała i jęknęła z rozkoszy, a także z odrobiny bólu, bo w tej pozycji mógł wejść w nią znacznie głębiej niż w każdej innej.

Kochali się w tym baletowym rytmie ponad pół godziny, by w końcu, z ciałami lśniącymi od potu, położyć się na plecach w uścisku ramion. Żadne z nich nie pragnęło, ani nie dotarło do szczytu. Badali się nawzajem i odkrywając naturalne rytmy, poznawali wzajemnie rozkosze swoich ciał.

– Sprawileś, że na chwilę się zapomniałam, panie Sabatini – powiedziała Effie. – Kazałeś mi zapomnieć o całym świecie.

Pocałował ją z czułością.

– Jesteś królową – wyszeptał i te słowa przeszły ją tak niezwykłym dreszczem, jakby George, kochając ją tak głęboko, wnikał także w jej sny.

– Masz ochotę na drinka? – zapytała, siadając na łóżku.

Patrzył na nią z głową wspartą na ręce.

– Nie przestaniesz nazywać mnie George'em, prawda?

– Kochanek znany jako „pan Sabatini”, to brzmi znacznie dostojniej. Zwłaszcza w tym *foie-gras faubourg*.

– A cóż to do diabła jest, to *fuuuu*...

Effie pochyliła się i przytuliła do jego ramienia.

– Chyba można by to przetłumaczyć jako „szykowne przedmieście”.

Nie zasnęli aż do świtu. Pili „srebrne rumaki” ze szklanych kulistych kieliszków będące mieszanką mrożonego ginu i lodów waniliowych. Słuchali „Night After Night” z płyty gramofonowej i oglądali wschód słońca nad rozległą Peconic Bay, którą spowijała mgła. Effie założyła biały peniuar z szerokim trenem obsyty starą belgijską koronką. George owinał się ręcznikiem. Pocałowała go i powiedziała, że wygląda jak Ali Baba.

Szafirowo-niebieska limuzyna hudson przyjechała po niego o szóstej. Miał jakieś zebranie w centrum miasta w pół do dziewiątej. Do tego czasu ubrał się w jasnoszary dwurzędowy garnitur i śniadanie jadł już w swoich małych okularach w cienkiej metalowej oprawie, które sprawiały, że wyglądał dziwnie bezbrinnie. Effie wyciągnęła rękę nad błękitnym obrusem

i dotknęła jego dłoni. Odłożył widelec z kawałkiem omlotu w sosie klonowym, zdjął okulary i uśmiechnął się do niej.

– Jesteś kimś znaczącym, panie Sabatini. Mam nadzieję, że się w tobie nie zakocham.

Na zewnętrznych stopniach pocałowali się na pożegnanie. Kierowca George'a czekał obok samochodu, cierpliwy i elegancki. Mógł sobie na to pozwolić, jeśli zważyć, jak został opłacony, by go zdradzić.

George sięgnął po pukiel jej złotych włosów i owinał go sobie wokół palca.

– Nie chcę dużo mówić – powiedział – ale nie chcę cię zostawiać, nie mówiąc dziękuję. Niełatwo mnie lubić i sądzę, że to sprawia, iż jeszcze trudniej mnie kochać. Ale ty chciałaś słuchać, od samego początku. Jesteś naprawdę wyjątkowa, Effie, jedna na milion.

Z holu wyłonił się lokaj Bolton.

– Przepraszam, że przeszkadzam, madam. Ale jest telefon do pani. Pan Walter Winchell z „Evening Graphic”.

Effie ścisnęła dłoń George'a.

– No proszę – uśmiechnęła się. – Już jesteśmy sławnymi kochankami. Najpierw Antoniusz i Kleopatra, potem Romeo i Julia, a teraz George Sabatini i Effie Watson. – Spojrzała przez ramię na Boltona i poleciała: – Powiedz panu Winchellowi, że może drukować, co chce; ale niech wie, że zaskarżę go za to, za co tylko ja zechcę.

Z założonymi rękami patrzyła, jak hudson George'a znika na krętym podjeździe, zbyt szczęśliwa i zbyt zadowolona, żeby pomyśleć o pomachaniu na pożegnanie. Przecież niebawem wróci, a machanie zawsze wydawało jej się najsmutniejszym i najbardziej beznadziejnym sposobem mówienia „do widzenia”. Wciąż się uśmiechając, wróciła do domu i uśmiechnęła się jeszcze bardziej, gdy zobaczyła, jak usilnie Bolton powstrzymuje jakiegokolwiek oznaki dezaprobaty.

– W porządku, Bolton – powiedziała. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyś głośno wyraził swoje obiekcje. Wszyscy je mają, łącznie z moim adwokatem.

– Myślę tylko o pani bezpieczeństwie, madam – odparł Bolton. – Pan Sabatini to przecież oszust.

Effie skinęła głową.

– Wiem. Jest też bardzo wpływowy. I właśnie dlatego zawsze czuję się bezpieczna, gdy jestem z nim.

– Tak, madam – rzekł Bolton z tą kamienną miną, jaką przybierał, ilekroć któryś z gości sięgnął po niewłaściwy widelec lub skrzywił się na kawior.

– Zrób mi jeszcze jednego „srebrnego rumaka”, zanim się ubiorę – powiedziała Effie i poszła na górę, nucąc piosenkę *Night After Night*.

Ta wiadomość nadeszła ze spóźnionymi popołudniówkami. W Massapequa State Park, w odległości półtorej mili od Merrick Road, znaleziono porzuconą limuzynę z pozbawionym głowy ciałem George'a Marcella „Getry” Sabatiniego, czterdziestojednoletniego bossa świata przestępczego. Sądzi się, że wracał do centrum Nowego Jorku po wizycie u pani Effie Watson, jedynej w Ameryce kobiety będącej prezesem banku, znanej jako „złota pięść w aksamitnej rękawiczce”. O związku między nimi napomykano w rubrykach towarzyskich, mimo że Sabatini był znanym gangsterem i szantażystą. Dorothy Day w „Morning Telegraph” nazwała kiedyś ów związek nie „miłością, która nie zna granic”, lecz „miłością, która nie zna prawa”.

Sabatini, przypuszczały gazety, prawdopodobnie próbował za daleko i za szybko wdrzeć się w portowe terytorium Giancarla Eustachia, oszpeconego starego sycylijskiego rekina, który powiedział kiedyś, że nigdy nikogo nie zabił, w każdym razie nie w Wielkim Poście. Sabatini nie był na szczęście torturowany. Mordercy po prostu ucięli mu głowę garotą z doskonałego stalowego drutu.

Effie była nieosiągalna dla dziennikarzy. W sobotę po zabójstwie hydroplan zabrał ją z Long Island do Massachusetts, a stamtąd do sekretnego ustronia w New Hampshire. Przysłała jednak kwiaty na pogrzeb Sabatiniego; sto białych róż z ręcznie pisanym listem: *To zaledwie setna część tego, co Ty zrobileś dla mnie*. Louis Sobol, znany reporter jednej z popularnych nowojorskich kronik towarzyskich, jakimś sposobem zdobył ten list i zaprezentował go w swoim codziennym komentarzu. „Jeśli myśleliście, że bankierzy są ostatnimi ludźmi, którzy płonęliby sekretnymi namiętnościami – pisał – to spójrzcie na sentymentalne *ostatnie pożegnanie*, jakie Effie Watson przesłała zamordowanemu gangsterowi George'owi „Getry” Sabatinemu. Czy to, co Sabatini faktycznie zrobił dla pani Watson, było dziesięciokrotnie cenniejsze niż sto białych róż, nigdy się nie dowiemy! Możemy jednak przypuszczać, że istniała między nimi jakaś nieczysta więź, którą tylko śmierć mogła rozerwać...”.

Po południu, gdy wokół zaczynała już pachnieć wczesna jesień, spacerując z przyjaciółką, Margaret Shaw, brzegiem jeziora Winnepesaukee, Effie rozmawiała o interesach, o planach odnowienia swego londyńskiego apartamentu i o tym, czy powinna sprzedać tekę rysunków Daumiera. Nigdy jednak nie mówiła ani o George'u Sabatinim, ani o tamtej „wersalskiej” nocy, zaś jej smutek Margaret Shaw mogła dostrzec jedynie w sposobie, w jaki odwracała głowę, gdy rozmawiała o Long Island i w oczach pełnych łez, gdy obracała się ku niej ponownie.

### 3

– Czy nie przerażała pani? – zapytała ją reporterka pewnego mglistego popołudnia pięćdziesiąt cztery lata później w Malibu, gdy siedziały obok basenu przy filiżance herbaty i miniaturowych tartinkach. – Chodzi mi o to, że konsekwencje miłosnego związku z gangsterem mogły być katastrofalne, czyż nie? W sferze emocjonalnej i zawodowej.

Siedząca naprzeciwko na wiklinowym szezlongu leciwa dama z twarzą przysłoniętą woalką i fioletowym cieniem rzucanym przez szerokie rondo włoskiego słomkowego kapelusza odpowiedziała cierpko.

– Oczywiście, że byłam przerażona. Miłość zawsze jest przerażająca.

– I nie przejmowała się pani tym, co myślą pani przyjaciele? Ani jak mogliby zareagować ludzie z banku?

– Nie miałam zwyczaju rozmawiać o moich kochankach z akcjonariuszami. Nie robiłabym tego również dzisiaj, gdybym wciąż miała jakichś kochanków.

– Czy mogłaby go pani poślubić? – zapytała reporterka. Na wskazanym przez kamerdynera miejscu słońce świeciło prosto w oczy i nawet w plażowej sukience z czerwonej bawełny było jej niezdolnie gorąco. Ilekroć zafalowała woda w basenie, oślepiające refleksy światła ślizgały się po jej twarzy, ale postanowiła przeprowadzić ten wywiad do końca. Była pierwszą od dwudziestu dwóch lat dziennikarką rozmawiającą bezpośrednio z Effie Watson.

– Nie potrafię tego powiedzieć – wyszeptwała Effie zza woalki. – Oświadczył mi się. Powiedział: „Chcę, żebyś została panią Sabatini”. Jednak jego dni były policzone, od chwili gdy się urodził. Wiódł tak gwałtowne życie, że prawdopodobnie nie żyłby długo. Gdyby jednak nie żył tak niebezpiecznie, nie stałby się tak bogaty i nigdy bym go nie spotkała. Był uwięziony w owym niebezpiecznym kręgu własnego życia. To były bardzo brutalne dni owego roku 1927. Znałam kilku mężczyzn, którzy zostali zabici przez gangi i żaden z nich nie zmarł śmiercią łagodną.

– Czy w ogóle istnieje *łagodna* śmierć? – spytała reporterka.

Zza białych koronkowych firanek, które unosiły się i opadały w ospałej popołudniowej bryzie, dobiegło bicie zegara.

– Czas ze mną igra... – powiedziała Effie. – W głębi serca czuję się taka młoda, a jednak patrzę na siebie w lustrze i wiem, że tylko trzy lata dzielą mnie od miejsca wśród stuletek – mówiąc to, pozwoliła sobie na kpiarski, niemal niewidoczny uśmiech. – Chyba powinnam przestać zażywać żeń-szeń. Nie potrafię powiedzieć, jakie to straszne: mieć umysł taki jak mój uwięziony w tak słabym ciele.

– Czy mogę panią zapytać o Merritta Watsona?

– Zapytać pani może.

– Cóż, trudno postawić to pytanie delikatnie... Krąży pogłoska, że z jego rezygnacją wiąże się kilka bardzo niezwykłych okoliczności. Proszę wybażyć, ktoś nawet wspomniał o kazirodztwie...

– Te pogłoski mi pochlebiają, moja droga. Poza faktem, że jestem jego babką i dzielą nas przeszło sześćdziesiąt trzy lata.

– Ale co naprawdę czuła pani do niego? Zanim panią opuścił?

Effie wzięła głęboki, suchy oddech.

– Kochałam go. Zapewne nie w ten sposób, w jaki ujmują to owe pogłoski. Ale naprawdę go kochałam. Wie pani, miłość nie jest zastrzeżona wyłącznie dla młodych.

– Sądzi pani, iż odwzajemniał tę miłość?

Effie się zawałała. Na białym żeliwnym stoliku obok niej stała fotografia w srebrnej ramce. Reporterka już wcześniej rozpoznała na niej Merritta. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy, pociągła twarz o mocno zaznaczonych rysach, głęboko osadzone oczy. Przystojny, jeśli nie czuje się lęku przed mężczyznami, którzy zdają się skrywać sekretną żądzę czynienia z nami czegoś bardzo skomplikowanego i erotycznego. Mężczyzna, który mógłby wam kupić wielki diament, butelkę najlepszego szampana i czarną hiszpańską koronkę, a następnie oczekiwać okazania wielkiej wdzięczności za te prezenty. Nie w przyszłym tygodniu i nawet nie tego samego wieczoru, ale natychmiast, gdziekolwiek nimi obdarzył.

– Miłość zjawia się przed nami na wiele różnych sposobów – wyszepiała Effie zza woalki. – Czasami jest natychmiastowa jak miłość, którą poczułam do George'a Sabatiniego. Niekiedy zaś tak długo bywa nierozpoznawalna jako miłość, aż jest za późno. W swoim życiu kilka razy pozwoliłam jej przejść obok mnie niczym nieznanym na ulicy i dopiero później, dużo później, uświadamiałam sobie, czym było to, czemu pozwoliłam przemknąć obok... – przerwała, a potem powiedziała łagodnie: – Panno Munro, zaprosiłam tutaj panią, ponieważ chciałam opowiedzieć o swoim życiu i o tym, czego mnie nauczyło, zanim będę za słaba, żeby sobie przypominać, co się zdarzyło, i zbyt dziedzinniała, aby się zastanawiać, jaką korzyść może mi to przynieść. Być może nie był to dobry pomysł. Prawdopodobnie oczekiwałam zbyt wiele. Przede wszystkim zaś chyba będzie lepiej, jeśli ludziom takim jak George i Merritt pozwoli się pozostać tym, kim są: pierwszemu – zmarłym, drugiemu – zaginionym. Życie jednak, jak wiadomo, jest kwestią albo uczenia, albo odbierania nauk. George Sabatini nauczył mnie nie tylko tego jak wydawać pieniądze, ale jak być rozrzutną. On nauczył mnie, jak tracić pieniądze, co w mojej rodzinie zawsze uważano za największy ze wszystkich grzechów, większy nawet od cudzołóstwa. Uderzenie sąsiada kamieniem w głowę to jedna sprawa, ale wydanie dwóch pensów na wstążkę do włosów... cóż, gniew mojego wszechmocnego ojca bywał straszny... Merritt był moim ulubieńcem.

Naturalnie był wyrafinowany, przystojny i szczerzy aż do bólu. A ja wciąż miałam mu wiele do przekazania o interesach i władzy. Kiedy uderzyć, a kiedy się powstrzymać. Kiedy być czarującym, a kiedy okazać złość. Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam o miłości i o pieniądzach. Oddałam mu moją wiedzę, wspomnienia i serce. Byłam o wiele za stara, żeby oddać mu ciało, chociaż zrobiłabym to z radością, gdybym tylko była czterdzieści lat młodsza i gdybyśmy nie byli krewnymi.

Theresa Munro postawiła kropkę po ostatniej notatce i zadała ostatnie pytanie.

– Czy będzie pani próbowała odzyskać Merritta?

Effie odwróciła się w stronę basenu i bardzo długo nic nie mówiła. Theresa Munro zaczęła się zastanawiać, czy sędziwa dama zasnęła czy zapadła w jakąś półśpiączkę, ale wtedy jej rozmówczyni uniosła wysuszoną, pokrytą wątrobowymi plamami rękę i przemówiła.

– Nie, panno Munro, nie będę.

– Czy może mi pani powiedzieć dlaczego?

– Nie.

## 4

George Sabatini powiedział jej kiedyś, tuż po ich pierwszym spotkaniu, że przypomina mu perłę.

– Masz w sobie ten blask – rzekł, niemal nieśmiało pod nosząc ku niej wzrok, gdy zdejmował z cygara złotą banderolę. – Połączenie bieli mleka z poświatą księżycy.

Chociaż osiem dziesięcioleci wysuszyło jej urodę, Effie Watson wciąż miała grację siedemnastolatki, a gdy dwa dni później, korzystając z pomocy, przemierzała kolumnową werandę swego domu, miała na sobie kremową letnią suknię i kremowy słomkowy kapelusz z powiewającą woalką, która na chwilę maskowała jej wiek.

Oto kobieta, którą miesięcznik „Fortune” zaledwie trzy tygodnie wcześniej nazwał „królową zachodniej bankowości” i której osobisty majątek ostrożnie wyceniano na „ponad 620 milionów dolarów”. Tę suknię zaprojektował specjalnie dla niej David Emanuel, którego dziełem był ślubny strój księżnej Walii, a w woalkę wpleciono setki drobnych kryształów i perełek.

Samochód Effie, imponująca limuzyna lincoln, czekał na nią w kalifornijskim słońcu, zaparkowany obok niskich, połyskliwie ulistnionych drzew pomarańczowych, którymi wysadzony był podjazd z białego żwiru. Gruba biała gołębicą przysiadła na telewizyjnej antenie samochodu i gruchała do siebie z zadowoleniem. Kierowca otworzył drzwi, pomógł Effie



usiąść na jasnoniebieskich aksamitnych poduszkach tylnego siedzenia, po czym starannie rozłożył jej na kolanach kremowy gobelinowy pled.

– Dziś znów będzie pani krnąbrną dziewczyną, panno Watson?

Effie się uśmiechnęła. Wiedziała równie dobrze jak jej szofer, że lekarz sprzeciwiał się, by sama wychodziła z domu. Miała więc towarzystwo. Ale szofer zawsze troszczył się o nią szczególnie: nie jakby była jakąś kruchą i kosztowną wazą, jak traktowała ją większość ludzi, lecz po prostu tak jak energiczną i inteligentną kobietę, która przypadkowo się postarzała. Młody, barczysty i opalony na kolor luksusowych krakersów od Ritza kierowca był kiedyś towarzyszem spacerów pewnej niewiarygodnie zrędlivej królowej kina, ale znacznie bardziej wołał Effie, gdyż była zabawna, nie obrażała się i nigdy nie traktowała go protekcyjnie, a poza tym dawała mu wolne popołudnia na uprawianie windsurfingu. Nazywała go Carlem, ponieważ była przekonana, że wszyscy kierowcy powinni nosić imię Carl. On zaś naprawdę miał na imię Jerre.

Lincoln wyślizgnął się z Malibu i wjechał na Ventura Freeway, kierując się ku Forest Lawn. Effie oglądała przez chwilę zarejestrowany na taśmie wideo koncert muzyki Brucknera, a potem wyłączyła samochodowy telewizor. Nie była w nastroju do czegokolwiek oprócz własnych, głęboko skrywanych myśli. Nie miała ochoty na żadną muzykę oprócz wewnętrznych tonów własnego żalu.

Wciąż czuła ból na myśl o tym, co powiedział Merritt telewizyjnym reporterom, gdy przed miesiącem zrezygnował z Watson's Interbank.

– Myślicie, że to jest bank? To jest jacuzzi! Zarząd jest mokry, a tym, co trzyma ich w stanie ciągłego bulgotania, jest czcza gadanina i pustostowie Effie Watson!

Mój Boże, pomyślała, jakże on mnie nie rozumiał. Ale słabo się starałam, żeby rozumiał. Czuję się zbyt znużona, żeby sprawiać, aby rozumiano mnie lepiej. Jeśli nie wiedzą, że wszystko co robię, robię dla dobra banku, to nic na to nie poradzę.

Smutne jest tylko to, że nie mam teraz nikogo, komu mogłabym przekazać całą moją fortunę. Miliony dolarów w inwestycjach i funduszach powierniczych; rezydencja z białego marmuru z krużgankami, dziedzińcami i fontannami, najwspanialsza poza Europą kolekcja malarstwa portretowego Thomasa Gainsborough; stołowa porcelana z Sevres, z której teraz nikt nie będzie jadł...

Gdybym tylko była młodsza. Mam w sobie tak dużo miłości, tak dużo siły... Tak wiele mam możliwości i tak gwałtowne pragnienie, by je wykorzystać. Właśnie teraz powinnam mieć trzydzieści siedem, a nie dziewięćdziesiąt siedem lat. Albo dwadzieścia siedem. Lub znów być siedemnastolatką.

Tyle szaleńczych, rozedrganych dziesięcioleci pracy i zabawy, miłości i

cierpienia, i cóż z nich mam? Zmarłych kochanków i porzuconych przyjaciół. Doświadczenie całego życia. Milion zjedzonych posiłków, sto tysięcy pocałunków. Wszystko minęło. I żadnej nadziei, by cokolwiek z tego komuś przekazać.

Dojechali do cmentarza. W jasnym słońcu południa Carl poprowadził Effie pod rękę do grobu Alisdaira, gdzie zatrzymała się na niemal dziesięć minut, podczas gdy on, z czapką pod pachą, przystanął nieco dalej i zerkał na jakąś młodą kobietę w grafitowym kostiumie i ozdobionym kwiatami kapeluszu.

Effie postawiła Alisdairowi grobowiec z białego włoskiego marmuru: kwadratową płytę, na której stała wykonana z brązu naga postać muskularnego młodzieńca z mieczem i hełmem u stóp, lecz o twarzy wzniesionej ze smutkiem, ale wyzywająco ku niebu. Brązowa rzeźba miała kręcone włosy, tak kręcone jak włosy Alisdaira i Merritta. Tors młodzieńca rysowały doskonale wyrzeźbione mięśnie, jego uda przypominały uda greckiego dyskobola, a penis był półnabrzmiały, jakby poniesiona klęska wzbudziła w nim perwersyjną zmysłowość. Oto cały Alisdair.

– Alisdair... – powiedziała Effie i Carl spoglądał na nią przez chwilę, gdyż błędnie sądził, że go wzywa, ale kiedy z żalem wymówiła imię Merritta, odwrócił wzrok.

Effie przymknęła oczy i wyobraziła sobie Merritta, jakby stał tuż obok. Ten sposób, w jaki zwykł odrzucać dłonią włosy, a potem lekko uśmiechać się z zadowoleniem. To zabawne spojrzenie spod oka, jakim obdarzał ją zawsze, gdy któraś z proponowanych przez nią transakcji finansowych budziła jego podejrzenia. Słyszała jego śmiech, czuła dotyk jego dłoni. Widziała go, jak siedzi przy stoliku na tarasie Silverado Country Club, z polem golfowym i górami w tle oraz letnimi kwiatami kołyszącymi się obok jego krzesła. Widziała jego białą jedwabną włoską koszulę kupioną oczywiście przy szynkowej Rodeo Drive, z mankietami swobodnie podwiniętymi na opalonych ramionach. Połyskujący złotem zegarek marki Patek-Philippe z tarczą wysadzaną brylantami. I tylko dwa pierścionki na palcach. Sygnet bractwa uniwersyteckiego i ogromny brązowy diament w złotych „pazurkach”, który podarowała mu po ich pierwszym sukcesie w Arabii Saudyjskiej. Drobne brązowe diamenty mają zwykle bardzo małą wartość, ale ten ważył ponad czterdzieści cztery karaty i uznano, że jest bez skazy. Poza tym Effie powiedziała, że ma kolor jego oczu. Warto było zapłacić siedemset osiemdziesiąt tysięcy dolarów za diament, który był dokładnie tej samej barwy.

– Cóż, Alisdair – powiedziała cicho Effie do nagiego brązowego mężczyzny – jednak ci się udało, po tym wszystkim co obiecałeś, rozczarować mnie, nieprawdaż? Po wszystkim, co powiedziałeś! Moje dzieci utrzymają twoją fortunę, mówiłeś. Moi spadkobiercy dopilnują, żebyś była nie-

śmiertelna. Cóż, nie mam ci niczego za złe. Nie przypuszczam, aby to faktycznie była twoja wina i nigdy nie byłam dziewczyną, która by żywiła jakiegokolwiek urazy. Herr Hitler nazwał mnie „niepoważną”. Możesz to sobie wyobrazić? *Effie*, powiedział, *du bist so schön, aber du bist so leichtfertig*. Właśnie tak zwykł mawiać. Ale nie miał racji, prawda? To ty byłeś piękny, na swój sposób znacznie piękniejszy niż ja, i to ty byłeś niepoważny. I zobacz, dokąd cię to zaprowadziło? Do grobu, kochany, w trzydziestym trzecim roku życia. Masz pojęcie? Merritt skończy w tym roku trzydzieści cztery... Jesteś młodszy od własnego wnuka – stwierdziła zdumiona, że płacze.

Wyjęła więc z niewielkiej torebki koronkową chusteczkę i otarła nią oczy pod osłoną woalki. – Byłeś takim głupcem, Alisdair – powiedziała, teraz bardziej do siebie niż do nagrobnego posągu. – Nie wiem, czy bardziej żal mi ciebie czy siebie.

Carl dyskretnie cichym krokiem podszedł do *Effie* i ujął ją pod rękę. Nie próbował odciągnąć ją od grobu, podtrzymywał tylko, gdy płakała. Szybko jednak odłożyła chusteczkę do torebki.

– Lepiej wracajmy – rzekła dzielnie. – Nie ma sensu narażać się na udar słoneczny z powodu zmarłego młodego idioty.

– To prawda, panno Watson – odparł Carl, chociaż oboje wiedzieli, że ona tylko próbuje wmówić sobie, iż Alisdair swą bezmyślną śmiercią nie zranił jej głębiej niż ktokolwiek wcześniej, i że nagłe opuszczenie banku przez Merritta powiększyło grzech dalece ponad granice emocjonalnej tolerancji sędziwej kobiety. Zaledwie dwa dni wcześniej *Effie*, z uśmiechem smutniejszym niż jakikolwiek płacz, spytała Carla, czy jest Supermanem i czy mógłby, tak jak Superman, cofnąć czas, obracając kulę ziemską w drugą stronę na osi.

Żeby być tam, gdy Alisdair wsiadał na pokład trójpłatowca, aby polecieć do Albuquerque i złapać tamten pociąg. Żeby być tam, gdy Dougal wziął swoim cadillakiem ten zakręt przy Ridge. Żeby ocalić ich przed nimi i żeby ocalić swoją własną przyszłość i przeszłość.

Czasu jednak nie można było cofnąć. I gdyby *Effie* Watson umarła, nie byłoby nikogo, kto zająłby się jej sprawami oprócz wykonawców testamentu, członków zarządów funduszy powierniczych i banków oraz pełnomocników, adwokatów, dyrektorów, kierowników, urzędników Izby Skarbowej i Departamentu Skarbu. Doszła w końcu do przekonania, że pieniądze są istotą jej życia; że o tym, czym faktycznie jest jako osoba, stanowi kwota sześciuset siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów. Teraz zaś, z odejściem Merritta, całe jej życie miało być oficjalnie zdemontowane, rozbite na kawałki, a każda minuta jej dziewięćdziesięciu siedmiu lat pozostawiona bez celu i bez finałowego dokonania.

Gdy wsparta na ramieniu Carla wracała do lincolna, czuła, że Alisdair

wcale o niej nie myślał, umierając w taki sposób i zostawiając Merritta jako jedyne dziecko. Może nawet jej nienawidził.

## 5

W listopadzie, tydzień po Święcie Dziękczynienia, kazała sobie zrobić kilka fotografii, może z próżności lub dla kaprysu, albo po prostu – żeby zaszokować przyjaciół. Wybrała pewnego greckiego fotografa, który kiedyś był zaprzyjaźniony z Salvadorem Dali, niskiego mężczyzną z ogoloną głową, wielkimi wąsami Teddy'ego Roosevelta, w krzykliwej hawajskiej koszuli plażowej rozpiętej aż do owłosionego pępka. Nazywał się Kouris Kyriakou i mówiąc straszliwie łamaną angielszczyzną, namawiał, aby sobie wyobrażała że jest ptakiem, jednym z całego stada. Drozdów albo skowronków.

Zawiózł ją na plażę, ubrał we wspaniałe szyfony i śliskie jedwabie, i kazał jej zamierać w bezruchu albo tańczyć lub odrzucać do tyłu głowę, aby móc uchwycić energię, która wciąż się w niej skrzyła.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Kyriakou zatelefonował ponownie, pytając, czy może sfotografować ją nagą, mającą na sobie jedynie biżuterię. Najpierw zdecydowanie odmówiła, ale potem ów grecki fotograf przysłał liryczny, pełen zachwytu list, który był niemal miłosnym poematem, błagając, by mu pozowała. Nazwał Effie „Syreną w złotej łusce”. I tak oto, w lutym, niespełna siedem tygodni przed jej dziewięćdziesiątymi ósmymi urodzinami, Brinksonie przysłali samochód z najpiękniejszymi klejnotami z jej kolekcji przechowywanymi w śródmiejskich skarbcach, po czym Effie i Kyriakou pozostali zamknięci przez trzy godziny, strzeżeni przez uzbrojonych ochroniarzy, na krytej słonecznej werandzie jej rezydencji wychodzącej na trawniki i basen kąpielowy.

Fotografie, gdy już zostały wywołane, były dziwne, ale oszałamiające. Kyriakou przysłał Effie zarówno komplet kolorowych odbitek, jak i wszystkie negatywy. Ukazywały leciwą kobietę, której piersi opadły, a skóra była blada i pomarszczona, lecz która nadal zachowała w sobie jakieś sekretne piękno silniejsze od jej dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Piękno, które sprawiało, że wydawała się dziwnie i nieodparcie młoda.

Wokół szyi i nadgarstków nosiła symbole finansowego sukcesu swego życia: naszyjnik z diamentów, rubinów i szafirów, który niegdyś należał do rosyjskiej carycy Katarzyny, oraz bransolety ze złota, srebra i diamentów, które Ludwik XV zamówił dla swojej kochanki Madame du Barry, a także sznury pereł noszone kiedyś przez królową Annę. Na jednej z fotografii, gdzie stała przy oknie werandy z dłonią lekko uniesioną do czoła, a jej sutki połyskiwały jakąś promienną różowością, nosiła biżuterię wartą przeszło

piętnaście milionów dolarów.

Fotografie ukazały, w subtelny i nasyconym świetle, to co Kyriakou intuicyjnie wyczuł w Effie. To nie bogactwo było jej największym życiowym osiągnięciem; cokolwiek bowiem się z nim stało – przypało czy ocalało – jej życie nigdy nie było puste. Jej najwspanialszym osiągnięciem było to, że pozostała młoda, zachowała żywy umysł, a w każdym z owych lat, jakie miała za sobą, starała się być wyrozumiała, pojednawcza, dynamiczna i stanowcza, a co najważniejsze, że zawsze była gotowa ofiarować swą miłość każdemu, kto by się o to postarał i nie prosiła o nic w zamian. Pokazywały również, że przy całym swoim bogactwie uważała się za zwyczajną osobę.

## 6

Pierwszy raz odkryła tę nieczystą więź między miłością a pieniędzmi, gdy miała siedemnaście lat, w Edynburgu. Czasami wydawało się to tak odległe, że ledwie mogła uwierzyć, iż naprawdę się wydarzyło, i że chyba czytała o tym w jakiejś książce albo widziała w jakimś wyświetlanym nocą w telewizji filmie z Dreanną Durbin w roli Effie. Kiedy indziej zaś miała wrażenie, jakby stało się to dopiero wczoraj, a osiemdziesiąt lat przemknęło przez projektor jej życia w dwie czy trzy godziny.

George Sabatini powiedział jej kiedyś: „Moje dzieciństwo trwało pięćdziesiąt pięć lat, które przeżyłem. Gdy się skończyło, uświadomiłem sobie, że zajęło zaledwie pięćdziesiąt pięć minut”.

Była to w tę niedzielę, gdy pani McNab upuściła w holu pieczoną baraninę; w niedzielę po owym wtorku, gdy zmarła stara królowa. Bracia pokłócili się tak gwałtownie, że była przerażona, że się pozabijają. Ojciec przysiągł na Biblię, że da im nauczkę i wydziedziczy obydwóch. Matka zaś, szeleszcząc spódnicami, chodziła z pokoju do pokoju jak zraniona kuropatwa.

Tego dnia w domu by to szczególnie ciemno; nie tylko dlatego, że tak czy inaczej był mroczną, edynburską rezydencją zbudowaną przez osiemnastowiecznego angielskiego architekta Roberta Adama i umeblowaną w późnym monstualnym stylu wiktoriańskim, lecz również z powodu nieba nad miastem od świtu niemal rdzawoczerwonego od nadciągającej śnieżycy. Dwudziesty siódmy stycznia 1901 roku był jednym z najcięższych dni tamtej strasznej zimy. Wojna burska osiągnęła punkt kulminacyjny. Effie od października zabierała z sobą do łóżka ceramiczną butelkę z gorącą wodą (oprócz Raggie, swej szkockiej lalki), a ojciec przewidywał, że śniegi nie roztopią się aż do maja.

– Nawet pogoda jest w żałobie – powiedział w piątek najpierw do matki

Effie, która westchnęła na tę myśl, następnie do jej braci, Roberta i Dougala, a potem listonosza, pana Innesa, z którego nosa zimą zawsze ciekło i który głosem równie zrezygnowanym jak miech, z którego wypuszczono powietrze odparł: – Tak, panie Watson.

Niedziele nie były miłymi dniami w domu państwa Watsonów. Rano szarymi, pozamiatanymi trotuarami, w krajobrazie ośnieżonych parkanów i rzadkich drzew odbywano chłodny pochód do edynburskiej katedry St Giles. Następnie, po powrocie, w salonie pod jelenimi głowami i malowidłami równie mrocznymi jak komórka na węgiel odprawiano oficjalne zgromadzenie rodzinne. Thomas Watson wygłaszał kilka wzniosłych morałów o zasadach zdrowego inwestowania albo o chrześcijańskiej dobroczynności, dla której w istocie nie żywił szczególnie wysokiego szacunku. Porzekadło „Lepszy pens w banku niż sześciopensówka w puszcze jałmużnika” było jedną z jego ulubionych sentencji. Robert wypijał za dużo sherry, znudzony Dougal wyciągał nitkę z poręczy tapicerowanego krzesła, zaś matka co rusz wzdychała niczym osoba, która myśli o co najmniej pięciu miejscach, w jakich wolałaby przebywać. Effie pogrążała się w marzeniach, że Ivanhoe ją uwalnia i mdlejącą z ekstazy porywa na siodle swego rumaka.

Niedzielną obiad był sztywnym i długo wlokącym się aktem, odgrywanym w jadalni umeblowanej mahoniowymi kredensami o ogromnych rozmiarach i gotyckiej wyniosłości. W oknach wisiały draperie z niemal nieprzenikalnej koronki. Stały tam szklane kopuły z kompozycjami z suszonych kwiatów, a także zegary i wypchany orzeł. Była to wiktoriańska *in excelsis* i Effie w latach, które miały nadejść, na najłżejszą woń gotowanej kapusty lub tłuczonych brukwi czy choćby cień owej zatęchłej kwaśności gniezdzącej się w szufladach ze sztućcami, cofała się do roku 1901 w domu przy Charlotte Square i niedzielnego obiadu z ojcem ostrzącym nóż z rączką rzeźbioną w kości słoniowej i matką beznadziejnie kaszlącą w chusteczkę.

Effie zeszła później na obiad w tamtą niedzielę, ponieważ ojciec kazał jej zmienić broszkę z krwawnika na broszkę gagatu w geście żałoby po niedawno zmarłej królowej.

– Krwawnik – twierdził – kojarzy się z beztróską.

Była w połowie drogi ze schodów, gdy pani McNab wyłoniła się z kuchni, niosąc przed sobą niedzielny udziec barani okolony gotowanymi ziemniakami i brukselką.

Chociaż pani McNab była zażywną kobietą, której poczerwienia prawa ręka budziła lęk zarówno leniwych pomywaczek, jak i zawadiackich tragarzy węgla, ledwie mogła unieść wielką srebrną tacę. Z reguły w niedziele wnosił ją Crawford, ich kamerdyner, ale wtedy był na dwudniowym (oczywiście bezpłatnym) urlopie w Motherwell, aby pochować zmarłego na rozedmę płuc ojca.

Effie usłyszała, jak pani McNab woła: „*Panie Zastępów!*”, a potem cały pieczony udziec barani spadł z grawerowanej tacy, z głuchym hukiem uderzył o podłogę i potoczył się przez indyjski chodnik aż zatrzymał się pod konsolą, gdzie przechowywano Biblię i bilety wizytowe. Za baraniną zawzięcie podążały gotowane ziemniaki z brukselką, tocząc się po podłodze z odgłosem przypominającym daleki grzmot.

Na twarzy pani McNab malował się wyraz śmiertelnej zgrozy. W jadalni właśnie teraz Thomas Watson dopełni swego rytuału ostrzenia grawerowanego noża do mięsa i wygłosi kilka pełnych żalu uwag o zmarłej królowej, a pani Watson będzie z niepokojem mieć serwetki i czekać na pieczeń... lub cokolwiek, co odwróci blade i surowe spojrzenie męża.

Effie stłumiła okrzyk zdumienia, a pani McNab, która sądziła, że jest sama, podniosła ku niej wzrok z zaskoczeniem i trwogą. Razem obejrzały hol zarzucony warzywami, a ich głowy jednocześnie zwróciły się w stronę parującej pieczeni, która leżała pod konsolą.

– Och, psiakość! – jęknęła pani McNab.

Zapadła uderzająca cisza, a wtedy Effie wybuchła nagłą wesołością. Pani McNab łypnęła na nią z niedowierzaniem, a później także zaczęła się śmiać, aż obie, ogarnięte nie dającą się opanować histerią, nie mogły zrobić nic innego jak tylko siedzieć na schodach i we wzajemnym uścisku zanosić się śmiechem do utraty tchu.

– O Boże – wykrztusiła w końcu pani McNab – kiedy zobaczyłam jak pieczeń toczy się po dywanie...

Wspólnie, wciąż się śmiejąc, obeszły na czworakach cały hol, zbierając ziemniaki i brukselkę. Potem pani McNab przeniosła barani udziec na serwetkę i ponownie ułożyła go na wielkiej tacy.

– Zechciej poczekać – powiedziała Effie i oczyściła pieczeń szczotką oprawną kość słoniową, której używano do odświeżania pilśniowego kapelusza ojca.

– Och, nie – jęknęła pani McNab. – Effie, nie! Wiesz, co się stanie, gdy twój ojciec wejdzie jutro do banku. Ten pan Campsie będzie wachać powietrze i powie: „Ależ panie Watson, jestem pewien, że czuję pieczeń baranią”.

To je niemal wykończyło. Pani McNab z trudem łapała powietrze i musiała odstawić tacę na podłogę, żeby jej znowu nie upuścić, a Effie – oprzeć się o wyłożoną dębową boazerią lamperię.

W końcu z drzwi jadalni wyłonił się Dougal z serwetką wciśniętą za kołnierzyk.

– Co to za chichotanie, Effie? – chciał wiedzieć. – Ojciec już trzy razy naostrzył nóż i wygląda na to, że jeśli zaraz nie dostanie mięsa do pokrojenia, to zacznie kroić w plasterki matkę!

Pani McNab natychmiast spoważniała.

– Przepraszam, panie Dougal, zaraz przyjdę. Niełatwo bez Crawforda poradzić sobie z podawaniem do stołu.

Dougal otworzył drzwi, a potem uniósł rękę w stronę Effie.

– Widzę, że jak zwykle coś zmalowałaś, jesteś w swoim żywiole – uśmiechnął się szeroko.

Dobrze wiedział, dzięki łzom ze śmiechu w oczach siostry, że wdała się w jakąś psotę, ale nie musiał pytać w jaką. Opowie mu o niej później, tak jak zawsze opowiadała mu o wszystkim. Co prawda z Robertem byli sobie bliźsi wiekiem, ale właśnie z Effie łączyło go wzajemne zaufanie i pogodne lekceważenie surowych rodzinnych rządów ojca. W dzieciństwie, ilekroć obręcz wpadała do stawu, można się było założyć, że wtoczyła ją tam Effie, ale Dougal zamoczy spodniki, wydobywając zabawkę z wody. Robert natomiast był synem swojego ojca: spisałby obręcz na straty i oszczędzałby część każdego tygodniowego kieszonkowego na kupno nowej.

– Sknera – mawiał o nim Robert.

Effie w końcu zajęła miejsce przy stole, po prawej stronie ojca, twarzą do obydwu braci. Ojciec zerknął przez szlifowane szkła na jej broszkę.

– Ta jest znacznie bardziej stosowna – z aprobatą skinął głową.

Już stał. Był wysokim, lekko przygarbionym od trzydziestu lat ślęczenia nad bankowymi księgami mężczyzną po pięćdziesiątce o dużej kształtnej głowie, z siwymi kręconymi włosami i krzaczastymi brwiami. W jego wyglądzie było coś ujmującego, co wciąż podobało się o połowę młodszym kobietom: prosty nos, mocna, kanciasta linia szczęki i usta, które sprawiały wrażenie pogodnych, nawet wtedy, gdy studiował kolumny liczb. Tylko niezwykle jasne oczy zdradzały właściwy mu chłód. Miały barwę agatów używanych do punktów podparcia wagi i były dwakroć tak precyzyjne jak one. Przez ojca, dziadka Effie, wszelkie ludzkie uczucia zostały z niego wybite, zanim ukończył dziesięć lat.

Thomas Watson ostatnim, niemal teatralnym sztychem naostrzył swój nóż.

– Sztuka porcjowania mięsa – rzekł nie po raz pierwszy – polega na podzieleniu udźca zgodnie z potrzebami wszystkich siedzących przy stole, a także stosownie do potrzeb nadchodzącego tygodnia.

Effie pomyślała, że wszyscy goście podejmowani przez ojca w domu przy Charlotte Square 14 zgodziliby się, iż Thomas Watson opanował tę sztukę do perfekcji. Chociaż nigdy nie żałował ziemniaków ani gotowanej kapusty, mięso było zawsze ściśle „porcjowane”.

– Pana Stephensona nie było dzisiejszego ranka w kościele – powiedział Robert, pocierając brodę.

– Nie dziwi mnie to – rzekł Dougal. – Pan Stephenson nigdy nie nadawał się do nudnych uroczystości.

Tego dnia poranne nabożeństwo było pół godziny dłuższe niż zwykle z



powodu rozwlekłego hołdu złożonego przez pastora „wielkiej zmarłej Królowej”.

– Ufam, że nie będziemy wieść częściej paplaniny o porannym nabożeństwie – powiedział Thomas Watson i z irytacją spojrzął znad okularów, gdy pani McNab wniosła parującą tacę brukselki, chociaż nie zauważył lekkiego uśmiechu, jaki wymieniły z Effie. – Słyszeliście co powiedział pan Gowrie. „Była naszą królową i kochaliśmy ją, a teraz odeszła i życie wygląda całkiem inaczej”. Okażmy więc nieco szacunku.

– Problem z panem Stephensonem polega na tym, że on wydaje się nie pamiętać, kim jest. Dość łatwo czuć się swobodnie za pożyczone pieniądze, ale liczy się jedynie to, co człowiek sam zarobi. Zauważyłem tylko, że nie było go w kościele.

Robert zaledwie przed miesiącem skończył dwadzieścia dziewięć lat. Miał szerokie czoło i krótki nos wszystkich Watsonów, ale zdecydowana szczeka, która charakteryzowała watsonowską nieustępliwość, już przechodziła w początki podwójnego podbródka. Kołnierzyki wcinały mu się w szyję, a czarna niedzielna kamizelka była równie napięta jak skórka na salcesonie. Jednak solidna budowa Roberta nie była wynikiem nadmiernego jedzenia, mimo że w domu Watsonów zachowano wiktoriańską tradycję ciężkich puddingów i ciast oraz podawanych na podwieczorki śledzi w cieście, eskalopków, owsianych płatków smażonych z cebulą i wędzonych ryb. Swoją budowę Robert odziedziczył po pradziadku ze strony ojca, Angusie, który powszechnie znany był jako Byk z St Boswell, a niemile jako Szkocki Typ.

Jeśli wierzyć rodzinnym portretom, Robert miał także włosy po pradziadku: gładko wygolone aż do wierzchołków uszu, a na górze gęstą czuprynę loków. W szkole nauczyciel powiedział mu kiedyś bezlitośnie: „Nie zniosę żadnej bezczelności, Watson, od chłopca, który tak nieodparcie przypomina mi rzepe”. Robert szybko jednak okazał się zaskakująco silny i znacznie zdolniejszy niż większość jego nauczycieli, a przy tym obsesyjnie skrupulatny. Mianowano go głównym kierownikiem Banku Watsona w wieku dwudziestu pięciu lat, a zasłużył na to mianowanie ciężką pracą.

– Nie niepokoi cię, Robercie, że pan Stephenson mógł zbiec? – zapytał Thomas Watson, nakładając dwa blade i bezkrwiste plastry baraniny na talerz żony.

– Przyszło mi to na myśl – odparł Robert, nie odrywając wzroku od Dougala. – Zawsze mówiłem, że to awanturnik. W tej samej chwili gdy go poznałem, pomyślałem, że to człowiek z głową pełną szalonych pomysłów i pustym portfelem.

– Prawdopodobnie leży w łóżku z gorączką – rzekł Dougal. – Wszyscy chorują na grypę.

– Bardziej prawdopodobne jest to, że leży z jakąś dziwką – mruknął Ro-

bert.

– Robercie! – zawołał ojciec, unosząc czubek noża do porcjowania mięsa. – Nie będziemy prowadzić takich rozmów przy niedzielnym stole. Przepraszam zaraz swoją matkę.

– Wybacz mi, mamo – rzekł Robert, podnosząc się z krzesła. – Powiniennem trzymać język za zębami. Dougal przypuszczalnie ma rację, a pan Stephenson niewątpliwie jest chory. Zastanawia mnie tylko, gdzie choruje. Najpewniej na południu Francji albo w połowie drogi do Nowego Jorku.

– A wiesz, na co ty chorujesz? – Dougal rzucił wyzwanie swemu bratu. – Na nieufność. Ty nie ufasz nikomu! Czyż nie jest sprawą każdego banku podejmowanie pewnego ryzyka i czyż pan Stephenson nie zasługuje na nie tak samo jak wszyscy inni? Zasługuje na to dwa razy bardziej niż Baillies-Home i jego handel nieruchomościami w Burntisland, że nie wspomnę o Duffie, państwu Binnach czy McEwanie. Twoja podejrzliwość jest chorobliwa. Pan Stephenson zakłada przyzwoitą małą introligatornię. Jest porządnym, solidnym człowiekiem, a poza tym mamy jego hipotekę.

– Dougal – z odległego końca stołu odezwała się matka niemal zasłonięta przez groteskową srebrną ozdobę stołu w kształcie dwóch aniołów sprezentowanych niegdyś jej mężowi dla uczczenia ćwierćwiecza związku z bankiem. – Dougal, uspokój się. I ty także, Robercie. Jest święta niedziela.

## 7

Dla matki Effie istotne było to, aby synowie zaniechali sporu o interesy przy niedzielnym obiedzie. Jakiś drobny wyrzut ze strony Dougala, kilka ostrych ripost Roberta, a następnym krokiem byłoby zażarte warczenie na temat tego, kto w inwestycjach postępuje słusznie, a kto się myli; jak Dougal mógł obiecać dwa tysiące funtów jakiemuś nieszczęsnemu drukarzowi w Canongate, bankrutowi, który musiał zrzec się wszystkiego na rzecz wierzycieli, a jak Robert mógł zagwarantować trzydzieści tysięcy funtów jakiemuś właścicielowi nieruchomości w Grassmarket, który miał wynajmować obskurne pokoje marnym nauczycielom i beznadziejnym amatorom whisky.

Thomas, jej mąż, nieustannie czynił ją odpowiedzialną zarówno za wszelkie spory między chłopcami, jak i za wszelki zamęt w tym, co lubił nazywać „obyczajami tego domu”. Gdyby doszło do jakiegoś sporu przy stole, później noc przyniosłaby godziny potępienia w ich ogromnym dębowym łożu; Thomas obwiniałby ją o psucie chłopców, a nawet o rozcieńczenie silnej i zahartowanej krwi Watsonów jej słabą i wodnistą krwią Nugent-Dunbarów. Thomas najwyraźniej zapomniał, że żeniąc się w 1869 roku z córką zastępcy sędziego w Alloa, poślubił jedną z najładniejszych, a także

najinteligentniejszych dziewcząt w Szkocji. Nawet będąc już dobrze po czterdziestce, Fiona Watson zachowała urodę: idealny owal twarzy, ogromne błękitne oczy, które mogły być namalowane przez mistrza z Delft i długie blond-rudawe włosy, które zwykle nosiła upięte w misternie spleciony kok. Wciąż była tak urzekająca, że dżentelmeni uchylali przed nią kapeluszy tylko po to, aby oddać hołd jej urodzie. Jednak Thomas Watson najwyraźniej z czasem przestał widzieć piękno swojej żony i stał się kompletnie niewrażliwy na jej urok. Jeśli nadal uważał, że jest równie powabna i pociągająca jak owego dnia, gdy spotkał ją po raz pierwszy, to skrywał swe uczucia bezlitośnie. Oczekiwał od żony, że poprowadzi dom stosownie do każdego z jego szczególnych uprzedzeń i wyraźnie określonych upodobań, a jeśli tego nie robiła, tracił panowanie, popadając w szal.

– Po nabożeństwie rozmawiałam z siostrami Arbuthnott – Fiona Watson zwróciła się do męża, zmieniając temat na bardziej bezpieczny, gdy rodzina zaczęła jeść. – Mówią, że młody Jamie wstępuje do 92 Pułku Szkockiej Piechoty.

– Jamie Arbuthnott w Szkockiej Piechocie? – zapytał Thomas Watson. – No cóż, to wspaniała wiadomość. Oto młodzieniec, który stara się sprostać oczekiwaniom rodziny. Płynie w nim dobra krew Arbuthnottów i Grahamów. Dobra, silna krew.

– Mnie zaś nie przychodzi na myśl zaden sposób szybszego przegrania tej wojny – rzekł Dougal, rozkładając swój plaster baraniny w sposób, który irytował ojca, ale przynajmniej nadawał posiłkowi jakiś sens.

– A ja uważam, że Jamie jest bardzo miły – wtrąciła Effie wyzywająco. – Zawsze się ze mną wita i dał mi bukiet na urodziny, a to było miłe.

– Chyba nie próbuje się do ciebie zalecać? – zażartował Dougal.

– Nie sprzeciwiałabym się, gdyby się starał – odparła Effie, rumieniąc się lekko. Nie знаła wielu chłopców w jej wieku, a Jamie Arbuthnott był wyjątkowy: bardzo wysoki, z najgęstszymi jasnymi włosami, miał miły, łagodny sposób bycia, który zawsze pozostawiał Effie uczucie rozkosznego zawrotu głowy. Niezmiennie starała się przekonać matkę, by zapraszać państwa Arbuthnottów na herbatę, w nadziei, że przyjdą z nim, matka zaś, która kiedyś w ten sam sposób własną matkę zdręczała, by zapraszać do Alloa państwa Watsonów, zazwyczaj jej ulegała. W minione święta Bożego Narodzenia Jamie ukończył osiemnaście lat i ojciec nakłaniał go do podjęcia studiów prawniczych. Jednak Jamie, jak dobrze wiedzieli wszyscy jego koledzy, od chwili ukończenia czternastu lat nie mówił o niczym innym niż o pójściu na wojnę. I często zabawiał bywalców baru „U Benneta” przy Leven Street odgrywaniem jednoosobowej sztuki o rozgromieniu Burów przez Szkocką Piechotę. Był to popularny numer sceniczny: wojska brytyjskie wcześniej uległy Burom pod Magersfontein i jeśli ktoś wspominał o tej bitwie w jakimś barze, nawet dziś ryzykował, że zębów będzie szukać w

gardle.

– Cóż, przynajmniej Arbuthnottowie są ludźmi honoru – rzekł Robert, sięgając po sos kaparowy – czego nie mogę powiedzieć o panu Stephensonie.

– A ty wciąż o panu Stephensonie? – zapytał Dougal. – Wielkie nieba, Robercie; wystarczy, że człowiek zabiera kościołowi jedną niedzielę, a ty oskarżysz go o oszustwo. To do prawdy szaleństwo.

– Zechciejcie pohamować tę konwersację – zażądał Thomas Watson, nieruchomym wzrokiem spoglądając na żonę.

– Ależ to prawda – twierdził Dougal. – Mamy hipotekę tego człowieka. Mamy jego zobowiązanie dżentelmena i trzykrotnie składany podpis. Czy winniśmy tak bardzo niepokoić się o jego uczciwość tylko dlatego, że nie pojawił się w kościele; chyba że drażni nas fakt, iż to ja byłem osobą, która autoryzowała jego pożyczkę, bez zgody Roberta?

– Nie miałeś prawa tego uczynić bez mojej aprobaty – wyrzucił z siebie Robert. – To wszystko.

– Jestem upoważniony do udzielania pożyczek do wysokości pięciu tysięcy funtów bez twojej zgody. Wszak sam to powiedziałeś.

– Fakt, iż tak powiedziałem, nie oznacza, że mogłeś to uczynić, nie dopełniając zwykłej uprzejmości poinformowania mnie. Powiedziałbym ci prosto w oczy, że pan Stephenson jest niepewnym dłużnikiem i że jego „zobowiązanie” nie ma wielkiej wartości.

– Dość już tej rozmowy o pieniądzach w dniu świętym – rzekł Thomas Watson. Przeżuwając mięso, nie spuszczał jasnych oczu z żony, Fiona zaś wiedziała, że spór synów zaszedł za daleko.

– Nie rozmawiamy o pieniądzach, ojcze – odparł Dougal. – Mówimy o zaufaniu. A czyż zaufanie nie jest odpowiednim tematem na rozmowę przy stole w niedzielę? Robert nie ufa żywej duszy. Nie ufa nawet najbliższej rodzinie.

– Uważaj, co mówisz – rozkazał Thomas.

– Dougal, Robert, proszę... – ozwała się Fiona najłagodniej, jak mogła.

Robert jednak był już teraz zły.

– „Albion”, oto powód, dla którego Dougal jest tak rozszalony. Jego rozszalenie nie ma nic wspólnego z panem Stephensonem, zaufaniem, ani z aprobatą pożyczki. Chodzi o spółkę „Albion”.

– Jeśli pragniesz przykładu czegoś, co wprowadza mnie w taki stan, to „Albion” jest równie dobry jak każdy inny – powiedział Dougal.

– Jeśli pragnę przykładu! – odparował Robert. – Cóż to za górnolotność?! Gadasz o „Albionie” od trzech tygodni, więc powinienem wiedzieć, do czego to doprowadzi. Słuchaj, chłopcze, możesz zapomnieć o „Albionie”, bo ja będę trzymać się tego, co powiedziałem ci w piątek. Ta pożyczka jest za duża, a zyski zbyt niepewne i mówiąc szczerze: wolałbym pożyczyć te

pieniądze jakiemuś Azjacie.

– Co to jest „Albion”? – zapytała Effie prostodusznie.

– „Albion”, kochanie – odrzekł Dougal – będzie jednym z największych producentów w Szkocji. Produkuje...

– ...automobile – przerwał Robert z triumfalnym sarkazmem. – Pojazdy bez koni, dla rozrywki leniwych utracjuszy. Dziewiąty cud świata dla tych, którzy nie mają nic przeciwko temu, by zapłacić dwa lub trzy tysiące funtów za przywilej telepania się z prędkością dziesięciu mil na godzinę, w kurzu drogi oraz w nieustannym hałasie i aromacie benzyny, a także z ciągłymi awariami – odsunął talerz i wstał. – Ten oto młody Dougal wierzy, że Watson Bank powinien przeznaczyć dwadzieścia jeden tysięcy ciężko zarobionych funtów na wsparcie i rozwój owego nedorzecznego przedsięwzięcia. W swym entuzjazmie jednak nie bierze pod uwagę, że w Szkocji jest tylko jedna odpowiednia dla nich droga, że może sobie na nie pozwolić jedynie nieliczna mniejszość i że znacznie taniej jest trzymać konia i powóz. Wszak z szybkością dwudziestu mil na godzinę człowiek może dojechać z Edynburga do Aberdeen koleją za kwotę niższą niż cena funta parówek, czytając w podróży gazetę. Cóż go więc, u licha, skłoni do kupna samochodu?

– Naturalne pragnienie swobody – replikował Dougal. – Właśnie do niego odwołuje się „Albion”. Naturalne pragnienie podróżowania wtedy, kiedy się chce i tam, gdzie ma się ochotę, nie bacząc na rozkład jazdy ani nie czekając na taksówkę. Do diabła, Robercie, nie widzisz niczego poza czubkiem własnego nosa! Mówimy o nowej epoce, całkiem nowej epoce, właśnie tutaj, w Szkocji, a ty potrafisz tylko wszystko umniejszać. Nie na podstawie oceny sytuacji, lecz po prostu dlatego, że nie aprobujesz żadnego planu, który ja przedkładam. Oto cała prawda!

– Nie będę dłużej tego słuchać! – rzekł Thomas Watson głosem przypominającym bulgocące mleko, które za chwilę się podniesie i wykipi z garnka. – Robercie, usiądź, Dougal, zachowaj spokój się. Mama... porozmawiamy o tym później.

– To on zaczął mówić o „Albionie” – protestował Dougal.

– Dostyc! – krzyknął Thomas Watson.

– Thomas, mój drogi... – odezwała się Fiona, ale mąż uciszył ją spojrzeniem i zwrócił się do Effie, mówiąc: – Podaj mamie brukselkę.

Patrzył potem, jak Fiona nakłada jej sobie więcej, niż miała ochotę, ręką tak drżącą, że łyżka szczykała o brzeg srebrnej tacy. Wiedziała, czego może się spodziewać wieczorem, za zamkniętymi drzwiami sypialni: krzyku, pomstowania, a może nawet bicia.

– Cóż za nieznośna słabość tkwi w moich synach! – wrzaśnie, gdy ona będzie się przygotowywać do snu. – To ty! Ty i twoje rozpieszczanie ich, cackanie się z nimi, jakby wciąż byli dziećmi. Nic dziwnego, że wciąż się sprzecają i kłócą. Nie ma się co dziwić, że są tacy beznadziejni!

Nieczęsto ją bił, ale gdy to robił, uderzał w żebra, gdzie ślady nie były widoczne, kiedy była ubrana. Pewnego razu po kolacji, jaką wydali dla rodziców Fiony i stada jej kuzynów, wpadł w taką furję z powodu wina i zazdrości, że siłą przełożył ją sobie przez kolana, zadarł do góry peniuar i bił po nagich pośladkach. Ona zaś tyleż zła, co podniecona, sięgnęła ku niemu, ale szybko opuścił poły swojej nocnej koszuli i stanowczo potrząsnął głową.

– Nic z tego – powiedział.

Fiona już dawno porzuciła próbę zrozumienia, co się działo w duszy jej męża. Nie była w stanie powiedzieć, czy jest zadowolony czy nieszczęśliwy; czy kocha rodzinę czy nie. Nieprzerwanie pracował w banku, zwiększając swoje wpływy i aktywa i najwyraźniej uważał, iż jest jednym z filarów edynburskiego środowiska kapitałowego. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy to go satysfakcjonowało, czy może nie przynosiło zadowolenia, ponieważ o swojej pracy nigdy z nią nie rozmawiał, jeśli nie liczyć narzekania na personel. Jeśli zaś wyrażał o czymś jakieś opinie, mówił tak wzniosłymi ogólnikami, że nie miało się pojęcia o jego uczuciach.

– Jestem człowiekiem swojej epoki – mawiał często i prawdopodobnie to było najgłębszą ze wszystkich jego deklaracji, chociaż Fiona nie mogłaby również powiedzieć, co to oznaczało w jej życiu. Fionie wiktoriańskie ideały ostentacyjnej zamożności, pompatycznej moralności i protekcyjnalnej dobroczynności znane były zbyt dobrze, by wydawały się niezwykle.

Effie obserwowała matkę z bezsilnym współczuciem. Nie wiedziała, że ojciec ją bił, ale czuła, jak bardzo matka się go boi. O ile Robert był „synem swego ojca”, prawdziwym Watsonem, to Effie była „córeczką mamusi”. Gdy był młodszy, Thomas Watson właśnie tak mawiał często, unosząc ku górze podbródek Effie.

– Oto ród Nugant-Dunbar – twierdził. – Nieodrodna latorośl. Wodnista krew i blade cera. Bezspornie.

W wieku siedemnastu lat Effie, choć nie całkiem zdawała sobie z tego sprawę, była na granicy wejścia w kilka najpiękniejszych lat swego życia. Wcześniej zawsze była zastraszona i nieśmiała, wstydząc się chudych ramion i nóg. Jej jasnoniebieskie „nugent-dunbarowskie” oczy wydawały się za duże, a babka ze strony ojca, która przed siedmioma laty zmarła na obustronne zapalenie płuc, orzekła kiedyś z koronkowej twierdzy swego łoża, że Effie przypomina nieopierzone pisklę, które wypadło z gniazda.

– Czy jadasz owsiankę, dziecko? – pytała ochryple. – Jeśli nie, to wyzioniesz ducha.

Niczym liczne jej koleżanki zamieszkałe przy Charlotte Square – inne blade, wymuskane dziewczęta z zamożnych edynburskich rodzin; jak Celia Calder-Haig, która zawsze nosiła aksamitne kołnierzyki czy Mary McArrol, która miała złote włosy i wyhaftowała ojcu na Boże Narodzenie futerał na kobzę – Effie pobierała nauki w domu. Jej pierwsza guwernantka, panna

Murdoch, była trzydziestoletnią kobietą o dramatycznie ściągniętych ustach, której jedyny konkurent zginął w katastrofie, do jakiej doszło w 1879 roku, gdy podczas sztormu nad zakolem rzeki Tay załamał się most kolejowy między szkockimi miastami Dundee a Wormit, i która raz za razem popadała w trans, nucąc do siebie *Bonny Dundee*. Potem sprowadzano jej kolejne nauczycielki: pani McGreith do nauki literatury angielskiej i historii („Celtowie, Effie, byli dziką zbieraniną”), pannę Wallace do matematyki i pewną portugalską damę z nie dającym się wymówić nazwiskiem i zdumiewającym nerwowym tikiem twarzy do nauki gry na fortepianie.

Rezultatem owej edukacji połączonej z pogodnym i delikatnym sterowaniem przez matkę miało być wyposażenie Effie w te wszystkie przymioty, jakich będzie kiedykolwiek potrzebować: dobre maniery i zdrowy rozsądek. Domowe wykształcenie pozostawiło ją jednak z brakiem rzeczywistych doświadczeń. Miała wiedzę o Chinach i Ameryce Południowej, wiedziała, co tam rośnie i dlaczego, wiedziała, jak się zwracać do biskupa i jak się ubrać, jeśli zostanie zaproszona na sobotnie przyjęcie. Nigdy jednak nie podróżowała dalej niż do położonego w południowo-zachodniej Szkocji miasta Ayr, a jedyne życie, jakie kiedykolwiek widziała, toczyło się w granicach Edynburga. Szare, zacne życie z kościołem i przedpołudniami z matką oraz z niezliczonymi oficjalnymi herbatkami.

Ojciec stale pytał matkę, dlaczego jeszcze nie szuka dla niej męża, ale matka (choć Effie o tym nie wiedziała) robiła wszystko, co mogła, aby ochronić córkę przed tym, czego doświadczyła jako katastrofalnych konsekwencji wczesnego zamążpójścia. Poza tym kulturalni i spełniający niezbędne warunki kawalerowie w wieku Effie wciąż studiowali na uniwersytecie lub zdobywali wiedzę lekarską, albo walczyli w południowej Afryce. Jeden z młodych kierowników w Watson's Bank, Alasdair Maclachlan, odwiedził Effie dwa czy trzy razy, dwa razy z kwiatami, a raz z wrzosem, ale ostatnią rzeczą, jakiej Fiona pragnęłaby dla swojej córki, byłoby jej małżeństwo z finansistą, zwłaszcza od Watsona, a poza tym nie podobał jej się ani szkocki strój Maclachlanów, ani czerwone zamię na nosie Alasdaira.

Sama Effie natomiast nigdy nie marzyła o profesorze, lekarzu czy finansyście, ani nawet o lekko rannym bohaterze wracającym z medalami z Kroonstad. Jej śniło się połączenie rycerza z księciem i życie w pałacu. Nie były to niezwykle sny jak na młodą dziewczynę żyjącą w okresie rozkwitu zarówno Imperium Brytyjskiego z Jego Wysokością królem Edwardem VII, zaledwie wczoraj ogłoszonym monarchą i cesarzem Indii, jak i Europy z jej arystokratycznymi rodami Battenbergów i Saxe-Coburgów oraz mnóstwem królewskich krewnych. Jednak jak na siedemnastolatkę Effie traktowała swe marzenia niezwykle poważnie. Czasami, z głową udrapowaną koronkowym szalem, stawała przed lustrem toaletki w swoim pokoju i szeptała anonsowała samą siebie, jakby wchodziła na jakiś wielki raut: *Księżna Effie*

## 8

– Mamy pozwolić, aby „Albion” się pogрузzył z powodu naszych rodzinnych małostkowych zazdrości? – nie rezygnował Dougal.

– Powiedziałem: dosyć! – rzekł Thomas Watson. – Ostrzegam cię, chłopcze: dosyć!

– Ojczy, bardzo przepraszam, ale skoro Dougal tak się upiera, będę musiał mu odpowiedzieć – rzekł Robert.

– Dosyć! – wrzasnął Thomas Watson.

Dougal odłożył widelec.

– Oto jak się rzeczy mają w naszej rodzinie, czyż nie? Jeśli tylko wygląda na to, że ktoś jest nazbyt blisko kłopotliwej prawdy o jakiejś sytuacji, wtedy zawsze pada słowo „dosyć!”. Dość już, ojczy, twojego „dosyć!”. Niech Robert powie, co ma do powiedzenia, a potem zobaczymy, czy istnieje jakieś uzasadnienie jego odmowy pożyczki dla „Albionu”. Posłuchajmy, czy ma jakiś sensowny powód.

– Ty głupcze! – krzyknął Robert. – Kieruję bankiem, a nie instytucją dobroczynną dla spraw beznadziejnych! Ten automobil skończy tak samo, jak ów omnibus na parę wodną i wszystkie inne projekty wehikulów bez konia! Równie dobrze mogę wrzucić pieniądze w wody portu Leith i patrzeć, jak płyną.

– Kto jest głupcem, ty nadęty gburze? – wyrzucił z siebie Dougal. – Cofniesz to albo skopię ci tyłek!

Cierpliwość Thomasa Watsona się skończyła. Odepchnął krzesło, chwycił na wpół przekrojony barani udziec i uderzył nim Dougala w głowę, rozpryskując sos. Potem rzucił mięso przez cały salon i pomaszerował do drzwi. Jego wykrzywiona furią twarz przypominała celtycka maskę.

– Nie będę siedział z gryzącymi się wilkami! – ryknął. – Ani z wilczycą!

Z tymi słowami trzasnął drzwiami tak mocno, że zadrżały ściany i zadzwonił kryształowy żyrandol, po czym jak burza wybiegł do biblioteki, tak jak czynił to zawsze, gdy wpadał w gniew. Wszyscy czworo – Robert, Dougal, Effie i ich matka – zastygli niczym żywy obraz, dopóki nie usłyszeli, że podwójne drzwi biblioteki zamknęły się z hukiem.

Dougal otarł policzek serwetką.

– Cóż – rzekł – z pewnością otrzymałem dziś większą niż mi się należała porcję baraniny, nieprawdaż? Prosto w ucho.

Robert wstał.

– Och, myślisz, że jesteś bardzo dowcipny i zabawny, prawda? – wyrzucił z siebie. – Coś ci powiem, braciszku, koniec z tym. To jest nasz nie-



dzielny obiad, a nie okazja do awantur.

– A kto napomknął o „Albionie”? – zapytał Dougal.

– Nie zaczynaj znowu – ostrzegł go Robert. – Nie powinienes dzisiaj wszczynać rozmowy o interesach.

– A kiedy mam o nich rozmawiać?! – protestował Dougal. – Ty jesteś zawsze zbyt zajęty, aby rozmawiać ze mną w dni powszednie, a ojca albo nie ma, albo jest zajęty z klientami, albo wychodzi do klubu. Żaden z was nie chce mi dać szansy, abym kiedykolwiek wyraził swoje zdanie, więc jak u licha mogę się rozwijać i uczyć bankowości, skoro nie mówię tego, co myślę? Jutro rano odbędzie się zwykle, cotygodniowe zebranie dotyczą ce strategii i wszyscy pochlebcy, tacy jak pan Gramond i pan McGillivray zgodzą się ze wszystkim, co powiesz, i zaaprobuja wszystko, co chcesz, żeby zaaprobowali. Głosujemy za panem Robertem, zapiszcza, a to będzie oznaczało koniec „Albionu” i koniec wszystkiego, co próbuję zrobić. Utrącasz mnie, Robercie, i to jest jedyna okazja, żebym mógł to powiedzieć przy ojcu. Więc nie obwiniaj mnie!

Fiona Watson dzwoneczkiem przywołała panią McNab. Drżała, jakby miała gorączkę, a jej twarz była szara jak popiół. Effie wyciągnęła rękę i kojąco dotknęła jej ramienia.

– Mamo – powiedziała – uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

– Tak myślisz? – bez nadziei w głosie spytała matka.

– Myślę, że powinienem pójść do ojca i przekazać mu nasze przeprosiny, prawda? Ty też możesz iść, Dougal, jeśli masz ochotę.

– Chyba zaczekam tutaj – odparł Dougal. – Nie wiem, co pani McNab przygotowała na deser, ale nie chciałbym dostać w głowę biskoptową roladą.

Robert miał już na końcu języka coś gniewnego w odpowiedzi, ale wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, obciągnął ciasną kamizelkę i zwrócił się do matki.

– Proszę mi wybaczyć, że odchodzę od stołu, madam.

Fiona Watson skinęła głową.

Gdy Robert wyszedł z przejmującym skrzypieniem butów, do salonu weszła przestraszona pani McNab. Usłyszała trzaśnięcie drzwiami i wiedziała, co to oznacza. Pan znów dostał jednego ze swoich ataków szału i przez resztę dnia cały dom, od piwnic po dach, będzie w stanie nerwowego napięcia, ze służącymi mówiącymi szeptem i panią Watson z niepokojem przemykającą od salonu do oranżerii i z powrotem.

– Zechce pani posprzątać ze stołu, pani McNab? – poprosiła Fiona Watson. – Pan stwierdził, że jest wystarczająco najedzony.

Pani McNab zmarszczyła brwi i wpatrywała się w stół.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytała Fiona Watson.

– Zastanawiam się tylko, gdzie jest udziec – odparła pani McNab.

Effie podniosła ku niej wzrok i podjęła najwyższy w całym swoim życiu wysiłek woli, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Udziec – powiedziała – jest pod zasłoną.

Pani McNab, z twarzą ściśniętą nie dającym się opisać wyrazem, jakby miała w ustach najstraszniejszą gorycz, podeszła do okna i uniosła zasłony, po czym na widok leżącego tam udźca wydała z siebie zduszony chichot. Zdołała jednak dość szybko opanować się na tyle, by podnieść tę zacinę część barana, z szacunkiem odłożyć na tacę i wynieść z pokoju. Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi, Effie usłyszała wybuch jej historycznego śmiechu.

Fiona Watson sama także nie zdołała się powstrzymać od lekkiego, blado uśmiechu, ale powiedziała do Effie:

– Zechcesz mi wybaczyć, kochanie, ale chyba nie będę kontynuować tego obiadu. Może pójdziesz ze mną na przechadzkę?

– Na przechadzkę? – ze zdumieniem zapytała Effie.

Wiedziała, że matka lubi spacerować, nawet zimą, i że często przechadzała się z Jeanie, pokojówką, do Inverleith Park albo w stronę Collon Hill i przechadzała się godzinę lub nieco dłużej, a potem wracała do domu rodzinnym powozem. Ale Fiona Watson nigdy nie zabierała nikogo z rodziny na te przechadzki, które nazywała swoim „wytchnieniem”. Były one jej własnymi, prywatnymi chwilami refleksji i powrotu do sił, i nawet Thomas chcąc nie chcąc odnosił się z szacunkiem do jej potrzeby samotnej medytacji.

– Każda kobieta, podobnie jak każdy mężczyzna, powinna co tydzień spędzać trochę czasu na rozmyśleniach nad własnymi grzechami i swoją słabością – powiedział kiedyś, energicznie wymachując gazetą, zanim zabrał się do lektury wstępniaka. – Kobieta, która sądzi, że nie ma żadnych wad, wywiera najbardziej zgubny wpływ na życie mężczyzny. – W istocie Thomas Watson apróbował przechadzki żony bardziej dlatego, że na pewien czas wyciągały ją z domu; ją i ten jej nerwowy, irytujący sposób bycia, a także z tego powodu, że zawsze wydawała się wracać z nich do domu w nastroju, który zwykle był pogodny, a czasami niemal błogi. Lubił mniemać, że spacerując, kontemplowała swój szczęśliwy los, który obdarzył ją małżeństwem z mężczyzną, któremu tak dobrze się powodzi, i że każda przechadzka była dodatkowym olśnieniem, niczym objawienie Szawła na drodze do Damaszku, z jego własnym majątkiem i pozycją w roli oślepiającego światła. – Nawet Nugent-Dunbar nie może walić głową w mur – miał do siebie.

– Za kwadrans będę gotowa, kochanie – rzekła Fiona do córki. – Nie zapomnij ubrać się ciepło. A teraz wybaczcie... – wyszła, zostawiając Effie i Dougala przy stole.

Effie spojrzała na talerze z zakrzepłym baranym tłuszczem i rozgotowaną

brukselką, a potem na Dougala.

– Nigdy nie myślisz o mamie, prawda? – zapytała.

– Myślę – odparł – ale nie mogę siedzieć cicho, gdy Robert krytykuje wszystko, co próbuję osiągnąć.

– A nie pomyślałeś, że on może mieć rację?

– Oczywiście, że pomyślałem. Nie jestem głupi. On najczęściej ma rację. Jest zdolniejszy ode mnie, jeśli chodzi o bankowość. Wiesz, co robi? Wprowadza program pożyczek krótkoterminowych, który przewróci do góry nogami szkodliwą bankowość. Poproś, żeby ci go kiedyś wyjaśnił. To wspaniałe, ale...

– Ale?

– Ale brak mu pewności siebie – tłumaczył Dougal. – Ma taki sam charakter jak ojciec. Agresywny i porywczy, wrzeszczy i wybucha, ale tylko dlatego, że w istocie nie jest pewien, iż zasługuje na to, co ma. Częścią sposobu, w jaki podnosi własną pewność siebie, jest niszczenie mnie. To bankowiec obracający cudzymi pieniędzmi. Jest w tym bardzo dobry; nawet nie wie, jak dobry. Jednak nie dostrzega też, że ja jestem równie dobry jak on, choć inaczej. Lubię wychodzić i spotykać się z ludźmi, którzy sami je zarabiają. W banku jest miejsce dla nas obu, ale on tego nie widzi, a raczej nie chce tego zrozumieć. Uważa, że jestem lekkoduchem.

– Tak czy inaczej obaj jesteście samolubni, nie sądzisz? – powiedziała Effie. – Nie pomyślałeś dzisiaj o mamie. Później ojciec będzie się wściekać na nią.

– Cóż, przykro mi – odparł Dougal – ale chyba nie miałem wyboru.

– Czy ty naprawdę myślisz, że kiedykolwiek zmienisz Roberta? Albo ojca? – pytała Effie.

Dougal wstał z krzesła i obchodząc stół, podszedł do okna. Kilka centymetrów wyższy i szerszy w ramionach od Roberta, miał jednak mocniejszą i szczuplejszą sylwetkę. W sobotnie przedpołudnia ćwiczył w stajniach na tyłach domu podnoszenie ciężarów ze sztangami, które zrobił dla niego McLeod, miejscowy kowal, latem pływał, jeździł konno i uprawiał wspinaczkę na Castle Hill lub na graniach Salisbury. Jedną z jego ulubionych prób wytrzymałości było pokonywanie dwustu osiemdziesięciu siedmiu stopni wieży-pomnika Sir Waltera Scotta u wylotu Princes Street. Był bardzo wysportowany, czego dowodziło napięcie w całej jego sylwetce. Dla niego bankowość była przedsięwzięciem społecznym, kwestią zdobywania ludzkiego zaufania. Pomagała mu w tym powierzchowność. Miał niesforne kręcone włosy o barwie miedzi i szeroką twarz z głębokim dołeczkiem w brodzie, a oczy równie jasne jak ojciec, lecz bez ojcowskiego chłodu. Chętnie pił, tańczył i bardzo lubił dziewczęta, ale był refleksyjny i wrażliwy, i cokolwiek myślał o nim Robert, Dougal był daleki od lekkomyślności.

Problem tkwił w tym, że liczne przedsięwzięcia, dla których Dougal

pragnął wsparcia Watson's Bank, były zarówno postępowe, jak i ekscentryczne. Robert chichotał, gdy tylko jakiś konkurencyjny bank w nie inwestował. Najpierw chodziło o pewną stal o rewolucyjnym znaczeniu, którą można było bardzo szybko wytapiać, a potem o jakieś urządzenie telefoniczne, rzekomo działające bez drutu. Ostatnią pożyczką Dougala, którą Robert, ku powszechnemu rozbawieniu swoich przyjaciół, kilkakrotnie opisywał w posępnym salonie Caledonian Society była „tarcza wojny burskiej”, ciężki przedmiot z giętej stali, który miał chronić właściciela przed kulami wyborowych strzelców na trawiastych terenach południowej Afryki i który, gdyby zawiódł jako tarcza, można by natychmiast rozłożyć i wykorzystać jako nosze, do wyniesienia go z pola bitwy. Robert wieńczył swą opowieść stwierdzeniem, że jego brat „gotów jest wszystkich doprowadzić do ruiny”.

– Znowu pada śnieg – rzekł Dougal do Effie. – Czeka was prawdziwie zimowa przechadzka.

– Tak sądzę – odparła Effie – ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytał Dougal nieco poirytowany. – Wiem, że niczego nie zmienię. Ojciec i Robert są zbyt przywiązani do swoich metod, ale muszę próbować, Effie. W przeciwnym razie będę tylko popychadłem.

– Czyż ojciec nie powiedział ci kiedyś, że mógłbyś pracować w biurze londyńskim, gdybyś chciał?

– Napomknął o tym.

Effie spojrzała na niego odważnie.

– To dlaczego tam nie jedziesz?! Będziesz z dala od Roberta i od ojca, a mama prawdopodobnie zazna trochę spokoju.

Dougal zmarszczył brwi.

– Proszisz, abym się usunął, poddał się i pozwolił Robertowi działać po swojemu?!

– Nie pokonasz go na jego własnym gruncie – stwierdziła Effie.

Dougal wsunął ręce do kieszeni i wpatrywał się w śnieg.

– Gdybym tylko urodził się pierwszy...

– Myślisz, że to miałoby jakieś znaczenie? – spytała. Wstała i podeszła do Dougala, czarną niedzielną suknią omiatając dywan, po czym w geście zrozumienia położyła mu na ramieniu delikatną dłoń. – Dlaczego nie pojedziesz do ojca, by zasugerować mu, że pojedziesz do Londynu? Powiedz mu, że ci przykro. Zasługuje na to, choć jest dla ciebie surowy. Przestałeś nad sobą panować przy obiedzie, prawda?

– No cóż, chyba tak, ale Effie... ja nie chcę wyjeżdżać do Londynu. Serce Watson's Bank bije tutaj, w Edynburgu. Jeśli wyjadę do Londynu, zostanę tam do końca swoich dni, bez żadnego wsparcia i awansu. Wiem, co chcę zrobić z tym bankiem. Czuję to. Pragnę wyrobić mu reputację, wspiera-

jąc tych dziwaków z niesamowicie optymistycznymi pomysłami; no wiesz, tych wynalazców z bardzo dochodowymi pomysłami. Jednak nie jestem w stanie zrobić czegokolwiek, gdyż Robert sprzeciwia się wszystkiemu, co proponuję. Jak mam z nim walczyć, jeśli mnie tu nie będzie?

Effie patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Jej blada twarz obramowana była schludnym białym koronkowym kołnierzykiem i łagodnym światłem przenikającym do salonu z zaśnieżonego skweru za oknem.

– Robert także jest moim bratem, wiesz przecież – upomniała go. – Kocham go na swój sposób, tak jak on mnie. I właśnie dlatego potrafię dostrzec, że tak długo nie dojdziecie do zgody, dopóki obaj będziecie pracować w tym samym banku, w tym samym mieście. Musisz wyjechać, Dougal, dla własnego dobra i dla dobra Roberta, ale przede wszystkim dla dobra matki. Jestem przekonana, że ojciec przeraża ją bardziej, niż ktokolwiek z nas zdaje sobie z tego sprawę.

– Przeraża? – z niedowierzaniem zapytał Dougal. Było oczywiste, że tak naprawdę nie rozumiał, o co jej chodzi i że jemu, tak wrażliwemu, nigdy nie przyszło do głowy, że matka mogła być czymś przerażona. Czyż to nie matka swoim ciepłym oddechem i kojącymi dłońmi rozwiewała jego dziecięce lęki przed czarownicami, które rzekomo latały na miotłach i kapały własne czarcie dzieci w krwi grzecznych edynburskich chłopców takich jak Dougal? Czyż to nie jego matka zawsze była spokojna i pełna miłości, jaką wszystkie matki darzą młodszych synów? A jednak musiał mieć jakieś podejrzenia, ponieważ rzekł do Effie: – Tak... Cóż, przypuszczam, że ojciec przeraża nas wszystkich. Nawet Roberta.

– Zwłaszcza Roberta.

– Możliwe – Dougal uściśnął siostrę serdecznie. – Wiem, że wszystko dobrze rozumiesz, Effie. Zawsze byłaś odważną dziewczyną, nawet jako siostra. Jednak nawet mężczyźnie trudno to zrobić: żyć po swojemu, z dala od rodziny.

– Nie możesz zostać, Dougal. Wiesz przecież.

Dougal nie wypuszczał jej z ramion, ale odwrócił wzrok i właśnie wtedy Effie pierwszy raz zobaczyła w jego twarzy, ile wysiłku kosztowała go rola owego lekkoducha, którym zawsze był. Pozycja młodszego brata była wystarczająco trudna, a pozycja młodszego brata Roberta i młodszego syna Thomasa Watsona przypominała rolę opiekuna psów albo czyściciela końskich kubłów w jakimś nędznym wędrownym cyrku.

– No cóż, prawdopodobnie wyjadę – rzekł cicho, jakby mówił do siebie.

– Czy byłoby ci łatwiej, gdybym wyjechała z tobą? – zapytała Effie.

– Jak mogłabyś to zrobić? Ojciec nigdy nie pozwoli ci wyjechać.

– Mogłabym powiedzieć, że chcę spędzić tydzień z cicią Maisie w Putney.

– Nie zgodziłby się.

– Mama by go przekonała, jestem pewna. Wiem, że by to zrobiła. Powiedziała by mu, że ty dopilnujesz, abym bezpiecznie dojechała, a wuj Henry również bezpiecznie umieści mnie w pociągu powrotnym.

– Ale zatrzymałabyś się u nich, prawda?

Effie przecząco pokręciła głową.

– Zatem gdzie??? Nie uciekłabyś przecież z domu na dobre.

– Czyżby? – pytaniem odpowiedziała Effie. Policzki jej się zaróżowiły i mimo że postanowiła zachować spokój, poczuła, że włosy jej się zjeżyły z ekscytacji, jakby ktoś ciasno je związał.

– Jeśli wiesz, co mówisz, to chyba możesz mnie uczyć śmiałości – powiedział Dougal.

– Jestem równie przerażona jak ty. Ale pomyśl! Gdybym tylko mogła! Nie widziałam Londynu, odkąd byłam małym dzieckiem. Odwiedzilibyśmy króla Edwarda!

Dougal roześmiał się z zakłopotaniem.

– Mam nadzieję, że nie zrobisz tego zbyt pochopnie.

– Pochopnie? – wyrzuciła z siebie szeptem. – Myślę o tym od czasu, gdy dorosłam na tyle, by myśleć. Edynburg jest i zawsze będzie moim domem. W nim na zawsze pozostanie moje serce, ale ja tak bardzo chcę podróżować. Pragnę tego. Chcę zobaczyć świat, a przede wszystkim chcę spotykać sławnych ludzi. Książąt i księżniczki, aktorów, generałów, milionerów, królów...

– Królów?! – zdumiał się Dougal, ale w jakiś niepojęty sposób naiwny blask wyobraźni siostry zbliżył go do niej, bo mocniej ją uściśnął. Na kłapach jego niedzielnego ubrania poczuła zapach tytoniu. Ojciec nie pozwalał palić w domu, więc dlatego Dougal uciekał się do sześciopensowego tytoniu do zucia, dyskretnie wypływając ślinę do donic geranium. – Ufamy sobie, prawda? Kocham cię, Effie, jako najwspanialszą siostrę i przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem.

– A ja ciebie – zapewniła go – ale dalej nie może być tak, jak się rzeczy mają w tym domu. Ilekroć ty i Robert się kłócicie, matka musi brać na siebie winę. Pewnego dnia to ją zniszczy. Nie jest silna.

Dougal milcząco skinął głową.

– Porozmawiam z ojcem później, gdy się uspokoi.

– Prawdopodobnie będzie zadowolony, że wyjeżdżasz.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał ironicznie. – Nie jestem pewien. Na kogo będzie narzekał, gdy nie będzie tu nikogo oprócz Roberta i matki? Mógł przecież wcześniej powiedzieć, że chcę spakować manatki i go opuścić. Wiesz przecież, że jest najbardziej przewrotnym z ludzi.

Effie pocałowała go w policzek.

– Dla dobra mamy, Dougal, proszę...

Dougal rozejrzał się po salonie, jakby oczekiwał, że odpowiedź na jego problemy przysiądzie niczym kanarek na listwie do zawieszania obrazów.

– Tak, zrobię to – powiedział. – Nadszedł już czas, by wziąć los w swoje ręce i dorobić się własnego majątku.

Effie została w salonie jeszcze długo po jego wyjściu. Za koronkowymi firankami śnieg zaczynał wirować coraz gęściej, a w salonie zapanowała tak dziwna cisza, jakby był miejscem, w którym ułożono zmarłego przyjaciela. Jeśli zachowam konieczną ciszę, czy usłyszę ostatnie tchnienie?

Z uczuciem pewnego oszołomienia Effie uświadomiła sobie, że może kontrolować bieg własnego życia; że jej marzenia, jeśli zechce, naprawdę mogą się spełnić. Trzeba tylko sprawić, aby w przyszłości wydarzyło się to, co zostanie postanowione, że się wydarzy. Aby zaś rozpocząć wielką przygodę, wystarczy spakować sakwojaż i przekonać ojca, żeby kupił jej bilet do Londynu.

Obejrzała się w ponurym lustrze nad kredensem: bladolica dziewczyna w poważnej, czarnej niedzielnej sukni z ciasną górą z czarnej koronki i białym koronkowym kołnierzykiem. W ciszy tego odciętego od świata pokoju mogła być tylko portretem samej siebie: zaginionej księżniczki lub przyszłej królowej.

## 9

– Dziękuję, Russel – zawołała matka Effie i stangret powściągnął konie, po czym podjechał powozem do krawężnika i zeskoczył ze swojej ławeczki. Śnieg przysypał jego ramiona osłonięte zieloną nieprzemakalną peleryną, układając się na kształt epoletów, i migotał na zielonej czapce, gdy otworzył przed nimi drzwiczki i opuścił schodek.

– To trochę potrwa, pani Watson? – zapytał. Był mężczyzną o zgorzkniałej twarzy z krzaczastymi brwiami i krótką, ciemną brodą, woził rodzinę Watsonów i doglądał ich koni od ponad ośmiu lat. Był też porządnym człowiekiem z Falkirk, gdzie ludzie zachowują milczenie, chyba że są pytani wprost, ale nawet wtedy udzielają jedynie najniezbędniejszych odpowiedzi.

Było przeraźliwie zimno i Effie żałowała, że musiała zostawić w powozie ciepły pled i wysiąść na owiewaną śnieżycą brukowaną ulicę Lawnmarket, stromo podchodzącą do bram edynburskiego zamku. Matka jednak, nie czekając na nią, zaczęła dziarsko iść w górę. Jej długa, obszyta czarnym futrem peleryna owijała się wokół niej, a dłonie wsunięte były w lisią mufkę. Effie musiała unieść spódnice, by pospieszyć za matką, a jej cienkie czarne sznurowane trzewiki ślizgały się na lodzie.

– Mamo, zaczekaj! – krzyknęła, nie mogąc złapać tchu, ale matka nie

przestawała iść tak szybko i tak pewnie jak przedtem.

Effie spojrzała za siebie, by zobaczyć, co Russel myśli o takim wyjątkowym pośpiechu, ale on stał niewzruszony obok czworokonnego zaprzęgu, ręką trzymając uzdę pierwszej klaczy. Uświadomiła sobie, że matka spieszy się w jakimś celu i że Russel, a prawdopodobnie Jeanie także, wiedzą, co jest tym celem. Matka z pewnością dobrze zapłaciła im obojgu za nieprzerwane milczenie w domu, ale przecież nigdy nie oszczędziła ani uczuć, ani pieniędzy, więc to musiało się liczyć bardziej niż pieniądze. – Mamo, dokąd idziemy? Czy musimy się tak bardzo spieszyć?

Matka się odwróciła i zaczerwieniona spojrzała na Effie, jakby nie poznawała, kim ona jest. Potem jednak uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Przepraszam, Effie, ale nie miałam innego sposobu, żeby cię ostrzec, jak tylko pokazać.

– Ostrzec mnie? Przed czym?

Wchodzący już do bram samego zamku, wspinając się po szerokiej esplanadzie. Z wieży kaplicy św. Małgorzaty na szczycie zamku smętnie powiewały flagi opuszczone do połowy masztu, a dwaj wartownicy, którzy pełnili służbę u wewnętrznych drzwi, odziani byli w szare płaszcze z czarnymi opaskami na znak żałoby po zmarłej królowej. Za nimi ku pośpennemu niebu niedzielnego popołudnia wznosiły się jeden po drugim szczyty w surowych, kolejno narastających blokach, jakby ich horyzont zaprojektowano jako scenę dla Wagnerowskiej „Walkirii” lub jakiejś wstrząsającej skandynawskiej tragedii o wojnie między bogami a ludźmi. Nie było tu nic eleganckiego czy dekoracyjnego, ani odrobiny przepychu czy średniowiecznej fantazji. Jedynie twarda grań na grani.

Fiona Watson wzięła córkę za rękę i prowadziła ją w górę po brukowanej drodze. Na terenie zamku świeży śnieg już zaczął topnieć i powolne kapanie wody towarzyszyło ich krokom, które odbijały się echem, gdy wchodziły na pierwszy szaniec spoglądający na miasto.

– Znowu pada – powiedziała Effie. – Nie powinniśmy zostać tutaj długo.

Matka nie odpowiedziała, lecz podeszła do kamiennego, zwieńczonego bramkami muru.

– Popatrz. Miasto – powiedziała, przyciskając mufkę do brody. – Jakież ono jest ponure. Jakie szare.

Pod nimi ogrody Princes Street przykryte były śniegiem, a wijące się dróżki, które prowadziły do podnóża zamku, wyglądały tak, jakby wyznaczył je trop jakichś nieznanymi zwierząt. Chłopcy ślizgali się i zjeżdżali na sankach z ogrodowych skarp, ale ich okrzyki i śmiech tłumił świeży śnieg, który znowu zaczął padać coraz gęściej, wirując z cichym szelestem niczym zimowa szarańcza.

– Spędziłam w nim trzydzieści lat życia. Rozejrzyj się. Edynburg. Szary



i nadęty. Zimny jak lodowisko.

Na zachodzie, na Lothian Road i Shandwick Place, padający śnieg pokrywał dachy. Na północy, z georgiańskich skwerów New Town, z Queen Street, George Street i Maoray Place, gdzie mówiono z tą nosową edynburską precyzyjnością i zawsze pilnowano, aby były maślane ciasteczka do herbaty, unosił się dym z tysiąca kominków; z wielkich kominków w okazałych salonach, z pilnie doglądanych palenisk w pokojach dziecinnych i z tych skromnych, na jakie mogły sobie pozwolić guwernantki i pokojówki, mające trzy szufle węgla na tydzień. Na wschodzie, choć lewie widoczne przez dym, rysowało się wzgórze Calton Hill z wieńczącą je, na pół ukończoną makietą Partenonu, który Charles Cockerell zaprojektował dla uczczenia pamięci szkockich żołnierzy poległych w wojnach napoleońskich. W pogodniejsze dni można było spoglądać z Calton Hill na północ, ku błękitnym wodom Forth, lub na zachód, w stronę zamku, na którego rdzawo-szarym szańcu stały teraz Effie i jej matka, zmarznięte i na poły zdane na własny los.

– Mamo, powinniśmy iść – ponaglała Effie. Matka przeraziła ją swoim milczeniem i tajemniczością.

– Jeszcze nie – odparła Fiona. – Cierpliwości, moja droga. Przyszliśmy trochę za wcześnie.

Minęły dwie lub trzy minuty, a Effie stała obok matki na zmarzniętych nogach, mrugając powiekami w padającym śniegu i zastanawiając się, czy wszystko, co powiedziała Dougalowi, nie było złe. Może ojciec miał rację i matka rzeczywiście była słaba na umyśle. Może wszystko, co sądziła o matce, było niesłuszne; może przez wszystkie lata dorastania nie zajmowała się niczym innym jak tylko ochroną kobiety słabej i nieobliczalnej, która w istocie jest brzmieniem, jakie ojciec dźwiga zgoła heroicznie. Flaga na kaplicy powiewała na wietrze, głosy dzieci niosły się echem przez pochyłości zamkowych ogrodów, gdy nagle, całkiem nieoczekiwanie, znalazł się obok nich. Schludnie wyglądający, czterdziestoletni przystojny mężczyzna o szczupłej twarzy, w brązowym tweedowym płaszczu z jasnym szalem z szetlandzkiej wełny; z krótko przystrzyżonym wąsem, brązowymi oczami, które były trochę szersze i nieco bardziej delikatne niż powinny być oczy mężczyzny.

– Fiona? – zapytał i wyciągnął ku niej rękę.

Matka Effie zamknęła oczy i ruszyła ku temu mężczyźnie, nawet nie odwracając głowy w jego stronę.

– Jamie – powiedziała, niemal nie poruszając ustami.

Ku zdumieniu Effie ten obcy mężczyzna o imieniu Jamie podszedł do jej matki i pocałował ją w policzek. Potem spojrzał na Effie.

– Kto to jest? Czy to jest Effie?

Fiona Watson odwróciła się z uśmiechem.

- Tak, to jest Effie. Moja słodka, mała Effie – potwierdziła.
- Effie, przywitaj się z panem. To pan Jamie McFarlane. Mój przyjaciel i serdeczny towarzysz.

Effie zdrętwiała. Kim był ten młody mężczyzna, z którym matka najwyraźniej poczuła się tak całkowicie i serdecznie spokojna? Spojrzała na matkę, oczekując jakiegoś wyjaśnienia; choćby skinienia głowy albo uśmiechu, jednak jej uśmiech był przeznaczony dla niego, dla Jamiego i gdy on wyciągnął rękę ku Effie, matka zaborczo objęła go ramionami i oparła policzek o brązowy tweed jego ramienia.

- Effie, miło cię poznać – rzekł Jamie, ujmując jej dłoń. – Mama tak wiele opowiadała mi o tobie. Najpiękniejsza córka, jaką ktoś kiedykolwiek miał, mówiła. Wyjątkowa jak śnieg w środku lata.

Effie stwierdziła, że nie jest w stanie powiedzieć czegokolwiek. Znów spojrzała na matkę w poszukiwaniu jakiegoś sygnału, który mógłby jej podpowiedzieć, kim jest ów Jamie McFarlane, ale ponownie było jasne, że matka niemal o niej zapomniała z radości, że go spotkała.

- Jak się miewasz? – zapytała matka. – Wydajesz się zmęczony.
- Czuwałem tej nocy przy starym Goddenie – odparł Jamie, nie spuszczając oczu z Effie. – Niewiele czasu mu zostało, biedakowi. Myślę jednak, że jest dość zadowolony, iż będzie mieć godną śmierć i nie zostanie znaleziony pewnego ranka w jakimś zaułku ze sterczącymi w powietrze nogami – podniósł ręce, naśladując martwego psa i roześmiał się.

Effie uśmiechnęła się, ale jednocześnie wzruszyła ramionami, ponieważ nie mogła pojąć, o czym on mówił ani kim jest.

- Jamie pracuje z chorymi i ubogimi w organizacji charytatywnej – wyjaśniła matka Effie. – Jest kimś w rodzaju prawnika i pracownika socjalnego, ale przede wszystkim jest aniołem. Nie tylko dla mnie, ale również dla tych wszystkich nieszczęśliwych dusz, które nie mają niczego, co podtrzymałoby je na duchu i do czego mogłyby tęsknić. Jest człowiekiem, który daje siebie.

Jamie stał w śniegu, trzymając rękę matki i przyglądał się Effie z poważną, lecz otwartą twarzą. No dalej, mówił bezgłośnie, rzuć mi wyzwanie. Protestuj przeciwko mojej bliskości z twoją matką. Powiedz, że jestem zły i że w ogóle nie powinienem tutaj być. Daj mi szansę, abym się wytłumaczył. Pozwól mi powiedzieć, że ją kocham; że kocham twoją matkę i że ona kocha mnie.

- Byłoby najlepiej, gdybym poszła do domu – powiedziała Effie.
- Nie – rzekł Jamie ostro, a potem powiedział łagodniej: – Nie. Chciałbym, żebyś została. Twoja matka powiedziała, że pewnego dnia cię przyprowadzi, abyś mnie poznała, i jestem zaszczyczony, że to zrobiła. Jesteś do niej taka podobna, wiedziałaś o tym? Masz taką samą postawę.
- Proszę, zostań, kochanie – matka dotknęła jej rękawa.

– Mamo... będę dla ciebie tylko utrapieniem – twierdziła Effie.

Teraz jednak Jamie wziął Effie pod rękę, czyniąc to zdecydowanie i przyjaźnie.

– Nie możesz pójść, dopóki nie zjesz z nami podwieczorku – powiedział. – Kupiłem dietetyczny chleb, biszkopty i dwa gatunki herbaty.

– Effie... – poprosiła matka.

Effie spojrzała uważnie na matkę, a potem na Jamiego. Śnieg rozwiewał się między nimi, przyklejając się do ich włosów i do futra muffki. Pomyślała, że nigdy wcześniej jej matka nie wyglądała tak romantycznie ani tak pięknie. Ona i Jamie McFarlane stali razem, jakby byli parą stworzoną dla siebie choćby dzięki aparycji, jeśli nawet nie za sprawą przeznaczenia.

Jamie nie czekał na odpowiedź Effie. Podając ramię i matce, i córce, wyprowadził je brukowaną drogą przez zamkowe bramy z powrotem na esplanadę, a z niej znów na Lawnmarket.

– Muszę odbyć jeszcze jedną wizytę, zanim pójdziemy na herbatę – powiedział. – Pani McFee urodziła w zeszłym tygodniu dziewiąte dziecko, a ja obiecałem, że przyniosę jej w niedzielę trochę cukru. Właśnie dlatego mam tak wypchaną kieszeń.

Gdy szli razem po śliskim bruku, Effie spostrzegła, że ich rodzinnego powozu już nie ma. Przypuszczalnie Russel odjechał w jakieś dyskretne miejsce, gdzie powóz nie byłby zauważony przez kogokolwiek, kto mógłby go rozpoznać. Poczula na nadgarstku zaciskającą się dłoń Jamiego i osobliwe zdumienie, że trzyma ją ten obcy mężczyzna, sekretny przyjaciel matki, zaparło jej dech i wprawiło w tajemniczą ekscytację. Skoro matka mogła znaleźć sobie sekretnego przyjaciela, wszystko było możliwe!

Z szerokiej High Street skręcili w labirynt rozpadających się czynszowych kamienic u podnóża zamku i wzdłuż Royal Mile. Te czynszówki, zwane Lands, zbudowano w czasach, gdy Edynburg otoczony był przez Flodden Wall, ochronny szaniec, który Szkoci postawili w popłochu po porażce w walce z Anglikami w roku 1513. Aż do osiemnastego stulecia prawie nikt nie ryzykował budowania czegokolwiek poza obrębem owego szanca, więc przez dwieście pięćdziesiąt lat budynki Edynburga pięły się w górę – na wysokość sześciu, siedmiu, a nawet dwunastu pięter – czyniąc go jednym z najwyższych i najdziwniejszych miast Europy.

Na tych dziedzińcach, uliczkach i zaułkach, którymi teraz prowadził je Jamie, niegdyś bogaci ocierali się o biedaków, uczciwi o zdeprawowanych, a damy o ładacznice. Teraz zamożni przenieśli się do New Town; do przestronnych domów przy Queen Street i Herriot Row, zostawiając za sobą nędzarzy, prostaków i brutali.

– Poznałem twoją mamę na zebraniu Edynburskiego Stowarzyszenia Dobroczyńności – rzekł Jamie. – Była przewodniczącą, jak wiesz, a ja sekretarzem, ze względu na znajomość prawa. Chyba nie zamierzaliśmy

zostać tak bliskimi przyjaciółmi, ale gdy pójdzie się do kilku takich czynszówek i zobaczy te warunki, serce tchnie współczuciem i wtedy okazuje się, jaką jesteś osobą. Ja zobaczyłem w twojej mamie damę zarówno życzliwą, jak i niezwykłą.

– Mama chyba wspomniała kiedyś o panu – powiedziała Effie.

– Cóż, mam nadzieję, że to uczyniła, ale mnie, czym musisz wiedzieć, nie wolno było nikomu wspomnieć jej imienia.

Doszli wreszcie do High School Yards Wynd, ciasnego i krętego przesmyku między dwoma szeregami czynszowych kamienic. Kamień i zaprawa, z których je zbudowano, zdawały się rozpadać i były pociemniałe od siarkowo-węglowego dymu, któremu Edynburg zawdzięczał swój przydomek Auld Reekie. W padającym śniegu, ze sznurków rozciągniętych nad ulicą, zwieszało się pranie: wytarte swetry, znoszone spodnie i bawełniane suknie, które dawno straciły swój kolor.

Jakiś człowiek w zrudziałym płaszczu i meloniku uniósł glinianą fajkę z drzwi naprzeciwko.

– Dzień dobry, panie McFarlane! – zawołał. – Paskudna pogoda, psa by dziś nie wygnał za próg!

– Witaj, John – odpowiedział Jamie. – Faktycznie, dość zimno. Wpadłem tylko, żeby przynieść Doris McFee funt cukru.

– Widzę, że masz dwie nadobne ślicznotki.

– Znikaj – uśmiechną! się Jamie.

W końcu przez kamienne wejście poprowadził je ku krzywym schodom, którymi dotarli na ciemny, brudny podest zaśmiecony i cuchnący uryną. Effie zaczęła kaszleć z powodu stęchlizny, ale matka chwyciła ją za rękę.

– Gdy się pracuje w celach dobroczynnych, kochanie, doświadcza się rzeczy znacznie gorszych niż to – powiedziała.

Jamie przeszedł nad jakimś na pół rozłożonym łóżkiem, zanim dotarł do rozpadających się drzwi. Zielona farba schodziła z wilgotnego drewna strzępiastymi płatami, a framuga spróchniała już dawno.

– Doris! To ja! Jamie McFarlane! – zawołał, stukając dwu krotnie.

Minęło niemal pięć minut, zanim drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. W mglistym świetle popołudnia, w szarym wełnianym szalu owiniętym wokół ramion stała przejmująco chuda około trzydziestoletnia dziewczyna. Prawdopodobnie nie można by jej nazwać kobietą: nigdy nie miała duchowej ani fizycznej stawy, aby wyrosnąć z owej siedemnastolatki, którą była, kiedy wydała na świat swoje pierwsze dziecko. Teraz miała dziewięcioro, w ciągu trzynastu lat i dwóch miesięcy, a czynszowe pokoje za nią wypełniał bezład kocyków, gazet, pustych butelek, nie pozmywanych naczyń, brudnych pieluszek i ubranek, rybich ości, spleśniałych bochenków chleba i przemoczonych koszul. Swoje ostatnie dziecko nosiła na biodrze tak beztrąsko, jakby w ogóle nie dbała o to, czy je upuści na kamienną posadzkę

czy nie, a gdy spojrziała na Jamiego, Fionę i Effie, jej wzrok zdawał się nierozumiejący i rozbiegany.

– Przyniosłem ci cukier, o którym mówiłaś – powiedział Jamie. – Cały funt.

– To dobrze – dziewczyna odpowiedziała słabo. – Wejdziecie? Wybaczcie mi mieszkanie. Wygląda jak kupa gnoju. Nie sprzątałam dzisiaj.

Jamie przeszedł nad śpiącym dwu- czy trzyletnim dzieckiem, podążając za Doris McFee do komórki przy kuchni, gdzie z zardzewiałego kranu woda kapiała do zarośniętego brudem zlewu.

– Sprzątasz w poniedziałki, prawda? – zapytał, doskonale wiedząc, że nigdy nie sprzątała, gdyż wolała być bita przez męża, niż oddawać się męczącemu zajęciu zdrapywania baraniego tłuszczu z kuchennego pieca i brązowych ekskrementów za ścian pokoju, w którym spały dzieci. Zdumiewało, że w ogóle próbowała udawać szlachetność czy ludzką godność, ale to robiła i gdy Effie weszła do owej kuchni, kobieta przyglądała swe tłuste włosy i obciągnęła spódnicę. Dziecko na biodrze zaczęło wydawać okrzyki na powitanie, więc zakłótyła je i uspokoiła. – Jimmy'ego nie ma, tak? – dodał Jamie.

– Nie widziałam go dwa dni.

– Nie powiedział ci, gdzie był?

– Nie musiał – odparła Doris. – Chodzi do Gray Michael's.

– Ach, tak... – rzekł Jamie.

Gray Michael's był pijacką speluną, gdzie każdy mężczyzna, który chciał zapomnieć, że ma dziewięcioro wrzeszczących dzieci i wyczerpaną żonę, mógł pić dzień i noc, aż zapomniał o wszystkim, nawet o tym, który jest rok i jak się nazywa.

– Czy jest coś, czego bardzo potrzebujesz? – zapytała Fiona Watson, głaszcząc czoło niemowlęcia.

– Przydałoby się trochę herbaty.

– Chciałabyś herbaty? Może czegoś jeszcze? Czystych ubranek dla dzieci?

Policzek Doris McFee zadrżał niczym łapka żaby dotkniętej elektrycznym prądem.

– Kilka kocyków, które mogłabym przerobić na płaszczyki i może jakaś spódnica, jeśli nie proszę o zbyt wiele.

– Oczywiście, że nie – łagodnie powiedziała Fiona. – Będzie mi bardzo miło.

– Czy stało się coś złego, Doris? – pytał Jamie. – Wyglądasz na zdenerwowaną. Wiesz, że Jimmy cię nie skrzywdzi, kiedy wróci z „Grey Michael's”. Zechce tylko iść spać.

– Nie o to chodzi – odparła. – Ja dostaję porządne wciry i już się tym nie przejmuję. Martwię się o dzieci; tę starszą dwójkę, Gavina i Elizę. Muszą

spać w jednym łóżku i boję się, że mogło tam dojść do... no, wie pan.

Jamie wiedział, ale Effie nie rozumiała, o co chodzi. Fiona domyślała się, co to znaczy i spojrzała na Jakiego, marszcząc brwi.

– Będziesz musiała ich rozdzielić – rzekł Jamie. – To wbrew Bogu, wszak to brat i siostra.

– Pytałam ich, Bóg świadkiem – mówiła Doris McFee, kołysząc dziecko na biodrze. – Oni zawsze mówili, że nie; że skąd mi przyszło coś takiego do głowy. Ale Jimmy wykorzystał Elizę, wiem to na pewno, gdy pewnej nocy podпиты wrócił do domu, i od tego czasu nie wierzę, żeby Eliza się przejmowała, z kim i jak... to dotyczy jej własnego brata.

– Jimmy wykorzystał Elizę? – Fiona Watson była przerażona tym faktem, a jeszcze bardziej rzeczowością Doris. – Własną córkę?! Jak mógł zrobić coś takiego?!

Doris McFee wzruszyła ramionami.

– Był pijany. Nie zamierzał naprawdę jej skrzywdzić.

Effie wzięła matkę za rękę. Nigdy wcześniej nie widziała takiego jej oblicza. Nie знаła również takiego oblicza Edynburga. Poczuli się tak, jakby wszystko, co do tej pory uważała za prawdę, nagle się rozpadło, jakby te schludne fasady Charlotte Square nieoczekiwanie runęły, by odsłonić świat niedoli, cierpienia i mrocznych niewiadomych. Jej matka kochająca jakiegoś obcego mężczyznę? Zimne czynszówki, w których ojcowie wykorzystują własne córki i w których pijaństwo i bicie żon jest tak zwyczajne, że przechodzi bez komentarza? To przypominało straszny sen.

– Czy Gavin jest w domu? – zapytał Jamie.

Doris skinęła głową.

– Niech mu pan nie mówi, że to opowiedziałam.

– Doris, musimy porozmawiać z tym chłopcem.

– To nic nie da – powiedziała, ale wskazała głową drzwi sypialni.

Z mieszkania na górze dobiegł odgłos ciężkich kroków i przewracanego krzesła. Jakiś mężczyzna wrzeszczał coś do kobiety, a dzieci płakały.

– Mam cię dosyć! Słyszysz? Po prostu mam cię dosyć – krzyczał raz za razem.

Jamie spojrzał na sufit.

– Prawdopodobnie tylko tego będzie miał w nadmiarze – rzekł Jamie, a potem zwrócił się do Fiony. – Chodź, porozmawiamy z Gavinem. Czy Effie chce zostać tutaj, z Doris?

Fiona ścisnęła dłoń córki.

– Jest już dorosłą panną, Jamie. Jeśli z ufnością powierzyłam jej wiedzę o tobie i o mnie, to mogę jej zaufać we wszystkim innym.

Gavin McFee leżał na posłaniu z koców, w zimnej nieoświetlonej sypialni, trzymając ręce pod głową i paląc glinianą fajkę. Miał nie więcej niż piętnaście lat, ale był roslým wychudzonym chłopakiem, z krótko ostrzyżo-

nymi płowymi włosami i bladą twarzą podpuchniętą za sprawą owsianej diety, lachmanów i taniego piwa. Nosił długi, ciężki kilt i wełniane skarpety, przez które wyzierały brudne palce. Zaduch panujący w tym pokoju przyprawił o skurcz żołądka; mieszanina zastałego dymu, potu i seksu. Były tutaj dwa inne legowiska, a na jednym z nich spała potargana około dziesięcioletnia dziewczynka z kciukiem w ustach.

Gavin nie spojrział na nich, gdy ostrożnie weszli do jego nory, ale kurzył swoją fajkę i prychnął donośnie.

- Witaj, Gavin – rzekł Jamie, kucając obok niego.
- Witajcie – odparł szorstko chłopak.
- Znasz mnie? – zapytał Jamie McFarlane.
- Znam. McFarlane z dobroczynności i pani Watson.

Jamie sięgnął do kieszeni swego tweedowego płaszcza i wyjął skórzany mieszek na tytoń.

– Masz ochotę napełnić sobie fajkę? – zapytał, podsuwając go chłopakowi.

– Schowaj pan swój tytoń, wiem, co chcecie powiedzieć. Słyszałem jak rozmawialiście z matką.

– Słyszałeś? – powiedziała łagodnie Fiona. – Zatem wiesz, czym się martwi twoja mama.

– To nieprawda – odparł Gavin, odchrząknąwszy, aby oczyścić gardło. – Wszystko co mówi, to są bzdury, albo raczej zazdrość. Ojciec jest wtedy zawsze zbyt zalany, żeby spełnić swój męski obowiązek i dlatego stara zajmuje się czym innym.

– Gavin – rzekła Fiona – jeśli w ogóle tkniesz Elizę, to wiesz, jaka spotka cię kara. Prawo cię ukarze, to oczywiste, ale co gorsza, Sądneho Dnia spotkasz Stwórcę i będziesz musiał wyznać, że postąpiłeś wbrew Jego świętemu przykazaniu. Jeśli nie powiesz nam prawdy, spotka cię zarówno więzienie, jak i wieczne piekielne potępienie.

Gavin wyjął z ust fajkę i patrzył na Fionę, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

– Znam panią – powiedział. – Widziałem panią w Lands i na Princes Street, w tym waszym powozie, z mężem. Cudna dama z pani, bez dwóch zdań.

– Gavin, czy to prawda o tobie i Elizie? – nalegał Jamie.

– Nie wasza sprawa – uciął Gavin. – Sam się godzę z Bogiem, dziękuję. Bez waszej pomocy. I zajmuję się własną siostrą.

– A prawo? – zapytała Fiona tym samym łagodnym głosem.

– Prawo? Jedyny kłopot, jaki mógłbym mieć z prawem, pojawi się wtedy, gdy ktoś doniesie na mnie policji, a o ile pani tego nie robi, nie muszę się bać, że zrobi to ktoś z tej kamienicy.

– Ale twoja siostra... – przerwała Effie, dziwiąc się własnemu głosowi.

– Co z twoją siostrą?

Gavin McFee patrzył na Effie z pogardą.

– Eliza jest dorosła – powiedział w końcu. – Może sama wybierać, gdzie śpi i z kim.

Jamie wstał.

– Myślę, że tracimy czas, Fiono. Ten chłopak to bezmyślny wieprz, który myśli tylko o sobie.

Gavin splunął kątem ust.

– Może się pan nadymać do woli, McFarlane. Możesz pan wyfrunąć przez to cholerne okno, jeśli o mnie chodzi. Zabierajcie się i zostawcie człowieka w spokoju.

– Człowieka?! – szyderczo zapytał Jamie. – Jesteś nędzną namiastką chłopaka, nie mówiąc o człowieku.

– Spieprzaj! – warknął Gavin.

Jamie nieoczekiwanie chwycił Gavina za poły brudnej koszuli, uniósł go nad łóżkiem i wymierzył mocny policzek. Gliniana fajka, którą chłopak trzymał w zębach, pękła i żarzący się tytoń zasypał posłanie.

– Zostaw mnie – wrzasnął Gavin – Puść mnie, ty profesorku. Puszczaj!

Dziewczynka na drugim legowisku obudziła się i zaczęła płakać. Jamie potrząsał Gavinem tak, aż chłopakowi zęby dzwoniły.

– Jamie! Przestań! – krzyknęła Fiona, ciągnąc go za płaszcz. – Jamie, kochanie, tak nie wolno!

Jamie bez tchu cisnął Gavina na posłanie. Dziewczynka przestała płakać. Zapanowała dziwna, zimna, paskudna cisza.

– No proszę – powiedział Gavin swoim paskudnym, przebiegłym głosem. – Więc to jest „kochanie”, tak? To jest „Jamie, kochanie”, prawda? Ciekawe, co by na to powiedział pan Watson z Watson's Bank?

– Głupiec z ciebie – rzucił Jamie.

– Och, nie – odpowiedział Gavin, opierając się na łokciu. – Nie jestem aż takim głupcem, żeby nie wiedzieć, do czyjego ucha przemówić i co mu szepnąć. Zatem teraz ty mnie słuchaj, Jamie McFarlane, kochanie. Ty zostawisz mnie, a ja ciebie, ale jeśli ja będę mieć jakikolwiek problem z policją, ty poczujesz nóż na gardle.

Fiona wzięła Effie za rękę.

– Jamie – powiedziała ściśniętym głosem – lepiej już wyjdźmy.

Jamie spojrział na Gavina McFee i niepewnie obliznął wargi, jakby nie mógł się zdecydować, czy zdeptać chłopaka jak pluskwę, czy go zostawić. W końcu jednak pokiwał głową i przeszedł za Fioną przez brudny pokój do frontowych drzwi, gdzie już zgromadzili się sąsiedzi, aby zobaczyć, co to za zamieszanie.

Doris pociągnęła Jamiego za rękaw.

– Nie zapomnicie o herbacie?



- Nie, Doris.
- Bardzo mi przykro – powiedziała – to dobry chłopak, ale jest sam...
- Moim zdaniem potrzebuje porządnego zajęcia – rzekł Jamie. – Czy Jimmy z nim pogada, po powrocie z Grey Michael's?
- Jimmy'ego to nie obchodzi – odparła Doris. – Jego obchodzi tylko piwo.

Przedarli się przez śmieci w bramie czynszówki i znów wyszli na ulicę. Śnieg padał jeszcze gęściej i Edynburg był teraz tak biały i cichy jak każde północne miasto pod koniec zimy.

- Effie, załóż kaptur – powiedziała matka. – Chyba nie chcesz się przeziębic.
- Mamo...

Ale Fiona wzięła ją za rękę w tej śnieżnej zadymce i owym przedwczesnym zmierzchu, który zapada z nadejściem śnieżycy, i powiedziała:

- Nic nie mów, Effie. Porozmawiamy później.

## 10

Jamie mieszkał w dzielnicy Dean Village, w jednym z tych niewielkich kamiennych domów wyglądających na wody rzeki Leith. Z balkonowego okna jego saloniku rozciągał się zimowy pejzaż z łączącym jej brzegi Dean Bridge i rysującymi się za tym mostem brązowo-białymi iglicami kościoła. Tego popołudnia sam salonik był mroczny, ale kominek, którym Jamie rozpałił, zanim wyszedł, by się z nimi spotkać, uczynił to wnętrze ciepłym i przytulnym. Poza tym panował w nim miły nieład, jaki tworzyły książki, gazety i takie osobliwości jak skorupa żółwia z Wysp Galapagos czy gipsowe piersi Herkulesa.

Jamie zrobił herbatę, a potem wszyscy troje siedzieli przy kominku, jedząc dietetyczne pieczywo i kruche ciasteczka.

- Dzisiejszy dzień z pewnością był dla ciebie okropnym zaskoczeniem – rzekł Jamie do Effie.

Effie delikatnie, a jednocześnie nerwowo odstawiała filiżankę.

- To prawda.

Fiona Watson wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni dziewczyny.

- Rzykowałam, Effie, dopuszczając cię do swojej tajemnicy, ale bardzo ważne było dla mnie to, aby opowiedzieć ci, co czuję. Podziwiam twojego ojca, szanuję go i nigdy nie będę żałować, że za niego wyszłam, bo ty, Robert i Dougal jesteście rezultatem tego małżeństwa i kocham was. Myślę jednak, że powinnaś wiedzieć, iż kobieta często wychodzi za mąż z powodów, które wydają się sensowne, gdy jest dwudziestolatką, ale absurdalne, gdy ma lat czterdzieści. Ludzie się zmieniają. Twój ojciec zmienił się

całkowicie od czasu, gdy zabiegał o moje względy. Oddał się interesom i prawdopodobnie bardziej zależy mu na banku niż na mnie. Nie obwiniam go. Nie można winić ludzi za to, jakimi są. Nie jest już jednak mężczyzną dla mnie, skoro tęsknię za przyjacielem i bliskim człowiekiem. Te pragnienia zaspokajają tylko Jamie.

Effie spojrzała na Jamiego, na jego szczerą, w połowie ocienioną twarz i na ogień błyszczący w jego oczach. Mogła zrozumieć, dlaczego matka go kochała. Był łagodny i czuły, ale jednocześnie miał w sobie pewną stanowczość, której każda kobieta pragnie w mężczyźnie. Nie tę wrzeszczącą nieugiętość ojca, ale wiarę w istotne wartości i zdecydowanie, by zawsze stawać w ich obronie.

– Co chcesz zrobić? – Effie zapytała matkę.

– Zrobić? – matka spojrzała na Jamiego.

– Chodzi mi o to, czy będziesz nadal spotykać się z panem McFarlane'em, wyjeżdżając na przechadzki czy...

Fiona odruchowo zamieszała herbatę.

– Twój ojciec nie zgodzi się na rozwód, jeśli to masz na myśli.

– Zrobiłabyś to, gdybyś mogła? – w głosie Effie brzmiało drżenie. – Rozwiodłabyś się z ojcem?

Fiona Watson obróciła się ku córce i migotliwe płomyki kominka zdradziły, że jej oczy pełne były łez.

– Nie wiem, skarbie. Okropnie trudno przyznać, że całe nasze życie było błędem. W istocie to chyba jest najtrudniejsze ze wszystkiego.

Popołudnie zmieniło się w wieczór. Ogień na kominku zgasł, aż wreszcie nie zostało w nim nic prócz sterty żarzącego się popiołu. O szóstej Fiona i Effie założyły swoje peleryny i Jamie McFarlane sprowadził je wąskimi schodami na ulicę, którą doszli aż do Dean Bridge. Pod nimi z lewej strony bulgotały wody Leith. Nad nimi, pierwszy raz od dwóch tygodni, migotały gwiazdy. Na pokrytą śniegiem Queensferry Street rodzinnym powozem Watsonów przyjechał Russel. Przytrzymał konie i cierpliwie czekał, gdy Fiona i Effie zęgnęły się Jamiem pod gazową latarnią. Potem otworzył drzwiczki powozu, pomógł im wygodnie usiąść i okryć kolana grubym, wełnianym pledem.

– Dziękuję, Russel – powiedziała Fiona, gdy zamknął drzwiczki pojazdu.

– Dziękuję pani – odparł uprzejmie Russel i zajął swoje miejsce na koźle.

Nie znosił tej książki i nie miał pojęcia, dlaczego ją czytał. Wydawało mu się to jednak odpowiednio cierpiętniczym zajęciem po rodzinnej kłótni. Każde z nich bojaźliwie zapukało do drzwi jego biblioteki. Najpierw Robert i Dougal, a potem Fiona, by w nerwowym, zawołanym sposobie prosić o wybaczenie i w końcu – choć naprawdę wcale im nie wybaczy, bo któż wybaczyłby komukolwiek tak irytujące zachowanie? – spróbuje być pogodny i przyłączy się do nich na podwieczorek. Jedząc pieczone ziemniaki i pory ze śliwkami, dadzą niezły pokaz bycia zżytą i znaną rodziną.

Wiedział, że rodzina jest rozdarta niczym te ciężkie szkockie otoczaki, które rozluźniały się na pół pod wpływem żaru ognia.

Zdawał sobie sprawę, że może się opierać na Robercie, a nie na Dougalu. Był też świadomy roli, jaką w łagodzeniu rodzinnych nieporozumień grała Effie. Była dziewczyną równie inteligentną jak on i odziedziczyła jego nieomylny osąd postaci i sytuacji. Jeśli ktokolwiek miał utrzymać jego rodzinę pozornie w całości, to właśnie Effie. Jednak rozdział między nim samym a jego żoną, Fioną, był głęboki i całkowity. W pewnym momencie życia jakoś stracili ze sobą kontakt. Zapadała się w siebie, znikając w jakiejś tajemnicy, której nie mógł zgłębić, więc on poświęcił się coraz silniejszemu nałogowi zarabiania pieniędzy i pewnej wdowie, która mieszkała u zbiegu Dundas Street i Eyre Place, a nazywała się pani Wallace.

Pani Wallace była pulchna i cicha, a on często wpadał do niej na dwie lub trzy godziny i rzadko wymieniał z nią więcej niż pięć słów. Delektował się ciszą i miękkimi, białymi udami pani Wallace. Czasami nazywała go swoim „łobuziakem”, a potem częstowała go porzeczkową galaretką i bułeczkami.

Zarabianie pieniędzy zdaniem Thomasa Watsona zawsze było nagłą potrzebą. Bez względu na to, jak wysokie okazywały się aktywa banku, niezmiennie czuł konieczność ich pomnażania. Watson's Bank zgromadził więcej złota i więcej zagranicznych środków płatniczych niż którykolwiek inny bank w Szkocji.

Jego strategia bankowości, chociaż nigdy by się do tego nikomu nie przyznał, zasadniczo była oparta na strachu. Ojciec Thomasa Watsona, John Watson, był jednym z ostatnich w dzielnicy Canongate dłużników szukających schronienia w opactwie Holyrood. Ta granica schronienia-azylu wciąż tam jeszcze jest, oznaczona literami „S” na posadzce, chociaż prawo chronienia dłużników uchylono w 1880 roku. Ilekroć jednak Thomas Watson tę linię przekraczał, czuł na plecach zimny oddech historii i ubóstwa.

Pamiętał, jak pewnego wieczoru ojciec przyniósł na kolację dwie kuropaty i zanim matka zdążyła je oskubać, do drzwi ich mieszkania zapukało dwóch krzepkich chłopaków od rzeźnika z żądaniem zapłaty. Ojciec musiał je zwrócić i stanął wobec głodnej rodziny zawstydzony bezradnością. Thomas Watson przysięgał sobie, że nigdy nie będzie musiał w ten sposób chylić głowy przed własną rodziną.

Przeczytał w „Wędrowce pielgrzyma” słowa Pana Chwiejnego: „Opowiadają się za religią w łachmanach i pogardzie, ja zaś opowiadam się za Nim, gdy w blasku słońca kroczy w złocistych pantoflach wśród głosów zachwyty”.

Rozległo się pukanie. Pomyślał, że to Robert, na pewno Robert.

– Mogę wejść? – zapytał Robert.

– Jeśli chcesz.

Robert przeszedł przez bibliotekę i stanął obok dębowego stołu, na którym mieścił się astrologiczny globus.

– Koziorożec – powiedział z uśmiechem zakłopotania, dotykając odpowiedniego znaku zodiaku.

– Chciałeś czegoś? – zapytał Thomas Watson, przewracając nieprzeczytaną stronę.

Robert nerwowo rozglądał się na boki.

– Właściwie przychodzę powiedzieć, że przepraszamy.

– MY? Posługujesz się królewskim „my”?

– Miałem na myśli Dougala i siebie.

– Czy Dougal nie ma nóg, że nie może tu przyjść i przeprosić mnie osobiście?

– Ojczyce...

– Żadne „ojczyce”, Robertcie. Przyszedłeś tutaj we własnym imieniu, by złożyć przeprosiny i tak to potraktuję. Nie możesz jednak przeproszać za brata.

– Nie próbuję robić tego za niego – odparł Robert. – W istocie uważam, że nadszedł czas, abyśmy odbyli poważną rozmowę, co Dougal zamierza robić w banku.

Thomas Watson zamknął książkę, spojrział na jej tłoczoną złotem oprawę i odłożył na stojący obok stół.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić? Wydźiedziczyć go bez grosza?

– Nie o to mi chodziło, ojczyce – odparł Robert. – On ma zbyt duże wpływy w banku, mimo braku doświadczenia. Udziela kredytów rozmaitym zapaleńcom nawet bez konsultacji ze mną. Zgoda, te kredyty są niskie, i to prawda, że kilka z nich już się zwróciło z przyzwoitym procentem. Jeśli jednak ma się rozwijać w bankowości, to będzie musiał się nauczyć postępowania z większym poczuciem odpowiedzialności. W przeciwnym razie pewnego dnia złapiemy się na tym, że pożyczylimy dwa czy trzy miliony jakiemuś maniakowi, któremu zechce wydać je na coś tak prawdziwie głupiego jak budowanie maszyn latających.

Thomas Watson powolnym gestem z namysłem potarł kark w miejscu, gdzie jego włosy przypominały szczecinę, po czym spojrział na Roberta jasnymi, chłodnymi oczami i skinął głową.

– Co sugerujesz? Mam go posłać do Aberdeen?  
– Tak, do jednej z naszych mniejszych filii. Gdzieś, gdzie zdobędzie trochę podstawowego, zwyczajnego, przyziemnego doświadczenia. Dwa lub trzy lata pożyczania naszych pieniędzy flocie rybackiej powinny mu pokazać wartość finansowej roztropności.

– A także trzymać go z dala od ciebie?

Robert zacisnął wargi.

– Nie to chciałem powiedzieć, ojczu. Myślę o banku.

– Ach, tak... Cóż, przypuszczam, że myślisz o banku – Thomas Watson odsunął krzesło i przeszedł wokół stolika, by dojść do miejsca, gdzie stał jego syn. – Musisz jednak pamiętać, że ten bank jest mój. To jest Watson's Bank, założony przez Thomasa Watsona, i sposób, w jaki ów bank jest kierowany oraz to kto w nim pracuje, dopóki ja żyję, będzie zależał wyłącznie ode mnie.

– Ojczu, to dla dobra Dougala...

– Tak. Wiem. Porządny z ciebie chłopak, Robertcie. Niezawodny. Można na tobie polegać. Powinieneś jednak pamiętać, że Dougal sam musi pokierować własnym życiem.

– Ojczu...

Thomas Watson uniósł dłoń.

– Ani słowa więcej na ten temat. Odeślę go. Zastanawiam się nad tym od pewnego czasu. Potrzebuję nowego kierownika w Stirlig. Dwa lub trzy spędzone tam lata szybko poukładają mu w głowie. Tymczasem zaś od ciebie oczekuję zdwojonego wysiłku tutaj, w Edynburgu.

– Spełnię twoje oczekiwania, ojczu. Możesz być pewien.

Znów ktoś zapukał do drzwi biblioteki. Tym razem był to Dougal. Thomas Watson spojrział na niego chłodno, a potem odwrócił się plecami.

– Wiesz, dlaczego przychodzę, ojczu – powiedział Dougal najodważniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć.

– Czyżby? – szorstko odpowiedział ojciec.

– Przeszedłem przeprosić za swoje niestosowne zachowanie przy obiedzie.

– Rozumiem – rzekł ojciec. – I to wszystko?

Dougal spojrział na Roberta.

– Chcę, żebyś powiedział coś jeszcze?

– Nie wiem – odparł ojciec. – A ty jak myślisz? Nie uważasz, że nadzedł czas, byś omówił z nami swoją przyszłość? Zarówno tę w domu, jak i w banku?

– Cóż, ojczu – przyznał Dougal – w istocie mam pewną propozycję. Wspomniałeś kiedyś, że mógłbym pracować w Londynie. Pomyślałem więc, mając również na względzie te utarczki między mną a Robertem, że warto o tym pomyśleć.

– Londyn? – zdumiał się ojciec. – A co cię skłania do przekonania, że lepiej poszłoby ci w Londynie?

– Myślę, że nauczyłbym się więcej i szybciej. Zgadzam się z Robertem, że muszę się nauczyć lepszej oceny sytuacji. Londyn będzie odpowiednim miejscem. Poza tym przestanę denerwować Roberta i nie będzie już więcej kłótni przy niedzielnym obiedzie.

Thomas Watson z powrotem usiadł ciężko na swoim krześle.

– Londyn, tak? Myślałem raczej o Stirling albo o Aberdeen.

– To znaczy, że myślałeś o wygnaniu?

– Londyn jest znacznie dalej niż każde z tych miast.

– Och, wiem – odparł Dougal. – Ale mam głowę na karku. Nawet muszę mieć, jako twój syn. Szkoda byłoby ją marnować na jakąś zapomnianą przez boga i ludzi filię w górach Szkocji.

– Nadużywasz mojej cierpliwości, Dougal – rzekł ojciec. – Pewnego dnia przekroczysz ostateczną granicę.

– Ale to prawda, ojczu. Jestem dobrym bankowcem. Może innym niż Robert. Bardziej skłonny do ryzyka. Jeśli jednak wyślesz mnie do Londynu, dowiodę, jak dobrze potrafię dbać o twoje pieniądze i jak wiele potrafię zrobić, mając zgodę na działanie.

Thomas Watson zamknął oczy. Oto jego synowie. Jego zwaśnieni synowie. Czasami nie wiedział, którego z nich darzył większą niechęcią; Roberta za to, że jest tak podobny do niego i tak bardzo gotowy do wdzięczności, czy Dougala za to, że jest tak podobny do swojej matki, tak sprytny i niezależny. Całe życie pracował nieprzerwanie i porządnie, żeby rozwinąć Watson's Bank w tak szanowaną instytucję, jaką jest on dzisiaj z kolumnadą na frontonie głównej siedziby przy George Street tuż przy Register House. Myśl, że któryś z tych dwóch chłopców może przejąć bank po jego śmierci, była dla Thomasa Watsona niemal nie do zniesienia. Cóż jednak mógł zrobić, poza pozostawieniem im tej schedy?

– Zastanowię się nad tym, co powiedziałeś – rzekł Thomas Watson do Dougala. – Może napiszę do pana Mr Cockburna w Cornhill i zasięgnę jego opinii.

– Chciałbym pojechać w środę, ojczu – odparł Dougal.

– W środę? Cóż to za nonsens?

– Chcę wyjechać, ojczu – nalegał syn. – Nie zniosę kolejnej niedzieli takiej jak dzisiejsza.

Thomas Watson wcisnął kciuki w kieszonki czarnej odświętnej kamizelki i wysunął dolną wargę.

– No cóż, przepraszam, że rzuciłem w ciebie udźcem, ale zasłużyłeś na lanie za to, co powiedziałeś.

– Chcę wyjechać, ojczu.

– Wciąż tylko: wyjechać i wyjechać – protestował ojciec. – Do czego to

wszystko doprowadzi? A jeśli stwierdzisz, że Londyn ci się nie podoba?

– Spodoba mi się, ojciec, jestem pewien. Gdyby jednak przypadkiem mi się nie spodobał, cóż... odejdę z banku i nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Jak mam się wyrazić jaśniej?

Thomas Watson uniósł dłonie ku twarzy i znad czubków palców spojrział na Roberta.

– Co myślisz, synu?

– Sądzę, że Stirling jest lepszym pomysłem – odparł Robert, rzuciwszy niepewne spojrzenie na brata. – Londyn... cóż, Dougal może przysporzyć nam większych kłopotów w Londynie niż tutaj.

– Nie uważasz, że pan Cockburn mógłby sprawować nad nim kontrolę? – spytał Thomas Watson.

– Sam mogę się kontrolować – odpowiedział im Dougal.

– Nadal sądę, że Stirling jest lepszym miejscem – twierdził Robert. – Tam byłbyś dyscyplinowany budżetem i potrzebami kredytobiorców. W Stirling nie ma żadnych pomyślników pragnących budować automobile albo wynaleźć nowy sposób podkuwania koni. Oni są zwyczajnymi przedsiębiorcami ze zwyczajnymi potrzebami.

Thomas Watson zamknął oczy. Prawda była taka, że chociaż bardzo potrzebował nowych kierowników w Stirling i w Aberdeen, to jednak ogromnie mu zależało na umieszczeniu kogoś z rodziny w Londynie, by mieć oko na pana Mc Cockburna i resztę personelu oraz na niepewne zachowania londyńskiej giełdy. Szkoda, że jedynym członkiem rodziny, jakiego miał w zapasie, był Dougal, a poza tym Dougal nie był takim nicponiem, jakiego udawał. Thomas to wiedział, a Dougal prawdopodobnie również wiedział, że ojciec to wie. Zresztą Thomas uważał skrycie, że kłótnie zachowania Dougala przy niedzielnym obiedzie nie były niczym innym, jak tylko wyrazem jego rozgoryczenia.

Ponownie otworzył oczy.

– Będzie to wbrew mojemu najgłębszemu przekonaniu, ale zamierzam pozwolić ci wyjechać – rzekł do Dougala. – Skieruję cię najpierw do działu funduszy powierniczych, gdzie możesz się nauczyć długoterminowego inwestowania, obligacji, zabezpieczeń i papierów wartościowych. Ty masz pewną zdolność pozostawiania z ludźmi w dobrych stosunkach, ale w banku to nie wystarczy, bo nie ułożysz ich sobie odpowiednio, jeśli ludzie poproszą cię, abyś zajmował się ich pieniędzmi, a ty je stracisz na nietrafione inwestycje. Nie będziesz na razie zarządzać pożyczaniem czegokolwiek. Będziesz kierować, ale nie spekulować. Trzymaj się z daleka od Giełdy Papierów Wartościowych. To jaskinia hazardu. Będziesz jednak zwracał uwagę na to, co się tam dzieje i dowiadywał się wszystkiego o emisji papierów wartościowych i promowaniu akcji przedsiębiorstw. Niektóre banki się tym brzydzą. Uważają, że zajmowanie się czymkolwiek innym poza listami zastawnymi i

gromadzeniem funduszy jest ujmą dla prestiżu. Żyjemy jednak w nowoczesnym świecie i banki będą musiały podwinąć rękawy i ubrudzić sobie ręce.

– Ojczy, jeśli mógłbym coś powiedzieć... – usiłował wtrącić Robert, ale Thomas Watson przecząco pokręcił głową.

– Podjąłem decyzję, Robercie. Jeśli Dougal poradzi sobie w dziale funduszy powierniczych w Londynie, będzie to oznaczało, że poradzi sobie wszędzie. Jeśli nie, wtedy... cóż, myślę, że najlepiej zrobi, znikając mi z oczu.

– Ojczy...

– Jesteście słabi, obaj! – krzyknął Thomas Watson. – Przywiązaliście się do matczynej spódnicy! Obydwu bym stąd odesłał, gdybym tylko mógł! Dowiedzcie się jednego, moi młodzieńcy, żaden z was mi się nie podobał. Takie z was tygrysy jak para zarżniętych baranów! Najwyższy czas dać wam kopa w tyłek, żeby każdy z was walczył o siebie! – sztywnym krokiem podszedł do przeciwległej ściany biblioteki, ku książkom zamkniętym za szklą. – Spójrzcie na nie! – rozkazał synom głosem drżącym z wściekłości. – Białe kruki. Pierwsze wydania. Dziesięć półek średniowiecznych Biblii. Książki, za które J. Pierpoint Morgan zapłaciłby fortunę, byle tylko dostać je w swoje ręce! – potem podszedł do bibliotecznego stołu i zaczął wysuwać szuflady. Każda z nich przysłonięta była szklaną taflą, pod którą leżały dziesiątki rycin i manuskryptów. – Oryginalne rysunki Blake'a, oryginalne rękopisy Roberta Louisa Stephensona, Sir Waltera Scotta, Jonathana Swifta, Andrew Johnsona i Napoleona!

– Nie prosimy cię o nic z tego zbioru, sir – rzekł Dougal ostrożnie. – Nie sięgniemy po nic, czego nie zdobyliśmy.

Thomas Watson spojrzał na Dougala tak zimno, jakby syn go obraził, a potem powoli odwrócił się do kominka, w którym za kratą żeliwnego ekranu ledwie żarzył się węgiel.

– Nie rozumiesz, prawda? – rzekł. – Będziecie musieli to wziąć, wraz ze wszystkim co posiadam. Zbiór rzadkich książek o wartości trzech i pół tysiąca funtów, siedem domów, osiemset dziewięćdziesiąt akrów ziemi w Roxburgh, w Berwick i w Argyll. Udziały o wartości siedemset tysięcy funtów w żegludze, stali i wełnie. To jest moje życie; właśnie na to pracowałem. I wy będziecie musieli to przejąć, ponieważ nie ma nikogo innego – usiadł. – Nie znaliście waszego dziadka – powiedział. – Był surowym człowiekiem; surowym w sposób, jakiego oczekiwano wtedy od ojców. Dałby wam baty, o które aż się prosi za to, jacy jesteście. Na początku, gdy byłem mały, całkiem dobrze mu się wiodło. Można by powiedzieć, że był zamożny. Nie miał jednak zmysłu pomnażania pieniędzy. Nabrał zwyczaju bawienia się na kredyt, kupowania żywności na kredyt i nawet w pubie pił „na kreskę”. W im większą popadał biedę i przerażenie, tym bardziej mnie bił. Umarł bez grosza, a jedynym sposobem, w jaki utrzymywała się moja



matka, było przyjmowanie szycia. Szczęśliwym trafem odziedziczyła też dom przy House Street... – po tych słowach zapadło krępujące milczenie, a następnie Thomas Watson mówił dalej głosem tak cichym, że ledwie go słyszeli. – Przez całe życie walczyłem, by ustrzec się bankructwa. To był jedyny cel, jaki mnie prześladował; mniejsza o ryzyko czy pozbawienie życia. Cóż, udało mi się. Teraz można mnie nazwać człowiekiem o nieprzebranych środkach. Ale co mi to przyniosło? Te wszystkie lata ciężkiej pracy, coż one mi dały?! Mam na myśli siebie, siebie samego.

– Przyniosły ci szacunek – niepewnie podsunął Robert.

– Szacunek?! – odparł ojciec, nie podnosząc wzroku. – Szacunek jest czymś, co znajduje się w innych ludziach. Ja zaś mówię o sobie. Czy jestem mądrzejszy? Szczęśliwszy? Czy się zmieniłem lub stałem się lepszy? – przerwał, a potem powoli pokręcił głową. – Jestem tym samym chłopcem, który się bał ojcowskich trudów. Tym samym chłopcem, który płakał, gdy komornicy ścigali jego ojca do Canongate, a mężczyźni w tłumie gapiów zakładali się, czy zdoła dotrzeć do linii ochronnej, zanim psy chwycą poły jego surduta. Jestem taki sam – podniósł głowę i przeszywając synów tym swoim zimnym spojrzeniem, powiedział: – Cały mój majątek był błędem. Zrobiłem go ze strachu, a teraz wszystko co mogę uczynić, to przekazać go dwóm synom, którzy są mi obcy. Nie przyniósł mi nic dobrego. I wam też nie przyniesie. Nie jest niczym więcej, niż tylko pomnikiem mojej własnej zmarnowanej egzystencji.

Robert i Dougal spojrzeli na siebie, zakłopotani tym nagłym wybuchem rozpaczyny ojca. Zwykle się przechwalał i mówił banały; miał napady moralizatorskiego szału i nieznośnej, perorującej pewności siebie. Pewny siebie, pewny Szkocji i pewny Boga, bezpośrednio i śmiało odpowiadał przez tą „trójcę”. Żadnemu z jego synów nigdy nie przyszło do głowy, że mógł nie być szczęśliwy.

– Mama i Effie wybrały się na przechadzkę – powiedział zakłopotany Robert.

Thomas odwrócił się i spojrzał przez okno na padający śnieg.

– Za zimno na przechadzkę, czyż nie?

– Może potrzebowały świeżego powietrza – wtrącił Dougal.

Thomas Watson skinął jakby w rozmarzeniu.

– Powietrza... – powtórzył, jakby było to najlepsze wytłumaczenie całego jego życia.

Nigdy więcej nie rozmawiał z nimi w ten sposób, ani nawet nie wspominał o tej rozmowie. Oni jednak wiedzieli teraz, że nie będą żyć w pogoni za bezpieczeństwem. Nigdy nie zaznają bezpieczeństwa ani spokoju ducha. Zawsze będzie istnieć strach, a ich życie musi się toczyć mimo owego lęku.

Padał deszcz ze śniegiem, gdy nocny pociąg z Edynburga ze zgrzytem przedostając się przez zwrotnice, wjechał na londyński dworzec King Station. Słychać było gwizdy, krzyki i buchanie pary, ale Effie nic nie widziała przez brudne okna wagonu, ponieważ niecierpliwi pasażerowie, którzy wcześniej sięgnęli po swoje bagaże, płaszcze i parasole, utworzyli kolejkę do drzwi.

Podeksycytowany Dougal dotknął jej ręki.

– Dojechaliśmy – powiedział, a oczy mu jaśniały. – Naprawdę dojechaliśmy do Londynu.

Effie starannie zawiązała wstążki szarego podróżnego kapelusza i srebrną broszą spięła poły długiej podróżnej peleryny. Dougal miał na sobie nowy zimowy płaszcz z porządnego tweedu i nowy melonik, który nadawał mu nieoczekiwanie chłopięcy wygląd. Sprzedawca w salonie Rowana przy Princes Street zapewnił go, że to nakrycie głowy jest „w najnowszym londyńskim stylu”, lecz Effie odniosła wrażenie, że w porównaniu z melonikami noszonymi przez Anglików podróżujących tym pociągiem, miało ono zbyt szerokie rondo i za wysoką główkę.

Zastępca pana Mc Cockburna, niewysoki elegancki mężczyzna w binoklach i z ciemnymi falującymi włosami, czekał na nich przy wyjściu z peronu.

– Witam państwa, panie Watson i panno Watson. Nazywam się Nathan Cohen. Witam w Londynie. Mają państwo swoje bagaże? Tędy proszę – wskazał im drogę.

Przebijając krótkimi nogami, Nathan Cohen szybko przeprowadził ich przez tłum, a kolejowy tragarz, który podązał za nimi z walizami na bagażowym wózku, prawie deptał im po piętach. Effie była ogłuszona hałasem ryczących parowozów, zgrzytem przetaczanych wagonów oraz kakofonią setek głosów, gwizdów, krzyków i nawoływań. Wszyscy wydawali się ogarnięci szaleńczym pośpiechem. Zdumiał ją widok mężczyzny porywającego ze stoiska z gazetami egzemplarz „Evening Standard” i rzucającego należność sprzedawcy za kontuarem. Nigdy nie widziała rzućcia pieniędzmi.

Jakiś chłopak w wilgotnej pelerynie i brudnym fartuchu donośnie nawoływał do kupna gazety z wiadomością o zwycięstwie Lorda Kitchenera w Sudanie; akcent, z jakim mówili wszyscy wokół, wydawał się Effie dziwnie płaski, a słowa pourywane. Jakby słyszała salę pełną ludzi tnących papier małymi, ostrymi nożyczkami.

– Tędy! Czeka na nas pówóz! – wołał Nathan Cohen, ani razu nie

rozglądając się wokół, żeby sprawdzić, czy idą za nim.

Dougal i Effie pospieszyli za nim na plac przed dworcem, na którym chaotycznie tłoczyły się zamknięte powozy, automobile, ambulanse pocztowe, dorożki i stragany. W żółtawym świetle gazowych latarni deszcz ze śniegiem przypominał iskry wyrzucane z brudnego niebiańskiego paleniska, a wokół unosił się taki odór węglowego dymu i końskiej uryny, że Effie musiała przysłonić usta chusteczką. Była godzina jedenasta przed południem, ale równie dobrze mogła to być północ.

Błyskawicznie torując drogę, Nathan Cohen znalazł w końcu ich powóz, czarne kryte lando z nieprzemakalną budą. Effie zgrabnie wskoczyła do środka i usadowiła się w głębi, podczas gdy Nathan płacił tragarzowi, po czym ich kufry i torby hałaśliwie załadowano i przypięto z tyłu.

– A teraz – rzekł wreszcie Nathan Cohen, sam wsiadając do powozu i zdejmując mokre rękawiczki – najpierw zawieziemy państwa do domu pana Cockburna przy Eaton Square, a potem rozejrzemy się za jakimś obiadem!

– Jakże tu hałaśliwie! – powiedziała Effie.

– Hałaśliwie? Naprawdę? Cóż, chyba tak. Dla pani to metropolia! Przypuszczam, że w porównaniu z nią Edynburg jest dość spokojny. To pani pierwsza podróż na południe?

– Tak – odparła Effie, nagle czując jak bardzo jest niedoświadczona i prowincjonalna. – Mam jednak nadzieję, że zdołam szybko się przyzwyczaić.

– Wybierają się państwo do Putney, czyż nie? – zapytał Nathan Cohen.

– W Putney znajdują państwo odpowiedni spokój. To miłe miejsce po drugiej stronie rzeki. Niemal sielankowe.

Effie przetarła zaparowaną szybę wierzchem rękawiczki i zerknęła na konne omnibusy, które tarasowały Marylebone High Road. Wszystkie ozdobione były plakatami reklamującymi mleko Nestles, musztardę Colmans, płatki Mellins i kakao Frys. W istocie mogłaby sądzić, że Londyn był własnością spółki Nestles Milk i Frys Cocoa (w połączeniu z Lipton Tea), ponieważ tak wiele było ich plakatów.

– Chyba nigdy w życiu nie widziałam tylu omnibusów – przyznała.

– Nie ma ich już tak wiele, jak kilka lat temu – rzekł Nathan Cohen, krzyżując swoje krótkie, pulchne nogi. – Te są przeżytkiem epoki. Teraz wszędzie są już elektryczne tramwaje. Szybsze i nie trzeba ich karmić. Proszę oglądać te omnibusy, bo niebawem już ich nie będzie.

Po czterdziestu minutach dotarli na Eaton Square, leżący w odległości zaledwie kilkuset metrów od murów pałacu Buckingham. Tutaj, w Londynie, smutek po śmierci królowej Wiktorii, która odeszła przez tygodniem, wydawał się mieć znacznie bardziej osobistą wymowę; Effie dostrzegła na ulicach kilku dzentelmenów z czarnymi opaskami na rękawach i żałobnymi wstążkami na kapeluszach. Londyn był przecież stolicą wielkiego Imperium

Brytyjskiego, a jego władczyni przeszła do wyższej służby.

Na drzwiach zbudowanego w stylu georgiańskim przestronnego i eleganckiego domu pana Cockburna wisiał laurowy wieniec, a w holu portret zmarłej Jej Wysokości ozdobiony czarnymi wstążkami i różyczkami.

Pani Cockburn jednak, wysoka i szorstka dama w wieku około czterdziestu pięciu lat, zaczęła już przyswajać sobie typową postawę osoby żyjącej za panowania nowego władcy, króla Edwarda. Jej zaczesane do góry jaskrawokasztanowe włosy ozdobione były perłami i nosiła zwężaną w talii wizytową suknię z rudo-brązowego aksamitu, który z wystudowanym szelestem omiatał dywany. Ostry nos zadzieriała tak wysoko, jak tylko mogła, i uśmiechała się często, chociaż rzadko z rozweselenia. Państwo Cockburnowie wcześniej przez piętnaście lat byli w Indiach wraz Komisją Imperium, a później w Delhi Bank, i wieloletnie oderwanie od mody uczyniło panią Cockburn ogromnie wrażliwą na wszelkie zmieniające się niuansy stroju i zachowania.

– Jestem taka rozgorączkowana – powiedziała, wprowadzając Dougala i Effie do salonu. – W przyszłym tygodniu mieliśmy jechać do Paryża, a potem do Wenecji, a teraz nagle nie jedziemy z powodu pogrzebu. Malcolm oczywiście musi pójść, ze względu na bank. Wszakże to takie irytujące.

– Bardzo miło, że zechcieli państwo nas przyjąć – powiedział Dougal.

– To żaden problem, zapewniam państwa – odparła pani Cockburn. – Mają państwo ochotę na herbatę czy może najpierw wolą się państwo przebrać? Podróż koleją ze Szkocji musi być przeraźliwie męcząca. Ja sama nawet nie próbowałam jej odbyć. Wpadam w irytację, gdy muszę siedzieć bez ruchu przez dziesięć minut, nie mówiąc o dziesięciu godzinach!

Po tych słowach wybiegła, zostawiając Dougala i Effie w salonie z wysokimi lustrami i złożonymi meblami w stylu regencji oraz tapetą w ręcznie malowane bambusy i ptaki. Pozłacany zegar wybił połowę godziny.

– Sądziś, że podjąłeś właściwą decyzję? – zapytała Effie.

– Masz na myśli przyjazd do Londynu? – wstał i chodził po pokoju. Wziął do ręki oprawną w srebrną ramkę fotografię pana Cockburna opierającego stopę na łbie upolowanego tygrysa bengalskiego, a potem podszedł do klawesynu w drugim końcu salonu i dotknął klawiszy. Nieudolnie zagrał na nim „Dzwoneczki Szkocji”. – Tak, myślę, że go polubię.

– Nawet jeśli trzeba będzie siedzieć w dziale funduszy powierniczych? Ojciec by się nie dowiedział, wiesz przecież, gdybyś samodzielnie dokonał kilku własnych inwestycji – Effie odpowiedziała niewinnie. – Tylko kilka tysięcy tu i ówdzie.

– Cockburn by mu powiedział.

Effie musnęła fałdy spódnicy.

– Och, wątpię. Cockburn nie będzie ci przeszkadzać, prawda, skoro wie, że za dziesięć lat możesz odziedziczyć bank? Przyjrzyj się temu domowi.

Jego utrzymanie musi kosztować majątek. Nie będzie ryzykował utraty takiej rezydencji z powodu rodzinnego sporu. Dopóki nie stracisz głowy i nie wydasz za dużo, pozwoli ci robić, co zechcesz.

– Nie znasz tego człowieka, a już go oceniasz – rzekł Dougal, zamykając wieko klawesynu.

– Rozmawiałam o nim z mamą przed wyjazdem.

– I co ci powiedziała?

– Że pan Cockburn jest porządnym i lojalnym człowiekiem, ale lubi luksus. Woli nie podejmować ryzyka, ani nie drażnić ludzi.

– Hm...

– Cóż, pomyśl o tym – entuzjastowała się Effie. – W Londynie z pewnością są wszystkie wynalazki i nowe przedsiębiorstwa! Wszystkie ubiegają się o inwestowanie i finansowe wsparcie. Będziesz mógł wybierać.

Dougal zmrużył oczy i spojrzał na siostrę z kąpiącą podejrzliwością.

– Posłuchaj – rzekł. – Kto tu jest bankowcem: ty czy ja?

– Ty, oczywiście. Ale przecież nie wzgardzisz radą, nieprawdaż?

Pani Cockburn ponownie wpłynęła do salonu, a za nią podążała całkiem młoda, złotowłosa pokojówka niosąca tacę z herbatą i biszkoptami. Pokojówka postawiła tacę na stole i oblała się rumieńcem, gdy Dougal się do niej uśmiechnął.

– To doprawdy bardzo przykre – powiedziała pani Cockburn, sadowiąc się na końcu eleganckiej sofy zaprojektowanej przez Williama Morrisa, najlepszego londyńskiego projektanta wnętrz. – Wydawałoby się, że kto jak kto, ale osoby panujące mogłyby wybrać bardziej stosowny czas na umieranie.

– Chyba nikt z nas nie wybiera chwili odejścia, pani Cockburn – uśmiechnęła się Effie.

– Czyżby? – zripostowała pani Cockburn. – Cóż, ja dokładnie zaplanowałam, kiedy umrę. Po obiedzie, w jakieś sierpniowe popołudnie, będę spała w ogrodzie naszego domu w Buckinghamshire... Nie zrobię nic dramatycznego. Będę po prostu słuchała szelestu pszczelich skrzydeł i śpiewu ptaków, i nie obudzę się na herbatę.

– To bardzo szczególne życzenie – rzekł Dougal. – Mam nadzieję, że Bóg wyświadczy pani tę przysługę.

– Po piętnastu latach, jakie spędziłam w Bombaju, szanowny panie Watson, Bóg winien mi jest więcej przysług, niż zdołam zliczyć. Pewnego razu amputowałam mojemu masaulowi duży palec kuchennym nożem, gdy ukąsił go wąż, i ocaliłam mu życie.

– Pani masaulowi?

– To bombajska nazwa kamerdynera. W Bombaju mieliśmy dwudziestosiedmioosobową służbę. Nie wiem, jak tutaj daję sobie radę z sześciorgiem.

- Mają tu państwo bardzo piękny dom – powiedziała Effie.
- Dziękuję – odparła pani Cockburn. – Oboje, Malcolm i ja, bardzo go lubimy. Jest centralnie położony, a jednak ustronny.

Effie wzięła podaną jej przez pokojówkę filiżankę herbaty z dwiema kostkami cukru, a potem ze słodyczą w głosie, której nadmiar wyczuł tylko Dougal, zwróciła się do pani Cockburn.

- Zapewne pani wie, czemu mojego brata przysłano do Londynu, prawda? Zna pani prawdziwy cel jego mianowania?

Uśmiech pani Cockburn, już nie wesoły, lekko przygasł.

- Malcolm mówił mi coś o przejęciu działu funduszy powierniczych. Czy to prawda, panie Watson?

Dougal odstawił filiżankę i już miał coś powiedzieć, gdy Effie go uprzedziła.

- Oficjalnie: tak – odpowiedziała za brata. – Ponadto ojciec uważał, że lepiej, aby brat robił coś dyskretnego. Na stanowisku, na którym nie będzie przyciągał zbyt wielkiej uwagi.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem – rzekła ostrożnie pani Cockburn.

- No cóż, nie szkodzi, to nieważne – powiedziała Effie. – Jestem pewna, że pani mąż nie ma żadnych obaw, jeśli chodzi o sposób, w jaki zorganizowana jest filia w Londynie. Ojciec jest pod wrażeniem pracy pani małżonka.

Pani Cockburn spojrzała niepewnie na Dougala, a potem znowu na Effie.

- Próbuje mi pani powiedzieć, że pani brat przyjechał tutaj, aby... mieć baczenie na wszystko?

– Pani jednak nie powie nikomu, co powiedziałam, prawda? – spytała szeptem Effie, znacząco kładąc palec na ustach.

- Nie, oczywiście, że nie – pani Cockburn się wyprostowała i teraz siedziała sztywno. – Doprawdy nie zdawałam sobie sprawy. Przecież nie ma tutaj żadnych problemów, prawda? Wszak wszystko jest w porządku?

– Och, tak – powiedziała Effie. – Zadaniem Dougala jest tylko upewnienie się, że wszystko działa jak należy.

Pani Cockburn szybko wypila herbatę i prosząc o wybaczenie, wyszła. Pokojówka o imieniu Edwina ochoczo zaprowadziła ich do pokoiw gościnnych, aby mogli się przebrać do obiadu. Ich walizki były już rozpakowane, a ubrania wisały w szafach.

Po kilku minutach Effie usłyszała pukanie do drzwi. To był Dougal.

- Czy mogę wejść? – zapytał.

Okryła się szlafrokiem i otworzyła mu drzwi. Wciąż był w koszuli z podtrzymującymi mankiety gumkami wokół bicepsów.

- Szczwana lisiczka z ciebie – powiedział przyciszonym głosem. – Co to za głupstwa o moim przyglądaniu się bankowi?

– Naprawdę nie rozumiesz? – zapytała niespeszona Effie, zaczynając rozczesywać włosy. – Pan Cockburn pozwoli ci robić, co chcesz, jeśli będzie

sądził, że jesteś tutaj po to, by go śledzić. Będziesz mógł realizować własne zamiary, tak jak tego pragniesz, a ja będę mogła ci pomagać.

– Ty?! Co ty wiesz o bankowości?!

– Jestem córką Thomasa Watsona; oto co wiem o bankowości!

– Och, Effie, dajże spokój.

– „Och, Effie”, to nic nie znaczy. Sądziś, że pozwolę, abyś tylko ty miał przyjemność? Przyjechałam do Londynu, aby zawrzeć znajomości wśród członków rodziny panującej i najbogatszych ludzi, a poza tym sądzę, że nadeszła pora, abym zbiła własną fortunę.

– Effie – uparcie przekonywał ją Dougal – dziewczęta nie zbijają własnych fortun.

– Mogą jednak pomóc.

– Bank nie jest miejscem dla dziewczęcia. Nie masz przygotowania, ani nie powinnaś mieć. Kobieta nie może się zajmować akcjami ani funduszami. Pieniądze są sprawą mężczyzny. Gdybym wcześniej miał jakiegokolwiek pojęcie, czego pragniesz, nie zgodziłbym się przywieźć cię tutaj. Myślałem, że interesują cię wyższe sfery i dobra zabawa! Nie bankowość!

– A niby dlaczego nie powinnam się interesować bankowością? Spójrz, co już dla ciebie zrobiłam z Cockburnem.

Dougal poczerwieniał.

– Całkiem go ode mnie odstraszyłaś, czemu nie powinienem się dziwić.

– Mówisz głupstwa i wiesz o tym! Dopóki Cockburn będzie przekonany, że kontrolujesz go dla ojca, pozwoli ci robić, co chcesz.

– Nie jestem pewien.

– Zapewniam cię! – wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. – Korzystaj z okazji i czyń to skwapliwie, kiedy możesz. Oto czego nauczyła mnie mama.

– W tych słowach nie brzmi głos mamy.

– Cóż, nie wiesz nawet połowy tego co ja...

## 13

Po obiedzie u „Duncana”, gdzie w jednym z wyłożonych dębowymi panelami salonów na piętrze podano im zupę z kraba, pieczoną kuropatkę, cynaderki na grzance i pudding sułtański, o trzeciej po południu wyruszyli do zamglonego City, by złożyć wizytę w gmachu Watson's Bank w Cornhill. Effie chętnie wróciłaby na Eaton Square i z przyjemnością przespałaby resztę tego popołudnia, ale postanowiła, że dotrzyma kroku Dougalowi i Nathanowi Cohenowi, który nadawał szybkie tempo, a przy tym trajkotał swoim wysokim głosem i uchylał kapelusza przed wszystkimi, których znał.

W 1901 roku londyńskie City było „izbą rozrachunkową” największego

imperium, jakie widział świat. Wokół pośpynych grani Bank of England, zwanego „Sędziwą Damą z Threadneedle Street”, skupiły się banki prywatne i kompanie inwestycyjne, które co roku finansowały interesy w rozsianych na całym świecie brytyjskich koloniach sięgające miliarda funtów. Właśnie stąd płynęły pieniądze na plantacje herbaty na Cejlonie, wydobywanie diamentów w Afryce Południowej, koleje w Indiach i kopalnie manganu w Ameryce Południowej. Również tutaj pieniądze spływały z powrotem. Przez banki Rothschildów, Courtów, Watsonów i Beringów przechodziły ogromne zyski imperium, które obejmowało już przeszło jedną czwartą zamieszkanego globu i właśnie od umiejętności tych banków zależało niemal każde imperialne przedsięwzięcie. Władza jednak nie tylko finansami. W salach posiedzeń City, w tym zamglonym, mrocznym metropolii zbudowanym z okazałych wiktoriańskich gmachów podejmowano decyzje, które wpływały na życie milionów ludzi w Chinach, w Afryce i na Karaibach.

Centrala Watson's Bank mieściła się w typowym, ciężkim gmachu zbudowanym w charakterystycznym, neoklasycyźnym stylu wczesnej epoki wiktoriańskiej. Zdobiły go kolumny, a jego górne występy wspierały cztery pozbawione wzroku boginie, którym po policzkach spływało gołębie guano zamiast łez. Bogini dumy, bogini pieniędzy, bogini sentymentu i bogini handlu. Na frontonie widniał herb Watsonów i ich motto: *Concordia discors*, czyli *Harmonia w chaosie*. W szkole pewien sarkastyczny uczeń powiedział kiedyś Dougalowi, że mottem jego rodziny powinny być słowa: *Sipossis recte, si non, quocumque modo rem*, co właściwie oznacza *Cel uświęca środki*, gdy celem są pieniądze.

Nathan Cohen rozsunął mahoniowe drzwi, aby Dougal i Effie mogli wejść do bankowego lobby. Było podobne do wnętrza Watsonowskiego budynku w Edynburgu; miało wysoki, kryty kopułą sufit, oświetlały je gazowe lampy, a rzeźbiony w różanym drewnie, naturalnej wielkości serafin dał w złożoną trąbkę. Bankowi kurierzy we frakach i lśniących cylindrach pospiesznie wchodzili i wychodzili. Panowała tu jakaś zdumiewająca atmosfera klubowej historii.

– Od chwili śmierci królowej sytuacja tu przypomina powiedzenie „Myszy harcują, gdy kota nie czują”, ale uporamy się z tym – powiedział pogodnie Nathan. – Chodźmy na spotka nie z Malcolmem Cockburnem.

Wiódł ich bezkresnymi korytarzami wyłożonymi ciemną boazerią, mijając biura, w których dwudziestu czy trzydziestu urzędników siedziało przy biurkach nad stosami piętrzących się przed nimi papierów, a także sale, w których brzuchaci mężczyźni stali przy marmurowych kominkach i patrzyli na nich z wrogością. Wszędzie czuć było zapach woskowej pasty do podłóg, zwietrzałego papieru, potu i węglowego dymu.

Watson's Bank, szczególnie tego styczniowego popołudnia, w istocie



pachniał jak szkoła – ubrudzona atramentem, ciasna, pełna zaduchu i niewietrzona z wyziewów, i nawet Dougal zaczął z żalem myśleć o torfowym zapachu biura w Edynburgu.

Nathan wprowadził ich w końcu do dużego mrocznego pokoju na trzecim piętrze, z szarym widokiem na budynek Royal Exchange. Tutaj, na końcu długiego stołu z kubańskiego mahoni, pochylony nad własnym odbiciem w połyskliwym drewnie siedział Malcolm Cockburn.

– Panie Cockburn, oto pan Dougal Watson i panna Effie Watson.

Malcolm Cockburn podniósł wzrok, wydał z siebie jakiś osobliwy odgłos, a potem w taki sposób wstał ze swego fotela, jakby składał się z kilku części. Był wyjątkowo wysoki i niezwykle szczupły, a długotrwała opalenizna, jakiej nabrał w Indiach, nadawała jego twarzy żółtawy odcień. Effie pomyślała, że patykowate nogi i długi, skierowany ku dołowi nos upodobniają go do bociana, i w rzeczy samej pan Cockburn poruszał się jak ptak, krocząc dumnie tam i z powrotem, i od czasu poruszając ramionami czarnego fraka w sposób, w jaki ptaki stroszą pióra.

– Witam więc... – rzeki ściśniętym głosem, próbując się przy tym uśmiechnąć – latorośle naszego znamienitego założyciela.

Dougal, sądząc z wyrazu jego twarzy, nie był szczególnie zachwycony nazwaniem go „latoroślą”, ale uprzejmie uściśnął dłoń pana Cockburna.

– Witam pana.

– Proszę siadać – powiedział Malcolm Cockburn, zwracając się ku Effie i mocno ściskając jej dłoń. – Czy Nathan zaprosił państwa na porządny obiad? Nie wziął was chyba do „Duncana”? Och, doprawdy nie powinien! W „Norwich” jest znacznie lepiej; szczególnie jeśli lubi się homary. Czy lubi pani homary, panno Watson?

– Nie lubię stworzeń, które za mocno szczypią, panie Cockburn – odparła Effie i Malcolm Cockburn, spoglądając na swoją dłoń, szybko rozluźnił uścisk.

– Może więc napiją się państwo herbaty? – zapytał tonem wyraźnie wyższym, niżby tego chciał.

– Nie teraz – odparł Dougal. – Herbata nie komponuje się dobrze z pieczonym ptactwem i francuskim winem.

– Cóż, chyba ma pan rację – Malcolm Cockburn się uśmiechnął. – Ja jednak mawiam, że jeśli czyjś żołądek wytrzyma bankowość, to zniesie wszystko. *Per dyspepsja ad astra!* To trudne zajęcie, jak pan wie, panie Watson, i myślę, że tutaj wyda się panu jeszcze trudniejsze niż w Edynburgu.

– Mam nadzieję, że to nie jest ostrzeżenie – powiedziała szelmowsko Effie, chociaż sprawiała wrażenie zajętej oglądaniem przez okno ulicznego ruchu.

– Ostrzeżenie?! – zapytał Malcolm Cockburn zaskoczony i nagle

ostrożny. – Nie, oczywiście, nie. Cóż... może w pewnym sensie. Sądzę, że dowiecie się, iż uprawianie bankowości tutaj, w Londynie, jest bardzo różne i o wiele trudniejsze niż w Szkocji. Panują tu wilcze prawa. Tutaj w grę wchodzi fortuna, prawdziwe fortuny – Malcolm Cockburn nerwowo obserwował, jak Effie uniosła małą porcelanową figurkę konia. – Czy miała pani wygodną podróż ze Szkocji, panno Watson?

Effie odstawiła porcelanowego konika.

– Znośną – odparła. – To wprost wspaniałe, że ojciec pozwolił mi wyjechać. Państwo, pan i pani Cockburn, także okazali nam wiele uprzejmości, zgadzając się przyjąć nas na tę pierwszą noc.

– Co jeszcze mógłbym zrobić? – zapytał niespokojnie Malcolm Cockburn.

– W rzeczy samej... – rzekła Effie. – Co jeszcze mógłby pan zrobić?

Nastąpił trudny moment, gdy właściwie nikt nie wiedział, co powiedzieć.

– Muszą państwo zostać także na jutro! – wykrzyknął wtedy Malcolm Cockburn. – Organizuję niewielkie zebranie kilku amerykańskich i niemieckich bankierów. Jestem pewien, że chętnie poznają syna i córkę samego Thomasa Watsona. Wasz ojciec jest... cóż, jest wysoko ceniony w Niemczech. Szczególnie po sfinansowaniu przez nas stalowni w Essen. Teraz mamy nadzieję sfinalizować umowę na budowę oceanicznego liniowca w Hamburgu.

Znowu zapadło milczenie. Po chwili Malcolm Cockburn nerwowo zatarł rękę.

– Cóż, przypuszczam, że pragnie pan poznać kolegów z działu funduszy powierniczych – rzekł do Dougala.

– Panie Cockburn... – powiedziała Effie.

– Słucham, panno Watson.

– Moi rodzice przesyłają państwu najserdeczniejsze pozdrowienia i mają nadzieję, że jak własnym synem zaopiekują się państwo Dougalem podczas jego pracy w Londynie.

Dougal poczerwieniał i wyglądał na podenerwowanego, ale Malcolm Cockburn ujął go za łokieć i odpowiedział z wymuszonym wyrazem ojcowskiej dobroćliwości.

– Oczywiście. To się rozumie samo przez się. Otoczmy go największą troską. A kiedy będzie pani pisać do rodziców, proszę ich zapewnić, jak bardzo doceniam ich pozdrowienia. To doprawdy bardzo uprzejme.

– Pójdziemy do działu funduszy powierniczych? – zapytał Dougal.

– Ach, tak – rzekł Malcolm Cockburn.

Effie pomyślała, że już zdołała go zaniepokoić i zepchnąć na pozycje obronne, chociaż było jasne, że nie jest pewien, czego ma bronić. W przeciwieństwie do Dougala Effie od razu zrozumiała, że jako córkę założyciela i prezesa banku, londyński personel będzie ją oczywiście traktował z wielkim

szacunkiem i rezerwą. Dawało jej to pewną przewagę nad Malcolmem Cockburnem, której nie chciała stracić nie tylko dla Dougala, ale także dla własnego dobra. Oboje mieli tutaj zbić własne fortuny, aby zdobyć odpowiednie pozycje i znaleźć się wśród królowych i księżniczek. Effie była wystarczająco przenikliwa, aby rozumieć, że nie znajdzie się między królowymi i księżniczkami, jeśli nie będzie zachowywać się jak królowa i nie stanie się osobą bogatą ani wpływową, jeśli nie będzie zachowywać się tak, jakby nią była.

Thomas Watson nie miał żadnych obiekcji, aby Effie odwiedziła ciotkę Maisie w Putney; machnięciem ręki wyraził zgodę, nawet nie podnosząc wzroku znad sterty bankowych papierów. Nie brał jednak pod uwagę, ani nie wiedział, że to właśnie Effie, spośród wszystkich jego dzieci, odziedziczyła po nim sporo wytrwałości i jego siłę charakteru, że najprawdopodobniej nie pozwoli, aby jej pierwsza podróż do Londynu stała się tylko nudną rodzinną herbatką. Skąd mógł wiedzieć, kiedy jego własna osobowość przytłoczyła wszystko i wszystkich wokół niego falą patosu, bigoterii i niezachwianej pewności? Znalazłszy się jednak z dala od niego, z dala od Charlotte Square, z biletem do Londynu ukrytym w rękawicze i spakowanym kufrem podróżnym, Effie potrafiła jasno rozważyć swoje opinie i samodzielnie decydować, jak kierować własnymi sprawami. Matka stała się jej źródłem inspiracji, a ojciec dał siłę. Teraz była gotowa zrobić ze światem to, co zawsze chciała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nie zdołałaby tego uczynić.

Przez całe swoje dzieciństwo, od owych letnich dni, gdy z wstążkami powiewającymi ze słomkowego kapelusza wspinała się na Calton Hill lub Arthur's Seat, od zimowych wieczorów, gdy przy kominku w dzieciennym pokoju niania opiekowała pierniczki, a potem pokrywała je cienką warstwą miodu i od wiosennych poobiednich godzin, które sobie umiała marzeniami, obserwując wysokie obłoki żeglujące z Pentland Hills do zatoki Firth of Forth, Effie nigdy nie uważała, że ponieważ jest dziewczyną, nie może stać się sławna i wielka. Królowa Wiktoria była sławna i wielka, podobnie norweska królowa Maud, grecka królowa Sofia i rosyjska caryca Aleksandra. Kobiety mogą być wspaniałe i ona również będzie! Zawsze uważała panięskie wysiłki, z jakimi koleżanki zdobywały względy swych ojców i braci pieczeniem im ciast i szyciem myśliwskich toreb w szkocką kratę, za śmieszne i bezmyślne. Nie kochała swego ojca i braci ani trochę mniej niż jej przyjaciółki, ale nigdy nie czuła potrzeby zdobywania ich uczucia zachowaniami małej kobietki.

Effie wciąż była poruszona i zaszokowana wyznaniem matki, że spotyka się z kochankiem. Nie rozumiała jeszcze, dlaczego matka dopuściła ją do tego sekretu. Upewniło ją to jednak, że kobieta nie musi cierpieć dla samego cierpienia i że los każdej kobiety, jeśli sama tego chce, może spocząć w jej

własnych rękach.

Takie myślenie nie było szczególnie nowe ani niezwykle dla córki zamożnych i obdarzonych silną indywidualnością rodziców nawet w czasach, gdy kobiety nie miały praw wyborczych i gdy albo wprost im zabraniano, albo odwodzono od wkraczania do którejś z wielkich instytucji imperium. Kobiety pracowały jako sekretarki w agencjach międzynarodowej pomocy finansowej i handlowej, ale nie było ani kobiet na giełdzie, ani w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Lloyd's, ani w bankach, ani w parlamencie.

Miały jednak, jeśli tak jak Effie urodziły się w bogatych i potężnych rodzinach, znaczące wpływy w towarzystwie, pod warunkiem, że były gotowe przeciwyczyć je na mężach albo braciach lub przynajmniej na wyrozumiałym kochanku. Ich dominacja w kwestiach towarzyskich – kto powinien pójść na którą kolację, a kogo się zostawi „na lodzie” – pozwalała im subtelnie, ale niekiedy decydująco sterować karierami mężczyzn.

Straszną nowością w myśleniu Effie było to, że chciała zrealizować swe ambicje sama; bez męża, protekcyjnego kuzyna czy męskiego „opiekuna”. Wiedziała, że będzie musiała współdziałać z Dougalem, aby zdobyć dla siebie pozycję w bankowej społeczności City, ale poza tym chciała iść własną drogą. Właśnie to wydawało się jej słuszną i jedyną decyzją, niezależnie od tego jak bardzo społeczeństwo odrzucało ambitne i niezależne kobiety. Chodziło również o coś innego. Effie była jeszcze zbyt młoda i zbyt niedoświadczona, aby bać się starszych mężczyzn, a jednocześnie, w wieku siedemnastu lat, nazbyt dojrzała, aby robili na niej wrażenie rówieśnicy. Sądziła więc, iż będzie dla niej emocjonalnie bezpieczniejsze, jeśli oprze się na własnej odwadze i własnym realistycznym myśleniu, niż na zaufaniu do jakiegoś mężczyzny, w którym mogłaby się niebaczenie zakochać lub który by ją zawiódł. Mężczyźni stanowili dla niej niewiadomą; pociągającą, ale bardzo niebezpieczną. Nawet ambicja wydawała się czymś bardziej pewnym niż mężczyźni.

Spoglądając wstecz na owe pierwsze dni w Londynie, zwykła mawiać: „Gdybym tylko wiedziała, czego nie mogę robić, z pewnością bym tego nie zrobiła”.

Nie pragnę miłości żadnego mężczyzny, napisała w swoim dzienniku w noc poprzedzającą wyjazd ze Szkocji. Chcę być sławna dla siebie i podziwiana dla siebie, a jeśli kilku mężczyznom zdarzy się we mnie zakochać, to cóż... będą frajerami.

Było to oczywiście, zanim poznała Henry'ego Baeklandera.

Malcolm Cockburn sprowadził ich piętro niżej, do dużej oświetlonej gazowymi lampami i podzielonej na mniejsze boksy sali, gdzie pracowało kilkunastu urzędników. Na jej drzwiach złożonymi literami napisano słowa *Fundusze powiernicze & Fundusze inwestycyjne*. Malcolm Cockburn scho-

wał drobne ręce za plecami i uśmiechnął się lekko.

– To jest od dzisiaj pańskie królestwo, panie Watson – powiedział. – Oto miejsce, gdzie człowiek uświadamia sobie własną śmiertelność, inwestując pieniądze w przyszłość, na te lata, kiedy od dawna nie będzie go wśród żywych; miejsce, gdzie zaprzeczamy w praktyce zasadzie wyrażonej w Dziejach Apostolskich, że „pieniądze zginą wraz z tobą”.

Dougal rozejrzał się po wnętrzu ponurych biur, zobaczył pochylone głowy urzędników, zegar na ścianie wskazujący godzinę piętnastą dwadzieścia i na portret marszałka Horatia Kitchenera w mundurze serdara Armii Egipskiej, sprezentowany bankowi po bitwie pod Omdurmanem trzy lata temu. Malcolm Cockburn skinął ręką, a wtedy jeden z urzędników odsunął krzesło i ruszył do przodu. Był to młody człowiek, tuż po trzydziestce, we frakowej koszuli i okularach w szylkretowej oprawie, z włosami sterczącymi na czubku głowy niczym grzebień koguta.

– To jest pan Niblets – rzekł Malcolm Cockburn. – Pan Niblets jest szefem urzędników, pracuje z nami od dwunastu lat. Pozwoli pan, panie Niblets, oto pan Dougal Watson i panna Effie Watson.

Pan Niblets nerwowo wyciągnął rękę.

– Jestem zaszczycony, mogą państwa poznać. Pan Cockburn wiele mi opowiadał...

Malcolm Cockburn z zakłopotaniem wciągnął szyję w kołnierzyk.

– Tak, panie Niblets. Może będzie pan tak uprzejmy i oprowadzi za mnie pana Watsona i pannę Watson po dziale funduszy powierniczych. Proszę pokazać panu Watsonowi pracę, jaką wykonujemy nad funduszem De Keysera. Ten fundusz jest wręcz doskonałą inżynierią finansową. Jesteśmy z niego dość zadowoleni, choć sam to mówię.

– Cóż – rzekł Dougal, uśmiechając się i zwracając ku Effie. – Jestem przekonany, iż mogę obejrzeć to później. Teraz chciałbym zobaczyć główną salę bankową.

Malcolm Cockburn marszcząc brwi, spojrzał na pana Nibletsa.

– Z całym szacunkiem, panie Watson – rzekł powoli – to będzie pański wydział i doprawdy myślę, że...

– Może pan myśleć, co się panu podoba – odparł Dougal dość zyczliwie, ale stanowczo. – Moja siostra i ja chcemy zobaczyć główną salę bankową.

– Bardzo proszę – powiedział Cockburn z niezadowoleniem. Nie mógł się doczekać powrotu do swego gabinetu na popołudniową herbatę z pełnoziarnistymi herbatnikami. – Mieści się na parterze, jeśli zechcą państwo pójść za mną.

– Jest pan tak uprzejmy, panie Cockburn – powiedziała Effie z tym swoim słodkim uśmiechem. – Jestem pewna, że wszyscy to panu mówią.

Nie zauważyła pana Nibletsa zdejmującego okulary, patrzącego jak

odchodzi w dół korytarza w swych wrzosowych spódnicach i oniemiałego, jakby osobiście złożyła mu wizytę Persefona albo Diana lub sama Wenus. Nie widziała, jak bezwiednie stara się przyglądać włosy, poprawia krawat i powoli wraca do swego biurka, potykając się o krzesło niczym człowiek, który wypił w czasie przerwy na lunch o jedną butelkę indyjskiego jasnego piwa za dużo.

## 14

– Chyba znalazłem swojego człowieka – powiedział później Dougal, gdy wracali na Eaton Square.

Effie spoglądała przez okno powozu na staw w St James's Park; pokryte srebrem zwierciadło między nagimi drzewami.

– Musisz być jego pewny tak samo, jak możesz być pewny mnie – powiedziała.

– Och, bankowców można rozróżnić w mgnieniu oka. Dzielą się na dwa rodzaje; nadętych nudziarzy z jednej strony i żadnych przygód awanturników z drugiej. Owych „awanturników” nie ma zbyt wielu, ale ten człowiek jest jednym z nich.

– Jak się nazywa?

– Cutting. Obecnie pracuje w inwestycjach wschodnioafrykańskich, ale jestem przekonany, że będzie mógł mi pomóc poczuć się swobodnie w dziedzinie inwestycji. Jeśli więc Cockburn będzie wobec mnie tak nieufny, jak twierdzisz, ja powinienem mieć wszystko, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się dzieje. Rozumiesz, że to moja jedyna szansa. Przynieść trochę bardzo poważnych zysków, abym był nie do obalenia.

– A jeśli nie zdołasz?

– Wtedy ojciec z całą pewnością sprawi, że resztę swoich dni spędzę w Dziale Funduszy Powierniczych z Nibblesem, czy jak się ten nieborak nazywa.

– Potrafisz to zrobić. Wiem, że potrafisz.

Dougal ścisnął jej rękę.

– Modłę się o to.

Effie zauważyła, że Dougal rozmawia z Cuttingiem, gdy zeszli na główną kondygnację banku. Nie przyjrzała się Cuttingowi szczególnie uważnie, ale dostrzegła jego dość omdlewającą pozę absolwenta prywatnej szkoły, niezwykle elegancki krój czarnego surduta i zapinaną na guziki czarną kamizelkę. Prawdopodobnie to jego kręcone włosy lub nieco bardziej szykowny krawat sprawiały, iż wydawał się mniej sztywny od swoich kolegów. Przypominał chłopaka, który potrafił niezle rzucać piłką do krykieta i byłby poproszony o dowodzenie szkolną drużyną, gdyby nie zaskoczono go w

gabinecie z ponętą córką dyrektora.

Typowa dla Dougala czujność spowodowała, że Malcolm Cockburn zaprowadził ich do głównej sali banku. Właśnie tutaj uprawiano codzienną, realną bankowość i najprawdopodobniej właśnie tutaj Dougal chciał znaleźć jakiegoś wpływowego sprzymierzeńca. Początkowo Dougal nie był pewien bezceremonialnej determinacji Effie w przejmowaniu inicjatywy z Cockburnami i wszystkimi innymi, których poznała w Londynie, i wciąż nie był przekonany, czy powinna obsadzać go w roli sekretnego informatora ojca. Był jednak wystarczająco przenikliwy, aby zdawać sobie sprawę, że bardzo ważne jest przedstawienie go bankowcom w głównej sali przez samego Malcolma Cockburna. Na żadnym z owych drapieżnych i cynicznych kapłanów tej świątyni finansowej potęgi banku nie zrobiłoby wrażenia, gdyby Dougal wprowadzony był między nich za dwa lub trzy dni przez Nibletsa lub jakiegoś innego urzędnika. Mogliby go nawet nie zauważyć.

Wymienił uścisk dłoni z panem Millingsem, którego różowa łysina swymi wypukłościami przypominała formę do pieczenia malinowej babki. Pan Millings zajmował się interesami banku w Zjednoczonym Królestwie, co oznaczało, że do jego klientów zaliczała się brytyjska spółka o nazwie Wielkie Zachodnie Koleje Żelazne, a także fabryki włókiennicze, zakłady wyrobów ceramicznych i niemal jedna trzecia należących do prywatnych właścicieli kopalni węgla i hut w Walii. Właśnie pan Millings był tym człowiekiem, który pożyczył czterysta pięćdziesiąt tysięcy funtów Bakerowi i Huntleyowi, właścicielom stoczni nad szkocką rzeką Clyde, na budowę trzech pogłębiarek, które ostatecznie otworzyłyby dla swobodnej żeglugi handlowej rzekę Niger, i to on zasugerował, że Watson's Bank nie powinien pożyczać szesnastu tysięcy człowiekowi o nazwisku Brearley, przekonanemu, że zdołał wymyślić taką stal, która się nie przebarwia ani nie płami.

Wielki kryształowy, gazowy żyrandol zawieszony nad lśniącą łysiną pana Millingsa był symbolem wszystkiego, co reprezentował Watson's Bank: światłej i paternalistycznej potęgi. Kredytów i inwestycji, które miały pomagać biednym, pogrążonym w niewiedzy masom tego świata oraz umacniać zasady wolnego handlu, na którym zbudowane było Imperium Brytyjskie. Thomas Watson stworzył swój bank, pożyczając kilkaset funtów biednym rybakom z Aberdeen, aby pomóc im zbudować flotę kutrów do połowu śledzi, a następnie, po tym jak w 1879 roku zawalił się most nad rzeką Tay, sfinansował jego odbudowę, by utrzymać funkcjonowanie szkockiej kolei żelaznej. Naczelna zasada tego banku, zasada, której przestrzegania oczekiwano od każdego z jego pracowników w codziennej pracy, głosiła, że Watson's Bank nie jest bankiem lekkomyślnym. Watson's nie ryzykował kredytowania szaleńczych inwestycji ani nonkonformistycznych projektów. Watson's był filarem Imperium Brytyjskiego.

Ta zasada była podstawą siły banku Watsona. Jego pożyczkobiorcy byli

tak solidni i mieli tak niepodważalną zdolność kredytową, że płynność finansowa banku rzadko słabła, nawet w trudnych czasach. Robertowi umożliwiło to wprowadzenie programu przynoszących wysokie zyski krótkoterminowych pożyczek na znacznie niższy procent niż u kogokolwiek innego łącznie z Rothschildami, w przekonaniu, że spółki, które z nich skorzystają, będą mogły szybko mu te pożyczki zwrócić. Ten program, który w późniejszych latach miały naśladować inne banki handlowe i który każdorazowo zapowiadano jako znakomitą bankową innowację, Robert nazwał „wędkowaniem po grosiki”, zaś Morgan Guaranty Trust, po półwieczu, „zanurzaniem się z głową”.

Jednak największa siła Watson's Bank, co Dougal i liczni młodzi bankowcy już zaczęli podejrzewać, była jego największą słabością. Koncentrował on swoje inwestycje i kredyty w Imperium Brytyjskim, skupiając się na wspieraniu światowego wolnego handlu, a chociaż w 1901 roku wciąż za hereżę uchodziło podobne stwierdzenie, to przecież Imperium, w kształcie wyimaginowanym niegdyś przez jego założycieli, było marzeniem finansowo niemożliwym do realizacji.

Kolonie i posiadłości Wielkiej Brytanii, chociaż zbryzgały mapę czerwienią, mogły kupować zaledwie trzecią część jej produkcji przemysłowej, a ich siła nabywcza nie wzrosła od czterdziestu lat. Na przełomie stuleci cała tropikalna Afryka konsumowała jedynie półtora procent rocznego eksportu brytyjskiego. Co gorsza, Imperium nie zapewniało Brytanii całej żywności i wszystkich surowców, jakich potrzebowała. Nawet w 1896 roku, a więc w szczycie imperialnej ekspansji, Brytania musiała sprowadzać z USA osiemdziesiąt procent niezbędnego zboża.

Ukrywając tę nierównowagę podaży i popytu, etyka wolnego handlu stopniowo doprowadzała się do upadku. Brytania miała posiadłości na Malajach, które produkowały przeszło połowę światowego kauczuku, a jednak chętnie i swobodnie eksportowały ponad połowę swojej produkcji do Ameryki, uzyskując od niej ceny lepsze, niż mogły zapłacić spółki brytyjskie. Watson's Bank zainwestował w brytyjską spółkę handlującą dalekowschodnim kauczukiem niemal półtora miliona funtów i chociaż kwocie tej nie groził natychmiastowy przepadek, można było tylko patrzeć na jej stopniową dewaluację i stratę.

Dougal jeszcze nie rozumiał, jak drastycznie Imperium popada w przedwczesne starcze otępienie. Niewielu bankierów to rozumiało. Czuł jednak, że w londyńskim City panuje jakiś obezwładniający ekonomiczny zaduch, jaki wcześniej odczuwał w Edynburgu. Tutejsze napuszone zaufanie do banków i giełdy opierało się jedynie na szowinizmie, opowieściach Georga Alfreda Henty'ego o brytyjskiej odwadze w Rangunie i samozadowoleniu prywatnych szkół. Zanim wielu bankierów, maklerów i pośredników handlowych czerpało zbyt wiele zysków z Imperium, by któryś z nich



uwierzył, że to się kiedyś skończy.

– Czy pański ojciec miewa się dobrze, panie Watson? – zapytał pan Millings ściszym głosem.

– Mój ojciec nigdy nie miewał się lepiej – odparł Dougal.

– Powierzenie panu stanowiska tutaj, w Londynie, było dla nas dość zaskakujące.

Dougal obejrzał się na Effie, ale właśnie przedstawiano jej pana Prestona, który zarządzał inwestycjami w Indiach, zbierał trójkątne znaczki pocztowe i straszliwie się jąkał.

– Byłem równie zaskoczony jak pan, panie Millings – rzekł Dougal z rozbawieniem w głosie, ale z poważną twarzą. – Myślę, że ojciec chciał zapewnić londyńskiej filii przywilej posiadania jej własnego, realnego, żywego, autentycznego Watsona.

Wszak on sam nie może być, jak pan wie, wszędzie naraz. Nie osobiście. To jest jego sposób na wszechwładność.

Dougal miał nadzieję, że pan Millings będzie na tyle inteligentny, aby zrozumieć, że on, Dougal Watson jest tu przysłany z Edynburga, żeby być okiem i uchem swego ojca. I najwyraźniej nie omylił się, gdyż pan Millings ukradkiem zamknął okładkę teczek, nad którą pracował i odwrócił kilka dokumentów, a potem podniósł ku Dougalowi głupkowatą twarz.

– Cóż, może byłoby panu lepiej pod czułą opieką któregoś z moich kolegów? Inwestycje krajowe. To moja linia. Nic szczególnie zabawnego! Zakłady włókiennicze, przemysł ciężki, takie rzeczy... Nic, co by pana szczególnie zajmowało.

Większość pozostałych bankowców w głównej sali operacji finansowych była równie powściągliwa w witaniu Dougala jak pan Millings. Dougalowi trudno było rozróżnić tych ludzi w sztywnych kołnierzykach i czarnych frakach, ponieważ każda twarz miała tę różowość myszki z cukru i typową pulchność lekkiego przekarmienia. Wszyscy skłaniali głowy z ostrożnie wyważonym połączeniem szacunku (wszak był synem Thomasa Watsona) i wyniosłości (ponieważ był też wścibskim młodym Szkotem w wyjątkowo źle dopasowanym ubraniu, który mógł przysporzyć wszelkiego rodzaju problemów). Ich powściągliwość wobec Dougala nie brała się z jakiegokolwiek niechęci do pracy dla szkockiego banku. Przeciwnie; Watson's Bank miał w londyńskim City prestiż, z którego oni wszyscy korzystali, uchodził za posępny, małoduszny i zdecydowanie konserwatywny. Jednak oni wszyscy byli absolwentami Harrow School, Haileybury School i Winchester School; prywatnych szkół czyniących z nich wąskie, towarzyskie grono, z którego Dougal zawsze miał być wykluczany. Bez entuzjazmu podawali mu rękę, unosząc się z krzesel, a potem prosili o wybaczenie i siadali z powrotem.

Jack Cutting był wyjątkiem.

– Wygnany z domu? – zapytał, zdecydowanie ściskając mu dłoń.

Dougal się zawahał, a potem odpowiedział ogólnie.

– Nie „wygnany”. Raczej „wyeksportowany”.

Jack Cutting z wyrazem niedowierzania włożył ręce do kieszeni.

– Zabawne, nie przypuszczałem, że Londyn może komuś odpowiadać.

Bardzo tu oficjalnie. Strasznie konserwatywnie. Mamy tak dużo pracowników w Wydziale Kolonii i w Departamencie Indii, a żaden nie pali się do sfinansowania czegokolwiek, co mogłoby zirytować jakiegoś starego kumpla. Wsparli byśmy Rodezję, gdyby stary Beanstaff nie martwił się tak bardzo, że zawiedzie jednego ze szkolnych kolegów. Ale cóż, tak to już jest, mówi się trudno. Mamy natomiast konto Victoria Falls Copper Company, więc przypuszczam, że to jakieś pocieszenie.

– Pan pracuje w Dziale Afryki Wschodniej, prawda?

– Tak, ale przez czysty przypadek, naprawdę. Gdy tu przyszedłem, zapytano, czy mam jakichś krewnych służących w koloniach, a ja, jak głupi, powiedziałem, że mój wuj hoduje kawę w Kenii. To dobrze, rzekł wtedy Cockburn, możesz być naszym ekspertem do spraw wschodnioafrykańskich, i dlatego jestem nim od tamtej chwili. Wielka rzecz, jeśli ma się fioła na punkcie goździków, kawy i czarnych. W tej kolejności. Inaczej, strasznie.

– Przykro mi.

– Dobry Boże, to nie pana wina. Muszę jednak powiedzieć, że trzyma się tu człowieka w jednym dziale przez kolejne lata, gdzie nie ma żadnej szansy zaprezentowania, co potrafi. Myślę, że byłbym dość dobry w dziale inwestycji giełdowych. W zeszłym roku zarobiłem na giełdzie dwukrotność własnych dochodów i prawdopodobnie mógłbym zrobić to samo dla kilku klientów banku. Ale cóż, mówi się trudno. Czy to pańska siostra?

– Tak, to Effie.

– Śliczna, prawda? Miło popatrzeć.

Dougal się odwrócił. Faktycznie nigdy nie przyszło mu do głowy, że Effie jest ładna, ani że zauważają ją inni mężczyźni. Gdy ją jednak zobaczył, jak stojąc na drugim końcu wykładanej marmurem sali głównych operacji bakowych rozmawia z panami Millingsem i Cockburnem, uderzyło go, że jest naprawdę bardzo ładna, a jej urok był tym bardziej intrygujący, że była jego siostrą. Twarz Effie nagle wydała mu się zadziorna i promienna, włosy błyszczały w świetle gazowego żyrandola. W tym poważnym i dostojnym otoczeniu urzekła tą kobiecą kruchością i szlachetnym blaskiem, który zachwyciłby każdego mężczyznę epoki edwardiańskiej.

– Wcześniej pan tego nie widział, prawda? – z rozbawieniem zapytał go Cutting. – Chodzi mi o to, że nie uświadamiał pan sobie, jak bardzo jest czarująca.

– Dorastaliśmy razem. Przypuszczam, że siostra także nie dostrzega, jaki ja jestem atrakcyjny.

– Atrakcyjny? Cóż, no tak, przyznaję, że jest pan atrakcyjny. Czy zechce mnie pan przedstawić swojej siostrze?

Dougal już wcześniej spostrzegł, że Malcolm Cockburn, spragniony swojej herbaty i biszkoptów, stara się jak najszybciej przeprowadzić Effie przez rozległą salę ku schodom, więc nie był to odpowiedni moment na przedstawianie jej Jacka Cuttinga. Gdyby mieli się poznać, Dougal chciał być pewien, że Effie rozumie, iż Jack może być powiernikiem i przyjacielem.

– Może za kilka dni, gdy się tutaj trochę zadomowimy – odparł, ponownie ujmując dłoń Jacka. – Moglibyśmy zjeść razem lunch.

– Ach, strzeże jej pan, prawda?

– Wręcz przeciwnie. Strzegę pana przed nią. Zrozumie pan, co mam na myśli, gdy pana przedstawię. Effie to ostra dziewczyna.

– Lubię ostre dziewczyny – rzeki Jack Cutting. – Mężczyzna też powinien być ostry. Przejmuje pan departament funduszy powierniczych, czyż nie? Powinien się zmienić. Biedny stary Halethorpe już dawno był gotów przejść na emeryturę. Zapadł w sen tuż przed Bożym Narodzeniem i wpadł do kominka.

Dougal rozejrzał się szybko na wszystkie strony.

– Fundusze powiernicze i obligacje nie są jedynymi obiektami mojego zainteresowania – powiedział przyciszonym głosem.

– Chce pan powiedzieć, że rozgląda się za czymś trochę bardziej ekscytującym? Za czymś z perspektywami?

– Ma pan niezłe wyczucie.

Jack wziął głęboki oddech.

– Cockburn i Millings nie dadzą panu zbyt dużej swobody działania. Ani Snell. Snell kieruje Działem Zagranicznym i Departamentem Dominium. Ci trzej nie lubią, gdy „galernicy” wtykają nos w ich sprawy. Gdyby taki nieborak jak ja pojawił się z porządnym rachunkiem i przypisał sobie całą zasługę, wtedy mogłoby się okazać, jacy są. To trzy najbardziej tępe umysły w Cornhill. Teraz ja pana ostrzegłem: ci trzej będą z panem walczyć. Nie lubią młodych ludzi z pomysłami, a już szczególnie nie lubią młodych Szkotów z pomysłami.

– Ale ja jestem synem założyciela tego banku.

– To nie ma znaczenia. Stłamszą pana tymi swoimi trzema wielkimi zadami, póki nie wyda pan z siebie ostatniego tchnienia.

– Dziwię się, dlaczego mój ojciec ich zatrudnił, skoro są tak tępi, jak pan powiada.

Jack Cutting położył rękę na ramieniu Dougala.

– Są bezpieczni, oto dlaczego ich zatrudnił. Nie chcę robić impertynenckich uwag na temat pańskiego ojca, ale my tutaj wyobrażamy go sobie jako kogoś w rodzaju Cezara: władczygo i zawsze drapieżnie

baczącego na spiskowców.

Dougal spojrział Jackowi Cuttingowi prosto w oczy.

– Mówiąc mi to, podejmuje pan pewne ryzyko, czyż nie, panie Cutting? Wszak nawet mnie pan nie zna.

Jack Cutting wzruszył ramionami.

– Gdyby panu dobrze się układało z ojcem, nie zostałyby pan tutaj zesłany, żeby kierować działem funduszy powierniczych. Zostałby pan w Edynburgu, tak jak pański brat Robert, i kierował sprawami banku w prawdziwie watsonowskim stylu, przy dźwiękach jednej z owych piosenek, którą tacy młodzieńcy jak pan śpiewają w Edynburgu dla dodania sobie animuszu.

Dougal najpierw pomyślał, że tą uwagą powinien się poczuć naprawdę poważnie obrażony. Z pewnością bardzo go zaskoczyła. Jednak Jack Cutting był tak spokojny i opanowany, że Dougal mógł tylko położyć pięści na biodrach jak człowiek, którego pies myśliwski właśnie porwał z okiennego parapetu świeżo upieczony pieróg z mięsem, i zdobyć się na uśmiech.

– Lubi pan ryzyko – powiedział. – To mi się podoba.

– Proszę nie zapomnieć o zaproszeniu mnie na lunch – rzekł Jack Cutting, gdy Dougal odchodził, żeby przyłączyć się do uśmiechniętej Effie i coraz bardziej poirytowanego Malcolma Cockburna.

– Mam nadzieję, że ta mała wycieczka przyniosła panu jakąś korzyść, panie Watson – powiedział cierpko Malcolm Cockburn. – Proszę uważać, ja nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do tego, co ma do powiedzenia pan Cutting. Jest nieco... nonkonformistyczny.

– Po prostu pytałem go o kawę – wyjaśnił Dougal, zmierzając za Malcolmem Cockburnem po schodach.

U szczytu schodów, prezentując twarz równie bladą i twardą niczym jeden z owych rzekomo domowych haggisów firmy McSween's, które wcale nie przypominały tego szkockiego przysmaku z podrobów i ziół zaszytych w baraním żołądku, wisiał wielki portret Thomasa Watsona odzianego w kilt, za nim zaś na elizejskim polu z purpurowej skóry widniał okazały, ale pozbawiony architektonicznego wyrazu gmach Watson's Bank.

– Czuję się prawie jak w domu – powiedziała Effie i udała zdumienie, gdy Dougal parsknął.

## 15

Państwo Cockburnowie nie byli bogaci według standardów Najbogatszych. Nie byli Astorami, Widnerami ani Roxburghami, ale Vera Cockburn była średnią i najładniejszą córką Lorda Telscombe, a Malcolm Cockburn miał niebywale koneksje w bankowości i w dyplomacji, jeśli zatem Najbo-

gatsi akurat nie mieli ciekawszych planów, zwykle przyjmowali zaproszenie na wieczór przy Eaton Square. Chociaż ani Malcolm, ani Vera nigdy by się do tego nie przyznali, zawsze się starali, żeby żaden z ich wieczorów nie kolidował z którymś z bardziej atrakcyjnych wydarzeń sezonu, jak słuchanie u Alfreda de Rothschilda jego własnej orkiestry czy wiosenny bankiet u księżnej Sutherland. I podczas gdy Najbogatsi jeździli do zamku Waddesdon albo do posiadłości księcia i księżnej Devonshire w Chatsworth, jeśli chcieli odpocząć, polować, pić szampana z roku 1874 i trochę się „zabawić”, to wiedzieli, że jeśli przyjdą do Cockburnów, będą mogli rozmawiać o kursach walut, funtach, dolarach i dowiedzą się, kto dorobił się milionów, a kto właśnie stracił.

Pierwsze lata dwudziestego stulecia widziały upadek wielu dawnych, dziedzicznych fortun, a także licznych agresywnych, obrzydliwie bogatych parwenuszy, którzy zaczęli dominować w wyższych sferach londyńskiej socjety. Najboleśnieszsze zaś było to, że wielkość majątku jakiegoś osobnika zaczęła określać jego swobodę towarzyską. Jeśli był tylko milionerem, a nie multimilionerem lub miliarderem, uważano za niestosowność, jeśli opuści przyjęcie lub bankiet, zanim postanowi to zrobić ktoś odpowiednio bogatszy.

Londyn radosnej ostatniej dekady dziewiętnastego stulecia odszedł w przeszłość i chociaż teraz królem był Edward, nadchodzące zdziecinnienie Imperium oraz rosnące napięcia między Niemcami, Wielką Brytanią i Francją już zabarwiały erę edwardiańską jesiennym światłem gasnącego dnia.

Towarzystwo, które państwo Cockburnowie zgromadzili następnego wieczoru po przyjeździe Effie i Dougala z Edynburga, niby to wysławiało niedawną ucieczkę dziedziczki króla ropy i żelaza z Cincinnati, Heleny Zimmerman z księciem Manchester. Helena i księżę zniknęli jednocześnie w listopadzie ubiegłego roku i oboje rozpaczliwie pragnęli małżeństwa; Helena – bo była rozpaczliwie zakochana, a księżę – ponieważ był równie rozpaczliwie zadłużony. Ojciec Heleny, milioner Eugene Zimmerman starał się robić dobrą minę do złej gry i wychwalał księcia ze jego „męską postawę”. Poza tym nie znajdował w nim nic innego, co mógłby pochwalić; brukowa prasa nazywała księcia „rozpustnikiem”.

Effie, w pretensjonalnym różowo-niebieskim pokoju, jaki gospodarze oddali do jej dyspozycji na pierwszym piętrze, ubierała się na ten wieczór z pomocą pokojówki pani Cockburn, Logan. Wyjęła z kufra swą najładniejszą wieczorową suknię; z bładożółtego jedwabiu, z białymi satynowymi rękawami i wysokim białym kołnierzem z czarnymi satynowymi wyłogami. Pokojówka zakręciła jej włosy gorącymi żelaznymi rurkami, upinając je w najmodniejsze fale, chociaż Effie trochę je z tyłu rozczesła z obawy, iż wyda się zepsuta.

Logan, żwawa i ostrożna dziewczyna, która najwyraźniej nie była w stanie upiąć prosto jak należy swego czepka pokojówki, nieprzerwanie nuciła popularną piosenkę *Hallo, Central, Give me Heaven*.

– Wie pani, pani jest taka ładna – powiedziała do Effie, spoglądając wesoło na jej odbicie w lustrze toaletki – że powinna to pani wykorzystać. Rozumie pani, co mam na myśli?

Effie obróciła głowę i spojrzała na siebie w lustrze. Nigdy wcześniej nie sądziła, że jest, ani że kiedykolwiek będzie ładna. Charity McIntyre, która mieszkała po przeciwnej stronie Charlotte Square, zawsze ją przyćmiewała lśnącymi złotymi lokami, zgrabnym noskiem, który nawet Jamie Arbutnott porównywał do „małego pączka róży”. Jednak teraz, z włosami utrefionymi w londyńskim stylu, twarz Effie uległa zmianie, czyniąc ją nagle bardziej ponętą i dojrzałą. Podeksycytowanie przyjazdem do stolicy także przydało jej czegoś: odrobiny jakiegoś nowego blasku podobnego do pierwszego migotania światła w rozżarzającej się lampie. Według norm obowiązujących w Edynburgu ów blask był prawdopodobnie nieco nieprzyzwoity, stanowił bowiem połączenie kobiecej energii i prowokacyjnej pewności siebie. Amerykanie natomiast chętnie porównaliby ją, gdy tak siedziała przed toaletką, do którejś z owych dziewcząt rysowanych przez Charlesa Dana Gibsona.

Effie wciąż była przerażająco niewinna, ale zaczynała wyrastać na osobę pełną gracji i pewności siebie. Nie była jeszcze modnisią, lecz nie doskwierała jej bieda, a Londyn stanowił prawdziwą skarbnicę wytwornych strojów łącznie z królewskimi sukniami i frakami noszonymi w Eaton oraz pięknie skrojonymi spódnicami. Jeśli chodzi o kobiety, rok 1901 w Londynie był jedną z najbardziej szykownych epok w dziejach świata, a największego blasku dodawały im kapelusze. Były kapelusze poranne, kapelusze popołudniowe i kapelusze wieczorowe. Kapelusze piknikowe i kapelusze operowe. Z dużym rondem i toczki. Wszystkie były duże, obszyte koronką, ozdobione wstążkami albo kwiatami i owocami lub nawet całymi gniazdami piskląt.

– Nie jest pani nieśmiała, prawda? – zapytała Logan, odkładając grzebień i szczotki. – Zresztą nie ma się czego bać.

Effie spojrzała na nią, a potem lekko wzruszyła ramionami.

– Chyba jestem trochę zdenerwowana – odparła i przyglądziła niesforny kosmyk, który Logan natychmiast z powrotem wsunęła na miejsce rączką grzebienia. – Ze wszystkich sił staram się być odważna i śmiała, ale czasami ogarnia mnie lęk.

– Cóż, proszę się nie obawiać – rzekła Logan. – To tylko ludzie, ci wszyscy milionerzy, tacy sami jak my. Kiedyś musiałam pomóc księżnej Devonshire zmienić suknię. Powinna pani widzieć jej gorsety! Nie zdziwiłabym się, gdyby zrobiono je w stoczni w Chatham. Ilekroć więc widzę teraz którąś z tych wspaniałych, sztywno wyprostowanych dam,

myśle o tym, co noszą pod spodem i wtedy nie czuję się gorsza.

Effie poczuła, jak własna spodnia część garderoby ścisła jej talię. Widziała nowe różowe gorsety reklamowane w czasopiśmie dla dam i obiecała sobie, że nabędzie nową bieliznę, gdy tylko znajdzie czas, by pójść na zakupy. Były też inne rzeczy, których chciała spróbować; rzeczy, których nigdy nie ośmieliłaby się kupić w Edynburgu. Nowe perfumy, tonik do włosów „Księżniczka”, a także (z największym zawstyżeniem, ale i z największą ochotą) najśłynniejszą na świecie odżywkę firmy La Doré, „niezrównaną w kształtowaniu jędrnego, pełnego, krągłego biustu”. Jej własne piersi były ładnie ukształtowane, ale bardzo chciała mieć taki obfity i strzelisty biust, jaki najwyraźniej posiadały tak liczne mieszkanki Londynu.

Wreszcie Effie była gotowa. Logan raz czy dwa razy przebiegła na palcach przez podest schodów, by zobaczyć, kto przybył. Za drugim razem wróciła z „sensacyjną” wiadomością.

– Właśnie przybył wicehrabia Harding, a przed dom zajechał powóz państwa Stanleyów. Pan Edward Stanley poślubił lady Alice Montagu, która jest córką ojca księcia Manchester. Cóż, wiem, że to jest skomplikowane, ale nie musi pani tak się dziwić. W arystokracji wszyscy są ze wszystkimi spokrewnieni. Moja mama mówi, że to ich trzyma przy życiu.

Z parteru dochodził wibrujący dźwięk wiolonczele i skrzypiec grających Mozarta. Rozległo się też delikatne pukanie do jej drzwi. Stał w nich Dougal, równie zdenerwowany jak ona, ale cudownie elegancki w czarnym fraku i białej frakowej koszuli.

Effie ostatnim pociągnięciem wygładziła na przedramionach wieczorowe rękawiczki z bladej szarego atlasu i wzięła głęboki oddech.

– Gotowa? – zapytał Dougal.

– Tak, sądzę, że tak – odpowiedziała, przetykając ślinę. – Ależ jesteś dzisiaj elegancki!

– Powinnaś zobaczyć siebie. Wyglądasz naprawdę cudnie.

Wydawała mu się elegancka i wytworna. Wcześniej ojciec zabierał ich do Highland Society Dinners, a Effie była kiedyś zaproszona na doroczny bankiet prezentacyjny Szkockiego Towarzystwa Bankierów, ale nawet precyzyjnie przestrzegane maniery wyższych sfer Edynburga wydawały się prowincjonalne, gdy myśleli o etykiecie lordów, książąt i milionerów.

Dougal podał Effie ramię i razem zeszli do szerokiego holu, gdzie Jerome, kamerdyner państwa Cockburnów, witał gości, a odźwierny, Michael, zajęty był odbieraniem od nich płaszczy, peleryn i szali. Brzydki zielono-żółty stojak na parasole był już pełen srebrnych i pozłacanych lasek, a chociaż w holu było chłodno z powodu wpadającego z zewnątrz zimnego powietrza, przepelniał go aromat kosztownych perfum, futer i czegoś, co Effie wydawało się zapachem bogactwa.

– Dajże spokój – powiedział później Dougal. – Pieniądze nie pachną.

– Ależ tak, pachną! – odparła Effie. – Pieniądze mają szczególny zapach. Wyjątkowy i charakterystyczny wyłącznie dla siebie.

Przez otwarte mahoniowe drzwi, które prowadziły do rozświetlonego salonu, Effie widziała tłum wysokich, posągowych kobiet, niemal bez wyjątku uderzająco pięknych oraz niskich, szpetnych mężczyzn, niemal bez wyjątku łysych. Ten przedziwny kontrast między mężczyznami a kobietami uderzył ją z taką siłą, że z trudem oparła się przed szturchnięciem Dougala w żebra, aby zwrócić mu na to uwagę. Lord Philtyrich i jego piękna narzeczona przypominali karykaturalną parę kukielek z ulicznego teatrzyku. Wyglądało na to, że Consuela Vanderbilt, śliczna dziedziczka fortuny zbudowanej na transporcie morskim i kolejowym, która ostatnio została zmuszona przez matkę do poślubienia niskiego i nieurodzonego księcia Marlborough, była tylko jedną z wielu dziewcząt wydawanych za mąż dla pieniędzy lub tytułów. Albo dla jednego i drugiego.

Gwar rozmów był donośny, a śmiech brzmiał tak wysoko, że dźwięczały zyrandole. Gdy podeszli do drzwi, gdzie miano ich zaansować, Effie uchwyciła strzępy jakiejś plotki, że „...to kosztowało Gouldów prawdziwą fortunę...!” i „...nie wiem, dlaczego musiała się zakochać w gwardziście... „ a potem „...uwaga, że to nie jest warte pół miliona...”.

– Pan Dougal Watson i panna Effie Watson – zaansował ich odzwierny.

Pani Cockburn, z dłońmi unoszącymi się niczym spłoszone gołębie, pospieszyła ku nim przez salon.

– Dougal, Effie, wyglądzie cudownie! Effie, cóż za czarująca suknia! Musicie poznać kilka osób! Malcolma oczywiście znacie. Oto inni! Henry, mój drogi, chcę ci przedstawić Dougala i Effie Watsonów, właśnie przyjechali z lodowatej północy!

Effie, to jest Henry Baeklander.

Henry Baeklander był w tym gadatliwym i hałaśliwym tłumie równie wysoki, równie odosobniony i równie milczący jak słup. Dobiał czterdziestki, choć ze swą zniekaną twarzą wyglądał przynajmniej pięć lat starzej. Z powodu ciężkich brwi, głęboko osadzonych, jasnych oczu oraz groźnie pociągającej linii szczęki i pełnych warg przywiódł Effie na myśl Abrahama Lincoln. Frak wisiał na nim jak habit zakonnika powieszony na sznurku do suszenia prania. Jego ciemne gęste włosy przetykały pasma siwizny.

– Miło mi panią poznać, panno Watson – powiedział z wyraźnym amerykańskim akcentem. – Pana również, panie Watson. Zapewne są państwo dziećmi szanownego pana Thomasa Watsona ze Szkocji. Nigdy mi nie mówił, że ma tak urocze potomstwo.

– Właściwie już nie dzieci, pani Beaklumber – odparł Dougal.

– Baeklander. Jestem prezesem Baeklander Trust.

– Ach, ten Baeklander – Dougal klepnął się w czoło. – Przepraszam,



powiniennem się domyślić. Cóż, panie Baeklander, jestem pod wrażeniem. Mówi się, że fortuna była dla pana łaskawa w tym roku.

– Zarobiłem trochę pieniędzy – przyznał Baeklander, podążając wzrokiem przez cały salon ku jakiejś pięknej brunetce z pięcioma sznurami pereł oplatającymi jej szyję, w sukni z brzoskwińowo-różowego atłasu z głębokim dekoltem obszytym koronką i białą aksamitką. Effie ujrawszy tę dziewczynę, nagle poczuła się przesadnie wystrojona i nieelegancka w swej bladożółtej sukni, zwłaszcza gdy obok przemknęła inna wytworna dama, na której szyi widniał ogromny rubinowy wisior. Henry Baeklander powrócił jednak do Effie i powiedział: – Wygląda pani świeżo jak wiosenny kwiatek, panno Watson, jeśli pozwoli mi pani, abym powiedział jej komplement. Jak pierwiosnek w znękanym zimą krajobrazie.

Effie, zakłopotana bezpośredniością Henry'ego Baeklandera, oblała się rumieńcem.

– Jest pan poetą, panie Baeklander – rzekł Dougal z opiekuńczą irytacją dumnego Szkota. – To nieczęste u bankiera.

– Nieczęsto spotyka się tak niezeepsutą młodą damę w takim otoczeniu – odparł Henry Baeklander, a jego wydatne wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. – Wielka szkoda, że nie będzie dzisiaj tańców, panno Watson; gdyby bowiem były, nalegałbym, by jako pierwszego wpisała mnie pani do swego karneciku.

– Moja siostra bawi w Londynie tylko z krótką wizytą. Potem jedzie do Putney.

– W takim razie – powiedział Henry Baeklander – musimy wykorzystać każdą godzinę pani pobytu tutaj, czyż nie, panno Watson? Jak się miewa pani ojciec? Nie widziałem go od sześciu lat.

– Jest w dobrym zdrowiu, dziękuję, panie Baeklander.

– Proszę nazywać mnie Henrym. Czy mogę zwracać się do pani po imieniu, Effie? To śliczne imię. Moją babcię nazywano Effie, choć naprawdę miała na imię Minnie. Była tyranką, a poza tym miała w salonie więcej bibelotów i świecidełek niż ktokolwiek inny. W domu babci Effie nie można było się obrócić, żeby nie wpaść na jakąś porcelanową papugę, zegar czy coś innego. Wtedy było to modne w Minnesocie.

Dougal zmarszczył brwi, ale Effie nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś takiego jak Henry Baeklander. Sprawiał wrażenie tak dziwnego, a jednocześnie tak beztroskiego; chociaż gdy sobie przypominała, że jest prawdopodobnie jednym z najbogatszych mężczyzn w tym salonie, w istocie nie było to szczególnie zaskakujące. Już wcześniej słyszała, że jest właścicielem parowca jeszcze większego niż należący do Vanderbiltów jacht „North Star”. Parowy jacht Baeklandera nosił nazwę „Excelsior”, jego załoga liczyła dziewięćdziesiąt trzy osoby, a szefem kuchni był mistrz z paryskiego hotelu Ritz, niejaki August Noustens.

– Czy zna pan mojego ojca, panie Baeklander? Chciałam powiedzieć: Henry...

– Znam go doskonale, moja droga. Podziwiam go. Solidny zmysł inwestycyjny, oto co uczyniło twojego ojca tym, kim jest obecnie. Poza tym nie szasta ostentacyjnie pieniędzmi, co również podziwiam. W Ameryce niemal nie można utrzymać pozycji towarzyskiej, jeśli nie posiada się jachtu, jakiegoś „zamku nad Renem” przy Fifth Avenue naprzeciwko Alberta C. Bostwicka lub Leviego P. Mortona oraz letniej rezydencji w Newport z korynckimi kolumnami i dziesięcioma łazienkami. Można wydać pół miliona dolarów rocznie na same kolacje i tańce.

– Nie brzmi to zbyt roztropnie – cierpko zauważył Dougal.

– Och, ale jakże zabawnie! – wykrzyknęła Effie. – Czy znasz państwa Vanderbiltów, Henry?

– W przeddzień wyjazdu z Nowego Jorku jadłem kolację z Williamem K. Vanderbiltem Juniorem u „Shery'ego”. Prostack, ale go lubię.

– Prostack? – zachichotała Effie – Nigdy nie słyszałam czegoś takiego o żadnym z Vanderbiltów.

– Słyszałem o nich gorsze rzeczy – powiedział Dougal.

Henry Baeklander, nie budząc zainteresowania Dougala, subtelnie skłonił się z daleka posągowej młodej brunetce w zielonej szyfonowo-aksamitnej sukni. Dziewczyna natychmiast opuściła krąg, w którym oddawała się konwersacji i skierowała się w ich stronę. Henry Baeklander ujął łokieć Dougala i łagodnie obrócił go tak, aby objawił mu się obraz towarzyskiej piękności.

– Panie Watson – rzekł Henry – sądzę, że chciałby pan poznać pannę Emily Prescott, córkę pułkownika Herberta Prescottta z Oxfordshire. Przebywa teraz w Londynie u swojej ciotki, czyż nie, Emily?

Emily Prescott dygnęła i lekko się zarumieniła.

– Jestem zachwycony, mogąc panią poznać, panno Prescott – wymamrotał Dougal, ujmując jej dłoń.

– Och, jest pan Szkotem – uśmiechnęła się Emily. – Jakież to romantyczne!

Dougal wybałuszył oczy ku Effie w niemej prośbie o pomoc, ale siostra po prostu wzruszyła ramionami, roześmiała się i wróciła do Henry'ego Baeklandera.

– Uwielbiam Roberta Burnsa – powiedziała Emily Prescott. Miała jeden z tych niskich, manierycznych głosów, które sprawiały, że zdawało się, jakby nieustannie wzdychała za miłością lub wonią róż, albo że zbyt ciasno związano jej gorset. Usiłowała nadać swym słowom szkocki akcent, ale robiła to nieudolnie. Dougal chrząknął i ją poprawił, co przyjęła z wyraźną ekstazą. – Och, panie Wilson, pan mnie zachwyca.

– Watson – skorygował Dougal, najdelikatniej jak mógł.

– Jak? – spytała Emily, mrugając oczami.

Henry Baeklander znów uśmiechnął się do siebie i spokojnie poprowadził Effie na drugi koniec salonu, obok marmurowego kominka, gdzie ogromne włoskiego lustro odbijało jasne twarze i wytworne stroje zgromadzonych, którzy wiedzieli, że wiodą życie uprzywilejowanych i sławnych, i delektowali się nim bardziej niż szampanem. „Życie w bogactwie, powiedział kiedyś ojciec Effie, to życie w stanie ciągłego odurzenia”.

– Biedny Dougal – powiedziała Effie, spoglądając na podejmowane przez brata próby zabawiania Emily Prescott.

– Nie martw się o niego. Da sobie radę. Emily jest teraz jedną z najbardziej czarujących samotnych dziewcząt w tym mieście, nawet jeśli jedną z najgłupszych.

– Długo zabawisz w Londynie? – zapytała Effie.

– Jeszcze dwa tygodnie. Potem popłynę na południe, na Morze Śródziemne, żeby przez miesiąc zażywać słońca. Następnie wracam do Nowego Jorku i interesów.

Podszedł do nich służący ze srebrną tacą, na której stały dwa kieliszki szampana. Henry sięgnął po obydwu, by jeden podać Effie. Kiedy to zrobił, uchwycił jej spojrzenie, a Effie, chociaż najpierw chciała odwrócić wzrok, pomyślała: nie, nie zrobię tego, stawię mu czoło, i wytrzymała jego spojrzenie tak długo, aż na twarz Henry'ego wrócił wyraz rozbawienia, a oczy zamigotały uznaniem.

– Chcę wypić za twoje zdrowie – powiedział, unosząc kieliszek. – Jesteś nie tylko śliczna i świeża, ale masz też własną wolę.

– Wypiję za łaskawość fortuny – odparła Effie i oboje bardzo delikatnie zetknęli brzegi swych kieliszków.

– Za łaskawość fortuny – ciepło powiedział Henry.

Szampan był perlisty, chłodny i wyjątkowo wytrawny. Effie wcześniej piła szampana tylko raz, na weselu Sophie MacFarlane w Cramond. Łaskotał ją w usta i dał uczucie, że jest bardzo wyrafinowana i dorosła. Henry Baeklander również dawał jej to uczucie, ale w sposobie, w jaki na nią patrzył i z nią rozmawiał, było coś, co tak poruszało jej wnętrzości, jakby żołądek, wątroba i serce postanowiły urządzić wyścigi w obrębie gorsetu, i nie była pewna czy to doznanie jest wyrafinowane czy nie. Czuła się tak, jakby czegoś pragnęła, ale nie wiedziała czego. Było to niemal irytujące, ale również ekscytujące. Czuła, że gdyby ktoś dotknął jej nagiej skóry, wzdrygnęłaby się, a jednak myśl o kimś muskającym jej nagą skórę była pobudzająca i podniecająca.

– Naprawdę nie wybierasz się do Putney tak szybko, prawda? – zapytał Henry.

– Nie – przyznała, spuszczać wzrok. – To tylko braterska opiekuńczość Dougala.

– Chyba mógłbym zabrać cię jutro na przejażdżkę. Jeździsz konno?  
– Trochę.  
– Czy zechciałabyś ze mną pojechać? Panna Prescott mogłaby nam towarzyszyć jako przyzwoitka.

– Nie wiem. Musisz mi dać trochę czasu do namysłu.

Henry wypił nieco szampana, obserwując ją znad krawędzi kieliszka.

– Doprawdy potrzebujesz czasu do namysłu? – zapytał. – Niezbyt mi pochlebiasz.

– Rzecz w tym, że jestem niezależna.

– Jesteś niezależna. Nie wyglądasz na feministkę.

– Nie jestem feministką – odparła Effie. – Jestem indywidualistką.

– Rozumiem – rzekł Henry. Dał do zrozumienia, że się z nią droczy, skłaniając do powiedzenia czegoś prowokującego. Zapytał więc: – Czy to oznacza, że nigdy nie wyjdiesz za mąż, że nie będziesz szukać męża, aby ci służył, że nie będziesz wychowywać dzieci, ani nie poświęcisz życia, by uczynić swój dom możliwie najbardziej przytulnym gniazdem?

– Nie wyjdę za mąż, jeśli się nie zakocham.

– A jeśli naprawdę się zakochasz? Gdzie wtedy będzie twój indywidualizm?

– Po pierwsze i najważniejsze, chcę być bankierem. Wtedy, gdy to osiągnę, będę myśleć o miłości – powiedziała Effie.

Zrozumiała, że mówi zbyt zapalczywie. W salonie było coraz cieplej i głośniejsze, a ona chyba wypila już cały kieliszek szampana.

– Słucham?! – zapytał Henry, a wcześniejsze rozbawienie na jego twarzy zmieniło się w prawdziwą konsternację.

– Powiedziałam, że chcę być bankierem – oświadczyła Effie wyraźnie.

Henry odsunął połą fraka i oparł rękę na biodrze.

– Wiesz, myślałem, że właśnie to powiesz.

– Cóż, to prawda. Jestem córką Thomasa Watsona i sądzę, że mam do tego talent.

Henry skinął głową.

– Przyznam, że ty mogłabyś. Ale...

– Ale co?

– Ale, mój śmiały wiosenny kwiecie, jesteś dziewczęciem. Dziewczęta nie są bankierami. Bankierzy zaś nie są dziewczętami. Bankowość jest dziedziną zarządzaną i uprawianą wyłącznie przez i dla mężczyzn. Gdy mówisz, że chcesz być bankierem, nawet nie rozumiem, co masz na myśli. Czy sądzisz, że jakiś mężczyzna zechce robić z tobą interesy? Że zaufa twojej ocenie sytuacji finansowej? Nie możesz być przyjęta do żadnego z owych klubów, gdzie toczą się codzienne spory i kłótnie dotyczące bankowości. To tylko marzenie. Kraina baśni.

– Niektóre marzenia się spełniają – powiedziała Effie.

– To prawda – przyznał Henry. – Ale tylko nieliczne. I nie te, które pozostają w jawnej sprzeczności z oczywistą rzeczywistością. Gdybyś powiedziała, że chcesz spróbować swoich sił w stenografii lub obsłudze centrali telefonicznej, to co innego. Jakies proste zadanie, w którym mogłaś okazać się użyteczna, czekając, aż pojawi się kawaler...

– Panie Baeklander – powiedziała Effie – nie mam zamiaru wychodzić za mąż, dopóki nie zostanę bankierem i nie zdobędę własnego majątku.

Henry ujął jej dłoń i mocno uściśnął.

– Effie, kocham cię. Wyjdź za mnie. Wyjdź za mnie w przyszłym tygodniu. Oszczędź sobie burz i niedoli tego indywidualizmu czy feminizmu, czy jakkolwiek go nazywasz.

– Żartujesz ze mnie.

Nie wypuścił jej ręki. Podniósł lekko głowę i spojrzał na nią z powagą.

– Nie, Effie. Nie żartuję.

– Cóż, z pewnością nie zamierzasz mnie poślubić.

– I właśnie tu się mylisz.

Effie rozejrzała się wokół, patrząc na stojących obok ludzi. Jakaś niska pięćdziesięciolatka w ogromnym kapeluszu ze strusim piórem obdarzyła ją pobłażliwym uśmiechem, a potem odwróciła się do mężczyzny, z którym wcześniej rozmawiała i zapytała ostro:

– Kim jest ta dziewczyna? Tak bardzo przypomina mi Lucy Jones-Radleigh, że aż trudno mi wyrazić!

– Moja żona zmarła trzy lata temu. Od tego czasu jestem sam. Przypuszczam, że mógłbym mieć każdą kobietę, na której spocznie mój wzrok, ale spójrz na nie: twarde, zblazowane suki w diamentach, jeśli wybaczysz mi słownictwo.

– Henry... – zaczęła Effie, ale właśnie wtedy podeszła Vera Cockburn z jakąś elegancką młodą parą, której uśmiechy wydawały się przyklejone woskiem.

– Henry, przywłaszczyłeś sobie Effie – rzekła Vera Cockburn. – Effie, poznaj państwa Cyrila i Amelię Clough-Martinów. Są bardzo poruszeni, ponieważ Anthony Clough-Martin, wuj Cyrila, właśnie został mianowany zastępcą brytyjskiego konsula w Egipcie, hrabiego Evelyn Beringa Cromera.

– Nie możemy się doczekać wyjazdu do Kairu, żeby zobaczyć, jak Tony się kłania przed jakimś jegomościem – wykrzyknęła Amelia Clough-Martin.

– Zwykle był kapitanem zawodów w Cambridge i trzeba było widzieć, co robił tym biednym wioślarzom!

– Nie daję szans biednemu staremu Kedywowi – dorzucił Cyril, a potem wybuchł serią pięciu rechotów, które skończyły się równie szybko, jak się zaczęły.

Henry szepnął cicho do Effie:

- Pojedź ze mną, proszę. Wpadnę po ciebie o jedenastej.
- Nie wiem – odpowiedziała. Ujął jej rękę i poczuła zawrót głowy, jakby ścisnął jej ramię, by uchronić ją przed upadkiem.
- Jeśli pojedziesz – mówił dalej – przypnij chusteczkę do rękawa, zanim wyjdę dziś wieczorem. To ci da czas do namysłu.
- Bardzo przereklamowany ten wasz przeciętny Egipcjanin – powiedział Cyril Clough-Martin. – Wcale nie przypomina popularnego wyobrażenia o szlachetnym sokolonosym gościu mknącym przez pustynię w rozwianej szacie. Egipcjanie to w większości chłopci, zwykle źli. Także niechlujni. Rozmawiałem kiedyś ze Scott-Moncrieffem, wiecie, tym jegomościem, który budował Tamę Asuańską, i on twierdzi, że są okropnie beznadziejni. Beznadziejni! Nigdy nie będą umieli rządzić się sami, nawet za milion lat.
- Poznajcie państwa Stanleyów – Amelia Clough-Martin wykrzyknęła piskliwie. – Edward zna taką śmieszna historię o Rothschildach. Musicie go namówić, żeby ją opowiedział, zanim zjawi się pan Alfred.

## 16

Poznanie Alfreda de Rothschilda było dla Effie najważniejszym z przeżyć jej pierwszej wizyty w Londynie i trzecim najbardziej obiecującym doświadczeniem w całym jej życiu. Była skłonna oczekiwać kogoś absurdalnie semickiego; jakiejś haczykowatosej karykatury syjonisty niedorzecznie bogatego i nieprawdopodobnie wulgarnego. Tymczasem poznała zabawnego i kulturalnego mężczyznę, który mógł za sprawą ogromnego majątku zaspokoić każde ze swoich upodobań do malarstwa, urządzania wnętrz, muzyki i pięknych kobiet.

Nauczył ją tamtego wieczoru jednej rzeczy: że luksus sam w sobie nie jest wadą, luksus jest sposobem sławienia zmysłów i urzeczywistniania najgłębszych pragnień duszy. „Wielu marzy o pięknie, powiedział jej, nawet żebrak może śnić o pięknie. Ale tylko bogaty może zmienić ten sen w rzeczywistość”.

Pięćdziesięciosześcioletni Alfred, najmniej rothschildowski ze wszystkich Rothschildów, był szczupły, łysy, miał przenikliwe niebieskie oczy i okazałe, gęste bokobrody. Wraz z braćmi, Nattym i Leo, pracował w biurze Rothschildów w New Court, ale był w większym stopniu artystą amatorem niż bankierem. Był też nieco ekscentryczny. W New Court siedział ze stopami wsuniętymi w ocieplacz z norek, zaś jego automobilowi wysyłanemu na stację po weekendowych gości zawsze towarzyszył jeszcze inny samochód, na wypadek awarii.

Uważano go za najwybitniejszego w Anglii znawcę osiemnastowiecz-

nego malarstwa francuskiego, ale był również właścicielem najszybkim i najbardziej pretensjonalnej wiejskiej rezydencji, jaką kiedykolwiek w niej zbudowano. Należący do niego Halton House, nieopodal Wendover w hrabstwie Buckinghamshire, opisany został przez Eustace Balfour jako „knieisko zaprojektowane, krzykliwie ozdobione i... och, aż obezwładnia ogromnym bogactwem. Oko nie może znieść, a pióro nie zdoła opisać upiornej ordynarności tego widoku!”.

Nikt jednak się nie wzbraniał przed gościnnością Alfreda. Mówiono, że gości w Halton House, gdy się obudzili, witał rano lokaj w peruce, za którym podążał inny służący z wózkiem, uprzejmie pytając:

– Kawa, herbata, a może sok brzoskwiniowy, sir?

Jeśli gość odpowiadał, że herbata, lokaj zadawał kolejne pytania.

– Chińska, indyjska czy cejlońska, sir?

– Chińska, jeśli mogę prosić.

– Z cytryną, mlekiem czy śmietanką, sir?

– Z mlekiem, proszę.

– Z mlekiem z Jersey, z Hereford czy z Shorthorn, sir?

Alfreda, gdy tylko przybył na Eaton Square, niemal natychmiast otoczył szebioczący tłum najpiękniejszych kobiet w salonie. Spóźnił się ponad godzinę, ale każdą z pań ucałował na powitanie. Kolacja miała już o pół godziny dłuższe spóźnienie, niż zaplanowała je Vera, a na dole w kuchni kucharka gwałtownym językiem uskarżała się na zmarnowany sos *béarnaise* i utraconą puszystość ziemniaków. Jednak Alfred de Rothschild był najszacowniejszym gościem Malcolma Cockburna. Nawet okrucieństwo informacji z New Court wart był bochna plotek z Barringsa czy Couttsa. Kolacja mogła poczekać, reszta gości mogła poczekać. Nowe kucharki można było sprowadzić z jakiejś agencji. Nowych gości można było znaleźć wszędzie. Nikim jednak nie można było zastąpić Rothschilda.

– Cóż, Malcolmie, gościsz tu dzisiaj kilka wyjątkowo pięknych pań – rzekł Alfred donośnie – Same angielskie róże.

– Jest tu również jedna szkocka róża – zawołał Henry Baeklander z drugiego końca salonu.

Alfred rozejrzał się wokół, żeby zobaczyć, kto to powiedział.

– Ach, to ty, Henry – rzekł, unosząc palec. – Wydawało mi się, że rozpoznaję ten okropny kolonialny akcent.

– Miło widzieć, że się obudziłeś, Alfredzie – odparł Henry. Alfred de Rothschild znany był z tego, że wstaje późno, do biura przychodzi o drugiej po południu, lunch jada o czwartej, a potem czeka, aż bracia wyjdą stamtąd o piątej, żeby wyciągnąć się na skórzanej sofie i spać.

– Miło widzieć cię przy życiu, Henry – odparował Alfred. – Gdzież jest ta twoja szkocka róża? Myślałem, że Szkocja to tylko kilty i skąpcy.

Henry wyciągnął rękę i chociaż Effie stała w rogu obok serwantki,

rozmawiając z Edwardem Stanleyem i Philomeną Daubry, dziedziczką fortuny właścicieli winnic Daubry, wszyscy w salonie obrócili się w jej stronę, więc zakłopotana i zażenowana musiała prosić o wybaczenie, przezwyciężyć tę rozmowę i zrobić krok do przodu.

– Cóż, moja droga – powiedział Alfred de Rothschild, pochylając głowę i sięgając po jej dłoń, – Doprawdy jest pani piękną młodą Szkotką. Henry – zwrócił się do Baeklandera – gratuluję spostrzegawczości. Vero, moja droga – rzekł do gospodyni – chcę być pewien, że ta śliczna istota będzie siedziała obok mnie przy kolacji. To naprawdę rozkoszna niespodzianka. Niemal wieczór adoracji.

Jego „wieczory adoracji” były dobrze znane. Ponieważ ostatnio wszedł w posiadanie zbankrutowanego Gaiety Theater, poznał kilka najpiękniejszych londyńskich aktorek i często zapraszał je na kolacje tête-à-tête lub najwyżej z trzema czy czterema zaprzyjaźnionymi dżentelmenami.

– Pan mi pochlebia, panie de Rothschild – powiedziała Effie. – Ja jednak wolałbym być raczej szanowana niż adorowana.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Alfred de Rothschild spojrział uważnie na Effie, potem na Henry'ego, a później na Malcolma Cockburna, który zdobył się na cierpki uśmiech, a następnie przysłonił dłonią oczy.

– Dobrze więc – ze skinieniem głowy rzekł Alfred do Effie – jeśli tym, czego pani pragnie, jest szacunek, obdarzę panią całym szacunkiem, na jaki pani zasługuje. Słyszac zaś, że mówi pani z taką śmiałością, przyznam, iż zasługuje pani na bardzo wiele.

Salon wypełnił się niezręcznym śmiechem. Sytuację uratował lokaj Jerome, pojawiając się w drzwiach i ogłaszając, że podano do stołu.

Trzydziestu gości zasiadło do stołu nakrytego kremowym irlandzkim obrusem i ozdobionego wielkimi srebrnymi kandelabrami unoszonymi przez posrebrzane niewolnice i arabskich chłopców w turbanach. Alfreda de Rothschilda posadzono pośrodku stołu, z Effie na wprost niego, głównie ku irytacji lady Pennington, dla której początkowo przewidziane było to miejsce. Pan Alfred rozmawiał i śmiał się przez całą kolację, ale nic nie jadł ani nie pił, mimo że stawiano przed nim każde danie. Dopiero później Effie dowiedziała się, że cierpiał na rzadką chorobę żołądka, której nie umiał wyleczyć żaden z jego lekarzy.

– Jest w pani coś niezwykłego – powiedział do Effie, gdy ona niosła do ust łyżkę z zupą żółwiową. – Ma pani cechę, którą nieczęsto zauważam u londyńskich kobiet. To chyba jakaś czystość. Brak próżności.

– Myślę, że potrafię być tak samo próżna jak każda inna kobieta – odparła Effie.

– Z pewnością tak, moja droga – rzekł Alfred – ale pani ma jakąś wewnętrzną siłę; jakąś wyraźną determinację. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że albo odniesie pani w życiu wielki sukces, albo skończy w nędzy.



– Czy kiedykolwiek nadejdzie czas, gdy pieniądze przestaną pana interesować? – zapytała Effie.

Alfred podparł brodę jedną ręką, a palcem drugiej przesunął po wzorze na obrusie.

– Pieniądze? No cóż, pieniądze jako pieniądze już dawno przestały mnie interesować. Bankowość nie jest najbardziej ekscytującą profesją na świecie. Wciąż jednak fascynuje mnie luksus. Bawią mnie możliwości, które dają pieniądze. Wie pani, zanim rano udam się na przejażdżkę po Hyde Parku, dozorczy rozmyślnie rozrzucają kamienie na drodze mojego powozu, a potem pospiesznie je usuwają, gdy się zbliżam, więc nagrodzę ich za uprzejmość i skrupulatność. Już to jest szczególnym luksusem. Był nim również cyrk, który stworzyłem dla siebie, z występami psów i kucyków. Pieniądze pozwalają mi zrealizować każde pragnienie; materialne i duchowe, poważne i śmieszne. W moim prywatnym salonie grał Niccolini. U mnie wystąpiła Nelly Melba, grał Liszt i śpiewał Reszke. Luksus jest siłą, która pozwala wyposażyć nam świat we wszystko, o czym większość zwykłych ludzi może tylko marzyć; zmienić marzenie w rzeczywistość. – Zrobił przerwę, a potem dodał z nutą żalu: – Oczywiście nie wszystkie umysły odnoszą się życzliwie do tego urzeczywistniania. Niektórzy na przykład nie cierpią mojej wiejskiej posiadłości i jak sądzę, mają do tego prawo. Pani umysł natomiast, czuję to, ma właściwe proporcje. Jest pani kobietą, a jednak wyczuwam w pani siłę męczyzny.

– Chcę być bankierem – spokojnie powiedziała Effie.

Mężczyzna siedzący po jej lewej stronie, trzeci lord Winslow, spojrział na nią z całkowitym zdumieniem i niemal zakrztusił się tłustym kawałkiem żółtego mięsa.

Alfred de Rothschild jednak oparł się w fotelu i uśmiechnął do Effie przez migotliwe płomyki świec.

– Bankierem! Kobieta bankierem! No proszę: oto ambicja! Mamy tu damę, która chce być bankierem, a nigdy nie będzie, zaś naprzeciwko niej siedzi bankier, który żałuje, że jest bankierem i który ma równie minimalne szanse, aby uzyskać to, czego pragnie. Czyż to nie ironia?!

Na końcu stołu Henry Baeklander pogrążony był w intensywnej rozmowie z Dougalem, ignorując pyzatą damę, która ze smutkiem jadła zupę, raz za razem ocierając wargi i cicho wzdychając.

– Powinieneś pracować na Wall Street – mówił Henry. – Wiadomo, co się tutaj stanie. Ojciec zostawi cię w departamencie funduszy powierniczych, niczym młodego rekina, a następną rzeczą, jaką zrozumiesz, będzie konstatacja, że dobiegasz sześćdziesiątki, jesteś gotów do przejścia na emeryturę i niczego nie osiągnąłeś. Chcesz, by Dougal Watson odszedł jako wielkie nazwisko w bankowości, prawda? Chciałbyś niewielkiego pomnika na swoją cześć? Czy może plakietki?

– Jestem całkiem zadowolony ze swoich perspektyw w Watson's Bank, dziękuję – odparł Dougal. – Nie wydaje mi się, abym zabawił w departamencie funduszy zbyt długo.

– Czy Malcolm Cockburn o tym wie?

– Nie. I wolałbym, żebyś mu o tym nie wspominał.

– Nie wspomnę. Zapewniam. Jestem bankierem. Możesz mi ufać. Przemyśl jednak moją ofertę. Możesz przyjechać i pracować dla Funduszu Powierniczego Baeklandera, kiedy uznasz za stosowne – zawahał się, wypił trochę białego bordeaux i powiedział: – Spodziewałbym się oczywiście, że przywieziesz ze sobą Effie.

Dougal odłożył łyżkę.

– Effie?

– Tak. Nie jesteś aż tak naiwny, prawda?

– Chyba nie wiem, o co ci chodzi – odparł Dougal.

– Na pewno wiesz. Na pewno wiesz, o co mi chodzi. Mówię o dobrym, staroświeckim dobijaniu targu. Posada za narzeczoną. To wszystko.

Dougal był zakłopotany.

– Chcesz powiedzieć, że...?

– Zrozumiałeś – rzekł Henry Baeklander zdecydowanie. – Dokładnie mnie rozumiałeś. Twoja siostra Effie jest czymś wyjątkowym. Spójrz na nią, popatrz jak jaśnieje! Pan Alfred nie może oderwać od niej oczu. Podobnie jak wszyscy inni panowie w tym salonie. Pragnę jej, młody Dougalu Watson. Chcę ją mieć dla siebie.

## 17

Następnego ranka było mgliście i wilgotno, więc jechali po przecinających Hyde Park drogach do konnej jazdy tak, jakby przedzierali się przez pejzaż z zimowego snu. Powietrze przesycone było zapachem mokrej trawy i opadających liści oraz nieuniknioną kwaśną goryczą tysięcy dymiących kominków. Łoskoczące powozy jeździły z zapalonymi lampami, a autobusy toczyły się za drzewami niczym upiorne platformy z jakiegoś zapomnianego karnawału.

Zimą 1901 roku Londyn był brudny, hałaśliwy i przygnębiający. Dorożkarze i fiakrzy siedzieli zgarbieni pod nieprzemakalnymi daszkami powozów, z mgłą skrzącą się na melonikach, popijając Opatentowaną Miksturę Przeciwkaszlową Doktora Wadhursta, w której było 42 procent alkoholu, 20 procent syropu cukrowego, 5 procent chloroformu, 3 procent opium i 30 procent wody. Jednych wyleczyła, innych zabiła.

Niewykwalifikowani robotnicy w kaszkietach, skórzanych kufajkach i spodniach podciągniętych do kolan znów usuwali klocki drewna z Oxford

Street. Gazety porównywały niekończące się roboty drogowe w Londynie do gigantycznych puzzli i publikowały karykatury uszczęśliwionych drogowców odkrywających bryły, które rzeczywiście pasowały do jezdni.

Londyn był miastem, w którym wielkie bogactwo przeplatało się z równie wielkim ubóstwem. Kiedy Alfred de Rothschild powoli budził się w swoim domu przy Seamore Place z oknami wychodzącymi na ścieżki, gdzie Effie i Henry Baeklander jeździli konno, ponad jedna trzecia mieszkańców miasta od świtu była już na nogach, walcząc o przeżycie. Bose dzieci, nawet w zimie, były powszechnym widokiem, podobnie jak całe rodziny, których domami były parkowe ławki. Will Crooks, członek parlamentu z ramienia Partii Pracy, który wychował się w przytułku, powiedział, że „to samo słońce, które nigdy nie gaśnie nad Imperium, nigdy nie wschodzi w mrocznych zaułkach East Endu”.

Chociaż niewielu kwestionowało prawomocność brytyjskiej władzy nad tak zróżnicowanym i rozległym Imperium, wielu polityków i ekonomistów zaczynało pytać, czy olbrzymich sum inwestowanych za granicą nie można było lepiej spożytkować w kraju, wielu też dostrzegło już rysy na imperialnej fasadzie.

Londyn spowity mgłą tego styczniowego dnia 1901 roku, gdy Effie jechała konno wzdłuż Rotten Row z Henrym Baeklanderem, był światową stolicą bogactwa, arogancji, samozadowolenia i desperacji.

Henry w stroju do konnej jazdy i szarym przedpołudniowym kapeluszu dosiadał pięknego czarnego konia o imieniu Khan. Dla Effie zaś przyprowadził kasztanową klacz z białą strzałką na nosie, która miała na imię Nellie Bly. Najpierw jechali stępa, ale po kilku minutach Henry spiął konia, zmuszając go do galopu, i wyprzedził Effie o dwieście czy trzysta metrów, zanim zawrócił i uchylił przed nią kapelusza.

– Nie masz pojęcia, jaką przyjemność daje mi przejazdka z tobą – zawołał. Jego oddech zamieniał się w kłęby pary, a wierzchołek, którego dosiadał, parskał i potrzasał łbem. – Nie sądziłem, że przyjdiesz, nawet po ostatnim wieczorze.

– Ja też nie byłam pewna – powiedziała Effie. To prawda, bo dopiero, gdy Henry Baeklander wychodził od Cockburnów i był już w płaszczu, postanowiła przypiąć chusteczkę do sukni. Później, leżąc w łóżku, zastanawiała się, czy przystała na to spotkanie z lekkomyślności, czy też faktycznie była sprytna. Prawdopodobnie to tylko szampan, pochlebstwo i ekscytacja wywołana poznaniem sławnych ludzi. Zasnęła dopiero, gdy westminsterskie kuranty zegara w holu na parterze obwieściły czwartą nad ranem i tylko dwie godziny zostały do świtu.

Emily Prescott miała towarzyszyć Effie i Henry'emu jako przyzwoitka i rzeczywiście zdołała z nimi dojechać aż do Queen's Gate, ale potem oświadczyła, że jest zbyt zmęczona, by jechać dalej, że nie lubi mgły, że jeśli

chęcią urządzić jakieś psoty tego zimnego styczniowego ranka w Hyde Parku, to wyłącznie ich sprawa. Tak więc zostawiła ich i pojechała z powrotem do domu swojej ciotki w Hans Crescent, przy Knightsbridge, z wyraźnym zamiarem spędzenia reszty tego dnia w łóżku.

– Powinienem odwiedzić cię z powrotem na Eaton Square – powiedział wtedy Henry.

Effie jednak odparła:

– Nie denerwuj się, Henry. Jestem pewna, że mogę liczyć na twoje stosowne zachowanie.

Pojechali więc dalej przez park. Effie spokojnie, starając się pamiętać, co instruktor jazdy konnej mówił jej o trzymaniach wyprostowanych pleców i o tym, by nie podskakiwała w górę i w dół, jakby była cyrkową akrobatką na trampolinie. Henry zaś niespokojnie i narowicie, jeżdżąc na boki, a nawet w tył i krążąc wokół Effie, jakby był śmiałym młodzieńcem odurzonym miłością.

– Mam nadzieję, że nie przestraszyłem cię ostatniego wieczoru – rzekł.

– Przestraszyłeś. Trochę.

– Ponieważ rozmawiałem o małżeństwie?

– To było bardzo niespodziewane. Nawet mnie nie znałeś. I teraz mnie nie znasz.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Musisz mi wybaczyć.

– Wybaczam.

Henry podjechał bliżej, marszcząc brwi.

– Powiedz prawdę.

– Naprawdę ci wybaczam.

– W takim razie jestem zachwycony, w istocie jestem bardziej niż zachwycony; jestem w ekstazie.

Minęli jadącą z przeciwka księżnę Woodleigh, wspaniałą kobietę w płowej amazonce z czekoladową lamówką i w czekoladowej barwy kapeluszu przystrojonym pawimi piórami. Henry uchylił kapelusza i skłonił głowę.

– Dzień dobry, księżno.

Etykieta wymagała, aby spotykając kogoś znajomego na Rotten Row, uchylić kapelusza i kłaniać się przy pierwszym przejeździe obok siebie. Przy ponownym spotkaniu wystarczył uśmiech. Jeśli miało się pecha spotkać tę osobę po raz trzeci, ignorowało się ją i spoglądało w przeciwnym kierunku, jakby nagle znalazło się tam coś tak interesującego, jak szczególnie niezwykle pasmo mgły.

– Effie – rzeki Henry – zapewne uważasz mnie za bardzo impulsywnego, ale mój ojciec zawsze uczył mnie wiary w spontaniczne uczucia i szybkiego kierowania się nimi. Właśnie tak postępując, stałem się bogaty. Nigdy nie dawałem sobie czasu do namysłu: zawsze gdy tylko ujrzałem to, czego pragnąłem, chwyciłem to.

- Tylko głupcy się spieszą – bąknęła Effie.
- Być może – powiedział Henry. – Jednak ja byłbym wielkim głupcem, gdybym nie powiedział, że zakochałem się w tobie, gdy tylko cię ujrzałem.
- Jesteś wielkim pochlebcą.
- Och, dajże spokój, Effie. Nie jestem komplementarzem. Nie jestem nawet uprzejmy. Jestem szczery. Myślę, że jesteś mądra, słodka i śliczna. Jeśli nawet jest za wcześnie na rozmowę o zaręczynach, to przynajmniej możesz przyjąć moje starania.
- Co to za budynek, tam? – zapytała Effie, rozmyślnie zmieniając temat.
- Ten duży, kwadratowy?
- To Apsley House. Dar waszego wdzięcznego państwa dla waszego największego generała, księcia Wellingtona.
- A za nim?
- Park Lane. Jeśli uda cię się spojrzeć przez mgłę, powinnaś móc zobaczyć dom pana Alfreda de Rothschilda. Nieustannie mówi się o jego rozbiórce. Powiedziano mi, że będzie można wyjechać z Curzon Street prosto w Park Lane, ale to da się zrobić dopiero po śmierci Alfreda, zapewniam cię.

Przez chwilę jechali w milczeniu, a potem odezwała się Effie.

- Dougal, mój brat, powiedział mi wczoraj wieczorem, że zaferowałeś mu jakieś stanowisko w Funduszu Powierniczym Baeklandera.
- To prawda.
- Powiedział, że chcesz, aby przyjechał do Nowego Jorku i że prosileś, żebym ja także przyjechała.
- To również prawda.

Effie ściągnęła lejce i zatrzymała się na chwilę obok ociekających wilgocią drzew. Henry Baeklander przyglądał się jej uważnie, urzeczony zawadiackim odchyleniem przypiętego klamrą kapelusza do konnej jazdy, wzorem woalki na twarzy, doskonałym krojem i szkocką prostotą wrzoso-wego zakietu i purpurowo-wrzosowej spódnicy oraz starannie zapiętych skórzanych butów do konnej jazdy. Chłodne powietrze tego poranka zaróżowiło jej policzki, ale nie była to różowość, w mniemaniu Henry'ego, którą można by porównać z rumieńcem młodej dziewczyny.

Zsiadł z konia i poprowadził go na wprost niej. Unosząc rękę, poprosił bez jednego słowa, aby także zsiadła. Patrzyła na niego i czuła, że krew pulsuje jej w żyłach w szalonym tempie. Był mroczny i tajemniczo magnetyczny niczym sędziwy prorok. Miała tylko nadzieję, że zdoła być silna, gdy nadejdzie czas. Ujęła jego dłoń i zsunęła się na miękki piasek Rotten Row.

Przywiązawszy Khana i Nellie Bly do pnia wiązu, przechadzali się między widmowymi drzewami. Wreszcie Henry podał Effie ramię, co ona przyjęła.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś panu Alfredowi, że chcesz być

szanowana – rzekł w końcu.

– Tak – odparła cicho.

Zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie. Trawa wokół nich była biała od opadającej mgły, jakby stali na srebrzącym się dywanie. W oddali, między drzewami, jakiś mężczyzna tresował psa. Nozdrza Henry'ego parowały oddechem, a jego oczy lśniły z zimna.

– Effie – powiedział – ja szanowałbym cię i kochał z całego serca.

Uniósł jej woalkę, a ona uniosła twarz, by spojrzeć mu w oczy. Niepewnie i delikatnie pochylił się i pocałował jej zamknięte usta. Ten pocałunek był wilgotny jak miedziane pensy i jesienne liście. Zadrżała, jakby jakaś chłodna dłoń nieskromnie kreśliła nieznany wzór, przesuwając się po jej karku, między piersiami, a potem ujęła, na jedną mrozącą krew w żyłach i gorszącą chwilę, ciepłe gniazdo jej wzgórka Wenus.

Zrozumiała, w przypiływie zakłopotania i zamętu w głowie, znaczenie owych doznań, jakie Henry Baeklander wywołał w niej poprzedniego wieczora. Skrzyżowała ręce na galonach swego tweedowego żakietu i spuściła wzrok.

– Henry – powiedziała.

Chciała, żeby zabrzmiał dorośle ów sposób, w jaki wymówiła jego imię, ale okazał się dziecinny; tak dwunastoletnia dziewczynka mogła udawać, że utyskuje na hałaśliwego wuja. Henry'emu Baeklanderowi oczywiście bardzo się to podobało i stał tam, oddychając ciężko, zaciskając dłonie i wpatrując się w nią z nieskrywaną namiętnością.

– Ekscytujesz mnie, Effie – powiedział. – Niepokoisz. Cudownie mnie niepokoisz.

– To pan burzy mój spokój, sir – odparła. Nazwanie go „panem” było niczym uchwycenie się drzewca po katastrofie okrętu. W taki sposób można było odwlec moment nagłego zatonięcia w owym przypiływie nadzwyczajnych uczuć, jakie wyzwolił w niej pocałunek Henry'ego.

Przeszła kilka kroków po trawie, zostawiając na rosie głęboki ślad swoją długą spódnicą do konnej jazdy, zanim przystała.

– Czy twoja propozycja dla Dougala jest uzależniona od mojego wyjścia z tobą?

– Czy Dougal tak ci powiedział?

Effie przenikliwie spojrzała na Henry'ego, ale nie powiedziała ani słowa. To on miał najpierw odpowiedzieć na pytanie i wiedział o tym. Uśmiechnął się i bawił rękawiczkami.

– Ha! – odparł jak mężczyzna, którego przechytrzone przy karcianym stole. – Jesteście sobie bliscy, czyż nie, ty i twój brat? – zapytał głośno, niemal agresywnie. – Cóż, nie sądzę, aby było w tym coś złego. Wręcz przeciwnie. Wydawało mi się zarówno niepotrzebne, jak i okrutne, by ktokolwiek was rozdzielał. Jaką korzyść przyniesie mi twój brat, jeśli będzie

usychać z tęsknoty za ukochaną siostrą? Jesteście doskonałą parą. Innymi słowy: potrzebuję was obojga.

Effie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czuła, że Henry czegoś od niej pragnie, ale nie była wystarczająco doświadczona, aby rozumieć – czego. Będąc siedemnastolatką dobrze wychowaną i pewną siebie, nie zdawała sobie sprawy, jak wiele znaczy różnica wieku między nimi. Ani przez chwilę nie sądziła, by Henry Baeklander mógł być jednym z tych bogatych dżentelmenów, którzy mieli szczególne upodobanie do młodych dziewcząt i oczywiście nic nie wiedziała o ślicznych dwunastolatkach sekretnie wprowadzanych na pokład jachtu „Excelsior”, które strojono w koronki i falbanki niczym nad wiek rozwinięte narzeczzone, a potem dniami i nocami bez końca przetrzymywano w kabinach, podczas gdy Henry badał każde nierozkwitłe doznanie ich ciał. Przed kilkunastu laty Henry Baeklander korespondował dość figlarnie z wielebnym Charlesem Dodgsonem, wymieniając z nim sepiowe fotografie niemal nagich nimf.

Effie była dla Henry'ego Baeklandera nieoczekiwanym objawieniem wszystkiego, o czym śnił. Dziewczyną wystarczająco młodą, by pobudzić jego seksualne upodobania i wystarczająco dojrzałą do małżeństwa bez niepożądanych komentarzy, a także na tyle rozsądną, aby rozumieć istotę bankowości i inwestycji, które były jego główną obsesją. Pieniądze u Henry'ego Baeklandera zawsze zajmowały pierwsze miejsce.

– Mogę jedynie powiedzieć, że mam nadzieję, iż nie sprawisz mi zawodu – rzekł. – Nie jestem szczególnie błyskotliwy ani czarujący. Jestem jednak bardzo bogaty, potrafię opowiedzieć kilka dowcipów i mam pewność, że mogę uczynić cię bardzo szczęśliwą.

– Opowiedz mi jakiś dowcip – powiedziała Effie.

– Co?

– Opowiedz mi dowcip – nalegała Effie. – Powiedziałeś, że potrafisz opowiadać dowcipy.

Przez cały czas pytała w myślach samą siebie: Dlaczego tak ostro rzucasz mu wyzwanie? Boisz się go? Co on o tobie pomyśli? Boże, o jakież zawrót głowy on mnie przyprawia!

– Cóż... proszę bardzo... – Henry przełknął ślinę. – Czy wiesz, że wydaje się specjalną, kobiecą edycję słownika oxfordzkiego. Opuszczono w niej ostatnie słowo...

– To było skierowane do mnie? – uśmiechnęła się Effie.

Przecząco pokręcił głową.

– Nie. To był jedyny żart, jaki przyszedł mi na myśl. Przepraszam, że taki marny.

– Powiedziałeś, że będziemy mogli pójść do Kensington Palace i napić się gorącej czekolady.

– Tak – odparł Henry. – To chyba dobry pomysł.

Odprowadził ją do konia i pomógł wsiąść na siodło.

– Odpowiesz mi, prawda, zanim wypłynę na Morze Śródziemne? Odpowiesz, czy weźmiesz mnie pod uwagę jako swojego męża?

– Tak. A teraz, czy możemy jechać? Chłodno mi, a mgła wdziera mi się do gardła.

Henry odwiązał konia i wspiął się na siodło. Spojrzał na nią szybko i chyba z odrobiną smutku, a potem wolno ruszył na zachód w stronę Kensington. Effie jechała za nim, z najdzikszym zamętem myśli, jakiego kiedykolwiek doznała. Czowała się tak, jakby jej umysł był jakimś ozdobnym lustrem, które się rozbiło i nie nadawało do naprawy, i jakby po omacku usiłowała poskładać w całość tysiąc wyszczerbionych kawałków kolorowego szkła.

Henry bezwiednie zaczęła nucić arię „Po balu”.

## 18

Pewnego czwartkowego popołudnia dwa tygodnie później Dougal wrócił wcześniej z banku, pałając tłumioną ekscytacją. Mieszkali jeszcze, on i Effie, przy Eaton Square, po pierwsze dlatego, że Malcolm Cockburn doszedł do przekonania (mając też na względzie zadowolenie Thomasa Watsona), że Effie byłoby przykro wyjeżdżać z miasta przed pogrzebem królowej, po drugie zaś ponieważ Vera, początkowo niechętna Effie, teraz doceniała jej miłe towarzystwo i pomoc podczas przedpołudniowych herbatek. Chętnie mawiała o Effie jako o „swoim szkockim ptaszku, którego wzięła pod własne, opiekuńcze skrzydła”. Sprawilo to, iż poczuła się jeszcze wspanialsza, niż czuła się wcześniej, szczególnie że Effie była jedyną córką Thomasa Watsona.

Effie niemal co wieczór pisała do matki o tym, jak się miewa i relacjonując, że była w parlamencie, gdzie miała szczęście poznać markiza Salisbury, premiera, niecierpliwie oprowadzającego po Izbie Gmin grupę niemieckich ministrów; że była na Trafalgar Square, w St James's Park oraz w Tower of London; że pani Cockburn zabrała ją na herbatkę do Connaught i na lunch do Savoyu i że przedstawiono jej wiele młodych, zachwycających mieszanek Londynu.

Listy Effie skrywały to, co naprawdę czuła, gdyż Vera Cockburn wydała się jej próżna, afektowana i często okrutna. Chociaż była zainteresowana oglądaniem widoków Londynu i poznawaniem nowych przyjaciół, to uważała, iż bardziej istotne jest dla niej to, aby poznać Watson's Bank i zamiary Dougala, a absolutnie najważniejsze – aby się dowiedzieć, co robi Malcolm Cockburn. Zamiast tego niemal każdego dnia zabierano ją na nieustanną karuzelę herbatek, przedpołudniowych pogawędek, charytatywnych obja-



dów i wypraw na zakupy. Dla Very Cockburn dzień bez wydawania pieniędzy był dniem straconym; musiała je wydać choćby na jakąś ozdóbkę z diamentów lub zdobione emalią cacko Fabergé w Burlington Arcade, albo na jedwabny szal, koronkową bluzkę, perfumy, czekoladki lub srebrne ptaszki śpiewające w klatkach-pozytywkach. Vera Cockburn posiadała więcej par eleganckich pantofli, niż mogła zliczyć; z białej gieny, purpurowego zamszu i skóry krokodyla. Jej garderoby przypominały lasy Alaski, tyle w nich było cekinów i klejnotów. Dowożona do drzwi Harrodsa krytym powozem Malcolma Cockburna, przebiegała, trajkocząc i plotkując, od kosmetyków do futer i od rękawiczek do koronek, podczas gdy Effie szła dwa lub trzy kroki za nią, uśmiechając się grzecznie od czasu do czasu na jakiś uszczypliwy *bon mot* swojej gospodyni i przewodniczki, marząc przy tym, aby wybiła już piąta po południu.

– Nie masz pojęcia, jak strasznie wyglądała lady Kenworth z tym nowym francuskim pudrem na twarzy. Zgroza! Problem jednak w tym, moja droga, że ona też nie miała pojęcia, jak okropnie wygląda! Biedny Bimmy, to znaczy lord Kenworth, siedział w salonie przedpołudniowym, gdy przeszła obok i przysięgam na Boga, że wezwał służącego i zapytał, czy ten dom jest nawiedzony. Służący powiedział oczywiście, że nic o tym nie wie, a Bimmy na to: „Cóż, to piekielnie zabawne, przysięgłbym, że widziałem, jak prześlizguje się tu c o ś przypominające kobietę z upiornie białą twarzą”.

Effie szła, gdy Dougal wrócił tego dnia do domu. Nie była szczególnie dobra w haftowaniu, ale doszła do wniosku, że pozwoli jej to udawać, że jest zajęta jakimś niewinną kobiecą robótką, choć w tym czasie słuchała, obserwowała i dowiadywała się wszystkiego o sprawach Cockburnów. Odkryła już na przykład, że ich podróż do Paryża i Wiednia, która została przełożona z powodu śmierci królowej, nie miała być czystą przyjemnością ani okazją, by Vera Cockburn dodała kilka kolejnych sukien do swojej kolekcji. Malcolm Cockburn próbował zorganizować wielką pożyczkę dla carskiej Rosji przy współpracy banku Credit Alsacienne w Paryżu oraz banku W.V. Eckardt und Söhne w Wiedniu. Pożyczce tej, w kwocie niemal dwudziestu milionów funtów, od początku sprzeciwiały się banki Rothschilda, częściowo dlatego, że były głęboko nieufne wobec Rosji z powodu agresywnego zajęcia przez nią Mandżurii oraz nieskrywanych planów wobec krajów bałkańskich, częściowo zaś z powodu rażącego prześladowania przez cara Żydów.

Wkrótce po przyjeździe do Londynu przyszło Effie do głowy, że choć jej ojciec jest tytularną głową Watson's Bank, to jednak rozpaczliwie brak mu kontaktu z finansową polityką Europy i Ameryki. Pożyczki na budowę stoczni i zakładów tekstylnych w Yorkshire były podstawą szkockiej bankowości. Jednak prawdziwe miliony powstawały w Europie, gdzie chwiejne sojusze między Wielką Brytanią, Niemcami, Rosją i Francją

powodowały, że oprocentowanie wznosiło się i opadało niczym ekspresowe windy i gdzie zręczny, trzeźwo myślący bankier mógłby zarobić dziesięć milionów funtów w ciągu jednej nocy, gdyby we właściwej chwili pożyczył właściwą kwotę właściwej osobie. Lub gdyby ona dokonała takiej operacji.

Dougal wszedł do salonu i radośnie cisnął kapelusz na sofę. Był rozpromieniony.

– Effie – powiedział – Wdarliśmy się! Rozbiliśmy to!

– Co rozbiliście? Dougal, spójrz na siebie, jesteś rozgorączkowany! Zdejmij płaszcz!

– Jack Cutting przyszedł dziś rano i powiedział, że pewna Kompania Wschodnioafrykańska potrzebuje pożyczki na budowę prywatnego połączenia kolejowego z Port Florence do Kampali. Potrzebują miliona, ale zyski powinny być szybkie.

Effie zmarszczyła brwi.

– Z pewnością rząd już tam buduje linię kolejową.

– Tak, buduje – rzekł Dougal z lekceważeniem, rozpinając tweedowy płaszcz – ale budowa nie dotarła jeszcze nawet do Port Florence. Opóźnienie przekroczyło rok, a wydano już niemal pięć milionów. Zginęły dwa tysiące robotników, z powodu ukąszeń much tse-tse, czerwonki i ataków nosorożców, więc jeśli ktoś znajdzie jakiś sposób szybszego ukończenia tej linii, to na tym zarobi.

Wszedł Jerome, kamerdyner i baz słowa sięgnął po płaszcz i kapelusz Dougala.

– Jerome – rzekł Dougal – zechcesz podać mi coś do picia? W rzeczy samej: butelkę szampana! Chyba powinniśmy to uczcić.

Jerome spojrział niepewnie na Effie, ale Effie się uśmiechnęła.

– Nie obawiaj się. Powiem o tym pani Cockburn.

Gdy kamerdyner wyszedł, Dougal przyciągnął krzesło bliżej Effie.

– To właśnie jest szansa, jakiej pragnąłem – rzekł. – W poniedziałek Jack Cutting zapozna mnie z przedstawicielami tej kompanii. Potem przygotujemy tę pożyczkę, przeprowadzając wszystkie dokumenty przez departament Jacka tak, że zanim Cockburn się o niej dowie, wszystko będzie *fait accompli*. Zobowiązanie bankowe.

– Dougal – powiedziała siostra – założmy, że ta kompania kolejowa upada? Czy naprawdę masz wystarczającą wiedzę o tym przedsiębiorstwie, by się zobowiązywać do przekazania mu miliona funtów z bankowych pieniędzy? Co stanowi ich zabezpieczenie?

– Wiara, Effie – odparł Dougal. – Nie jestem naiwny. Prezesem tej kompanii jest lord Rethesdale i on osobiście gwarantuje jej zobowiązania do wysokości trzech milionów funtów. Jack mówi, że sama kolekcja dzieł sztuki Rethesdale'a prawdopodobnie warta jest dziesięć milionów, a do tego dochodzi rezydencja Rethesdale Hall i sześćset akrów ziemi. Czyż więc taki

człowiek jak lord Rethesdale angażowałby się, gdyby nie zadowalała go uczciwość tej kompanii?

– A co powie pan Cockburn, kiedy się dowie, co zrobiliście?

Dougal założył nogę na nogę i roześmiał się.

– Nie będzie miał innego wyboru, jak tylko to zaaprobować. Po pierwsze: ta pożyczka ma sens, po drugie: nie zechce, żeby zwrócili się do innego banku, a po trzecie: lord Rethesdale jest jedną z tych osób, które niechętnie wybaczą, gdy im się krzyżuje plany. Jack i ja zdobędziemy uznanie i wtedy się zobaczy, czy ojciec albo Malcolm Cockburn zdołają mnie utrzymać w zamknięciu departamentu funduszy powierniczych.

Effie skończyła haftowanie skrzydła motyla turkusowym jedwabiem, związała nić i odcięła ją nożyczkami.

– Mam nadzieję, że pan Cockburn nie postanowi pewnego dnia się zemścić.

– Za bardzo się boi. Wciąż sądzi, że jestem szpiegiem ojca. Ilekroć przechodzi obok działu funduszy, zagląda do środka, uśmiecha się, macha ku mnie i pyta, czy wszystko w porządku.

– Mimo to – rzekła Effie – milion funtów...

– Cockburn będzie musiał to zaaprobować – uparcie twierdził Dougal. – Zyski mogą być ogromne, poza korzyściami z samej pożyczki. Uganda jest pełna niewykorzystanych bogactw. Ma pszczeli wosk, skóry, żywicę i oczywiście kość słoniową. Jednak ważniejsze jest to, że kolej otworzy ten kraj przed białym osadnictwem i białym handlem. Watson's Bank mógł stracić okazję, gdy chodziło o inwestowanie w Rodezji, ale z pewnością nie przegapi Ugandy.

Effie wstała. Miała na sobie nową popielatą suknię według londyńskiej mody, z dwurzędowym zapięciem na białej bluzce z misternej koronki. Delikatnie uróżowane policzki i lekko umalowane oczy sprawiały, że wyglądała całkiem inaczej niż ta wyszorowana, wrzosowa edynburska dziewczyna, która dwa tygodnie wcześniej wysiadła z pociągu na stacji King's Cross.

– Dougal – powiedziała – Boję się o ciebie. Żałuję, że nie mogę pójść z tobą do biura i zobaczyć, co robisz.

– Effie – odparł Dougal teraz nieco cierpko. – Jestem od ciebie siedem lat starszy i w pełni potrafię o siebie zadbać.

– Czy możesz ufać Jackowi Cuttingowi?

– Czy mogę ufać?! Jesteśmy jak dawno zaginieni bracia, którzy się odnaleźli. W istocie Jack jest takim rodzajem brata, jakiego powinienem mieć w miejsce Roberta. Ufam mu we wszystkim. Nie jest Millingsem, ani Cockburnem, ani Nibletsem.

Effie stanęła za Dougalem i przeczesała palcami jego kręcone włosy. Bardzo się zmienił od czasu przyjazdu do Londynu, tak samo jak ona. Oboje

byli szczęśliwsi i z większą ufnością patrzyli w przyszłość, ale ponieważ każde z nich zaczęło poznawać tę zdumiewającą nową stolicę bogactwa, wyrafinowania i niekończących się możliwości, zaczęli też bezwiednie oddalać się od siebie. Pocałowała go w czubek głowy niemal z żalem. Tęskniła za nim, ale jeszcze nie wiedziała dlaczego.

– Spotykam się z Jackiem jutro na kolacji – rzekł Dougal, podnosząc ku niej wzrok. – Byłoby wspaniale, gdybyś mogła przyjść.

Effie spojrzała na obramowanie kominka. Obok zaproszeń, jakie przysły do państwa Cockburnów na kolacje, bankiety i przyjęcia, leżał też zwykły błękitny list od Henry'ego Baeklandera błagający Effie, aby odpowiedziała na oświadczyzny przed jego rejssem do Tangeru. „*Nie dałaś jeszcze niczego po sobie poznać, moja ukochana, i nawet jeśli nie jestem godzien twojej uwagi, to przynajmniej zasługuję na jakąś odpowiedź*”.

– Przykro mi, nie mogę – odpowiedział bratu. – Przychodzi do mnie Henry Baeklander.

– Nie wychodzisz z nim?

– Oczywiście, że nie. Nie zamówiłam żadnej przyzwoitki.

– Nie lubię go, wiesz o tym – powiedział Dougal. – Po pierwsze, jest zbyt zadufany.

Effie musnęła jego rękę.

– Nie bądź zazdrosny. Nie jest ani trochę tak straszny, jak ci się wydaje.

– Nie traktujesz go poważnie? Chodzi mi o to, czy nie myślisz o poślubieniu go?

– Nie – odparta Effie bardzo cichym głosem. – Pochlebia mi. Sprawia, że czuję się elegancka, światowa i dorosła; ale nie... Jeszcze nie chcę być żoną. Chcę być bogata i sławna, ale na własnych prawach. Nie chcę nigdy nikogo prosić o pieniądze; ani ojca, ani matki, ani Very Cockburn, ani ciebie. W tej sukni stoi przed tobą odrębna osoba; osoba, która chce, aby widziano w niej Effie Watson, a nie córkę Thomasa Watsona, żonę Henry'ego Baeklandera czy siostrę Dougala Watsona.

– Cóż – westchnął Dougal, ściskając jej dłoń – zawsze mówiłem, że jesteś szalona.

Effie podeszła do lustra i poprawiła świeżo wyszczotkowane i modnie ułożone włosy.

– Czy Jack znów zabiera cię do siebie? – zapytała.

– Zaprasza nas do Rule's.

– Nas?

Dougal sięgnął po chusteczkę i wytarł nos.

– Mnie i swoją siostrę, Prudence – odparł nonszalancko.

Effie odwróciła się od lustra i z ożywieniem spojrzała na brata.

– Rumienisz się, Dougal! Naprawdę się rumienisz!

– Nie mów głupstw – protestował. – Spotkałem ją pewnego razu, to

wszystko. Jest miłą dziewczyną. Jack przyprowadza ją dla towarzystwa.

– Jesteś zakochany! – dręczyła go Effie. – Mnie nie oszukasz, Dougalu Watsonie. Jesteś zakochany w siostrze Jacka!

– Och, nie wiesz, o czym mówisz – rzekł Dougal. – Jest miłą dziewczyną.

Effie przyklękła obok brata i ujęła jego dłonie. Oczy jaśniały jej radością i wesołością.

– Dougal, byłam tak zaabsorbowana myśleniem o Henrym i o tym, co zrobić w związku z jego oświadczeniami oraz tak poirytowana panią Cockburn, iż nie dostrzegłam, że jesteś zakochany. Czy jest ładna?

– Tak – odparł mrukliwie Dougal – ale nie o to chodzi. Jest siostrą Jacka, a ja nie wykorzystałbym sytuacji.

– Nie, nie – pokpiwała Effie.

– Nie! – rzekł Dougal stanowczo, a potem dodał spokojniej: – Nie.

Właśnie wtedy wszedł Jerome z szampanem w dużym srebrnym naczyniu do chłodzenia szampana, które kiedyś sprezentował Cockburnom amerykański potentat srebra John Mackay.

– Wypijmy więc za Afrykę Wschodnią – powiedział Dougal.

Jerome odkorkował butelkę i gdy Dougal smakował trunk, wyniośle uniósł wzrok ku górze, jakby w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany jego opinią.

Effie bez żadnego powodu, o którym rzeczywiście mogłaby pomyśleć, obserwowała, jak Dougal sączy szampana, przyglądając mu się z uczuciem, ale jednocześnie z jakimś dziwnym poczuciem niepewności.

## 19

Kolację w Rule's jedli przy stoliku obok wykuszowego okna wychodzącego na Maiden Lane. Podano ostrygi, pieczone przepiórki i sarninę z czerwoną kapustą. W sali rozbrzmiewał gwar rozmów i szczęk sztućców, a na ścianach wisiały karykatury teatralne. Jack Cutting we fraku wydawał się jeszcze bardziej elegancki i wymuskany niż zwykle, ale to jego siostra, Prudence Cutting, przyciągała całą uwagę Dougala.

Była dziewczyną zaledwie dwudziestoletnią, wysoką i obdarzoną dużym biustem, ale cechował ją też pewien nieśmiały i naturalny wdzięk. Pod zdobnym piórami kapelusza miała bujne kasztanowe loki, a jej duże błękitne oczy były tak rozmarzone, że Dougal czuł, iż mógłby w nie patrzeć już zawsze, bez żadnej potrzeby jakiegokolwiek rozmowy. Miała na sobie niebieski kostium obszyty niebieskim jedwabiem z fałdami z niebieskiego aksamitu.

– Jack pała takim entuzjazmem do banku, odkąd pan się tam pojawił –

powiedziała do Dougala głosem, który dla niego miał gładkość gronostaja i miękkość śniegu. – Doprawdy jestem przekonana, że zrobił pan z niego nowego człowieka.

– Ja zaś jestem przekonany, że pani ma taki sam wpływ na mnie, panno Cutting.

Prudence spuściła wzrok, chociaż była przyzwyczajona do komplementów.

– Przysługa za przysługę, panie Watson.

– Czy zna pani lorda Rethesdale'a? – zapytał ją Dougal.

– Lorda Rethesdale'a? Och, tak! Jest czarujący! I przystojny! Jest też znacznie bardziej śmiały i przedsiębiorczy niż jego ojciec. W zeszłym roku poważnie myślał o kierowaniu ekspedycją do dżungli Ameryki Południowej, by się przekonać, czy odkryje kauczuk w Matto Grosso.

Jack położył rękę na dłoni Prudence i uściśnął ją.

– Młody Rethesdale patronuje wykorzystaniu kolonii – dodał. – A ja mogę cię zapewnić, że jest bardzo zapalony do tej kolei wschodnioafrykańskiej. Nie sądzi, byśmy mogli coś stracić. Ja myślę podobnie jak on. I z pewnością nic nie stracimy, nawet jeśli kolej pokryje tylko koszty budowy. Bank dostanie swoje trzynaście procent i zyska bezcenny prestiż przedsiębiorstwa zaangażowanego w poszerzanie Imperium, ty zaś zyskasz miano architekta jednej z najwspanialszych inwestycji, jakich bank i kraj dokonał w ostatnich latach.

Dougal odłożył sztućce i sięgnął po wino.

– Nie mogę się doczekać, co powie ojciec, kiedy się dowie, co zrobiłem.

Jack się uśmiechnął.

– Rewanż na wyniosłym ojcu jest jedną z najwspanialszych naturalnych rozkoszy ludzkiego życia.

– Wypiję za to – rzekł Dougal.

– Ja też – powiedziała Prudence.

– Nie wyobrażam sobie, by wasz ojciec był tak wyniosły.

– Nasz ojciec, który nawiasem mówiąc jest już w niebie, był jednym z najbardziej sztywnych i wyniosłych ludzi znanych ludzkości – uśmiechnął się Jack. – Z pewnością słyszałaś o Cuttingach z Dorset? Nie? Cóż, naszym ojcem był Horatio Cutting, ziemianin, hodowca bydła i obrońca kościoła. Wszystko, czego w ogóle nauczyłem się od niego o życiu, to jak kastrować roczniaka, jak się zwracać do biskupa i... że „Pieśni nad pieśniami” nie należy traktować dosłownie.

Dougal zerknął ku Prudence, aby zobaczyć, czy się rumieni na całą tę rozmowę o żrebakach i kwiecistych fragmentach w Biblii. Nagle przyszedł mu na myśl słowa: *Piersi twe jak dwoje kozłąt, bliźniąt gazeli, co pasą się pośród lilii* i właśnie wtedy, gdy o nich myślał, Prudence spojrzała na niego tymi swoimi rozmarzonymi oczami i uśmiechnęła się w tak zachwycający

sposób, że poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach, a penis, obudzony, rozwija się w wieczorowych spodniach.

Przystojnemu i prostodusznemu Dougalowi nigdy nie brakowało dziewcząt w Edynburgu, ale młode damy z Thistle Street i Henderson Row chichotały, szczebiotały swoje „och, nie, Dougal, nie wolno”, on zaś spędzał długie i dręczące godziny na herbatkach z dziewczętami oraz ich matkami z przygnębieniem gawędzącymi o wakacjach w Nairn i zwykle nie osiągał niczego (z wyjątkiem tego jednego razu, z Harriet McQueen, kiedy zdołał wsunąć rękę między jej uda, które były miękkie, białe i gorące, i całował jak szalony po nosie i brodzie, a potem wyszedł z jej domu w Royal Terrace o czwartej pewnego zimowego popołudnia, gdy właśnie zaczynał padać deszcz ze śniegiem, a on trzymał dłoń przy nosie, aby znowu móc poczuć ten cudowny ostry zapach, którym namaściła koniuszki jego palców).

Niewinność stracił jako osiemnastolatek ze swą nauczycielką gry na fortepianie, panną Maidment, na obszytym frędzlami dywaniku w jej zatęchłym saloniku w Moray Place. Stało się to z niezwykłą gwałtownością między „Dniami młodości” a „Dzwonkami Szkocji” (w tonacji G-dur) i od tego czasu rozwijająca się biegłość pianistyczna Dougala nie była już taka sama. Panna Maidment dyszała, a Dougal, nawet z uwagą skupioną na wypchanym rybołowie obserwującym go z dezaprobatą ze szklanej kopuły nad kominkiem, wytryskiwał za szybko. Potem szedł do domu okrężną drogą wzdłuż Herriot Row do Dundas Street, a dalej na południe przez Hanover Street ku George Street i zastanawiał się, dlaczego ten dzień był taki kojący i spokojny, dlaczego różowe kwiaty wypuszczają pąki i jak może dym z kominów przy Frederick Street unosić się z takim spokojem.

Tamtej niedzieli w kościele poczuł, że się czerwieni, gdy pastor mówił o „grzechach ciała”, a w nocy żarliwie modlił się w poduszkę, aby Pan Bóg nie cisnął go w piekielne ognie za to, co robił z panną Maidment. Na szczęście Wszzechmocny tego nie uczynił, więc zrobił to samo z panną Maidment jeszcze sześć razy. Jednak ostatnim razem panna Maidment płakała. Dowiedziała się bowiem, że jej narzeczony, Gerald, zginął w Mandalay. Poprosiła wtedy Dougala, aby pobierał lekcje gry na fortepianie gdzie indziej. Tak uczynił, jednak gdy tylko usłyszał kilka pierwszych nut „Merry Christmas Mazurka”, już o niej myślał. Rudowłosej, powabnej, z różowymi ustami i włosami między nogami słodkimi jak marmolada.

– Czy uprawia pan boks, panie Watson? – zapytała Prudencja przy deserre z kandyzowanych kasztanów.

– Boks?

– Jest w panu coś atletycznego, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Dougal potarł dłonią prawą pięść.

– Cóż, tak, boksowałem przez chwilę. Byłem szkolnym championem.

Prudence się uśmiechnęła.

– Uwielbiam gwałtownych mężczyzn. Im bardziej gwałtowni, tym lepsi.

– Nie sądzę, że jestem gwałtowny – rzekł Dougal, lecz to co powiedziała, poruszyło go i zaintrygowało. Spojrzał na Jacka, ale Jack tylko się uśmiechnął. Za nim, przy następnym stoliku, sir Herbert Tree uderzał pięścią w stół i śpiewał wodewilową piosenkę o dojrzewaniu młodego Anglika. Wypił już dwie butelki Gamay de l'Ardeche, a kelner podający wino cierpliwie i ostentacyjnie otwierał trzecią.

– W poniedziałek – rzeki Jack – spotkamy się z dwoma klientami związanymi z East Africa Company, panem Snettertonem i panem Plantem. Dostarczą nam wszystkich szczegółów, jakich będziemy potrzebować do zebrania pożyczki, i przyniosą niezbędne dokumenty. Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy załatwić zaliczki przed upływem tygodnia.

– Kiedy poinformujesz pana Cockburna? – zapytał Dougal.

– Gdy wszystkie dokumenty będą podpisane, opieczętowane i poświadczane. Nie wcześniej.

– Nie sądzisz, że to zbyt wielkie ryzyko? – pytał dalej Dougal.

– Nie ma innej drogi. Musimy zobowiązać bank na piśmie albo Cockburn odmówi udzielenia pożyczki.

– On wciąż będzie mógł odmówić, czyż nie? Może też znaleźć jakiś sposób odraczania wypłaty tak długo, że całe przedsięwzięcie straci impet.

– Zatroszczyłem się o to – odparł Jack. – Jeden z moich dawnych szkolnych kumpi pracuje dla „Timesa”. W dniu, w którym podpiszemy umowę, opublikuje artykuł w rubryce finansowej i pochwali Watson's Bank za dalekowzroczność i dobre wyczucie inwestycyjne. Cockburn nie będzie mógł anulować tej transakcji.

– Nadal nie jestem pewien – powiedział Dougal.

– Żaden z nas nie może być pewien, dopóki pożyczka nie będzie faktycznie wypłacona w gotówce. Nie sądzę jednak, byś zapomniał, kim jesteś. Wszak jesteś przede wszystkim synem Thomasa Watsona, a to coś znaczy. Cockburn nie ośmieli się zrobić z tego zbyt wielkiej afery, bo obrazi twojego ojca.

Dougal przeniósł wzrok z Jacka na Prudence i z powrotem.

– Przypuszczam, że warto podjąć to ryzyko – powiedział.

Jack zastukał trzonkiem noża o stół.

– Oto charakter! Niech mknie kolej wschodnioafrykańska! Wypijmy za sukces! Twoim udziałem będzie pięćdziesiąt kłów słoniowych miesięcznie, dostarczanych przez specjalnego posłańca!

– Mam nadzieję, że żartujesz – uśmiechnął się Dougal.

– Och, żartuję, w porządku – rzekł Jack. – Daję słowo: żartuję.

Wyszli z restauracji trochę po północy i doszli ramię w ramię do Strandu, głównej ulicy Londynu, gdzie Jack przywołał jednokonną dorożkę, by wraz



z siostrą wrócić nią do domu w Hampstead i mocno uściśnął dłoń Dougala.

– Nie bój się, stary. To będzie doskonałe.

Prudence podeszła bliżej, lekko unosząc spódnicę, by nie omiały mokrego trotuaru. Jej kapelusz ze strusim piórem zatańczył w świetle gazowej latarni na szkło, którą była ozdobiona. Koń powłóczył kopytami i kaszłał, jego brązowa derka przemoczona była nieustającym londyńskim deszczem. Prudence przyjęła ramię Dougala, a on poczuł jej słodkie, wyraźne perfumy. Przypominały konwalie.

– Ten wieczór był czymś znacznie więcej niż zwykłą przyjemnością – powiedział. – Zmieniła pani biznesową konferencję w czysty zachwyty.

Prudence obdarzyła go nieco kokieteryjną grzecznością.

– Pan także to uczynił, panie Watson.

– Czy mogę panią odwiedzić? – zapytał Dougal.

– Jeśli pan sobie życzy – uśmiechnęła się do niego spod kapelusza. – Jestem pewna, że Jack nie będzie protestować. Ja także nie miałabym nic przeciwko temu.

– Jest pani najśłodszą, najbardziej czarującą dziewczyną – powiedział Dougal. – Może moglibyśmy spotkać się w sobotę, wraz z moją siostrą Effie? Wynajęlibyśmy łódź i popłynęlibyśmy do Greenwich.

– Z największą przyjemnością.

Dougal stał na chodniku, patrząc, jak ich jednokółka odjeżdża w stronę St Maryle-Strand i Fleet Street. Jakiś chłopiec w trzewikach bez sznurowadeł podszedł do niego z pytaniem.

– Da pan sześciopensówkę, hrabio?

Przypomniał sobie słowa ojca: „Lepszy pens w banku niż sześciopensówka w rękę jałmużnika”. Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął szylinga i rzucił go chłopcu. Moneta zamigotała w skrzącym powietrzu nocy.

## 20

Po godzinie nerwowego niezdecydowania Effie postanowiła, że nie będzie jej tego wieczoru, kiedy swą wizytę zapowiedział Henry. Usłyszała jego głęboki głos brzmiący niczym basowe dźwięki fisharmonii. Pozostała jednak w salonie, gdzie spięta, wytrwale haftowała motyle, mając nadzieję, że Henry przyjmie wyjaśnienie Jerome'a, że panienska cierpi na lekkie przeziębienie, jest *fatigue*, i może zechciałby przyjść jutro po jedenastej. Serce biło jej szybciej niż zwykle i zrobiła jakiś niezamierzony supełek na nici żółtego jedwabiu. Po kilku minutach usłyszała ponowne zamknięcie drzwi, a potem turkot pojazdu przed domem. Odłożyła więc robótkę i odetchnęła z ulgą.

Henry Baeklander odwiedzał ją niemal codziennie od dnia ich wspólnej

przejażdżki. Dwukrotnie zaprosił ją do opery, a raz do teatru. Zapytał ją nawet, czy miałyby ochotę pojeździć z nim na łyżwach w St James's Park, ponieważ staw wciąż pokrywała gruba warstwa lodu. Przesłał jej cieplarniane kwiaty i ananasy.

Dwukrotnie przesunął termin wypłynięcia na Morze Śródziemne, aby powtórzyć swą propozycję małżeństwa.

Effie czuła się zakłopotana, a nawet przerażona. Henry wydał jej się atrakcyjny i magnetycznie czarujący, więc gdyby zamierzał pozostać w Londynie dłużej niż kilka dni, z przyjemnością stopniowo by go poznawała i uczyła się od niego wszystkiego, czego mogłaby się nauczyć... Był bardzo bogatym człowiekiem, a wszyscy bogacze mieli do przekazania ważne rady, nawet jeżeli taką radą były słowa: „Nigdy nie staraj się zostać bogaczem”... Jednego tylko Effie była całkiem pewna: nigdy nie poślubi Henry'ego. Najpierw chciała spełnić swoje pragnienia, czyniąc to przed zamążpójściem. Kiedy bowiem postanowi wyjść za mąż, pragnie kroczyć do ołtarza dumnie, u ramienia mężczyzny, który potrafi być zarówno mężem, jak i partnerem. Widziała już swoją matkę na zmianę tyranizowaną i ignorowaną przez ojca. Henry, dość niebezpiecznie, traktował Effie tak, jakby była jakimś delikatnym różowym kwiatem, który pragnie zerwać, nenufarem albo dziką różą. Przerazało ją to, chociaż nie była całkiem pewna dlaczego. Być może dlatego, że chciała kochać swego męża jak kobieta i rozmawiać z nim jak kobieta, jak Effie, nie zaś jak niewolnica, ani jak delikatny kwiat, ani nic poza tym, kim naprawdę jest. Romantyczne uśmiechy i słowa wywoływały jej niepokój. Nie chciała być porównywana do róży, łabędzia czy gołębiczy ani nawet (jak wyczytała w pewnym piśmie dla pań) do „dalekiej, urzekającej krainy, której wdzięczne kontury zachwycają wzrok”.

Jerome podał jej list na srebrnej tacy.

– Pan Baeklander przesyła wyrazy uszanowania, panno Watson – powiedział takim tonem, jakby przyszło mu preparować ropuchę – i żałuje, że pani czuje się słaba. Życzy pani szybkiego powrotu do zdrowia. Przybędzie jutro po jedenastej, a tymczasem zostawił pani ten list.

Effie bez słowa sięgnęła po list. W kopercie było coś jeszcze oprócz papieru; coś małego, twardego i owiniętego w bibułkę.

– Dziękuję, Jerome. To wszystko – powiedziała.

– Czy jest coś jeszcze, co mogę pani podać, panno Watson? Filiżankę herbaty albo gorącej czekolady?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie. Dziękuję.

Jerome czekał przez chwilę, po czym wycofał się z salonu. Chodził tak bezszelестnie, że Effie zastanawiała się czasami, czy jego stopy w ogóle dotykają podłogi. Wstała i rozdarła kopertę dłońmi, które najwyraźniej nie dawały nad sobą zapanować.

W bibułce krył się zaręczynowy pierścionek z dwukaratowym brylantem otoczonym szafirami. Z pewnością wart był przynajmniej trzy tysiące funtów, a może nawet znacznie więcej. Gdyby go sprzedała, mogłaby sobie kupić dwanaście dochodowych domów bliźniaków w Surbiton, tuż pod Londynem. Albo sto pięćdziesiąt szytych na miarę strojów z najlepszych tkanin i koronek. Uniosła klejnot do światła. Migotał, lśnił i skrzył się tęczowymi blaskami.

Usiadła, drżąc, wciąż trzymając pierścionek w lewej dłoni i czytała list, do którego był dołączony. Henry miał zdecydowany, mocny, pochyły charakter pisma, chociaż linie biegnące w dół kończyły się zawijasami, co zdradzało jego próżność i dumę. Effie miała za sobą lekturę książki o znaczeniu i wymowie kaligrafii, więc czytając list Henry'ego, wiedziała, że „i” bez kropek i zawijas przy „g” świadczy o jego obsesji na punkcie własnej osoby i własnej magnetycznej brzydoty oraz na punkcie pieniędzy. Pisał:

*Moja Ukochana Effie,*

*To będzie ostatnia próba zdobycia twojego uczucia, jeśli bowiem będę na próżno wzbijać białego rumaka mojej miłości ku śliskim stokom Twojej szklanej góry, z pewnością zginie, gdyż upadnie na duchu. Jakże mnie lekceważysz! Jakże mnie odpychasz! Cóż więc robi mężczyzna? Właśnie to: oto ostatnie śmiałe posunięcie. Wyjdź za mnie, Effie, i przyjmij ten pierścionek. Przysięgam: jeśli powiesz, że za mnie wyjdiesz, będę Cię traktował jak królową i Twój brat otrzyma stanowisko szefa działu inwestycji w Nowym Jorku. Powiedz: tak! Musisz! Lo giuro, lo giuro, lo giuro, agli occhi tuoi lo giuro al nostro amor – przysięgam, przysięgam, przysięgam na naszą miłość.*

*Twój usychający z tęsknoty  
Henry.*

Effie siedziała bardzo długo, niemal pół godziny, obracając w palcach brylantowy pierścionek. Był on kluczem do beztrudnego życia w bogactwie. Wystarczyło powiedzieć „tak” Henry'emu, a będzie ją obsypywał strojami, klejnotami i prezentami do końca życia, a gdy umrze, ona będzie dziedziczką posiadłości, które obejmowały niemal jedną trzecią stanu Colorado, osiem wspaniałych ulic w Bostonie łącznie z Ruggles Street, Washington Street i Quincy Street, a także sześćset akrów New Hampshire, trzy mile kwadratowe na północy stanu Connecticut oraz rezydencje i posiadłości we Francji, Szwajcarii, Maroku i Anglii. Nie mówiąc o jachcie o dumnej nazwie „Excelsior”.

Nie wiedziała, co zrobić. Pokusa była bardzo wielka. Opuściła na kolana dłoń, w której trzymała pierścionek i siedziała, patrząc przez dłuższą chwilę na dogasające węgle, na odbicia w rusztach i rozpalone do białości gorące

zagłębienia, w których mrugały iskry, jakby były małymi duszkami, które mogły wytrzymać każdy rodzaj żaru.

Stojący zegar w holu wybił dziesiątą. To dziwne, pomyślała, moje życie już mija. Co mam zrobić?

## 21

Był to nie tyle zbieg okoliczności, ile jeden z owych niezwykłych sojuszy odmiennych przeznaczeń, jeden z momentów, gdy dwa wielkie mechanizmy ludzkiego istnienia na krótką chwilę wchodzą w dostrzegalną synchroniczność, tak iż każdy, kto jest wystarczająco uważny, może poprzez zazębienia tego mechanizmu dostrzec znaczenie czyjśóg życia dla swego własnego.

Nie zdarza się to często i nie jest zbiegiem okoliczności w powszechnie rozumianym sensie. Czasami takie objawienie jest niezrozumiałe i nic nieznaczące. Niekiedy zaś jego znaczenie staje się jasne dopiero po wielu latach, gdy jest już za późno, by coś w związku z nim zrobić. Czasem jest mylnie rozumiane i powoduje nieszczęśliwe wypadki lub śmiertelne skutki, albo straszną rozpacz.

Dla Effie takim moment nadszedł w sobotę, gdy towarzyszyła Dougalowi i Prudence w ich przejażdżce statkiem wodami Tamizy z Albert Embankment do Greenwich. Dzień był wyjątkowo chłodny nawet jak na początek lutego, a płatki śniegu opadały niczym popiół z jakiegoś dalekiego stosu pogrzebowego. Effie miała na sobie futro z fok i ciemny futrzany kapelusz, a dłonie kryła w gronostajowej mufce. Prudence założyła długi elegancki płaszcz z czarnej merynosowej wełny, obsyty karakułowym futrem. Dougal wciąż kichał i wycierał czerwony nos chusteczką. Złapał lekkie przeziębienie, gdyż Londyn był bardziej wilgotny niż Edynburg.

Rzeczny statek „Arogi”, wzruszająco ochrzczony dla upamiętnienia masakry siedmuset Abisyńczyków dokonanej przez wojska brytyjskie w 1868 roku, niósł ich spokojnie przez ten śnieg, mijając Tower Bridge, londyńskie doki oraz ciemny i bezlistny las masztów i lin. Magazyny Londynu były największymi składowiskami na świecie, mogąc pomieścić ćwierć miliona ton herbaty, przypraw, kauczuku, kawy, rumu i ropy naftowej. Nawet w tak zimny dzień zapach goździków i ziela angielskiego unosił się nad rzeką z północno-zachodnim wiatrem jak wyczarowany duch Dalekiego Wschodu.

Effie bardzo się starała zachowywać przyjaźnie wobec Prudence i kiedy zeszli do salonu „Arogi”, aby napić się gorącej herbaty i oglądać ciemne wody Tamizy przez okna, usiłowała nawiązać konwersację o sukniach,

kapeluszach i teatrach. Prudence z kolei była wobec Effie zaledwie uprzejma i zauważalnie powściągliwa. Przez niemal całą podróż trzymała Dougala pod rękę i nie powiedziała prawie nic.

Kiedy jednak dotarli do Greenwich i po trapie schodzili ze statku, powiedziała:

– Lubię takie dni jak ten dzisiejszy. Mroczne i złowrogie! Można by pomyśleć, że cały świat ma się ku końcowi!

– Ach, tak – rzekł Dougal, pomagając jej zejść na brzeg – w Edynburgu są takie dni.

– W Lichfield także – powiedziała Prudence. – Mieliśmy dom, którego okna wychodziły na Damy Doliny, to znaczy trzy iglice wież katedry w Lichfield. Pamiętam, jak spoglądałam przez okno na wirujący wokół nich śnieg.

– Dougal mówił, że pochodzicie z Dorset – powiedziała Effie. – Cuttingowie z Dorset, jestem pewna, że mówił.

Prudence strzepała śnieg z płaszcza.

– Tak – powiedziała ostro. – To było, zanim się przeprowadziliśmy.

Effie spojrzała spod oka na Dougala, gdy przechodzili przez pokryty białym puchem bruk nabrzeża. Ona zaś obdarzył ją spojrzeniem, które zdawało się mówić: cóż, czy to naprawdę ma znaczenie, gdzie się wychowała?

Wspinali się razem na stromy zielony stok Greenwich Park, skąd spoglądając na północ przez zamglone zakole Tamizy, można ujrzyć Isle of Dogs i Millwall, a na zachód sięgnąć wzrokiem aż do Rotherhithe i Surrey Commercial Docks. Pod nimi, niewyraźne i eleganckie w śnieżnej bieli, znajdowały się budynki Greenwich Hospital zaprojektowane przez wielkiego osiemnastowiecznego architekta Sir Christophera Wrena oraz Queen's Mouse, zbudowany w siedemnastym wieku przez Ingo Jonesa dla małżonki Jakuba I.

Zwiedzili Royal Observatory na szczycie wzgórza, oglądając tam różne zegary, chronometry i barometry, a potem kolejno stawali na wykonanym z brązu pasie, który oznacza południk zero długości geograficznej. Śnieg jednak zaczął padać coraz gęściej i Dougal zasugerował, że powinni wracać na nabrzeże i napić się herbaty w oczekiwaniu na statek, który zabierze ich z powrotem do Albert Embankment. O dziwo, jakiś chłopiec puszczał w śniegu latawca, który opadał i skręcał na wietrze.

Dougal i Prudence szli przodem drogą, która wiodła ku budynkom starego szpitala. Effie, podążając kilkanaście kroków za nimi, obserwowała, jak blisko trzymają się razem i jak ich chłodne oddechy łączą się w obłoki pary, jakby prawdziwe słowa zespały się ze sobą i pieściły, zanim ulatywały w dal.

Przystanąła, aby pogłaskać rudego spaniela, który siedział zziąjany przy drodze. Dougal i Prudence nie zauważyli, że nie dotrzymuje im kroku i szli

dalej, aż znaleźli się poza zasięgiem głosu.

– Dobry piesek – powiedziała Effie do spaniela – zmęczyłeś się. Kto jest twoją panią?

– On nie ma pani, niestety. Tylko pana – całkiem blisko rozległ się czyjś głos.

Spomiędzy szarych pni wiązów wyłonił się zgarbiony mężczyzna na wózku inwalidzkim. Był chyba dość młody; miał nie więcej niż dwadzieścia lub dwadzieścia dwa lata, ale jego włosy nad potężnym białym sklepieniem czaszki przerzedzały się, a kręgi pod oczami były granatowe jak dojrzałe jeżyny, a gdy Effie spojrzała na jego osłonięte kocem chude kolana i wychudzone, szkieletowe dłonie, zrozumiała, że patrzy na człowieka, któremu pozostało niewiele życia przed sobą, a większość tego życia spędzi w bólu. Nie miał kapelusza ani rękawiczek, a spod koca wyzierały jedynie cienkie czarne pantofle.

– Wbiegł w błoto – powiedziała Effie, wyciągając psa za uszy. – Proszę spojrzeć, jaki jest ubrudzony.

Młody człowiek w inwalidzkim wózku podjechał bliżej. Z niewielkiej odległości Effie usłyszała, jak zimne powietrze świszczę w jego płucach. Uniósł wielką, lśniąca latarnię głowy, by na nią spojrzeć, i uśmiechnął się.

– Jesteś Szkotką. Dziewczyną ze Szkocji. To wspaniale. Kiedyś, gdy byłem bardzo młody, mieliśmy szkockiego leśniczego.

– Jestem Effie Watson – odparła Effie. – Przyjechałam do Londynu pierwszy raz przed dwoma tygodniami i wszystko jest tu dla mnie nowe.

– Londyn to cudowne miasto, chociaż niełatwo tu żyć, a mnie jeszcze trudniej – rzekł młody mężczyzna. – W St Bartholomew's Hospital usiłują wyleczyć przyczynę mej choroby.

– Nie wiadomo, co to jest?

– Jakaś dziedziczna przypadłość, jak sędzę – uśmiechnął się, po czym wyjął spod koca małą glinianą fajkę, taką jaką zwykle palili robotnicy, a następnie sięgnął po skórzany woreczek z tytoniem.

– Czy pozwoli pan, że nabiję panu fajkę? – zapytała Effie.

Naprawdę nie wiedziała, dlaczego mu to zaproponowała. Dougal i Prudence byli już u podnóża stoku, ledwie widoczni w śniegu, Effie zaś miała wrażenie, że okazując jakąś uprzejmość temu kalekiemu nieszczęśnikowi na wózku inwalidzkim, podąża drogą do usprawiedliwienia swojej ambicji i żądzy bogactwa. Spaniel podbiegł do swego pana i wpatrywał się w niego bacznyimi oczami.

– Cicho, Pepys, cicho – powiedział młody człowiek, choć pies nie wydał z gardła niczego oprócz cichego pisku.

– Mieszka pan w pobliżu? – zapytała Effie, nabijając tytoniem fajeczkę.

– Mam tutaj krewnych – odparł nieznajomy. – Kiedyś mieszkałem w Gloucestershire, ale tam nie ma nikogo, kto potrafi sobie poradzić z moim

codziennym bólem. Leczą mnie kąpielami. Gorącymi kąpielami w solance. Czasami pod koniec takiego zabiegu czuję się jak solony śledź.

Effie podniosła kołnierz futra. Niebo nad dokami tak pociemniało, że mogła sobie wyobrazić wagnerowskie Walkirie pędzące przez śnieżne chmury, z kopytami miażdżącymi iglice i ozebrowania żaglowców przewożących herbatę i dudniącymi na srebrzystym szlaku Tamizy.

Podąła młodemu człowiekowi fajkę.

– Mam nadzieję, że będzie się dobrze palić. Prawdę mówiąc, nie jestem przyzwyczajona do tytoniu.

Ujął w dłonie główkę fajki i przytknął do niej zapalną. W ciągu kilku chwil fajka zaczęła się palić, on zaś raz i drugi zaciągnął się z długim świstem i dym popłynął ku drzewom, a spaniel Pepys usadowił się przy kołach wózka.

– Nie przeszkadza panu ta pogoda? – spytała Effie.

Młody człowiek przecząco pokręcił głową, zaciskając fajkę między zębami.

– Uważam, że jest wspaniała! Proszę spojrzeć na spadające płatki śniegu. Prawdopodobnie zrugają mnie, gdy wrócę, za to, że zmokłem. „Przeziębł się pan!”, powiedzą. „Umrze pan na obustronne zapalenie płuc!”. Cóż, zapewne umrę. Nie miałbym nic przeciwko temu.

– A powinien pan! – rzekła Effie.

– Doprawdy? A po cóż mam pozostawać przy życiu, jeśli nie liczyć tych jazd na wózku z Greenwich Park do Maze Hill, a czasami do stawu w Blackheath. Nawet Pepys nie tęskniłby za mną, prawda, kolego?

Effie spojrzała szybko w dół wzgórza. Dougal i Prudence zatrzymali się i czekali na nią.

– Muszę już iść – powiedziała. – Być może przyjdę tu znowu i jeszcze porozmawiamy.

Młody człowiek się uśmiechnął.

– Nie wróci pani – powiedział. – W każdym razie ja wolałbym, aby nie próbowała mnie pani szukać.

– Dlaczego?

– Ponieważ... nie jestem taki, jaki powinienem być.

Effie otrzepała śnieg z kołnierza futra.

– Jaki powinien pan być? A kimże może pan być, jeśli nie sobą?

– Powinienem być aktywny, energiczny i męski – odparł młody człowiek. – Powinienem zarządzać swoimi posiadłościami. Cóż, nie są już moje. Musiałem je sprzedać, żeby zapłacić za leczenie i za podróż do Australii i z powrotem. Uważano, że tamtejszy klimat mnie uleczy, ale oczywiście nie miał on takiego wpływu, a tylko wywołał u mnie wysypkę. Nie mogę pani opisać nawet początku tej podróży. Ze wstydem przyznaję, że bardzo cierpiałem na chorobę morską.

Effie wyciągnęła rękę.

– Cóż – powiedziała – skoro trzeba się pożegnać, to się pożegnajmy.

Młody człowiek nie próbował ująć jej ręki, ale zasalutował jej po marynarSKU.

– Żegnam, panno Effie Watson.

Effie zatrzymała się na ścieżce.

– A kogo ja pożegnam? – zapytała.

Młodzieniec obrócił głowę na północ, mrużąc oczy przed wiatrem.

– To nie ma dla pani znaczenia, prawda?

– Prawda.

– W takim razie może pani pożegnać lorda Davida Rethesdale. Szóstego lorda Rethesdale i niewątpliwie ostatniego.

– Żartuje pan ze mnie?

Młodzieniec gwałtownie obrócił swój wózek; jego wychudłe palce kierowały kołami z jakąś niesamowicie chwytną zręcznością, którą musiał nabywać przez miesiące bólu.

– Nie mogę żartować z nikogo – powiedział. – Szczególnie zaś z kogoś, kto okazuje mi uprzejmość.

– Pan naprawdę jest lordem Rethesdale?

Zapadło długie milczenie, a potem młodzieniec odpowiedział.

– Tak. Oczywiście nie musi mi pani wierzyć. Nie mogę pani zmusić, by mi uwierzyła!

Effie znów spojrzała w dół wzgórza, ku Dougalowi i Prudence. Dougal machał do niej.

– Chodź już, Effie! Zmarziliśmy! Chodź, bo statek odpłynie bez nas!

– Mówi pan, że sprzedał pan swoje ziemie? Sprzedał je pan, żeby opłacić lekarzy? – zapytała Effie lorda Rethesdale.

– Tak. Były już zresztą zadłużone.

Wróciła do jego wózka, pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Życzę panu wszystkiego najlepszego i chyba jednak wrócę, jeśli będzie pan cierpliwy – powiedziała i odeszła.

Pospieszyła w dół zbocza, by dołączyć do Dougala i Prudence. Dougal był zmarznięty i niezadowolony.

– Kim był ten pokurczony kaleka na wózku, z którym rozmawiałaś? – domagał się odpowiedzi.

– Nikim – odparła Effie, biorąc go pod rękę. – To żebrak proszący o kilka pensów.

– Strasznie zimno – powiedziała Prudence. – Mogłaś się pospieszyć. Nie wiem, po co musieliśmy przyjeżdżać akurat do Greenwich, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Dougal objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej.

– Effie potrafi się zaprzyjaźnić z każdym, kogo spotka – roześmiał się. –



To jest coś, do czego rodzina musiała się przyzwyczaić.

– Ja jednak nie muszę się z tym godzić – rzekła ostro Prudence.

Powrotny rejs w górę rzeki do Albert Embankment w Vauxhall przypominał najczarniejszy senny koszmar producenta poduszek: ciemność i biały puch. Gdy w końcu dobili do brzegu, Prudence poleciała Dougalowi wezwać dorożkę dla Effie i osobny pojazd dla nich.

– Musisz mnie odwiedzić – powiedziała. Szpilki wysunęły jej się z fryzury, nos poróżwiał, a oczy łzawiły z zimna. – Nie mam ochoty nigdy więcej oglądać Greenwich – oświadczyła. – Ani rzeki. Ani twojej siostry Effie. Ani niczego.

Ostatnią rzeczą, jaką Effie usłyszała, gdy jej dorożka odjeżdżała z nadbrzeża, był głos Dougala.

– Przepraszam, Prudence. Naprawdę mi przykro. Co jeszcze mogę powiedzieć?

## 22

Po powrocie na Eaton Square dowiedziała się, że znowu był tam Henry Baeklander i zostawił jej bombonierkę z kandyzowanym agrestem. O pudełko słodczy oparta była wizytówka z krótką informacją: „Wypływam w środę”.

Poprosiła Jerome'a o lekką kolację złożoną z bulionu i grzanek, którą zabrała do swojego pokoju. Potem zadzwoniła po pokojówkę Logan, by przygotowała jej gorącą kąpiel, której zażywała niemal dwadzieścia minut, słuchając dalekich odgłosów domu docierających do niej przez wysoką białą obudowę wanny.

Była już w swej białej ozdobionej haftem angielskim nocnej koszuli i siedząc w łóżku, czytała „The Illustrated London News”, gdy zapukano do jej drzwi. Stał w nich Dougal; zmęczony, z mokrymi włosami i chusteczką w rękę. Usiadł na wiklinowym krześle w rogu pokoju i wycierał nos.

– Nigdy nie miałem tak okropnego kataru. Czuję się wręcz wykończony.

– Powinieneś poprosić Jerome'a, żeby zrobił ci gorącą herbatę z cytryną, miodem i goździkami.

– Nie znoszę takich rzeczy.

– To zażyj bromochininę albo syrop imbirowy.

– Raczej umrę.

Między siostrą i bratem zapadła długa cisza. W końcu Effie cisnęła czasopismo na podłogę.

– Jesteś w niej naprawdę zakochany, czyż nie?

– Przypuszczam, że tak.

– Jak to „przypuszczam”?! Podążałeś za nią przez cały dzień, jakby była pasterką, a ty biednym barankiem. Trzyma cię na smyczy, Dougal, a ty nie widzisz, jaka jest dla ciebie ostra, jak bardzo pogardliwie cię traktuje. Jeśli ktoś tu jest owcą, to ona, ta prostaczka, ale ty nie chcesz tego widzieć, prawda?

Dougal dwukrotnie kichnął.

– Och, Effie, daj mi spokój. Czuję się wystarczająco okropnie bez twojego głędzenia.

– Jest coś jeszcze – powiedziała niezrażona Effie. – Coś znacznie ważniejszego niż Prudence, chociaż postawiłabym dziesięć funtów, że Prudence ma z tym coś wspólnego.

– Co to takiego?

Effie wsparła głowę na podciągniętych ku sobie kolanach. Tak bardzo było jej żal Dougala, że z trudem mogła się zmusić, by mu odpowiedzieć. Był taki bezpośredni, tak rozentuzjasmowany, a ona wiedziała, że pewnego dnia zostanie najbardziej pomysłowym bankierem na świecie. Teraz jednak, z katarem i niezachwianym zauroczeniem Prudence, był bezsilny, a jednocześnie nie chciał, by udzielano mu pomocy.

– Coś jest nie w porządku z Jackiem Cuttingiem i tym jego planem.

– Czyżby? Dlaczego tak myślisz? Nagle jesteś znawczynią kolei we wschodniej Afryce.

– Nie, ale wiem, co zamierzasz zrobić i jak to sfinansujesz. Wiem też, kto rzekomo miałby ci dać gwarancje spłaty.

– Lord Rethesdale – odparł Dougal.

– Tak... – Effie skinęła głową – Mnie zaś, przypadkiem, zdarzyło się dzisiaj poznać lorda Rethesdale w Greenwich Park. Cóż, nie był to zwykły przypadek. W pobliżu jest szpital, gdzie leczy się ludzi cierpiących z powodu paraliżu.

Dougal przycisnął wierzch dłoni do swego zapchanego nosa.

– Chwileczkę! Próbujesz mi powiedzieć, że twój żebrak na wózku... że to był lord Rethesdale?

– Sprytny chłopak z ciebie jak na brata – powiedziała Effie. – Właśnie lord Rethesdale był tym żebrakiem.

Dougal na chwilę zmarszczył brwi, a potem prychnął z niedowierzaniem.

– To niedorzeczne! Oto po raz pierwszy w całym minionym tygodniu rozmawiamy o lordzie Rethesdale i co się dzieje? Wpadasz na niego w parku akurat wtedy, gdy pierwszy raz wychodzimy. Albo mówisz, że wpadasz. To aż nazbyt sprytnie!

Effie odsunęła kołdrę i wstała.

– To prawda! To był on. Przysiągł, że jest lordem Rethesdale. Powiedział, że zachorował i nie mógł chodzić, że się zapożyczył i sprzedał wszystkie swoje posiadłości, by móc sobie pozwolić na szpitalne leczenie, które ma

przynieść mu ulgę. Nie będzie żył długo. Cierpi w okropnym bólu. Choroba postępuje szybko.

Dougal długo wpatrywał się w Effie.

- Nie nabieraj mnie, Effie Watson – powiedział w końcu.
- Myślisz, że nabierałabym cię w takiej sprawie, w sprawie tak dla ciebie ważnej.
- Nie obchodzi cię Prudence?
- W tej sprawie masz rację. Ale ty mnie obchodzisz.
- Opowiadasz różne bajeczki, żeby mnie od niej odciągnąć.
- Dougal – Effie wyciągnęła rękę – braciszku, kocham cię i z całego serca pragnęłabym, opowiadać ci „bajeczki”. Jednak nie zmyślam. Ten człowiek na wózku, powykręcany i kaleki, bez żadnych pieniędzy, to naprawdę był lord Rethesdale.

Dougal z ociąganiem ujął rękę Effie i uściśnął ją mocno.

– To na pewno jakaś pomyłka. Może źle usłyszałaś nazwisko. Zresztą nawet jeśli się nie mylisz, nie wyobrażam sobie, aby Jack Cutting spłatał mi takiego figła. On nie jest takim człowiekiem.

– Nigdy nie można powiedzieć, kto nam spłata figła, kiedy chodzi o pieniądze – powiedziała łagodnie Effie. – Tak mawiał ojciec.

– Ojciec jest cynikiem.

– Ojciec dorobił się majątku, zaczynając od zera – przypomniała mu Effie. – Gdyby nie to, że był cynikiem i nie wierzył ludziom, nie byłoby cię teraz tutaj.

– Byłoby lepiej, gdybym się tu nie znalazł – rzekł Dougal, czyszcząc nos i wsuwając chusteczkę do kieszeni. – Wolałbym umrzeć na szkodłą gorączkę niż na angielskie przeziębienie.

Ktoś zapukał do drzwi; to pokojówka Logan z kubkiem sprzyjającego dobrym snom słodowego mleka „horlicks” dla Effie i wypełnioną ziołami poduszeczką w kształcie serca, którą wcześniej obiecała jej pożyczyc jako bardzo pomocną w zasypianiu. Mleczny koktajl był teraz bardzo popularnym napojem zalecanym przed snem, ponieważ szeroka kampania reklamowa skojarzyła go z wojną burską. Na opakowaniach sproszkowanego, witaminizowanego mleka pancerne pociągi przejeżdżały przez południowoafrykański busz, a para buchająca z lokomotyw układała się w napis „horlicks”.

– Co zrobisz? – zapytała Effie po wyjściu pokojówki.

– Co zrobię? Na razie nic.

– Ale założmy, że to wschodnioafrykańskie przedsięwzięcie wcale nie jest takie, jakie miało być?

– Założmy, że jest, a ja nie dam sobie z nim rady? – odparował Dougal.

– Stracę jedną z najlepszych okazji, by dokonać nie lada sztuki finansowej; okazję, jakiej już nigdy nie będę miał. To musi się zdarzyć teraz, Effie.

Muszę pokazać ojcu, że już po kilku tygodniach od chwili, gdy wysłał mnie do Londynu, potrafię podejmować tak poważne decyzje kredytowe, że Watson's Bank niebawem będzie w nich przodował. Beringowie nie są ci sami od czasu afery argentyńskiej, gdy Rothschildowie musieli ich dofinansować, a sami Rothschildowie ostatnio zaciskają pasa. Nie jesteśmy jeszcze Rothschildami, ale możemy być, jeśli tylko będziemy działać szybko i podejmiemy ryzyko!

– Milion funtów na kolej wschodnioafrykańską to okropnie duże ryzyko. Szczególnie, że nie możesz być pewien własnego zabezpieczenia.

– Ryzykujemy milion, to prawda. Wspomnisz jednak moje słowa: zarobimy trzy miliony.

Effie nic nie powiedziała. Bala się o Dougala, ale wiedziała *i* doświadczenia, że skoro raz podjął jakąś decyzję, nakłonienie go do zmiany było niemal niemożliwe. Właśnie to niezachwiane poparcie, jakiego udzielał niepopularnym i ekscentrycznym inwestycjom, było jego miarą; miarą jego siły i jego słabości. Często myślała, że obrał złą drogę, zostając bankierem. Powinien być badaczem, wynalazcą, żołnierzem albo alpinistą. Po matce odziedziczył upór, miłe usposobienie i optymizm, którego prawie nic nie mogło złamać; ani nuda, ani dezaprobata, ani nawet zasady epoki, w której najpopularniejsi komentatorzy kronik towarzyskich poważnie sugerowali, że jeśli mężczyzna chce poznać jakąś młodą damę, powinien pomyśleć o wstąpieniu do tego samego klubu krykietowego, do którego należy jej brat.

– Pozwól, że zapytam cię tylko o jedną rzecz: czy mogę przyjść na twoje jutrzejsze spotkanie z dyrektorami kolei?

Dougal zakaszłał i wstał, otrzepując płaszcz.

– Dobrze – powiedział zduszonym przez katar głosem. – Pomyślę o tym, a teraz wypij swój mleczny koktajl i śpij.

## 23

Biura kompanii East Africa Railway mieściły się w mrocznym czteropiętrowym budynku w Star Yard na tyłach Chancery Lane. Padał deszcz ze śniegiem, gdy Dougal i Effie przybyli tam o czwartej w poniedziałkowe popołudnie, i było już bardzo ciemno. Wąską klatką schodową pokrytą zawilgoconą brązową tapetą weszli na piętro, gdzie unosił się zapach gazu i kotów. Na drzwiach oszklonych matową szybą widniał napis „Snetterton, Plant & Beest, Limited”. Przy sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem, otoczona przez morze listów, pogniecionych arkuszy, nikogo nie obchodzących ksiąg rachunkowych i okolona galerią kart pocztowych z urodziwymi młodzieńcami w mundurach siedziała ładna młoda maszynistka w dopasowanej bluzce i ciemnozielonej spódnicy, malując sobie paznokcie

na różowo, a na stojącym piecyku olejowym podgrzewała się niespiesznie jej herbata z ekierką.

– Szukają państwo pana Beesta, nieprawdaż? – zapytała wesoło. – Pan Beest nigdy nie przychodzi do biura.

W tym momencie otworzyły się wewnętrzne drzwi i stanął w nich Jack Cutting.

– Dougal, mój przyjacielu! Ach, widzę, że przyprowadziłeś swą czarującą siostrę! Wejdz, proszę! Pan Snetterton i pan Plant wprost nie mogą się doczekać, by cię poznać! Panno Watson, jakaż to przyjemność witać panią w tak paskudne popołudnie! – zawołał, a następnie zwrócił się do sekretarki. – Droga Aleksandro, czy zechcesz zrobić herbatę dla wszystkich? Indyjską, w najlepszych filizankach.

Po tych powitaniach zaprowadził ich do wewnętrznego biura, które na pierwszy rzut oka sprawiło na Effie wrażenie raczej pomieszczeń niepopularnego tygodnika niż przedsiębiorstwa kolejowego. Wszędzie leżały gazety, mapy i stosy książek, a w jednym rogu stała nawet duża druciana klatka, w której uwięziono liniejącą zieloną papugę, z rozdrażnieniem rzucającą się z jednego końca żerdzi na drugi.

Obydwaj współnicy spółki kolejowej wstali, gdy weszła Effie. Pan Snetterton był niski, niemal karłowaty i miał głowę, która wydawała się opadać w lewo oraz czuprynę włosów sprawiającą wrażenie, iż wyrывa się jeszcze dalej. Jego kołnierzyk był tak wysoki, że Effie się zastanawiała, jak pan Snetterton go powstrzymuje od wyłupienia mu oczu, a żółty jedwabny krawat zdobiła diamentowa spinka. Drobny dandys z dłońmi i stopami jak u dziecka oraz dziwnym, zduszonym głosem.

Pan Plant natomiast był otyły. Miał wygląd człowieka, który większość swego życia przeżył w tropikach, jedząc zbyt wiele tamtejszej żywności i pijąc za dużo ginu. Było jednak coś miłego w jego niedbałości, jakaś przyjemna aura. Przez cały czas (z wyjątkiem chwili, w której ujął i ucałował dłoń Effie i uściśnął dłoń Dougala) trzymał ręce w kieszeniach obszernego tweedowego płaszcza, jakby znał wszystkich i wszystko. Zjadł wcześniej trzy paszteciki z baraniną na lunch, ponieważ okruszki wciąż były rozsypane na jego biurku i od czasu do czasu wsuwał kawałek ciasta przez kraty siatki z papugą, głośno przy tym cmokając szkarłatnymi wargami: „No masz, Polly, pyszności!”.

– Muszą nam państwo wybaczyć ten lokal – rzekł pan Snetterton. – Nasze główne biura znajdują się w Nairobi i są niezwykle eleganckie. Kiedy przyjechaliliśmy do Londynu, musieliśmy wynająć to, które było możliwe, i nie było usprawiedliwienia dla rozrzutności, tylko dlatego, aby zrobić wrażenie na bankach.

Dougal rozejrzał się wokół, pociągając nosem.

– Dopóki robią na nas wrażenie pańskie plany kolejowe, panie Snetter-

ton, chyba nie będziemy się interesować pańską makulaturą ani papugą.

Pan Plant podsunął im jakieś tanie gięte krzesła.

– Za trzy lata, panie Watson, będzie nas stać, aby wynająć na biura siedzibę Bank of England. Ta linia kolejowa uczyni nas niezwykle bogatymi ludźmi i przyniesie jeszcze coś więcej.

– Widziałem pańskie plany – powiedział Dougal. – Przejrzałem też pańską finansową propozycję i kwoty. Dla mnie wydają się wystarczające pod warunkiem, że może pan ułożyć linię w wyznaczonym czasie i w ramach pańskiego budżetu i o ile może pan zagwarantować, że będzie w stanie zapewnić monopol na handel kością słoniową i składowanie.

Pan Snetterton wyjął niewielkie cygaro.

– Czy panna Watson miałyby coś przeciwko temu, abym zapalił? – zapytał i kiedy Effie uprzejmie wyraziła zgodę, zapalił cygaro i pociągał je gwałtownie, aż się dobrze rozjarzyło, a mroczne wnętrze wypełniło się gryzącym błękitnym dymem, który rozsnuwał się, zakręcał i opadał. – Proszę pozwolić, że wyjaśnię – rzekł po owej chwili – iż George Plant i ja bywamy w Afryce Wschodniej od jedenastu lat, jeżdżąc tam i z powrotem.

– Tam i z powrotem – zgodnie potwierdził George Plant i uśmiechnął się do Effie.

– Zna nas każdy agent, każdy tubylec, każdy kłusownik polujący na kość słoniową, każdy Tom, Dick i Harry, biały i czarny. Nawet lwy nas znają, nieprawdaż, George?

– Nie po imionach – roześmiał się George Plant.

– Gdy zbudujemy naszą kolejową odnogę biegnącą z jednej strony Jeziora Wiktorii do drugiej i połączymy ją z linią rządową, zdobędziemy kontrolę nad całą środkową Afryką. Cały świat będzie zależał od nas, jeśli chodzi o każdy naturalny produkt pochodzący z tej części kontynentu i wszyscy, którzy zechcą podróżować, osiedlić się lub gospodarować w Afryce Wschodniej albo w Ugandzie, będą musieli nam za to płacić. Wystarczy sobie wyobrazić posiadanie wyłącznych praw choćby do odcinka linii kolejowej między Londynem a Watford, żeby zrozumieć logikę tego, co pragniemy zrobić.

– Czy ma pan wszystkie niezbędne prawa własności ziemi? – zapytała Effie.

Pan Snetterton spojrział na nią ostro, ale nie odpowiedział. George Plant natomiast ponownie cmoknął ku papudze i wsunął kolejny kawałek ciasta przez kraty jej klatki. Papuga go dziobnęła.

– To dopiero dziób! – powiedział, żałośnie ssąc palec.

– Zapytałam pana, panie Snetterton, czy ma pan wszystkie niezbędne prawa własności ziemi? – nie ustępowała Effie.

Pan Snetterton zwrócił się do Dougala.

– Czy pańska siostra mówi w pana imieniu, panie Watson?

Dougal z zakłopotaniem spojrzął na Effie.

– Sądzę, że wnosi uzasadnioną uwagę, panie Snetterton.

Pan Snetterton klasnął w dłonie, z cygarem zaciśniętym w grymasie.

– No proszę! Rzecz w tym, że ja nie zwykłem robić finansowych interesów ze słabą płcią. Przypuszczam, że można by powiedzieć, iż to mnie wytrąca z równowagi. Damy są stworzone do zajmowania się domem oraz do tego, aby je podziwiać i kochać. Ale do bankowości?! Nie sądzą, panie Watson. Proszę mi wybaczyć, panno Watson.

Effie wstała.

– Jestem córką Thomasa Watsona, właściciela Watson's Bank i sądzą, że jestem tak samo uprawniona do troski o interesy tego banku, jak wszyscy – oświadczyła.

Jack Cutting podszedł i dotknął ramienia Effie.

– Panno Watson – powiedział poważnie, ale serdecznie – musi pani wybaczyć dżentelmenom. To dla nas nowe do świadczenie: robić interesy z kimś tak czarującym i ujmującym. Alisdair, zechcesz wyjaśnić pannie Watson sprawę aktów własności gruntów?

– Wszystkie są w porządku – dość opryskliwie rzekł pan Snetterton. – Negocjowałem je osobiście. Chce pani je zobaczyć?

– Tak, proszę – odparła Effie, ale Dougal uniósł rękę i rzekł:

– Nie, panie Snetterton, sądzą, że to nie będzie konieczne.

– Dougal... – ostrzegła Effie, ale brat przecząco pokręcił głową.

– Przejrzałem ten plan w najdrobniejszych szczegółach, Effie. Wiem, co robię. Teraz zaś wolałbym, abyś zachowała swe uwagi dla siebie.

– A co z lordem Rethsdale? – zapytała Effie.

George Plant podniósł wzrok. Jego żabie oczy błysnęły w świetle gazowej lampy.

– Skąd to pytanie? – zapytał Alisdair Snetterton.

– Jest waszym poręczycielem – odparła Effie. – Stanowi jedyne zabezpieczenie, jakie zdołali panowie zaoferować na wypadek bankructwa.

Alisdair Snetterton dokładnie strząsnął popiół z koniuszka cygara.

– Byłem przekonany, że mam się dziś spotkać z panem Dougalem Watsonem z Watson's Bank, aby zawrzeć umowę o finansowaniu naszej kolei nad Jeziorem Wiktorii – mówił zjadliwie. – Zamiast tego przychodzi mi rozmawiać z jego impertynenką młodą siostrą. Nie jestem gburem, ale też nie jestem szczególnie cierpliwym człowiekiem, a to nie jest sposób, w jaki zwykłem załatwiać interesy.

Effie poczuła ucisk w piersiach. Chętnie krzyknęłaby na Alisdaira Snettertona i dostała jednego ze swoich napadów złości, ale wiedziała, że teraz, w Londynie, załatwia prawdziwy interes i że nie może zachować się tak, jakby to była rodzinna kłótnia w Edynburgu. Jej policzki pokryły się czerwieńią, czuła, jak bardzo płoną i była tak wściekła, że mogłaby

wybuchnąć nedorzecznym płaczem. Zdołała jednak powstrzymać łzy i odpowiedzieć głosem, którym tylko lekko drżał.

– Poznałam lorda Rethesdale. W sobotę. W Greenwich.

Dougal pospieszył z wyjaśnieniem.

– Siostra poznała jakiegoś młodego człowieka, który utrzymywał, że jest lordem Rethesdale.

– Dlaczego miałby utrzymywać, że jest lordem Rethesdale, gdyby nim nie był? – dopytywała się Effie. – Co by mu to dało. Był kaleką i biedakiem. Mieszka w Greenwich, w domu opieki. Nie stać go nawet na leczenie, nie mówiąc już o zabezpieczeniu milionowego kredytu na budowę kolei.

Dougal spojrział wyczekująco na Alisdaira Snettertona.

– Myślę, że to zasługuje na jakąś odpowiedź, panie Snetterton – rzekł ze spokojnym szkockim akcentem. – Może chodzi o jakieś szaleństwo, pomyłkę czy oszustwo, ale naprawdę sędzę, że zasługuje to na odpowiedź.

Teraz z kolei wstał George Plant. Uniósł z biurowego krzesła swe wielkie siedzenie wtłoczone w wyświechtane spodnie i z rękami w kieszeniach okrążył biurko. Po kilku chwilach przystanął, uśmiechnął się szeroko do Dougala i Effie, po czym powoli oparł brodę na szyi tak głęboko, że wyglądało to, jakby jego głowa wymodelowana była z wosku i roztapiała się w kołnierzyku w grubych, parafinowożółtych fałdach.

– Rzecz w tym – powiedział – że Alisdair i ja odnieśliśmy wielki sukces w Afryce Wschodniej. Poznaliśmy język, kuchnię i zaprzyjaźniliśmy się ze wszystkimi czarnoskórymi, a nawet, mówiąc z grubsza, zabawialiśmy kilka plemiennych dam. O to chodzi, panie Cutting? Byliśmy tam szanowani i nadal jesteśmy, ale problem z sukcesem polega na tym, że wywołuje on zazdrość. Istnieją liczne konkurencyjne firmy, które dopuściłyby się wszystkiego, aby powstrzymać budowę tej kolei. Wszystkiego, nawet morderstwa! Założę się więc, że spotkawszy lorda Rethesdale w Greenwich Park nie rozmawiała pani z żadnym lordem, tylko z jakimś sprytnym oszustem. Nie zdziwiłbym się, gdyby był to jakiś najemnik z Nairobi Land & Plantation Company. A może z samego Colonial Office. Tutaj gra idzie o miliony funtów, panno Watson, a tam gdzie stawką są miliony, świat staje się bardzo dziwnym miejscem. Zapomina się o zasadach. Traci się kontakt z rzeczywistością, która umyka szybko.

– Czy mogę zadać jedno pytanie? – przerwała mu Effie.

George Plant rozłożył szeroko ręce.

– Wszystko, co pani sobie życzy – powiedział. – Wszystko, co pani sobie życzy.

– Czy byłoby możliwe, abyśmy przed podpisaniem umowy kredytowej poznali lorda Rethesdale?

George Plant nie przestał się uśmiechać.

– Przykro mi – powiedział pogodnie. – Nie będzie to możliwe. Lord



Rethesdale przebywa obecnie na wakacjach we Florencji. Powiedziano mi, że kocha Florencję, chociaż Bóg jeden wie dlaczego. Ja sam nie znoszę żadnego miejsca oprócz Afryki Wschodniej. Urodziłem się dla niej.

– Jak więc dał swoją zgodę na podpisanie tej umowy, skoro jest we Florencji? – zapytała Effie.

– Uczynił to przed wyjazdem – odparł George Plant, po czym otworzył jedną szufladę biurka, następnie drugą i w końcu wyjął jakiś list napisany na papierze Izby Lordów, Effie wzięła go i przeczytała, chociaż wiedziała, że ów list niczego nie dowodzi. Ktoś mógł ukraść arkusze papieru Izby Lordów. Wręczyła go Dougalowi, który nie spojrzał na ów papier i oddał list George'owi Plantowi.

– Czy sądzicie, że możemy kontynuować naszą współpracę po tym amatorskim przedstawieniu? – rzekł Alisdair Snetterton.

– Dougal? – zapytał Jack Cutting.

Dougal uniósł rękę i dotknął łokcia Effie.

– Dajże spokój, Effie – powiedział. – Dość już. Bankowość zawsze opiera się na zaufaniu, a ja sądzę, że otrzymaliśmy od pana Snettertona wystarczający dowód, aby mu ufać.

Effie usiadła. Wiedziała, była całkowicie przekonana, że Snetterton i Plant oszukują Dougala i że Jack Cutting jest z nimi w zмовie albo jest przez nich opłacany. Jej instynktowne przecucia były tak silne, że nie potrafiła sobie wyobrazić, jak Dougal mógł pozwolić, by tak nim manipulowano, jak mógł się zgodzić na pożyczenie im miliona funtów bez wnikliwego zbadania ich kolei i środowiska, a zwłaszcza potwierdzenia istnienia bądź nieistnienia siedziby i majątku lorda Rethesdale.

Tego dnia dowiedziała się czegoś o mężczyznach ogólnie i o Dougalu w szczególności. Mężczyźni boją się zadawać pytań, stwierdziła, na wypadek, że wydadzą się śmieszni lub nadmiernie krytyczni. Lubią sprawiać wrażenie zdecydowanych i kompetentnych, nawet gdy są niepewni, i z tego powodu dokonują pospiesznych ocen najmniejszego dowodu. Jeżą się, gdy to kobieta mówi im, co mają zrobić i natychmiast zrobią coś wręcz przeciwnego, chociaż potem zwykle będą wściekli, że popełnili okropną pomyłkę.

Wreszcie zaś, co najważniejsze, dowiedziała się, że opinia kobiety może być wyszydzona, ale nigdy nie jest ignorowana. Cokolwiek powie, mężczyzna będzie usilnie twierdził, że ona jest w błędzie i chociaż skrycie może sam być tego samego zdania, zmieni swoje przekonanie, aby udowodnić, że ona się myli.

Effie nigdy nie zapomniała tego popołudnia w biurze „Snetterton, Plant & Beast” w Star Yard. To, czego się tam nauczyła, otrzeźwiło ją i zasmuciło, ale także pomagało przez resztę życia.

– Zrobiłaś ze mnie głupca – powiedział Dougal w powozie, gdy wracali na Eaton Square. – Prawdziwego durnia! Ta cała rozmowa o lordzie Ret-hesdale! Czy naprawdę nie widzisz, jakimi autentycznymi ludźmi są Snetterton i Plant? Może wyglądają jak złodzieje zapaleńcy, ale takim właśnie trzeba być, aby dojść do czegoś w Afryce Wschodniej. Nie są bankierami ani misjonarzami. To ryzykanci, poszukiwacze przygód. Właśnie tacy ludzie budują kolej przez dżunglę. Spodziewałaś się spotkać chórzystów z kościoła św. Idziego?

Effie siedziała oparta na swoim miejscu, z twarzą ocienioną kapeluszem.

– Nadal uważam, że jesteś lekkomyślny – powiedziała.

– Zaledwie tydzień lub dwa zajęłaby korespondencja z lordem Ret-hesdale we Florencji, jeśli on naprawdę tam jest. I co by szkodziło napisać do Nairobi i zapytać o Snettertona i Planta? Dougal, trzeba było z nimi tylko porozmawiać! Ja bym im nie pożyczyła ani centa, nie mówiąc o milionie! Tak się boję!

Dougal nie powiedział ani słowa. Effie obrzuciła go szybkim spojrzeniem spod oka i w ukośnej smudze światła, która wpadła do wnętrza powozu z mijanej przez nich gazowej latarni, zobaczyła, że zagryzł wargę.

– Nie jesteś pewien, czyż nie? Wciąż nie masz pewności. Dougal, zastanów się, co robisz!

Dougal ścisnął dłoń Effie tak mocno, że niemal zmiażdżył jej palce.

– Muszę to zrobić – powiedział bardziej do siebie niż do niej. – To największa szansa, jaką zamierzam wykorzystać w tym roku! Afryka Wschodnia, Effie! Tę kolej jak dotąd nazywa się Linią Lunatyczną, ale jeśli Snetterton i Plant doprowadzą ją do drugiej strony jeziora, będzie nazywana nie inaczej jak Linią Lukratywną. Właśnie to powiedział Snetterton i on ma rację. To jest właśnie moja największa szansa!

– Masz jednak wątpliwości, prawda? – cicho zapytała Effie.

– Jest w tym pewne ryzyko, to wszystko – przyznał Dougal. – Jednak cała bankowość jest ryzykiem. Wartość pieniądza za leży wyłącznie od tego, jak bardzo ludzie w nią wierzą.

– Zatem nie zdołam cię powstrzymać, tak?

Dougal zabębnił palcami o denko swego melonika.

– Posłuchaj, Effie – rzekł z wielką cierpliwością – jesteś siedemnastoletnią panienką. Inteligentną i bystrą. Ale tylko kobietą. Tym zaś, czego jeszcze nie rozumiesz, jest to, że ludzi należy oceniać po ich doświadczeniu. Widziałem już dziwniejszych i bardziej szorstkich łobuzów niż Snetterton i Plant, i czasami odmawiałem pożyczania pieniędzy z powodu ich wyglądu, ale wygląd się nie liczy i wielokrotnie żałowałem, że odesłałem tych ludzi z kwitkiem.

Dougal wysiadł z powozu przy Hyde Park Corner. O szóstej umówił się z Prudence w mieszkaniu jej przyjaciółki przy Kensington High Street, skąd miał je zabrać na kolację do Williamsa, modnej restauracji w Holland Park dla młodych dam debutantek, aktorów i bon vivantów.

– Naprawdę nie powinnaś zaprzętać sobie głowy tą sprawą – rzekł do Effie, zamykając drzwiczki powozu. – Wiesz, że Snetterton miał rację. Biznes nie jest dla kobiet. Najlepiej będzie, jeśli pomyślisz o powrocie do Edynburga. Dajże spokój, Effie, wiesz, że mam rację. Nie powinnaś marnować swego młodego życia ze starymi biznesmenami i bankierami. Powinnaś chodzić na tańce, bawić się i kokietować chłopców.

Ciężka platforma załadowana beczkami piwa przetoczyła się obok ciągnięta przez cztery potężne konie pociągowe i przez chwilę słowa Dougala utonęły zgrzycie metalowych obręczy na drewnianych blokach, a gdy pojazd skręcał za rógiem w Grosvenor Crescent, Effie usłyszała ostatnie słowa brata.

– ...nietrudno się zakochać, wierz mi – powiedział.

– Pozdrów ode mnie Prudence – odparła, a potem zastukała w dach powozu, dając znak woźnicy, że jest gotowa, by jechać dalej.

Dougal stał na ulicy z dłońmi na biodrach, patrząc, jak skręca w Grosvenor Crescent za wozem z piwem, a potem włożył melonik i ruszył ku Knightsbridge. Śnieg z deszczem zmienił się w deszcz, który siekł go po twarzy, ale Dougal nie próbował zatrzymać dorożki. Miał ochotę przejść się i zastanowić, moknąc, a poza tym od tygodni nie zażywał ruchu ani ćwiczeń.

W domu przy Eaton Square na Effie czekała Vera Cockburn, siedząc sztywno w salonie na krześle z wysokim oparciem, odziana w popołudniową suknię z bladorożowego aksamitu ze stanikiem bogato ozdobionym siatką z pereł i srebrnej nici. We włosach miała rubinową klamrę z ogromnym białym strusim piórem. Wcześniej czytała „Miłość i przyjaźń” Jane Austen i ta niewielka książka leżała otwarta na małym stoliku obok niej. Vera Cockburn wydawała się blada i niezadowolona.

– Twój pan Baeklander był tutaj znowu – powiedziała. – Chciał poczeekać do twojego powrotu i doprawdy z największą trudnością zdołałam go przekonać, żeby wyszedł.

– Przykro mi – odparła Effie, zatrzymując się przy drzwiach salonu – doprawdy nie robię nic, by go zachęcać.

Vera Cockburn westchnęła i słabo opadła na oparcie krzesła.

– W tym cały kłopot, moja droga. Nie robisz nic, by go zachęcać, jednak również nie robisz nic, by go zniechęcić. Jak wiesz, jest wyjątkowo bogaty. To jeden z najbogatszych ludzi na świecie. W rzeczy samej powinnaś się zdecydować, czy zamierzasz spełnić jego życzenie czy nie. Moim skromnym zdaniem p o w i n n a ś. Ustawiłby cię na resztę życia! Niczego by ci nie

brakowało. Sukien, futer, klejnotów, koni. Poza tym on pracuje tak ciężko, że miałabyś dużo czasu na... na zewnętrzne przyjemności.

Effie spojrzała na półkę nad kominkiem, gdzie oczywiście oparty o zegar stał kolejny list od Henry'ego. Przemierzyła salon, sięgnęła po list i otworzyła go.

„Pozostały dwa dni, pisał. Zaszczyc mnie odpowiedzią, abym mógł przygotować twój pokój na pokładzie »Excelsiora«”.

Vera Cockburn wyciągała szyję, aby móc zobaczyć, co pisze Henry.

– Byłabyś niemądra, gdybyś pozwoliła, aby taka okazja ci umknęła – powiedziała. – Przyznaję, że nie jest piękny jak Apollo, ale nie jest również Kalibanem. Ponadto słyszałam z kilku godnych zaufania źródeł, że gdy wraca z Wall Street, jest również najczulszym kochankiem.

Effie się zarumieniła. Nie było wątpliwości, że Henry na nią działał oraz że mimo swego wieku i wyglądu był bardzo męski. Ona jednak unikała go nie dlatego, by uważała, że jest nieatrakcyjny czy nieprzyjemny. Była po prostu zbyt przerażona wizją tak wczesnego małżeństwa i utratą swej największej ambicji samodzielnego zdobycia sławy i własnego majątku. Oczywiście byłaby d o ść sławna, gdyby wyszła za Henry'ego Baeklandera, i utrzymywałyby kontakty towarzyskie z milionerami i książętami, ale to nie było wystarczające. Wyglądało to niewłaściwie, lecz trudność polegała na tym, że nie wiedziała, jak mu odmówić.

Trudność tę potęgował fakt, iż wciąż budziła się w nocy ze snów o nim, czując nieczystą śliskość między udami.

– Wiedz, że będziesz musiała coś z r o b i ć, Effie! Nie chcę, aby tu więcej przychodził. Nie jest to ani stosowne, ani miłe. Chyba nadszedł już czas, abyś udała się do swojej ciotki w Putney albo zechciała pomyśleć o powrocie do Edynburga – powiedziała Vera Cockburn.

– Jeśli pani sobie życzy, żebym wyjechała, pani Cockburn, to wyjadę – odparła Effie. – Nie chcę się pani narzucać, jeśli dłużej nie jestem mile widziana.

– Cóż, oczywiście, że jesteś mile widziana – przekonywała Vera Cockburn. – Chodzi tylko o to, że chcemy uniknąć kłopotliwej sytuacji. Malcolm ma tutaj pozycję, która każe o tym myśleć.

Effie ponownie przeczytała list Henry'ego, bezwiednie pocierając czoło koniuszkami palców. Najpierw Dougal chciał, żeby wróciła do Edynburga, a teraz Vera Cockburn zapragnęła, by wyjechała do Putney i zatrzymała się u ciotki Maisie. Znowu zaczynała czuć się niedojrzała i niemądrze; akurat wtedy, gdy desperacko pragnęła być wyrafinowana i dojrzała. Nadzieja, ambicja i zdrowy rozsądek najwyraźniej nie wystarczały do przetrwania w świecie mężczyzn i dorosłych. Effie potrzebowała więc czegoś więcej.

– Prawdopodobnie udam się do Putney – powiedziała. – Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, jeśli zostanę tutaj do końca tygodnia?

– Oczywiście, że nie – Vera Cockburn uśmiechnęła się wielkodusznie; ale przecież Vera Cockburn miała i męża, i kochanka, i wszystkie stroje, jakich kobieta mogła pragnąć. Wielkoduszność przychodziła jej łatwo, nawet jeśli wyrozumiałość nastroczała pewnych trudności.

## 25

Przejście z Knightsbridge do Kensington High Street zajęło Dougalowi niemal dwadzieścia minut i gdy dotarł do Iverna Court, brzydkiego kwartału dziewiętnastowiecznych kamienic, gdzie mieszkała przyjaciółka Prudence, miał przemoczone buty i pociemniały z wilgoci płaszcz. Zatrzymał się w bramie i strząsnął krople deszczu z kapelusza. Był już przeziębiony, a teraz z pewnością złapie obustronne zapalenie płuc. Wytarł nos w mokrą chusteczkę, a następnie nacisnął dzwonek.

Wygląd londyńskich przedmieść mieszkalnych zmienił się zdecydowanie od czasu wprowadzenia bezpiecznych wind elektrycznych. Londyńczycy nigdy nie byli entuzjastami mieszkań w kamienicach i nawet teraz z pogardą odnosili się do zamieszkiwania nad sklepami i innymi handlowymi lokalami, z czym często godzili się mieszkańcy kontynentu. Winda jednak umożliwiła deweloperom wznoszenie w takich dzielnicach jak Fullham, Kensington i Chelsea szeregów pięcio- i sześciopiętrowych rezydencji, gmachów oraz kamienic i wynajmowanie ich zarówno klasie średniej, jak i wyższej. Nagle stało się modne posiadanie czteropokojowego *piec-à-terre* w mieście. Oprócz oszczędności na ogromnych kosztach utrzymania dużego domu w Londynie, mieszkania dawały synom i córkom arystokracji możliwość ucieczki spod kontroli rodziców, podejmowania przyjaciół i zachowywania się w sposób tak rozwiązły, jak im się podobało. Winda wywołała rewolucję zarówno architektoniczną, jak i obyczajową.

Dougal zamknął za sobą drzwi windy, która uniosła go na czwarte piętro. Wnętrze budynku pachniało nowymi dywanami i politurą meblową. Winda kołysała się i trzęsła, aż w końcu gwałtownie się zatrzymała. Rozsunął drzwi kabiny i wysiadł. Do mieszkania z numerem 24b doszedł prawą stroną korytarza, mijając posępny staloryt przedstawiający niedawno zmarłą królową.

Prudence na niego czekała. Wyglądała bardzo ładnie w wieczorowej sukni z atlasu w kolorze kawy, przesywanej brytami ciemnobrązowego haftu i zwieńczonej ażurową górą z dekoltem tak głębokim, że kusząco eksponował ciepłą krągłość jej obfitego biustu. Jej szyję oplatał naszyjnik z pięciu sznurów pereł. Perły miała też w kasztanowych lokach. Dougal

wszedł do holu i zdjął kapelusz.

- Nie ma dzisiaj służby? – zapytał.
- W poniedziałki mają wolne – odparła Prudence.
- Ach, tak. Rozumiem. A twoi przyjaciele?

Prudence wzięła szalik Dougala i pomogła mu zdjąć przemoczony płaszcz.

– Obawiam się, że moi przyjaciele musieli wyjść. Matka Patrycji źle się czuje. Grypa. Myślę, że zawiozły jej jakieś owoce i lekarstwo.

Dougal spojrział w stronę półotwartych drzwi salonu. Dostrzegł kraniec czerwonej pluszowej sofy, stół zastawiony bibelotami i szklaną lampę w wyciągniętym ramieniu wykonanej z brązu nagiej nimfy.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy sami? – zapytał.

Prudence skinęła głową.

– Nie jesteś przerażony, prawda?  
– Przerażony? Oczywiście, że nie. Rzecz tylko w tym, że w Edynburgu nie jest przyjęte, by dżentelmen odwiedzał młodą damę i przebywał z nią, jeśli nie ma z nimi przyzwoitki.

Prudence wyciągnęła rękę.

– Wejdz, proszę, i nalej sobie kieliszek sherry. To jest Londyn, a nie Edynburg. Jestem pewna, iż mogę ci ufać, że mnie nie skompromitujesz.

– No cóż, dobrze – rzekł Dougal niepewnie. – O której godzinie spodziewasz się powrotu przyjaciół? Zarezerwowałem stolik u Williama na ósmą trzydzieści.

Prudence zaprowadziła go do salonu. Był to bogato zdobiony narożny pokój z widokiem na mieszczącą się cztery piętra niżej Wrights Lane, mokrą, wąską zaśmieconą uliczkę, zastawioną jednokonnymi kabrioletami, których budy lśniły w świetle latarni.

- Sherry jest na stole; fino i amontillado.

Dougal wiedząc, że ma przemoczone buty i mankiety spodni, podszedł do stolika, na którym w brązowym barku stały dwie karafki. Tuż obok nich znajdowała się sepiowa fotografia jakiejś pulchnej kobiety, która najwyraźniej była przekonana, że wygląda jak słynąca z urody aktorka Lily Langtry, tak samo się bowiem upozowała z odrzuconą do tyłu głową.

- Co będziesz piła? – zapytał Dougal.

– Amontillado, oczywiście.

– Oczywiście?

– Wytrawne, lecz dojrzałe – powiedziała Prudence, a gdy Dougal się obrócił, by na nią spojrzeć, obdarzyła go jasnym uśmiechem.

– Bardzo proszę – odparł, odwzajemniając jej uśmiech i otwierając karafkę.

- Jack był tu niedawno – rzekła Prudence. – Musieliście się minąć.
- Przyszedłem od strony Knightsbridge.

Prudence usadowiła się na sofie z ciężkimi mahoniowymi nogami, malowniczo układając dół swej kawowej sukni między obszytymi frędzlami poduszkami, a następnie przyjęła od Dougala kieliszek sherry.

– Nie jesteś zaniepokojony, prawda?

– Zaniepokojony? – zdziwił się Dougal, wciąż stojąc zjedną ręką za plecami. – Dlaczego miałbym się niepokoić?

– Jack sądzi, że chyba podejrzliwie odnosisz się do planu Kolei Wschodnioafrykańskiej.

– Nie jestem podejrzliwy, a tylko zachowuję profesjonalną ostrożność. Jack nie ma żadnego powodu, aby się tego obawiać.

Prudence koniuszkami smukłych, perłoworóżowych palców rozprostowywała fałdy sukni.

– On, zdaje się, uważa, że twoja siostra może sprawiać pewien kłopot. Wymyślając jakieś historie, żeby odciągnąć cię od tego przedsięwzięcia.

– Och, Effie jest panną Watson. Zamożną, ale ostrożną, jak zwykły mawiać mój ojciec. Może urodziliśmy się ze srebrnymi łyżeczkami w ustach, ale pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było przesłanie ich do urzędu probierczego, aby oznaczono ich próbę.

– To brzmi jak stary rodzinny dowcip – rzekła Prudence.

Dougal skinął głową.

– Tak. Ale nie ma żadnego powodu, aby przejmować się Effie. Ona ma dopiero siedemnaście lat i chyba ta cała milionowa bankowość trochę jej uderzyła do głowy.

– Usiądź – powiedziała Prudence, wskazując Dougalowi miejsce obok siebie na sofie. – Nie znoszę, gdy ktoś nade mną stoi.

Dougal uniósł poły fraka i usiadł. Było mu teraz ciepło, nie drżał i czuł się swobodniej. Prudence miała rację, mówiąc, że nie ma potrzeby martwić się o przyzwoitkę. Wszak to był Londyn, on zaś miał dwadzieścia pięć lat i umiał zachować się jak należy. Oczywiście, całował już wiele dziewcząt i poza inicjacją w ramionach panny Maidment była też Queenie McKay, córka jednego z urzędników ojca, a także mnóstwo zdyszanych uścisków, unoszenia halki i pospiesznych pieścizot z Ruthie Waterton, której ojciec był właścicielem sieci sklepów kolonialnych przy Princes Street (gdzie wymagający klient mógł kupić wszystko; od rozgrzewających stopy markowych wkładek „Arctic” do dziesięciofuntowej puszki koziego masła).

Prudence wyciągnęła rękę i Dougal, początkowo z wahaniem, ujął ją i położył jej małą białą dłoń na swojej dużej i czerwonej.

– Wiesz, co mówiła mi mama? – spytała go, spuszczaając wzrok na ich splecione palce. – Mówiła, że nie powinnam trzymać się za ręce z chłopcem, jeśli nie myślę o poślubieniu go. Kobiety są królowymi, twierdziła, i nie powinny tracić swej królewskiej godności. Gdy ja byłam młoda, mówiła, równie szybko pozwoiłabym chłopcu wziąć się za rękę, jak chwyciłabym

jakiegoś węża. Powiedziała, że trzymanie się za ręce działa bezpośrednio na nerwy ciała i niezdrowo je uwrażliwia. To się kończy chorobą i osłabieniem.

Dougal spojrział na nią, zmrużywszy oczy i uśmiechnął się lekko.

– Nie widzę żadnych oznak choroby – powiedział. – Jak się czujesz? Żle? A może gorzej?

Prudence odchyliła głowę, wyginając w łuk swą długą szyję i westchnęła z przesadą.

– Czuję się w istocie doprawdy wspaniale. Wiesz co, uwielbiam twój szkocki akcent. Mogłabym zamknąć oczy i słuchać go przez całą noc.

Po tych słowach znów się wyprostowała i teraz patrzyła na niego, na wypadek gdyby nie zrozumiał słów „całą noc”. On zaś spoglądał na nią z ostrożnością, nie mając pewności, czy się z nim droczy, czy naprawdę właśnie to miała na myśli.

– Prudence... – rzekł z najsłabszym cieniem niepewności w głosie. Pochylił się, wciąż trzymając jej dłoń, aż ich twarze znalazły się w odległości zaledwie kilku centymetrów. Wpatrywali się w siebie oczami nawzajem wędrującymi po twarzach tak, jak zwykle czynią to oczy kochanków, i wtedy Dougal pochylił się jeszcze bardziej i pocałował Prudence.

Jej wargi były wilgotne i miały smak goździków. Smakował je dookoła czubkiem języka, a potem delikatnie rozsunął, żeby móc polizać jej zęby. Nie była zaszokowana tym „francuskim pocałunkiem”, tak jak byłaby nim zdumiona większość młodych dziewcząt. Pozwoliła za to, by sztywny język Dougala wśliznął się do jej ust tak głęboko, jak zdoła, sama natomiast oddychała namiętnie lecz spokojnie przez nos, jakby płynęła przez falę gorącego lata. Dougal ujął nagie ramię Prudence lewą ręką, wślizgując się palcami pod ażurowe ramiączko sukni i pieszcząc jej skórę.

– Dougal – wyszeptała mu wprost do ucha – nie wiesz, jak bardzo cię pragnę od chwili, gdy cię pierwszy raz ujrzałam.

– Ale Jack...

– O Boże, Jack! Jack nie będzie przeciwny. Kocha cię niczym własnego brata. Dougal, nie czekajmy.

Dougal spojrział w stronę półotwartych drzwi salonu. Krew huczała mu w uszach.

– A twoi przyjaciele? O której wrócą?

– Nie wrócą. Wyszli na całą noc. Och, Dougal, proszę.

Dougal nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Czuł się tak, jakby był pijany, miał również osobliwe uczucie, że jest tutaj i że go nie ma, owe chwilowe zaniki świadomości i utraty silnej woli. Jednak z jednym ramiączkiem zwisającym swobodnie i suknią wyciętą tak głęboko, że Dougal mógł widzieć pokryty kremowym atlasem gorset, który ujmował jej piersi tak, że wręcz wychodziły ze stanika, Prudence już rozwiązywała jego krawat i wyciągała go spod celuloidowego kołnierzyka oraz rozpiniała górne guziki



jego koszuli.

– Dougal, ty cudowny zwierzaku, ty... – powtarzała zdyszonym głosem, całując go i pociągając kędziorki jego blond włosów.

Całując się żarliwie, wzajemnie rozszarpywali ubrania i stoczyli z sofy na dywan w kolorze burgunda, aż uderzyli się o nogi ciężkiego fotela. Przetoczyli się więc z powrotem ku sofie, próbując w czasie pocałunków zrzucić z siebie resztę strojów. Niebawem Prudence miała na sobie tylko gorset, pas z podwiązkami i czarne pończochy, a Dougal był całkiem nagi.

Uniósł się nad nią i zatrzymał, nie mogąc złapać tchu, a potem w nabożnym skupieniu skłonił głowę najpierw w prawo, a potem w lewo, by na wpeł otwartymi ustami całować jasnoróżowe sutki jej piersi. Prudence jęknęła, rzucając głową z boku na bok i powtarzając jego imię namiętym, niskim szeptem aktorki Ethel Barrymore.

– Dougal, Dougal, ty piękna bestio, och, Dougal... – Zmierwiła mu włosy, owinęła go nogami i jednocześnie przywarła do niego tak mocno, że koniuszki jej palców wryły czerwone pręgi na jego ramieniu. – Och, Dougal, nie odmawiaj mi! Och, Dougal!

Ukląkł na jedno kolano, uniósł w ramionach i zaniósł w stronę najbliższej sypialni. Otworzyła jej drzwi stopą w czarnej pończosze. W biało-niebieskiej sypialni o ścianach pokrytych tapetą przypominającą wedgwoodowską ceramikę, łóżko okrywała biała koronkowa narzuta. Na małej toalecie stał niebieski porcelanowy dzbanek i niebieska porcelanowa miednica, a owalne lustro otaczały niebieskie porcelanowe róże. Dougal położył Prudence na łóżku, pocałował ją, a potem sam ułożył się na koronkach obok, trzymając jej twarz tak blisko, że widział tylko rozmarzone błękitne oczy i kremowobiałą skórę, i całując ją raz za razem.

– Z pewnością źle o mnie myślisz – wyszeptła Prudence. Jej kasztanowe loki pachnące lawendą i londyńską mgłą leżały na wprost niczym miękka i puszysta maska. Przebiegł palcami wzdłuż linii jej ciepłego pachnącego ramienia, a gdy ujął w dłoń ciężką miękkość jej piersi, poczuł, że unoszący się sutek muska jego linię życia i linię serca. Penis Dougala wezbrał mu na udzie, a jego główka była przekrwiona i ciemna jak śliwka.

Kochali się dwukrotnie, podczas gdy wieczór mijał, a w innych pokojach zegary dzwoniły niesłyszane. Piętro wyżej ktoś śpiewał „Powiedz mi, śliczna dziewczeczko”, piosenkę ze święcącego triumfy wodewilu „Florodora”. Ktoś w innym mieszkaniu ćwiczył gamy na pianinie, robiąc to niestrudzenie od góry do dołu. Z korytarza dobiegały odgłosy szczotek do dywanów, gdyż zamiatacze czyścili budynki na następny dzień. Sprężyny łóżka w biało-niebieskiej sypialni wydawały lubieżne jęki, co tylko podniecało Dougala jeszcze bardziej. Pomyśleć, że inni ludzie słyszeli ich i wiedzieli, co oni robią! Pomyśleć, że wszyscy w tej kamienicy słuchali, jak Dougal Watson i Prudence Cutting potajemnie i nader energicznie uprawiają

seks!

W owalnym, okolonym porcelanowymi różami lustrze toaletki zobaczył zaczerwienioną wykrzywioną twarz Prudence, następnie swoją dłoń na jej piersi i palce zagłębiające się w jej białe nagie ciało, a potem już nic oprócz splątanych prześcieradeł i niewyraźnej plamy kasztanowych włosów. Niemal pod koniec, gdy Prudence usiadła na nim, boleśnie zanurzając palce w jasne owłosienie jego torsu, zobaczył w lustrze dwa jasne księżycy jej pośladków unoszące się i opadające oraz swój własny połyskujący maszt pogrążający się w brązowej płataninie jej włosów, a obraz tego miał pozostać z nim na resztę życia, obwiedziony niebieskimi porcelanowymi różami.

Później stanął przy oknie wychodzącym na Wrights Lane i zażył odrobinę tabaki. Prudence wyszła z sypialni z wyszczotkowanymi włosami, w haftowanej sukni z turkusowego jedwabiu, pod którą jej piersi podrygiwały w skomplikowanym tańcu. Cygańskimi podrygami nazywano w Edynburgu sposób, w jaki sutki Prudence poruszały się pod jedwabiem. Tak właśnie poruszano się do muzyki skrzypka, tu i tam, w jakimś drżącym, niepewnym, początkowym tańcu.

Dougal, w spodniach i podkoszulku, z szelkami zwisającymi u pasa, odwrócił się, uśmiechnął do niej i wyciągnął rękę. Podeszła i pocałowała go w policzek.

– Zażyłeś tabaki – powiedziała, klepiąc palcem czubek jego nosa.

Dougal pokazał jej małą srebrną tabakierkę. Pocałowała go znowu.

– Jesteś taki przystojny – powiedziała.

Dougal dotknął jej włosów.

– Ty mnie czynisz przystojnym – odparł. – Nie sądziłem, że takie rzeczy mogą się zdarzać.

– Oczywiście, że mogą się zdarzać. Cały czas się zdarzają. Mężczyźni i kobiety się zakochują; czasem szybko, a czasem powoli. Nie ma kobiety, która nie zamieniłaby się ze mną, gdyby mogła, i nie zrobiłaby tego, co ja zrobiłam – pocałowała go ponownie. – Miłość uderzyła mnie jak piorun. Nie mogę się temu oprzeć. To dzieło Boga. A zresztą kto potrafi umknąć z drogi piorunowi? Ja nie. Nawet bym nie chciała.

Dougal wziął Prudence w ramiona i przycisnął wargi do jej czoła, znów wdychając zapach kasztanowych włosów. Na zewnątrz w czarne szyby okien ponownie zaczęła stukać deszcz ze śniegiem, najpierw cicho, a potem coraz głośniej.

– Powinienem już wrócić na Eaton Square – rzekł Dougal.

– Czy cię jeszcze zobaczę? – zapytała Prudence.

– Żadna siła mnie nie powstrzyma.

– I zachcesz być miły dla Jacka oraz dla pana Snettertona i pana Planta? Jestem przekonana, że są uczciwi i wiem, że są bardzo oddani. Nie pozwól, aby siostra cię zniechęciła.

Dougal wsunął dłoń w suknię Prudence.

– Nie pozwolę – obiecał z zamkniętymi oczami.

## 26

Następnego, wtorkowego popołudnia Dougal wróciwszy z biura, zastał Effie w bibliotece, gdzie ubrana w kremową bluzkę z bufiastymi rękawami i długą brązową spódnicę czytała „Zasady bankowości” Thomasa Jethroe. Zamknął za sobą drzwi i stał, przyglądając się spokojnie, jak światło lampy pada na jej twarz i jak lśnią jej włosy. Nie było wątpliwości co do tego, że Effie dojrzała od czasu, gdy przyjechała do Londynu.

Podniosła wzrok.

– Dougal – powiedziała z wyraźną przyjemnością w głosie.

– Co czytasz? – zapytał. Uniosła książkę.

– Jethroe pisze o zagranicznych inwestycjach. W zasadzie nie zgadzam się z nim, ale przypuszczam, że będę musiała zrozumieć, co jest złe, zanim powiem, co jest dobre.

Dougal usiadł naprzeciw siostry na wysokim, obitym skórą bibliotecznym krześle i skrzyżował na piersiach ramiona.

– Coś ci powiem, Effie, masz wielki tupet.

– Tupet?

– Wielką zdolność irytacji, jeśli wolisz wyrazić to innym słowem. Nawet mnie zdołałaś wczoraj zdenerwować, a biedny stary Snetterton wpadł w szal.

Effie nie zmieniła wyrazu twarzy, ale poczuła zimny dreszcz przebiegający po plecach, jakby ktoś lodowatym palcem przesunął po kolejnych odcinkach jej kręgosłupa.

– Jeszcze nie zobowiązałaś się do niczego? – zapytała. – Jeszcze niczego nie podpisaliście?

– Nie było żadnego konkretnego powodu, dla którego nie powinniśmy tego robić – odparł wymijająco.

– Zatem podpisaliście?

– Tak, podpisaliśmy. Podpisaliśmy wszystkie dokumenty dziś po południu, w Lothsbury.

Effie wstała z twarzą białą jak strony jej otwartej książki.

– Dougal, co ty zrobiłeś?!

– Co ja zrobiłem? Podpisałem umowę na kredytowanie budowy zyskowej linii kolejowej, oto co zrobiłem. Coś jeszcze?

– A co z lordem Rethesdale?

– A co ma być z lordem Rethesdale? Przebywa we Florencji, tak, zapewniam cię. Jednak mamy jego pisemną gwarancję. Czy próbujesz mi

wmówić, że ten pokręcony jegomość, którego w sobotę spotkałaś w parku, był lordem Rethesdale?

Effie uniosła rękę, by dotknąć mosiężnej statuetki Dawida, która stała na lakierowanej konsoli obok niej.

– Nawet nie rozumiesz, jak całkowicie spaliłeś za sobą mosty, prawda? – powiedziała głosem, który był nieco bardziej słyszalny niż schrypnięty szept.

– Mówisz od rzeczy – rzekł Dougal. Był zły, ale nie chciał zranić jej uczuć. Była przecież jego siostrą i najbliższą przyjaciółką bez względu na to, co mówiła Prudence i niezależnie od tego, jak silnie obrazy spędzonej z nią ostatniej nocy kłębiły mu się w mózgu. Spojrzał na swoją dłoń spoczywającą na oparciu krzesła i pomyślał, że właśnie to jest dłoń, która otulała piersi Prudence i pieściła gładkie wnętrza jej ud.

– Nie możesz jej cofnąć? Tej umowy? Nie możesz powiedzieć panu Snettertonowi, że popełniłeś błąd? – zapytała Effie.

– Effie... zaczyna mnie to męczyć! Nie ma żadnego błędu! To jest chwila mojej zemsty na ojcu i początek mojej kariery w bankowości!

Effie spuściła głowę. Wiedziała, że to nie ma sensu. Wcześniej miała nadzieję, że Dougal zmieniłby zdanie na temat panów Snettertona i Planta (nie mówiąc o niewidzialnym panu Beest), gdyby dał sobie kilka dni więcej na dokładne przemyślenie ich propozycji. Wszak tak wiele było wątpliwości w sprawie linii kolejowej nad Jeziorem Wiktorii, tyle rzeczy, które Dougal zwykle by zakwestionował. Czy tereny wzdłuż proponowanej trasy rzeczywiście należą do Snettertona i Planta? A jeśli nie i tylko je wydzierzawiono, to kto jest właścicielem? Gdzie jest ich tabor kolejowy i gdzie są inżynierowie? Kto jest architektem ich linii? Kto zbuduje mosty i skrzyżowania? Jakie doświadczenie w budowie i zarządzaniu linią kolejową ma każdy z nich?

Mogła się domyślać odpowiedzi na każde z tych pytań, a wszystkie odpowiedzi były negatywne.

– Dougal... – powiedziała.

On jednak potrząsnął głową w sposób, w jaki koń opęda się od uprzykrzonej muchy.

– Podjąłem decyzję, Effie. Oparłem ją na własnym, dobrym doświadczeniu. To jest szansa, z której należy skorzystać i korzystam. Znam twoje obawy; nie musisz mi ich przypominać. Koniec z nimi. Muszę zrobić to sam.

– Pozwalasz, by złość na ojca przyćmiła ci rozum – rzekła Effie.

– Nie jestem zły! – krzyknął Dougal. – Czy nie możesz zrozumieć, że jestem samodzielnym mężczyzną! Muszę robić to, co ja uważam za słuszne i co w moim przekonaniu jest najlepsze.

Effie długo milczała, potem podeszła do Dougala, ujęła go za rękę i

pocałowała w czoło.

– Jesteś kochanym bratem – powiedziała. – Przepraszam za to, co powiedziałam i za to, że w ciebie zwątpiłam.

Dougal uchwycił się jej spódnicy. Nie powiedział ani słowa, ale mogła się domyślać, co się dzieje w jego głowie. Na pewno wiedział, równie dobrze jak ona, że Snetterton i Plant byli podejrzanymi postaciami i że entuzjazm Jacka był nieco za gorący. Musiał wiedzieć, że zabezpieczenie wniesione przez lorda Rethesdale'a, ktokolwiek jest owym lordem, było nader wątpliwe. Ale jednak bardzo pragnął udowodnić ojcu, że ma rację... Tak bardzo pragnął pokazać Robertowi, na co go stać.

Effie zostawiła go w bibliotece z uchylonymi drzwiami i poszła do salonu, gdzie pociągnęła za sznurek dzwonka na służbę, wzywając Jerome'a.

– Jerome – powiedziała, gdy zjawił się kamerdyner – ze chciej znaleźć dla mnie posłańca, by przekazał list panu Henry'emu Baeklanderowi na pokład „Excelsiora” w przystani Hungerford Bridge.

– Panu Baeklanderowi, panienko?

Effie skinęła głową.

– Możliwie najszybciej, proszę.

Potem usiadła przy osiemnastowiecznym sekretarzyku, który stał w rogu salonu pod trzema oprawionymi dioramami przedstawiającymi angielskie motyle we wrześnieowym zbożu, sięgnęła po swe eleganckie pióro marki Waverley Cameron i zaczęła pisać.

Zamykając kopertę, pomyślała o reklamowych napisach na Blair Street w Edynburgu, które głosiły, że te właśnie pióra są dla mężczyzn skarbem i błogosławieństwem.

List do Henry'ego Baeklandera nie był ani skarbem, ani błogosławieństwem. Effie jednak zobaczyła w nim jedyne możliwe wyjście z kryzysu, który coraz bardziej opanowywał ją i był efektem jej rozkwitającej kobiecości i własnych żarliwych ambicji.

## 27

Nigdy nie przyszło jej do głowy, by zapytać siebie, dlaczego tak żarliwie pragnęła bogactwa i niezależności ani jak to marzenie, które zrodziło się jako dziecięca fantazja o pałacach i księżniczkach, dojrzało do jasnej i konkretnej wizji tego, czego pragnęła od życia. Nie uważała się za osobę skomplikowaną i wyjątkową. Teraz jednak, gdy przygotowując się do wyjścia, siedziała przed lustrem toaletki i szcztokowała włosy, nie przestawała myśleć o tym, co nią kierowało. Czuła się jak szachowy pionek w grze o własną godność, jakby ten wirujący prąd jej życia był ważniejszy niż ona sama. Tym, czego jeszcze nie mogła zrozumieć, była przerażająca wspólna

egzystencja jej ojca i matki, jej bezwarunkowej kobiecości, niestosownej i wybuchowej; stworzonego między nimi jakiegoś bytu, zarówno silnego, jak i po ludzku wrażliwego. Jako mała dziewczynka uwielbiała ilustrowane bajki o królewnach w szatach wysadzanych klejnotami i o karetach zaprzężonych w konie przystrojone pióropuszcami, a jednocześnie irytowali ją książęta i poszukiwacze przygód, którzy byli tak bezmyślni, że nie zdawali sobie sprawy, iż są zwabiani przez trolle, zwodzeni przez czarownice lub doprowadzani przez jakichś głupków do krawędzi straszliwych otchłani. Była romantyczna, ale także pragmatyczna.

Henry Baeklander przyjechał osobiście o ósmej wieczorem. Wyglądał, jakby golił się pospiesznie, ponieważ miał zadrażniony policzek. Był w wieczorowym stroju z białym krawatem, a w ręku miał laskę ze srebrną gałką w kształcie głowy ryczącego lwa. Pachniał „Floris Special nr 127”, jedną z najbardziej egzotycznych i najmodniejszych w tym roku wód kolońskich. Jerome poprosił go, aby zaczekał w holu, a Logan weszła na górę, aby zaanonsować Effie, że przybył jej gość. Henry oddał lokajowi kapelusz i rękawiczki, po czym obiema dłońmi odgarnął włosy.

Po szerokich schodach, z szelestem jedwabnych halek Effie zeszła do holu. Jej wyszczotkowane włosy błyszczały, a światło kryształowego żyrandola wiszącego w połowie schodów ukazało w lokach wokół czoła lekko rudawe błyski. Miała na sobie wieczorową suknię z kremowego jedwabiu naszywaną trójkątnymi brytami koronki i wykończoną drobnymi perełkami. Jej szyję oplatała opaska z koronki i pereł. Perłami wyszywane były także węzowe wzory na jej rękawiczkach. Kupiła tę suknię w towarzystwie Very Cockburn w salonie Madame Estraud przy Bond Street i dziś wieczorem była z tego zadowolona.

– Wyglądasz jak senne marzenie – komplementował ją Henry, wyciągając dłonie, gdy dotarła do podnóża schodów. – Wiesz, co napisał Thomas Otawy? „O kobieto, cudowna kobieto. Natura cię stworzyła, byś okiełznała mężczyznę; bez ciebie byliśmy brutalami. Aniołowie malowani są na twoje podobieństwo”.

– Jesteś bardzo liryczny – powiedziała Effie. – I bardzo mi schlebiasz.

– Tobie nie mógłbym schlebiać, choćbym się starał – odparł ciepłym głosem.

Z salonu weszła Vera Cockburn w głęboko wydekoltowanej, czarnej wieczorowej sukni z połyskującym sznurem diamentów.

– Witam, panie Baeklander – powiedziała z uśmiechem równie napiętym jak nastrojona struna skrzypiec. – Nie będzie pan zatrzymywał panny Watson do nazbyt późnej pory, prawda? Jutro ma ze mną jechać na zakupy, a na zakupach każdej panience potrzebna jest pełna koncentracja.

– Odprowadzę pannę Watson przed północą – zapewnił ją Henry. – Dzisiejszego wieczora goszczę na pokładzie „Excelsiora” kilka dam, więc może

pani mieć całkowitą pewność, że będzie bezpieczna.

Jerome przyniósł Effie płaszcz pokryty granatowym brokatem i obszyty srebrnym lisem. Kiedyś należał on do Very, ale już ją „denerwował”, więc podarowała go Effie, razem z pięknie skrojonym kostiumem i kilkoma kapeluszami. Effie zapięła klamrę i założyła duży, obszyty futrem kapelusz, który został dopasowany przez modystkę pani Cockburn.

– Jestem gotowa, Henry – powiedziała.

Na zewnątrz czekał automobil Henry'ego; maszyna marki „Alldays and Onions Traveller” o mocy czterech koni mechanicznych. Były w niej dwa miejsca: jedno z przodu dla Effie, z podnóżkiem, i jedno nieco wyżej, z tyłu, dla Henry'ego. Henry pomógł Effie wspiąć się na miejsce i okrył jej kolana grubym, wełnianym pledem. Potem usiadł z tyłu, korbą uruchomił silnik, który po czterech czy pięciu głośnych parsknięciach wprawił ją w drzenie i rozkołysał. Trzech łobuziaków stojących pod latarnią po drugiej stronie ulicy i zaczepiających przechodniów prośbami o obrazki dołączane do paczek papierosów podbiegło, aby się przyglądać.

– Niech pan uważa, żeby to się nie rozpadło przy skręcie za róg! – krzyknął jeden z nich do Henry'ego.

– Pan da trzy pensy, to popchniemy!

Effie nigdy wcześniej nie podróżowała takim pojazdem, nie mówiąc o tym, że teraz miała nim jechać po Londynie, w nocy, z pewnym bogatym i brzydkim amerykańskim finansistą. Tym zaś, co czyniło to doświadczenie jeszcze bardziej denerwującym, był fakt, iż siedząc z przodu, nie widziała Henry'ego, a perkotanie i telepanie silnika uniemożliwiało rozmowę. Po bokach pojazdu migotały dwie oliwne lampy, które dawały bardzo mało światła, ale wydzielały gryzący odór. Osloniła twarz futrzanym kołnierzem płaszcza i skuliła się na siedzeniu, jedną rękę mocno zaciskając na oparciu. Prędkość, z jaką jechali, podskakując i trzęsąc się na brukowanej nawierzchni Victoria Street, była tak oszałamiająca, że gazowe latarnie zdawały się pędzić obok nich niczym setki pochodni niknących w czeluści nocy.

– Jedenaste mil na godzinę! – krzyknął Henry nad jej prawym uchem.  
– Czyż to nie jest wspaniałe!

W mgnieniu oka znaleźli się u wylotu Victoria Street i przemknęli obok upiornie białych, gotyckich wież Westminster Abbey. Z kłopotem przejechali wokół Parliament Square pod jasnym obliczem Big Bena, a gdy dotarli do Westminster Embankment, zegar zaczął wybijać kwadrans po dziesiątej.

W czarnych wodach Tamizy odbijały się światła z drugiego brzegu, zanurzone w falującej wodzie jak zatopione planety. Oddech Effie parował w chłodnym powietrzu, gdy Henry z wielką prędkością skierował pojazd ku Charing Cross, gdzie wokół platanów rosnących wzdłuż nabrzeża widać było aureole. Taki był Londyn w zimie: mglisty, wilgotny i surowy, z owym przygnębiającym mrokiem, który sprawiał, że miasto wydawało się bardziej

tajemnicze i romantyczne. Nawet stojące na nabrzeżu stragany z ich lampami, kontuarami zastawionymi górami kornwalijskich pasztecików i pasztecików z wołowiną oraz stosami grubych białych filiżanek przypominały sznur wozów jakiegoś zaczarowanego cyrku.

Henry przejechał obok Hungerford Bridge i zaciągnął hamulec z wykonaną z brązu rączką, po czym wysiadł z pojazdu i podał ramię Effie, aby pomóc jej wyjść.

– Nie bałaś się? – zapytał. – To całkiem szybka maszynka.

– Nie – odpowiedziała spokojnie. – Nie bałam się.

Przeციeli trotuar, idąc do kamiennych schodów, które wiodły ku rzece. Właśnie wtedy Effie pierwszy raz zobaczyła jacht „Excelsior”.

– Co myślisz o mojej fregacie? – zapytał Henry z nieskrywanym zachwytem i spojrzał na Effie z bliska, aby zobaczyć, co naprawdę myśli. – Jest gotowa do wypłynięcia. Lśniaca, starannie ułożona i doskonała jak ty!

„Excelsior” był jachtem długim i smukłym, z białym kadłubem ozdobionym wyszukaną złotą dekoracją. Poruszany silnikiem parowym miał jeden żółty komin na śródookręciu. Miał też jednak dwa wysokie maszty mogące unieść żagle, które umożliwiłyby przepłynięcie przez Atlantyk, gdyby silnik uległ awarii. Pokłady pokryto lakierem, a każdy cal relingu lśnił połyskiem. Płócienna markiza osłaniała pokład spacerowy wypolerowany do białości popularną miksturą z octu, glinki fulerskiej, kurzego łajna i cebuli. Dowodzący fregatą kapitan z wielką kasztanową brodą i dwoma rzędami złotych guzików stanął na baczność przy trapie, gdy Henry i Effie weszli na pokład.

– Witam na pokładzie, panno Watson – powiedział z amerykańskim akcentem, salutując.

Effie skinęła głową, nie mając pewności, czy powinna odpowiedzieć czy nie, ale wtedy Henry wziął ją za rękę i poprowadził przez pokład do głównych schodów.

– Cornelius Vanderbilt zazgrzytał zębami na widok tej fregaty – uśmiechnął się Henry, otwierając przed Effie drzwi i pomagając jej wejść przez wysoki stopień do górnego holu. – Jest dłuższa niż jego jacht, ma większą wyporność i tonaż, a przy tym jest znacznie bardziej luksusowa. On ma sztuczny komin na pokładzie swojej „Gwiazdy Północy”, a ja mam prawdziwy. Ja mam jedenaście sal recepcyjnych, a on tylko dziewięć. Powiadam ci, zgrzytał zębami.

Zejściówką doszli do dużych, mahoniowych dwuskrzydłowych drzwi z wstawionym w nie grawerowanym szkłem, które otworzyły przed nimi główny salon. W pomieszczeniu tym, udekorowanym w stylu wspaniałych wnętrz Ludwika XIV, znajdowały się malowane panele na ścianach i suficie oraz piękny pastelowy dywan, a także osiemnastowieczne meble złożone i tapicerowane jedwabiami i zdobione jedwabnymi galonem. Siedziały tutaj



trzy dziewczęta, z których jedna zdawała się mieć niewiele ponad czternaście lat, a kiedy wszedł Henry, wszystkie naraz wstały i dygnęły niczym trzy malowane lalki.

– Moje drogie, oto Effie Watson – rzeki Henry. – Cieszę się, że mogę was poinformować, iż przyłączy się do mnie na rejs po Morzu Śródziemnym i że wróci ze mną do Nowego Jorku jako moja żona.

Effie nie przypuszczała, gdy wcześniej Henry powiedział, że tego wieczoru będzie miała damskie towarzystwo, iż złożą się na nie ni mniej, ni więcej tylko trzy nieletnie i brudne prostytutki. Sama jeszcze niewinna, widywała już takie dziewczęta jaskrawo uróżowane i wystrojone z wątpliwą elegancją, paradujące tam i z powrotem po Picadilly i gromadzące się z nadzieją wokół teatrów przy Haymarket, i na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać londyńską ladacznicę. Nie różniły się zbyt od dziwek z Prince Street w Edynburgu.

– Henry... – rzekła zaniepokojona.

– Nie obawiaj się – odparł Henry, biorąc ją pod rękę.

– Nie oczekiwałem, że usiądziesz do kolacji z takimi damami. – Klasnął w dłonie niczym estradowy konferansjer i powiedział: – Dziewczęta, możecie iść. Pieniądze dostaniecie od pana Outcaulta przy wyjściu.

Dziewczęta w milczeniu gromadnie wyszły, ostentacyjnie unosząc spódnice. Effie odwróciła się, by ocalić ich godność i własne zakłopotanie, i wyjrzała przez iluminatory znajdujące się z drugiej strony salonu. Mijały ich światła jakiejś barki płynącej Tamizą do Gravesend i zanim przepłynęły, dziewczęta wyszły. Effie usłyszała stukot ich pantofelków na górnym pokładzie.

– Nareszcie – rzekł Henry Baeklander, rozkładając szeroko ramiona.

– To bardzo cenna fregata, prawda? – powiedziała Effie.

– Kosztowała mnie trzysta tysięcy dolarów – odparł dumnie Henry. – Zaprojektowali ją najlepsi konstruktorzy, a najwybitniejsi projektanci wewnątrz udekorowali najlepszymi materiałami i wyposażyli w najlepsze meble. Jej utrzymanie kosztuje rocznie dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Jest cenna. W rzeczy samej bardzo cenna.

– Cóż, jestem pod wielkim wrażeniem – przyznała Effie.

– Usiądź – nakłaniał Henry. – Masz ochotę na jakiś aperitif przed kolacją? Może sherry albo schłodzony wermut? Nie wiem, co piją Szkoci oprócz herbaty i whisky.

– Kieliszek sherry, poproszę – odparła Effie, chociaż prawie nigdy nie piła sherry i czuła, że prosząc o nią, oblała się rumieńcem.

– Sherry? Cóż, tak, oczywiście – Henry nacisnął mosiężny przycisk dzwonka obok kominka. – Ja... nie spodziewałem się tej wiadomości od ciebie. Zapewne pozostawiłaś ją na ostatnią chwilę. Bałem się, że w ogóle nie przyjdiesz.

– Nie musiałeś się obawiać, Henry – powiedziała Effie cichym głosem, ale nie potrafiła spojrzeć mu w twarz. Matka uczyła ją, aby nigdy nie kłamać, niezależnie od okoliczności, które mogłyby usprawiedliwiać kłamstwo, a ona wątpiła, czy ta sytuacja byłaby wystarczającym usprawiedliwieniem.

– Twój list... – mówił dalej Henry, sięgając po list leżący na marmurowym stoliku stojącym obok niego. – Muszę powiedzieć, że mnie poruszył. Byłem gotów jutro wypłynąć bez ciebie.

Effie się uśmiechnęła, skinęła głową i usiadła, skromnie składając dłonie na kolanach. Miało być znacznie trudniej, niż się spodziewała. Jednak musiała to zrobić. Dla dobra Dougala i dla dobra Watson's Bank. Henry Baeklander był jedynym człowiekiem, który mógł ocalić zarówno jej brata, jak i pieniądze jej ojca. Właśnie dlatego, taką miała nadzieję, była gotowa zrobić niemal wszystko. Modliła się tylko, aby Henry nie próbował jej pocałować. Nie dzisiaj. Może by go zniechęciła, a może nie, co w pewnym sensie byłoby gorsze. Uczucie przyjemności byłoby pewnym i niepodważalnym dowodem, że samej sobie nie może ufać ani trochę bardziej niż reszcie świata.

– *Zechciej wybaczyć mi zwłokę... – Henry czytał na głos – potrzebowałam głębokiego namysłu przed powierzeniem się opiece jednego mężczyzny... jednak dziś wieczorem, w przeddzień Twojego wyjazdu, wiem, że to Ty... przyjmuję Twoją propozycję... akceptuję ją z przyjemnością... poproszę rodziców, aby zgodzili się na małżeństwo możliwie najszybciej, a tymczasem...*

Henry odłożył list i spoglądał na Effie z wyrazem rozbawienia i czułością jednocześnie. Spuściła oczy i zagryzła wargę, by powstrzymać się od śmiechu. Dlaczego tak jest, że poważni ludzie, gdy w końcu miękną, zawsze wyglądają tak absurdalnie? Czy dlatego, że ich twarze nie mają żadnego doświadczenia w wyrażaniu uczuć?

Wszedł steward ze złotą tacą, pytając, czego zechcą się napić.

– Nie sądzę, że jestem bezczelna – powiedziała Effie, gdy steward wyszedł. – Napisałam jedynie dlatego, że wiedziałam, iż muszę podjąć decyzję, a zostało tak niewiele czasu...

– Najdroższa Effie – rzekł Henry – ku tobie kieruję tylko możliwie najwznioślejsze myśli. Trzymałaś mnie w oczekiwaniu, to prawda, ale rozumiem dlaczego. Jestem zaszczycony, że u kresu owego oczekiwania postanowiłaś przyjąć moją ofertę i poślubić mnie.

– A ty zatrudnisz Dougala – wtrąciła Effie.

– Och, oczywiście.

– To było częścią twojej propozycji, czyż nie? – pytała Effie. – Zaoferowałam zatrudnienie Dougala.

– Naturalnie, jak sobie życzysz.

– Może mógłby zostać szefem działu inwestycyjnego?

– Z pewnością – Henry wzruszył ramionami. – Jeśli ty tego pragniesz. Obchodzisz mnie tylko ty. I fakt, że tutaj jesteś. Czuję się tak, jakby w ostatniej chwili uratowano mnie z płonącego budynku.

Effie obdarzyła go uśmiechem.

– Wiesz, że jesteś mi bardzo drogi – powiedziała. – Masz wszystkie zalety doskonałego męża i godnego zaufania przyjaciela.

Henry wyprostował się na krześle.

– Cóż, też tak myślę – odparł.

Effie wstała i podeszła do marokańskiego stołu na środku salonu. W obciągniętej skórą teczce z notatnikiem, jakiej używali brytyjscy urzędnicy kolonialni, znalazła arkusze papieru, atrament i pióra.

– Dajże spokój – rzekł Henry. – Załatwimy to później.

Effie usiadła jednak przy stole i położyła przed sobą papier.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Jeśli mamy zawrzeć umowę, to musimy ją sporządzić. Wtedy będziemy pewni, że wszystko jest legalne i wiążące.

Henry oparł się o stół i spoglądał w jej oczy.

– Naprawdę zdecydowałaś się zostać moją żoną?

Effie odpowiedziała uśmiechem, który kosztował ją wiele odwagi i wysiłku udawania. Zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać: *Ja, Henry Baeklander, zgadzam się zatrudnić Dougala Watsona, tak długo jak długo będzie wypełniał dobrze swoje obowiązki, lecz w każdym razie nie krócej niż pięć lat, na stanowisku kierownika działu inwestycyjnego w Baeklander Trust w Nowym Jorku...* – przerwała, a potem dodała pod stosowną linią – *podpisano: Henry Baeklander.*

– Proszę – powiedziała, przesuwając arkusz w jego stronę. – To powinno załatwiać wszystko.

Henry sięgnął po arkusz, a gdy go czytał, Effie musnęła wierzch jego dłoni osłoniętymi rękawiczką palcami, przesuwając je wzdłuż jego palców. Po chwili Henry podniósł wzrok i wyciągnął rękę.

– Pióro? – podała mu je, a on złożył szybki, zamaszty podpis.

– Może teraz, gdy jesteś zadowolona z posady dla brata, miałabyś ochotę na kolację? – zapytał. – Auguste jest w wybornej formie od chwili, gdy zacumowaliśmy w Londynie. Może zdobyć langustę, ostrygi i doskonałą wołowinę. Dziś mamy przepiórki i kaczkę.

Effie znowu wstała i patrzyła, jak Henry osuszał bibułą papier. Potem uniósł suchy arkusz i droczył się z nią.

– Z przyjemnością patrzę na dziewczynę, która kocha swoją rodzinę – zaśmiał się. – Co byś zrobiła, żeby mieć ten kawałek papieru w swoich rękach?

Effie sięgnęła po arkusz, ale Henry go odsunął, wciąż się uśmiechając.

– Jesteś córką bankiera. Wiesz, że niczego nie dostaje się za darmo!

Czyż nie to było pierwszą lekcją, jakiej udzielił ci ojciec?

Effie znów próbowała zabrać mu papier, ale on ponownie się uchylił.

– Wszystko, co musisz zrobić, to pocałować mnie – powiedział. – Nie sądzisz, że to właściwe? Kontrakt małżeński przy pieczętowany pocałunkiem?

– Oczywiście – przyznała Effie z udawaną radością.

– A zatem... – rzekł Henry.

Podeszła bliżej i uniosła dłonie w jasnych rękawiczkach tak, by oparły się na kłapach jego fraka. Białe, obsypane perłami palce spoczęły na czarnym jedwabiu. Poczowała zapach jego wody toaletowej i lekki zawrót głowy, jakby pogrążała się w polu ziół i kwiatów.

– Masz na mnie ogromny wpływ, Henry – wyszeptała. – Sprawiasz, że czuję się tak, jakby wskazówki wszystkich zegarów świata biegły do tyłu.

– Dla mnie chyba właśnie się cofają – zamruczał, pochylił się lekko, a potem musnął wargami jej usta.

Działał na nią, bez wątpienia na nią działał. Był silny, brzydki i bajecznie bogaty. Gdy ją pocałował, nie potrafiła się oprzeć przed otwarciem ust, tak iż jego gorący język mógł smakować jej wargi, i nie mogła nic zrobić, by stawić opór jego dłoniom, gdy pieściły jej plecy i talię, potem się uniosły i sięgnęły do piersi.

– Henry... – jęknęła, jakby gwałtownie cisnął ją za burtę i znalazła się w lodowatej wodzie.

Wypuścił ją z uścisku, drżący i zakłopotany.

– Przepraszam, Effie. Jestem zbyt szybki. Zawsze tak działałem. Gdy widzę coś, czego naprawdę pragnę, zawsze trudno mi się powstrzymać, by tego nie pochwycić.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego jak ty. Nigdy – powiedziała półprzytomnie.

– Dlatego, że niewielu jest ludzi takich jak ja – zażartował, starając się, aby zabrzmiało to beztrzesko. – Jestem swoistym unikatem. Bogaci finansisci nie są produkowani maszynką do ciasteczek. Wymagają specjalnej receptury. – Wciąż trzymał przed sobą arkusz papieru z umową zatrudnienia Dougala. Machnął nim w stronę lampy naftowej. – Mam to spalić?

Effie stała w miejscu.

– Możesz, jeśli chcesz.

Henry sięgnął po chusteczkę do nosa, skropił ją wodą kolońską i użył do ochrony dłoni, gdy odkręcał szklany klosz lampy. Potem zbliżył papier do kopiącego płomienia, obserwując, jak Effie na to zareaguje. Stała bez ruchu i bez mrugnienia okiem, z jedną ręką lekko uniesioną na wysokości lewej ręki, a drugą trzymając na oparciu krzesła w stylu Ludwika XIV.

Nastąpiło długie milczenie. „Excelsior” kołysał się lekko pod ich stopami, obok przepłynęła długa łódź. Kryształowy żyrandol zadźwięczały cicho

niczmy dzwonki z poematu Edgara Alana Poe, a potem znów zaległa cisza.

– Doskonale – rzekł Henry, wręczając Effie papier. – Masz silniejsze nerwy, niż mogłem przypuszczać. Jesteś szczerą, a to rzadkie wśród Brytyjczyków. Brytyjczycy i Szkoci są w większości podstępni, ale ty nie jesteś przebiegła. Byłaś wobec mnie szczerą, nawet jeśli trzymałaś mnie w oczekiwaniu, i doceniam twoją szczerłość.

Wielki Boże, pomyślała Effie, proszę, wybacz mi.

Przeszli do jadalni zaprojektowanej tak, aby mogło w niej zasiąść dwadzieścia osób. Duże iluminatory udrapowane były ciemnym aksamitem barwy miedzi ze złotymi frędzlami. Na pozłacanych meblach namalowano cherubiny i serafiny. Czekają tu na nich czterech ciemnoskórych służących w wykrochmalonych białych marynarkach ze złotymi guzikami, którzy usadowili Effie z jednej strony stołu, a Henry'ego z drugiej. Na stole ułożono złote sztuce, ustawiono złote tace i złote uchwyty do serwetek oraz kryształowo-złote pojemniki z przyprawami.

Henry rozłożył swoją serwetkę.

– Sprawiałaś mi wielką przyjemność, Effie, decydując się przy być tutaj ze mną.

Effie uśmiechnęła się i uniosła rękę, odmawiając kieliszka reńskiego wina, które chciał jej nalać jeden ze stewardów.

– Niełatwo się zakochuję. Chcę, żebyś to wiedziała – powiedział Henry. – Nie jestem łatwym człowiekiem. W tobie jednak zakochałem się w chwili, gdy cię ujrzałem i zawsze będę cię dobrze traktował.

– Pani Cockburn opowiedziała mi, jaki jesteś wspaniałomyślny – wtrąciła Effie.

– Vera Cockburn? Cóż, oto moje niepodważalne referencje. Vera Cockburn rzadko ma o kimsz coś dobrego do powiedzenia.

Jedząc, niewiele rozmawiali. Stewardzi podali im schłodzone gazpacho, przepiórcze piersi na tostach w kształcie serca, plastry świeżego szkockiego łososia w sosie holenderskim, sorbet ananasowy i pieczone w miodzie kaczątka z Suffolk z chrupiącą skórką. Po kolacji kawę i słodczyce podano im w prywatnym saloniku po drugiej stronie jadalni. Było to przytulne, komfortowe studio z pluszowymi czerwonymi sofami i rzędami oprawnych w skórę książek. Jedyne oświetlenia dostarczali dwaj odlani z brązu niewolnicy unoszący lampy naftowe.

– Czy twoim zdaniem namiętność wymaga jakiegoś usprawiedliwienia? – zapytał Henry z policzkiem wybrzuszonym kremem imbirowym.

– Nie sądzę – odparła Effie, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt pruderyjnie.

– Cóż, myślę więc, że mógłbym cię pocałować, nie czyniąc żadnych wyjaśnień – rzekł Henry i bez wahania wypluł imbirowy krem w serwetkę, po czym przesunął się na sofie ku Effie, tak blisko, że mógł sięgnąć jej

ramion.

Effie podniosła wzrok, spoglądając w jego twarz. Pod falą wody toaletowej „Floris” czuła zapach mężczyzny; pot, tytoń i ten osobliwy aromat, którego, nie będąc jeszcze wystarczająco wyrafinowana, nie umiała określić: woń owych soków przesycających mężczyznę spragnionego seksu.

Zegar na półce z książkami za Henrym wybił wpół do jedenastej.

– Niebawem będziesz musiał odwiedzić mnie na Eaton Square – bardzo cicho powiedziała Effie.

– Zanim cię pocałuję czy potem? – wyszeptał Henry.

Effie zamknęła oczy. Chciała, żeby ją pocałował i jednocześnie nie chciała. Było to odpychające i podniecające. Wypiła tylko jeden kieliszek burgunda do kolacji, ale czuła się tak, jakby salonik kołował się na wszystkie strony, jakby ściany na nią napierały i jakby nie mogła zaczerpnąć tchu.

Pocałował ją mocno i długo. Silne dłonie gładziły jej włosy. Dotykał jej ud przez ciepły materiał sukni i halek, a przez jedną wyjątkową chwilę czubki jego palców delikatnie muskały jej piersi i wtedy...

– Dosyć – powiedział nagle. – To wystarczy. Mogę poczekać do jutra, kiedy wypłyniemy.

– Dosić? – powiedziała Effie, nie wiedząc, czy czuć rozpacz czy ulgę.

Henry wstał i obciągnął kamizelkę.

– Proszę. Nie zapomnij tego – rzekł, podając jej arkusz papieru, na którym podpisał zgodę na zatrudnienie Dougala w Baeklander Trust. – Pan Outcault odwiedzi cię do domu. Chyba zaczyna mnie boleć głowa.

– Henry – spytała, chmurząc się – czy jesteś ze mnie niezadowolony?

Spojrzał na nią surowo.

– Nie! Nie, nie Effie, nie jestem niezadowolony z ciebie. Raczej jestem tobą aż nazbyt podekscytowany. Będzie lepiej, jeśli się powstrzymamy, przynajmniej do jutra. Gdy jestem podniecony, mam skłonność do... cóż, nie chcę cię źle traktować. Chcę być delikatny i dobrze wychowany. Jeśli teraz mnie nie pojmujesz, zrozumiesz to jutro. Jednak proszę... – po tych słowach opuścił głowę i na chwilę przycisnął dłoń do czoła – proszę, abys nigdy nie pomyślała, że cię nie kocham. – Podniósł wzrok – Kocham cię, Effie. Mam obsesję na twoim punkcie. Większą niż maniery kiedykolwiek pozwolą mi to powiedzieć. Jest w tobie coś, co... – długo się wahał. Odwrócił się plecami, a potem znów obrócił się w jej stronę i powiedział: – Lepiej już idź. Każę, by podano ci płaszcz. Chcę tylko, żebyś wiedziała, jaką przyjemnością jest goszczenie cię na pokładzie.

– A tamte dziewczęta? – zapytała Effie, chociaż nie zamierzała tego robić.

Spojrzał na nią z rezerwą.

– Tamte dziewczęta, cóż...

– To nie moja sprawa, tak?

– Tego nie powiedziałem. Obiecuję ci jednak, że od jutra nie zobaczysz takich dziewcząt ponownie. Przrzekam solennie.

Effie szybko zamknęła oczy, by pokazać, że zrozumiała i skinęła głową.

Henry wyszedł na nabrzeże, aby zobaczyć, jak odjeżdża. Maszyna „All-days and Onions” wymagała zamaszystych ruchów korbą, zanim silnik wreszcie zapalił (przed północą w powietrzu było jeszcze więcej wilgoci), ale w końcu pan Outcault mógł ruszyć, kierując się w stronę Westminsteru i Eaton Square.

Effie obróciła się na siedzeniu i ostatnim obrazem Henry'ego Baeklandera, jaki zobaczyła, była jego sylwetka pod zieloną gazową latarnią przy Hungerford Bridge; latarnią, która wyglądała jak dmuchawiec w perłowej mgłę. Machał jej chusteczką powolnymi poważnymi ruchami. Ona też pomachała. Tylko raz.

## 28

Malcolm Cockburn był już w szlafroku, gdy zapukała do drzwi jego gabinetu na piętrze. Tego dnia był u fryzjera, więc włosy miał starannie ostrzyżone i lśniące od pomady. Pisał listy do krewnych w Afryce i na Cejlonie, wypełniając ostatni obowiązek tego wieczoru, więc obok kałamarza stała szklaneczka złocistego portu.

– Effie – rzekł – zjawiasz się bardzo późno.

– Tak – odparła, rozwiązując wstążki futrzanej czapeczki. – Rzecz w tym, że muszę z panem porozmawiać.

Malcolm Cockburn wydał z siebie nieprzyjemne chrząknięcie.

– Nie jestem odpowiednio ubrany, by podejmować córkę założyciela banku. Zatem może jutro?

– Chyba nie, panie Cockburn.

Malcolm Cockburn spojrzał na nią i zrozumiał, że Effie nie zmieni zdania.

– Dobrze więc – powiedział, a po chwili dodał: – Proszę wejść i usiąść, ale drzwi zostawić otwarte. Nie chcę, aby ktoś ze służby pomyślał coś złego.

– Oczywiście – odparła Effie i usiadła na małym, „krynowolinowym” taborecie na drugim końcu pokoju.

Gabinet był niewielkim pokojem, mniejszym niż połowa rodzinnej biblioteki, ale aż po sufit wypełnionym oprawnymi w skórę księgami i właśnie tutaj Malcolm Cockburn przechowywał pamiątki związane z dokonaniem swego życia. Oprawione dyplomy za długoletnią pracę w służbie banku. Wakacyjną fotografię Malcolma i Very na tle Alp. Wstęgę medalu za udział w kampanii pekińskiej w 1860 roku, gdy jako młody porucznik służył pod pułkownikiem Grantem podczas zdobywania fortów

Taiku.

– Cóż... – rzekł Malcolm Cockburn. – Vera mówi, że opuszczasz nas pod koniec tygodnia, by udać się do Putney.

– Tak – potwierdziła Effie – ale w istocie to nie jest prawdziwy powód, dla którego przychodzę, by z panem porozmawiać.

– Nie dzieje się nic złego, mam nadzieję? Czy coś jest nie w porządku?

– Nie w tym sensie, w jakim zdaje się pan sugerować. To ma związek z bankiem.

– I z twoim bratem?

Effie skinęła głową.

– Zatem zrobisz najlepiej, mówiąc mi o tym.

Effie spuściła wzrok i szarpała czubek palca rękawiczki.

– Nie jest mi łatwo to uczynić, panie Cockburn. Dougal i ja jesteśmy najbliższymi przyjaciółmi od wczesnego dzieciństwa. Ten związek między nami jest czymś wyjątkowym i wolałabym zrobić wszystko, niż go poświęcić – zrobiła przerwę, a potem mówiła dalej: – Wszystko oprócz zdrady rodziców oraz banku i oprócz zachowania milczenia w obliczu oczywistego podstęp.

Malcolm Cockburn spojrzał bardzo poważnie.

– Najlepiej będzie, jeśli mi powiesz, co masz na myśli – rzekł.

– Chodzi o to, że mój brat desperacko pragnie zrobić wrażenie na ojcu, załatwiając dla banku jakąś bardzo intratną inwestycję. Dougal sądził, że jeśli zobowiąże Watson's Bank do jakiegoś dużego, ale bardzo zyskowego kredytu, wtedy ojciec zrozumie, że jest zbyt utalentowany, aby odsyłać go do wydziału funduszy powierniczych i poczuje się zobowiązany do awansowania go na jakieś znaczące stanowisko.

Malcolm Cockburn nerwowo przesunął rękę po twarzy, czekając na najgorsze.

– Wraz z Jackiem Cuttingiem podpisał pożyczkę dla przedsiębiorstwa o nazwie Wschodnioafrykańska Kompania Kolejowa, które ma zbudować linię biegnącą od jednego brzegu Jeziora Wiktorii do drugiego. Dokumenty, o ile wiem, zostały podpisane dzisiaj po południu.

Malcolm Cockburn przez chwilę siedział w milczeniu, przyswajając sobie tę wiadomość. Potem zapytał głosem, w którym oschłość mieszała się z osłupieniem.

– Jak duży jest ten kredyt?

– Milion funtów szterlingów, który ma być wpłacony na konto jakiegoś banku w Nairobi.

– I powiadasz, że dokumenty są już podpisane?

– O ile wiem, tak. Właśnie to powiedział mi Dougal.

– Rozumiem – rzeki Malcolm Cockburn. – Czy wcześniej wiedziałas o tej pożyczce? Czy też okazało się to dla ciebie równie wielkim zaskocze-



niem jak dla mnie?

Effie się zaczerwieniła.

– Dowiedziałam się o niej w zeszłym tygodniu, ale nie sądziłam, że Dougal będzie tak niemądry, by się w to wdać, zwłaszcza gdy poznałam szefów tego przedsiębiorstwa.

– Czy udało ci się poznać ich nazwiska?

– To pan Snetterton i pan Plant. Mieli rozlatujące się biuro w Star Yard, tuż za Chancery Lane. Twierdzili, że znacznie elegantsze mają w Nairobi, ale zbyt im nie ufałam.

Malcolm Cockburn bębnił palcami po wpół napisanym liście, w którym wcześniej pisał: *...nasz stary przyjaciel Greville wyjechał na Barbados, żeby robić tam jakieś interesy, szczęściarz, a...*

– To Cutting, oczywiście – powiedział po namyśle. – Cutting wykorzystał ufność twego brata i zaaranżował tę nader wątpliwą mistyfikację. Przynajmniej tak się domyślam. Może jestem wobec niego bardzo niesprawiedliwy. Ta kolej może być wspaniałą ideą. Jednak postąpiłaś właściwie, przychodząc z tym do mnie, Effie i szczerze to podziwiam. Nawet więzy siostrzanej lojalności wydają się mało znaczące przy milionie funtów, czyż nie?

– Czy można coś zrobić? Teraz, gdy dokumenty są już podpisane? – zapytała Effie.

– Praktycznie nie – odparł Malcolm Cockburn. – Twój brat oficjalnie reprezentował bank, gdy złożył tę ofertę panu Plantowi i panu... jakże się nazywał ten drugi... Snettertonowi. To bank podjął zobowiązanie, mimo że twój brat przekroczył swoje uprawnienia. Istnieją liczne precedensy dla takiej sprawy i obawiam się, że stracilibyśmy wiarygodność, gdyby się rozeszło, że składamy oferty kredytowe, a potem je anulujemy.

– Zatem trzeba będzie pożyczyć im milion funtów? – dopytywała się Effie.

– Nie, nie musimy tego robić. Nawet dżentelmeni czasami muszą się uciekać do niedżentelmeńskich metod. Star Yard, powiadasz? Tam mieściło się ich biuro?

– Tak – potwierdziła Effie. – Ale co zamierza pan zrobić?

– Zrobić? Nie zamierzam nic zrobić. Idź spać i postaraj się zasnąć, a rano jeszcze o tym porozmawiamy.

– Jest coś jeszcze, o co muszę pana prosić – powiedziała Effie.

– Tak?

– Zechce pan nie wspominać, że Dougal był wmieszany w tę sprawę.

– Nie wiem, jak mógłbym tego uniknąć, moja droga. Twój ojciec będzie musiał się dowiedzieć, co się stało. Ja zaś właściwie nie mogę zatrzymać Dougala w banku, jeśli można spodziewać się po nim takiego postępowania.

– Panie Cockburn, proszę. Załatwiłam już dla Dougala posadę w Ame-

ryce. Opuści Watson's Bank i nigdy więcej pan o nim nie usłyszy, ale proszę nie mówić o tej sprawie ojcu i nie rujnować reputacji mego brata. Tylko o to proszę.

Pan Cockburn wypił łyżeczek porto, a potem starannie odstawił szklaniczkę na biurko.

– To wszystko jest bardzo teatralne – rzeki.

– Proszę, panie Cockburn. Wszak byłoby mi znacznie łatwiej udawać, że nic nie wiem o tej pożyczce i pozwolić, aby bank stracił pieniądze, jednak musiałam panu powiedzieć, a wolność Dougala jest wszystkim, czego pragnę w zamian.

– Będę musiał zwolnić Cuttinga i może nawet kazać go aresztować przez policję.

– Wiem, ale proszę pozwolić Dougalowi odejść. Jutro znajdzie się na pokładzie statku płynącego na Morze Śródziemne, a potem do Nowego Jorku.

Pan Cockburn namyślał się długo, piórem zbrojnym w stalówkę gryzmołając słowo MILION z licznymi zawijasami.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Dam Dougalowi dwa dni na zniknięcie. Jeśli nie wyjedzie do piątkowego ranka, każę go aresztować. Właśnie tak. Jeśli jednak zniknie, wtedy nigdy nie usłyszysz ode mnie ani słowa o tym, co próbował zrobić. Myślę też, że najlepiej zrobisz, jeśli wrócisz do Edynburga, bo panowie Snetterton i Plant mogą się dowiedzieć, co zrobiłaś. Ludzie gotowi są zrobić dużo niemiłych rzeczy dla miliona funtów, a wiele znacznie bardziej nieprzyjemnych, jeśli uznają, że dali się podejść przez jakiegoś młodego detektywa amatora. Nie chcę stanąć wobec konieczności poinformowania twojego ojca, że wyłowiono cię z Tamizy.

Effie wstała i wyprostowała spódnicę.

– Przykro mi, że zakłóciłam panu spokój o tak późnej porze – powiedziała. – Doceniam pańską życzliwość wobec Dougala.

Pan Cockburn pokręcił głową.

– Jedyną osobą, która wyświadczyła twojemu bratu jakąś przysługę, jesteś ty.

## 29

Dokładnie o trzeciej nad ranem dwaj mężczyźni w grubych marynarskich kurtkach i impregnowanych pelerynach łomem wyważyli zewnętrzne drzwi kancelarii panów Snettertona, Planta i Beesta przy Star Yard, a zażywni policjanci stojący w końcu owego zaułka, przy Carey Street, w ogóle nie zwrócili na nich uwagi, fałszywie pogwizdując wodewilowy przebój „Goodbye Dolly Grey”. Mężczyźni szybko wspięli się po schodach wewnątrz

budynku i z hałasem wyłamali oszklone drzwi na końcu podestu.

Ruszyli prosto do biura partnerów i zaczęli przetrząsać je z wściekłością bliską szaleństwu. Wyciągali z biurka szuflady i wyrzucali ich zawartość na podłogę tak, że papiery fruwały we wszystkie strony. Wyrwali wyściółkę z krzesel, a nawet zrywali obrazy ze ścian. Liniejaca zielona papuga przez cały czas skrzeczała w klatce i dziobała w jej pręty.

Wreszcie mężczyźni znaleźli dokumenty, których szukali, we wnętrzu czarnej metalowej kasetki. Unieśli je do bulajowej latarki, aby się upewnić, a potem jeden z nich wsunął je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Dokumenty nosiły nagłówek: „*Panowie Thomas Watson, Cornhill, Londyn*” i zaczynały się od słów: „*Niniejsza umowa zawarta...*”.

Dwaj mężczyźni nie opuścili biura, dopóki nie zniszczyli w nim wszystkiego. Stłukli wszystkie filiżanki, wysypali herbatę na podłogę, zmiażdżyli czajnik, porozrywali leżące w stosach papiery, wcisnęli stalową linijkę do wnętrza maszyny do pisania. Gdy skończyli, pokoje wyglądały, jakby zaatakowało je stado pawianów.

Jeden z mężczyzn otworzył klatkę z papugą, chwycił ptaka za nogi i rzucił go w światło lampy. Papuga szamotała się i skrzeczała.

– To jakiś cholernie szpetny kurczak – rzucił przez drzwi jego kompan.

– Nawet nie gada – przyznał ten pierwszy. – No powiedz, ślicznoto, kto jest teraz królem Anglii?

Papuga zaskrzeczała i obróciwszy szyję, dziobnęła mężczyznę w czubek palca. Mężczyzna bez wahania podniósł ją i wbił na metalowy szpikulec stojący na biurku pana Snettertona. Wbity na kolec ptak zaskrzeczał przeraźliwie, rzucał się w powietrze i żałośnie obracał w kółko.

– Załatwione – powiedział z satysfakcją mężczyzna, po czym wyszedł z biura, skinął na kompana, że czas już się zbierać i razem zeszli po schodach na mokrą i zamgloną ulicę. Opuszczając Star Yard, jeden z mężczyzn wsunął banknot jednofuntowy za pas posterunkowego ze słowami:

– Miłego poranka, Percy.

## 30

Jacka Cuttinga o czwartej nad ranem obudził przeraźliwy trzask wrywanych z zawiasów drzwi jego sypialni. Leżał w łóżku z ciemnowłosą subretką z Balham, niejaką Edwiną Hargreaves, a jego pierwszą niedorzeczną myślą było przypuszczenie, że to gospodarz wpadł, żeby go zaskoczyć z kobietą w wynajętym pokoju. Zwinnie wyskoczył z łóżka odziany jedynie w nocną koszulę i jednocześnie zdołał narzucić na Edwinę koce i poduszki, starając się ją ukryć.

– Co się, u licha, dzieje? – zapytał, ale trzech postawni mężczyźni, którzy

wdarli się do jego pokoju, nie powiedzieli ani słowa. Jeden z nich chwycił go za nadgarstek i boleśnie wykręcił do tyłu rękę, pozostali zaś zabrali się do wyciągania kolejnych szuflad z jego biurka i rzucania jednej po drugiej przez cały pokój. – Pytam, co się tutaj dzieje? – Jack drżącym głosem domagał się wyjaśnień, ale mężczyzna, który trzymał go za ramię, wymierzył mu krótki mocny cios w plecy i wydał z siebie ostre kasznięcie. – Nie możecie... – zaczął ponownie, ale uderzono go znowu i mimowolnie zwymiotował kwaśną plamę żółci, która wytrysnęła mu nosem.

Mężczyźni otworzyli jego szafę, wyrzucili ubrania i systematycznie podarli je na strzępy. Pocięli nawet buty jakimś ostrym szewskim nożem i poprzeczali na pół celuloidowe kołnierzyki. Opróżnili buteleczki wód toaletowych, wylewając je na podłogę i trzema potężnymi kopniakami roztrzaskali lustro szafy. Potem zainteresowali się łóżkiem i zaczęli ciąć materace. Edwina, ogarnięta trwogą, zaczęła krzyczeć, więc mężczyźni ściągnęli koce i ją odkryli.

– Zostawcie ją w spokoju! – wrzasnął Jack, lecz mężczyźni tylko zdecydowanie zrzucili dziewczynę z łóżka na podłogę, gdzie siedziała w kącie, skromnie ściągając koszulę nocną do kostek, drżąc i wydając z siebie ciche miauknięcia strachu.

Nie więcej niż pięć czy sześć minut zajęło tym ludziom zdemolowanie pokoju i zniszczenie wszystkiego, co Jack posiadał. Potem brutalnie i metodycznie pobili go pięściami, wybijając mu sześć przednich zębów, łamiąc cztery żebra i powodując pęknięcie bębenka w uchu. Ostatni cios przeznaczili dla genitaliów Jacka. Wymierzony zaciśniętą pięścią pełną monet, poraził go. Jack padł na podłogę, oczy obróciły mu się w głowie niczym zarzynamemu byczkowi i skrzywiony leżał z zakrwawioną twarzą na postrzępionym materacu, z trudem łapiąc oddech.

Trzej mężczyźni wyszli z pokoju niespiesznie, jakby byli uprzejmymi fachowcami i nawet zadali sobie trud wstawienia wyrwanych drzwi do sypialni na swoje miejsce. Z mrocznej i rozbrzmiewającej echem oddali, z czeluści, która raczej przypominała mroźny arktyczny krajobraz niż wnętrze jego własnej głowy, dobiegł Jacka czyjś głos.

– Mogłabym pójść po filiżankę herbaty, Frank. Masz ochotę na filiżankę herbaty?

## 31

Henry Baeklander stal na pokładzie widokowym „Excelsiora” w ponurym i doskonale skrojonym czarnym płaszczu, z karakułowym kołnierzem podniesionym wysoko dla ochrony sztywnej prawej strony karku przed wilgotnym wiatrem wiejącym poprzez srebrzystozielone zakole Tamizy z

północnego wschodu i z bagien Essex. Minęło już piętnaście minut po jedenastej, a kotły jachtu trzymane były pod pełną parą od dziewiątej. Zawory bezpieczeństwa skwierczały i śpiewały jak gotujące się czajniki, zaś z żółtego komina nieprzerwanie unosił się brunatny dym. Jeszcze pół godziny, a będą musieli odpłynąć, albo stracą falę. Henry pociągnął nosem, zakaszał i jeszcze raz sięgnął po swój kieszonkowy zegarek marki Fabergé, mimo że z miejsca, gdzie stał, widział Big Bena i zaledwie przed kilkoma minutami słyszał jego kwadransowe uderzenie. Oczy mu łzawiły, a oddech parował, gdy spoglądał na ostre jak igły wskazówki. Już siedemnaście po jedenastej, a wciąż ani śladu Effie. Na pokład wszedł pan Outcault i zasalutował.

– Proszę mi wybaczyć, panie Baeklander – rzekł – ale niebawem będziemy musieli wyruszyć albo odłożyć wypłynięcie do następnego odpływu.

Henry mógł sobie pozwolić na to, by czekać w Londynie jeszcze dwa lub trzy dni. Wiedział jednak, że jeśli Effie nie przyjdzie tego ranka, to nie przyjdzie nigdy. Wolałby raczej wypłynąć sam, niż być przez nią upokorzony choćby chwilę dłużej. Nie, to nieprawda. Zgodziłby się na każde upokorzenie, jakie ona zechciałaby mu zadać. Jednak wcześniej czy później będzie musiał opuścić Londyn, a „wcześniej” było równie dobre jak „później”. Sięgnął po małe cygaro, a pan Outcault podszedł, by mu je zapalić.

– Cholernie wilgotne miejsce, ten Londyn – rzekł Henry.

– Tak, panie Baeklander – odparł pan Outcault, skinąwszy głową. – Z tego słynie.

Wpół do jedenastej na nadbrzeże wjechała dorożka.

– Sawyer, czy widzisz, kto to jest?! – zawołał Henry Baeklander.

Sawyer z górnego pokładu odparł:

– Jakiś dżentelmen, sir. Z kufrem.

– Nie dama?

Po krótkiej chwili padła kolejna odpowiedź.

– Nie, sir. Nie dama.

Henry obserwował, jak otwiera się żelazna brama nadbrzeża i pojawia się Dougal dźwigający ogromny, okuty brązem kufer. Dougal mało entuzjastycznie pomachał ku Henry'emu, ale on, zamiast posłać kogoś z załogi do pomocy przybyszowi, nie ruszył się z miejsca, patrząc, jak Dougal z wielkim wysiłkiem znosi swój bagaż po stopniach przystani w stronę jachtu.

Dougalowi wreszcie udało się wnieść kufer na pokład. Kilka minut później, ciężko oddychając, zjawił się na pokładzie spacerowym w zielonym tweedowym płaszczu i eleganckim kapeluszu. Zdjął robione na drutach, wełniane rękawiczki, z których jedna była wystrzępiona przez ćwieki na bokach walizy. Zasznurował usta, gwizdząc cicho.

– No, no, panie Baeklander – rzekł – nieźle się pan tutaj urządził. Pływający pałac.

– Gdzie jest Effie? – chrapliwie zapytał Henry. – Spóźni się?  
– Effie? – zamrugał ze zdziwieniem Dougal. – Och, nie, Effie nigdy się nie spóźnia. Cóż, chyba że jest jakiś powód. Jednak dzisiaj się nie spóźnia.

– Zatem gdzie jest? Musimy wypłynąć za dziesięć minut.

Dougal się zaczerwienił.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli przeczyta pan ten list, sir – rzekł, sięgając do swego płaszcza i wyjmując z niego zapieczętowaną niebieskim woskiem kopertę.

– Nie przyjedzie? – Henry domagał się wyjaśnienia. – Czy właśnie to jest napisane w liście?

– Niestety nie czytałem go, panie Baeklander.

Henry przeszedł do barierki, trzymając list w lewej dłoni, a prawą przyciskając futrzany kołnierz do sztywnego karku. Stał w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym obrócił się i wręczył list Dougalowi.

– Pan go otworzy, panie Watson. I pan mi go przeczyta.

– Ale Effie powiedziała...

– Niech go pan otworzy, panie Watson!

Dougal wziął list, złamał pieczęć i rozłożył arkusz. Szybko go przejrzał, a potem z wielką niepewnością podniósł wzrok na Henry'ego Baeklandera.

– Czytaj! – ostrym głosem zażądał Henry.

– Proszę bardzo – rzekł Dougal. – Effie pisze: *Najdroższy Henry. Ku mojemu wielkiemu żalowi nie mogę wypłynąć dziś z Tobą na pokładzie „Excelsiora”. Ty jeden zrozumiesz, jak jestem rozdarta i jak bardzo bym chciała, aby nie musiało tak być. Jednak decyzję tę wymusiła na mnie nagle choroba mojej najdroższej matki (telegram z Edynburga otrzymałam przed niespełna trzema godzinami). Muszę udać się do Edynburga, żeby ją zobaczyć, a dopóki nie wyzdrowieje, będę musiała, bardzo przykro mi to powiedzieć, pozostać w Szkocji...*

Dougal przerwał, ale Henry, który wcześniej uniósł dłoń tak, iż zasłoniła jego twarz, a teraz obserwował Dougala przez szpary między palcami, chrapliwym głosem polecił mu czytać dalej.

– A zatem – rzekł Dougal – *...Prawdopodobnie w pewien sposób tę decyzję wymusza na mnie Los, gdyż teraz będę mieć okazję zasięgnięcia rady rodziców przed wyjazdem z Tobą. Tak bardzo byłam podekscytowana pomysłem ucieczki nad Morze Śródziemne, ale niestety! Wydaje się, że do niej nie dojdzie. Mój drogi Henry, wiem, że zrozumiesz i wiem, że będziesz ze mną w stałym kontakcie, abyśmy pewnego dnia (ufam, że ten dzień nadejdzie bardzo szybko!) mogli być razem.*

– To wszystko? – zapytał Henry.

– Nie, jest coś jeszcze – odparł Dougal.

– Dobrze, zechcesz przeczytać?! – nalegał Henry.

Dougal był wyraźnie niezadowolony, ale potem przeczytał

niepewnie.

– *Naturalnie, dotrzymasz umowy, którą podpisaliśmy wczoraj, angażując Dougala w Baeklander Trust. Jest utalentowanym i zdolnym bankowcem, ja zaś jestem pewna, że dasz mu możliwość, aby ci tego dowiódł.*

– To wszystko? – zapytał Henry.

– To wszystko.

Henry przemierzał pokład według jakiegoś osobliwego wzoru niczym lew chodzący po klatce w ogrodzie zoologicznym.

– Ile lat ma twoja siostra? – zapytał wreszcie.

– Effie? Siedemnaście, sir. I pół.

– Siedemnaście i pół. Mój Boże... I przechytrzyła nas wszystkich.

– Panie Baeklander?

Henry pokręcił głową.

– Twoja siostra stanie się albo boginią, albo Gorgoną. Cóż, być może stanie się po trosze i jedną, i drugą. Jednak zrobić to, co ona zrobiła dzisiaj, mając lat siedemnaście i pół... Wdałeś się tu w nieco niebezpieczną rywalizację, mój chłopcze. Masz siostrę, która bez trudu zdobywa nad nami przewagę.

Dougal stał przed Henrym Baeklanderem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Czy nadal chce pan, abym z panem pojechał? – zapytał w końcu. – Nie przyjmę tej posady, jeśli daje mi ją pan tylko ze względu na Effie.

Henry położył mu rękę na ramieniu.

– Jedź ze mną, panie Watson. Jedź ze mną i ciesz się śródziemnomorskim słońcem, a potem jedź do Nowego Jorku i rób majątek. Możesz być moim zakładnikiem aż do dnia, kiedy zapragnę odzyskać Effie. Rozumiesz mnie? Nie wyświadczam ci uprzejmości. Z tego co o tobie słyszałem, masz talent do bankowości, mogę cię wykorzystać na Broad Street, nie ma co do tego wątpliwości. Każę załodze rozpakować twój kufer.

Henry ruszył ku zejściu z pokładu spacerowego.

– Panie Baeklander... – powiedział Dougal.

Henry przystanął, ale się nie odwrócił.

– Panie Baeklander, pragnę tylko powiedzieć, że jest mi przykro.

Przez kilka chwil Henry nie powiedział ani słowa.

– Tak, dziękuję – wyszeptał w końcu i wrócił do swego pokoju, a Dougalowi wydawało się, że widzi łzy w jego oczach.

Londyński pociąg z radosnym stukotem wjechał o dziewiątej rano na dworzec Waverley pod czystym edynburskim niebem równie błękitnym jak

dziecięcy talerzyk. Effie siedziała przy oknie, w futrze z fok i jasnoniebieskim aksamitnym kostiumie z wysokim koronkowym kołnierzem i granatowym szamerowaniem oraz w okazałym białym kapeluszu, na którym wśród pięciu białych strusich piór podskakiwały dwa wypchane drozdy.

W przedziale pierwszej klasy, w którym siedziała, było gorąco, lecz Effie odruchowo zadrżała, gdy pociąg wjechał w cień skały. Linia kolejowa biegła między zamkiem a New Town, w wąwozie, gdzie niegdyś leżało jezioro Nor Loch, które zostało osuszone. Przez chwilę Effie czuła się tak, jakby podróżowała pod jego nieistniejącymi, ale lodowatymi wodami.

Przy barierce kontroli biletowej czekała na nią matka z odzianym w liberię i zielony cylinder stangretom Russellem, stojącym kilka kroków za nią. Matka w beżowym tweedowym kostiumie wyglądała nieoczekiwanie staro i bardzo prowincjonalnie, ale Effie rzuciła się w jej ramiona i mocno przytuliła, czując ciepło oraz znajomy zapach wody toaletowej i muskając opuszkami palców oprawne w złoto agatowe krople kolczyków zwisających z jej uszu.

– Effie, jakże się zmieniłaś! – zawołała matka. – Jesteś prawdziwie londyńską damą!

Weszły do hali dworca, wzięwszy się pod ręce, a Russel niósł pudło z kapeluszami Effie i dyrygował bagażowym z kuframi. Kiedy wreszcie znalazły się na zewnątrz, na Princes Street, Effie głęboko odetchnęła ostrym szkockim powietrzem. Po Londynie jednak Princes Street wydawała się skurczona i dziwnie nieelegancka i Effie złapała się na tym, że patrzy na staroświeckie tweedowe spódnice i wrzosowe płaszcze z podobnym zdumieniem i pogardą, z jaką mogłaby to robić prawdziwa mieszkanka Londynu. I te kapelusze! Takie bezkształtne i ozdobione tylko wstążkami! Już wiedziała, że nie będzie mogła zostać tu długo.

– Nie tylko twoje stroje się zmieniły. Także twoja twarz. – rzekła Fiona Watson, kierując córkę w stronę rodzinnego powozu. – Nagle rozkwitłaś. Jesteś śliczna. Nie mogę się nadziwić.

– To chyba wpływ Londynu.

Wsiadły do powozu. Russel okrył ich kolana wełnianymi kocami, po czym otworzył okno, wręczył napiwek dworcowemu bagażowemu i wspiął się na swoje miejsce.

– Przypuszczam, że Londyn był dość smutnym miejscem z powodu śmierci królowej – powiedziała matka Effie.

– Och, nie – odparła Effie. – Chodzi mi o to, że wiele było tam smutku i oficjalnej żałoby. Sądzę jednak, że wszyscy byli zadowoleni z objęcia tronu przez Edwarda. Nadszedł już czas.

Fiona Watson z roztargnieniem skinęła głową.

– Dzieje się coś złego, prawda? – zapytała Effie. – Masz jakiś kłopot z Jamiem McFarlane'em? – zapytała Effie, a gdy matka uśmiechnęła się lekko



i wzięła ją za rękę, ponowiła pytanie: – Zatem masz, nieprawdaz? Martwisz się? Nie zerwał, prawda? Nie mówi tego.

– Nie – powiedziała Fiona. – Nie zerwał, ale może będzie musiał to zrobić.

– Dlaczego? – Effie się zmartwiła.

– Cóż, to długa historia i nie przeznaczona dla twoich uszu – odparła matka.

– Ależ musisz mi powiedzieć! Jak będę mogła ci pomóc, jeśli nie powiesz?

Fiona Watson sięgnęła po małą koronkową chusteczkę i delikatnie wytarła nos.

– Effie – powiedziała – nic nie możesz w tej kwestii zrobić. Wiem, jak bardzo lubisz angażować się w sprawy innych ludzi, ale ta może być rozwiązana wyłącznie przez Jamiego i mnie, a nie przez kogokolwiek innego. Byliśmy świadomi ryzyka, jakie podejmujemy, gdy zaczęliśmy spotykać się ze sobą i teraz musimy sprostać temu, co uczyniliśmy – mówiąc to, spuściła głowę, a słońce wpadające przez uchylone okno na rogu Lothian Road obrysowało kontur jej twarzy i błysnęło w agatach jej kolczyków, które zdawały się zastygłymi łzami.

Effie nagle uświadomiła sobie, jak cicho było tutaj, w Edynburgu, gdzie słyszała jedynie zgrzyt kół i stukot końskich kopyt.

– Ojciec się nie dowiedział? – zapytała.

– Nie, ale istnieje taka groźba. Młody Gavin McFee. Pamiętasz chłopaka, którego poznaliśmy, gdy wraz ze mną i Jamiem byłeś w dzielnicy Lands? Tak, tego pyskatego łobuziaka. Teraz grozi, że powie ojcu, jeśli nie będzie dostawać funta tygodniowo i ostrzega, że niebawem zażąda dwóch.

– Ależ to szantaż! – zawołała Effie. – Z pewnością możesz kazać go aresztować.

– I wyjawić swój romans z Jamiem McFarlane'em całemu edynburskiemu towarzystwu? Nie mogłabym tego zrobić. Ani sobie, ani twojemu ojcu, ani tobie. Możemy się uporać z Gavinem McFee, ale za jaką cenę! Bank twojego ojca prawdopodobnie by upadł, Jamie straciłby pracę, a żadna z moich przyjaciółek nigdy by się do mnie nie odezwała.

– Tak bardzo dbasz o to wszystko? – zapytała Effie. – Bardziej niż o siebie?

Fiona pogłaskała córkę po włosach.

– Gdybym była w twoim wieku, może wcale nie dbałabym ani o pieniądze, ani o siebie. Naturalnie, gdy jest się młodą dziewczyną, nie można przewidzieć, jaka naprawdę będzie miłość. Zaczyna się od tego, że chłopiec w ogóle cię nie interesuje, a potem nagle pewnego ranka budzisz się i stwierdzasz, że nie miałabyś dość patrzenia na niego, nawet gdyby doba miała dwadzieścia pięć godzin. Jamie jest inny. Jest uprzejmy, dowcipny i

serdeczny. Powinnam była wyjść za niego lub za kogoś bardzo podobnego, ale tego nie zrobiłam, więc teraz muszę chronić to, co mam i tych, którzy są ode mnie zależni. Jestem zakochana, ale nie chcę, aby z powodu tej miłości upadł bank twojego ojca. Nie chcę też widzieć Jamiego na ulicy rozglądającego się za posadą pracownika socjalnego. Przede wszystkim zaś nie chcę stracić przyjaciół, których z pewnością bym straciła, gdyby wieści o tym romansie dotarły do publicznej wiadomości. – Po tych słowach zapanowało między nimi długie milczenie.

– Zamierzasz mu płacić? – zapytała Effie, gdy pojazd skręcił w Charlotte Square. – Wszak płacąc, przyznasz, że ty i Jamie...

– Zastanawiałam się nad tym – rzekła Fiona, odgarniając opadające pasmo włosów – ale dom w tej chwili balansuje nad przepaścią. Ojciec jest zły, że Dougal wyjechał do Londynu i faktycznie tam szaleje, nie dbając o długofalowe perspektywy banku. Powinien doprowadzać do porządku departament funduszy powierniczych, a nie spędzać cały dzień, marząc o jednym wielkim zamachu, jak to zwykle czyni. Pozostaje jeszcze Robert, któremu się wydaje, że jest jakimś Rothschildem, gdyż myśli o zbudowaniu sobie ogromnej rezydencji w Traquir. Ty zaś wyjechałaś na tak długo i i również nie do Putney. Wszystko jest trudne.

Effie ścisnęła dłoń matki.

– Przepraszam. Jesteśmy dla ciebie takim ciężarem, twoje własne dzieci...

– Jestem dorosłą kobietą, Effie. Potrafię zadbać o siebie, jeśli będzie trzeba.

Zmierzały do zachodniego krańca Charlotte Square.

– Jest coś, o czym musisz się dowiedzieć, zanim wysiądziecie my z pociągu – powiedziała łagodnie Effie.

Fiona zmarszczyła brwi.

– Czy ty... Czy... cóż, jakiś mężczyzna dotknął cię, gdy byłaś w Londynie?

– Nie, mamo, nie o to chodzi – odparła Effie. – Chodzi o Dougala. Opuścił Watson's Bank i jest w drodze do Ameryki.

Powóz zajechał pod dom i Russel zahamował, a następnie otworzył drzwiczki i opuścił schodki, lecz Fiona została na miejscu, z rozdziawionymi z szoku ustami i szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

– Effie – powiedziała – nie rozumiem, co masz na myśli. Udał się do Ameryki? Nawet nas nie informując? Dlaczego?!

Effie odwróciła wzrok, a potem zaczęła mówić, starannie dobierając słowa.

– Musisz obiecać, że nie powiesz ojcu, ale pojawił się pewien kłopot w banku. Dougal był niewinny, ale przez kogoś z personelu został podstępem nakłoniony do pomocy w oszustwie, które mogło kosztować Watson's Bank

znacznie więcej niż milion funtów. O ile wiem, pan Cockburn uporał się ze wszystkimi, którzy byli w to zaangażowani. Prosiłam go, by nie doniósł na Dougala policji i ostatecznie zgodził się tego nie robić pod warunkiem, że Dougal niezwłocznie opuści Watson's Bank i Londyn. Dougal to zrobił i teraz płynie na Morze Śródziemne z amerykańskim finansistą Henrym Baeklanderem. Słyszałaś o nim? Tak... potem zamierza udać się do Ameryki, żeby pracować dla Baeklander Trust.

Fiona nie powiedziała ani słowa. Wyjrzała przez otwarte drzwiczki powozu i zobaczyła, że Russel cierpliwie na nie czeka.

– Czy napisał przed wyjazdem? – zapytała, wracając wzrokiem ku Effie. – Zostawił jakąś wiadomość?

– Nie było czasu – odparła Effie. – W każdym razie nie sądzę, aby wiedział, co napisać.

Fiona Watson oblizwała wargi. Jej twarz była biała jak mleczna galaretka, a pęgi przypominały drobiny cynamonu.

– Cóż, będziemy musiały porozmawiać o tym później – powiedziała, a potem uniosła spódnicę, wysiadła z powozu i weszła na schody prowadzące do frontowych drzwi.

Effie podążyła za nią. Nie przychodziło jej do głowy nic uspokajającego, więc po prostu szła za matką przez hol, który wciąż pachniał lawendowym woskiem, potpourri z suszonych płatków róż i kamforą. Jednak na końcu holu Fiona się odwróciła.

– Czy przynajmniej jest zdrowy? Czy nie choruje na coś niestosownego? – zapytała.

– Nie, nie choruje – odpowiedziała Effie.

W myślach przywołała twarz Dougala po tym, jak obudziła go we wtorkowy wieczór. Leżał na plecach, w prążkowanej nocnej koszuli, z otwartymi ustami i leżącym na torsie egzemplarzem czasopisma „The Economist” rozłożonym na artykule zatytułowanym „Możliwości inwestycji po Powstaniu Bokserów. Nowe ubezpieczenia zachęcą Chiny do poszukiwania większych kredytów w obcej walucie”. Gdy łagodnie potrząsnęła go za ramię, otworzył oczy i patrzył, jakby jej nie poznawał. Prawdopodobnie śnił o Prudence Cutting. Jednak po chwili się odezwał.

– Effie... czy stało się coś złego? Która godzina?

– Dochodzi północ – odpowiedziała.

– Czy to coś ważnego? Boże, czuję się okropnie. Jakbym spał w stercie gnoju.

– Dougal – szepnęła – będziesz musiał jutro wyjechać z Londynu.

– Wyjechać z Londynu? O czym ty, u licha, mówisz?

– Pan Cockburn dowiedział się o Kolei Wschodnioafrykańskiej.

– No to co? Teraz już za późno, wszystkie dokumenty są podpisane.

– Dougal, on zamierza wezwać policję. Podejrzewa, że ta Kolej

Wschodnioafrykańska to nic innego jak zwyczajne oszustwo. Mistyfikacja mająca na celu wyłudzenie z banku pieniędzy.

Dougal przetarł oczy.

– A skąd ty tak wiele o tym wiesz?

– Powiedział mi. Chciał, żebym cię ostrzegła. Nie chce cię wmieszać w arestowanie i proces, przede wszystkim dlatego, że jesteś synem właściciela banku, na którym to by się okropnie odbiło.

– Ale ja jeszcze nie chcę wracać do Szkocji – protestował Dougal. – Jestem tutaj zaledwie kilka tygodni i już odnalazłem własną drogę. Nie zniósłbym powrotu do Edynburga.

– Tam nie wrócisz. Henry Baeklander zaoferował ci posadę w Baeklander Trust w Nowym Jorku. Wypływa jutro, z pierwszym odpływem. Będziesz musiał się upewnić, kiedy to nastąpi i wtedy znaleźć się na jego statku.

– Effie, nie odpłynę! To niedorzeczne! Nazywam się Watson. Jestem jednym ze spadkobierców i dziedziców Watson's Bank. Co miałbym zyskać, udając się do Nowego Jorku?

– Unikniesz arestowania, Dougal, a to jest najważniejsze. Nie sądzisz? Byłam zaskoczona, że dałeś się przekonać Jackowi Cuttingowi, aby w to wejść, ale czyż nie chciałeś być zapalonym nowym bankierem, zmieniającym cały świat? Cóż, ogień był zbyt gorący, Dougal. Teraz Londyn pali ci się pod nogami i nie powinieneś wracać, dopóki nie wyrobisz sobie własnej marki w Ameryce.

Dougal uderzał pięściami poduszki, nadając im właściwy kształt, po czym usiadł.

– Czy ojciec o tym wie? – zapytał.

Effie przecząco pokręciła głową.

– Cockburn, co? – mruknął Dougal. – Zastanawiam się jak to do niego doszło?

– To wielki bank, Dougal. Tylko w tutejszym oddziale pracuje dwieście osób. Każda z nich mogła się dowiedzieć i przekazać tę informację każdemu, kto gotów był za nią zapłacić.

– Sądzisz, że Cockburn przekupuje swych pracowników, żeby zdobyć sekretne informacje?

– A gdybyś ty był na jego miejscu, nie robiłbyś tego?

– Cóż, chyba tak... – przyznał Dougal, opierając się na łokciu. – Połowa personelu wydaje się pracować dla każdego oprócz Watson's Bank... trochę prywatnych inwestycji tu, trochę manipulacji giełdowych tam, a ci, którzy naprawdę poświęcają swą energię bankowi, najwyraźniej pilnują, aby udzielać kredytów tylko tym osobom i rządowi, które prawie na pewno dadzą im jakąś łapówkę. Nie jestem pewien, czy Cockburn śledzi to wszystko dlatego, że chce ukrócić praktykowanie takiej bankowości, czy dlatego, że

chce być pewien, iż dostanie swoją część.

– Tak czy inaczej, Dougal – powiedziała Effie – ty będziesz musiał wyjechać. Przykro mi, ale nie widzę dla ciebie żadnej innej drogi. Bank mógł stracić milion funtów, a ojciec z pewnością nie pogłaskałby cię za to po głowie. Prawdopodobnie kazałby ci w taki czy inny sposób zwrócić te pieniądze.

– Zatem wydaje się, że miałaś rację – rzekł ponuro Dougal. – To był lord Rethesdale.

– Nie wiem, skąd mogłam mieć tę pewność. Myślę jednak, że to musiał być on.

– Kaleka w parku... Cóż, przypuszczam, że jest w tym jakaś poetycka tragedia.

Effie nie powiedziała ani słowa.

– Najlepiej zrobię, idąc teraz spać – rzekła po chwili – ale obudzę cię rano, żebyś się nie spóźnił na pokład „Excelsiora”. Przystań Hungerford. Nie możesz do niej nie trafić.

Dougal powoli wycelował w nią palec.

– To ty powiedziałaś o wszystkim Cockburnowi, prawda?

Effie przycisnęła dłoń do piersi, ale potem szybko ją opuściła, uświadomiwszy sobie, jak teatralnie wygląda.

– Ja?! Jak możesz tak myśleć?!

Dougal wstał i podszedł do biurka, gdzie trzymał swoje oprawne w srebro szczotki do włosów. Sztywno, szybkimi ruchami przeczesał czuprynę.

– Prawdę mówiąc, Effie – rzekł – nie jestem pewien, czy to ty mu powiedziałaś, ale nigdy, odkąd byłaś małeńka, nie cofnęłaś się przed odrobiną zabawy sprawami innych ludzi i sądzę, że dalej tak jest.

Effie uśmiechnęła się wymijająco.

– Zbudujesz własną fortunę w Ameryce, jestem pewna.

Dougal odłożył szczotki i spojrzał na nią.

– Naprawdę sądzisz, że odejdziesz? Naprawdę myślisz, że wyjadę tylko z tego powodu? Przede wszystkim nie chcę opuszczać Prudence.

– Rozumiem – odparła Effie – ale przypuszczam, że w odpowiednim czasie zawsze będziesz mógł po nią posłać.

– Wpędzisz mnie do grobu – powiedział Dougal.

### 33

Pięć miesięcy później, w zenicie niebywale jak na Szkocję gorącego lata, państwo Watsonowie otrzymali pierwszy list od Dougala. Ich syn dotarł do Nowego Jorku z początkiem kwietnia, po rejsie po Morzu Śródziemnym, które urzekło go niewypowiedzianie. Trzy mgliste dni spędził w Tangerze w

pałacu pewnego marokańskiego księcia i widział u podnóża wzgórza tajemniczych czarnych członków bractwa Aissoua poruszających się we mgle w długich ciemnych szatach, podczas gdy on siedział zdumiony na balkonie i popijał miętową herbatę. W Medynie, trzeciego wieczoru, oglądał kobietę, która w transie połykała żywe ropuchy, tańcząc i przewracając oczami, gdy podskakiwały w jej brzuchu. Gdy następnego ranka otworzył ażurowe, zdobione okiennice swego pokoju, stwierdził, że w nocy mgła zniknęła, a przed jego oczami, w odległości zaledwie kilku mil, wynurza się szara i obca Skala Gibraltarska.

„Excelsior” pożeglował do Neapolu, na Kretę i na wyspy greckie. Henry Baeklander, milczący i zamknięty w sobie, rzadko pojawiał się na pokładzie, przechodząc tylko na śniadanie, ale nawet wtedy miał na sobie biały kask przeciwsłoneczny i okulary z purpurowymi szklami, więc nie można było się domyślić, na co patrzy ani co myśli. Niekiedy machał ręką ku Dougallowi, a on z wahaniem odpowiadał tym samym gestem. W Kairze sprowadzono na pokład kilka, pięć lub sześć, bardzo młodych egipskich dziewcząt w woalach i cekinach i wtedy „Excelsior” stał na kotwicy trzy dni, lecz ani Henry Baeklander, ani żadna z tych dziewcząt nie wyszła z jego pokoju. Dougal jadał wówczas samotnie, siedząc w okazałej jadalni w stylu Ludwika XIV i zgarniając łyżką chłodną zupę szparagową, pod obracającym się wentylatorem, który wcale nie przynosił ulgi w duchocie. Pewnego wieczoru, gdy oddawał się lekturze w swojej kabinie, zaniepokoił go odgłos lekkich kroków na zewnątrz. To jedna z owych dziewcząt przechodziła obok jego drzwi, ale ledwie zdołał rzucić na nią okiem, zanim zniknęła za rogiem burty mieszkaniowej szalupy ratunkowej. Wydawała się całkiem naga, i co dość osobliwe, miała długi powłóczysty ogon niczym damski centaur. Dopiero kilka tygodni później, gdy byli na środku Atlantyku w drodze do Nowego Jorku, Henry wezwał Dougala do swego gabinetu, aby porozmawiać o kredytach dla Japonii i Niemiec, Dougal zauważył obok biurka Henry'ego wykonaną z końskiego włosia długą miotłkę do odganiaania much z gruzłowatą kilkunastocentymetrową rączką z kości słoniowej, taką, jakiej używają mieszkańcy wschodniej Afryki.

Teraz będąc już w samym Nowym Jorku, zajmuje apartament z własną prywatną łazienką w przestronnym budynku federalnym przy Bleeker Street. Nowy Jork jego zdaniem jest „orzeźwiający”, chociaż giełda jest wysoce niestabilna, a bankierzy są zwykle traktowani w Stanach Zjednoczonych z głęboką podejrzliwością. W nowszych stanach, takich jak Iowa, Arkansas, Oregon i Kalifornia, banki są legalne dopiero od połowy dziewiętnastego wieku, a w Teksasie nadal są zabronione. Amerykańskie stany, starając się zgromadzić fundusze, wydały mnóstwo obligacji i słyną z notorycznego uchylania się od spłacania własnych zobowiązań. Najgorszy jest stan Mississippi, chociaż Luizjana i Filadelfia są niemal równie

niewiarygodne i skłoniły Sydneya Smitha, by napisał w londyńskim „Morning Post”, że „faktycznie powinny istnieć zakłady dla obłąkanych przeznaczone dla całych państw tak jak dla ludzi”, gdyż Ameryka „jest państwem, z którym nie można zawierać umów, ponieważ żadna nie będzie dotrzymana; państwem niestabilnym w samych fundamentach życia społecznego i wykazującym braki w podstawach zaufania”.

Dougal prosił w swym liście o wiadomości o Prudence Cutting. „Jeśli możesz znaleźć jakiś sposób nawiązania z nią kontaktu, Effie, przekaz proszę, że stale o niej myślę”, pisał.

– Kim jest Prudence Cutting? – zapytał Thomas Watson z oczami mroźnymi jak zimowy poranek.

– Pewną damą w średnim wieku – odpowiedziała Effie. – Starszawą damą, która uczyła Dougala londyńskich manier.

– Ach tak... – niedowierzająco rzekł ojciec.

Matka Effie miała rację, gdy rozmawiały w powozie. Atmosfera w domu przy Charlotte Street 14 była dziwna i nieprzyjemna. Każda rozmowa z Thomasem Watsonem przypominała stąpanie bosymi stopami po tłuczonym szkle. Wchodził i wychodził z regularnością, która sprawiała wrażenie rozmyślnej, a letnie dni zdawały się być odliczane odkładaniem przez niego cylindra w holu i ponownym sięganiem po to nakrycie głowy. Effie czuła się tak, jakby wszystko wokół czekało na jakąś burzę. Dzielono niedzielną pieczeń. Nadchodziły poniedziałki. Na ulicach dzieci biegały za obręczami. Edynburski zamek widać było i w świetle, i w cieniu przesuwających się chmur; w ulewnych deszczach i w pięknie zachodzącym pod wieczór słońcu. I tylko dom Watsonów wciąż pełen był niewypowiedzianego niezadowolenia.

Chociaż ojciec stał się bardziej ponury i porywczy, to Robert był tym członkiem rodziny, który zmienił się najbardziej od czasu wyjazdu Dougala do Ameryki. Nabrał większej pewności siebie, a nawet wagi, stając się zaferowanym, zażywnym młodzieńcem, który wiedział, czego chce i gotów był zrobić wszystko, żeby to dostać. Jego finansowe ekspedycje, które podjął wiosną i latem 1901 roku, stały się odważniejsze. Niemcom pożyczył pieniądze na budowę w Hamburgu liniowców pasażerskich, które miały pływać po Łabie. Japończykom zaś udzielił kredytu na budowę fabryki jedwabnych pończoch w Tokushimie, mieście na wyspie Sikoku, a także na fabrykę zbrojeniową w Kobe.

Robert był entuzjastycznym wyznawcą poglądu Rothschilda, że świat mógłby się zjednoczyć poprzez kapitał, że wpływ wielkich prywatnych banków mógłby przynieść dobrobyt i ekspansję ekonomiczną, a także zapobiec wojnie i że pieniądze są potężniejsze niż państwa. Nie był jednak ani trochę romantyczny. Wiedział, że każda z Watsonowskich kłopotliwych operacji, na przykład w Egipcie albo w Turcji, gdzie za pośrednictwem

tamtejszego Banku Narodowego negocjował wiele umów własnościowych, była umacniana i gwarantowana kwotami znacznie przekraczającymi jego własne aktywa. Stała za nimi militarna i morska dominacja Imperium Brytyjskiego oraz zwyczajna groźba wobec wszystkich obcych rządów, że jeśli nie spłacą odsetek lub długów, w najlepszym razie zostaną one łagodnie, ale nieodparcie przejęte, a w najgorszym ostrzelane.

W sierpniu dowiedzieli się, że Jamie Arbuthnott zginął w Afryce Południowej zastrzelony przez jakiegoś burskiego snajpera w chwili, gdy zapalał fajkę. Jego matka z dziwnym spokojem opowiadała o tym Fionie Watson.

– Zapalił zapałkę i oni go zastrzelili. A ja nawet nie wiedziałam, że palił. Gdybym tylko powiedziała mu, żeby tego nie robił...

Effie przeplakała całą noc.

We wrześniu Robert zabrał Effie w jedną ze swoich podróży do położonego we wschodniej Szkocji miasta Perth. Jego stała sekretarka, wysoka, nieszczęśliwa dziewczyna z Cupar zachorowała po zjedzeniu nieswieżych omułek z cebulą. Udali się tam nowym samochodem Roberta, kremowym dwucylindrowym Albionem 12, którym wcześniej nauczył jeździć jednego ze swoich niższych rangą urzędników. Ten urzędnik był bystrym chłopcem, któremu brakowało dwóch przednich zębów, przez co w szczególny sposób gwizdał, ilekroć wypowiadał słowo zawierające dźwięk „s”. Effie czekając tego ranka obok samochodu przy Charlotte Square, elegancko ubrana w długi „samochodowy” płaszcz w walijską kratkę i kapelusz z szerokim rondem ozdobiony białą woalką, słuchała z zachwytem, jak recytował spis niezbędnego samochodowego ekwipunku.

– Jeden mały zestaw kluczy, jeden toporek z krótką rączką, co najmniej tyle zapasowych elementów porcelanowych, ile silnik ma cylindrów, jedno małe opakowanie surowej gumy, komplet pasków klinowych, nakrętki, podkładki do zamka, drewniane wkrety, gwoździe...

Robert wyszedł z domu, naciągając skórzane rękawiczki. Miał na sobie sięgający do kolan dwurzędowy płaszcz z brązowego tweedu, czapkę i gogle na wypadek kurzu na drodze.

– Jesteś gotowa? – zapytał Effie, pomagając jej usiąść na tylnym siedzeniu, które było równie szerokie i wygodne jak skórzana kanapa. – No dalej, Killin – rzucił urzędnikowi – jedźmy!

Ruszyli i z hałasem objechali dookoła Charlotte Square, zanim przez Dean Bridge skierowali się do Queensferry. Był przyjemny, wietrzny ranek z wysokimi obłokami mknącymi po niebie. Effie spojrzała na wąską kamienną fasadę domu spoglądającego na rzekę Water of Leith i pomyślała, jak się układa jej matce i Jamiemu Mc Farlane. Od czasu gdy wróciła z Londynu do Edynburga, matka nie powiedziała nic więcej o Gavinie McFee, ani o Jamiem czy szantażu. Rozmawiały ze sobą, ale już nie tak intymnie jak



przedtem, zanim wyjechała do Londynu. Effie dojrzała podczas pobytu poza domem: nie tylko dorosła, ale również się oddaliła. Widziała modę panującą na Bond Street i Regent Street, była adorowana przez Henry'ego Baeklandera. Zmieniła się, matka to czuła i nie mogła z nią rozmawiać w taki sam sposób jak dawniej. Przed jej wyjazdem do Londynu, gdy rozmawiały w sypialni przy kominku, matka głaskała ją po głowie. Od chwili gdy Effie wróciła, nie zrobiła tego ani razu.

Nie rozmawiała z Robertem, dopóki samochód nie został przewieziony promem przez zatokę Firth of Forth i nie wylądował w przystani North Queensferry. Odezwała się dopiero potem, gdy z bryzą wzniecającą kurz spod opon jechali powoli po nierównej drodze, która wiodła przez Inverkeithing do Masterton i Halbeath.

– Jestem zaskoczona, że kupiłeś samochód – powiedziała. – Zawsze mówiłeś, że są niedorzecznym pomysłem.

Robert poklepał ją po ramieniu.

– Bo są – odparł pobłaźliwie – ale czasy się zmieniają.

– Nie pozwoliłeś Dougalowi inwestować pieniędzy w samochody, a teraz sam kupiłeś sobie auto.

– Cóż – rzekł Robert – kierownictwo fabryki sprzedało mi je po bardzo rozsądnej cenie. Prawie darmo. Byłbym głupcem, gdybym nie przyjął. Nadal jednak podtrzymuję to, co wcześniej powiedziałem. Samochód nie jest pojazdem dla szerokich mas. Być może jedyną rzeczą, którą do niedawna niezupełnie rozumiałem, było to, że jest dość dużo ludzi z całkiem sporymi pieniędzmi, by uczynić z przemysłu samochodowego rozsądnie zyskowne przedsięwzięcie.

– Zainwestowałeś w samochodową spółkę „Albion”?

– Pożyczyłem im pieniądze, których potrzebowali, jeśli o to ci chodzi.

– Ale wcześniej tak twardo walczyłeś z Dougalem, który chciał to zrobić?!

Robert wzruszył ramionami.

– Człowiek robi to, co w danej chwili wydaje się najlepsze.

Effie zacisnęła usta i nie odpowiedziała. Wraz z wyjazdem Dougala zrozumiała, że jedynym sposobem, w jaki może się nauczyć bankowości, jest obecność przy Robercie. Przyjdzie czas, gdy będzie mogła powiedzieć Robertowi, co o nim myśli. Wciąż go kochała jako brata, a jego chępliwy brak współczucia wiązała raczej z niecierpliwym żalem niż z rzeczywistą niechęcią.

Z Dougalem łączyła ją serdeczna więź i nadal za nim tęskniła, ale wiedziała, że musiał dostać trudną i bezwzględną lekcję biznesu, w którym tkwił: żeby nigdy nie ufać nikomu, szczególnie takim wygadanyim rozmówcom jak Jack Cutting. Nie opowiedziała Robertowi o tym, co wydarzyło się w Londynie i przyrzekła sobie, że nigdy tego nie zrobi. Robert

miał niemiły zwyczaj triumfowania nad każdym, kto starał się być pomysły i komu się nie udało, więc nie chciała sprawiać mu przyjemności informacją o powodach, dla których Dougal tak nagle wyemigrował do Ameryki.

Robert był hałaśliwy, władczy i niekiedy szorstki. Potrafił dodawać w pamięci kolumny trzycyfrowych liczb, ale nie znał żadnego wiersza z wyjątkiem niedorzecznej rymowanki Williama McGonagalla o ptaszkach. Widział świat wyłącznie w kategoriach pożyczek, inwestycji, obligacji, oprocentowania i gdyby ktoś podsunął myślenie, że kraje słabo rozwinięte mogłyby być duchowo poniżone przez finansową eksploatację, byłby zarówno obrażony, jak i zraniony. Odrzuciłby też zasadniczy argument, że politycznie niebezpieczne dla bankierów było pożyczanie tak znacznych kwot Rosji i Japonii oraz Stanom Zjednoczonym, które mogły uzyskać niezależność ekonomiczną. Wszelka przedsiębiorczość była zdrowa, a wszelka rywalizacja godna podziwu. Nie rozumiał, że zawiązanie finansowych ambicji państw od niedawna niezależnych szybko stwarzało takie napięcia, które mogły prowadzić do wojny. Japonia w ciągu dwóch dziesięcioleci stała się znaczącą potęgą przemysłową i militarną, jej koleje, fabryki i siły zbrojne były niemal całkowicie sfinansowane przez bankierów brytyjskich. Niedawno uprzemysłowione Niemcy poza granicami reprezentowane przez cztery „banki D” – Deutsche Bank, Dresdner Bank, Darmstädter Bank i Diskonto – inwestowały znaczne środki w amerykańskie rolnictwo i południowoafrykańskie złoto, rozszerzając przy tym swoje finansowe i polityczne wpływy w Chinach, Turcji i północnej Afryce, zagrażając w ten sposób szansom Imperium Brytyjskiego. Francuzi, zobligowani sojuszem francusko-rosyjskim, pompowali pieniądze w rosyjskie fabryki i siły zbrojne i właśnie te pieniądze pomogły zbudować kolej transsyberyjską wiodącą z Paryża do Władywostoku.

Robert, podobnie jak wszyscy porządni bankierzy europejscy, był bezwarunkowo przekonany o niepowstrzymanym wzroście finansowego kapitału. Wyznawał dynamiczne, agresywne inwestowanie i ani przez chwilę nie przychodziło mu do głowy, że rywalizacja między krajami kapitalistycznymi musi nieuchronnie doprowadzić je na pole bitwy.

Effie nie rozumiała tych finansowych trzęsień ziemi. Jeszcze ich nie rozumiała. Robert powiedział, że zirytował go Deutsche Bank sposobem, w jaki sfinansował bagdadzki szlak kolejowy przez Turcję i otworzył drzwi dla niemieckich interesów na Bliskim Wschodzie. Z suchych tendencyjnych zestawień na łamach lokalnego dziennika „The Scotsman” wyłuskała wiadomość, że Brytyjczycy byli zobowiązani pożyczać pieniądze z Nowego Jorku, żeby pomóc sfinansować wojnę burską. Któż mógł jednak przewidzieć, obserwując to głęboko skrywane zachwianie finansowej równowagi, że wojna była jedynym możliwym zyskiem i że najwyższe odsetki rychło miały

wydawać się niczym w porównaniu ze stratą miliona istnień ludzkich i ruina europejskiej gospodarki?

Robert rozmawiał o bankowości przez całą drogę do Perth. – To cię interesuje, prawda? – zapytał, gdy tam dotarli. – To gadanie o pieniądzach?

– To przecież rodzinny interes – odparła.

– Nie, to coś więcej – rzekł Robert. – Słuchasz naprawdę uważnie.

Effie wzruszyła ramionami.

– Przyjemny stary kościół – powiedziała, gdy tuż przed obiadem wjechali do centrum miasta. Niebo było teraz szare i w powietrzu czuło się deszcz.

– To kościół pod wezwaniem Świętego Jana – rzekł Robert. – John Konx wygłosił tu kiedyś kazanie o kościelnym bałwochwalstwie, a księżę Charlie „Miły” przychodził tu na msze. Jeśli spojrzysz w dół, zobaczysz Curfew Row, dzielnicę, w której mieszkała bohaterka powieści sir Waltera Scotta.

Podjechali pod stary hotel „Salutation”, gdzie mieli zjeść obiad w towarzystwie pewnego tutejszego właściciela nieruchomości. Uprawiał truskawki w Carse of Gowrie, na płaskim jałowym pasie ziemi między Perth i Kinross na północ od rzeki Tay, i potrzebował pieniędzy na powiększenie swego przedsiębiorstwa przetwórstwa owoców. Gdy Robert pomagał Effie wysiąść z samochodu, zaczął padać deszcz, a jego duże ciemne krople plamiły trotuar i bębniły o dach.

Obiad przebiegał spokojnie i niespiesznie w ciemnej sali hotelu, gdzie zegar tykał powoli, a przed kominkiem przeciągał się stary labrador. Zjedli marynowane śledzie i pieczoną sarninę. Światło wpadające przez małe okna z szybkami w ołowianych ramkach miało szczególnie szarą barwę. W latach, które miały nadejść, Effie często przyszło wspominać to popołudnie w 1901 roku i pełne charakteru dłonie plantatora truskawek spoczywające na stole obok srebrnych pojemników na musztardę z całą wyrazistością i wymową rysunku Leonarda da Vinci.

– Dobrze wyjdziemy na tych owocach – zapewniał Roberta. – W przyszłym roku zrobię z nich pańskiej siostrzyczce prezencik. Więcej truskawek niż zdoła zjeść.

– Jak pan osłoni swoją uprawę przed ptakami? – zapytała Effie. – Jak ją pan ubezpieczy na wypadek nieurodzaju lub deszczowego lata? A co z chorobą pleśniową?

Plantator truskawek spojrział na Roberta ze zdumieniem. Robert zaś, zadowolony, odchylił się na krześle tak, że podbródek oparł mu się na kołnierzyku.

– Proszę odpowiedzieć, jeśli łaska, panie Graeme. Co z chorobą pleśniową?

W drodze powrotnej do Edynburga, gdy jechali przez Blairadam Forest

pod chmurami, które wisiały nisko, nabrzmiałe wilgocią i szare jak macica perłowa, Robert wybuchnął śmiechem.

– O co chodzi? – zapytała Effie.

– Twarz tego jegomościa, gdy zapytałaś go o chorobę pleśniową! Próbował traktować cię jak dziecko, a ty wiedziałaś o uprawie truskawek tyle co on! To mi się podobało!

– Wczoraj wieczorem zajrzałam do encyklopedii – odparła Effie. – Truskawki nękanie są wszystkimi rodzajami chorób i zjadane przez ślimaki, ale szara pleśń jest najgorsza.

Robert sięgnął po wrzosową fajkę. Effie nigdy wcześniej nie widziała go palącego. Pulchnym palcem uderzył w fajce tytoń, a potem mocno zacisnął ją między zębami.

– Mam pewien pomysł – powiedział. – Dlaczego nie miałabyś pracować dla mnie w banku jako moja asystentka? Jesteś naprawdę zdolna i lubisz pracować z pieniędzmi. Oszczędzi ci to kłopotów, zanim spotkasz mężczyznę, którego zechcesz poślubić.

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wyszła za mąż – odparła Effie.

– Nie mów głupstw! Taka londyńska eleganka jak ty?!

Effie się roześmiała, ale jej śmiech nie trwał długo. Pomyślała o Henrym Baeklanderze całującym jej usta i dotykającym piersi. Teraz czuła do niego jakąś słodką, smutną serdeczność; to było wszystko, co pozostało. On nigdy się nie dowie, czym było dla niej wysłanie Dougala na pokład „Excelsiora” zamiast własnego przybycia tam tego dnia. Jednak „Excelsior” był także próbą jej siły, kuszącą pułapką mającą powstrzymać ją od zrobienia tego, co naprawdę desperacko pragnęła zrobić.

Gdyby była trochę starsza i miała trochę więcej doświadczenia z mężczyznami, może by pojechała. Jednak Henry nie docenił jej niewinności i jej sztywnego edynburskiego wychowania. W jego świecie miarą moralności była jedynie ilość posiadanych pieniędzy. W świecie Effie określała ją Biblia, Kościół i jej własne niedoświadczenie. Poza tym Effie bardzo dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że jej matce wczesne małżeństwo przyniosło jedynie rozpaczkę, a całej rodzinie Watsonów niezadowolone. Tylko Robert wydawał się szczęśliwy. Szczęśliwy, niewzruszony i zadowolony z życia.

– A ty się ożenisz? – zapytała go. – Chyba nadszedł już czas. Masz dwadzieścia dziewięć lat. Wkrótce będziesz starcem bez żony, która by o ciebie dbała.

Robert zapalił fajkę i wyrzucił zapalniczkę z samochodu. Dojeżdżali do Hill of Beath i dwucylindrowy silnik albiona zaczął pracować z wysiłkiem. Jakaś leciwa kobieta w szarym szalu krzyknęła ku nim coś, gdy przejeżdżali obok. To mogło być słowo „mahoun” czyli „szatan”, ale bez względu na to, co zawołała, albion odpowiedział jej doniosłym strzałem gaźnika, który sprawił, że rzuciła się do ucieczki, wymachując koszykiem.

– Ożenię się w odpowiednim czasie – powiedział Robert, splatając ręce na wydatnym brzuchu, po czym spojrział kątem oka na Effie i dodał: – Muszę tylko znaleźć sobie damę równie ostrą jak ty.

## 34

Gdy dotarła do domu przy Charlotte Square 14, był wigilijny wieczór i padał śnieg. Plac przybrał wygląd błyszczącej karty świątecznej, a w powietrzu unosił się zapach dymu i pieczonych kasztanów. W kościołach na wzgórzu dzwoniły dzwony, a na Queen Street słychać było dzieci śpiewające kolędy. Magiczny czas tradycji, whisky, puddingu, spotkań z przyjaciółmi i wszechogarniającej uczuciowości.

Pani McNab otworzyła drzwi.

– Tak...? – zapytała, ale to pytanie właściwie nie było konieczne. Był tylko jeden powód, dla którego śliczna dziewczyna mogła zjawić się w drzwiach zacnego domu w wigilijny wieczór, niosąc w faldach długiej peleryny z granatowego aksamitu dzieciątko otulone wełnianym szalem. Całkiem rozbudzone maleństwo płakało.

– Nazywam się Prudence Cutting – nieco ochryple odpowiedziała dziewczyna. – Szukam Dougala Watsona.

– Proszę wejść, proszę – przejęła się pani McNab. Wprowadziła Prudence do holu i zabrała z progu jej duży sakwożaż. Potem porządnie zamknęła drzwi przed śniegiem i zaciągnęła grubą wełnianą zasłonę uszczelniającą. – Nie powinna się pani błąkać w przedświąteczny wieczór z dzieckiem na rękach. Skąd pani przyjechała?

– Z Londynu. Pociągiem o siódmej.

– Z Londynu! Cóż to za pora na podróżowanie! Proszę spojrzeć na dziecko. Takie maleństwo! Czy to chłopczyk? Ma płuca chłopca.

Prudence zsunęła z głowy kaptur peleryny. Była bardzo blada, a pod oczami miała cienie zmęczenia.

– Czy zastałam Dougala? – zapytała. – To właściwy adres, prawda? Dom państwa Watsonów?

– Tak – odparła pani McNab – ale Dougala tutaj nie ma. Od dobrych jedenastu miesięcy jest w Ameryce.

– W Ameryce? – spytała Prudence słabym głosem.

– Proszę usiąść na chwilę – powiedziała pani McNab. – Pozwoli pani, że wezmę dziecko. To chłopiec, prawda? Jak ma na imię?

Prudence nie oddała dziecka, ale z wdzięcznością usiadła na stojącym w holu jakobińskim krześle z wysokim oparciem. Lekko rozchyliła szal, który otulał dziecko, tak iż pani McNab zobaczyła śliczne złociste loczki, a potem oswobodziła jedną pulchną rączkę, która radośnie zamachała w powietrzu.

– Nosi imiona William Albert – powiedziała, podnosząc oczy pełne łez  
– Nie przyszło mi do głowy, jak jeszcze mogłabym go nazwać.

– Proszę zaczekać – rzekła pani McNab – zobaczę, czy pani Watson jest na dole. Wyda się pani bardzo sympatyczna. Proszę zaczekać tutaj przez chwilę, a ja się dowiem co i jak...

Jednak w tym momencie po schodach zbiegł Robert.

– O co chodzi? – znalazłszy się w holu, pytał panią McNab, jednocześnie szarpiąc mankiety, aby je wyprostować. – Goście w wigilijny wieczór?

– Przyjechała, żeby się zobaczyć z panem Dougalem – wyjaśniła pani McNab. – Powiedziałam, że pan Dougal przebywa w Ameryce i właśnie szłam po pańską matkę.

– Cóż, dobrze... – rzekł Robert, zmierzając przez hol ku Prudence. – Kim pani jest, jeśli wolno spytać?

Prudence spojrzała lekko na panią McNab, ale pani McNab uśmiechnęła się i skinęła głową, by ją upewnić, że wszystko w porządku.

– Nazywam się Prudence Cutting, sir. To jest moje dziecko.

– Jest pani Angielką – rzekł Robert.

– Przyjechałam dzisiaj z Londynu. Miałam nadzieję zastać Dougala.

– Ach, tak? No cóż, jestem bratem Dougala. Starszym bratem, oczywiście. Bardziej rozsądnym. A kim jest ten chłopczyk?

– Moim dzieckiem.

– To widzę – powiedział Robert z tym znaczącym uśmiechem, jaki komediowi aktorzy zachowują dla mniej rozbawionej publiczności – ale dlaczego, pokonując przeszło sześćset kilometrów, przywiozła je pani w wigilijny wieczór, żeby zobaczyć Dougala? Czyż to nie dziwne, a może ja czegoś nie rozumiem?

Dziecko trzymało Prudence za palec.

– Nosi imiona William Albert – powiedziała.

– William na cześć „Zdobycy” i Albert na cześć księcia Alberta?

– Tak, chyba tak – rzekła Prudence i znów okryła główkę dziecka.

Robert przemierzał hol. Jego skórzane wieczorowe buty stuknęły na parkiecie i milkły na dywanie. Prudence wodziła za nim oczami, a pani McNab nerwowo mięła fartuch. Takie napięcie było czymś, z czym Robert bardzo dobrze sobie radził. Było całkiem oczywiste, dlaczego Prudence przyjechała akurat tego wieczoru, a jednak kazał jej cierpieć, zanim sprawił, że wyznała prawdę. „Wina innych ludzi nie ma nic wspólnego ze mną” – zwykł mawiać, a jednak miał szczególny talent do wprawiania swych pracowników w poczucie winy i do maksymalnego wykorzystywania owej winy. Jeden z jego urzędników przeżył trzy dni rozpaczliwego strachu, ponieważ użył papieru firmowego, aby napisać do swojej matki w Fife. Wreszcie pochylił się nad Prudence.

– Nie dostaniesz żadnych pieniędzy od tej rodziny, moja droga. Żad-

nych. Myślę, że powinienem wyjaśnić tę kwestię na początku.

Prudence przełknęła łzy. Robert wyprostował się i uśmiechnął promiennie.

– Przypuszczam, że będziesz chciała mleka dla dziecka?

– Karmię go sama, sir.

– Ach, karmisz go sama. Piersią – dodał z wyraźną ulgą. – Cóż, zawsze pochylałem karmienie piersią. Pani McNab znajdzie ci jakiś wolny pokój, w którym będziesz mogła nakarmić ku zadowoleniu swego serca. Przypuszczam, że będziesz próbowała twierdzić, iż to jest dziecko Dougala?

– Słucham?

Robert spojrział na nią, zmarszczywszy brwi. Zanim się ubrał, wypił szklaneczkę starego porto, co w połączeniu z gorącą kąpielą nadało jego twarzy kolor wędzonego szkockiego łososia.

– ...dziecko Dougala – powtórzył, wskazując maleństwo. – Próbujesz dać do zrozumienia, że to jest dziecko Dougala.

Prudence wyglądała na zgubioną.

– Niczego nie próbuję dać do zrozumienia, sir. To jest dziecko Dougala. To musi być dziecko Dougala. Z nikim innym nie byłam tak blisko.

– Ho, ho, ho! Tak blisko! – oponował Robert. – Słyszysz pani, pani McNab? Blisko! Cóż, moja droga, wiem wszystko o takich młodych damach jak ty i o waszej „bliskości”. Przyjmij więc do wiadomości ode mnie, że nie dostaniesz od nas żadnych pieniędzy! Udzielimy ci schronienia na tę noc i zapewnimy, że twoje dziecko spokojnie spędzi Boże Narodzenie, ponieważ jesteśmy przyzwoitymi ludźmi, ale drugiego dnia świąt znajdziecie się w pociągu do Londynu, skąd pochodzicie. I nie będzie co do tego żadnych wątpliwości!

Z biblioteki wyłonił się Thomas Watson. Wydawał się zmęczony, a w ręce miał książkę o Turcji. Jego bank miał tam jakiś problem, szczególnie z niemieckim Deutsche Bank i nawet z francuskim Credit Lyonnais.

– Co to za hałas? – chciał wiedzieć. – Kto to jest? Pani McNab, czy to jest niemowlę?

– Tak, panie Watson – odparła pani McNab. – Chyba będzie lepiej, jeśli poproszę tutaj panią.

Thomas Watson zatrzymał się w miejscu, w drzwiach biblioteki. Wyglądał jak człowiek, który o czymś zapomniał. Nie było to nic ważnego, ale czasem nurtowało go i budziło w środku nocy, a wtedy wpatrywał się w ciemność i zastanawiał, dlaczego się urodził w tym przerażającym i dziwnym świecie i jakie znaczenie miało jego życie. Jego ojciec był bankrutem, on ze strachu został milionerem. Matka już dawno zniknęła z jego pamięci niczym duch. Pamiętał, jak rozwieszała pranie: drewniane klamery do bielizny przypominały małych ludzi; małych szczęśliwych ludzi, myślał zawsze, z jakiegoś powodu. Żona, wiedział o tym, nie kochała go. Leżała

obok, śpiąc, podczas gdy on leżał z otwartymi oczami. Jak mogła spać, nie kochając go? Każdy pocałunek, którym ją obdarzał, odbierała, jakby to był zimny okład z siemienia lnianego. Nie czuły i nie podniecający, ale niezbędny dla jej dobra. Tydzień po wyjeździe Effie i Dougala do Londynu spojrział w wiszące w jego garderobie lustro i zobaczył w swojej twarzy coś, czego nie mógł zrozumieć: jakąś bladość, jakby gwałtownie odpłynęła z niego krew. Był zmęczony, stwierdził, że od bardzo dawna trudno mu się koncentrować i niemal się nie śmieje. Kiedy ostatnio się śmiałem? pytał swego odbicia w lustrze.

Z salonu wyszła Effie z jaśniejącą twarzą. Miała na sobie długą, białą wieczorową suknię, przewiazaną z przodu efektowną wstęgą białych organdykowych lilii. Włosy upięte do góry w stylu dziewcząt z rzeźb Gibsona ozdobiła trzema kolejnymi białymi liliami.

– Robercie, musisz zobaczyć choinkę! Zapaliłyśmy wszystkie świece i wygląda cudownie! – wołała, po czym nagle, gdy Robert zrobił krok wstecz, ujrzała Prudence. – Panna Cutting! – powiedziała – Ale co pani tutaj robi?

– Och, panno Watson – wykrzyknęła Prudence. – Dzięki Bogu, że pani tutaj jest. Próbuję znaleźć pani brata.

Effie przyklękła obok niej i dotknęła główki niemowlęcia.

– Czy to pani dziecko?

– Moje i Dougala – skinęła głową Prudence. – Pani wie, że w Londynie byliśmy kochankami. Jednak potem Dougal zniknął, a bank nie poinformował mnie, gdzie on jest. Jack zaś najpierw oczywiście znalazł się w szpitalu, a później musiał uciekać do Holandii, ponieważ poszukiwała go policja.

– Jack był w szpitalu?

– Został pobity przez jakichś ludzi. Nie wiem dlaczego. Nawet on sam nie wiedział. Pozbawili go słuchu w jednym uchu i wybili mu zęby. Jack teraz kuleje.

– Dougal wyjechał do Nowego Jorku – wyjaśniła Effie. – Zaproponowano mu pracę w Baeklander Trust i przyjął tę ofertę. Pisuje dość regularnie i prosił, abym nawiązała z panią kontakt i powiedziała pani, gdzie teraz przebywa, ale nie miałam pani adresu. Wysłałam list na adres pani brata w banku, ale chyba go pani nie otrzymała.

– Nie – odparła Prudence, w której niewiele zostało z tej aroganckiej londyńskiej dziewczyny, niegdyś tak narzekającej na wycieczkę do Greenwich i irytującą siostrę Dougala. Chociaż jej strój był wciąż elegancki i modny, wydawała się wyczerpana tym bezbrzeżnym zmęczeniem, które było spowodowane trzykrotnym budzeniem się w ciągu nocy, żeby piersią nakarmić dziecko, a także brakiem kogoś do pomocy i kogoś, z kim można porozmawiać.

– Jak temu maleństwu na imię? – zapytała Effie.



– William Albert. Nie sądzi pani, że wygląda jak Dougal? Te kręcone złociste włoski.

– Chce pani powiedzieć, że...?

– Tak – odparła Prudence zmęczonym głosem, ale z wyraźnym triumfem. – To pani bratanek.

– Wierzysz w to, Effie? Naprawdę sądzisz, że to syn Dougala? – pytał Robert.

Effie się podniosła.

– Nie mam powodu, żeby w to wątpić. Dougal był w Londynie bardzo związany z panną Cutting.

Robert odsunął poły fraka, włożył ręce do kieszeni i uważnie przyjrzał się Williamowi Albertowi.

– Silny i ładny chłopak. Powiedziałbym, że po nim.

Thomas Watson upuścił książkę, więc pani McNab zakrzętała się, żeby mu ją podać.

– Z pewnością jest pan zmęczony, sir. Pracuje pan okropnie ciężko. Czemu nie usiądzie pan przy choince? Może przyniosę panu jakiś rozgrzewający napój? Trochę mleka, whisky i gałka muszkatołowa.

– Dobrze – odparł Thomas Watson – ale co my zrobimy z tym osekiem?

Robert ujął rękę Prudence.

– Nie martw się, ojczu. Możemy dać pannie Cutting ten maleńki pierwiosnkowy pokój w głębi domu, a Russel przyniesie stare dziecinne łóżeczko. Wszak mamy Boże Narodzenie, czyż nie? A panna Cutting przebyła tak długą drogę. Pani McNab przygotowuje jakąś zupę i nakarmimy pannę Cutting. Jeśli to jest syn Dougala, witamy tutaj zarówno jego, jak i panią, panno Cutting.

Prudence, trochę zdezorientowana nagłym entuzjazmem i gościnnością Roberta, była tak zmęczona, że pozwoliła, aby wziął jej pelerynę i podała dziecko pani McNab, pozwalając zaprowadzić się na górę.

– Dziękuję – zwróciła się do Thomasa Watsona. – To bardzo uprzejme z pana strony, że mnie pan przywitał.

Thomas Watson odwrócił wzrok, jakby jej nie słyszał.

– Proszę za mną – powiedziała pani McNab. – Pokażę pani pokój. Effie, kochanie, czy zechcesz być tak uprzejma, by przywołać Russela i powiedzieć, że jest potrzebny do naprawienia łóżeczka?

– Oczywiście – odparła Effie.

Robert stał w holu, obserwując, jak wychodzi, a potem poprawił mankiety i chrząknął żartobliwie.

– Cóż, ojczu – rzekł – a to ci dopiero!

– A dlaczego jesteś taki rozanielony? – zapytał ojciec. – Wręcz wniebowzięty?

– Och, zawsze myślę, że święta to czas dla małych dzieci – odparł Robert. – Co to za Boże Narodzenie bez dzieciątka w domu?

Thomas Watson wyjął chusteczkę i głośno wytarł nos.

– Coś ci chodzi po głowie, Robercie, mój synu. Nie wiem co, ale ta dziewczyna podsunęła ci jakiś pomysł. Przez wzgląd na nią mam nadzieję, że to szlachetna myśl, a nie jeden z twoich śliskich zamiarów.

Robert podszedł do ojca i objął go ramieniem.

– Nie sądzisz, że mogę być miłosierny i spełnić akt dobroczynny w porze świąt Bożego Narodzenia?

Thomas Watson spojrział na syna i pomyślał: „Jakże jesteś antypatyczny i jak bardzo podobny do mnie”.

– Nie wiem – odpowiedział swemu pierworodnemu. – Nie znam się na dobroczynności. Minął rok, niemal rok, od śmierci królowej i wszystko się zmieniło. Nie czujesz tych zmian?

– Mamy w tym roku większy zysk – rzekł Robert.

Przeszli do salonu. W palenisku wysoko ułożono polana, które trzaskały i pękały. Kominiek zaś oraz listwy służące do wieszania obrazów ozdobione były gałązkami ostrokrzewu i paproci, a z sufitu zwisały gwiazdki i migotliwe świecidełka z kolorowego szkła, jednak najwspanialsza była świąteczna choinka pachnąca sosnową żywicą, ozdobiona białymi kręconymi świeczkami i połyskująca srebrzystą lametą. W domu państwa Watsonów tradycją stało się wieszanie na choince domowych irysków w kształcie serduszka aromatyzowanych goździkami, miętą, cytryną, imbirem i cynamonem.

– Boże Narodzenie... – rzekł Thomas Watson dziwnym tonem, jakby właśnie przypadkowo odkrył, jaka jest pora roku, a potem ściskając rękaw Roberta między kciukiem a palcem wskazującym i prowadząc go w stronę kominka, zapytał bardzo cicho: – Czy sądzisz, że twoja matka jest szczęśliwa?

– Czy jest szczęśliwa, ojcze? – Robert spojrział na niego uważnie.

– Tak, czy uważasz, że jest zadowolona?

– Nie widziałem w niej niczego, co kazałoby mi myśleć, że jest inaczej – rzekł Robert.

– Hm... – odparł ojciec, spoglądając w ogień.

Właśnie wtedy weszła Effie.

– Ten chłopczyk jest śliczny! Cóż to za gwiazdkowy prezent!

– Śliczny czy nie – powiedział Thomas Watson – pochodzi z nieprawego łoża. Nie może rościć sobie żadnych praw... nawet jeśli naprawdę jest synem Dougala.

– Och, dajże spokój, ojcze, jesteś taki surowy – odpowiedział Robert. – Przecież to tylko mały chłopczyk. Nie możesz go poniżać. Trudno też krytykować Dougala za jego upodobanie do młodych dam, nieprawdaz?

W sposobie, w jaki Robert uśmiechnął się do Effie, było coś, co przeszło ją gwałtownym, zimnym dreszczem. Chociaż on tylko się uśmiechał i wznosił pogodny okrzyk, ona doznała lodowatego uczucia, że obmyślił już jakiś misterny sposób, w jaki mógłby obrócić zjawienie się Prudence w ich progu na swoją osobistą korzyść.

Pracowała z Robertem od niemal dwóch miesięcy, przychodząc do banku we wtorkowe, czwartkowe i czasami w piątkowe popołudnia, pomagając mu organizować służbowe wizyty i podejmując klientów, gdy spóźniał się na spotkania. Dowiedziała się, jaki był sprytny, gdy chodziło o bankowe wyciążi i zaczęła doceniać jego wyjątkowy talent do takiego aranżowania wydarzeń, aby w ciągu tygodni, a nawet miesięcy, powoli, stopniowo ułożyły się na korzyść banku i ku jego ewentualnemu zyskowi. Był dla wszystkich uprzejmy, często wesoły i chociaż miał dopiero trzydzieści lat, lubił odgrywać rolę dobrotliwego wujaszka. Niektórzy z mniej zadowolonych pracowników nazywali go „Wujem Bobem”, inni „Bobem Bumem”. Bumem był ktoś, kto bumelował; niepracujący darmozjad.

Nie w pełni ufała Robertowi, ale poza tym nie wierzyła, by kiedykolwiek mógł zrobić coś naprawdę złego. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógł pozostawać w bliskim kontakcie z Malcolmem Cockburnem w czasie, gdy toczyła się sprawa pożyczki na budowę Kolei Wschodnioafrykańskiej, ani że panowie Snetterton i Plant mogli być jego dawnymi przyjaciółmi z Banking & Colonial Club. Nigdy też nie przemknęło jej przez myśl, że Robert mógł zaaranżować to całe oszustwo jako sposób na szybkie i trwałe pozbycie się młodszego brata i wysłanie go albo do więzienia, albo do Australii, i że tylko jej przypadkowe spotkanie z lordem Rethesdale oraz ciągle wtrącanie się w sprawy Dougala ocaliło go przed pewnym aresztowaniem, nieuniknioną hańbą i prawdopodobnym zesłaniem. Dougal pisał: „*Miewam się dobrze w Nowym Jorku, chociaż wciąż tęsknię za Tobą i za Prudence. Henry pyta o ciebie nieustannie; kiedy przyjedziesz, pyta, a ja stale go zwozdę, mówiąc, że niebawem*”.

Effie nigdy nie pomyślała, że Jack Cutting, i tak będąc bliski zwolnienia z Watson's Bank za lenistwo i bezczelność, mógł być opłacony za wplątanie Dougala w sprawę Kolei Wschodnioafrykańskiej i że sama Prudence mogła przyjąć przynajmniej dwadzieścia funtów za zdobycie uczuć Dougala. Zakończony młody człowiek traci umiejętność krytycznego myślenia w najprzyjemniejszy możliwy sposób i nie zdaje sobie sprawy, że własny brat może po cichu aranżować jego zesłanie.

Poza tym było Boże Narodzenie. Dom był ciepły i jasny, a wesoły i wspinałomyślny Robert kupił całej swojej rodzinie najcudowniejsze prezenty. Dla matki diamentowo-rubinową broszkę od Cartiera, dla ojca oprawny w skórę wieloryba egzemplarz dzieła Darwina „O powstawaniu gatunków” (choć nie zdradził, że jedyna wielorybia skóra nadająca się na oprawę

książek pochodzi z jego penisa), dla Effie zaś mały złoty zegarek przypinany do bluzki z mechanizmem zbudowanym z dwóch miniaturowych emaliowanych figurek, które wybijały godziny młoteczkami.

Nie, Roberta przepełniała radość i nawet matka Effie musiała przyznać, że jego dobry nastrój uczynił tę Wigilię jedną z najprzyjemniejszych, jakie pamiętała (zeszłoroczna minęła na kłótniach i skończyła się tragicznie).

- Dziękuję, Robercie – powiedziała Effie, całując brata pod jemiola.
- Za co? – zapytał, śmiejąc się i mocno trzymając ją w objęciu.
- Za to, że jesteś dobrym bratem.

Robert nie odpowiedział, ale ponownie ją pocałował, tym razem w czoło, podczas gdy Fiona Watson zaczęła śpiewać starą angielską kolędę.

- Dzięki – rzekł Robert.

## 35

Tamtego wieczoru Prudence została na noc i rano poszła z nimi do katedry St Giles na bożonarodzeniową mszę, powierzając małego Williama Alberta opiece pani McNab. Śnieg padał przez piętnastowieczną iglicę w kształcie korony, która wieńczyła świątynię, i wirował na High Street. Leżący poniżej skały Edynburg zdawał się wyblakłym wspomnieniem o samym sobie, miastem ciszy i wież.

Właśnie wtedy, gdy wracali do rodzinnego powozu, zjawił się Gavin McFee, torując sobie drogę przez odświętnie wystrojony tłum. Odziany w połatany szary pled i ośnieżony kaszkiet, nosił też kilt w barwach wojennych rodu MacDonald i trzy czy cztery pary dziurawych skarpet włożonych jedna na drugą.

Effie poznała go natychmiast i szybko obróciła się ku matce, która wyglądała na wstrząśniętą i zaczęła gorączkowo przyspieszać kroku w stronę powozu.

– Chyba się nie ścigamy, nieprawdaż, moja droga? – powiedział Thomas Watson i sięgnąwszy po jej rękę, zmusił żonę, by zwolniła.

Gavin przystanął, uśmiechając się szeroko, gdy rodzina Watsonów podeszła bliżej. Nie powiedział ani słowa do chwili, gdy go już prawie mijali i dopiero wtedy odezwał się spokojnym głosem.

– Pani Watson! – powiedział.

Fiona Watson udała, że nie słyszy, ale Thomas zatrzymał żonę w miejscu.

– Zaczekaj, moja droga. Kim jest ten chłopak? Zawołał cię po nazwisku.

Gavin McFee zrobił krok lub dwa do przodu. Stał zaledwie kilkanaście centymetrów od Effie, tak że mogła poczuć odór domowej whisky w jego oddechu i zobaczyć wągry na kościach policzkowych. Przeraziła się i było

jej niedobrze, więc wyciągnęła dłoń w stronę Roberta, który chwycił ją za rękę, a następnie ruszył do przodu tak, aby móc stanąć opiekuńczo u boku matki.

– Jamie McFarlane przesyła pani najserdeczniejsze życzenia świąteczne – rzekł Gavin McFee, spoglądając zapuchniętymi, małymi, przebiegłymi oczami. – Jamie McFarlane mówi, że mu przykro, iż nie może być tutaj dzisiaj z panią, ale życzy pani i pani... reformom najwspanialszych świąt.

Thomas Watson spojrział na swoją żonę z takim osłupieniem, jakby rzuciła głośne przekleństwo. Wąsy mu się zjeżyły, plecy zeszywniały, a cylinder zamigotał śnieżnymi płatkami.

– Co to jest?! – żądał wyjaśnień. – Co to znaczy?!

– Niech pan zapyta swoją żonę, panie Watson – powiedział Gavin McFee. – Niech pan zapyta żonę o Jamiego McFarlane'a i o te wszystkie chwile spędzone przy Water of Leith. Ja bym to zrobił, gdybym był na pańskim miejscu.

O Boże, nie zapłacili mu, pomyślała Effie, próbowali go zmusić do wyłożenia kart, a to on zmusił ich! O Boże, mammo!

– Z drogi, łobuzie – krzyknął Robert – albo połamię ci szczękę!

– Tylko spróbuj, brzuchaty głupku – prowokował go Gavin. – Nie sądzisz, że raczej szczęką Jamiego McFarlane'a powinieś się zając za to całe bzykanie z twoją matką?

Robert prawą ręką chwycił Gavina za okrycie, a lewą wymierzył chłopakowi cios prosto w twarz. Dał się słyszeć głośny trzask, z jakim pękła chrząstka w nosie Gavina, który gołymi kolanami upadł na pokryty śniegiem bruk, rozpryskując wokół siebie krew.

– A teraz zabieraj się stąd i nie denerwuj przyzwoitych ludzi! – rzekł Robert. – Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, to z bożą pomocą połamię ci wszystkie kości!

Gavin McFee stał w miejscu, milcząc i mrugając oczami, z czerwoną strużką krwi spływającą z górnej wargi. Robert zaprowadził matkę, ojca, Effie i Prudence do powozu i polecił Russelowi możliwie najszybciej wracać na Charlotte Square.

W drodze powrotnej Thomas Watson siedział pogrążony w kompletnym milczeniu. Gdy Fiona położyła na jego ręce swoją dłoń w liliowej rękawiczce, nie skwitował tego ani uściśnięciem, ani odsunięciem. Kiedy zaś dojechali do domu, wszedł od razu na piętro do swojego gabinetu. Fiona została w holu, pytając panią McNab, jak postępuje przygotowanie świątecznej gęsi i jak William Albert bawił się zabawkami, które znaleziono dla niego na strychu; grzechotką z kości słoniowej i osobliwie zieloną szmancianą lalką, którą Stuart McKay przysłał z tropików, ale było oczywiste, że ogarnął ją popłoch, że jej starannie wyważone życie chwieje się niczym bączek, który uderzył w nogę krzesła i kręci się na podłodze w ostatnich

spazmach słabnącego impetu, gdy nie zostaje już nic oprócz trudnej sytuacji, właśnie w tym świątecznym dniu.

Effie próbując ją pocieszyć, chciała wziąć matkę za rękę, ale Fiona Watson starała się pokazać wszystkim, że ma się dobrze i wcale nie jest zdenerwowana. Cóż złego mogło się stać? Czym miałyby się przejmować? Jakimś łobuziakiem, który podszedł do niej po mszy i oskarżył o złe prowadzenie, o niegodną bliskość z kimś, kto nazywał się Jamie McFarlane?! Cóż za niedorzeczny pomysł!

Problem tkwił w tym, że wszystko było skończone. Musiało się skończyć. Teraz już nigdy nie będzie mogła się spotkać z Jamiem McFarlane'em. Właśnie wtedy, gdy starała się być szczęśliwa i świętować z rodziną, zawałiła się najważniejsza część jej życia i nie pozostało jej oczekiwać w nowym roku niczego więcej oprócz kłótni, bólu i goryczy cierpienia.

Próbowała udawać, dzielnie obwiązała się fartuchem, aby pomóc pani McNab w przyrządzeniu kasztanowego farszu. Kiedy jednak weszła do salonu, aby spełnić toast wierności za Szkocję i za króla Edwarda, Effie dostrzegła z bezradną rozpaczą, że miała oczy czerwone i zapuchnięte od płaczu. Thomas Watson nie zszedł na dół. Napięcie z powodu jego nieobecności było niemal nie do zniesienia. Fiona pomyślała więc, gdy wszyscy unieśli kieliszki, że w tym domu nie było ani jednej osoby, która nie zastanawiała się nad owym okropnym słowem „bzykanie” i nad tym, co ono oznacza. Zdrada. Cudzołóstwo. Miłosne uściski w łóżku mężczyzny, który nie był jej mężem. I to ona, zawsze postępująca tak właściwie i tak stosownie!

Po toaście Fiona Watson wróciła do kuchni, a Robert poszedł na górę, żeby się przebrać. Effie i Prudence pozostały same, siedząc na wyścielanej ławeczce w oknie wykuszowym i wyglądając na Charlotte Square.

– Ta atmosfera... – powiedziała Prudence – czuję, że to moja wina.

Effie szybko zaprzeczyła.

– To nie ma nic wspólnego z tobą. Obawiam się, że nigdy nie byliśmy bardzo szczęśliwą rodziną. Wszyscy jesteśmy zbyt uparci i trudni.

– Ale to co powiedział ten chłopak... to nieprawda, czyż nie?

– Wybacz – odparła Effie. – Chyba nie mogę z tobą o tym rozmawiać. To byłoby nie fair. Poza tym ja sama nie wiem o wszystkim, co się dzieje między moimi rodzicami. Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni.

– Twoja matka naprawdę nie... Effie upiła łyk madery.

– A ty z Dougalem?

– Cóż, ja... sądzę, że... Ja z Dougalem, no więc... Tak.

– Nie osądzaj jej, proszę – powiedziała Effie. – Miała bardzo trudne życie z moim ojcem; równie trudne, jak on z nią.

– A ty zawsze chciałaś wszystko naprawiać?

Effie spojrzała z odrobiną smutku na Prudence, która w ciemnobrązowej

aksamitnej sukni ze sztywnym koronkowym kołnierzykiem wyglądała bardzo dojrzałe i elegancko. Niemal zbyt dojrzałe jak na osiemnastolatkę.

– To jest moje powołanie. Mam na myśli naprawianie, godzenie. Zawsze taka byłam, od wczesnego dzieciństwa. Naprawiaczka!

– Zmieniłaś się od chwili, gdy poznałam cię w Londynie.

– Chyba dorosłam.

– Masz teraz osiemnaście lat, prawda?

Effie skinęła głową.

– Jestem Strzelcem.

– Strzelcy są albo bogaci, albo biedni. Nic pośredniego.

– A ty?

Prudence spuściła oczy.

– Ryba. Oczywiście od początku skazana na niepowodzenie.

Effie pochyliła się i pocałowała Prudence w policzek.

– Jak możesz tak mówić, skoro masz Williama Alberta?

Prudence podniosła wzrok i próbowała się uśmiechnąć, ale potem wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. To coś w tym domu. Tutaj jest tak wiele nieszczęścia. Bardzo dużo pieniędzy i tak dużo niezadowolenia. Nie sądziłam, że ludzie bogaci mogą być tak nieszczęśliwi.

– Ja nie jestem nieszczęśliwa.

– Teraz nie – odparła Prudence. – Cóż, oby nigdy.

Świąteczny obiad zjedzono w ciszy, jeśli nie liczyć heroicznego wysiłku Roberta pragnącego opowiedzieć o przyjacielu, który minione święta spędzał w prowincji Ekwatoria w górnym dorzeczu Nilu i gdy pewnego dnia się obudził, stwierdził, że hipopotam zjadł pół jego łodzi, piknikowy stolik, mapy, buty i większość zapasów, ale zadławił się puszką z ciasteczkami, którą żona przysłała mu z Towcester. Fiona Watson, krojąc swoją porcję gęsi na coraz drobniejsze kawałki i bez najmniejszego apetytu przeżuując ziemniaki, kiwnęła głową i poklepała go po ręce, kiedy skończył, lecz Thomas Watson nawet nie udawał, że słucha. Zjadł pospiesznie, jakby był głodny, ale jakby nie miał ochoty zostawać przy stole dłużej niż to było absolutnie konieczne.

Pod koniec posiłku Effie wstała i odmówiła dziękczynienie.

– Dziękujemy ci, Boże, za Twą szczodrość i za dar Twego Syna, Jezusa, którego narodziny czcimy tym posiłkiem. Spraw, aby nasze serca napełniły się zrozumieniem. Amen.

Thomas Watson podniósł ku niej wzrok. Otarł wąsy, choć nie było to konieczne, gdyż zawsze był schludny i skrupulatny.

– Następnym razem, Effie, będę wdzięczny, jeśli zechcesz się trzymać tradycyjnego sformułowania – powiedział. – W tej rodzinie jest dość dużo zrozumienia, w istocie mamy go nawet w nadmiarze. Chyba nie jest to

odpowiednia pora, aby modlić się o więcej.

## 36

Wieczorem Prudence siedziała sama w swym małym pierwiosnkowym pokoju na piętrze i karmiła Williama Alberta, gdy w drzwiach obróciła się mosiężna klamka.

– Proszę wejść, pani McNab. Mały właśnie je kolację – powiedziała.

Drzwi się otworzyły i ponownie zamknęły, lecz kiedy Prudence uniosła wzrok, zobaczyła, że wcale nie była to pani McNab, ale Robert w czarnym wieczorowym stroju z białym plisowanym gorsem. Patrzył na Williama Alberta i na sposób, w jaki chłopiec skoncentrowany był na ssaniu nabrzmiącej i porysowanej niebieskimi żyłkami piersi Prudence, ale jego twarz pozbawiona była wyrazu. Prudence natychmiast odsunęła dziecko od piersi i okryła się szalem.

– Proszę – powiedziała zaczerwieniona i zakłopotana. – Próbuję nakarmić maleństwo.

– Wygląda na to, że jest karmione lepiej niż wszyscy inni w tym domu – rzekł, krzywiąc się Robert. – W każdym razie bardziej atrakcyjnie.

Prudence nie powiedziała ani słowa, lecz pocierała plecy dziecka, aby mu się odbiło. Robert zrobił kilka kroków do przodu, a potem stanął sztywno, z rękami splecionymi z tyłu, jakby miał wygłosić mowę do wycieczki pensjonarek o wartościach wyrzeczeń.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, panno Cutting – rzeki.

– Chyba pana nie rozumiem, panie Watson.

– Może pani nazywać mnie Robertem, jeśli sobie życzy – oświadczył. – Nie mam bzika na punkcie formalności.

– Czy pozwolisz mi dokończyć karmienie Williama Alberta? Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, odbędę tę rozmowę, ale nie teraz, gdy jestem rozebrana. Poza tym dziecko jest głodne.

Robert nie zwrócił na te słowa żadnej uwagi.

– Naprawdę sądziłaś, że gdyby Dougal tutaj był, zaopiekowałby się tobą?

– Miałam taką nadzieję.

Robert przecząco pokręcił głową.

– Dougal, przykro mi to powiedzieć, jest czarną owcą w rodzinie Watsonów. Zaprzeczyłby, że to biedne dziecko jest jego z taką samą łatwością, z jaką cię nim obdarzył.

– Twoja siostra powiedziała, że pytał o mnie w listach.

– Moja siostra zawsze stara się zmienić życie w różowy sen, co oznacza, że błędnie interpretuje to, co widzi, słyszy i czyta. Dougal pytał o ciebie, to



prawda, ale tylko dlatego, aby się upewnić, że nie będziesz go ścigać i że nie wysuniesz przeciwko niemu żadnych roszczeń o ojcostwo.

Prudence zmarszczyła brwi.

– Nawet nie wiedział, że jestem w ciąży. Spędziłam z nim jedną noc, to wszystko. Nigdy więcej z nim nie słyszałam.

Robert uniósł poły fraka i usiadł na krańcu łóżka, opierając łokieć na wypolerowanej metalowej poręczy.

– Obawiam się, że jako bankierzy obdarzeni jesteście doskonałą inteligencją. Musimy wiedzieć wszystko. Znać wszystkie wydarzenia towarzyskie i finansowe. Z tego co wiem, Dougal od początku był świadomy twojego stanu i bardzo chciał uniknąć odpowiedzialności za to dziecko, tak jak za pozostałe.

– Pozostałe? – spytała Prudence.

– Moje drogie dziewczę – odparł Robert – Chyba nie wierzysz w to, że jesteś pierwsza, ani w to, że William Albert jest kimś więcej jak tylko najnowszym z wielu biednych małych bękartów? Zechciej mi wybaczyć to sformułowanie.

Prudence pogłaskała główkę maleństwa.

– Co ja mam robić? – pytała z rozszerzonymi oczami i twarzą bladą jak oblicze Madonny Giotta.

– Nie masz żadnej rodziny, która mogłaby zaopiekować się tobą?

– Mam tylko brata. Matka zmarła na gruźlicę, gdy miałam jedenaście lat. Mam też ciotki, ale nie pozwolą mi zamieszkać u siebie z dzieckiem. Mieszkają w Waltham-on-the-Wolds i obawiam się, że obie są bardzo pruderyjne.

Robert uniósł brwi.

– Cóż, to przykre. Nie możesz oczywiście zostać tutaj. Rzecz w tym, że chętnie byśmy ci pomogli, ale musimy myśleć o naszej reputacji, a poza tym wierz mi, że w Edynburgu ludzie są znacznie bardziej pruderyjni w sprawach prawowitości niż gdzie indziej, łącznie z Waltham-on-the-Wolds.

– Mam bardzo mało pieniędzy – powiedziała Prudence. – Jack musiał wziąć większą część, gdy wyjechał do Holandii.

– Tak... to największy problem – rzekł Robert. – Ja naturalnie wesprę cię kilkoma funtami, abyś nie została na bruku, ale obawiam się, że gdybym miał zaoferować ci więcej, oznaczałoby to, że uznaję, iż ten mały William Albert jest rzeczywiście dzieckiem Dougala, czego uczynić nie mogę. Jak pamiętasz, stwierdziłem, że nic o nim nie wiem, gdy weszłaś w te progi i powtórzę to ponownie wobec wszystkich innych. Nie złapiesz żadnego Watsona żądaniem alimentów.

Prudence powoli spuściła głowę. Mały William Albert zaczął wierzcąc nóżkami i gaworzyć w jej ramionach.

– Ładny chłopczyk. Szkoda – stwierdził Robert, po czym wstał i obcią-

gnął kamizelkę na wydatnym brzuchu. Następnie odchrząknął i ruszył ku drzwiom.

– Zaczekaj – rzekła Prudence.

Przystanął, odwrócony plecami.

– Przyszedłeś do mnie z jakiegoś powodu, nieprawdaż?

– Moja droga, jakież mógłbym mieć powód, oprócz tego, aby się upewnić, że dobrze się czujesz?

– Coś ci chodzi po głowie. Prawda? A może nie? Najwyraźniej próbujesz sprawić, abym poczuła się jeszcze bardziej uboga, niż jestem, żebyś mógł mnie poprosić, abym coś dla ciebie zrobiła.

– Doprawdy?

– Ależ tak. Bardzo chcesz, żebym coś dla ciebie zrobiła, czyż nie?

– Jesteś bardzo spostrzegawczą dziewczyną. Wykształconą. Bystrą.

Prudence nie odpowiedziała, ale wpatrywała się w tył głowy Roberta, w skórę zagiętą nad kołnierzykiem, w gładkość policzka doskonale ogolonego o siódmej wieczorem. Była w nim jakaś zwalistość, która ją przerażała i jednocześnie w dziwny sposób pociągała. Miała uczucie, że ogląda dwuletniego byka nie mającego pewności, czy pozostać potulnym czy nagle spiąć mięśnie i zaatakować.

– Prawdopodobnie rozumiesz, że jestem bardzo zajęтым człowiekiem – powiedział Robert dziwnie odmiennym, recytacyjnym głosem, jakby powtarzał tekst, którego wcześniej nauczył się na pamięć.

– Tak, ale...

– Nie mam czasu na żadną z tych frywolnych przyjemności życia, jakimi są taniec, teatr czy muzyka. Ojciec zabrał mnie do banku, gdy byłem młody, a ponieważ miałem wyjątkowy talent do bankowości, coraz bardziej zdawał się na mnie. Dzisiaj, choć on nie zdaje sobie z tego sprawy, niemal wyłącznie na mnie spoczywa kierowanie bankiem. Obecnie ojciec nie jest nikim więcej jak tylko jego symbolicznym szefem, którego napuszone poczucie godności i w najwyższym stopniu złe humory mogą czasami wykorzystać do pomocy w swojej pracy, ale który w swoim gabinecie robi niewiele oprócz nękania personelu wybuchami wściekłości lub staroświeckimi pomysłami.

– Twój ojciec nie uszczęśliwia żadnej osoby w swej rodzinie, prawda? – powiedziała Prudence. – Effie mówiła, że...

Robert odwrócił się z miną wystarczająco spiętą, aby przerwała.

– Teraz nie przywiązuję szczególnej wagi do szczęścia – powiedział. – Szczęście jest towarem, którym interesują się tylko głupcy, kobiety i golcy. Golcem nazywamy bankruta albo tego, kto jest bliski bankructwa. Tobie zaś próbuję powiedzieć, że mam trzydzieści lat, więc czas, abym się ożenił, zarówno po to, aby mieć gospodynię, która potrafi podejmować moich współpracowników, jak i dla kontynuacji rodu Watsonów.

Teraz Prudence była kompletnie oniemiała. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko patrzeć na niego, z rozsypanymi kasztanowymi włosami, szalem przyciśniętym do piersi, lekko rozchylonymi ustami i Williamem Albertem wierzgającym na jej kolanach. Na ścianie za łóżkiem wisiał ciemny wizerunek Johna Knoxa, szkockiego reformatora religijnego, z okładki jego książki zatytułowanej „Pierwszy podmuch trąb przeciwko straszliwym rządóm kobiet”.

Robert wysunął spod toaletki niskie, pomalowane na żółto gięte krzesło i usiadł.

– Nigdy nie będę mieć czasu, aby zabiegać o względy jakiejś damy – powiedział. – Prawdę mówiąc, wątpię, czy kiedykolwiek zapragnę mieć niezbędny do tego talent. Jednak zjawiasz się ty, bez środków, z chłopczykiem, który szczęśliwym trafem jest pełnej krwi Watsonem, z mojej własnej rodziny, czyż mógłby się zdarzyć bardziej sensowny zbieg okoliczności? Ty, z owym chłopczykiem, i ja. Mąż, żona i gotowy dziedzic.

Prudence wydobyła z siebie głos, który nie brzmiał silniej niż szept.

– Co powie twój brat, Dougal? Czy nie będzie próbował twierdzić, że on jest ojcem tego dziecka?

– Nie przejmie się tym. Ponadto jest w Ameryce i prawdopodobnie tam zostanie.

– Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

– Właśnie o to cię proszę. Nie zobowiązuję cię.

– Ale ty mnie nie znasz. W ogóle mnie nie znasz.

– Wiem, że jesteś urodziwa, że urodziłaś zdrowego, ładnego chłopca i że mówisz jak dama, nawet jeśli nie masz pieniędzy. Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– Ale ty mnie nie kochasz – stwierdziła Prudence, po czym dodała: – A ja nie kocham ciebie.

Robert podniósł wzrok. Jego twarz była gładka, pulchna i dziwnie przypominała Prudence duży ryżowy pudding przyrumieniony w piekarniku.

– Czy trzeba mówić o miłości?

Prudence długo siedziała na swoim krześle milcząca i zmęczona. Wiedziała, że Robert jest bogaty. Wiedziała też, że jeśli przyjmie jego propozycję, już nigdy niczego jej nie zabraknie, nigdy nie będzie musiała przez całą drogę do Szkocji siedzieć w śnieżycy w wagonie trzeciej klasy, trzymając na kolanach owinięte w pieluszki dziecko, którego mocz wsiąka w jej spódnicę. Nigdy nie będzie musiała pracować, martwić się ani modlić. Bogaczom, tego była pewna, Bóg jest niepotrzebny. Nie muszą chodzić do sklepu, czyścić butów ani prasować. Nawet nie muszą myśleć.

Zdawała sobie sprawę, że mogła po prostu odmówić Robertowi. Fakt, że była kobietą i że padła ofiarą owego znanego od wieków splotu

dyskryminujących okoliczności (kochanek czyni kobietę brzemienną, a potem ucieka, zostawiając dziecko wyłącznie jej opiece), nie oznaczał, że musi pozwolić, aby uwięził ją w pułapce pierwszy szpetny i niedoskonały wybawca, jaki się pojawi. Ale, Boże, pomyślała, wszak wszyscy wybawcy są szpetni i niedoskonali. Tylko dranie są przystojni, pociągający i silni.

Poza tym trzeba było myśleć o Williamie Albercie. Bez pieniędzy William Albert mógł być wychowywany jedynie jako podrzutek z nieprawego łoża. Miałby szczęście, gdyby w ogóle posiadał parę butów. Gdyby kiedykolwiek zdołał nauczyć się czytać i pisać, mógłby zostać jakimś gryziopiórkiem. Nigdy nie poznałby smaku szampana ani przyjemności noszenia jedwabiu i prawdopodobnie przez całe swoje życie nie podróżowałby dalej niż na najbliższe wybrzeże.

Prudence spojrzała na Williama Alberta. Dziecko chwyciło jej palec w pulchną rączkę. Pomyślała: „Jestem w pułapce. Ale mogę przyjąć tę propozycję i zrobić wszystko, co możliwe, dla siebie i dla Williama Alberta”.

– Możesz to przemyśleć. Dam ci czas – powiedział Robert. – Nigdy nikogo nie zmuszam do podejmowania kluczowej decyzji w pośpiechu.

Prudence spuściła głowę. Poczula się tak, jakby cały pokój wirował pod jej stopami. Nagle uświadomiła sobie, że jest w Szkocji, na śnieżnej północy, w świecie obracającym się wokół własnej osi, pośród pustej i bezkresnej nocy. Kiedy przyjechała do Szkocji, była przygotowana na wszystkie najstraszniejsze okoliczności; na zażartą kłótnię z Dougalem, na melodramatyczne połączenie śmiechu i łez, jednak ani przez chwilę nie przeszło jej przez myśl, że może być postawiona wobec takiej decyzji, jaką miała przed sobą teraz.

William Albert zaczął płakać.

– Cii, synku – uciszała go, ale nie przestawał. Był głodny i domagał się reszty kolacji.

Prudence powoli, odważnie opuściła szal, odsłaniając nagą pierś, i uniosła Williama Alberta, aby mógł z niej ssać. Robert obserwował ją niewzruszenie i beznamiętnie, spokojnie oddychając przez usta i ogarniając wzrokiem niemal równie zimnym jak wzrok jego ojca widok szerokiego brązowego sutka, z którego już trysnęła połyskliwa kropla mleka.

W końcu wstał i wsunął żółte krzesło z powrotem pod toaletkę.

– Podejmę niezbędne przygotowania – powiedział. – Tymczasem poproszę panią McNab, aby przeniosła cię na dół do pokoju błękitnego.

Prudence nie podniosła wzroku, ale zapytała spokojnie:

– Będziesz dla mnie uprzejmy, prawda?

Nie padła żadna odpowiedź.

– Robercie? – powiedziała, pierwszy raz wymawiając jego imię. Ale już go nie było. Przez lekko uchylone drzwi z dołu dobiegł głos Effie śpiewają-

cej kolędę. Kościelne dzwony znów dzwoniły przez całą noc. William Albert ssał łapczywie. Takie było Boże Narodzenie przy Charlotte Square.

### 37

Rano po Świącie Trzech Króli Effie siedziała w bawialni, czytając „Moje życie”, oprawioną w marmurkową okładkę autobiografię Thomasa Bewicka, którą dostała na Gwiazdkę od Celi Calder-Haig, gdy weszła tam jej matka.

– Effie? – powiedziała zaaferowana i zgnębiona. – Zechciej, proszę, zadzwonić po panią McNab.

– Mamo, co się stało? – zapytała Effie, odkładając książkę na stojący obok mały stolik i uniosła się z krzesła. – Mamo, wyglądasz okropnie!

Fiona Watson podeszła do okna, rękę przyciskając do czoła. W chłodnym blasku zimowego słońca wydawała się bledsza niż zwykle, a jej nie ułożone włosy były w nieładzie.

– Filiżanka herbaty postawi mnie na nogi, to wszystko. Zadzwoń, proszę.

Effie podeszła do niewielkiego kominka i nacisnęła umieszczony tuż obok dzwonek. Następnie zbliżyła się do matki i lekko położyła jej dłoń na ramieniu.

– Mamo, ty drżysz.

Fiona Watson wzięła głęboki, niepewny oddech.

– Dostałam wiadomość od Jamiego McFarlane'a – powiedziała. – Proszę, lepiej sama to przeczytaj. Wtedy zapewne zrozumiesz, do jakiej niegodziwości zdolny jest twój ojciec – po tych słowach wyjęła z kieszeni spodnicy złożony list. – Proszę, czytaj.

Effie powoli rozłożyła list, nie spuszczając wzroku z matki. Jasna łza spływała już po jej policzku, choć ona sama nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Była zbyt dobrze wychowana, by pozwolić, aby służba słyszała jej szlochanie.

*„Moja ukochana F. – zaczynał się list. – Rzykuję, pisząc do Ciebie, ponieważ prawdopodobnie już nigdy nie będę mógł Cię spotkać. Nie znajduję słów, by wyrazić, jak bardzo jestem zrozpaczony, lecz, najważniejsze, abyś Ty mi wierzyła, gdyż w nadchodzących tygodniach i miesiącach możesz usłyszeć o mnie straszne rzeczy i straszne oskarżenia, ale żadne z nich nie jest prawdą.*

*Na podstawie dowodów dostarczonych przez jakiegoś anonimowego informatora policja oskarża mnie o molestowanie trzech dziewcząt i chłopca z jakiejś czynszowej kamienicy w Upper Bow. Twierdzą, że dopuszczałem się sprzecznych z naturą czynów z tymi dziećmi i mówią, że sprowadzą same dzieci, aby świadczyły przeciwko mnie. Już zostałem zwolniony z posady w*

*korporacji charytatywnej i straciłem wynajmowane mieszkanie. Zwolniono mnie za kaucją w wysokości stu funtów, które zebrali moi przyjaciele, ale obawiam się, że jeśli postawią mnie przed sądem, zostaną skazani i zamknięci w więzieniu.*

*Uwierz mi, najdroższa, że te oskarżenia są całkowicie bezpodstawne. Obawiam się, że mogą być uknute przez T. Czy to możliwe? Niechętnie podejrzewam go o coś, czego może nie zrobił, ale czyż po tym, jak Gavin McFee w święta zdradził nasz sekret, nie mógł to być jego sposób skierowania gniewu przeciwko mnie??*

*Napiszę ponownie, gdy tylko będę mieć jakieś wiadomości. Jestem teraz bezpieczny u swojej siostry. Proszę, nazbyt się mną nie przejmuj. Kocham Cię niezmiennie. Jesteś moim księżycem, gwiazdozbiorem i słońcem, których blaski są jedynym światłem, jakie kiedykolwiek rozjaśniło moje życie. J.”.*

Effie sama miała łzy w oczach, gdy opuściła list.

– Och, mamó, jakże ci współczuję – powiedziała ze smutkiem.

– Nie musisz mi współczuć, Effie. To dla Jamiego McFarlane'a powinnaś zachować swój żal. O Boże, biedny Jamie! Gdybym go nie kochała, gdybym nie była tak samolubna, by złamać śluby małżeńskie i go usidlić, byłby teraz bezpieczny i szczęśliwy z inną kobietą. Czy wiesz, jak bardzo czuję się winna? On pójdzie do więzienia pod najgorszymi z możliwych zarzutami! I to wszystko z mojej winy!

– Mamó, to nie była twoja wina.

– Oczywiście, że to była moja wina! Jestem wystarczająco dojrzała i wystarczająco rozumna, aby brać odpowiedzialność za własne życie i za tych, których kocham. Twój ojciec jest nikim innym jak tylko głupim, prymitywnym brutalem, który niszczy, atakuje i na oślep bije we wszystko, co go drażni. Odziedziczył to okrucieństwo po własnym ojcu, ale w przeciwieństwie do swego ojca jest wystarczająco bogaty i potężny, aby wymierzać je przeciwko każdemu, kogo wybierze. Wiedziałałam, jaki jest i wiedziałałam, co zrobi Jamiemu, jeśli się dowie o naszym romansie. W takim samym stopniu zniszczyłam Jamiego tym, co ja zrobiłam, w jakim został zniszczony przez wszystko, co zrobił twój ojciec.

– Nie masz żadnego dowodu, że to ojciec go zniszczył – z pewną rozpaczą powiedziała Effie.

– Któż inny mógłby to uczynić? – odparła gorzko Fiona Watson. – Wiesz, że Jamie nie jest pedofilem. Ma kilku wrogów w korporacji, ale nie ma nikogo, kto pragnąłby w taki sposób zrujnować całe jego życie.

Effie poczuła się tak, jakby wszystko wokół niej – bawialnią, kominek, a nawet widok z okna na tyły domów przy Queen Street – nagle okazało się jedynie teatralną dekoracją, w której ona i matka recytują słowa z jakiejś dziwnej sztuki.

– Co możesz zrobić? – zapytała.

- Zrobić? Nic nie mogę zrobić.
- Nie możesz porozmawiać z ojcem?
- Z twoim ojcem nie da się rozmawiać.
- Ależ na pewno...

Fiona Watson odpięła guziki dopasowanej bluzki i unosząc halkę, którą nosiła pod spodem, odsłoniła żebra i brzuch. Pokrywały je siniaki; niektóre świeże i purpurowe, inne czerwone, żółte i blednące. Wyglądały jak kolekcja śliwek na różnych etapach dojrzewania.

Effie wyciągnęła drżącą rękę i z bezgraniczną delikatnością opuszkami palców dotknęła żeber swojej matki.

- Ojciec ci to zrobił? – wyszeptwała z niedowierzaniem.
- Czas, żebyś się dowiedziała – powiedziała Fiona.
- Chcesz powiedzieć, że to nie pierwszy raz?
- Nie pierwszy i prawdopodobnie nie ostatni. Pamiętasz dzień, kiedy musiałam się udać do kliniki w Fife z powodu wrastającego paznokcia? Cóż, nie miało to nic wspólnego z paznokciem. Twój ojciec złamał mi wtedy cztery żebra i uszkodził obojczyk. Oto jego sposób postępowania. Wie, jak zadać kobiecie ból, aby nikt się o tym nie dowiedział.

– Ale dlaczego?!

Fiona Watson wciągnęła halkę i zapięła bluzkę, a Effie pomogła jej z klamrą kamei na szyi. Gdy ją zapięła, przytuliła matkę tak mocno i objęła tak blisko, że poczuła bicie serca pod blednymi, posiniaczonymi żebrami.

Do bawialni weszła pani McNab.

- Dzwoniła pani po mnie, madam?
- Tak, pani McNab – odparła Fiona Watson. – Napiłabym się herbaty z cytryną. Proszę o cejlońską.

Pani McNab zrozumiała, że stało się coś złego, wnioskuje ze sposobu, w jaki matka i córka stały przytulone i z bladej twarzy Fiony.

- Czy nie jest pani na coś chora, madam? – zapytała.
- Nie, pani McNab. Czuję się całkiem dobrze. Jestem tylko trochę zmęczona po świętach.

Pani McNab się zawahała.

- To świetnie, madam. Podam herbatę tutaj, ale, jeśli wolno mi powiedzieć, wygląda pani tak, jakby najlepszym miejscem było dla pani łóżko.

## 38

Effie poszła do swego pokoju i całą godzinę poświęciła gorączkowym i sprzecznym myślom. Przerażało ją, że ojciec bije matkę, sama myśl o tym przyprawiała ją o mdłości. Była też skonsternowana i przerażona tym, co uczynił Jamiemu McFarlane'owi. Jednocześnie był przecież jej ojcem, a

matka go zdradziła. Bez względu więc na współczucie, jakie żywiła dla matki, mogła również zrozumieć, jak niepohamowaną zazdrość i wściekłość musiał czuć ojciec. Effie, będąc tylko dziewczyną, darzyła dziewczęcą miłością swego ojca, czego ani Robert, ani Dougal nie mogli zrozumieć, podobnie jak żywiła dziewczęce uczucie dla nich, swoich braci, nie bacząc na to, jacy byli niegrzeczni, jak okropnie się zachowywali ani jakie popełniali błędy. Zawsze zajmowała się ludźmi, chociaż nie zawsze bezinteresownie i z dobroczynnego powołania. Często czyniła to dlatego, że wiedziała, iż mogą jej się przydać później, co było cechą rodzinną, którą Robert rozwinął w nader wyszukaną formę sztuki. Umiała słuchać, była uważna, troskliwa i zawsze bardzo zdecydowana we wszystkim, co robiła. Była także czuła i życzliwa, co pod wieloma względami było nadzwyczajne, zważywszy wrogość i nieczułość jej rodzinnego zaplecza, ale co również można było zrozumieć, ponieważ ojciec i matka, choć odmiennymi sposobami, wychowywali ją w przekonaniu, że bogaci są nie tylko uprzywilejowani, ale również odpowiedzialni i muszą służyć społeczeństwu, w którym żyją, nie zaś zerować na nim.

Jednak Effie zaczynała się zastanawiać, co było sensem jej moralnej edukacji, jaki był sens całego jej przygotowania, gdy w zamian dostawała jedynie samotność i izolację, a nawet poczucie, że jest obca we własnej rodzinie. Ojciec i brat byli oddani bankowi, a matka prowadziła dom, wszyscy walczyli, spierali się i odgrywali swoje role. Ona sama zaś czuła się tak, jakby Robert zaprosił ją do współpracy w banku jedynie dlatego, aby była zajęta tak długo, aż znajdzie mężczyznę odpowiedniego, by za niego wyjść, i jakby matka tylko dlatego jej zwierzyła się ze związku z Jamiem McFarlane'em, że prawdopodobnie nie mogła ufać nikomu innemu.

Thomas Watson patrzył na nią w tych dniach, jakby był zdumiony, że córka wciąż jest w domu i pozostaje niezamężna, albo jakby miał już pewność, że Effie na zawsze pozostanie starą panną i będzie się o niego troszczyć na starość, głaszcząc ojcowskie czoło do ostatniego dnia jego życia.

Wciąż nie mając pewności co do swego ojca, nadal oboje rodziców kochała wystarczająco, by tego wieczora udać się do jego gabinetu i zapukać do drzwi. Nie ułożyła sobie w pamięci, co pragnie powiedzieć, ale nie chciała czekać ani chwili dłużej. Atmosfera w domu była tak nieznośna i tak wybuchowa, jakby ktoś zostawił na tydzień włączoną kuchenkę gazową i nie zapalił palnika.

Thomas Watson siedział z okularami na czole przy biurku i przeglądał niekończące się kolumny cyfr. Effie weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Effie? Czego chcesz? – zapytał.

Przeszła przez gabinet i stanęła za ojcem, opierając ręce na jego ramionach. Odłożył ołówek, wyprostował się, uniósł rękę i położył ją na dłoniach



córki.

– Przyszedł rozmawiać o Prudence? – zapytał. – O pomysle Roberta, żeby ją poślubić?

– Nie, ojczy.

– Cóż, panienko, to dobrze. Nie wiem, co jeszcze mógłbym na ten temat powiedzieć oprócz tego, co już powiedziałem. To bezsensowny pomysł. Przecież on nawet nie wie, czy to dziecko jest Watsonem czy jakimś nie wiadomo kim. Przeznaczyłem twojego brata do czegoś lepszego. Spójrz na mnie, żonatego z panną Nugent-Dunbar! Niczego nie ujmując twojej matce, Nugent-Dunbarowie nie słynęli z dobrej krwi, ani jak widać, z wybitnej inteligencji. O, nie – mówił dalej, obracając się na krześle – jeśli chodzi o twojego brata Roberta, miałem na myśli pannę Elizabeth Culross-Houper, córkę Sir Duncana Culross-Houpera z Kirkcaldy. Byłaby odpowiednia. Czy wiesz, że w Kirkcaldy urodził się Adam Smith? Ten, który powiedział, że jesteśmy narodem sklepikarzy.

– W istocie powiedział, że jesteśmy narodem rządzonym przez sklepikarzy – sprostowała Effie.

Thomas Watson zmarszczył brwi.

– Mniejsza o to. Nigdy nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do edukowania dziewcząt. Wolałbym, żebyś więcej czasu spędzała z matką.

– Właśnie o tym przychodzi rozmawiać.

– A zatem?

Effie była zdenerwowana i nie mogła złapać tchu.

– Dowiedziałam się o Jamiem McFarlanie i o tym, jakie zarzuty mu postawiono.

Spojrzenie zielonkawych oczu Thomasa Watsona na chwilę utkwilo w Effie, a potem uciekło w dal.

– Co wiesz? I jak się dowiedziałeś?

– To nie ma znaczenia, jak się dowiedziałam.

– Przypuszczam, że od matki.

– Powiedziałam, że to nie ma znaczenia. Ja... poznałam go. Mama pracowała z nim charytatywnie w Lands. To wszystko, co się wydarzyło. Widziano ich razem i sądzę, że jacyś głupcy, którzy źle im życzą, rozpuścili tę bajkę, że są kimś więcej niż przyjaciółmi.

– Są kimś więcej niż przyjaciółmi – powiedział posępnie Thomas Watson. – Są grzesznikami. Cudzołożnikami. Wiem to od kobiety, która sprząta mieszkanie pana McFarlane'a, że twoja matka odwiedzała go wielokrotnie i zostawała tam dłużej niż godzinę. Dla sądu byłby to wystarczający dowód cudzołóstwa i powód do rozwodu.

– Ale ty wzięłaś sprawiedliwość w swoje ręce.

Thomas Watson znów na nią spojrzał.

– Nie sądzisz, że mam do tego prawo?

- Zniszczyłeś tego człowieka.
- Mam nadzieję.
- Ale zniszczyłeś również matkę! Ojczy... Kocham cię jako mego ojca... lecz nie mogę dłużej siedzieć i patrzeć, co się dzieje.

Thomas wstał i obszedł Effie dookoła, aż stanął za nią plecami do drzwi.

– Och, doprawdy, nie możesz siedzieć i patrzeć, co się dzieje, panno wszechmocna? A czy nie sądzisz, że mężczyzna ma prawo chronić świętość swojego małżeństwa przed wtargnięciem w nie takich osobników jak James McFarlane? Dobrze więc, powiem ci coś, moja panno, i wyrażę to jasno. Uczyniłem twoją matkę bogatą kobietą. Ma wszystkie stroje i klejnoty, o jakich kobieta może marzyć. Może podróżować za granicę, kiedy tylko zapragnie, może jeść najwykwintniejsze potrawy i pić najlepszego szampana. Z mojej strony nie ma się na co uskarżać. Daję jej więcej pieniędzy, niż którykolwiek mąż w Szkocji kiedykolwiek dał swojej żonie w całej historii tego kraju. I jaką dostaję nagrodę? Zdrada, oto nagroda, jaką dostaję! Wymykanie się na schadzki z jakimś nędznym opiekunem socjalnym. Mogę cię zapewnić, panienko, że James McFarlane będzie ukarany za to, co mi zrobił. I mogę cię też zapewnić, że twoja matka tego pożałuje.

– Pieniądze! Tylko o nich mówisz! Tylko o nich potrafisz myśleć! O pieniądzach! Ani przez chwilę nie myślisz o tym, że moja matka może chcieć ciebie; ciebie, a nie twoich pieniędzy? Nie sądzisz, że od lat czuje się jak utrzymanka, ponieważ nie robisz dla niej nic innego oprócz kupowania jej eleganckich toalet i biżuterii i nigdy nie okazałeś jej najmniejszego wyrazu uczucia? Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie, jak rodzina się czuje w czasie niedzielnych obiadów, siedząc w tym ponurym pokoju w pełnej strachu ciszy, podczas gdy ty rozdzielasz mięso i wbijasz nas w poczucie winy, lęku i zażenowania? Boimy się ciebie, ojczy! Boimy się twojej złości, twoich żądań i twojej agresji. Dla czego musisz nas tak przerażać?

Thomas Watson wrócił do biurka i stanął na wprost Effie z rękami mocno zaciśniętymi za plecami. Nozdrza rozszerzyły mu się głębokimi, gniewnymi oddechami. Od miesięcy nigdy nie widziała go z tak bliska jak teraz i nagle uświadomiła sobie, że ma zmarszczki wokół oczu, zarost na policzkach i małe fioletowoczerwone znamię na skroni, jakby strzelono mu w głowę.

– Boicie się mnie, naprawdę? – domagał się odpowiedzi głosem, który wyraźnie się załamywał.

– Ojczy, jesteś tyranem. Nie musisz nim być. Jesteś wystarczająco silny bez robienia takich strasznych rzeczy, jakie zrobiłeś Jamiemu McFarlane'owi. Mogłeś zmierzać swoją drogą, nie niszczyć go. Ale jesteś takim despotą, takim tchórzem, że musiałeś zniszczyć go na zawsze!

Thomas Watson uderzył swoją córkę w twarz tak szybko, że początkowo Effie nawet się nie zorientowała, co się stało, ale potem piekący ból oblał jej policzek, więc obróciła się na pięcie i nagle zrozumiała, że po raz pierwszy

od czasu, gdy jako dziewięcioletka została przyłapana na kradzieży jabłek, ojciec rzeczywiście ją uderzył.

Nie mogła mówić. Otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Łzy płynęły jej po twarzy, chociaż tego nie chciała.

– Ojczy... – tylko tyle zdołała powiedzieć.

– Wyjdz, zanim uderzę cię w drugi policzek – warknął, więc otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, chciała rzucić się na łóżko i szlochać, ale zmieniła zdanie i stanęła w mroku, patrząc na swe odbicie w pociemniałym lustrze, z jednym policzkiem bladym, a drugim pąsowym, drżąc, ale nie płacząc, bardzo zdecydowana, by nie płakać.

Po dziesięciu minutach drzwi jej pokoju otworzyły się i weszła matka.

– Effie? – zapytała.

Effie spojrzała na matkę. W pokoju było tak ciemno, że ledwie się widziały.

– Jesteś już w łóżku, Effie?

– Która godzina? – Effie odpowiedziała pytaniem.

– Dziesiąta. Nie słyszałaś dzwonnika?

Effie otworzyła usta w udręczonym, ale bezgłośnym szlochu i wyciągnęła ramiona ku matce.

– Mamo, nie mogę znieść tego, co się wydarzyło. Nie mogę tego znieść!

Matka objęła ją, tuliła i kołysała jak wtedy, gdy Effie była trzyletnią dziewczynką. Głaskała ją, całowała i uspokajała.

– Powiedział, że powinnaś być wdzięczna – wyszeptala Effie. – Powiedział, że dał ci więcej pieniędzy niż którakolwiek kobieta w Szkocji kiedykolwiek dostała i że powinnaś mu za to dziękować.

Fiona Watson nie przestawała głaskać czoła swojej córki.

– Tak powiedział? Naprawdę? Cóż, zajmijmy się tym...

## 39

Tydzień później, w ciepłe choć mgliste przedpołudnie, gdy Edynburg wydawał się zmieniony przez lutowe słońce w jakieś święte miasto z tiulu i złota, Effie przechodziła przez ogrody Princes Street. Miała na sobie piękny niebieski płaszcz, który kupiła w Londynie, futrzany szal i lekki kapeluszek w kolorze zielononiebieskim. Odwiedzała, w imieniu Roberta, biura Lauriston Carriage Company mieszczące się w pobliżu Greyfriars i dla odmiany czuła chęć powrotu do banku.

Zeszła już ze stromej, wijącej się ze wzgórza ścieżki, przecinając drogę między mokrą zieloną trawą a ostatnimi upartymi płachtami brudnego, nieroztopionego śniegu, gdy zobaczyła Prudence pchającą duży czarny

wózek dziecięcy, który Robert kupił dla Williama Alberta.

– Prudence! – zawołała, doganiając ją. – Cóż za niespodzianka!

Prudence obdarzyła ją niewyraźnym uśmiechem.

– Powinnam polecić pani Taggart, żeby zabrała go na spacer – wyjaśniała. – Wszak Robert nie zatrudnił mi niani bez powodu. Ale potrzebowałam trochę świeżego powietrza.

– Obawiam się, że w domu wszystko jest w tej chwili trudne – powiedziała Effie i dotknęła dłoni Prudence na rączce wózka. – Przykro mi, bo to jest dla ciebie tak nieprzyjemne!

– Och, nie jest tak źle – odparła Prudence. – To była moja własna decyzja, czyż nie? Mogłam pozostać w Londynie i próbować samodzielnie wychować Williama Alberta. Myślę jednak, że ten biedny mały chłopczyk zasługuje na coś lepszego, nie sądzisz?

– Czy ty naprawdę kochasz Roberta? – zapytała Effie. – Nie masz nic przeciwko temu, że cię o to pytam, prawda? Będziemy szwagierkami. Ja zresztą naprawdę chciałabym, abyś my były dla siebie kimś więcej; raczej siostrami.

Prudence zwolniła kroku, gdyż podeszła do śliskiego łuku ścieżki. Potem uśmiechnęła się do Effie.

– Ja również bym tego chciała. Zawsze byłam bardzo blisko z moim bratem Jackiem, ale z nikim innym. Miałam kiedyś młodszą siostrę, ale umarła na szkarlatynę w wieku sześciu lat. Miała na imię Jemima. Pamiętam tylko, że była bardzo ładna.

Poszły trochę dalej wzdłuż samej Princes Street. Jakiś wyrośnięty chłopak w dużym oklapniętym szkockim berecie i wystrzępionym kilcie wymachiwał ręcznym dzwonkiem.

– Paszteciki gorące, gorące bułeczki! – obwieszczał. Stojący obok niego mały wózek straganiarski parował smakowitymi zapachami kiełbasek, zrazików i owsianej mąki.

– Ktoś kiedyś powiedział, że w Edynburgu istnieje pięćdziesiąt różnych sposobów zepsucia kolacji – powiedziała Effie, gdy minęły stragan. – On robi te paszteciki z mielonej pręgi, marynowanych ostryg i owsianej mąki. Kupowałam je, gdy byłam mała, i zjadałam w ogrodzie, żeby ojciec się nie dowiedział.

Przebiegły Princes Street, czekając chwilę na środku, aż minęła je motowózka bagażówka wyładowana skrzyniami Greer's Whisky.

– Mogę się nauczyć go kochać. Jest wobec mnie bardzo uprzejmy.

– A nie mogłabyś poczekać, aż spotkasz kogoś, kogo naprawdę pokochasz?

– Który szanowany młodzieniec weźmie mnie z Williamem Albertem? W takiej sytuacji Robert zamierza odesłać go w przyszłym tygodniu, żeby mieszkał u jakichś waszych krewnych w St Andrews.

– U Craigów? Ale dlaczego?

– Dla zachowania pozorów. Jak wiesz, pobieramy się w kwietniu, ale William Albert zostanie u Craigów do Bożego Narodzenia przyszłego roku. Oczywiście będę go widywać. Robert obiecał, że będę mogła jeździć do St Andrews raz w tygodniu. Pomyśl polega na tym, że po niemal dwóch latach małżeństwa Robert obwieści, iż niestety nie mogę dać mu potomka, więc wobec tego zamierzamy adoptować dziecko. Tym adoptowanym dzieckiem będzie oczywiście William Albert. Aranżując adopcję, unikniemy sensacji związanej z porodem. Robert uważa, że chyba powinniśmy powiedzieć ludziom, iż mały jest osieroconym synem pewnego londyńskiego bankiera i jego żony, którzy się utopili podczas wakacji w Wenecji.

Effie chwyciła rączkę wózka i zatrzymała Prudence w pół kroku.

– Prudence, to jest najokropniejszy plan, o jakim kiedykolwiek słyszałam! Nie możesz pozwolić, aby Robert odesłał twoje dziecko, żeby mieszkało z kimś innym! Jak zdołasz udawać, że to dziecko nie jest twoje? I dlaczego miałabyś mówić, że nie możesz mieć dzieci?

– Och, później, jeśli zapagniemy więcej dzieci, naszych dzieci, zawsze będziemy mogli powiedzieć, że mój problem zdrowotny został pokonany.

Effie otworzyła usta z niedowierzania.

– Ależ Prudence, nie możesz pozwolić, żeby ci to zrobił! William Albert jest twoim dzieckiem, twoim i Dougala!

– Oczywiście – spokojnie odparła Prudence. – Ale co ja mam zrobić? Powiedzieć wszystkim, że został poczęty w „nieprawym łożu”. Dać mu jakieś okropne nazwisko, zanim będzie dość duży, by chodzić. Jest moim synem, Effie, masz rację, i właśnie dlatego nie pozwolę, aby był wyśmiewany i bojkotowany towarzysko. Podjęłam decyzję, że pragnę dla niego wszystkiego co najlepsze i tylko tak mogę to osiągnąć. Przyznaję, nie kocham Roberta. Moim zdaniem Robert jest pospolity, gruby i hałaśliwy. Być może pewnego dnia go polubię. A może nie. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby miało to większe znaczenie. William Albert wyrośnie na bogatego, dobrze ustawionego i szanowanego. Mój syn, niezależnie od tego co ktokolwiek wie lub myśli.

– Sądziłam, że jesteś taka jak ja. Myślałam, że należysz do tych dziewcząt, które nigdy nie pozwoliłyby mężczyznom traktować się jak ich prywatna własność, ani robić z nimi wszystkiego, co zechcą – powiedziała Effie.

– Effie, kochanie – odparła Prudence – masz osiemnaście lat. Byłaś kiedyś zakochana?

Effie pomyślała o Henrym Baeklanderze, o tamtej poważnej, złowrogo przystojnej twarzy i o tym, jak mówił do niej: „Effie, ciebie mógłbym szanować i kochać z całego serca”, a potem udzieliła odpowiedzi.

– Nie, nigdy nie byłam zakochana. Właściwie nie. Nie.

– Kiedy się zakochasz – odpowiedziała Prudence, nie protekcyjnie, ale łagodnie – wtedy wróc i przekonaj mnie, że ty masz siłę, aby nie pozwolić mężczyznom traktować cię, jak chcą i że masz siłę, aby opierać się zasadom dobrych obyczajów i regułom towarzyskim.

Effie puściła rączkę wózka i dalej szły razem. Przed salonem Hobarta, gdzie szyto kilty, jakiś potargany chłopiec w znoszonych butach tańczył dla pieniędzy, podczas gdy siedzący obok niego niewidomy mężczyzna grał na piszczałce. Effie otworzyła portmonetkę i wrzuciła szylinga do kapelusza chłopca.

– Nie pozwolę, aby William Albert żył z dobroczynności – powiedziała Prudence. – Nigdy nie będzie musiał żebrać. Nigdy, przynigdy!

Effie nie odpowiedziała ani słowem. Sam William Albert, pod białym kocykiem, w wełnianej czapeczce, zaczął kaszleć i marudzić.

– No już dobrze, dobrze... – kołysała go Prudence – ...ty będziesz kiedyś królem życia, mój syneczku.

Skręciły w Charlotte Square.

– Teraz będę musiała cię zostawić – rzekła Effie. – Obiecałam Robertowi, że wrócę do banku wpół do trzeciej.

– Nie mów mu, że widziałas mnie na ulicy z Williamem Albertem – powiedziała Prudence. – Robert chce, żebym trzymała małego w sekrecie. W istocie chce mu nawet zmienić imię.

– Może to zrobić?

– Ja się nie sprzeciwiam.

Effie spojrzała na maleńkiego różowolicego chłopczyka w dużym wózku.

– Biedne maleństwo – powiedziała. – Całe życie skończyło się dla ciebie, zanim w ogóle je przeżyłeś.

– Nie obwiniaj mnie, Effie – poprosiła Prudence. – Robię dla niego wszystko, co w mojej mocy.

– Rozumiem – odparła Effie. – Przepraszam, jeśli byłam dla ciebie surowa. Czy wiesz, jakie imię nada mu Robert?

– Myślał o imieniu Alisdair.

– Alisdair? – zapytała Effie. – Wiesz, co ono oznacza?

Prudence przecząco pokręciła głową.

– To znaczy „obrońca” – wyjaśniła Effie. – Ktoś, kto musi się bronić przed swoją przeszłością i przed wszystkim, co nadejdzie.

W przenikliwie wietrznym marcu przygotowania do ślubu Roberta i Prudence zaczęły wypełniać dom największą krzątaniną, śmiechem i gorącz-

kową ekscytacją, jaką Effie pamiętała. Nawet Fiona Watson włączyła się do tej wesołości, chociaż Jamie McFarlane wciąż czekał na przesłuchanie w sprawie rzekomego molestowania dzieci z Lands, a ona otrzymywała jedynie strzępy wieści od niego; raz krótki list napisany na odwrocie rachunku z księgarni, kiedy indziej zaś wiadomość przekazaną przez posłańca od piekarza. Zdołała zająć się czteropiętrowym tortem, kościołem i projektami ślubnej sukni Prudence, którą z koronki sprowadzonej z Londynu i jedwabiu z Paryża szyla Fay Broughdale, najmodniejsza i najdroższa krawcowa w Edynburgu.

Robert był w tym czasie niezwykle bezbarwny zarówno w domu, jak i w pracy. Nie proponował żadnych poważnych pożyczek ani inwestycji, był uprzejmy dla swego personelu i z nim się nie kłócił. Przy niedzielnym stole obiadowym, będącym tradycyjnym polem bitwy rodziny Watsonów, wypowiadał mało zdań godnych zapamiętania i nie mówił niczego, co byłoby nieuprzejme. Pewnego ranka, gdy wszyscy razem zasiedli do śniadania złożonego z cynaderek, szynki i zupy z wędzonej ryby, ziemniaków i masła podawanej z grzankami i pieprzem, Thomas Watson skomentował tę sytuację.

– Myślę, że małżeństwo dobrze ci zrobi, Robercie. Jesteś lepszym człowiekiem, odkąd poznałeś Prudence, choć mówię to pod przymusem.

– A cóż cię do tego zmusza, ojcze? – zapytał Robert łagodnie.

– No cóż... ten niemowlak. Nie świadczy dobrze o moralności tej dziewczyny.

– Niezbyt dobrze mówi to również o Dougalu.

– Sercem opowiadałem się za twoim małżeństwem z Elizabeth Culross-Houper. Wiesz o tym. Dziewczyna moralna, jeśli w ogóle takie istnieją. Z dobrej rodziny, z dobrą opinią...

– I z twarzą jak śnięty łoś.

Thomas Watson zamruczał coś pod nosem, ale nic już nie powiedział na ten temat. Podobnie jak niegdyś miał nadzieję na jakiś związek między Robertem a Elizabeth Culross-Houper, gdyż przyniosłby on trochę silnej i arystokratycznej krwi rodzinie Watsonów, tak teraz nie był całkiem niezadowolony z Prudence. Mówiła poprawnie, nosiła się z dumą i była naprawdę ładna. Wszystkim przeciwko czemu mógłby protestować, był jej brak dobrego pochodzenia, nieślubne dziecko i fakt, że to on sam będzie musiał zapłacić za całe jej wesele. Jednak zważywszy wszystko, właściwie trudno było ją obwiniać za brak rodziców, a tylko połowicznie za Williama Alberta.

Kilka dni temu przechodził obok bawialni i widział Prudence, która szła tam w padającym za nią świetle poranka. Zdał sobie sprawę, że podziwia jej długą, wdzięczną szyję, wygięcie rzęs i pełnię piersi. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego, a on w odpowiedzi skinął głową. Święty Tomaszu Życzliwy, ona na pewno była taką dziewczyną, jaką każdy silny teść

chciałby mieć w domu, choćby tylko dla tych okazjonalnych córczynyh buziaków, tych mignięć nóżki w kostce i takich ulotnych fortunnych chwil, gdy słońce prześwieca przez delikatny batyst belgijskiej bluzki.

Pani McNab, uskrzydłona nadchodzącym ślubem, unosiła się ku czemuś bardzo bliskiemu nieba. Śpiewała, szczebiotała i biegła po domu z przepisami na kuropatwę, filet z łupacza w plastrach bekonu, chrzanową zapiekankę z dorsza z ziemniakami i tak często sprawdzała ustalenia dotyczące weselnego śniadania, że mogła na pamięć recytować zarówno menu, jak i plan miejsc, jakie mieli zająć goście (Sędzia z Cuper tutaj, Lady Bride-Gordon tu...), a także wymieniać kwiaty i dekoracje, jakie ozdobią stół. Słyszano, że nawet Russel pogwizdywał, majstrując przy samochodzie Roberta i z uporem wyciskał z niego wszystkie moce silnika. A Effie... chociaż Effie było przykro z powodu małego Williama Alberta, którego odesłano do znajomych, państwa Craigów do St. Andrews, i chociaż wiedziała, że Prudence poślubia Roberta raczej dla schronienia i pieniędzy, jakie jej oferował, niż z miłości... nawet Effie dała się porwać szczęściu tego wydarzenia i ekscytacji ślubem w bieli. Poszła z Prudence do pracowni krawieckiej na pierwszą przymiarkę ślubnej sukni i nie czuła nic prócz zazdrości, patrząc na przyszłą bratową stojącą przed lustrem w niezliczonych metrach wytwornego francuskiego jedwabiu, który połyskiwał i falował jakby był żywy, i w welonie, który wyrastał z jej głowy w wianku z koronki i pereł, a potem opadał na twarz w najbardziej ulotnym i najpiękniejszym z obłoków. Prudence płakała, owym śmiesznym łkaniem przyjemności i przykrości, ponieważ bardzo tęskniła za Williamem, lecz także dlatego, że wiedziała i prawdopodobnie nie mogłaby zrobić nic lepszego, niż poślubić człowieka takiego jak Robert. Effie musiała odwrócić się do okna i uporczywie wpatrywać w widoczną za nim brukowaną pochyłość Henover Street, bo jej własne oczy napełniły się łzami.

Jednak w ostatnim tygodniu marca, dwa dni przed ślubem, w drzwiach domu przy Charlotte Square 14, zjawił się jakiś niezdarny człowiek w meloniku i długim czarnym płaszczu i poprosił o pilną rozmowę z panią Watson. Mżył wczesnopołudniowy deszcz, ale mężczyzna nie przyjął zaproszenia, aby wejść do holu i stał w miejscu, na progu, z melonikiem w dłoni, zgarbiony, z haczykowatym nosem, zwiastun złych wiadomości o innych ludziach. Niespeszony dwukrotnie pociągnął nosem, był bowiem człowiekiem, który nigdy nie nosił chusteczki.

Fiona Watson przyszła szybko, szeleszcząc spódnicą po podłodze.

– Co się stało? – zapytała. – Chodzi o pana McFarlane'a, prawda? Proszę mi powiedzieć, co się stało?

Przybysz nakłonił ją, aby zeszła na chodnik przed domem. Mimo dżdżu poszła za nim. Effie, która właśnie przechodziła przez hol w drodze do swego pokoju na piętrze, zawahała się, widząc, że frontowe drzwi są



otwarte, a kiedy zobaczyła, że matka stoi na zewnątrz, rozmawiając uważnie z kimś tak niedorzecznym i osobliwym, pospieszyła na ganek. Popołudnie na zewnątrz było niemal liliowe od deszczu, a taksówki przejeżdżały obok ze świstem opon i szcękaniem błotników.

– Mamo? – zapytała Effie z najwyższego stopnia ganku.

Fiona Watson podniosła wzrok. Jej twarz była blada jak kamień na dnie strumienia i zdawała się równie niema. Powiedziała coś, ale Effie nie mogła jej zrozumieć; coś co brzmiało jak „koniec”, a może „bez końca”.

– Mamo? – powtórzyła Effie. – O co chodzi? Co się stało?

– Przynieś mi portmonetkę – tylko tyle odpowiedziała matka, a potem dodała: – Pospiesz się, Effie. Muszę zapłacić temu panu za fatygę.

Gdy Effie przyniosła portmonetkę, Fiona Watson wcisnęła pół korony w dłoń mężczyzny i dopiero wtedy weszła na schody z lekkim deszczem lśniącym w jej włosach i wyciągnęła rękę po dłoń córki.

– Mamo, czy stało się coś złego? Kim był ten człowiek?

– Był tylko posłańcem, starym znajomym z tamtych uliczek.

– Mamo?

Fiona Watson podniosła głowę i zamknęła oczy.

– Jamie nie żyje – powiedziała wyraźnym szeptem. – Znaleziono go w domu siostry, przed godziną, otruł się gazem. Jego przesłuchanie miało się zacząć jutro.

– Och, mamo... Mamo, kochana... – szeptała Effie.

Fiona Watson otworzyła oczy i szybko przycisnęła jej dłoń do swego policzka.

– Był dość roztropny, by nie zostawiać żadnego listu. Oczywiście nie chciał mnie wplątać w cokolwiek.

Effie wyciągnęła ręce, żeby objąć matkę bliżej.

– Nie, wszystko w porządku – powiedziała Fiona. – Czuję się całkiem dobrze. Dziękuję Effie. Czuję się całkiem dobrze.

Effie stała, patrząc jak matka powoli, z bolesną godnością zmierza do podnóża schodów, a potem wchodzi na piętro do swego pokoju i zamyka za sobą drzwi. „Dałem jej więcej pieniędzy, niż dostała którakolwiek kobieta w historii Szkocji” – powiedział jej ojciec. Pieniądze i nic innego oprócz kłótlivej rodziny i kochanka, który otruł się gazem...

To, co zdarzyło się tamtej nocy, nadeszło z taką groteskową nieuchronnością, że nie zaskoczyło nikogo; nawet tych, którzy byli tym głęboko zrozpaczeni. Rozegrał się ostatni akt melodramatu tak przejmującego i tak destrukcyjnego, że nawet jego widzowie nie mogli wyjść z niego bez szwanku.

Było kilka minut po drugiej w nocy. Zerwał się wiatr i wiał z zachodniej północy, od strony czarnych pomarszczonych grzbietów Grampianów, na wschód wzdłuż doliny Forth, od Bannockburn i Bo'ness, a był przy tym równie ostry i bezwzględny jak pazury drapiące skałę. Uderzał w okna i wiał w kominach domu przy Charlotte Square, więc Effie nie śpiąc, leżała w łóżku i wyobrażała sobie, tak jak wtedy gdy była małą dziewczynką, że oto znalazłszy się w stolicy mroźnej Północy, jest księżniczką osamotnioną w jakimś odległym i nieprzyjaznym królestwie.

Pamiętała, że zegar w holu wydzwonił drugą. Potem chyba zasnęła na kilka minut, bo obudził ją odgłos szlochu. Dźwięk był wysoki, lecz stłumiony, jakby ktoś płakał w poduszkę lub zakrywał sobie twarz rękami. Najpierw pomyślała, że to William Albert, mały przyszyły Alisdair, ale potem przypomniała sobie, że chłopczyk przebywa w St Andrews. Usiadła w łóżku; przez kilka minut było cicho, a potem znów rozległo się łkanie i wtedy uświadomiła sobie, że ten odgłos biegnący przez hol pochodzi z sypialni rodziców.

Później, w snach i nocnych koszmarach przebiegała ten podest jeszcze setki razy, bosymi stopami mknąc po wypolerowanych deskach, a potem cicho stąpając po perskich dywanach. Raz za razem miała otwierać drzwi do sypialni rodziców, tak że ich otwieranie i zamykanie wciąż na nowo plamiło jej pamięć niczym opadające ostrze jaworowego nasionka. Jednak to co ujrzała, zatrzymując się w nogach łóża rodziców, było tak przerażające jak jej pierwsze wrażenie czegoś potwornego, tak żywe jak utopiony kot, którego znalazła w rzece Forth i tak wyraźne jak obrazek w książce do szkółki niedzielnej o świętej Katarzynie łamanej kołem.

Matka siedziała w kucki w kącie sypialni za toaletką, gryząc własną rękę, trzęsąc się i szlochając. Ojciec zaś leżał na plecach na łóżku, w nocnej koszuli, z palcami sinymi i sterczącymi ku górze jak świeżo złowione krewetki przed ugotowaniem. Na biurku pozytywka-szkatułka z klejnotami matki z niepojętej przyczyny wciąż była otwarta i wygrywała uverturę do niecieszącej się popularnością opery „Nourjahad” Edwarda Jamesa Lodera.

– Mamo? Mamo, co się stało? Ojciec? – pytała Effie.

Matka patrzyła na nią i wydała z siebie krzyk, który bardziej przypominał krzyk jakiegoś dziwnego zwierzęcia niż ludzkiej istoty. Effie podeszła do łóżka i wtedy zobaczyła, co się stało. Ojciec był martwy, uduszony wepchniętymi do ust szkockimi banknotami. Miał szeroko otwarte oczy, a jego dłonie z nieustępliwością nagłej śmierci wciąż ścisnęły prześcieradła. Możesz mnie zabić, wołała jego twarz, ale ja nie umrę!

– Mamo? – wyszeptwała Effie.

Matka nie odpowiedziała, tylko zawodziła cicho.

Effie, przerażona i wstrząśnięta, pochyliła się nad ojcem i przyłożyła ucho do jego piersi. Nie słyszała bicia serca, tylko cichy, straszliwy wyziew technienia, gdy nacisnęła płuca. Oczy ojca wciąż były szeroko otwarte i bacznie wpatrzone w sufit, jakby zobaczył tam coś wyjątkowo ciekawego: jakiś niezwykły znaczek pocztowy albo rzadki okaz motyla.

– Nie żyje – powiedziała ze zgrozą Effie.

Fiona Watson spojrzała na nią z kąta, w którym siedziała zwinięta w kukki.

– Tak – potwierdziła. – Nie poradził sobie z pieniędzmi.

Ostrożnie, ze wstrętem, Effie wyciągnęła pierwsze dwa banknoty pięćofuntowe wystające spodziemy zsiniałych warg. Były rozmiękle, przemoczone śliną. Następnie małym palcem wyjęła kolejne, zgniecione i mokre, z ust, gardła, a nawet z tchawicy. Rozłożyła wszystkie pieniądze na końcu łóżka, całe pięć tysięcy funtów, rozprostowując mokre i zgniecione banknoty i układając je starannie jeden obok drugiego.

– Powiedział, że muszę być mu wdzięczna, bo daje mi tyle pieniędzy – wyszeptala Fiona Watson. – Jednak czym były pieniądze bez miłości i bez szacunku? Ja nawet nie widziałam tych pieniędzy. Ale widziałam, że mnie nie kocha, że to, co rzekomo miało się dziać między nami w łóżku, nie było niczym więcej niż wątpliwym obowiązkiem, sposobem płodzenia dzieci, i że po urodzeniu ciebie, jego trzeciego dziecka, jego jedynej córki, sypanie ze mną nie było już konieczne. Istnieją tacy mężczyźni. Faktycznie wiele jest również takich kobiet, ale obawiam się, że ja nie jestem jedną z nich. Pragnęłam czegoś więcej niż pieniędzy, czegoś więcej niż dzieci i czegoś więcej niż bezpieczeństwa. Pragnęłam czegoś więcej niż twój ojciec był zdolny mi dać.

Wstała, posągowo, jakby wszystkie jej stawy zeszywniały i podeszła do brzegu łóżka. Oparta o mosiężną poręcz, z wyrazem żalu, a nawet osamotnienia, ale bez choćby najmniejszej odrobiny czułości, spoglądała na ciało męża, którego udusiła.

– Był jak świnia – powiedziała jadownicie i lzy spłynęły jej po policzkach. – Początkowo nie odczuwałam do niego niechęci. Możesz w to uwierzyć? Gdy go poznałam, pomyślałam, że jest cudowny. A on był taką świnia...

Effie wzięła matkę w ramiona i mocno przytuliła, głaszcząc i kołysząc ją w taki sam sposób, w jaki matka niedawno kołysała ją.

– Kocham cię – szeptała do matczynego ucha, raz za razem, monotonnie, aż oczy matki zaczęły się zamykać, chociaż wciąż stała, i dopóki nie zaczęła oddychać szorstko i głęboko, jak ktoś kto zapadł w sen, ale śni o dziwnych rozmowach, okropnych problemach i kobietach z twarzami czerwonymi jak stopiona stal, chodzącymi po parkach, gdzie bawią się dzieci. W okno wciąż stukał wiatr-duch ze szkockich gór bez imienia i

domu.

– Mamo – powiedziała Effie. – Będę musiała powiedzieć Robertowi. Matka spojrzała na nią bacznie.

– Robertowi?

– Będzie musiał się dowiedzieć.

– Ależ oczywiście. Będzie musiał przyjść na pogrzeb, nieprawdaż? Nie można oczekiwać, by chłopiec nie przybył na pogrzeb własnego ojca.

– Mamo, trzeba także pomyśleć o policji.

– O policji? Nawet nie wiem, o czym mówisz. O jakiej policji? Policja tylko zadaje pytania. Który policjant mógłby w ogóle zrozumieć, co oznaczało trzydziestoletnie małżeństwo z mężczyzną takim jak ten? Który policjant uwierzy, co on mi zrobił dzisiejszej nocy, jak zaaranżował zniszczenie Jamiego i jak, prawdopodobnie, również go zabił. Twój ojciec dręczył moje ciało i duszę, a to co widzisz na naszym łóżku, jest ostatecznym dowodem, że dłużej nie mogłam go znieść. Jest martwy. Na zawsze znika z naszego życia.

Effie dotknęła koronkowego kołnierzyka nocnej koszuli matki, tak jak robi to dziecko.

– Co się stało? Pokłóciliście się?

Fiona przesunęła ręką po włosach i pochyliła głowę.

– Mówił o Jamiem i jasno dał mi do zrozumienia, że to on stał za oskarżeniem go. Zamordował Jamiego, rozumiesz, tak samo jakby chwycił go za gardło i udusił! Twój ojciec był wyjątkowo pomysłowy, jeśli chodziło o to, by mieć pewność, że Jamie jest kompletnie zrujnowany. O, tak! Dopilnował, żeby Jamie stracił mieszkanie, pracę i szacunek mieszkańców slumsów. Ci ludzie potrafią wybaczyć większość przestępstw. Kradzieże, pobicia, oszustwa, nożownictwo. Nigdy jednak nie wybaczą przestępstw, które wiążą się z zasadami moralnymi, z seksem. Są w większości znacznie bardziej pruderyjni, niż można to sobie wyobrazić. A kiedy chodzi o dzieci, wybaczą jeszcze mniej. Jamie wiedział, że już nigdy nie będzie mógł przejść przez tamtą dzielnicę, nawet gdyby został uniewinniony. Nie mógł też znowu spotkać mnie. Zniknęły wszystkie powody, dla których chciałby żyć...

Stała równie spokojna jak alabastrowy posąg i lzy płynęły jej po twarzy.

– Nie widziałam żadnego powodu – powiedziała po chwili chropawym głosem – dla którego Jamie umarł, a jego prześladowca miałby pozostać przy życiu. Rozumiesz mnie? Właśnie to powiedziałam dzisiejszej nocy twojemu ojcu. To mu oświadczyłam. A wiesz, co on zrobił? Wyśmiał mnie i spoliczkował, a gdy wreszcie próbowałam się przespać, wykręcił mi ręce i zaatakował tym – podniosła ze zmiętej pościeli swoją szczotkę do włosów z rączką z kości słoniowej. – Nie uderzył mnie nią, Effie. Wbił ją we mnie, do środka. Powiedział... – głos jej się załamał, a ramiona zaczęły się trząść –

...powiedział, że ja... że jestem kobietą bez czci i godności... kobietą, która sama się zrujnowała... i że... nic więcej nie może mnie zniszczyć...

Effie ze zgrozą obróciła się w stronę łóżka, gdzie leżał jej ojciec. Martwy. Nagle zaczynał do niej docierać fakt, że był teraz ciałem, trupem. Mój ojciec, mój prawdziwy ojciec jest martwy i leży sztywny, z szeroko otwartymi oczami, na tym łóżku. On nie żyje.

– W garderobie było tak dużo pieniędzy – mówiła drżącym głosem Fiona Watson. – Mnóstwo! Więc kiedy zasnął... ja wyciągnęłam te pieniądze... i wepchnęłam mu je... palcem prosto do gardła... setki funtów... tysiące... dławił się i dusił... ale było za późno... udusił się własnymi pieniędzmi... ale trzeba... trzeba... trzeba było tysięcy... żeby go zabić, Effie... tysiące...

Effie patrzyła na leżące na łóżku pogniecione pieniądze i zsiniałe palce martwego ojca. Wiatr westchnął sarkastycznie w kominku, gdzie wieczorne węgle dawno wygasły i spopielaly.

Odruchowo uniosła przewieszony przez oparcie krzesła szal ze szkockiej wełny i otuliła nim ramiona matki, starając się powstrzymać jej drżenie. Matka owinęła się nim, jakby była dziewięćdziesięcioletnią staruszką, po czym powoli ruszyła przez pokój ku stojącej obok drzwi rzeźbionej skrzyni i na niej usiadła. Przywiozła tę skrzynię ze sobą po ślubie z Thomasem Watsonem, starannie wypełnioną przez jej własną matkę posagową bielizną pościelową i koronkami, W noc jego śmierci wróciła do niej i usiadła. Na swoim własnym gruncie.

Drzwi uchyliły się lekko. To był Robert ze świecą w mosiężnym świeczniku, pospiesznie owinięty pikowanym szlafrokiem z purpurowego jedwabiu.

– Usłyszałem hałasy – powiedział, a potem zobaczył ojca i jęknął: – O Boże...

Nie uczynił jednak żadnej próby, by podejść bliżej, sprawdzić puls ojca czy przyłożyć lusterko do ojcowskich warg, żeby zobaczyć, czy jeszcze oddycha. Zrozumiał natychmiast, tak jak wcześniej rozumiała to Effie, że skoro matka została doprowadzona do tego, by zrobić ojcu coś złego, to zrobiła to do końca, nie pozwalając mu na oddech ani nie dając możliwości zemsty.

– Nie żyje? – zapytał, chcąc się tylko upewnić.

Kiedy Effie skinęła głową, rozejrzał się wokół, a potem spojrzął na podłogę i zakrył usta dłonią, jakby właśnie wydarzyło się coś wyjątkowego dla niego, jakiś najwspanialszy moment.

I oczywiście tak było. Po śmierci i pogrzebie ojca, który odbył się tydzień później w oznaczonej celtyckim krzyżem kwaterze Watsonów na cmentarzu Kilmory leżącym nad jeziorem Caolisport, Robert odziedziczył Watson's Bank w całości, przejmując go bez sprzeciwu Dougala i ingerencji matki. Doktor Campbell czuł się zobowiązany do poinformowania o śmierci Thomasa Watsona pana prokuratora Charlesa Longa, z uprzedzającą grzecznością udzielając przy tym wyjątkowo dygresyjnego objaśnienia o zgonach, do których dochodziło w „złożonych okolicznościach”. Jednakże w dniu poprzedzającym wstępne przesłuchanie sądowe Robert zaprosił pana Longa na elegancki obiad i uświadomił mu, jak głęboko byłby zasmucony, gdyby pamięć ojca miała być znieważona lub splamiona i jak nieuchronnie prowadziłoby to do jakiegoś runu na bank, co z kolei zmusiłoby bank do ponownego rozważenia warunków kredytu udzielonego przed rokiem farmie hodowlanej pana Longa na wzgórzach Breadalbane.

Siedzieli w Oyster Bar w Café Royal przy West Register Street pod gotyckimi witrażami z wizerunkami sportsmenów – kręglarza, tenisisty, łuczniczka oraz jeźdźca – i jedli łososia, wypijając przy tym odrobinę słodowej whisky z Pitlochry. Siwowłosy pan Long o wielkiej, końskiej twarzy, wydawał się zdecydowanie nieszczęśliwy, częściowo z powodu ciężkiego przeziębienia, częściowo zaś z powodu wywieranego przez Roberta nacisku, aby potraktował śmierć Thomasa Watsona jako skutek „niewydolności serca”.

– David Campbell powiedział, że twój ojciec się udusił, a raczej udławił – rzekł, rozrywając rogalik. – Dał mi również do zrozumienia, że to udławienie mogło być, a kiedy ja mówię „mogło być”, to znaczy, że prawdopodobnie było, przez kogoś zadane, i że uszkodzenia w tchawicy wskazywały, iż wciśnięto tam jakiś materiał uniemożliwiający oddychanie. Przepuszczalnie papier lub bawełnę...

Robert wyprostował się na krześle, na którym siedział. W żółtawym świetle padającym z witraża wyglądał jak mandaryn, spokojny i nieprzenikniony.

– Czy David miał jeszcze inne sugestie? – zapytał. – Kto jego zdaniem mógłby popełnić tak haniebną i nieprawdopodobną czyn?

Pan Long odłożył nóż i widelec.

– Rozumiesz, że to wszystko jest wyjątkowo kłopotliwe. Wszak znałem twojego ojca, ciebie i całą rodzinę od tak wielu lat. Jednak faktem jest, iż David Campbell zapoznał mnie z dość sensownym dowodem, że... cóż... że sprawczynią mogła być twoja matka.

– Moja matka? Czy on oszalał?

Pan Long wruszył ramionami i dołączył sobie nieco whisky.

– Nie, Robercie, on nie oszalał. Ten dowód brzmi całkiem przekonująco. W istocie... a muszę być z tobą szczerą... w normalnych okolicznościach wnioskowałbym o wyrok skazujący. Twoja matka często odwiedzała doktora Campbella i zwierzała mu się, jak bardzo nienawidzi twego ojca i jak bardzo chciałaby zobaczyć go martwym, a jeśli dodać jej osobistą historię choroby do tego, co doktor Campbell zastał na miejscu... do owych uszkodzeń tchawicy, zadrapań na twarzy spowodowanych najprawdopodobniej kobiecą ręką... wtedy, cóż... zapewne można zrozumieć mój dylemat.

Robert spokojnie zjadł swój rogalik, a potem podniósł do ust widelec z łososiem. Spojrzał panu Longowi prosto w oczy i uśmiechnął się.

– Chyba traktuje pan to znacznie poważniej, niż należy.

– Cóż – odparł pan Long – to zależy, jakie zapewnienie możesz mi złożyć.

– Mogę panu zapewnić kredyt, jeśli tego pan sobie życzy.

– Robercie, wiesz, że potrzebuję czegoś więcej.

Robert przeżuł łososia, a potem starannie wytarł usta serwetką.

– Jestem na to przygotowany i złożę panu pewną ofertę. Jednak jej nie powtórzę, więc jeśli zostanie odrzucona, może pan zapomnieć o swojej farmie hodowlanej i o jakichkolwiek pomysłach na finansową czy polityczną współpracę z Watson's Bank w przyszłości. Godzę się z tym, że muszę pójść na pewne ustępstwo i to robię. Proszę jednak nie naciskać mnie mocniej.

Prokurator nie powiedział ani słowa, a tylko uniósł głowę z całą bezsilną godnością, na jaką mógł się zdobyć. Jakiś mężczyzna przy barze wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

– Odeślę swoją matkę do domu opieki w Dunkeld – mówił dalej Robert.

– Pozostanie tam przynajmniej dziesięć lat, pod dobrą opieką, ale odizolowana. Oficjalnie oświadczymy, że śmierć męża przyprawiła ją o załamanie nerwowe i musi teraz powoli powrócić do zdrowia. Zagwarantuję panu prywatne kredyty na bydło i udostępnię kolejne dwadzieścia pięć tysięcy funtów, jeśli się pan o nie zwróci. Nie będę sprawiał kłopotu i nie oczekuję od pana niczego więcej.

Pan Long z niezadowoleniem potarł kark.

– Musisz mi dać czas do namysłu.

– Nie ma czasu – odparł Robert. – Jestem bliski podjęcia kilku nowych projektów finansowych i muszę wiedzieć teraz. Żaden, nawet najmniejszy cień skandalu nie może się wiązać z Watson's Bank, szczególnie za mną osobiście czy z moimi rodzicami.

Pan Long wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos.

– Pochowaliście ojca w cudownym miejscu – rzekł. – Rozciąga się stamtąd piękny widok.

– Wątpię, czy mojego ojca to obchodzi – odparł Robert – ale mnie na pewno obchodzi jutrzejsze przesłuchanie.

– A mnie nie obchodzą twoje groźby – powiedział pan Long. – Grozisz mi, Robercie, a ja się tym nie przejmuję. Poruszasz się po śliskim gruncie.

Robert uniósł rękę, by zwrócić uwagę kelnera.

– Proszę mi podać więcej ciemnego chleba – rzekł krótko, a potem zwrócił się do pana Longa. – Chyba pan zapomniał, że rozmawia z Watsonem. W istocie jestem pewien, że pan zapomniał, skoro mówi pan tak nierozważnie. Pamięta pan zapewne to porozumienie, które zawarł pan w zeszłym roku z panem Buchananem w sprawie oszustwa majątkowego, jakie rzekomo popełnił w Leith? Na pewno pan pamięta! Zwłaszcza że pańska leciwa matka mieszka teraz bez opłat czynszowych w tym pięknym domu w Water's Close. Jakże mógłby pan zapomnieć?

Pan Long pociągnął nosem i zakaszłał. Wydawał się w najwyższym stopniu zboląły.

– Naprawdę wyślesz matkę do Dunkeld? – zapytał w końcu.

Robert skinął głową.

– Dobrze, więc przypuszczam, że będzie można powiedzieć, iż jesteśmy zgodni, że zgon twego ojca był naturalny. A poza tym papier w jego tchawicy, to dość naciągane, nie sądzisz? Muszę porozmawiać o tym z Davidem.

– Już z nim rozmawiałem – rzeki Robert.

Zapadło lodowate milczenie. Pan Long zastygł ze szklaneczką whisky uniesioną do ust i oczami równie wodnistymi jak świeżo otwarte ostrygi, które kelnerzy układali obok niego na cynowych tacach.

– Co mu powiedziałeś? – zapytał prokurator.

– Och, nic wielkiego – odparł Robert w niewymuszony sposób. – Jednak doktor Campbell zgodził się ze mną, że dobiega wieku emerytalnego i że chyba byłoby lepiej, gdyby wyjechał z siostrą do St. Cyrus, gdzie mógłby hodować swoje teriery, zamiast poświęcać się praktyce medycznej w Edynburgu.

Pan Long ostrożnie wypił nieco whisky, po czym odstawił szklaneczkę.

– Widzę, że odziedziczyłeś wszystkie zdolności swego ojca – powiedział chrapliwie.

Robert promieniejąc, odchylił się w krzesło i sięgnął po kieszonkowy złoty zegarek na łańcuszku.

– Będę musiał teraz pana zostawić, Charles – rzekł. – Interesy wzywają! Czy będzie pan mieć coś przeciwko temu, jeśli poproszę, by uregulował pan rachunek za nasz obiad?

Prokurator pokręcił głową.

– Nie. Ten obiad jest najmniejszą ceną, jaką muszę zapłacić i pan o tym wie.



Robert i Prudence pobrali się w pierwszym tygodniu kwietnia w edynburskiej katedrze pod wezwaniem św. Idziego podczas ceremonii, która zasłynęła jako Czarny Ślub. Szanując pamięć Thomasa Watsona, Prudence zrezygnowała z jedwabnej białej sukni, a zamiast niej nosiła suknię o barwie gagatu pokrytą czarną koronką z Nottingham naszywaną dżetami, zaś zamiast diademem i welonu – czarną mantylę. Nawet druhny ubrane były na czarno, a sam Robert wystąpił w czarnym żakiecie i ponurym szkockim stroju Malcolmów. Przed katedrą, na brukowanym dziedzińcu gwardia honorowa szkockich górali z Argyle i Sutherland wybiła długi, szybki tryl na werblach, co skłoniło korespondenta „Scotsmana” do następującej relacji: „Czułem się tak, jakbym był świadkiem wydarzenia znacznie bardziej doniosłego niż ślub, bowiem te wściekle uderzenia werbli kazały mi myśleć o tak przerażających i dramatycznych czasach w historii jak bitwa na polach Flodden, walki na wrzosowiskach Culloden i rok 1745. Dopiero gdy panna młoda i oblubieniec odjechali w majestatycznym czarnym albionie, wróciłem do równowagi i uświadomiłem sobie, że znów jestem we współczesności, na ceremonii zaślubin, która charakteryzowała się głównie ludzkim i niepojętym żalem jej uczestników”.

Nowożeńcy mieli spędzić krótki, trzytygodniowy miesiąc miodowy w górach, głównie w zwieńczonym licznymi wieżyczkami zamku Craigievar, niedaleko Balmoral. Prudence była ubrana w podróżną suknię w kolorze jasnoniebieskim, dopasowany kolorem niebieski kapeluszy i niebieski welniany płaszcz doskonale uszyty przez Madame Cheruit z Paryża. Effie, która na weselne śniadanie ubrała białą suknię od Douceta z jasnożółtą aplikacją, tuż przed ich wyjazdem poszła na górę do błękitnego pokoju, aby życzyć Prudence wszystkiego najlepszego. Zastała ją siedzącą na łóżku, wpatrującą się w niebieski wzór na dywanie, bladą i zmęczoną w ostrym świetle kwietniowego słońca, które wypełniało wnętrze.

– Prudence? – zapytała łagodnie.

Prudence obdarzyła ją szybkim uśmiechem, a potem znowu odwróciła wzrok.

– Prudence – pytała Effie – Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

– Oczywiście – odpowiedziała Prudence mimowolnie łamiącym się głosem. – Dlaczego nie miałabym się dobrze czuć?

Effie usiadła obok niej.

– Och, Prudence, wiesz, że zawsze zrobię wszystko co w mojej mocy, by się o ciebie zatroszczyć.

– Wiem – odparła Prudence. – Rzecz w tym, że twoje najlepsze starania mogą nie wystarczyć.

– Nie rozumiem – rzekła Effie.

Jedna łza spłynęła po prawym policzku Prudence niczym śliski diament.

– Nie oczekuję, żebyś rozumiała. Chcę tylko, żebyś tutaj była. Będziesz tu zawsze? Musisz. Nie mam nikogo innego.

Effie objęła Prudence i pocałowała ją w policzek.

– Prudence, wiesz, że zawsze tu będę. Obiecuję.

– Och, nie możesz składać takiej obietnicy – powiedziała Prudence. – Musisz żyć własnym życiem. Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Nie słuchaj mnie, gdy jestem w takim stanie. Jestem po prostu roztrzęsiona. Ten ślub i wszystko... Chyba było tego za dużo jak dla mnie.

Otarła oczy i starała się wyglądać na szczęśliwą. Przecież Effie, tak młoda, tak śliczna i taka radosna, nie mogła dzielić z nią goryczy świadomości, że jej synem będą się opiekować obcy, że będzie karmiony butelką i w jakimś obcym wózku wożony wzdłuż wybrzeża w St Andrews, w cieniu ruin kościoła St Rules, że pieszczotliwie będą do niego przemawiać leciwe damy, a zabawiać go będą wąsaci starcy, gdy każdego ranka obudzi się w kołysce ze słońcem zasnutym przez te wschodnie morskie mgły, które ludzie z północy nazywają „haarsami”, bez mamy, bez żadnego z tych serdecznie szepczanych czułych słów, które tylko matka może powiedzieć dziecku, kołysząc do snu albo opowiadając o duszkach, które przylecą i skradną je na zawsze...

Inną gorycz, której Effie nie mogła z nią dzielić, było to, co wydarzyło się po ślubnych uroczystościach, po tym jak Robert przywiózł ją do domu przy Charlotte Square 14 i przeniósł, śmiejąc się, przez próg. Gdy tylko znaleźli się na piętrze w sypialni, śmiech nagle zamarł i kiedy Prudence wirowała, śpiewając, nagle uświadomiła sobie, jak cicho było w pokoju, ponieważ Robert przekręcił klucz w drzwiach i teraz stał przed nią z rękami na biodrach, lekko wytrzeszczając oczy, brzydszy i bardziej podobny do morsa niż kiedykolwiek wcześniej. Z pewnością nie był to ten spokojny, serdeczny Robert, który w katedrze, zaledwie pół godziny wcześniej, ujął jej dłoń, wsunął na palec ślubną obrączkę, pocałował ją i obiecał całe swoje ziemskie bogactwo.

– Robercie? – zapytała, a na dole skrzypek zaczął grać frywolną szkocką piosenkę „Nadobna Peggy Alison”.

*Tak chcę cię pocałować już  
I znów całować pragnę,  
Gdy już weselny wybił dzwon  
Nadobnej Peggy Alison.*

Robert trzema gwałtownymi szarpnięciami rozebrał się z czarnego żakietu i rzucił go na drugą stronę łóżka. Prudence, w czerni, zdjęła swą czarną mantylę, czyniąc to posłusznie, ale też obronnie.

– Robercie? – powtórzyła spokojniej, bo uświadomiła sobie, że jej nie odpowiedział.

Zrobił dwa kroki do przodu i chwyciwszy jej lewy nadgarstek wciąż osłonięty jedwabiem czarnej rękawiczki, ścisnął go tak mocno, że była zaszokowana, niezdolna do ruchu, a przy tym zbyt przerażona i zdumiona, by się wyrwać.

– Jesteś teraz moją żoną – powiedział, wpatrując się w nią. – Jesteś moją własnością. Rozumiesz to, prawda? Należysz do mnie całkowicie.

W prymitywnym prostackim pośpiechu pchnął ją w stronę łóżka. Ze wszystkich sił, ale nadaremnie, próbowała mu się wyrwać, ale obrócił ją i wciąż ściskając za nadgarstek, uniósł i cisnął na ścianę sypialni. Mała akwaforta przedstawiająca brzozy w Aberfeldy przekrzywiła się, a niewielki niebieski wazon stojący obok łóżka spadł i potoczył się po dywanie.

Zadne z nich nic nie mówiło. Walka była zbyt zaciekła na słowa. Robert chwycił drugą rękę Prudence i wręcz zawiesił ją z obiema dłońmi nad głową na tapecie malowanej w bławatki. Całował ją i kasał w szyję, wydychając woń whisky i biszkoptów wprost w jej usta. Gryzła go, rozkrwawiając mu wargi, ale w odpowiedzi raz za razem bił jej uniesionymi nadgarstkami o ścianę.

Potem zmienił uścisk tak, że chwycił obydwa jej nadgarstki jedną ręką. Wolną prawą i kolanami uniósł suto marszczony dół czarnej ślubnej sukni i pięć haftowanych halek, aż odsłonił podwiązki, pończochy i kremowe, jedwabne majtki. Prudence jęknęła i szamotała się, ale Robert był zarówno ciężki i silny, jak i obdarzony tą samą nieustępliwą, niezachwianą pewnością, jaką miał jego ojciec, że zawsze dostaje to, czego pragnie. Rozdarł kremowe majtki, brutalnie wchodząc w jej ciało i rozrywając koronki, więc chociaż miała zamknięte oczy, czuła, jak jest blisko, ciągle mając jego oddech na szyi. Potem uniósł własną spódnicę, ów szkocki strój Malcolmów, i wyjął stojący purpurowy penis oraz ciemno owłosione jądra, a ona, gdy w końcu otworzyła oczy, w odbijającym szkle jednego ze sztychów na przeciwnej ścianie ujrzała jego wielkie białe okrągłe pośladki z czarną włochatą szparą.

Stękając, wdzierał się w jej suchy, zaciśnięty srom.

– Jesteś teraz moja, rozumiesz? – powiedział.

Nie odpowiedziała, z odchyłoną szyją, nie mogąc złapać tchu ze strachu i poczucia beznadziejności.

– Rozumiesz, że należysz do mnie?

– Nie – wyszeptła, a kiedy to powiedziała, wdarł się między jej wargi i całą długością wcisnął się w jej wnętrze.

Uwolnił jej nadgarstki, ale wziął ją z taką siłą i zachłannością, że była przerażona, iż ją zabije. Z uniesioną szkocką spódnicą wbił się między jej nagie białe uda, okryte jej halkami i żałobną suknią, jak człowiek brodzący

lekkomyślnie i szaleńczo w najciemniejszym i najbardziej spienionym z jezior. Wbijał się w nią, wbijał i wbijał, aż Prudence nie wiedziała już, czy się wstydzi czy jest podniecona, aż wkręciła palce w czarne kłęby włosów w szparze między jego pośladkami i pociągnęła szaleńczo, żeby go zabolalo, żeby go powstrzymać, żeby go ponaglić.

– Dalej, suko, dalej! – wrzasnął do niej, a jego krzyk brzmiał jak jedno z klanowych zawołań wojennych pod Culloden.

W końcu krzyknęli oboje i odsunęli od ściany. Prudence opadła na łóżko, w czarnej ślubnej sukni wciąż podniesionej nad biodra, drżąc i z trudem chwytając oddech. Robert leżał twarzą na dywanie, oddychając szybko, ale miarowo.

Na dole skrzypek grał kolejną frywolną piosenkę.

– Zawsze będzie tak? – Prudence w końcu zapytała Roberta.

– Co? – mruknął z podłogi.

Nie zapytała ponownie. Niepewnie zeszła z łóżka i chwiejnie skierowała się ku toaletce. Z zaskoczeniem zobaczyła w lustrze, że w żaden sposób wcale jej to nie zmieniło, być może z wyjątkiem tego, że była trochę zarumieniona i że włosy miała w nieładzie. Jednak czuła, że pod czarną ślubną suknią sperma Roberta pełźnie w dół po wnętrzu jej uda niczym ślimak.

Zaczęła szcزتkować włosy, mechanicznie, tak jak robią to kobiety, gdy są w szoku. Robert wciąż sapiąc, podniósł się z podłogi, podszedł do komody, nappełnił stojącą tam porcelanową misę zimną wodą i spryskał sobie twarz.

– Masz wigor – powiedział. – Zaspokoję go.

Oślepiiony mydłem i wodą po omacku szukał czegoś do wytarcia twarzy. Prudence cofnęła się i obserwowała go, nie czyniąc żadnego ruchu, by podać mu ręcznik, który leżał starannie złożony na skrzyni w nogach łóżka.

Teraz żegnała się z Effie, nie mogąc oczekiwać niczego oprócz trzech tygodni z zawziętą gwałtownością Roberta i niesłabnącym bólem rozłąki z Williamem Albertem. Dotknęła policzka Effie i obdarzyła ją czymś co, miała nadzieję, było odważnym i ufnym uśmiechem.

W drzwiach pojawił się Russel.

– Pani Watson? – zapytał.

Prudence początkowo nie uświadomiła sobie, że chodzi mu o nią.

– Ty jesteś panią Robertową Watson – przypomniała jej Effie.

– Och, tak – powiedziała Prudence, a potem powtórzyła z goryczą: – Tak.

– Samochód czeka, pani Watson. Kufry są w bagażniku. Pan Watson pyta, kiedy pani zejdzie.

– Powiedz, że zaraz schodzę – odparła Prudence, a potem, gdy wyszedł,

nachyliła się ku Effie i szybko wyszeptala: – To najnieszczęśliwszy dzień w całym moim życiu.

Wstała i patrzyła na Effie, nie licząc na jej odpowiedź. Zaszokowanej Effie nie przychodziło na myśl nic, co mogłaby powiedzieć.

– Zapamiętaj to – rzekła Prudence i wyszła.

## 44

Dla Effie rozpoczął się teraz taki okres życia, gdy pracowała pilniej niż kiedykolwiek wcześniej, okres, na który później miała spoglądać ze zdumieniem (że osiągnęła tak wiele w ciągu tak krótkiego czasu), ale również z nieco kłopotliwym poczuciem żalu. Mając matkę w domu opieki w Dunkeld oraz nieżyjącego ojca, a nie mając nikogo, oprócz Roberta i Prudence, kto zatroszczyłby się o jej życie towarzyskie, stała się, co zrozumiale, jedną z owych dziewcząt, o których młodzieńcy w mieście mawiali: „Jest śliczna, ale nie ma rodziny. Prawie sierota. I całusa też się od niej nie dostanie”.

Nie czuła się szczególnie samotna, chociaż często była smutna, zwłaszcza gdy wieczorem wracała na spoczynek do swego pokoju, rozczesywała włosy, a potem podchodziła do okna i spoglądała przez nie na drzewa przy Charlotte Square i jeszcze dalej, w stronę odległych ciemnych murów edynburskiego zamku. Często myślała o ojcu, starając się zrozumieć, po co żył i dlaczego musiał umrzeć. Kochała go, mimo jego złości i wyraźnej obojętności wobec rodziny. Wiedziała, że jest coś, co płonie w jego wnętrzu, jakieś mroczne i tajemne ciepło, jakiś powód, dla którego był taki, jaki był. Myślała o chwili, gdy miała siedem lat i ojciec zabrał ją, tylko ją, nad zatokę Firth of Forth. Stali na wietrze z drobnymi przejrzystymi falami obmywającymi buty, spoglądając nad błękitną połyskującą wodą ku nowemu mostowi kolejowemu nad Forth, który niedawno otwarto. Od czasu do czasu przejeżdżał nim pociąg, a daleki łoskot, jaki wydawał, brzmiał niczym echo jakiejś szkockiej bitwy.

– Być bankierem, Effie – powiedział wtedy ojciec – to znaczy być wybrańcem bogów. To profesja wymagająca czujności, ale nie jest zmundna, więc daje czas na budujące pasje i intelektualne towarzystwo. Jest również powołaniem dziedzicznym. Pozycja banku przechodzi z ojca na syna, a z czasem ten odziedziczony majątek przynosi dziedziczne udoskonalenie. Wy, moje dzieci, będziecie w tej rzadkiej i szczęśliwej sytuacji przez resztę swego życia, a wasze dzieci będą jeszcze szczęśliwsze.

Nie mogła sobie przypomnieć dokładnie jego słów, ale gdy była starsza, odkryła, że podobnie jak wszystkie jego uwagi ta również pochodziła od kogoś innego. Zapożyczył je z książki „Lombard Street” Waltera Bagehota,

dziewiętnastowiecznego bankiera i wydawcy „The Economist”. Czytała ją wielokrotnie, próbując sobie przypomnieć tamten mroźny dzień nad Firth, aż słowa Bagehota i słowa jej ojca splotły się ze sobą nierozdzielnie.

Dlaczego ją tam zabrał? Małą bladolicą dziewczynkę, w różowym płaszczyku z brązowymi guzikami i różowym kapturkiem? Spędzili cały dzień poza domem, zjedli obiad w małej restauracji w Abercorn, gdzie podawano świeżego pstrąga smażonego w mące owsianej, indyka i małe szklaneczki bardzo ciemnego piwa. Podczas niemal całego posiłku Thomas Watson, milczący mężczyzna w czarnym bankierskim surducie i sztywnym kołnierzyku, wpatrywał się w okno, ale w drodze powrotnej, w rodzinnym powozie klepnął się po udach i zachrypniętym głosem zaśpiewał dla niej piosenkę.

Był surowym, wiktoriańskim ojcem. Wymagał największej punktualności, najżarliwszych praktyk religijnych, i najprzystwoitszych domowych obyczajów. Zwłaszcza w pierwszych latach dojrzewania, gdy była bladym, przeraźliwie kłótliwym podlotkiem, Effie często czuła, że mogłaby wrzasnąć na niego, bo jest tak pedantyczny i tak nudny, a także ponieważ nieustannie krytykuje matkę. Jednak nie dlatego, że go nienawdziła. Działo się tak dlatego, że uważała, iż nie jest w stanie sprawić, aby pojął, że ona widzi, jaki jest, że rozumie, i że go za to nie wini. Był mężczyzną, który potrzebował następców do spełnienia największej ambicji swego życia: stworzenia bankowej dynastii, ale jakby na przekór był także mężczyzną kompletnie nie nadającym się do małżeństwa, szczególnie z dziewczyną tak delikatną i skomplikowaną jak Fiona Nugent-Dunbar. Miał w sobie miłość. Effie była tego pewna. Musiał ją mieć, by wychować Roberta z taką uwagą, a Dougalowi pozwolić na tyle swobody w banku. Często myślała ze smutkiem o tym dniu nad zatoką jak z obrazka i zastanawiała się, co on naprawdę znaczył dla ojca. Zabrał ją tam z obowiązku, z uczucia czy może po prostu dlatego, że nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać?

Teraz było już za późno. Jedyne usta, które mogłyby udzielić jej odpowiedzi, przyniecione były ziemią, pod kamiennym krzyżem w kaplicy St Maelrhuba.

W latach, które nastąpiły po śmierci jej ojca i zmuszeniu matki do „kuracji” w Dunkfeld, Effie myślała też nieustannie o Henrym Baeklandrze. Stał się, o dziwo, mężczyzną jej snów i niekiedy myślała o nim z tak intensywnie słodkim żalem, że czuła, iż się dusi. Gdy była w takim nastroju, Robert przypuszczał, że czyta za dużo poezji i się rozczula. Prudence nic nie mówiła, gdyż wiedziała, o czym myśli Effie i nigdy nie lekceważyła wartości kochanka ze snów bez względu na to, jak byłby daleki czy fantastyczny.

Effie regularnie pisała listy do Dougala w Nowym Jorku i kilka razy pytała o Henry'ego Baeklandera. Odpowiedzi Dougala stawały się jednak coraz rzadsze i coraz uboższe w informacje, Dougal rzadko przy tym wspominał o

Henrym, z wyjątkiem chyba tej wzmianki, że podróżuje służbowo po Argentynie, albo że właśnie pochwalił go za pracę, lub (w jednym z listów) że kupił połowę udziałów w wyścigowym koniu o imieniu Valley Forge, który wygrał wyścigi w Kentucky i w Tennessee. Dougal pisał coraz mniej o sobie, a coraz więcej o interesach i o tym, jak bardzo pragnie otworzyć własne przedsiębiorstwo. Pisał, że znalazł nowe mieszkanie, przy eleganckim odcinku Third Avenue i dołączył swoją małą fotografię z rękami w kieszeniach, słomkowym kapeluszu zawadiacko przekrzywionym na głowie i oczami zmrużonymi przed nowojorskim słońcem. Nie napisał, czy znalazł sobie nową dziewczynę czy nie, a Effie nie miała serca napisać mu o Prudence. Prawdopodobnie nie miał czasu na dziewczęta. Jego listy zawsze kończyły się stwierdzeniem: „Zapewne słyszysz, jak wojowniczy każdy jest w Ameryce i jak człowiek musi uważać, żeby go nie załatwiono za dolara albo centa! Muszę więc wracać do pracy i zostawić cię z obietnicą, że później napiszę bardziej szczegółowo”.

Czasami Effie brała listy ze sobą, gdy jechała odwiedzić matkę w wielkim szarym domu dla rekonwalescentów w Dunkeld, w parafii St Vigeans. Matka jednak wydawała się mało zainteresowana. Całe dni spędzała, wędrując bez celu po ogrodach St Vigeans, nawet gdy padało, niekiedy zatrzymując się w końcu mrocznej alei cyprysów, ze zmarszczonymi brwiami, jakby myślała o czymś nieprzyjemnym, ale niemal zapomnianym, albo siedząc na białym żelaznym krześle, przyglądała się wróblom, które świergotały, wyfruwając i przyfruwając na deski okapu. Effie rozmawiała z matką spokojnie, ale zawsze o sprawach przyziemnych, takich jak chory kręgosłup pani McNab, o tym, jak Prudence radzi sobie w domu przy Charlotte Square i czy już czas, by oddać do prania zasłony z salonu. Czasami głos matki brzmiał dla Effie jak szeleszcząca bibułka w starym pudle na kapelusze lub szelest jesiennych liści na kamiennej ścieżce jakiegoś smutnego i opuszczonego parku.

Drugiego dnia czerwca 1902 roku, w poniedziałek, Robert wrócił do domu wczesnym popołudniem zły z gorąca i wezwał Effie oraz Prudence do biblioteki.

– Dobra wiadomość! – powiedział. – Właśnie się dowiedziałem, że wojna w Afryce Południowej nareszcie się skończyła.

– Dzięki Bogu – rzekła Effie. – Ale biedny Jamie Arbuthnott...

Jamie, jak się okazało, był tylko jednym z dwudziestu tysięcy brytyjskich żołnierzy, którzy zmarli w Afryce na dyzenterię lub cholera, albo zginęli zabici przez burskich snajperów lub z powodu napuszonej niekompetencji lorda Methuena i generała Bullera. Jednak lord Kitchener miał dość półwyspu Cape oraz Burów, od miesięcy rwał się do powrotu do domu i zaledwie cztery tygodnie po tym, jak przekonał Bothę i de Weta do podpisania traktatu przy stole w salonie jego domu w Vereeniging, był na pokładzie statku

do Southampton. Wkrótce podążyła za nim większość z jego czterystu tysięcy żołnierzy, którzy stłoczeni przy relingach parowców, wpływali do zatoki Solent, śpiewając, by świętować to, co – jak szczerze wierzyli – było kolejnym wielkim brytyjskim zwycięstwem, kolejną wojną wygraną dla Imperium i ostatecznym zamanifestowaniem dobroczynnej mocy Ukochanej Starej Flagi.

Robert uczcił koniec wojny, dając każdemu pracownikowi Watson's Bank półlitrową butelkę whisky, ozdobny talerzyk i zgodę na wyjście do domu pół godziny wcześniej (choć większość bankowych karierowiczów był pewna, że zrobi na nim wrażenie, jeśli zostaną pół godziny dłużej).

– Jest coś jeszcze, co chcę zrobić – oświadczył Effie i Prudence dwa dni później przy stole. – Chcę sprowadzić Alisdaira z powrotem do domu z St Andrews. Sądzę, że skoro przyszłość świata jest tak pewna i tak opłaczalna, najwyższy czas, abym miał syna.

Prudence, która miała w ustach kęs wołowiny, musiała przycisnąć serwetkę do warg, aby powstrzymać się od szlochu. Effie także miała łzy w oczach, chociaż ciągle nie podejrzewała, w jak brutalny sposób Robert egzekwuje na Prudence swoje prawa małżeńskie, ani jak desperacko Prudence potrzebuje syna, by znaleźć w nim ukojenie.

Zegar wybił siódmą, wzniesli milczący toast, ale gdy oni siedzieli przy stole, minęła pewna epoka, świat się zmienił, a to, co ich czekało, nie było ani pewnością, ani zyskowością, lecz piekłem i zaprzepaszczone bogactwem.

## 45

Tuż po sprowadzeniu Alisdaira do domu od państwa Craigów (ku zachwytowi pani McNab) Effie stwierdziła, że ma adoratora. Nazywał się John McDonald i był kapitanem w Black Watch. Był przyjacielem państwa Armitage, dość zamożnej rodziny posiadaczy magazynu mebli, którzy mieszkali po drugiej stronie skweru i pewnego wrześnieowego popołudnia, przychodząc na herbatę, przyprowadzili go ze sobą.

John McDonald był szczupły, miał łagodny głos i był niemal kłopotliwie uprzejmy. Z generałem Andym Wauchope brał udział w bitwie pod Magersfontain, gdzie został ranny, gdy kula trafiła go w udo. Rzadko mówił o wojnie, a jeśli to robił, zawsze wydawał się obojętny i daleki, jakby ta wojna nie była niczym ważniejszym niż kilka meczów polo. Tamtego dżdżystego ranka pod Magersfontain stracił pięciu serdecznych przyjaciół, pięciu kolegów, z którymi wcześniej chodził do szkoły i wciąż nie mógł się powstrzymać przed wzdrygnięciem, ilekroć słyszał szcęk pokrywy kubła, gdy przyjeżdżali śmieciarze, albo nagły trzask węgla w ogniu. Miał haczykowany



nos, lekko wypukłe oczy i czarne wąsy, które – o czym zapewniała go matka – wyglądały prawie tak imponująco jak wąsy lorda Kitchenera.

Jedli gorące maślane babeczki i szkockie ciasto. John najwyraźniej czuł się niewygodnie w sztywnym cywilnym kołnierzyku i nowym szarym garniturze. Często chrząkał i szurał stopami w nowych lakierkach, jednak kiedy Effie powiedziała, że nie wyobraża go sobie jako kapitana, podniósł głowę i patrząc jej prosto w oczy, odparł:

– Byłem nim, panno Watson, mogę panią zapewnić. Byłem kapitanem pięcioosobowej drużyny.

Po herbacie Effie pokazała Johnowi bibliotekę. Rozjaśnił się natychmiast na widok książek o ptakach.

– Jako dziecko spędzałem wiele godzin, szukając ptasich jaj. Jestem wielkim miłośnikiem natury.

– Co pan będzie robić teraz, gdy wojna się skończyła? – spytała Effie. Tego dnia wyglądała szczególnie ładnie w jasnoróżowej popołudniowej sukni z koronkowym kołnierzykiem i upiętymi do góry włosami. Blask z kominka w salonie przydał jej policzkom takiego różu jak sukienka.

John odłożył książkę, którą kartkował i wzruszył ramionami

– Mój ojciec chce, żebym zajął się rodzinnym interesem. Hodujemy bydło na farmie w St Fillans nad jeziorem Earn, mamy też przedsiębiorstwo rybackie w Inverbevie, ale ja nie mam pewności, czy jestem właściwym człowiekiem do żywienia bogatych i eksploatowania biednych.

– Czyż każdy człowiek nie wybiera własnej drogi w życiu? Właśnie to zwykł mawiać mój ojciec.

– Cóż, ja też tak myślałem, dopóki nie leżałem w błotnistym rowie w Afryce Południowej ze szkockimi góralami, którzy zaciągnęli się do armii, bo nie mieli innych środków do życia. Ja mogłem sprzedawać wołowinę i ryby, żeby się utrzymać. Nie musiałem tam być. Oni nie mogli sprzedać niczego oprócz własnego życia. Do tego się dochodzi, gdy człowiek nie ma innego sposobu utrzymania się przy życiu, jak tylko zaakceptować ryzyko, że można zostać zabitym. Pamiętam rozmowę ze swoim sierżantem.

– Pan jest szaleńcem – powiedziałem.

– Nie, sir, jestem żołnierzem – odparł.

– Na jedno wychodzi, sierżancie Callandar – stwierdziłem i miałem rację. Próbował ocalić przyjaciela, który był już martwy i burski snajper odstrzelił mu głowę, razem ze szkockim beretem. – Zamknął książkę, a potem nagle spojrzął w górę, jakby oczami wyobraźni podążał za odstrzelonym beretem sierżanta Callandara.

Na chwilę zapadła między nimi cisza, a potem John spojrzął na Effie i rzekł:

– Czy mógłbym pani zadać bardzo bezczelne pytanie?

Effie się uśmiechnęła.

- Myślę, że tak.
- A zatem... w piątek jest koncert śpiewaczy, dla uczczenia pamięci poległych. Dochód trafi do wdów. Wiem, że to brzmi dość makabrycznie, zwłaszcza dla osoby takiej jak pani...
- Dla osoby takiej jak ja? Kogo pan ma na myśli, mówiąc o „osobie takiej jak ja”?

John poczerwieniał.

- Miałem na myśli kogoś radosnego i urodziwego.
- Kogoś lekkomyślnego, kogo nie obchodzą martwi żołnierze?
- Tego nie powiedziałem.
- To dobrze – odparła Effie – ponieważ pewien chłopiec, którego bardzo lubiłam, zginął w Afryce Południowej i pan także był tam ranny, a ja... będę zaszczycona, przychodząc na pański koncert.
- Naprawdę przyjdzie pani? – zapytał.
- Oczywiście – odpowiedziała Effie.

Nie zostali kochankami. Nie był dla niej dość silny. Jeśli ją zasmucił, jeśli na nią burknął, zawsze przeproszał i chociaż czasami się całowali i często trzymali za ręce, traktował ją z takim „szacunkiem”, że niejednokrotnie ją to irytowało. Był jednak jej serdecznym przyjacielem, kochał ją i przynosił kwiaty, które zrywał w ogrodach Linlithgow Palace, wrzosowy miód w kamiennych dzbanuszkach i naszyjnik z kryształów z Cairngorms. Nawet napisał dla niej wiersz:

„Tam gdzie Effie spaceruje,  
Ptakom chce się śpiewać,  
Wiatr radośnie wyśpiewuje  
A słońce się uśmiecha.  
Gdzie zaś Effie się położy,  
Kwiecie stoki wzgórz obłoży”.

Chodzili razem na koncerty, do teatrów i często spacerowali w Royal Botanic Garden albo w Holyrood Park. Pewnego dżdżystego ranka, w lipcu 1904 roku, u podnóża Salisbury Crags poprosił ją o rękę, pospiesznie dodając, żeby się nie obawiała odmówić. Wzięła go za rękę, pocałowała w policzek, zapewniła, jak bardzo jest jej drogi i odmówiła.

– Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, abym w ciągu roku oświadczył się ponownie? – zapytał, przelitykając ślinę z wyraźnym ruchem jabłka Adama.

Ponownie pocałowała go w policzek. Był jej bardzo bliski. Na Boże Narodzenie podarowała mu piękny kryształowy przycisk do papieru. Wiedziała, że zrobiłby dla niej wszystko. Walczyłby, a nawet zginął. Ale ona teraz ciężko pracowała dla Roberta w banku i uczyła się księgowości od

starego pana Turrentine'a, a poza tym była zbyt głęboko zaabsorbowana kredytami, inwestycjami i zagranicznymi obligacjami, by chcieć to wszystko rzucić dla mężczyzny, którego owszem, lubiła, ale nie kochała. Robert w jakiś osobliwy sposób zaczął od niej zależeć. Od czasu do czasu prosił nawet o jej opinię w sprawie pożyczania pieniędzy jakimś konkretnym przedsiębiorstwom czy ludziom. Najważniejsze zaś, że pozwolił jej siedzieć na zebraniu poświęconym dyskusji nad udzieleniem pożyczki w wysokości dwóch i pół miliona funtów w złocie pewnemu japońskiemu przedsiębiorstwu budowy okrętów, będącej dla Watson's Bank politycznie najdelikatniejszą operacją 1905 roku.

Effie wyrosła na osobę pełną wdzięku, opanowaną, pewną siebie i znającą się na rzeczy. Od wiosny 1906 roku przynajmniej dwa razy w roku jeździła do Londynu, żeby kupować stroje i w imieniu Roberta odwiedzać oddział banku w dzielnicy Cornhill. Była tam podejmowana przez Malcolma Cockburna, który bardzo przytył, odkąd ujrzała go pierwszy raz, oraz przez Verę Cockburn, która stała się wyraźnie nieprzyjemna i znacznie bardziej pomarszczona, ale wciąż śledziła najnowsze fasony i najkosztowniejsze drobiazgi w mieście. Między Effie a państwem Cockburn było wiele sympatii, ale były też wielkie pieniądze i mnóstwo skomplikowanych spraw, a Effie nauczyła się o Robercie i sposobie, w jaki prowadził on Watson's Bank wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że byłoby z jej strony samolubne i niemądre, gdyby powiedziała Malcolmowi, za jakiego uważała go po chlebce albo jak próżna była Vera.

W ciągu dnia w Londynie zwykle towarzyszył jej pan Nibblerts, który wcześniej awansował na stanowisko kierownika działu funduszy powierniczych, i chociaż wydawał się dość monotony i szorstki, a przy tym zawsze mocno pachniał wodą lawendową, z szaleńczą gorliwością załatwiał wszystkie sprawy, jakie mu polecała, a nawet nosił jej sprawunki i od nikogo nie mogłaby oczekiwać więcej.

Nie wiedziała jednak, że w edynburskim biurze Watson's Bank młodszy urzędnicy nazywali ją Niepokrytą Klaczą, a w londyńskim Świętą Effie Napędzaną Śniegiem. Obydwa przydomki nosły ten sam ostry przytyk: że Effie jest dziewczicą i że zawsze nią pozostanie. Pewien kpiarz w Cornhill regularnie nazywał ją Grenlandzką Górą Lodową.

Była jednak pogodna, nawet jeśli nie w pełni szczęśliwa. Poprzez państwa Cockburnów zawarła w Londynie kilkanaście przyjaźni i znajomości, a także poznała nie tylko Edwina Lutyensa, architekta oraz sir Henry'ego Irvinga i Ellen Terry, którzy pieszczotliwie nazywali ją „Eff”, lecz również sir Arthura Conan Doyle'a, którego właśnie w 1905 roku zmuszono do pisania „Powrotu Sherlocka Holmesa” i spędził całe przyjęcie na uzalaniu się Effie na ten temat. Sir Arthur pochodził z Edynburga i dobrze pamiętał Thomasa Watsona. Powiedział nawet, że w istocie częściowo oparł na nim

postać sir Johna Roxtona, gdy pisał „Zaginiony świat”. Effie nie wiedziała, czy mu wierzyć czy nie, ale było to miłe pochlebstwo.

Najwięcej jednak Effie dowiedziała się o pieniądzu. Nie o takim, jak go rozumiała, gdy była młodsza: nieokreślonym artykule, którym jej ojciec dokonywał jakichś dziwnych sztuczek, kiedy był w pracy. Kiedy miała sześć lat, wyobrażała sobie pieniądze jako coś niemal żywego, niczym karty do gry z „Alicji w Krainie Czarów”, ponieważ ojciec tak często mówił, że ich brakuje, że są „trudne” i nawet, że się chwieją, jakby były „wstawione”, a jedynym innym przykładem „wstawienia”, o jakim wiedziała, był pan Angus Joyce-Drummond, przyjaciel rodziny, którego oddech zawsze pachniał dokładnie tak jak wnętrze ojcowskiej szafki na whisky i który miał skłonność do śpiewania przy deserze szkockich piosenek z okresu panowania jakobinów.

Teraz Effie wiedziała już o grach na zwyżkę i na zniżkę, obligacjach wymiennalnych i kapitałach akcyjnych, kredytach krótkoterminowych i rezerwach złota. Zaczęła spotykać kilku uprzejmych i kosmopolitycznych mężczyzn, którzy kierowali wielkimi niemiecko-żydowskimi bankami w Europie, owych oschłych, kulturalnych panów, którzy wierzyli w międzynarodowy spokój oraz ogromne zyski i którzy często nosili na palcach złote sygnety z brylantami. One zaś wydawały się Effie nawet bardziej fascynujące niż ich chłodne, pazerne oczy z opadającymi powiekami.

Robert dobrze wykorzystywał Effie. Była ładna i ujmująca i wszyscy bankierzy, który robili interesy z Watson's Bank, zwykli ją adorować. Heinrich Nadler z Deutsche Bank sprezentował jej złoty naszyjnik z perłami i nawet James Stillman, ten „ponury, zimny, beznamiętny i wciąż zaciskający usta” prezes nowojorskiego City Bank, którego ulubioną rozrywką było siedzenie w całkowitej ciszy z równie lodowatym przyjacielem Williamem Rockefellerem, by zobaczyć, który się podda i odezwie pierwszy, przysłał Effie przez posłańca rubinowo-diaamentowe kolczyki ze słowami: „Nie ceń mnie nisko”.

Effie zaczęła nabierać pewności siebie, czuła się atrakcyjna, a nawet rozpieszczana. Właśnie to było intencją Roberta. Teraz, przy takiej politycznej i finansowej niestabilności Europy, on był w stanie pożyczać wielkie kwoty Belgii, Francji, Austro-Węgrom, Rosji, a nawet Niemcom. W przeciwieństwie do Alfreda Rothschilda, który z zasady odmawiał pożyczania pieniędzy Rosji i który był przekonany, że konfliktowi w Europie zawsze można zapobiec dzięki honorowemu sojuszowi międzynarodowego kapitału, Robert w ogóle nie był przeczulony na punkcie tego, z kim robi interesy. Gdyby Kaiser Wilhelm chciał pieniędzy na produkcję zbrojeniową i był przygotowany na wysoką ratę kredytu, Robert udzieliliby pożyczki Berlinowi. Gdyby car desperacko pragnął finansowania krótkoterminowego, Robert pożyczyliby pieniądze Moskwie. W 1910 roku

Watson's Bank udzielił gwarancji na łączną kwotę w wysokości stu milionów funtów, by wspomóc finansowanie odbudowy militarnej w niemal wszystkich krajach Europy, bez względu na stronę, po której się opowiadały, a w banku przy Cornhill znajdowały się depozyty wynoszące trzynaście milionów funtów. Watson's Bank był teraz trzy razy większy niż wtedy, gdy zmarł Thomas Watson i rywalizował z głównymi bankami Europy i Ameryki o największy udział w światowym rynku finansowym.

W oczach Roberta Effie grała małą, ale znaczącą rolę w tej ekspansji. Mógł jej ufać zarówno dlatego, że była Watsonówną, jak i dlatego, że była jedyną osobą w rodzinie, na której mógł polegać. Była również towarzysko niezwykła: oto piękna młoda dama, której zdarzyło się znać na pieniądzach. Ponieważ wciąż była niezamężna, mógł ją posyłać niemal wszędzie, by zafascynowała każdego, kogo pragnął przyciągnąć.

Effie lubiła grać tę rolę. Poznała baronów, księżęta, milionerów i nabałów. W 1911 roku, po szalonej towarzysko zimie, ona i Robert zamówili u modernistycznego architekta Charlesa Roberta Ashbee oszałamiający nowy dom przy Cheyenne Walk 72-72 w londyńskiej dzielnicy Chelsea i zlecieli dekorację wnętrz w najprostszym, najbardziej ascetycznym (i najdroższym) stylu tego twórcy. Wykorzystywali ten dom do podejmowania najgłośniejszych pisarzy, uczonych i aktorów oraz do załatwiania interesów z odwiedzającymi Londyn głowami państw, od Szwecji do Sarawaku i od Turcji do Tasmanii.

W swych garderobach w Londynie i w Edynburgu Effie miała sięgające do kostek, obszyte futrem szokująco żółte suknie od Poireta i zdobione złotym haftem od Paquina. W Londynie wożono ją granatowym samochodem marki Albion o mocy szesnastu koni mechanicznych, z beżową tapicerką i białymi oponami. Zaczęła nawet palić, co w owym czasie było nieprzyzwoite, tureckie papierosy robione specjalnie dla niej przez firmę „Fribourg & Treyer”. Zawsze piła szampana.

Wciąż spotykała się z Johnem ilekroć, od czasu do czasu, bywała w Edynburgu. Zwykle zapraszał ją na herbatę do „Murdies”, gdzie ona siedziała elegancko upozowana przy stoliku, z futrem z norek od niechcienia przerzuconym przez oparcie giętego krzesła, ostentacyjnie paląc papierosa, podczas gdy on siedział ze złączonymi kolanami i spuszczonego wzrokiem, skubiąc owocowe ciastko i sącząc herbatę. Słoneczne światło wpadało przez dym, obłok pary nad herbatą oraz układną edynburską konwersację i oboje czuli się tak, jakby cofnęli zegar o kilka lat. Pewnego dnia, w październiku 1911 roku, John powiedział:

– Sądzę, że nie powinniśmy dłużej się spotykać.

Effie, która niecierpliwie rozglądała się po herbaciarni, by zobaczyć, czy zdoła dostrzec kogokolwiek, kogo mogłaby znać, początkowo całkiem nie zrozumiała, co powiedział.

– Co? Co chcesz przez to powiedzieć? – wykrzyknęła.

Odłożył na wóół zjedzone ciasteczko.

– Nie chcę powiedzieć o tobie nic krytycznego, Effie. Kocham cię. Zawsze cię kochałem, od chwili gdy wróciłem z Afryki Południowej. Pamiętasz tamten dzień, z tymi okropnymi ludźmi, Armitage'ami?

Chwyciła go za rękaw.

– Ależ John, kochanie – powiedziała ze swym najlepszym londyńskim akcentem – przecież wiesz, że cię uwielbiam.

John pokręcił głową, na której czubku włosy jeżyły mu się jak nieśmiały kaktus. Dawno zgolił „kitchenerowskie” wąsy i teraz wyglądał młodziej i znacznie bardziej bezradnie.

– Nie uwielbiasz mnie – odparł. – Lubisz mnie, a ja się z tego cieszę. Nie uwielbiasz mnie jednak, ani nawet mnie nie kochasz i obawiam się, że dla mnie znacznie bardziej bolesne będzie kontynuowanie spotkań z tobą, wiedząc, że mnie nie kochasz i nigdy nie pokochasz, niż powiedzenie, że to musi być ostatni raz, gdy się spotykamy.

– John... – powiedziała, uświadamiając sobie, że jest kompletnie zaszokowana.

Próbował się uśmiechnąć.

– Nie współczuj mi, proszę. Współczucie jest ostatnią rzeczą, jakiej pragnę. Spójrz na siebie, Effie. Byłaś elegancka i bogata, gdy pierwszy raz cię spotkałem. Teraz jesteś jeszcze elegantsza i jeszcze bogatsza. Ze swoimi londyńskimi strojami i londyńskim akcentem jesteś sensacją Edynburga. I to twoje palenie!

Effie spojrzała na papierosa tłącego się między palcami jej lewej ręki. Szybko i zdecydowanie zdusiła go na swoim spodeczku.

– John – prosiła – nie chcę cię stracić. Jak możesz sądzić, że tego chciałam?

John wstał i grzebał w kieszeni swoich szerokich, zielonych tweedowych spodni, szukając pieniędzy. Zapłacił za herbatę szylinga i trzy pensy, zostawiając kelnerce dwa pensy napiwku. Trochę zamrugał oczami, a potem rzekł:

– Jesteś cudowna, Effie. Olśniewająco promienna! Ale dla mnie jesteś zbyt chłodna i zbyt niezależna. Nigdy cię nie zdobędę, nie dosięgnę. Przypominasz gwiazdę. Wyniosła i piękną, ale niedostępną dla zwykłych ludzi.

– John, ja nie jestem wyniosła. Jedyne cecha, jakiej absolutnie nie posiadam, to wyniosłość!

John spuścił wzrok, włożył ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– No cóż, nie jesteś. Dobrze, nie miałem na myśli wyniosłości. Zawsze byłaś miła. Zawsze byłaś serdeczna. Jednak ja nie umiałem cię przekonać, abys mnie pokochała, prawda? Abyś za mnie wyszła?

Tuż obok nich bardzo tęga kobieta w sukni z żółtej kraty szkockiego klanu Maclachlanów z zainteresowaniem odwróciła się na krzesło, wprawiając w drzenie gęsie pióro na czubku swojej szkockiej czapeczki i wpatrywała się w Johna i Effie przez górne soczewki dwuogniskowych okularów. Effie z szybkością jaszczurki pokazała jej język. Kobieta ponownie odwróciła się do swej wyfiokowanej towarzyszki i powiedziała zjadliwie:

– Pali i publicznie zachowuje się jak dzikie zwierzę! Słyszałam o niej. Więcej pieniędzy niż rozumu, gdyby mnie ktoś pytał.

– Zechce pani trzymać język za zębami, madam, i zająć się własnymi sprawami? – odpaliła Effie.

– Coś podobnego! – zaproponowała kobieta, dotknięta, ale jednocześnie rozemocjonowana, że będzie miała tak sensacyjną plotkę dla swych przyjaciółek na jutrzejszej przedpołudniowej herbatce, opowiadając im, że sama Effie Watson kazała jej trzymać język za zębami.

– Effie, muszę odejść. I wołałbym, abyś nie starała się utrzymywać ze mną kontaktu. Pragnę znaleźć kogoś innego, kogoś kto pokocha mnie z wzajemnością, osobę, która za mnie wyjdzie. Żonę, Effie, żonę!

– Przejdź się ze mną przez chwilę – poprosiła go Effie.

Ramię w ramię szli wzdłuż Princes Street. Było rześkie, złociste, październikowe popołudnie, z rysującym się w dali przed nimi Calton Hill zwieńczonym spowitymi mgłą kolumnami na wpół ukończonego Partenonu i zamkową skałą wznoszącą się po prawej stronie w purpurowych cieniach. W długim futrze z nerek i naszywanym perłami berecie z malinowej angory Effie wyglądała na osobę, którą naprawdę była; na spadkobierczynię i dziedziczkę fortuny. Zachodzące słońce nadało barwę jaskrawej czerwieni uszom Johna, który nie przestawał pociągać nosem.

– Nie zamierzałam cię zranić, John – powiedziała Effie.

– Wiem – odparł – ale byłem zraniony.

– Uważasz, że się zmieniłam? Sądziś, że nagle jestem teraz nieprzyjemna?

John pokręcił głową.

– Nie, Effie. Jesteś najmilszą osobą, jaką znam. Z pewnością jesteś teraz ważniejsza. Przybierasz te wszystkie londyńskie miny i maniery, ale robisz to tylko dlatego, że cię to bawi i dlatego, że lubisz się popisywać. Ja wciąż kocham cię tak jak wcześniej. Może nawet bardziej.

Effie nic nie odpowiedziała, ale mocno przycisnęła jego ramię do swojego. Utrata przyjaźni Johna McDonalda oznaczała utratę ostatniego krzepiącego zwyczajnego towarzystwa, jakie miała w Edynburgu; ostatniej osoby, z którą mogła spacerować, gawędzić, pić herbatę i spędzać całą sobotę poza domem, nie martwiąc się o powrót, ani o to, o której godzinie spotkają się następnym razem. Niemal wszystkie jej przyjaciółki z Charlotte Square były

już zamężne. Celia Kalder-Haig poślubiła Duncana Thurso z Dornoch, potężnego rudego mężczyznę z tubalnym głosem i kolanami jak kawały niegotowanej wieprzowiny. Mary McArrol została „zdobyta”, jak lubiła to nazywać, przez pewnego nauczyciela fizyki z Royal High School, chudego jak szkielet mężczyznę, którego ramiona zawsze były pokryte łupieżem.

– Potrzebujesz męża, wiesz o tym, Effie – powiedział John z obojętnością, na jaką zdołał się zdobyć. – Nie możesz spędzić reszty życia, będąc osobą tak szaloną i niezależną, jaką jesteś teraz.

– Uważasz, że jestem szalona?

– Nie wiem. Myślę, że jesteś wolna. Jednak zbyt wiele wolności może zrobić tak samo dużo krzywdy jak zbyt wiele niewoli. Przykro mi, że nie chcesz mnie za męża, ale mam nadzieję, że znajdziesz mężczyznę dla siebie; mężczyznę, którego będziesz kochać, szanować i wysoko cenić.

– Cenię cię wysoko, John.

– Być może.

Poszli trochę dalej. Mgła stawała się coraz gęstsza, powietrze coraz chłodniejsze, a samochody, które jeździły wzdłuż Princes Street, oświetlały ich reflektorami. Effie miała już powiedzieć, że chce wracać do domu, gdy na wystawie „Ushera”, małego tradycyjnego sklepu, w którym sprzedawano noże myśliwskie z trzonkami z kości, haczyki do łowienia łososi, przynęty na kaczki i posrebrzane piersiówki na whisky, dostrzegła dużą szklaną gablotkę, która mieściła kompozycję z wypchanego ptactwa z Herma Ness na Wyspach Szetlandzkich. Na kawałku skały na tle malowanego nieba siedziały: wydrzyk, głuptak, maskonur i mewa.

– John! – zawołała podekscytowana i wzięła go za rękę.

– Słucham, o co chodzi? – zapytał, ale wciągnęła go do sklepu bez kolejnego słowa, a tylko z uśmiechem wesołości.

Na dźwięk dzwonka nad drzwiami pojawił się niewysoki siwobrody mężczyzna, w myśliwskim szkockim stroju Stuarta z Bute z brązowo-zielonej kraty, która zawsze przypominała jej śledzie z kapustą.

– Czy potrzebują państwo sprzętu myśliwskiego? – zapytał oschle.

– Nie – odparła Effie. – Chodzi o ptaki. Te wypchane ptaki. Te, które ma pan na wystawie.

Niski mężczyzna spojrział na nią poważnie.

– Żałuję, ale to tylko dekoracja. Nie są na sprzedaż.

– Daję za nie sto funtów.

John zaprotestował.

– Effie, to zupełnie niedorzeczne. Nie są warte nawet połowy tej kwoty.

– Sto pięćdziesiąt.

– Cóż... – powiedział niski mężczyzna – ...przypuszczam, że możemy dojść do porozumienia.

Dziesięć minut później John i Effie wracali wzdłuż Princes Street, niosąc



wielką szklaną gablotę pełną wypchanych ptaków. John był tak zakłopotany, że wciąż się potykał, Effie zaś śmiała się z niego i zachęcała, aby przestał się wstydzić.

– Zresztą są dla ciebie – uśmiechnęła się. – To prezent pożegnalny od kogoś, komu bardzo na tobie zależy.

Jakiś ulicznik krzyknął za nimi:

– Ja na pani miejscu bym się pospieszył, bo inaczej nie zdąży ich pani upiec na kolację!

Zanieśli tę skrzynię z ptakami aż do schodów domu Johna przy Castle Street. Było już ciemno i zimno, a ich oddechy zamieniały się w obłoki pary. Effie wpatrywała się w Johna przez szklaną ścianę gablotki, widząc go między małym żółtodziobym maskonurem i wspaniałym wydrzykiem, jakby wpatrywała się w twarz z albumu fotograficznego, w twarz dawno straconego przyjaciela.

– Żegnaj – bezgłośnie poruszyła ustami. – Kocham cię.

Tydzień później usłyszała, że ponownie zaciągnął się do wojska i czeka na wyjazd do Indii.

Również wtedy Robert powiedział, że powinna sobie kupić nowe zimowe stroje, eleganckie, powściągliwe i poważne.

– Chcę, żebyś pojechała dla mnie do Niemiec – oświadczył, paląc fajkę. – Próbuję zawrzeć umowę z Deutsche Kreditbank w Hamburgu, aby udzielić kredytu Turkom na rozbudowę linii kolejowych oraz przebudowę kilku najgorszych slumsów w Izmirze i Bursie. Taka pożyczka, udzielona wspólnie, mogłaby wynieść dwadzieścia milionów funtów. W istocie to bardzo korzystne przedsięwzięcie.

– Dlaczego ja mam jechać? – zapytała Effie. – Miałam na kilka tygodni udać się do Londynu.

– Nie będziesz tam sama – odparł Robert. – Pojedzie z tobą Tessie i ktoś z biura Cornhill. Powinnaś być zadowolona. Twoja pierwsza podróż zagraniczna. Czyż nie mówiłaś zawsze, że powinnaś podróżować?

– Myślisz, że Niemcy zechcą robić interesy z kobietą? – pytała Effie.

Robert, z rękami w kieszeniach i fajką zaciśniętą między zębami, uśmiechnął się do niej z przesadnie dobrym humorem. Zbliżał się do czterdziestki, był pulchniejszy niż kiedykolwiek i z każdym rokiem stawał się coraz bardziej podobny do swego zmarłego ojca. Czasami widząc go, jak wieczorem przechodzi przez hol, Effie miała dziwne wrażenie, jakby był Thomasem Watsonem, zmarłym, ale ponownie odwiedzającym swój dom w tandetnym i niedbałym przebraniu.

– Ten konkretny Niemiec, którego chciałbym, abyś poznała, będzie zachwycony, robiąc interesy z kobietą – rzekł Robert.

– Nazywa się Karl von Ahlbeck. Jest hrabią, pochodzi z Pomorza. Tobie także na pewno się spodoba.

Tego wieczoru na górze Effie długo siedziała przed lustrem toaletki, wpatrując się w swoje odbicie. Dwudziestosiedmioletnia kobieta o pięknych rysach, zniewalających oczach i zaczesanych do góry włosach, które błyszcząły w świetle lampy. Jednak mimo używanych kremów, mimo noszonej wokół szyi magnetyczno-elektrycznej baterii, która miała ożywić, stymulować i tchnąć nowe życie w każdy nerw jej ciała, dostrzegała już zmarszczki koło oczu wskazujące, ile ma lat i czuła zdradziecką miękkość skóry raczej dojrzałej kobiety niż młodej dziewczyny.

Co powiedział John McDonald? „Zbyt wiele wolności może przynieść równie dużo szkody co zbyt wiele niewoli”. Jednak Effie jakoś nigdy nie czuła się zdolna do zakochania. Liczni mężczyźni wydali jej się dowcipni, kilku uważała za czarujących, a paru z nich w rzeczy samej za atrakcyjnych. Pewien dramaturg z Londynu, niejaki Herbert King, wysoki, wyprostowany i tak przystojny jak, zdaniem pożądlivej Very Cockburn, „cały cyrk pełen ogierów”, zabrał Effie dwukrotnie na kolację, raz do Café Royal, raz do Trocadero. Pod koniec owego drugiego wieczoru, gdy odwiózł ją swym samochodem do domu przy Cheyene Walk, nader wymownie wpraszał się na górę na „pół filizanki, a może nawet pół całusa”, jednak Effie odmówiła grzecznie, lecz stanowczo i nigdy więcej się z nim nie spotkała.

Sięgnęła po elegancki szylkretowy grzebień i przesunęła po nim palce tak, że wydał cichy staccatowy dźwięk. Prawdopodobnie czegoś jej brakowało. Może istniało coś zasadniczego, czego było brak w jej osobowości. Być może naprawdę nie miała serca. Gdy odwiedziła Celię Calder-Haig, była zazdrosna, że ta znalazła sobie męża i dom, ale ani trochę nie zazdrościła jej samego Duncana Thorso. Jak którakolwiek kobieta mogła się zakochać w takiej wielkiej muskularnej wrzeszczącej kreaturze? Mówił tak głośno, że gdy prowadził rozmowę w jadalni, w salonie trzęsły się filizanki. I jak mogła leżeć pod nim w czasie aktu małżeńskiego przyciśnięta stukilogramową masą czerwonego piegowatego ciała! Effie nie wyobrażała sobie, jak dziewczyna tak wybredna jak Celia mogła to znosić.

Być może ja jestem sprzeczna z naturą, pomyślała Effie. Przyjrzała się swoim oczom w lustrze, ale szybko skryły się przed zbyt bliską analizą. Słyszała o takich kobietach; kobietach, które mogły kochać tylko inne kobiety... ale myśl o całowaniu ust innej kobiety, o dotykaniu jej piersi... cóż, na tę myśl poczuła się zdecydowanie dziwnie. Nawet gdyby była odmienna, najwyraźniej także w tym nie była dobra.

W roku 1911 staropanieństwo i dziewictwo dla dziewczyny w wieku dwudziestu siedmiu lat nie było niezwykle, szczególnie jeśli była najmłodsza w rodzinie i jeśli oczekiwano (tak jak po niej oczekiwiał Robert), że będzie mieszkać w domu rodzinnym i prowadzić gospodarstwo. Effie była wyjątkowa również w tym, że przynajmniej trzy dni w tygodniu spędzała w swoim wyłożonym mahoniową boazerią gabinecie w banku, pod wielkim

obrazem pędzla Clunie Water i pomarańczową witrażową lampą Tiffany'ego, planując spotkania i zestawiając cyfry. Z wyjątkiem dni, które spędzała w Londynie, miała bardzo mało czasu na flirty, tańce i wymianę liścików z mężczyznami.

Było w niej jednak coś więcej niż niedostatek miłości. Ilekroć myślała o mężczyznach i małżeństwie, czuła w sobie jakiś zimny, głęboki lęk. Myślała o kiwającej się bezsensownie w fotelu w St Vigeans matce, która była teraz tak pograżona we własnych fantazjach i wspomnieniach, że właściwie nie mówiła. Myślała o wymuszającym uległość i krzyczącym ojcu. Często myślała też o Prudence rodzącej dziecko Dougala i zmuszonej przez nieślubne macierzyństwo do wyrzeczenia się godności i swobody wyboru na rzecz mężczyzny, którego nie kochała. Prudence w ciągu kilku ostatnich lat straciła cały swój londyński blask i stała się w typową młodą edynburską mężatką, zamożną, pruderyjną, nobliwą, wydymającą usta i mdłą jak herbatnik.

Prudence i Effie nadal były ze sobą w bliskich, siostrzanych stosunkach, nadal splecione ramionami, ale Prudence nigdy nie zwierzała się z żadnych sekretów, z żadnych prawdziwych sekretów i ilekroć Effie próbowała ją zapytać, czy jest szczęśliwa albo czy nie czuje się samotna, bądź poirytowana Edynburgiem, Prudence oddawała się robotce albo patrzyła na nią w sposób, który sprawiał, że Effie miała wrażenie, jakby osoba kryjąca się przed jej wzrokiem zagubiła gdzieś cały sens swojego istnienia.

Kiedy opowiedziała jej o Johnie, Prudence odparła po prostu:

– Przeczytałam gdzieś w tym tygodniu, że „kiedy dziewczyna, która zachęcała młodzieńca przez kilka lat, mówi mu, że nie może być dla niego nikim więcej niż tylko siostrą, on pierwszy raz widzi piegi na jej nosie”. Nie sądzisz, że to trafne?

Effie zaczęła coś mówić w odpowiedzi, ale potem postanowiła, że nic nie powie. Prudence uśmiechnęła się, jakby była całkiem z siebie zadowolona i wróciła do szycia.

Jedyną osobą w jej życiu, wobec której Effie czuła jakąś prawdziwą bliskość, był Alisdair, syn Prudence. Miał już niemal dwanaście lat i choć wychowywano go w bogatym świecie wielkich dziecięcych wózków, doskonale skrojonych marynarskich ubranek i wszystkich ołowianych żołnierzyków, jakie zdołał zmieścić w swoim pokoju, pozostał bezpretensjonalny i naturalny. Był ufny, miły, wesoły i często przypominał Effie Dougala z jego najlepszych czasów. Pewnego popołudnia pod koniec lata, gdy oboje przebywali w bibliotece – Effie czytając książkę o złocie, a Alisdair leżąc na dywanie z historyczną powieścią George'a Henty'ego – podniosła wzrok i bez namysłu zapytała:

– Pamiętasz ten dzień, gdy skradliśmy wszystkie chrupiące piętki z bochenków pana Bruce'a?

Alisdair przestał machać nogami i wpatrywał się w nią uważnie.

– Co mówiłaś, ciociu? – zapytał.

Effie się roześmiała.

– Och, doprawdy nie wiem, o czym mówię. To nie byłeś ty. Jak to możliwe? To był twój wujek Dougal.

Kiedy Alisdair wrócił do swojej sypialni, Effie została z uczuciem niepokoju, jakby czas i wydarzenia oszukiwały ją, jakby lata minęły, a jednak nie przeszły.

Alisdair miał dla niej pewien czar. Był szczupłym chłopcem z mysimi lokami, których żadne szcietkowanie ani mycie pod prysznicem nie zdołało rozprostować, i prostym krótkim nosem wszystkich Watsonów. Była w nim jednak pewna delikatność, którą musiał odziedziczyć po Prudence, gdyż wielokrotnie z zadowoleniem spędzał czas z Effie w ogrodach przy Princes Street, karmiąc ptaki lub krążąc po Royal Scottish Museum, gdzie ze skrzypiącymi na wypolerowanej podłodze i grzecznie splecionymi za kilem rękami zaglądał do gablot wystawowych.

– Czy przypadkiem wiesz, co oznacza słowo „kurwa”? – zapytał kiedyś Effie.

– Kurwa? – zdumiała się Effie. – Jesteś pewien, że nie chodzi ci o słowo „kutwa”?

Pokręcił przecząco głową.

– Słyszałem je w ustach ojca.

– Cóż... – odparła z wahaniem. – Nie jest to szczególnie przyjemne słowo. Oznacza kobietę... nierozważną.

– Czy mama jest nierozważna?

– Cóż to za pytanie?!

– Przepraszam, ale usłyszałem, jak ojciec tak do niej mówi, to wszystko.

Effie wzięła chłopca za rękę i przyciągnęła do siebie, a potem lekko pocałowała w czoło. Pachniał tak słodko i chłopięco, że mogłaby tulić go mocno i nigdy nie puścić.

– Czasami ludzie mówią coś, czego wcale nie mają na myśli albo czego nie rozumieją, lub coś, czego potem żałują – powiedziała. – Myślę, że to co powiedział twój ojciec, chyba było jedną z takich rzeczy.

Alisdair bardzo delikatnie dotknął jej włosów i powiedział:

– W porządku – a potem dodał: – Wiesz, ciociu Effie, naprawdę bardzo cię kocham.

„Kaiser Wilhelm der Grosse” w Hamburgu. Był mroźny, nieprzyjemny dzień z podmuchami śniegu w dokach i dymem unoszącym się z czterech kominów oceanicznego liniowca. Effie miała na sobie długi ciemnograficzny kostium obszyty u kołnierza futrem srebrnego lisa i była ciepło otulona lisią etolą. Tessie, jej pokojówka, niosła kufer podróżny, a pan Niblets, delegowany przez Malcolma Cockburna, by jej towarzyszył, odziany był w brązowy tweedowy płaszcz, który wydawał się przynajmniej dwa rozmiary za duży.

Franz Golzcow stuknął obcasami i się uklonił.

– Panno Watson – powiedział – mam przyjemność poinformować, że hrabia von Ahlbeck czeka na panią i spodziewa się jej przybycia z zapartym tchem.

Powiedział też, że nie powinni nazywać go „Franz” tylko „Franzi”. Był niski, zbudowany jak instruktor gimnastyki, z jasnymi, krótko przyszyżonymi włosami i płaską jak łopata twarzą Niemców urodzonych blisko polskiej granicy. Nosił nienaganny szary uniform szofera z bryczesami i błyszczącymi wysokimi butami z czarnej skóry. Potakiwał, kłaniał się i stukał obcasami przy każdej możliwej okazji.

– Parowiec, którym pani przyплыnęła, jest najlepszym ekspresowym liniowcem na świecie – wołał, prowadząc ich przez wyłożoną marmurem halę do głównego wyjścia. – Czy podobała się pani podróż?

– Niestety miałam mdłości – odpowiedziała Effie, na co pan Niblets spojrział na nią, marszcząc brwi i mruknął słowo „dyplomacja”, ale Effie po prostu uśmiechnęła się do niego.

– Cóż, prawdopodobnie coś pani zjadła przed wypłynięciem ze Szkocji – rzekł Franzi przekonany, że żaden niemiecki statek nie może powodować mdłości, szczególnie liniowiec noszący imię Kaisera.

Przed budynkiem urzędu celnego z szarym łupkowym dachem i powiewającą wysoko niemiecką flagą czekał na nich amerykański samochód z wielkimi reflektorami z wypolerowanego brązu i miejscem dla pasażerów wielkości małego salonu. Franzi otworzył przed nimi drzwi i pomógł wejść na stopień.

– Jeśli życzą państwo sobie czegoś jeszcze, wystarczy poprosić – powiedział.

Rozsiedli się na granatowych siedzeniach równie głębokich i wygodnych jak domowe kanapy. Franzi zaś, przed zajęciem miejsca za kierownicą, pociągnął za widniejącą przed nimi mosiężną gałkę i odsłonił pełny barek z fornirowanego drewna z kryształowymi karafkami wina, whisky, ginu i polskiej wódki.

– Proszę się częstować.

W śnieżnej nawałnicy przejechali przez szare bruki Hamburga. Wypili po kropelce wódki, żeby się rozgrzać i z wielkiego amerykańskiego gramofonu

z tubą, dla równowagi zamontowanego na zawieszaniu, słuchali poważnej wokalne interpretacji wiersza Heinego „Ich weiss nicht, was soli es bedeuten”. Te poetyckie słowa, *nie wiem co to oznacza, że jestem taki smutny*, brzmiały tak, jakby je śpiewał jakiś zażywny sklepikarz na amatorskim koncercie w pustawej sali.

Wreszcie samochód wjechał w bramę jakiegoś *Schlossu* na przedmieściach Hamburga i zatrzymał się obok rzędu poruszanych wiatrem topól. Sam *Schloss* był szarym, posępnym i majestatycznym północnoniemieckim zamkiem zbudowanym w stylu Hermanna i Zygryda. Franzi otworzył im drzwi i wysiedli na zwirowy podjazd.

Z teatralnie doskonałym wyczuciem czasu we frontowych drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna i zaczął schodzić po półokrągłych schodach. Jego zejście przyspieszało pięć beżowego koloru psów, których smycze trzymał jedną ręką obciążoną białą rękawiczką. Chociaż Effie wtedy tego nie wiedziała, odziany był w mundur kapitana *Liebhusaren* z 1815 roku, Pierwszego Regimentu Pruskich Huzarów, którzy pod dowództwem Blüchera walczyli pod Waterloo: granatową kurtkę z czerwono-złotym pasem, obszutą futrem peleryną zwieszającą się przez lewe ramię i wysokie czarne buty ze srebrnymi ostrogami.

Psy dyszały, sapaly i przeżyły się na smyczach, a ich łapy ślizgały się na żwirze, jednak mężczyzna zdołał przyciągnąć je do samochodu.

– Albrecht, do nogi! Wagner, do nogi! – wołał, by potem najgłośniej krzyknąć do Effie i towarzyszących jej osób: – Witam w Zamku Ahlbeck! Witam!

– Dziękuję – z lekkim rozbawieniem odpowiedziała Effie.

– Proszę dać mi psy, sir – rzekł Franzi i przejął wszystkie smycze, po czym lojalnie pozwolił, by pięć rozentuzjzmowanych psów pociągnęło go ku bocznej stronie zamku, gdzie widniała kępa nieosłoniętych od wiatru lip, sad i wysokie mokre trawy, w których przypuszczalnie mogły się kryć zające.

Wysoki mężczyzna zrobił krok do przodu, ukłonił się energicznie i pocałował dłoń Effie.

– Nazywam się Karl von Ahlbeck. Jestem zachwycony, że pani przyjechała. Proszę, by zechciała pani czuć się jak w domu.

Mimo staroświeckiego, niemal bajkowego munduru, a może właśnie dzięki niemu hrabia von Ahlbeck wydawał się zarówno wesoły, jak i wrażliwy. Miał pociągłą inteligentną twarz z oczami tak intensywnie brązowymi jak czekolada, ciemne i mimo bardzo krótkiego strzyżenia niesforne włosy, co sprawiało, że przeczesywał je ręką, próbując uporządkować fryzurę. Z pewnością miał trzydzieści pięć lub trzydzieści sześć lat, domyślała się Effie, głównie biorąc pod uwagę „średnią” między jego chłopięcym wyglądem i energią, a powagą i formalnością zachowania.

– Psy zawsze chcą witać wszystkich nowo przybyłych – powiedział. – Potrzebny im ten niewielki wybuch hysterii i pogoń za królikami, więc ciągną nieszczęsno Franzi przez błoto. Potem będą leżeć spokojnie.

– Są doprawdy niezwykle – odparła Effie – i mają piękny piaskowy kolor.

– Nazywamy je cielistymi – uśmiechnął się hrabia. Podał jej ramię i poprowadził ku schodom swego *Schlossu*. – To wyżły weimarskie, jedna z najinteligentniejszych i najwierniejszych ras. Są też bardzo odważne. Mają serce, a ja lubię, gdy psy mają serce.

Przez masywną dębową drzwi wprowadził Effie do arkadowego holu, którego ściany aż do sufitu zawieszono były obrazami przedstawiającymi sceny myśliwskie na niemieckich wrzosowiskach i jelenimi rogami. Wszędzie wisiały piki, miecze i muszkiety. Nawet zyrandol, który na łańcuchach zwieszał się z sufitu, zrobiony był z koła lawety. Pachniało kurzem, skórą upolowanych zwierząt i dymem z palonego drewna.

– Mam nadzieję, że zamek nie wyda się pani zbyt ponury – uśmiechnął się Karl von Ahlbeck, którego głos echem niósł się po holu. – Zbudował go mój prapradziadek, aby prezentować tu swoje myśliwskie trofea i podejmować przyjaciół, z którymi mi polował i grał w karty. Chyba nawet mojej praprabce nie pozwalał przekraczać bram tego miejsca, więc brakuje mu kobiecego tchnienia. A raczej: brakowało aż do pani przyjazdu, panno Watson. Widzę, że przesłanki są znacznie większe...

– Dziękuję – odparła Effie trochę niepewnie.

Usłyszeli odgłos trzaśnięcia i w drzwiach po drugiej stronie holu ukazała się potężna niemiecka niewiasta, masywnobiusta Walkiria z jasnymi włosami ciasno splecionymi w pętle i pierścienie, odziana w faldzistą czarną suknię i biały koronkowy fartuch oraz wymyślny czepek z białek koronki. Karl von Ahlbeck skinął głową.

– To jest Cecylia – rzekł. – Cecylia, podejdź i przywitaj pannę Watson! Cecylia zaopiekuje się panią i pani służbą i do starczy wszystkiego, czego pani zapagnie.

Cecylia dygnęła, jak później wspominał pan Niblets, niczym cyrkowy słoń.

– Cecylia niestety nie zna angielskiego – mówił dalej Karl von Ahlbeck. – Jeśli będzie pani miała jakieś trudności, Franzi posłuży za tłumacza.

– *Ihre Zimmer ist fertig, Fräulein Watson* – powiedziała Cecylia i ukloniła się z taką teutońską serdecznością, że Effie nie pozostało do powiedzenia nic innego jak tylko: – Och, to dobrze.

Hrabia dał Effie godzinę na rozpakowanie się i przebranie do kolacji. Pokój, w którym ją umieścił, był ogromny, miał ściany wyłożone jasną dębiną i obwieszane gobelinami, a jego okna wychodziły na wietrzny zimowy krajobraz, spoglądając w stronę Schwarzenbeck i Buchen. W jednym

końcu pokoju znajdował się gigantyczny rzeźbiony kominek zdobiony dębowymi żołędziami i liśćmi akantu, wspierany na rogach przez złocone łowczyńce w drapowanych szatach. W palenisku leżało pięć czy sześć bierwion twardego drewna, które trzaskało i płonęło z radosną żarliwością. Na drugim końcu pokoju stało wielkie łóżko z baldachimem udrapowanym niezliczonymi fałdami gobelinowej tkaniny z ilustracją na temat, który Effie mogła zinterpretować jedynie jako bardzo śmieszna, ale wyraźnie daremną średniowieczną wyprawę na dziki. Obok łóżka, na rzeźbionej skrzyni, która mogłaby pomieścić dwudziestu chłopców bawiących się w sardynki, hrabia Ahlbeck zostawił dla Effie solidną srebrną szkatułkę pełną ślicznie pachnących chusteczek, paterę ciasteczek z miętowym lukrem i cienki, oprawny w skórę tom wierszy Theodora Storma „Die grauen Stadt, am graue Meer...”.

Zdyszana Tessie wpadła przez drzwi jej własnego pokoju sąsiadującego z sypialnią Effie.

– Przygotowałam pani kąpiel, panno Watson. Tu jest okropnie wielka wanna. Prawie tak ogromna jak statek, którym przy płynęłyśmy.

W gigantycznej wannie stojącej w wyłożonym białymi kafelkami bizantyjskim salonie kąpielowym Tessie namydliła Effie kolońskimi mydłami Fariny Gegenüber i gdy Tessie splukiwała sobie parującą wodą szyję i ramiona, ona wysokim głosem śpiewała wodewilową piosenkę.

Nagle rozległo się szybkie pukanie do drzwi. To był Franzi.

– Pan hrabia powiedział, że słyszał krzyk. Czy wszystko dobrze, panno Watson? – zapytał.

Effie wysuszyła się przed kominkiem ciepłym tureckim ręcznikiem wielkości prześcieradła. Tessie wyłożyła jej strój; wąską wieczorową suknię od Poreta w kolorze kremowordzawym z obszytym futrem kołnierzem i rdzawą jedwabną szarfą pod biustem. Przysłano ją z Paryża dopiero dwa dni przez wyjazdem Effie do Hamburga i wciąż była owinięta w bibułkę w oryginalnym pudle.

Gdy Tessie rozczesywała jej włosy, Effie spoglądała przez okna swego pokoju wychodzące na wschód. Zaczął padać śnieg, układając się bezładnie na pochyłościach gruntów wokół zamku von Ahlbeck i zamazując horyzont drzew i wrzosowisk. Z drugiej strony okien Effie iglice, wieżyczki i balkony zamku rysowały się przez śnieg niczym czarodziejski pałac z jakiejś romantycznej baśni, w którym mogłaby być uwięziona Roszpunka z baśni braci Grimm lub gdzie Śpiąca Królowna mogłaby wzdychać przez lata w zaczarowanym ciepłe swego łoża, podczas gdy na zewnątrz śnieg spadałby coraz grubsza warstwą na parapety obronnych murów i krzewy głogu.

O siódmej wieczorem przyszedł Franzi, by zaprowadzić Effie do jadalni. Towarzyszył mu pan Niblets, sztywny i skrzepowany w szarym ubraniu, które było na niego równie ciasne, jak wcześniej płaszcz zbyt obszerny. Tessie oczywiście miała jeść w kuchni z Cecylią i resztą służby.



– Ufam, że pokój się pani podoba, panno Watson – rzekł Franzi.  
– Jest bardzo komfortowy, dziękuję – odparła Effie. – Czuję się tak, jakbym była na krańcu świata.

– Cóż, ponieważ tak jest – powiedział Franzi. – Na zachodzie znajduje się Dolna Saksonia i północna Holandia, a potem Morze Północne, które zabierze panią do Szkocji. Na wschodzie może pani dostrzec Schleswig-Holstein, Meklemburgię, dalej Pomorze i Polskę, wreszcie rozległe, mroźne przestrzenie Rosji. Tak, jest pani na krawędzi świata!

Kolację podano w bibliotece, na długim dębowym stole, obok leniwie tlącego się kominka. Stała na nim srebrna waza rosolu z karczochami, chrupiące pieczone golonki, wędzona sarnina, kawior, czerwona kapusta i sery. Karl von Ahlbeck przebrał się w wieczorowy strój z białym sztywnym kołnierzykiem o odchylanych końcach i jedwabnym fularem. Effie pomyślała, gdy odprowadzał ją do krzesła na przeciwnym końcu długiego stołu, że jest niemal zbyt „byroniczny”, by mógł być prawdziwy.

– Nie ma pani pojęcia, ile przyjemności sprawia mi pani wizyta – powiedział, gdy służący z bokobrodami napełnił jego talerz zupą. – Bankowość jest obecnie bardzo niebezpieczna, ale też bardzo ponura. Zazwyczaj muszą robić interesy z perorującymi nacjonalistami albo przypochlebnymi małymi Żydami. Nie jestem uprzedzony ani do jednych, ani do drugich, ale zapewniam, że są równie nudni. Pani wizyta jest jak promień słońca.

– Przykro mi, że musi to być spotkanie urzędowe – powiedziała Effie.

Karl przełamał swoją kromkę chleba.

– Nic się na to nie poradzi. Oboje, pani i ja, jesteśmy bankowcami. Musimy służyć światu, tak jak świat służy nam.

– Oto pierwszy raz mężczyzna nazwał mnie bankowcem – powiedziała Effie.

– A czyż to nieprawda? – zapytał Karl, spoglądając na nią znad talerza.

– Pani brat Robert powiedział, że mogę robić z panią interesy. To interes bankowy, zatem dla mnie jest pani bankowcem.

– Jestem również kobietą.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Co czuje pani w swoim wnętrzu? Czy czuje się pani gorszym bankowcem dlatego, że jest kobietą?

Effie przełknęła zupę, a potem odłożyła łyżkę.

– To bardzo niezwykle, że przyjmuje pan taką postawę. Na ogół jestem traktowana z wielką podejrzliwością. Niewielu mężczyzn potrafi zrozumieć, w jaki sposób kobieta zna się na finansach, a ci, którzy to rozumieją, uważają, że nie powinnam się tym zajmować. Chyba czują się mniej męscy, szczególnie jeśli zdarza mi się umieć więcej, niż oni umieją.

– Oczywiście – odparł Karl. – Spotka się pani z taką reakcją ze strony niemal każdego mężczyzny.

– Ale nie z pańskiej strony?

– Czasami. Jestem mężczyzną w świecie mężczyzn. Oczekuję, aby dama zachowywała się jak dama i spodziewam się traktować ją jak damę. Bez względu na to jak zdolna jest pani w interesach, panno Watson, nigdy nie spotka się pani z tym, bym pozwolił, żeby sama przychodziła pani na kolację albo sama otwierała sobie drzwi. To nie w moim stylu. Jeśli jednak ma pani wyczucie pieniądza i talent do interesów, byłoby z mojej strony zarówno absurdalne, jak i nieroztropne, gdybym tego nie docenił lub zlekceważył panią jako trzpiotkę tylko dlatego, że jest pani bardzo ładna i nosi suknię. Spodnie nie są warunkiem koniecznym dla zręcznego bankiera.

Pan Niblets wydał z siebie rżący śmiech, ale gdy Effie spojrzała na niego, marszcząc brwi, poczerwieniał, odchrząknął i skrupulatnie zabrał się za zupę. Karl von Ahlbeck uśmiechnął się do niej, a jego orzechowe oczy zamigotały w świetle stojących na stole świec.

– Przepraszam, jeśli mój angielski jest zabawny – powiedział.

– Nie ma nic złego w pańskim angielskim, hrabio – odparła Effie. – Jest lepszy niż angielski większości Anglików. Myślę tylko, że pan Niblets jest nieco nadwrażliwy na żarty.

– Jest pani inna, niż sobie panią wyobrażałem – powiedział Karl.

– A jak pan mnie sobie wyobrażał? – zapytała Effie.

– Teraz nie jestem pewien. Rzeczywistość już przyćmiła fantazję. Sądzę, że wyobraziłem sobie, iż będzie pani bardziej surowa... nie tak delikatna. Jest pani prawdziwą damą, a ja chyba sądziłem, że kobieta, która postanowiła pracować jako bankowiec, musi być trochę... jak mawiają Amerykanie... twarda.

– Często robi pan interesy z Amerykanami?

Stary służący nalał jej kolejny kieliszek reńskiego rieslinga. Z ognia na kominku sypały się iskierki.

– Robię interesy ze wszystkimi – rzekł Karl. – Przynajmniej dwa miesiące każdego roku spędzam w Ameryce. Jeśli chodzi o tę turecką propozycję, rozmawiałem między innymi w CitiBank, w Morgan Bank i w Chase Bank, chociaż ostatecznie zawarłem satysfakcjonującą umowę z Baeklander Trust.

– Nie wiedziałam – odparła nagle zaalarmowana Effie. – Myślałam, że ta sprawa pozostaje wyłącznie między Watson's Bank a Deutsche Kreditbank.

– Moja droga Effie. Turcy proszą o coś więcej niż o dwadzieścia milionów funtów. Gdybyśmy, pani brat i ja, próbowali wyłożyć pieniądze na takie zamówienie, toby nas złamało. Jednak w triumwiracie banków; Watson's, Baeklander i Deutsche Kredit, możemy być w stanie zaspokoić ich potrzeby i ostatecznie uzyskać najwyższe zwroty. To potencjalnie wspaniała okazja. Stwarza oczywiście ryzyko, takie jakie stwarzają wszystkie wielkie kredyty. Spójrzmy, co się stało z bankiem, który wdał się w interesy z

Argentyną. Jednak nasz triumwirat może wzmacniać się wzajemnie. Pod warunkiem, że pozostajemy w pełni lojalni wobec siebie; jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, jak trzech muszkietierowie, wtedy jesteśmy twardzi jak stal. Każdy z nas może indywidualnie zaryzykować stratę sześciu milionów sześciuset tysięcy funtów, w razie konieczności, ale gdyby tylko jeden bank spośród tych trzech miał się wycofać i pozostawić dwa pozostałe ze stratami, byłoby to katastrofą. Dziesięć milionów sparaliżowałoby bank Baeklandera, przygniotłoby mnie i z pewnością zniszczyłoby Watson's Bank. Oto dlaczego jest pani dzisiaj tutaj, panno Watson: żeby zapewnić mnie, że Watson's Bank w pełni zobowiązuje się do tej pożyczki i sprawić, abym czuł się przekonany, że Robert będzie honorował ten bankowy triumwirat niezależnie od okoliczności.

Effie spojrzała na pana Nibletsa, który skończył już i teraz przenosił wzrok z Effie na Karla, jakby oglądał turniej badmintonu.

– Panie Niblets, czy wiedział pan, że Baeklander Trust jest zaangażowany w to przedsięwzięcie? – zapytała Effie.

Pan Niblets solennie pokręcił przecząco głową.

– Hrabio von Ahlbeck – rzekła Effie – z kim prowadził pan interesy w Baeklander Trust? Czy przypadkiem nie był to mój brat, Dougal Watson?

Karl von Ahlbeck zaprzeczył ruchem głowy.

– Jest pani podejrzliwa wobec braci? Nie, to nie był Dougal, choć poznałem go przelotnie, gdy ostatnio byłem w Nowym Jorku. Jest do pani podobny, prawda? Nawet bardzo. Jednak nie, to nie z nim załatwiałem tę sprawę, lecz z samym Henrym Baeklanderem. Przyjaźnimy się od pięciu czy sześciu lat; od chwili gdy zmarł mój ojciec i ja przejąłem kontrolę nad bankiem.

Odsunął krzesło, wstał i przeszedł wokół stołu, by stanąć obok Effie, z założonymi do tyłu rękami i poważną, skupioną twarzą.

– Coś pani powiem, panno Watson, żyjemy w przerażająco cym świecie. Tak, to prawda; Kaiser może być wnukiem królowej Wiktorii, ale jest zdecydowany poszerzać niemieckie imperium. Poszerzać, a także scalać. Obecnie, jak pani wie, nasze posiadłości rozrzucone są niebezpiecznie po obu stronach Afryki, przez kilka wysp na Pacyfiku i w okolicach chińskiego wybrzeża, a jedynym sposobem, w jaki możemy bezpiecznie utrzymać je razem, jest patrolowanie mórz naszymi okrętami wojennymi, takimi jak „Scharnhorst” i „Gneisenau”. Jesteśmy niepewni jako nowo powstałe imperium, więc musimy być agresywni, dynamiczni, ekspansjonistyczni i trwożyć ludzi. Oczywiście, marynarka brytyjska żywo reaguje na umacnianie niemieckiej floty. Te wszystkie okręty wojenne, jakie zbudowaliście! Te wszystkie krążowniki, łodzie torpedowe i podwodne! Ścigamy się ze sobą na złamanie karku, by zbudować największe armie, jakie kiedykolwiek widział świat. Nasze fabryki pełną parą produkują wojenne okręty i amuni-

cję. My siedzimy tutaj, pijąc wyborne wino. Śmiejemy się, żartujemy i jeździmy na polowania. W Anglii macie swoje regaty i swojego krykieta. Jednak obydwu nasze kraje zmierzają nieuchronnie do wojny. Spieszą się, ścigają, pędzą. Tak jest. Chyba że banki zdołają jej zapobiec.

– Nie rozumiem pana – powiedziała Effie. – Jak banki mogą zapobiec wojnie, jeśli jest ona nieunikniona?

– Mogą to uczynić dzięki udowodnieniu politykom, że prawdziwy dobrobyt rodzi się z ogólnoswiatowego sojuszu kapitału. Proszę pomyśleć o tym przedsięwzięciu, jakie teraz podejmujemy: Niemcy, Anglia i Ameryka łączą się w jedno, aby pomóc Turcji. Rezultaty przyniosą korzyści Turcji, ale będą też korzystne dla wszystkich innych. Taki sam interes można ubić, pomagając każdemu krajowi, który szuka finansowego wsparcia. Sojusze przyszłości będą się opierały na funcie, marce i dolarze, a nie na militarnej strategii i politycznej agresji. Jeśli ta turecka umowa zostanie satysfakcjonująco zawarta, będzie przekonującym dowodem dla Kaisera, że kapitał może pokonać względy narodowe, że banki można uważać za rodzaj międzynarodowego superrządu, którego jedynym obowiązkiem jest przynosić korzyści i dobrobyt. Zrozumie, że niemieckie imperium może być umocnione bez wojny.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że Kaiser naprawdę wie o tej umowie? – zapytała Effie.

– Oczywiście. Rozmawiałem z nim w Berlinie w zeszłym tygodniu. Czeka na jej rezultat z takim samym zainteresowaniem jak każdy. Jeśli bank brytyjski i bank amerykański są gotowe całym sercem wesprzeć niemieckie interesy w Turcji, to on, co rozumiałe, poczuje się znacznie bardziej bezpieczny i mniej skłonny do pójścia na wojnę dla osiągnięcia swoich celów.

Effie nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Robert nic jej o tym nie mówił, zanim wyjechała ze Szkocji. Przypuszczała, podobnie jak większość jej rodaków, że system traktatów i sojuszy, który istniał w Europie, był wystarczający do utrzymania przynajmniej tymczasowego pokoju. Wielka Brytania była sprzymierzona z Francją i Rosją, a Niemcy związani z Austro-Węgrami i Wiochami od lat byli niezmordowani w próbach pozyskania względów Imperium Otomańskiego. Równowaga była oczywiście chwiejna, ale wciąż była równowagą.

Teraz Karl von Ahlbeck mówił jej, że jeśli ona nie załatwi tego porozumienia między Watson's Bank, Baeklander Trust i Deutsche Kreditbank, to może wybuchnąć wojna.

Karl znowu usiadł.

– Chcę być z panią szczerą, panno Watson – powiedział – i to jest ostatnia poważna rzecz, jaką powiem dziś wieczorem. Watson's był jedynym angielskim bankiem, który zdołałem przekonać, by wszedł w ten układ i mówiąc zupełnie szczerze, wciąż nie jestem pewien, czy pani brat Robert

dotrzyma danego mi słowa. Pragnę, aby pani mnie przekonała, że bezpiecznie można posunąć się dalej.

Effie przyglądała się serwowaniu na jej talerz starannie pokrojonej golonki z czerwoną kapustą i pieczonymi ziemniakami.

– Myślę, hrabio von Ahlbeck – powiedziała łagodnie – że przekonanie pana o szczerości Watson's Bank jest podstawowym celem mojej wizyty, chociaż chyba nawet ja nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Po kolacji usiedli przy kominku w ogromnym rodowym holu z wysokim arkadowym sklepieniem i pułkowymi sztandarami zwieszającymi się z pozłaczanych drzewców. Drugi Regiment Śląskich Ułanów, Szósty Regiment z Neumark, Pierwszy Regiment Prus Zachodnich, Regiment Piechoty... Karl podał im niemiecką brandy, rozmawiali o Anglii i Ameryce oraz o muzyce, tańcu i malarstwie.

O jedenastej pan Niblets tłumacząc się wyczerpaniem i niestrawnością, stwierdził, że musi odpocząć. Karl uprzejmie uściśnął mu dłoń i wyraził nadzieję, że będzie spał jak niemowlę. Pan Niblets niezgrabnie pocałował Effie w policzek, ale mu wybaczyła z powodu ilości wina i brandy, jaką wypił. Hałaśliwie wspiął się na schody i pomachał im z arkadowego podestu.

– Życzę państwu słodkich snów! – krzyknął.

Kiedy pan Niblets zniknął, Karl znów usiadł w swoim fotelu i patrzył w ogień.

– Przepraszam, że byłem taki ironiczny przy kolacji – powiedział.

– Wcale nie był pan ironiczny. Raczej zdumiewający. Nie uświadamiałam sobie, jak ważna jest w istocie ta pożyczka.

– Powinienem być zabawny – rzekł Karl, kręcąc głową. – To pani pierwsza noc w Niemczech, a ja rozmawiam z panią jak profesor geografii i nauk politycznych. A pani... pani jest taka śliczna.

Effie odwróciła wzrok.

– Nie musi mnie pan komplementować – powiedziała. – Uzyska pan zapewnienie o zobowiązaniu Watson's Bank bez pochlebstwa. Wszak nie prawi pan komplementów Henry'emu Baeklanderowi na temat jego wąsów, prawda? Ani kanclerzowi Deutsche Bank o wspaniałej wielkości jego wydatnego brzucha?

– Nie – przyznał Karl. – Ma pani całkowitą rację. Jednak, jak mi się zdaje, odziedzyczyłem osobowość mego ojca. Zbyt dużo powagi, a potem za dużo frywolności.

– Kiedy zmarł pański ojciec? – zapytała Effie.

– Sześć lat temu. Wypadek na polowaniu. Koń potknął się o jakiś wykrot i go zrzucił. Zmarł, zanim do niego dojechałem. Nawet nie miałem czasu, aby go pocałować na pożegnanie.

– A matka?

– Mam gdzieś jej portret – odparł Karl cicho. – Nie znałem jej. Umarła... przy porodzie, wydając mnie na świat. Zrezygnowała z własnego życia, żebym ja mógł żyć. Czasami się zastanawiam, dlaczego nie zabili mnie. To by ją ocaliło: zabicie dziecka. Ale ona na nich krzyczała: „Nie, musicie ratować moje dziecko!”. Pochowano ją tutaj, w ogrodach zamku. Ojciec pochowany jest na Pomorzu.

– Przepraszam, nie chciałam zadać panu bólu.

Karl podniósł ku niej wzrok.

– Nie zadała mi pani bólu. Czuję tęsknotę za rodzicami, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Ale nie ból. Cała Europa jest w stanie wrzenia, istnienie tysięcy ludzi jest zagrożone. Przyszłość jest znacznie ważniejsza od przeszłości.

Przez minutę lub dwie siedzieli w milczeniu, a potem Karl zapytał nagle:

– Czy pani tańczy?

– Oczywiście – odparła Effie.

– Zechciałaby pani zatańczyć?

– Oczywiście!

Karl wstał i przeszedł do rogu holu.

– Proszę spojrzeć! Oto najnowsza maszyna gadająca! Nowe płyty Columbi, które przywożem z Ameryki. Jest! Walc „Nad falami” w wykonaniu Orkiestry Wiedeńskiej, wciąż jeszcze z metką... dwadzieścia jeden centów!

Effie się roześmiała. Karl szybko nakręcił gramofon i umieścił igłę na płycie. Sala wypełniła się trzeszczącymi, stłumionymi dźwiękami austriackiej orkiestry unoszącymi się i opadającymi w jednym z najmodniejszych w tym roku walców.

Karl ujął Effie za rękę i sprowadził ją z dywanika przed kominkiem na rozległą szeroką podłogę. Ukłonił się, a potem zaczął z nią tańczyć wokół sali, lekko i płynnie, trzymając ją na odległość ramienia, ale prowadząc w tańcu tak, jakby dokładnie znała każdy krok. I stał się cud, bo chociaż nigdy wcześniej nie tańczyła żadnego z tych wiedeńskich walców, jego wycucie rytmu i sposób prowadzenia były tak znakomite, że tańczyła, jakby je znała.

– Cudownie pan tańczy! – powiedziała.

– Uczyli mnie najlepsi – odparł. – Mój ojciec z uporem twierdził, że wszystko, co robi von Ahlbeck, musi być wykonywane doskonale. Sermierki uczyli mnie mistrzowie z Prus, jazdy konnej trenerzy z Brunszwika, a angielskiego korepetytorzy z Oksfordu. Umiem śpiewać, pływać, grać na akordeonie i władam pięcioma językami.

– I nie był pan żonaty?

– Żonaty? Nie. Chociaż byłem bliski małżeństwa. Bardzo bliski. Mając dwadzieścia cztery lata, byłem zaręczony z baronówną Augustą von Prenzlau. Piękną dziewczyną z nieskazitelnym rodowodem, ale z sercem jak lód.

Zdradziła mnie. To wszystko co mogę pani powiedzieć bezpiecznie, bez złości.

- Przykro mi.
- Niepotrzebnie.

Płyta się skończyła, więc Karl nastawił następną: walc „Nad pięknym modrym Dunajem”. Tym razem trzymał ją bliżej i niemal nie rozmawiali. Effie czuła, że wino, które wypila przy kolacji, przyprawia ją o zawrót głowy, sala wokół zdawała się obracać niczym mechanizm karuzeli. Obok przesuwwały się migotliwe płomyki ognia, potem wojskowe sztandary, klatka schodowa, drzwi, potem znowu kominek... dookoła... dookoła... aż oparła głowę na ramieniu Karla, na czarnym jedwabiu klapy jego fraka i poczuła zapach dżentelmena, wody kolońskiej, tytoniu i ciepłego świeżego potu.

Gramofon wymagający nakręcania zaczął zwalniać. Walc zwolnił i ucichł. Effie uniosła głowę i patrzyła na Karla. On zaś odwzajemniał to spojrzenie, jakby rozpoznał ją z jakiegoś dawnego snu. Tańczyli coraz wolniej i wolniej, wraz z cichnącym walcem, aż całkiem ucichł, i znieruchomiali, stali objęci w środku sali, bez ruchu i bez słowa, oboje pewni, jak zawsze pewni są kochankowie, że wydarzenia, które ich ze sobą zetknęły, rozmyślnie zaaranżował los.

Karl pochylił głowę i pocałował Effie w usta, bardzo powoli i tak namiętnie, że poczuła, jak krew odpywa jej z twarzy.

– Znalazłam cię – wyszeptła bardziej do siebie niż do Karla, bo wiedziała z całkowitą pewnością, że po dwudziestu siedmiu latach dziewictwa znalazła mężczyznę, dla którego była przeznaczona. W wielkiej sali *Schloss von Ahlbeck* panowała cisza, ale dla Effie równie dobrze mógłby się tu rozlegać grzmot potężnych organów, dzwonienie cymbałów i orkiestrowe bębny.

– Idź teraz do swojego pokoju – powiedział Karl z wielką troskliwością. – Niech pokojówka przygotowuje cię do snu. Ja wyprowadzę psy i wypiję ostatnią szklaneczkę brandy, a potem przyjdę do ciebie.

Skinęła głową. Nie chciała nic mówić. Karl dotknął jej policzka, jakby się upewniał, że nie jest magicznym złudzeniem.

- Effie... – powiedział, pierwszy raz wymawiając jej imię.

## 47

Ponownie się wykąpała i ubrała w cytrynowożółtą jedwabną nocną koszulę od Archimèdesa z Paryża, po czym spryskała się perfumami, położyła na gobelinowym łożu i czekała na niego. Czuła, że nie może oddychać, jakby była poławiaczką pereł i zabrakło jej powietrza. Kominek był zbyt gorący i w pokoju było duszno, jednak kiedy poprosiła Tessie o otwarcie

jednego z okien, szybko musiała jej polecić zamknięcie go, gdyż podmuch z zewnątrz był bezlitośnie lodowaty.

Czekając, próbowała czytać wiersze Theodora Storma i zastanawiała się, czy nie postąpiła niemądrze.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i stanął w nich ten sam stary kamerdyner, który obsługiwał ich przy kolacji, ale teraz ze srebrnym wiaderkiem do chłodzenia szampana, w którym kryła się butelka Dom Perignon '87.

– Dobranoc, *Fräulein* – rzekł z ukłonem i zniknął.

Karl przyszedł do niej pięć minut przed północą. Była już śpiąca i oszołomiona wieczornym winem, ale on otworzył drzwi bez pukania i stanął na poły stanowczy, na poły zakłopotany, w sięgającym do kostek granatowym jedwabnym szlafroku, w nogach jej łóżka.

– Wychodziłeś z psami? – zapytała.

– Tak. Wychodziłem z psami. Poszliśmy na brzeg rzeki, Ilzy – odparł, zamykając za sobą drzwi, a jego akcent brzmiał wyjątkowo twardo. – Śnieg przestał padać, widziałas? Wszędzie zostawiliśmy ślady. Dziwna noc. Tak zimna, że człowiek ma wrażenie, iż mógłby się położyć i umrzeć.

– Zastanawiałam się, czy przyjdiesz – powiedziała Effie.

Karl podszedł do srebrnego wiaderka i zdjął folię z szyjki butelki Dom Perignon.

– Jesteś zbyt skromna. Chodziłem wokół domu, zastanawiając się, czy mnie wpuścisz do swego pokoju czy nie.

– Nie chcę już więcej pić. Proszę – odparła. – Chcę, żebyś tu podszedł i był ze mną.

Karl wyjął korek z butelki szampana i ostrożnie napełnił dwa kieliszki.

– Powinniśmy świętować – powiedział, unosząc kieliszki nad łóżkiem – powinniśmy uczcić spotkanie dwojga ludzi, którym zawsze było przeznaczone się spotkać. Jak często to się zdarza w rzeczywistości? Prawie nigdy. Jednak dzisiaj, w tę śnieżną noc, się zdarzyło. Zanim tutaj przyjechałaś, wiedziałem, że jesteś kobietą z mego najwspanialszego snu. – Postawił kieliszki z szampanem na rzeźbionej dębowej skrzyni obok łóżka i wyjął z kieszeni fotografię w srebrnej ramce. Effie zerknęła na nią i rozpoznała siebie na zdjęciu zrobionym rok wcześniej w Royal Botanic Garden; uśmiechniętą, śliczną, z naręczem chryzantem, które właśnie kupiła. – Od kiedy się dowiedziałem, że przyjeżdżasz, oglądałem tę fotografię noc po nocy – przyznał Karl – i gdy wreszcie przyjechałaś, nie rozczarowałem się. Właśnie dlatego wystąpiłem z taką brawurą, gdy pojawiłaś się tu dzisiajszego popołudnia. Muszę mieć „wejście”, pomyślałem. Muszę zrobić na niej wrażenie!

– Skąd masz tę fotografię? – zapytała Effie.

– Dał mi ją twój brat, Robert. Powiedział, że ma śliczną siostrę, a ja



poprosiłem, żeby mi pokazał zdjęcie. Kiedy zobaczyłem tę fotografię, zapytałem, czy mogę ją zatrzymać, a on odparł, że mogę. Nie jesteś urażona?

– A powinnam? – spytała Effie. Żałowała tylko, że brak jej tchu. Powietrza, myślała, potrzebuję powietrza! Kominiek jest tak gorący, wino tak szumi mi w głowie, a łóżko wydaje się przechylać do tyłu.

Karl podszedł bliżej i objął ją ramieniem. Jego twarz była tak blisko; tak blisko, że widziała beżową sieć wzorów na tęczęwkach jego oczu.

– Jestem bogaty, jestem wolny, jestem młodym wytwornym prezesem Deutsche Kreditbank. Potrafię wpłynąć na Kaisera. Mam wpływy w urzędzie kanclerskim. Mam domy, ziemię, samo chody, dzieła sztuki, nawet menażerię. Ale nigdy wcześniej nie byłem tak zakochany. Miłość taka jak ta nie ma nic wspólnego z wolną wolą. Jestem bezsilny, Effie, nie mogę robić nic innego, jak tylko cię kochać. Mógłbym z tym walczyć. Mógłbym cię odpychać! Ale to niemożliwe! Sprowadziło cię do mnie coś, co nazywamy *Schicksal*, czyli przeznaczenie. Nasza przyszłość nie leży w naszych własnych rękach, ale w rękach bogów.

Pocałowała go w policzek, następnie w kącik ust, a potem w same usta. Później nie musieli już nic mówić. Całowali się długo, rozkoszując się swym smakiem, i tak głęboko, jak mogli, jakby dzięki wciskaniu języków w gardła mogli dotknąć, tak jak dotyka pszczoła, sekretnego nektaru swych osobowości.

Karl w końcu wstał. W blasku kominka za plecami wyglądał jak wysoki pruski heros lub jak wagnerowski Wölfe, „wojowniczy, silny i nigdy nie szukający wrogów”. Rozwiązał pasek szlafroka i pozwolił mu opaść ze swego nagiego ciała. Był smukły i bardzo muskularny, z krzyżem ciemnego zarostu na piersi i płaskim brzuchem, przez który od niskich żeber aż do biodra biegła biała blizna. Jego penis uniósł się z włosów łonowych niczym szkarłatny rumak wznoszący się poprzez chmurę ciemnego dymu. Effie nigdy wcześniej nie widziała podnieconego mężczyzny, nie tak, nie na żywo, i nie mogła oderwać od niego wzroku. Był zarówno kuszący, jak i przerażający, zarówno groteskowy, jak i piękny z hełmem swojej główki i nabrzmiałymi żyłami i z podobnym do owocu „podbródkiem”, gdzie już połyskiwały najczystsze płyny.

Karl rozpiął cytrynowe jedwabne guziczki jej nocnej koszuli. Oddychała szybko i pocałowała jego nagie ramię i owłosiony sutek. Potem obnażył jej piersi, pieszcząc je, uciskając w dłoniach i muskając kciukami, by pobudzić sutki.

– Karl... – powiedziała, ale głos nawet nie brzmiał jak jej głos.

Całował przedziałek w jej włosach, uszy, twarz i szyję. Potem w jakimś zadziwiającym i czułym geście ukląkł na łóżku tak, że główka jego penisa dotknęła jej sutków i namaściła każdy z nich śliską cieczą, która wyrażała jego namiętność.

Jego palce przebiegły wzdłuż jej nagich pleców i niczym elektryzujące pająki muskały wrażliwe nerwy bioder, pieszcząc zewnętrzną stronę uda, aż z pragnienia pocierała ściśniętymi nogami. W końcu wsunął się między te nogi i owijając sobie jej owłosienie wokół czubków palców, rozsunał jasnorożowe wargi, połyskujące i nabrzmiałe niczym ponętne i drżące mięczaki.

– Effie... – szeptał jej do ucha, a potem opuścił głowę, całując jej piersi i biorąc sutki między zęby niczym wyjątkowy smakołyk, a potem gryząc je, aż spłasowały i zabolaly. Lizał jej pępek, a potem podążył językiem linią fałdek brzucha, przeszedł przez owłosienie i znalazł wilgotną linię sromu, po czym zacisnął usta wokół jej narządu, jakby był spragnionym rozbitkiem wysysającym ostrygę.

Effie przeszła przez doznania, jakich istnienia nawet sobie nie wyobrażała. Czuła, jakby całe miesiące przebiegły obok niej w ułamkach sekund, jakby słońce wschodziło i znikało znowu, raz za razem, jakby zegary gorączkowo wydzwoniły połowę jej życia. Czuła się tak, jakby jej wagina otworzyła się dla Karla kompletnie, a on przeniknął do ostatniej szczeliny jej sekretu. Gdziekolwiek by ukryła swoją skromność, on ją odkrywał i pieścił językiem. W niewielkim ujściu cewki, w śliskim wejściu do jej wnętrza, w mocno zaciśniętych mięśniach odbytu.

Jak na dziewczynę wychowaną z wiktoriańską surowością w wyższej klasie Edynburga; dziewczynę, która pozostała dziewicą przez tak wiele lat z powodu okoliczności i lęku, przeżycie, jakiego doznała wzięta tej nocy przez Karla von Ahlbecka, przekraczało jej zdolność pojmowania, było nagłą podróżą od powściągliwego dzieciństwa do otwartej kobiecości w ciągu pięćdziesięciu pędzących minut. Z nim nie była powściągliwa; on był bardzo silny, bardzo namiętny i pozwoliła, by przejął nad nią kontrolę. Wspiął się na nią z erekcją w dłoni i wszedł w nią silnie, ale ostrożnie, każąc jej poczuć jego pragnienie i siłę, ale nie raniąc. Potem wchodził i wchodził raz za razem, aż łóżko wydawało się podnosić pod nią, a pokój poszerzył się niczym balon na gorące powietrze i zadrżała w uścisku czegoś, co jeszcze nie było orgazmem, nie całkiem, ale czymś, co mogła osiągnąć.

Noc minęła wolno jak rok i szybko jak okamgnienie. Pili szampana i prawie w ogóle nie rozmawiali. Za drugim razem położył się obok niej i wziął ją spod uniesionego biodra, tak że dłonią mógł ją pieścić leniwie, gdy się kochali. Później, gdy butelka Dom Perignona była już prawie pusta, ona oparła policzek o jego biodro, a potem obróciła głowę tak, by wziąć jego penis między wargi i krążyć wokół niego językiem, aż znów zaczął sztywnieć i wypełnił całe jej usta.

Nie było niczego, czego nie zrobiłaby dla niego tej nocy. Należała całkowicie i najintymniej do niego. Kiedy kochał się z nią znowu przed świtem, gdy kolejna śnieżycza bezgłośnie spadła na balkon ich pokoju, wsu-

nę jej palec między pośladki, obracając nim i wciskając do środka aż po wierzch dłoni, wtedy poczuła się kompletnie zdobyta, w pełni wzięta i gotowa oddać mu wszystko, co było w niej wrażliwe i zmysłowe. Gotowa oddać siebie, Effie, oddać w posiadanie swe ciało, umysł i wszystkie pozostałe lata życia.

Pomyślała też, równie szelmowsko niewinna jak nastolatka: *Zrobiłam to, nareszcie to zrobiłam! Jestem kobietą. Kobietą namiętną i doświadczoną. Nie jestem już dziewczyną. Moje dziewictwo odrzuciłam. Nigdy już nie włożę na włosy dziewczęcej przepaski, która w Szkocji oznacza dziewictwo!*

Karl pocałował ją, gdy ponad śniegiem zaczęło wschodzić złowrogie gotyckie słońce, potem wstał, owinął się szlafrokiem i wyszedł z jej sypialni. Ogień dawno zgasł w popiołach, Effie leżała na poduszkach z westchnieniem i jedną ręką między nogami. Nie wiedziała, czy milczeć czy śpiewać, ale w końcu radość i ulga wzięły nad nią górę i zaśpiewała: *Alfredo, Alfredo, di questio cuore...*

Rozległo się gorączkowe pukanie do drzwi.

– Panno Watson! – wołała Tessie. – Czy wszystko w porządku, panno Watson?

## 48

Effie została w *Schloss von Ahlbeck* przez niemal trzy tygodnie. Pokonywali konno kilometry śniegu, Karl pokazał jej ulubione miejsca zimowych łąbędzy i kryjówek lauenburskich lisów. Otuleni w futra chodzili do obrzeży lasów Karla i stali w milczeniu, podczas gdy znów zaczął padać śnieg, a słońce gasło, przechodząc od bursztynowej do posępnej czerwieni.

Karl kilkakrotnie zabierał ją do Hamburga, czasem sam prowadząc swój wielki samochód marki Pierce-Arrow. Przedstawił ją swoim kolegom dyrektorom w Deutsche Kreditbank, a oni kolejno pochylali przed nią błyszczące łysiny i stukali obcasami niczym koraliki liczydła, a potem z wielką życzliwością gratulowali Karlowi tak atrakcyjnego *coup*.

– Gdybyż tylko interesy były zawsze taką rozkoszą – powiedział jeden z nich, wpatrując się w Effie tak szeroko otwarty mi oczami, że wypadł mu monokl.

Przeżywali wieczory nieskrywanego romansu, chodząc na kolacje do Gali lub Zulpicha, gdzie orkiestry grały sentymentalne niemieckie pieśni, a kelnerzy podchodzili do ich stolika, niosąc wazy zupy zółtowiowej, dania z marynowanej gęsi lub dzika. Odbywali samochodowe wyprawy wzdłuż Łaby i na lüneburskie wrzosowiska z gramofonem grającym Wagnera i Haydna oraz piknikowym koszem z wędzonym śledziem, nadziewanym homarem i butelkami szampana w bagażniku.

W końcu jednak nadszedł wieczór, gdy Effie zrozumiała, że będzie musiała wrócić do Szkocji. Zwyczajnie i cicho zjedli kolację w zamku, a potem siedzieli przy kominku, tak jak podczas pierwszego wieczoru. Pan Niblets z czerwoną twarzą oświadczył, że czuje się „wykończony” po popołudniowym polowaniu na kaczki z Franzim (pięć kaczek, które ustrzelił, miały być dla niego zawekowane, by mógł je wziąć ze sobą do Szkocji jako pamiątkę) i wcześniej udał się do swego pokoju z butelką niemieckiej brandy i rybałtowską niemiecką książką, którą znalazł w bibliotece hrabiego von Ahlbeck, zatytułowaną „Der Insel der Jungfrau”.

Karl zagłębiony w fotelu patrzył na Effie z wymuszonym zadowoleniem kochanka, który jest szczęśliwy, ale wie, że jego szczęście może być tylko krótkotrwałe.

– Bardzo żałuję, że nie możesz zostać – powiedział.

– Ja również bardzo tego żałuję. Ale wiesz, że wrócę. Gdy tylko ustalę wszystko z Robertem, natychmiast wrócę.

– Wiesz – odparł Karl – w „Fauście” Goethe zastanawia się, czy można powiedzieć do jednej chwili: „Nie mijaj, trwaj”. Jesteś taką piękną chwilą, która powinna pozostać. „*Werd ich zum Augenblicke sagen, verweile doch!, trwaj! Du bist so schön!*” Jesteś taka piękna”. Cóż, właśnie tak się teraz czuję. Że ta chwila powinna trwać, że chciałbym zawsze patrzeć na ciebie taką, jaką jesteś w blasku tego kominka, ukochana.

– Wrócę – powtórzyła Effie, uśmiechając się łagodnie. – Jeśli chcesz, wrócę rejssem w przyszłym tygodniu.

– Jeśli chcę?! – wykrzyknął Karl, a potem powiedział z wielką czułością: – Tak, chcę. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, z kim czułbym się tak dobrze i tak swobodnie. Mogłem wyjawić ci swoje nieczyste sekrety i największe ambicje. Mogłem mówić „kocham cię”, „kocham cię”, „kocham cię” i nie czuć żadnych zastrzeżeń czy niepewności. Jesteś pierwszą osobą, jaką znam, przy której nie wstydzę się ani śmiechu, ani łez.

Effie podeszła i przyklękła obok, opierając ręce na oparciu jego fotela i wznosząc ku niemu wzrok z takim uczuciem i uwielbieniem, że nie mógł się powstrzymać, by się nie pochylić i jej nie pocałować.

– Jesteś moim przeznaczeniem – powiedział. – Wiesz o tym? *Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan*, pochłania nas to, co w kobiecie wieczne.

– Co będziesz robić, gdy wyjadę? – zapytała Effie.

– Śnić o tobie – odparł Karl. – I pracować! Te ostatnie trzy tygodnie były dla mnie wakacjami. Muszę załatwić ten kredyt dla Turcji. Muszę również zezwolić na pożyczki dla zakładów zbrojeniowych w Zagłębiu Ruhry i przedsiębiorstwa konstrukcyjnego w Hamburgu. Wiesz, że poszerzamy nasz system kanałów na wypadek wojny.

– Nie będzie wojny, Karl. Jeśli Brytyjczyków i Niemców łączy choćby jedna dziesiąta tej przyjaźni, jaka łączy nas, chociaż jedna setna, to nie może

być wojny.

– Cóż – rzekł Karl, wzruszając ramionami. – Wszyscy mamy nadzieję, że nie będzie wojny.

Wieczór minął. Omówili wszystko, co mogli, dzieląc się wszystkim, co było możliwe, zanim Effie miała wyjechać. Na górze jej kufry były już spakowane. W Hamburgu „Kronprinz Wilhelm”, jeden z najnowszych niemieckich liniowców oceanicznych, który miał zabrać Effie z powrotem do Szkocji, stał już w porcie i właśnie zaopatrywano go w żywność i czystą pościel na rejs. W powietrzu czuło się pewną nerwowość, ten rodzaj napięcia, który wprawia konie w stajniach w stan niepokoju.

O północy, gdy zaciągnięto już aksamitne zasłony, stary służący Karla podał im małe kieliszki malinowej brandy, więc mogli wypić toast za siebie i swoją przyszłość, a przy tym się rozgrzać. Karl nie poprosił Effie o rękę. Słowo małżeństwo nie pojawiło się w ich rozmowach ani razu. Dzielili ze sobą przekonanie, że ta wizyta będzie tylko pierwszą z wielu następnych, że znów będą zimą galopować przez śnieg, a latem przez pastwiska i że mają przed sobą wiele lat śmiechu, radości i wspólnego czulego milczenia.

– Jest jeszcze coś – powiedział Karl. – Napisałem do twojego brata Roberta, gdy tu przyjechałaś, i ponownie zapytałem go o zapewnienia, jakich może nam udzielić, że Watson's Bank będzie partycypować w tym kredycie. On mówi, że Watson's zawsze honoruje swoje uzgodnienia i umowy i że nie muszę się niepokoić. Ale jeszcze nie może zobowiązać się na piśmie, ponieważ brytyjskie Ministerstwo Finansów nie zaaprobuje kredytu dla Turcji, szczególnie udzielanego wspólnie z bankiem niemieckim, chyba że będą pewni, iż nie sprzeciwi się temu bank amerykański. Za wszystkim kryje się polityka i protokół. Rozumiesz jednak, jakie to jest ryzyko dla mnie i dla Baeklander Trust. Twój brat mówi, że nie może nas wesprzeć, dopóki naprawdę nie podpiszemy umowy z rządem tureckim i będzie mógł powiedzieć Ministerstwu Finansów, że jest to *fait accompli*. Mówi, że faktycznie nie potrzebuje zezwolenia ministerstwa, bo nie jest ono obowiązkowe, ale jego bank robi tyle interesów z rządem i armią, że się waha, aby ich nie obrazić.

– Dotrzyma słowa, jestem pewna – powiedziała Effie. – Przyznaję, że mój brat jest bardzo twardym biznesmenem i wykorzystuje słabszych, ale nigdy nie słyszałam, żeby kłamał lub wycofał się z czegoś, co obiecał.

– Właśnie to mnie martwi. W istocie niczego nie obiecał.

– Zatem jeśli chcesz, ja obiecuję za niego.

Karl ujął jej rękę.

– Skoro ty tak mówisz, jestem zobowiązany wierzyć. W każdym razie, jeśli zechcę dopełnić tej umowy z Turkami, będę miał bardzo niewielki wybór oprócz współdziałania z Watson's Bank. Odwrócili się ode mnie Rothschildowie, Beringowie, Kleinwortowie i Schroederowie. Próbowałem

z Francją, ale Francuzi są teraz zbyt histeryczni, by wspierać Turcję. Są nazbyt rozhisteryzowani, aby robić cokolwiek innego oprócz kręcenia się w kółko za własnymi ogonami. Jeśli ktokolwiek pogrąży nas w wojnie, będą to Francuzi. Szaleją na zmianę ze złości i ze strachu. Nie mają tej trwałości celu, która łączy Niemcy i Wielką Brytanię.

– Karl – powtórzyła Effie – solennie obiecuję, że Watson's Bank przyłączy się do ciebie w tym przedsięwzięciu. Gdy tylko dowiem się od ciebie, że Baeklander załatwia umowę, osobiście się upewnię, że Robert sporządził dokumenty, tak żeby Watson's Bank mógł przyłączyć się do ciebie. Przywiozę te dokumenty ze sobą.

– Rozumiesz konsekwencje, jeśli do tego nie dojdzie – rzekł Karl. – Deutsche Kreditbank i Baeklander Trust będą zobowiązane do wypłacenia rządowi tureckiemu pożyczki przekraczające dwadzieścia milionów funtów. Mój bank, zmuszony do wielkiego wysiłku, wyjątkowo cienko przędzie w tym momencie. Znaczna część naszych aktywów zamrożona jest w budownictwie okrętowym, produkcji stali i innych gałęziach przemysłu ciężkiego w Zagłębiu Ruhry. To długoterminowe ryzyko. Baeklander Trust podejmuje poważne zobowiązania w Ameryce Łacińskiej i na Wyspach Pacyfiku. Reputacja naszych dwóch banków, i prawdopodobnie całej zachodnioeuropejskiej finansjery, zależy od tej umowy i obrazu jej działania. Tam gdzie my pokażemy tę drogę, inni pójdą za nami, a jeżeli inni pójdą naszym śladem, będzie znacznie większa szansa na pokój. Państwa związane sojuszami są przyjaciółmi *de nomine*. Państwa związane pieniędzmi są przyjaciółmi *de facto*.

– Skoro towarzyszy temu tak wielkie ryzyko, dlaczego pracujesz tak ciężko, aby doprowadzić do tego porozumienia? – zapytała Effie.

Karl pogłaskał ją po włosach.

– Ponieważ nikt inny tego nie zrobi i dlatego, że czas szybko ucieka. Ktoś musi udowodnić, że wojna nie jest jedyną drogą do złagodzenia napięć, jakie narastają w Europie. Ani Diskonto Bank, ani Darmstädter Bank nie są zainteresowane. Zatem muszą to być ja i Deutsche Kreditbank.

Effie ujęła go za rękę i uścisnęła ją mocno.

– Ja cię nie zawiodę. Wiesz o tym, prawda?

Karl skinął głową.

– Moja ukochana – powiedział czule. – Moja kochanka i moja bankierka. Kto inny może tak powiedzieć?

## Księga druga

# POKAZ ZŁA

Świat ciągle zwodzi ozdobną powłoką.  
Bo w sądach naszych gdzież jest tak zła sprawa,  
Która by, słodkim okraszona słówkiem,  
Wad swych nie skryła?

Szekspir, *Kupiec wenecki*

# 1

– Jesteś w błędzie, złociutka – powiedział Robert z twarzą częściowo zasłoniętą przez zielony klosz lampy na jego biurku i ciężko opartą na bibule jedną rękę podobną do czerwonej skórzanej rękawicy ogrodowej, którą ktoś leniwie cisnął w światło lampy.

Effie nic nie odpowiedziała, siedząc po przeciwnej stronie wśród ozdobnych roślin; bromelii i aspidistrów, doskonale ubrana w białą wełnianą dzienną suknię ozdobioną liliowymi wstążkami oraz biały kapelusz udekorowany owocami i kwiatami bzu. Doskonała, blada i bardzo bliska łez.

Robert wstał i włożył ręce do kieszeni.

– Nie może być mowy o zaangażowaniu się Watson's Bank w tę umowę. Jestem absolutnie pewien, że to na Baeklander Trust i Deutsche Kredit spadnie odpowiedzialność. Ale to dla nich niezła perspektywa, co muszą przyznać. Powinni się cieszyć z takiej transakcji, nie sądzisz? Dwadzieścia milionów funtów to kupa forsy.

– Nie mogą wypłacić tej pożyczki bez naszego wsparcia – odparła Effie. – Wiedziałeś o tym od samego początku.

– Oczywiście, że wiedziałem – rzekł Robert pogodnie. – Oni również to wiedzieli, zanim w ogóle zdecydowali się wdać w jakiś układ z rządem tureckim. Podjęli ryzyko! Ja powiedziałem całkiem wyraźnie, że *w pewnych okolicznościach* byłbym gotów zgodzić się z nimi. Ale jak się okazuje, takie okoliczności nie zaistniały. Nie jestem na przykład całkiem pewien, że Turcy mogą zapewnić nam odpowiednie gwarancje i nie podoba mi się sposób, w jaki przeznaczają tak wiele pieniędzy na budowę prywatnych mieszkań zamiast na budynki użyteczności publicznej. Domy dla chłopów to rzecz bardzo przyjemna, nie sądzisz, ale kraj bez biur, banków i posterunków policji jest krajem bez serca – usiadł na krawędzi biurka i splótł ręce w geście, jakiego często używał ojciec. – Poza tym, Effie, przeznaczyłem już trzy miliony funtów na Ekstasis, grecką flotę przewozową i jeśli zacznę kręcić z Niemcami i Turkami, tamci się wycofają. Poczują się zobowiązani do anulowania umowy. Naprawdę sądzisz, że odrzucę tak lukratywną



transakcję tylko dlatego, żeby się wdać w jeden z nierealnych planów Karla von Ahlbecka zakładających stworzenie jakiegoś superzrządu bankierów? Rusz głową, Effie!

– Robercie – powiedziała Effie, ze wszystkich sił starając się panować nad głosem. – Robercie, ja o b i e c a ł a m.

– Cóż, przykro mi powiedzieć, że nie powinnaś obiecywać – oświadczył Robert. – Posłałem cię do Niemiec, żebyś tego doświadczyła i upewniła się za mnie, że ten tak zwany „triumwirat” banków jest tak idiotycznym pomysłem, jak od początku sądziłem. Gdy mi wytłumaczyłaś, co ci powiedział Karl von Ahlbeck, jestem całkowicie przekonany, że ten plan jest absurdalny. On jest niekompetentnym amatorem, dyletantem w dziedzinie, w której nawet profesjonalistom trudno jest przeżyć.

– Ale Karl był pewien, że ty się już zgodziłaś na działanie. Gdyby to porozumienie nie doszło do skutku, on byłby zrujnowany.

Robert pochylił się nad biurkiem, a lampa oświetliła bok jego lewego policzka i miejsce pod lewym okiem tak, że nabrał wyglądu żywej maski pośmiertnej.

– Obawiam się, że Karl liczy na jajka, które nie tylko nie zostały wysiedziane, ale które nawet jeszcze nie zostały zniesione. Przykro mi, że to przysporzy mu kłopotów, ale tak to jest. Wszystko co zrobił, zrobił dlatego, że tak postanowił. Ja go nie zmuszałem.

Effie milczała przez pełną napięcia chwilę, a potem powiedziała:

– Ty go nie zmusiłeś, nie. Nie zmusiłeś go. Ale skusiłeś go, czyż nie? Użyłaś kobiety, by zaplątała go w sidła.

Robert utkwiał w niej nieruchome spojrzenie.

– Pokazałeś mu moją fotografię, gdy pierwszy raz go spotkałeś, prawda? Spodobała mu się tak bardzo, że ją zatrzymał i to podsunęło ci wspaniały pomysł: czemu nie wpuścić tego nieszczęsnego człowieka w gigantyczną pułapkę, używając własnej siostry na przynętę?

Robert spuścił głowę, po czym ponownie podniósł ją z uśmiechem.

– Effie – powiedział. – Effie, Effie, Effie! Wiesz, jak bardzo jesteś podobna do matki? Zawsze podejrzliwa, zawsze szukająca dziury w całym, jakichś drobiazgow...

– To nie drobiazg, Robercie. To prawda. Nie wiem dlaczego, ale chciałeś zrujnować zarówno Deutsche Kreditbank, jak i Baeklander Trust. Cóż, może nie zrujnować, ale sparaliżować je.

– Effie, to nonsens.

– Czyżby? – nie ustępowała Effie.

Robert znów obszedł dookoła swoje biurko.

– Chyba powinniśmy pójść na obiad, nie sądzisz? Może zabrałbym cię do „Caledonian”?

– Nie jestem głodna.

– Nie wydaje mi się, żeby głód miał z tym coś wspólnego. Nie trzeba być głodnym, żeby jeść.

– Tak jak nie trzeba pragnąć zemsty, żeby zrujnować dwa dobrze prosperujące banki?

Robert patrzył teraz na Effie jeszcze bardziej przenikliwie. Podszedł bliżej i stanął nad nią, w zamyśleniu obgryzając paznokieć. Nie podniosła wzroku, patrząc tylko na guzik jego kamizelki i połyskujący łańcuszek kieszonkowego zegarka.

– Zakochałaś się w nim, prawda? – powiedział w końcu. – Wróciłaś do Edynburga zaledwie dwa dni temu, a już gryziesz wędzidło niczym klacz w rui, która czuje silny zapach ogiera. Zostaliście kochankami, prawda, ty i ten wspaniały hrabia von Ahlbeck? Leżałaś w jego łóżku przez te trzy minione tygodnie. No cóż, dobrze. Wreszcie to zrobiłaś. Niepokryta Klacz w końcu została złamana.

Effie niemal nie mogła mówić z powodu pogardy, jaką do niego poczuła.

– Boże, ależ jesteś ordynarny – powiedziała. – Jesteś ordynarnym brutallem!

– Ordynarny? – wykrzyknął Robert. – Cóż jest ordynarnego w miłości. Jesteś w nim zakochana, prawda? Co w tym ordynarnego? Zaznałaś rozkoszy sakramentu seksu, czyż nie? Nie uważałaś, że to ordynarne, gdy cię dosiadał, prawda?

Effie wstała gwałtownie.

– Zrobiłaś to celowo – powiedziała. – Teraz już wiem, Robercie. Nie ma innego wytłumaczenia. Wysłałaś mnie, żebym poznała hrabiego von Ahlbeck, bo wiedziałaś, że się ze sobą zbliżymy i jak się szczęśliwie dla ciebie okazało, zbliżyliśmy się nawet bardziej, niż mogłaś się spodziewać. Pokochał mnie tak jak ja jego, a ponieważ mnie kocha, zaufał mi, gdy powiedziałam, że Watson's Bank będzie honorować porozumienie z nim nieza leżnie od tego, czy zawarte zostało na piśmie czy nie. Zaufał mi, Robercie, bo mnie kocha. I ty wiedziałaś, że mnie pokocha. Mój Boże, ty w i e d z i a ł e ś , że tak się stanie.

Robert odwrócił się do niej plecami.

– Doskonale – powiedział po dłuższej chwili. – Masz rację. Rzeczywiście miałem nadzieję, że zyskam trochę czasu, jeśli wyślę cię na spotkanie z hrabią von Ahlbeck i jeśli chcesz znać całą prawdę, liczyłem też, że poważnie zobowiąże on Deutsche Kreditbank do wypłacenia Turcji pożyczki. Nie możesz jednak obwiniać wyłącznie mnie. Gadał o tej pożyczce, jakby zapowiadało to jakąś „złotą erę kapitału”. Moim zdaniem był bardziej niż tylko trochę nierealistyczny. Był fantastą. W głowie kłębowisko myśli, a kieszeń pełna idiotycznych planów. Żaden z pozostałych niemieckich banków o nim nie myśli i nawet jego wielki koleś Kaiser chwali jego działania tylko dlatego, że może ono pomóc Drugiej Rzeszy w rejonie Morza

Śródziemnego. Miejsce w blasku słońca, to wszystko czego pragnie Kaiser. Wcale nie jest zainteresowany Złotą Erą Kapitału. A ty?

Effie wpatrywała się w Roberta tak sztywno, tak zmrożona odrazą, rozgoryczeniem i przerażeniem, że prawie nie mogła poruszyć ustami.

– Jest również coś jeszcze – mówił dalej Robert. – Deutsche Kreditbank rywalizował z nami bardzo brutalnie, by udzielić pożyczki spółce Chapada das Mangabeira wydobywającej szmaragdy w Recife, w Brazylii. Mogła to być jedna z najbardziej zyskowych inwestycji, jaką kiedykolwiek podjął brytyjski bank. Porównywalna z pożyczaniem przez Rothschilda pieniędzy Rodezji na wydobywanie diamentów. Cóż, nie mogliśmy pozwolić, by nowicjusz taki jak hrabia von Ahlbeck pokonał nas w tym, prawda? Musieliśmy zrobić coś, by zwiększyć szanse.

Effie odpowiedziała głosem zimnym jak lód.

– I aby zwiększyć szanse, jak to szlachetnie opisujesz, oddałeś dziewictwo własnej siostry i złamałeś jej serce?!

– Och – rzekł Robert, jak gdyby odplaciła mu jakimś nadmiernym komplementem – nie musisz nazywać tego aż tak.

– A jak powinnam to nazwać? Co chcesz, żebym powiedziała oprócz tego, że jesteś wyjątkowym gadem, który pożera innych z pasją i bez wyrzutów sumienia? Odziedziczyłeś po ojcu wszystko co najgorsze i jeszcze trochę. Ani przez jedną sekundę nie pomyślałeś o mnie, o tym co ja mogę czuć. Nie pomyślałeś, że mogłam pokochać Karla von Ahlbecka i że teraz już nigdy nie będę mogła się z nim spotkać. Jak mogłabym to zrobić, skoro złożyłam solenną obietnicę, że Watson's Bank mu pomoże? Jak miałabym to zrobić, skoro musiałabym przyznać, że jestem, tak jak on, nedorzecznie głupią ofiarą obrzydliwego planu i że zawiodłam nie tylko jego zaufanie, lecz także miłość?

Robert rysował jakieś wzory w rozsypanym na niewielkiej części biurka tytoniowym popiele.

– No cóż – powiedział w końcu – przypuszczam, że możesz umieścić to w bagażu doświadczeń. Świat jest skomplikowany. Nikt nie obiecywał, że będzie inaczej.

– Skomplikowany?! – krzyknęła Effie. Łzy płynęły jej z oczu i nic nie mogła zrobić, żeby je powstrzymać. – Jak możesz nazywać go skomplikowanym, skoro właśnie zniszczyłeś jedyną prawdziwą miłość, jaką kiedykolwiek miałam! Na Boga, Robercie, jak można nazwać to inaczej niż groteską! Ja go kocham, Robercie! Kocham go! Jesteśmy jednym ciałem, jedną namiętnością, jedną osobą! Nie rozumiesz tego? Nie rozumiesz, co to znaczy kochać się z kimś i nie wiedzieć, gdzie zaczynają się ciała, a gdzie kończą?

Robert spojrział na nią twardo, sznurując wargi w wyrazie dezaprobaty.

– Nie – powiedział.

Effie powoli usiadła. Wyjęła z torebki koronkową chusteczkę, jedną z tych, które dostała od Karla, i otarła łzy. Gdyby teraz wiedziała to, czego nie wiedziała wtedy, że ta chusteczka, którą podarował jej Karl, aby upamiętnić jej przybycie, będzie użyta tylko do wytarcia łez rozstania...

– Co z Baeklander Trust? – zapytała.

– Dlaczego pytasz?

– Oni także ucierpią – w jej głosie słysząc było łzy.

Robert nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu.

– Cóż, to był mój własny drobny dodatek. Hrabia von Ahlbeck zapytał, czy mogę zarekomendować jakiemuś amerykańskiemu bankowi wsparcie w tworzeniu jego „triumwiratu”, a ja oczywiście szybko zarekomendowałem hrabiego Baeklanderowi.

Bawiła mnie myśl, że Dougal budząc się pewnego ranka, dowie się, że nawet w Nowym Jorku nie zdoła uciec ode mnie.

Effie sięgnęła po torebkę.

– Chyba nie wychodzisz? – zapytał Robert ze zdziwieniem. – Chcę, żebyś zorganizowała konferencję z koncernem Manchester Steel.

– Wychodzę – odparła Effie.

– Effie, nie możesz odejść! Nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić. W każdym razie nie tak jak ty.

– Wychodzę.

– Effie...

Effie wstała, wyprostowała dół sukni i otworzyła drzwi gabinetu. Na zewnątrz rozlegały się pospieszne kroki i dzwonki telefonów. Środek zwykłego dnia w wielkim banku. Odwróciła się do Roberta i powiedziała:

– Nie obrażę cię, Robercie. Nie użyję obelg. Jednak obiecuję ci tak solennie, jak obiecałam Karlowi von Ahlbeck, że pewnego dnia zobaczę cię martwego, a kiedy będziesz już trupem, ja będę się śmiać i sprofanuję twój grób w najbrzydliwszy sposób, jaki przyjdzie mi do głowy. Przysięgam – powiedziała, a potem jej głos zniżył się do drżącego szeptu i dodała: – Przysięgam.

## 2

Effie napisała:

*Mój Najdroższy,  
Zapewne już się dowiedziałeś, że Watson's Bank nie jest w stanie wesprzeć Cię w sprawie pożyczki tureckiej. Chociaż nie mam prawa oczekiwać, że mi uwierzysz, pragnę Cię zapewnić, że byłam całkowicie nieświadoma jakiegokolwiek oszustwa i że nie miałam żadnego*

powodu, aby wątpić, czy zdołam dotrzymać obietnicy, jaką Ci złożyłam.

*Może nadejdzie dzień, kiedy będę mogła opowiedzieć Ci osobiście, twarzą w twarz, jak się czuję w związku z tym, co się stało. Teraz jestem tak zdruzgotana wstydem i smutkiem, że z trudem piszę ten list. Jeśli myślisz, że z czasem zaistnieje jakaś możliwość, abyśmy znów się spotkali, wiedz, że przyjadę do Ciebie, kiedy tylko zechcesz.*

*Mój Najdroższy Karlu, kocham cię. Uczyniłeś mnie kobietą. Dzięki tobie zrozumiałam siebie, swoje przeznaczenie i to, w jaki sposób mogę osiągnąć spełnienie. Modłę się do Boga, abys nie czuł do mnie złości. Kocham Cię, Karlu, proszę, uwierz mi, kocham Cię.*

*Twoja Effie.*

List został wysłany z mieszczącej się przy North Bridge głównej poczty w Edynburgu dnia 12 listopada 1911 roku. Pozostał bez odpowiedzi.

### 3

We wtorek, 13 lutego 1912 roku Effie przeczytała w „Scotsmanie”, że upadł nowojorski bank Baeklander Trust. Jeśli wierzyć słowom dziennikarskiej korespondencji z Nowego Jorku, ów upadek był bezpośrednio związany z nierozważnymi spekulacjami tego banku w Ameryce Łacińskiej i „olbrzymimi, nieujawnionymi stratami na europejskim rynku kredytowym”. Robert, który przez całą dobę otrzymywał najnowsze wiadomości o amerykańskiej gospodarce bezpośrednio z Londynu i prawdopodobnie wiedział o Baeklanderze od poprzedniego wieczoru, zszedł tego ranka na śniadanie w wyjątkowo dobrym humorze i zjadł trzy gotowane jajka, olbrzymią porcję ryby gotowanej na parze i całą górę płatków owsianych smażonych z cebulą.

Po wyjściu Roberta do banku Effie weszła do pokoju dziennego, gdzie przy kominku siedziała Prudence i czytała. W tych dniach Prudence ledwie przychodziła na śniadania i rzadko pojawiała się na kolacji. Straciła kilka kilogramów na wadze i wydawała się jeszcze bledsza i szczuplejsza, niż Effie kiedykolwiek ją pamiętała. Zawsze jednak lekceważyła wszelkie napomknienia o swoim zdrowiu, mówiąc, że czuje się doskonale i że nie należy się o nią martwić. Alisdair był na górze, w pokoju szkolnym, ze swoim nauczycielem matematyki.

– Upadł bank Dougala – powiedziała Effie. – Przeczytałam o tym w porannej gazecie.

Prudence podniosła wzrok. *En face* wydawała się jeszcze szczuplejsza i bardziej chora niż z profilu. Po oczami miała ciemne plamy, a usta zapad-

nięte jak u kogoś, kto właśnie stracił zęby.

– Bank Dougala? – zapytała.

– Tak. Nie wiem, co się z nim stanie.

Prudence odłożyła książkę. Próbowała czytać „Serce Środkowej Szkocji”, ponieważ Robert zarzucał jej, że nie ma wystarczającej wiedzy o historii i kulturze Szkocji.

– Jak sądzisz, dlaczego postawiliśmy wysoki na dwieście stóp pomnik pewnemu pisarzowi? – ciskał na nią gromy. – Wymień chociaż jeden naród, który tak wspaniale czci swoich literackich herosów.

Węgiel w kominku trzaskał i przesuwał się, i w tych dźwiękach, które wydawał, było coś, co przypomniało Effie *Schloss von Ahlbeck*.

– Nie mogę sobie przypomnieć, jak Dougal wygląda – powiedziała Prudence.

– Oczywiście, że możesz. Wygląda jak Alisdair.

– Jak Alisdair? – Prudence z niezadowolaniem zmarszczyła brwi. – Nie, Alisdair jest podobny do swego ojca.

Effie niemal roześmiała się z niedowierzania.

– Ależ Prudence, Dougal jest ojcem Alisdaira.

– Co?! – Prudence spojrzała na Effie, jakby usłyszała z jej ust najgorszą herezję.

– Powiedziałam...

– Co takiego?! – powtórzyła Prudence. – Jak może być podobny do Dougala? O czym ty mówisz? Robert jest ojcem Alisdaira. Robert... jest... ojcem... Alis...

Effie przyklękła obok Prudence i przytrzymała jej uniesione nadgarstki.

– Prudence – wyszeptwała. – Prudence, proszę...

Prudence spojrzała na nią.

– Bardzo źle się czuję – powiedziała monotonnym głosem. – Doskwiera mi okropny ból, Effie. Chyba umrę. Czuję taki ból, że nie potrafię ci go opisać. Umieram, Effie. Wiem, że umieram. Effie, obiecaj, że zaopiekujesz się Williamem Albertem za mnie. Proszę, Effie, obiecaj, że zaopiekujesz się Williamem Albertem.

Effie objęła Prudence najbliżej i najserdeczniej jak mogła i jednocześnie poczuła z przerażeniem wręcz szkieletowe obojczyki, ramiona i żebra bratowej.

– Och, Prudence – szeptała jej do ucha. – Prudence, co myśmy ci zrobili...

Tego popołudnia, o drugiej, przyszedł doktor Henderson. Alisdair w tweedowych pumpach i szkockiej marynarce stał w drzwiach cicho jak myszka, gdy doktor badał puls jego mamy, zaglądał jej w oczy, a potem skrupulatnie odłożył drewniane szpatułki i stetoskop, zamknął torbę i odchrząknął.

– Cóż... – rzekł doktor Henderson do Roberta, a następnie tym samym słowem zwrócił się do Effie. – Chciałbym porozmawiać w innym pokoju, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu.

– Oczywiście – rzekł Robert z uśmiechem, który całkiem wyraźnie zdradzał, kto tu rządzi. Doktor Henderson był w pełni świadomy okoliczności, w jakich jego poprzednik, doktor Campbell, nagle odszedł na emeryturę do St Cyrus i teraz wędkował, czytał i uczył się grać tradycyjną szkocką muzykę ku znacznej irytacji swej starszej siostry, która miała trąbkę do ucha i nie lubiła brzęczących hałasów, z niezadowolaniem powtarzając, że nie może ich znieść.

– Czy nie sądzi pan, doktorze Henderson, że to co trzeba powiedzieć o zdrowiu pani Watson, należy powiedzieć w jej obecności? – wyraźnym głosem powiedziała Effie. – Wszak ona ma większe prawo do tej wiedzy niż ktokolwiek z obecnych.

Doktor Henderson, który rozpaczliwie zdawał sobie sprawę ze swego przedwczesnego łysienia, odpowiedział:

– Cóż, panno Watson, istnieją momenty...

– Momenty? Jakie momenty? Czy to coś naprawdę złego?

Doktor Henderson spojrział niepewnie na Prudence.

– Wolałbym...

– Nie obchodzi mnie, co by pan wolał – niecierpliwie rzuciła Effie. – Pani Watson jest pańską pacjentką i jeśli dzieje się z nią coś złego, ma prawo to wiedzieć.

– Effie – rzekł Robert. – Nie wtrącaj się. Jeśli doktor Henderson chce...

– Co doktor Henderson chce i za co się doktorowi Hendersonowi płaci, to są dwie całkiem oddzielne sprawy – powiedziała Effie. – Czyż sam często nie mawiasz, Robercie, że to co Bank of Scotland chce i to za co mu się płaci, to dwie oddzielne kwestie?

Zapadła cisza złożona z zakłopotania i niezdecydowania.

– No cóż, proszę bardzo – powiedział wreszcie Robert – niech zarówno moja żona, jak i każdy z obecnych usłyszy, co pan ma do powiedzenia.

Doktor Henderson, niezgrabnie zginając się w kolanach, postawił swoją torbę na podłodze. Odchrząknął i znów spojrział na Prudence, jakby była w popołudniowym pociągu w pół drogi do Brewe, bądź nieprzytomna albo już martwa.

– Pani Watson cierpi... – zaczął głosem znacznie wyższym, niż zamierzał, a potem już niżej – ...cierpi z powodu czegoś, co wydaje się być guzem. To bardzo znaczny guz, w brzuchu. Obawiam się... – mówił coraz ciszej – ...obawiam się, że ona... cóż, żałuję...

– Moja żona umrze? – zapytał Robert drewnianym głosem.

Prudence wpatrywała się w Effie oczami błyszczącymi niemą prośbą: *Effie, jesteś wszystkim, co mam. Effie spraw, żeby powiedział mi prawdę.*

*Każ mu powiedzieć, że się myli. Effie, co ja mam zrobić z Alisdaiрем? Jeśli umrę, kto się zaopiekuje moim synkiem?*

Effie czuła się tak, jakby wrywano jej wewnętrżności. Boże, myślała, zawsze to robię. Zawsze jestem tak szczerą i bezpośrednią. Zawsze mówię to, co myślę. I zawsze kończę zranieniem ludzi, których kocham najbardziej. Dlaczego nie mogę zachować swoich pompatycznych opinii dla siebie? Dlaczego nie potrafię zachowywać się w sposób, w jaki zachowują się inne kobiety, delikatne i uległe, zamiatające długimi spódnicami dom z uśmiechem posłuszeństwa i małżeńskiego zaufania? Teraz ugodziłam Prudence, w najgorszym momencie jej choroby i nic co powiem, nie uwolni jej od świadomości, że umiera.

– Pańska żona prawdopodobnie zacznie nikać w niespełna trzy miesiące – powiedział doktor Henderson z niezrozumiałym pośpiechem.

– Zacznie nikać? – Robert domagał się wyjaśnienia, nie rozumiejąc, co doktor miał na myśli.

– Nie możemy całkiem porzucać nadziei. Istnieje kuracja siarczanem soli. Możemy też oczywiście w taki sposób kontrolować dietę pani Watson, że guz zwinie się do wewnątrz i sam się wchłonie. Ten, obawiam się, spowoduje trochę bólu. Ale mamy przecież laudanum i morfinę. No i cóż, zawsze pozostaje modlitwa.

Znów zapadła cisza. Leżąca w łóżku Prudence ze zbiełałą twarzą zaczęła płakać. Jej płacz nie był głośniejszy niż głos kotka uwięzionego w koszu na bieliznę. Alisdair stał w drzwiach, wpatrując się w matkę ze zdumieniem i bólem. Effie powiedziała do Roberta:

– Zostaw mnie samą z Prudence. Proszę. I zabierz Alisdaira na dół, do pani McNab.

Robert obdarzył ją grymasem zgody i rzekł do Alisdaira:

– Uciekaj, chłopcze. Mama nie czuje się dobrze. – A potem położył rękę na ramieniu doktora i powiedział: – Spodziewam się, że ma pan ochotę na kieliszek, doktorze Henderson. Zejdźmy na dół.

Robert ani razu nawet nie spojrzął na Prudence. I Effie przypomniał się ten chłopiec, którym kiedyś był. Jeśli obręcz wpadnie ci do stawu, zostaw ją tam, niech odpłynie, kup następną. Jeśli nakręcany żołnierz się popsuje, niech leży w pudle z zabawkami, pokrywając się kurzem. Prudence się popsowała i teraz ona również miała być porzucona. Miała pozostać w tym pokoju, niekochana, ignorowana, aż do śmierci.

Effie przysunęła krzesło do łóżka Prudence i wzięła ją za rękę.

– Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz, zobaczysz. Doktor Henderson to dobry lekarz. Wyleczy cię szybko.

Prudence spojrzała na nią oczami pełnymi łez.

– Słyszałaś, co powiedział, Effie. Trzy miesiące życia.

– Ale kuracje!



– Kuracje... – rzekła ze smutkiem Prudence. – Naprawdę wierzysz, że działają? Naprawdę? Sole i siarczany! To nonsens. I całe to gadanie, że guz sam się zwinie. Effie, on kłamie, żeby poprawić mi samopoczucie. To szarlatan.

– Jest morfina.

– Tak – przyznała Prudence jeszcze poważniej. – Z pewnością jest morfina. Coś, żeby złagodzić ból, gdy ja powoli będę się rozpadać w nicość. Mam trzy miesiące, Effie, to wszystko. Dwanaście tygodni coraz boleśniej-szej agonii. Mogę tylko mieć nadzieję, że zdecydujesz się zostać tutaj i opiekować się mną.

Effie pogłaskała policzek Prudence.

– Prudence, wiesz, że tak będzie.

– I Alisdair, zaopiekujesz się nim?

– Przrzekam.

Prudence zakaszła dwa czy trzy razy i znów opadła na poduszkę.

– Miałam straszne przeczucie, że to się stanie. Nie pytaj mnie dlaczego. Przypuszczam, że można to nazwać znakiem. Dziwne, ale zawsze wiedziałam, że nie zobaczę Alisdaira dorosłego. Zawsze myślałam, że będzie sierotą.

– Prudence – powiedziała Effie – nie umrzesz. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żebyś znowu była zdrowa.

Prudence pokręciła głową.

– Przypuszczam, że czujesz się winna, iż nalegałaś, aby doktor Henderson powiedział mi otwarcie, co mi jest. Kochana, nie czuj się winna, bo przynajmniej wiem, dlaczego cierpię i ile miesięcy mi pozostało. Nie potrafię ci opowiedzieć, jak strasznie było budzić się w środku nocy z takim bólem brzucha i mieć wrażenie, że cały świat zmierza ku końcowi.

Effie ścisnęła dłoń Prudence i ucałowała ją.

– Jak zdołasz nam wybaczyć? – zapytała.

– Ty naprawdę nie chcesz przebaczenia, prawda?

– Chcę, żebyś wiedziała, że kocham cię jak siostrę – powiedziała Effie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że robiłam wszystko, co mogłam, aby cię chronić.

Prudence wypila łyk wody ze stojącego obok jej łóżka kubeczek z koronacji króla Edwarda VII. Potem znów sięgnęła po dłoń Effie.

– Jeśli chcesz przetrwać, Effie, będziesz musiała znaleźć znacznie więcej siły – powiedziała. – Robert jest o wiele potężniejszy, niż sądzisz. Ty zawsze myślisz o nim jak o swoim starszym bracie, trochę wybuchowym, trochę surowym, ale przyjaznym, braterskim i dobrym. Cóż, mogę ci powiedzieć z doświadczenia, że nie jest dobry, nie jest braterski i nie ma żadnych przyjaciół. Jest najbardziej samolubnym, słabym, zawziętym i brutalnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Biję mnie, jeśli nie robię dokładnie tego, co mi każe. Zbił mnie dwa dni temu, gdy byłam tak

słaba, że ledwie mogłam wstać z łóżka. Zbił mnie, gdy pojechaliśmy na Highland Games w Braemar. Wziął mnie do namiotu zarezerwowanego dla specjalnych gości i uderzył w żebra, bo zobaczył, że rozmawiam z lordem Lochalsh. Nie wiem, co nim kieruje, Effie. Troszczy się tylko o pieniądze i wpływy, chociaż wiem, że bardzo lubi Alisdaira. Poświęca Alisdairowi cały wolny czas, uczy go historii, opowiada o okrętach i wszystkich szkockich bitwach. Kupił Alisdairowi sanki, gdy byłeś w Niemczech, i spędził z nim całe popołudnie na stokach Princes Street Garden, ucząc, jak na nich jeździć.

– Zamierzałam wyjechać z Edynburga za tydzień lub dwa.

– Domyślałam się tego – powiedziała Prudence. – Nie chciałam przeszkadzać, ale teraz chyba przeszkodziłam z powodu mojej słabości. No dobrze, z powodu mojej choroby. Przepraszam.

– To nie twoja wina – odparła Effie. – Zostanę z tobą, Prudence, tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała. Przecież wiesz.

Prudence uniosła do ust dłoń Effie i ucałowała ją.

– Kocham cię, Effie. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Odpoczywaj – powiedziała Effie. – Ja porozmawiam z doktorem i dowiem się, co możemy zrobić, by złagodzić twój ból. Pamiętaj też, że nie wolno ci tracić nadziei. Guz w brzuchu to nie koniec świata. Jeśli lekarstwo go nie uleczy, porozmawiamy z panem McLaishem, a on jest jednym z najlepszych specjalistów w Edynburgu. Usunął wszystkie zylaki z nóg ojca i całkiem ukoił jego cierpienie.

Prudence ponownie opadła na poduszkę. Gdzieś w domu, bardzo daleko ktoś otworzył pozytywkę, która zagrała „Eine Kleine Nachtmusik”. Prudence cichym głosem zaczęła śpiewać.

Effie siedziała i patrzyła na nią nagle przytłoczona myślami o Niemczech, fragmentami wspomnień tak słodkich i tak nierealnych, że sprawiły, iż była bliska płaczu. *Werd ich zum Augenblick sagen, verweile doch; du bist so schön.*

Gdybyż tylko mogła powiedzieć do tej chwili: Trwaj! Trwaj! Jesteś taka piękna.

## 4

Przez całą wiosnę 1912 roku Prudence chudła i robiła się coraz bardziej żółta, niemal bursztynowa, jakby była opalona, aż w kwietniu, gdy niebo nad Edynburgiem było czyste i jasne, straciła wzrok z powodu niedożywienia, a kość jej lewego łokcia przebiła się przez pergaminową, wysuszoną skórę. Guz, który wypełnił brzuch, uniemożliwił jej jedzenie i było dobrze, gdy mogła wypić wodę bez mdłości. Effie siedziała przy jej łóżku noc po nocy, ale teraz Prudence ledwie się ruszała, niewidoma i głównie pogrążona w

śpiączce, więc było jasne, że jest bliska śmierci.

We wtorek, 16 kwietnia 1912 roku kierowca Russel wszedł do sypialni Prudence i szepnął Effie do ucha, że „Titanic” uderzywszy w górę lodową, zatonął w swym dziewiczym rejsie. Londyńskie gazety były przekonane, że wszyscy pasażerowie zostali bezpiecznie przeniesieni na inne statki, ale sam „Titanic” z pewnością zatonął.

Prudence, a raczej szkielet o imieniu Prudence, obróciła się na poduszce.

– Co się stało, Effie? – wyszeptła. – Co się stało?

– Nic, kochana – odparła Effie. – Nie wolno ci się denerwować.

– Powiedz mi. To coś ważnego. Powiedz.

Effie zawahała się przez chwilę, ale potem powiedziała.

– „Titanic” zatonął.

– Zatonął? – zapytała Prudence.

Effie trzymała jej szczupłą, wędzną rękę. Wydawało się, że wiadomość o „Titanicu” była owym znakiem, na który Prudence czekała. Przed oczami Effie, równie łagodnie i miękko niczym statek ześlizgujący się pod wodę, pogrążyła się w śmierci, pięć po pierwszej odetchnęła ostatnim nierównym tchnieniem, a potem wydała z siebie osobliwy, pełen żalu głos i umarła.

Effie wstała i długo patrzyła na Prudence, potem naciągnęła prześciera-  
dło, okryła jej twarz i odmówiła krótką modlitwę. „Chroń mnie, Panie, bo wody pogrążają mą duszę. Tonę w głębokim grzęzawisku, gdzie nie ma nic stałego. Pogrążam się w głębokich wodach, których fale przepływają nade mną. Jestem umęczona płaczem i krzykiem, który wysuszył mi gardło; oczy mnie zawodzą, gdy czekam na mego Boga”.

Zeszła na dół i zatelefonowała do Roberta, który był w banku. Powie-  
działa telefonistce, że to pilne i że chodzi o jego żonę, ale usłyszała odpo-  
wiedź, że pan Robert jest na zebraniu z oficerami Admiralicji i że w żadnych  
okolicznościach nie wolno mu przeszkadzać.

– Jego żona nie żyje – powiedziała zdesperowana Effie.

– Przykro mi, powiedział, że nie chce, aby mu czymkolwiek przeska-  
dzać, nawet wiadomościami o żonie.

– Ona umarła! Może pani przynajmniej napisać to na kawałku papieru i  
podsunąć mu tę wiadomość pod nos?

– Nie wiem. Spróbuję,

Effie zamknęła oczy.

– Niech pani spróbuje. Proszę.

Odwiesiła słuchawkę. Rozejrzała się po holu; tym samym holu, w którym  
kiedyś pani McNab upuściła niedzielną pieczeń. Tym samym, w którym  
jako mała dziewczynka śmiała się i bawiła w ciuciubabkę. Światło przesą-  
czało się tutaj przez świetlik nad frontowymi drzwiami i padło na wazon  
żonkili obok Biblii, ale Effie poczuła, że było czymś więcej niż tylko słoń-  
cem kolejnej wiosny. Nadszedł czas zmian, czas, by pójść dalej. Przyszła

pora, by pozostawić za sobą dawne sprawy i zacząć wszystko od nowa. Musiała wyjechać z Edynburga, poszukać własnej drogi życia; drogi, którą straciła, gdy Henry Baeklander wypłynął na Morze Śródziemne; drogi, którą straciła, gdy Karl von Ahlbeck został zdradzony przez Roberta przy umowie z Turcją. Prudence zmarła. Nie istniał więc żaden inny powód, dla którego miałaby pozostać w Edynburgu.

Podskoczyła na dźwięk telefonu.

– Edynburg 43, słucham. Kto mówi? – zapytała, podnosząc słuchawkę.

– Effie, tu Robert. Dostałem twoją wiadomość, że Prudence umarła.

– Przed piętnastoma minutami – odparła Effie.

– Nie cierpiała?

– Nie. Nie cierpiała. Była spokojna, tylko...

– Dobrze. Możesz zadzwonić do doktora Hendersona, prawda? Będzie musiał wystawić akt zgonu. Mogłabyś też zatelefonować do zakładu pogrzebowego Murdocha i Ranna? Nie ma powodu, żeby odkładać pogrzeb, czyż nie?

– Robercie – wtrąciła Effie. – Chyba powinieneś zrozumieć, że teraz wyjadę z Edynburga?

– Cóż, porozmawiajmy o tym później – rzekł Robert. – To nie jest właściwy moment, żeby rozmawiać o nas, prawda? Poza tym spodziewam się, że zaopiekujesz się Alisdaiem, teraz, gdy jego matka odeszła. Nie ma nikogo innego, kto by się nim zajął, gdy jego tatuś jest tak zajęty w pracy, a babcia przez całe dni kołysze się w St Vigean. Musi to być siostra Effie, przynajmniej do czasu, gdy będzie dość duży, aby pojechać do internatu.

– Robercie... – zaczęła Effie.

– Och, wiem – rzekł Robert. – Jesteś skromna jak zawsze; to dla ciebie zbyt wielka odpowiedzialność opiekować się następcą Watsona. Nie jesteś dość dobra, aby wychować go właściwie... Właśnie tak myślisz. Cóż, mylisz się. Ufam ci, Effie. Bez względu na spory, jakie mieliśmy w przeszłości, ufam ci bezwarunkowo. Chcę, żebyś wychowywała mojego syna jak swego własnego, jak prawdziwego Watsona, którym jest. Chcę, żeby myślał o tobie jak o swojej matce. Nie odmówisz mi tego?

– Robercie – powiedziała Effie – Prudence umarła niespełna pół godziny temu.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Potem Robert się odezwał.

– Tak. Powiadomiłaś mnie o tym.

– Ona nie żyje, Robercie. Twoja kochająca żona umarła. Nie masz nic do powiedzenia, choćby czegoś bluźnierczego wobec losu?

– Odchodziła przez dobrych kilka miesięcy. Nie rozumiem, dlaczego miałbym złorzeczyć losowi? Będzie znacznie szczęśliwsza tam w górze, między aniołami.

– Robercie, próbuję coś ci powiedzieć. Próbuję ci powiedzieć, że Pru-

dence nie żyje. Nie budzi to w tobie żadnych uczuć?

Robert milczał przez kilka kolejnych sekund.

– Tak, jestem zmartwiony. Oczywiście. Ale była bardzo chora.

– Robercie, była twoją żoną! Nie kochałeś jej?

Robert zignorował to pytanie.

– Gdzie jest teraz Alisdair? – zapytał szybko.

– Ma lekcje gry na skrzypcach z signore Corso.

– Cóż, nie mów mu o matce. Zamknij drzwi jej sypialni i upewnij się, żeby jej nie zobaczył. Chcę mu to powiedzieć sam. Rozumiesz mnie?

– Chciałabym.

– Effie, nie mam czasu na głupkowate uwagi. Zrobisz, jak ci mówię?

– Tak jest, Robercie.

– Effie, czy zechcesz postąpić tak, jak ci mówię?

Effie wzięła głęboki oddech, a potem odpowiedziała.

– Tak.

Robert odłożył słuchawkę i nie było już słychać nic oprócz słabego, irytującego szumu.

– Czy chciała pani zamówić następne połączenie, panno Watson? – zapytała telefonistka.

– Nie – odparła Effie.

Nigdy się nie dowiedziała, co dokładnie Robert powiedział Alisdairowi o matce, ale później tego wieczoru, gdy leżała bez snu w swoim pokoju, Alisdair przyszedł do niej w długiej niebiesko-białej nocnej koszuli, z twarzą w rozpacz i łzach. Wdrapał się do jej łóżka i położył blisko, drżąc i szlochając, a ona uspokajała go, kołysała i robiła wszystko, co mogła, by czuł, że wciąż jest otoczony opieką, kochany i nigdy nie będzie porzucony.

Zasnęła na dwie czy trzy godziny, ale obudził się przed piątą i spojrzał na nią mokrymi od łez oczami.

– Czy mama naprawdę jest w niebie? – zapytał.

Effie skinęła głową.

– Tak sądzę.

– Jak wygląda niebo?

– A jak myślisz?

– Nie wiem – zastanawiał się Alisdair. – Obłoki, słońce. Chyba szczęście.

Effie go ucałowała.

– A czym twoim zdaniem jest szczęście?

Alisdair przez chwilę milczał, mierzwiąc swoje blond włosy leżące na poduszce tuż obok niej.

– Czy bardzo ją bolało, kiedy była chora? – zapytał.

– Prawie wcale. Umarła tak, jakby zasypiała. Mówię ci prawdę, bo tam byłam.

– Tatuś powiedział, że bardzo ją bolało.  
– Tak, na początku. Ale przez ostatnie dwa lub trzy miesiące nie czuła bólu. Żadnego bólu.

Teraz zapadła jeszcze dłuższa cisza. Potem Alisdair zapytał:

– Czy mogę ją zobaczyć?

Effie patrzyła na niego, tak bystrego, młodego, pełnego życia i tak podobnego do Dougala.

– Twój ojciec twierdzi, że nie powinienes.

– Mój ojciec twierdzi, że nie powinienem?! Kolejna trudna pauza.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – zapytała Effie. Alisdair próbował wyglądać niewinnie.

– Dlaczego miałbym chcieć coś przez to powiedzieć?

– Co miałeś na myśli, pytając z naciskiem: „Mój ojciec twierdzi, że nie powinienem?”.

Wzruszył ramionami.

– Chodziło mi o to, czy mój ojciec powiedział, że nie powinienem, czy mój adopcyjny ojciec tak stwierdził.

– Ty wiesz? – zapytała Effie.

Alisdair skinął głową.

– Mamusia mi powiedziała, mniej więcej miesiąc temu. Wtedy, gdy była bardzo chora, ale zanim straciła wzrok. Powiedziała, że moim prawdziwym tatą jest wujek Dougal i że tatuś poślubił mamę tylko dlatego, żebym ja miał kogoś, kto by się mną zaopiekował.

– To prawda – wyszeptwała Effie.

Alisdair wyciągnął chłopcę dłoń z obgryzionymi paznokciami, plamami atramentu i środkowym palcem odgniecionym przez obsadkę pióra i dotknął koronkowego kołnierzyka nocnej koszuli Effie.

– Czy mogę zobaczyć moją mamę, ciociu Effie, proszę? – powiedział głuchym, schrypniętym, błagalnym głosem.

Zegar w holu na dole wybijał szóstą, gdy stanęli w drzwiach sypialni Prudence.

Effie obejmowała Alisdaira ramieniem. Leżąc na poduszce głowa Prudence była tak żółta, wysuszona i upiorna jak głowa mumii z British Museum. Zwinięte wargi odsłaniały nagie zęby, włosy były rzadkie jak zużyta miotła, a powieki okrywały niewidzące oczy.

Effie powiedziała z taką siłą i spokojem, na jakie mogła się zdobyć:

– Chcę, żebyś coś zrozumiał, Alisdair. To ciało, na które teraz patrzysz, nie jest twoją matką. Twoja matka była śliczna, energiczna i silna. Gdy cię tu przywiozła w wigilijny wieczór, zrobiła coś, co mogła zrobić tylko najbardziej kochająca matka, a gdy zgodziła się poślubić twojego tatę, poświęciła własne uczucia dla twojego dobra. Nie wolno ci nigdy odczuwać winy z tego powodu, ponieważ był to jej własny wybór. Nie wolno ci również czuć

gniewu ani urazy wobec twojego taty, bo zawsze wychowywał cię dobrze i nadal chce to robić. Pamiętaj jednak, że twoja mama była piękna i że cię uwielbiała, więc się staraj, żeby była z ciebie dumna.

Alisdair płakał cicho, lecz otwarcie.

– Chcę odejść – powiedział.

Później tego dnia przyszedł doktor Henderson. Nie był całkiem przytłoczony siłą „mecenatu” Roberta, bo napisał w świadectwie zgonu, że Prudence zmarła z powodu złośliwego guza w brzuchu, który „najprawdopodobniej był skutkiem jakiegoś ostrego, przypadkowego uderzenia w brzuch, o charakterze i w czasie nieznanym”. Robert gotował się ze złości, ale nie zakwestionował tego orzeczenia. W Edynburgu było dość dużo ludzi, którzy mogli zaświadczyć przed koronerem sądowym, że widzieli, jak uderzał żonę na przyjęciach i bankietach, a nawet w namiocie szampańskim na pikniku u McCurrana w Linlithgow, a ostatnią rzeczą, jakiej Robert teraz pragnął, był skandal.

Pogrzeb Prudence odbył się w wietrzny, chłodny dzień w St Giles Kirk. Zespół dudziarzy z Argyll odegrał starą szkocką żalobną lamentację. Alisdair i Effie stali przy mogile; ona w długim czarnym płaszczu od madame Doucet i w czarnym kapeluszu z piórem i woalką, Alisdair zaś nosił kilt i stał wyprostowany dzielnie jak mógł, ale Effie widziała, jak drżą mu usta, gdy trumnę ze złotymi okuciami złożono w grobie, a dłoń, gdy ją ujęła, by pomóc chłopcu rzucić pierwszą garść ziemi na miejsce ostatniego spoczynku matki, była zimna jak lód.

Robert, zwalisty i niezręczny w czerni, wyciągnął do Alisdaira dłoń w rękawiczce i powiedział:

– Dajże spokój, synu. Czas do domu.

## 5

Mogła wyjechać. Być może powinna była wyjechać. Jednak musiała zaopiekować się Alisdaiem, starzy edynburscy przyjaciele dodawali jej otuchy, była także związana pracą w banku i zawsze przecież istniała możliwość, choćby nawet niemądra i niewielka, że pewnego dnia może znów dostanie wiadomość od Karla. Została więc i nadal organizowała służbowe spotkania Roberta, chociaż dbała o zachowanie możliwie największego dystansu i zawodowej oficjalności i nigdy nie przedstawiała go jako swego brata. Formuła była niezmienna: „Pan Robert Watson, nasz prezes”.

Jej życie wkroczyło w osobliwą i zamkniętą fazę. Od czasu do czasu wychodziła na kolację z przyjaciółmi i rodzinami, które знаła, albo zapraszała kilka przyjaciółek z dzieciństwa, teraz już zamężnych, na popołu-

dniową herbatkę. Jednak poza bankiem, większość czasu spędzała na samotnych spacerach nad morzem w Portobello lub w Musselburgh, albo w swoich pokojach w domu przy Charlotte Square, oddając się lekturom o finansowości i polityce. W ciągu dwóch lat po tureckiej kompromitacji Roberta rozumiała pieniądze i bankowość bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Co więcej, zaczęła korespondować z kilkoma znaczącymi bankowcami na świecie: Amadeo Gianninim z Bank of Italy w San Francisco (a później z Bank of America), Thomasem Lamontem z Morgan's Bank w Nowym Jorku, sir Ernestem Casselem z National Bank w Turcji. Początkowo odpisywali z nonszalancką ogólnikowością, ponieważ była kobietą. Kiedy jednak pokazała, że jej rozumienie inwestycji i zabezpieczeń jest tak jasne i konstruktywne, jak wszystko co sami robią, ich listy stały się serdeczniejsze, bardziej regularne i często zdumiewająco otwarte. Z wyprzedzeniem dowiedziała się na przykład, że Morgan's Bank zamierzał wystąpić przeciwko kołom niemieckim i irlandzkim w Nowym Jorku i udzielić wsparcia Anglikom i Francuzom w Europie. Wiedziała, wcześniej niż Citibank, że Albert Wiggin z Chase Bank będzie żarliwie rywalizować z interesami Citibank w Ameryce Łacińskiej. Napisała nawet do barona Louisa Rothschilda z banku S.M. Rothschild und Sonne w Wiedniu i nawiązała z nim inteligentną, żartobliwą korespondencję o polityce, bieżącej manipulacji i koniach (baron Louis był właścicielem jednej z najwspanialszych stajni kucyków polo w Europie).

Jednak przy całej międzynarodowej korespondencji, zamożności i wpływach, jakie przynosiła jej prowadzona przez Roberta dynamiczna ekspansja Watson's Bank, Effie trzymała się na uboczu. Często sama jadała kolacje u siebie i zawsze wolała czytać książkę, niż iść do teatru czy na tańce. Na swoje dwudzieste dziewiąte urodziny, w 1913 roku, wzięła Alisdaira do St Andrews nowym granatowym rolls-royce'em, który Robert kupił na „przejażdżki”, jak je nazywał. Spacerowała z Alisdaiem ramię w ramię wokół piaszczystej zatoki St Andrews, znad której wzrok sięgał aż do Eden Mouth, gdzie słońce jaśniało na morzu, a jachty spod Guard Bridge wzbraniały się sztywno przed wiatrem.

Alisdair z włosami uniesionymi przez bryzę, elegancki i poważny w tweedowych pumpach i zapiętej marynarce z paskiem, wziął Effie za rękę i zatrzymał się z nią na długą chwilę, patrząc na wschód.

– Czy wiesz, dokąd byś dotarł, gdybyś wypłynął stąd i pożeglował dalej? – zapytała Effie.

– Do Danii, prawda? – pytaniem odpowiedział Alisdair.

Uśmiechnęła się.

– Tak. Morzem Północnym do Danii, a potem wzdłuż jej wybrzeża do Niemiec.

– Chciałabyś wrócić do Niemiec? – zapytał Alisdair, któremu wcześniej



często opowiadała o swojej wizycie w Niemczech.

– Chyba tak – odparła – ale nikt nie może żyć przeszłością. Żal nie jest pożywną strawą. Z pewnością nauczysz się tego, gdy dorośniesz. Nigdy nie żałuj tego, co zrobiłeś, choćby to było bolesne albo niemądre.

– Żałuję, że mama umarła.

– Wiem, ale powinieneś zrobić wszystko, by się uporać z tym żalem. Ona gdzieś tam jest, nawet teraz, i wciąż nad tobą czuwa.

Poszli trochę dalej wzdłuż plaży. W znacznej odległości szybko zmierzał na północ szary, najeżony masztami i lufami brytyjski okręt wojenny.

– To chyba „Invisible” – powiedział Alisdair, osłaniając ręką oczy. – Może płynąć z prędkością dwudziestu sześciu węzłów, wiedziałeś? Jest tak szybki, że prawie nie potrzebuje żadnego uzbrojenia.

Effie wzięła go za rękę.

– Mam nadzieję – rzekła z uśmiechem – że doczekam dnia, gdy będzie oddany na złom bez śladów użycia.

– Gdyby doszło do wojny z Niemcami, wstąpiłbym do marynarki – oświadczył Alisdair.

– Nie będzie wojny z Niemcami – zapewniła go Effie, chociaż z listów, jakie otrzymywała od barona Louisa z Wiednia, wiedziała, że Europa zmienia się i porusza niczym śpiący, którego nęka koszmar tak straszny, że musi się obudzić. – Wszyscy moi przyjaciele w Niemczech i Austrii twierdzą, że nie będzie wojny.

– Signor Corso mówi, że wojna będzie.

– On jest nauczycielem muzyki. Nie zna się na polityce.

– Tak, ale jego brat pracuje w administracji rządowej w Rzymie i wciąż przysyła mu listy mówiące, że Niemcy dokonają inwazji na Rosję.

– To nonsens. Wiesz, jak ci Włosi się ekscytują. Zawsze robią wiele hałasu o nic.

– Mam mu to powiedzieć? – zapytał śmiało Alisdair.

– Ani się waż.

Wrócili do samochodu. McVitie, ich nowy szofer, siedział za kierownicą, paląc papierosa i czytając „Photo Fun”, magazyn prezentujący „ponad sześćdziesiąt fotografii” ślicznych młodych aktorek, takich jak Marie Studholme i Gabrielle Ray. Gdy tylko zobaczył, że Effie i Alisdair się zbliżają, szybko zgasił papierosa, czasopismo wcisnął pod siedzenie i otworzył drzwi, by okazać uszanowanie, stojąc z rękami wzdłuż szwów spodni i brodą uniesioną tak, jak nauczono go na kursach dla prywatnych szoferów.

– Ty z pewnością będziesz gotów, jeśli dojdzie do wojny? – z uśmiechem zapytała Effie.

– Do wojny, madam?

– Alisdair jest święcie przekonany, że będziemy musieli walczyć z Niemcami.

– Naprawdę tak myśli? No cóż, paniczu Watson, to nie byłaby wielka wojna. Nie taka jak te ostatnie, w południowej Afryce. Ci Burowie byli twardzi. Ale Hun?! Hun zasadniczo jest tchórzem. Wystarczy stawić mu czoło, a za trzy tygodnie będzie uciekać i po miesiącu się podda. To nie będzie wielkie wojowanie.

– Czy możemy już jechać? – zapytała Effie.

McVitie zasalutował i otworzył przed nimi tylne drzwi.

– Proszę się nie przejmować wojną, paniczu Watson – powiedział, gdy Alisdair wchodził do auta.

Gdy wracali do Edynburga drogą, która wiodła przez Leven, Kirkcaldy i Burnitsland, niebo na południowym zachodzie pociemniało i zaczęło padać dużymi przezroczystymi kroplami, które uderzały w okna rolls-royce'a. Przed nimi, nad jeziorem Leven, pojawiła się delikatna tęcza, ale szybko ponownie zniknęła, gdy zaczął się tam zbliżać deszcz.

– Ojciec mówi, że we wrześniu muszę pójść do szkoły – powiedział Alisdair.

– Wiem.

– Ty nie chodziłaś do szkoły, prawda? Zawsze uczono cię w domu.

Effie dotknęła jego dłoni.

– Tak, ale wtedy wszystko było inne. Twój ojciec uważa, że będzie lepiej, jeśli wyjedziesz.

Alisdair przez minutę lub dwie spoglądał przez okno, a potem obrócił się w stronę Effie.

– Napisałem list do mojego prawdziwego ojca – powiedział.

Effie przez chwilę milczała, zanim odpowiedziała.

– On nie wie o tobie, twój prawdziwy ojciec. Nigdy mu nie powiedziałam. I teraz prawie wcale nie mam od niego wiadomości.

– Jednak chcę do niego napisać.

– Czy mogę przeczytać, co napisałeś?

Alisdair się namyślił, a potem skinął głową. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął dwie liniowane kartki wyrwane z zeszytu do geografii. List napisany był zielonym atramentem, okrągłymi pewnymi literami. Effie rozłożyła arkusze, uniosła je ku lampce z tyłu samochodu i przeczytała linijka po linijce, lekko poruszając wargami w czasie tej lektury. Alisdair ją obserwował, nie mówiąc ani słowa.

*„Mój Najdroższy Ojciec – pisał Alisdair. Nigdy się nie poznaliśmy, więc to będzie niespodzianka. Jestem Twoim synem, Alisdaiem, chociaż gdy się urodziłem, moja mama Prudence Louise Cutting nazywała mnie Williamem Albertem. Mama nie żyje, ale zanim umarła, opowiedziała mi, że Ty jesteś moim prawdziwym ojcem i że ojciec (pan Robert Watson) w rzeczywistości [sic!] nie jest moim prawdziwym ojcem. Więc chciałem Ci powiedzieć, że jestem Twoim synem. Myślisz, że to możliwe, abyśmy się jakoś poznali? To*

*chyba dobry pomysł i ja bardzo bym chciał. Czy możesz mi powiedzieć, bardzo proszę, jak można by to załatwić?*

*Twój kochający syn Alisdair”.*

Effie ponownie złożyła list i oddała mu go.

– Czy uważasz, że jest w porządku? – zapytał Alisdair.

Effie przecząco pokręciła głową.

– Jestem rada, że napisałeś ten list, ale sądzę, że nie powinieneś go wysyłać. Mój brat Dougal od lat prowadzi w Ameryce własne życie i naprawdę nie uważam, że byłoby w porządku wyjawiać mu to teraz. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się poczuje? Musisz także pomyśleć o Robercie. Twój ojciec wychowuje cię bardzo dobrze i głęboko się tobą przejmuje. Nie tylko dałbyś Dougalowi niespodziewanego syna, którego może nie chcieć, ale odebrałbyś syna ojcu, który już dowiedział, że naprawdę go chce.

– Ojciec mnie nie chce. Zawsze jest taki surowy.

– Czas się zastanowić, czy raczej nie znaczyłoby, że cię nie chce, gdyby nie był surowy. Ojcowie są surowi tylko wtedy, kiedy naprawdę kochają synów, a surowość twojego ojca bierze się stąd, że pragnie, abyś był silny, dobrze ułożony i bogaty niczym on. Chce, aby pewnego dnia cały bank był twój.

Alisdair spuścił wzrok i złożył list raz, a potem drugi.

– Zrób najlepszy użytek z tego, co masz, Alisdair. Gdyby Dougal pragnął twojej matki, zostałaby z nią bez względu na wszystko, dowiedziałby się o tobie i sprowadziłby was do siebie. Robert cię kocha, wiesz o tym. Ja też cię kocham. Nie czyn więc niczego pochopnie. Nie rób niczego, co zrani innych. Myśl o swojej przyszłości, zamiast o przeszłości. Jesteś teraz synem Roberta. Faktycznie zawsze nim byłeś. Jesteś również moim bratankiem i najlepszym przyjacielem.

Alisdair uchylił nieco okno, zawahał się, a potem wyrzucił zgnieciony list na drogę. Effie spojrzała przez małe zachlapane tylne okienko i zobaczyła, jak sfruwa z drogi na wrzosowisko.

– Nie gniewasz się, prawda?

Alisdair pokręcił głową.

– To niełatwe; troszczyć się zarówno o uczucia innych ludzi, jak i o swoje własne. Zwykle się cierpi.

– Ja tylko chciałem, żeby wiedział, to wszystko. Nie chciałem go niepokoić. Chciałem też zobaczyć, jak wygląda.

Effie pocałowała go w czoło i przytuliła.

– Wiem i sądzę, że gdyby kiedykolwiek się dowiedział, co dla niego zrobiłeś, byłby z ciebie bardzo dumny – wyszeptala.

Później spędziła bezsenną noc, zastanawiając się, czy postąpiła właściwie. Może powinna była wysłać ten list. Jednak nie było żadnego sposobu,

by się w tym upewnić. Mogła ufać jedynie własnej intuicji i dalekim wspomnieniom o Dougalu.

Widziała Dougala tak wyraźnie. Mogła niemal wyciągnąć rękę i dotknąć tego wizerunku, który pojawiał się w jej pamięci. Czasami zdawał się być bardziej podobny do Alisdaira niż do Dougala. Obrazy nakładały się na siebie i Effie zdała sobie sprawę, że w istocie w ogóle nie pamięta, jak Dougal wygląda. Kiedy pomyślała o głosie Dougala, nakładał się na niego głos Alisdaira, jakby dwaj ludzie mówili jednocześnie.

Otworzyła stojącą na toalecie pozytywkę, którą dostała w prezencie na Gwiazdkę 1910 roku od Very Cockburn i słuchała „Au clair de la lune”, wciąż od nowa, aż pozytywka umilkła.

Spojrzała na siebie w ręcznym, oprawnym w złoto lusterku. Zmęczona zatroskana twarz, którą uniosła w dłoni, wyglądała jak karnawałowa maska na kiju. Tak wiele chce, pomyślała, tak wiele pragnę. Ale czym jest to, czego pragnę? Czego chce? Kim jestem?

Boże Narodzenie 1913 roku spędzili z przyjaciółmi Roberta w Crammond na wybrzeżu, na zachód od Edynburga. Gęś była tłusta i niedopieczona, a pan i pani domu okropnie się pokłócili na temat śliwkowego pudingu. W drodze powrotnej, w grobowej ciszy, jaka panowała w należącej do Roberta długiej czarnej limuzynie marki Albion, Alisdair dostał gwałtowny mdłości.

Wiosną i na początku lata następnego 1914 roku Effie niemal cały czas spędzała w Londynie, w domu przy Cheyene Walk. Niewiele trzymało ją w Edynburgu. Większość jej najbliższych przyjaciół wyjechała na ten okres w góry, do Elgin, Kinlochewe albo do Inverness. Alisdair był na drugim semestrze w Gordonstoun, gdzie w ciągu kilku miesięcy zrobił się zaskakująco odważny, pewny siebie, niezależny i tak buńczuczny, jak tylko może być trzynastolatek. Rzadko rozmawiał z nią teraz o czymś innym niż rugby, futbol, świnki morskie i ubóstwo jego nauczyciela teologii. Ani odrobiny smutku, ani najmniejszej aluzji do tamtego listu spadającego na drogę z St Andrews.

Dla Roberta również była teraz mniej przydatna niż dawniej. Akurat wtedy, gdy sądziła, że zaczyna obejmować kierownictwo działu inwestycji i zabezpieczeń, on zaczął się robić skryty i wybuchowy, i wspominać o „napięciach w Europie”. Kilkakrotnie skrzyczał ją za próbę podjęcia bankowych decyzji, gdy nie było go w biurze, i powiedział, że powinna się zachowywać jak dama, a nie jak „niewydarzony konsultant inwestycyjny w tweedowej spódnicy”.

Ostatniego dnia kwietnia 1914 roku wsiadła do pociągu wyjeżdżającego z dworca Waverley, z szesnastoma walizkami w wagonie bagażowym oraz pokojówką Tessie i szoferem McVitie podróżującymi w trzeciej klasie. W drodze do Londynu przeczytała „Les Liaisons Dangereuses” Laclosa i „Le

Lac” Lamartine'a. W „Le Lac”, gdy pociąg kołysał się ze stukotem przez Derby, znalazła wołanie do Czasu, które tak głęboko korespondowało z jej wspomnieniami o Karlu von Ahlbeck, że ze łzami w oczach musiała podnieść wzrok znad książki i spoglądać przez brudne okno na cokolwiek; na nieporządne łąki i domy, na pocięte koleinami drogi, na dymiące fabryczne kominy, na cokolwiek...

Lamartine napisał: *Ô temps, suspends ton vol; et vous, heures propices, suspendez votre cours!* O czasie, zatrzymaj swój lot; a wy, najszcześniejsze z godzin, trwajcie!

Zamknęła oczy i prawie usłyszała trzaskanie bierwion twardego drewna w swojej sypialni w *Schloss*, niemal poczuła dotyk nagiego ciała Karla.

Nie spała z nikim, odkąd wyjechała z Niemiec, chociaż zdarzyło się kilka okazji. Zwykle była tak zmęczona, kiedy wracała z banku, że jej to nie przeszkadzało. Jednak były chwile, szczególnie w tygodniu przed miesiączką, że marzyła o całującym i kochającym się z nią Karlu i miewała fantazje, że pieścą ją obcy mężczyźni. Nie mogła zmusić się do tego, by pieścić się tak, jak pieścił ją Karl, ale znalazła sposób zaciskania ud i pocierania nóg aż do uzyskania pewnej ulgi.

Steward wagonu restauracyjnego otworzył drzwi i zapytał:

– Lunch, madam?

Służba w Cheyenne Walk była wyraźnie poruszona koniecznością szybkiego utworzenia domu, zwłaszcza że nie spodziewano się „Pana Roberta”, a „Pan Robert” wyjeżdżając, zawsze zostawiał na stoliku w holu dwieście funtów, żeby się podzielili między sobą. Wytarli więc warstwy kurzu z mebli Hermanna Muthesiusa zakupionych przez Effie po powrocie z Niemiec, zrobili zapas opału do kominków i kuchni, a także ułożyli kompozycje kwiatowe z irysów i żonkili w należącym do Effie trzypokojowym apartamencie, będącym bezbarwną, pomalowaną na biało, bardzo elegancką kompozycją sypialni, salonu i pokoju kąpielowego, którą z całego serca pochwaliliby Hermann Muthesius i wszyscy jego futurystyczni przyjaciele. Effie lubiła ją po prostu dlatego, że była czysta i relaksująca. Po życiu w wiktoriańskim Edynburgu z jego porożami, kiltami i draperiami z frędzlami ten nowoczesny styl był wytchnieniem zarówno dla jej duszy, jak i dla oczu. Architekt M.H. Baillie Scott po zbyt wielu kieliszkach wytrawnej sherry powiedział do Effie po obejrzeniu jej apartamentu, że powinna być mężczyzną.

– Mężczyzną – stwierdził – który zasłynie z tworzenia wnętrz takich jak te.

W Londynie Effie chodziła do teatru, wydawała przyjęcia i kupiła sobie kilkanaście najmodniejszych strojów, łącznie z wieczorową suknią od Poireta ze złotą górą i zielonym haftowanym dołem, która kosztowała niemal trzysta pięćdziesiąt funtów. Towarzyszyli jej aktorzy, biznesmeni i lordowie.

Tańczyła, piła szampana i jadła śniadania w Ritzu. Jej życie jednak wciąż było puste. Im usilniej się starała, tym bardziej pustka zdawała się pogłębiać. Siedziała na jakimś przyjęciu, śmiejąc się ze wszystkimi innymi z dowcipu na temat premiera Herberta Asquitha lub wąskich spódnic albo ostatnio podniesionych kosztów wprawiania się w stan rauszu (podwójny gin kosztował teraz sześć pensów) i nagle myślała: *Z czego ja się śmieję? Po co ja to wszystko robię? Dlaczego tutaj jestem? Jestem brzydką, niezamężną trzydziestoletnią kobietą bez pary. Jestem zbyt bogata, żeby być samotną i za stara, żeby znaleźć męża. Wszyscy moi znajomi wiedzą, że nie mam szczęścia w miłości. Nawet głupie młodziutkie szansonistki, jak Phyllis Dare, użalają się nade mną. Jestem milionerką, koresponduję z Rothschildami i Morganimi, a współczuje mi impertynencka aktoreczka.*

To było gorące lato. Ulice Londynu były zakurzone, hałaśliwe i pełne taksówek, ciężarowych wozów z piwem, tramwajów, konnych platform i autobusów. Chłopcy na posyłki wciąż pogwizdywali wodewilowe przeboje, kopiąc po chodnikach puste puszki. Papierosy, w paczkach po dwadzieścia sztuk, kosztowały pięć i pół pensa, a Imperium Brytyjskie w powszechnej wyobraźni było bezpieczne jako największa i najbardziej olśniewająca potęga, jaką świat znał kiedykolwiek.

W maju Effie pod kremową parasolką z frędzlami, w sukni przypominającej obłoczek dymu i stokrotek, pływała łodzią wzdłuż górnego biegu Tamizy z pewnym młodym karierowiczem, Peterem Davyes-Edwardsem, który nosił czerwono-żółty blezer, słomkowy kapelusz i umiał śpiewać najnowszy refren na jednym wdechu.

Na początku czerwca Effie w wielkim kapeluszu koloru śmietanki została zabrana do Brooklands (aby oglądać Claude'a Piper-Owena jeżdżącego nowym sportowym samochodem marki Talbot z silnikiem o mocy pięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych w wyścigu o Puchar Handley Trophy) przez lorda Ruperta Clarke'a, najbliższym przyjaciołom znanego jako „Ping-Pong”, dwudziestosześcioletniego bawidamka, który kiedyś próbował pocałować Effie na przyjęciu w domu lady Shottenden w Belgravii, a zamiast tego przypadkowo przewrócił wagę z dynastii Tang i ją rozbił.

W poniedziałek, 29 czerwca, wieczorne dzienniki przyniosły pierwsze wiadomości, że austriacki arcyksiążę Franciszek Ferdynand w czasie oficjalnej wizyty w Sarajewie w Serbii został zastrzelony przez ekstremistów. McVitie powiedział, że prawdopodobnie na to zasłużył, chociaż nie potrafił powiedzieć dlaczego. Następnego dnia, zanim Effie była gotowa do wyjścia, by spotkać się z przyjaciółką Katharine Walmsley na śniadaniu u Scotta, przed domem zjawił się posłaniec na rowerze, przywożąc telegram ze Szkocji.

Wiadomość była zwięzła: „Wczoraj umarła matka. Robert”.

System wiążących sojuszy, który utrzymywał państwa Europy w pokoju od przełomu stuleci, teraz okazał się łańcuchami, które wciągały je w wojnę. Austria, rzekomo znieważona zabójstwem arcyksięcia Ferdynanda, w lipcu wypowiedziała wojnę Serbii. Rosja jako sojusznik Serbii była zobowiązana pomóc jej się bronić, zaś Niemcy jako sojusznik Austrii gotowe były wypowiedzieć wojnę Rosji. Francuzi, którzy byli sojusznikami Rosji i wciąż płonęli narodowym gniewem z powodu pruskiej inwazji na Francję w 1870 roku, spieszyli z uzyskaniem poparcia cara.

W sierpniowy poniedziałek, gdy większość Brytyjczyków urządziła pikniki, ekscytowała się wyścigami konnymi albo przesuwała kabiny kąpielowe na plażach Brighton, Filey i Southend, członkowie gabinetu spotkali się o godzinie jedenastej przed południem w gabinecie premiera przy Downing Street 10, a potem, po południu, uczestniczyli w specjalnej sesji Izby Gmin. Sir Edward Grey, który od 1905 roku był ministrem spraw zagranicznych, wygłosił długie i częściowo niejasne przemówienie o honorze, patriotyzmie i obowiązku. Trzy minuty po piątej do dowództwa armii brytyjskiej w Aldershot wysłano lakoniczną, jednowyrazową depeszę: „Mobilizacja”.

Następnego dnia w Westminsterze zgromadził się tłum i wszędzie powiewały flagi Zjednoczonego Królestwa. Dodawano sobie otuchy wykrzykiwaniem i śpiewaniem „Boże, chroń Króla”. Najnowsze wiadomości głosiły, że Francuzi ruszyli ze swoimi wojskami ku granicy niemieckiej, powtarzając niezawodny plan obrony, który francuscy generałowie udoskonalali przez niemal dwadzieścia lat. McVitie, polerując samochód, powiedział Effie, że myślał o tym, ale naprawdę nie warto proponować mu, aby się zaciągnął do Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, bo całe to wojowanie się skończy, zanim tam dotrą.

O drugiej po południu tego samego dnia, w Belgii, pewien młody porucznik dostrzegł w oddali szeregi niemieckiej kawalerii przekraczające belgijską granicę. W niemal apoplektycznej trwodze najwyższe dowództwa francuskie i belgijskie uznały to natarcie za początek szybkiego przemarszu wojsk niemieckich przez Niderlandy, z przerażająco oczywistą intencją oskrzydlenia Francuzów od strony ich północnych granic.

Szybko przesłano wieści do Londynu, a ponieważ Wielka Brytania w 1839 podpisała z Belgią traktat o neutralności, rządowi brytyjskiemu nie pozostało nic innego, jak tylko wręczyć niemieckiemu ambasadorowi w Londynie oficjalną notę, w której domagał się, by Niemcy do północy wstrzymali swoje natarcie.

Popołudnie zmieniło się w wieczór, ale żadna informacja o wycofaniu się Niemiec nie nadeszła. Zaniepokojeni, poważni, ale zbytnio nie przestraszeni

brytyjscy ministrowie czekali do wybicia godziny jedenastej wieczorem (ponieważ jedenasta w Londynie oznaczała dwunastą w Berlinie), a następnie wystosowali kolejne przesłanie do niemieckiego ambasadora, informując go całkiem uprzejmie, że ponieważ nie ma żadnych wieści o powstrzymaniu niemieckiej inwazji na Belgię, obecnie istnieje stan wojny między Brytanią a Niemcami. Potem większość ministrów udała się na późną kolację, później zaś do domów. Pan Asquith zauważył w rozmowie z premierem Edwardem Greyem, że różnica czasu między Londynem a Berlinem jest bardzo dogodna, ponieważ pozwala im wszystkim na wcześniejszy sen.

Jednak podczas gdy świat spał, odziana w szare mundury kawaleria niemiecka szybko posuwała się w głąb Belgii, miażdżąc linie obrony Belgów i zmuszając ich do wycofania się w stronę Brukseli. To szybkie natarcie Niemców miało na zawsze zmienić mapę Europy, doprowadzić do upadku królestw i książąt, zmieść fortuny i dziedziczone majątki i zmasakrować w błotach zachodniego frontu miliony młodych mężczyzn ze wszystkich stron świata. Coś innego również trzęsło się w posadach: potęga wielkich europejskich banków i skomplikowany system finansowy, który stworzył międzynarodowe imperia dziewiętnastego wieku. Był to, całkiem dosłownie, koniec tego świata.

Następne cztery lata miały zmienić życie Effie tak nagle i dramatycznie, że przez kolejne dziesięciolecie trudno jej było uwierzyć, że to naprawdę ona była owym niewinnym dziewczęciem, które wyrosło na kobietę w beczynie upływających dniach edwardiańskiej Szkocji. Często oglądała się na fotografiach z 1911 roku (gdy poznała Karła!) i z roku 1914 (gdy spędziła swoje ostatnie pokojowe lato w Chelsea), a jednak twarz, która na nich widniała, wcale nie była do niej podobna. Czy to w ogóle byłam ja? Czy naprawdę leżałam w tej łodzi, pod letnią parasolką, z kieliszkiem szampana w dłoni, z otwartym piknikowym koszem i w kapeluszu tak obładowanym sztucznymi owocami jak kram sklepikarza? To byłam ja?

Wojna zmieniła Effie na każdym poziomie jej egzystencji. Wszystko co sądziła o sobie, o swojej pracy i o swojej niezdolności znalezienia miłości, zmieniło się całkowicie, bez ostrzeżenia, i nagle stało się niezrozumiałe i nieznanne. Poczula się tak, jakby już nie знаła siebie ani nie wiedziała, jaka chce być i dlaczego. Ta ciemna, wygodna kryjówka, jaką znalazła dla siebie i swych zranionych uczuć, okazała się być niczym innym jak ciernistą niszą w jakimś wrogim lesie; w lesie, gdzie dziwne wydarzenia rzucały się na nią jak wilki, a dzień nie wydawał się następować po nocy.

Śmierć matki, na miesiąc przed ogłoszeniem wojny, była pierwszym wydarzeniem, które ją poruszyło. Następnymi okazały się jej katastrofalna konfrontacja z Robertem i brazylijski romans. Po nich przyszły straszne wieści, jakie otrzymała z Europy, upadek wszystkich jej nadziei i strach, co



się stało z Alisdaiem.

Bardziej jednak niż cokolwiek innego zmienił ją finansowy koszt wojny. Po tym jak sir John French i Brytyjskie Siły Ekspedycyjne pomogły powstrzymać niemieckie natarcie w bitwie pod Marną we wrześniu 1914 roku i po utrwaleniu się wojny na cztery wyniszczające lata okopów, po „wielkich ofensywach”, niepotrzebnych masakrach, europejski kapitał zaczął się wykrwawiać z każdym pociskiem, który został wystrzelony i z każdym człowiekiem, który ginął w błocie. Na początku wojny Stany Zjednoczone były bardzo zadłużone w Europie. W roku 1918, gdy wojna się skończyła, były państwem wierzycielem, posiadając zaciągnięte przez państwa europejskie długi przekraczające piętnaście miliardów dolarów. Watson's Bank, podobnie jak wiele innych, był niemal bankrutem.

Szala finansowej równowagi przechyliła się na stronę Ameryki i 11 listopada, w dniu zakończenia wojny światowej, Effie wiedziała, że jeśli chce zrealizować swoje najgłębsze ambicje, będzie musiała się do tego dopasować.

## 7

W pochmurny lipcowy dzień 1914 roku Effie przyjechała do St Vigean, aby pochować matkę. Miała czarny welon i długą czarną suknię z jedwabnej mory. Idąc, szeleściła szyfonem konwersującym z jedwabiem, który miękko ocierał się o skórę. Na szyi miała ponad siedmiokaratowy diament osadzony w złocie i otoczony rubinami.

Robert, spocony, także tam był, z dziewczyną, niejaką Joan Duff, w której Effie rozpoznała jedną z maszynistek z jego banku. Trumnę matki wykonaną z wiązu, z połączanymi uchwyty, pokrywały stosy różowych i białych goździków. Kwiaty kołysały się i podskakiwały, gdy cmentarni żałobnicy nieśli ją wokół budynku na cmentarz. Fiona Watson powiedziała kiedyś pastorowi St Vigean (głuchemu, krótko ostrzyżonemu, wyraźnie zezowatemu mężczyźnie), że wolałaby być pochowana tutaj, w St Vigean, niż w rodzinnym grobowcu Watsonów w Kilmory. Tu nie było kapeli dudziarzy ani werbli, tylko świergot wróbli i smętny dzwon kościoła St Vigean.

Po ceremonii Effie poszła z powrotem prosto do swego samochodu, ale Robert przeciął trawnik, żeby ją zatrzymać.

– Effie!

Szła dalej, więc Robert musiał przyspieszyć kroku, żeby ją dogonić.

– Chyba nie zamierzasz wracać prosto do Londynu? – zapytał.

– Czy jest jakiś powód, dla którego powinnam zostać w Szkocji?

– Wydaję jutro kolację dla kilku Brazylijczyków, potrzebuję cię jako

gospodyni. Liczyłem na ciebie.

– A co z tutejszą gwiazdą? – zapytała Effie, mając na myśli Joan Duff. – Nie można jej nauczyć podawania marchewki?

– Effie... Effie! Zechcesz, proszę, poczekać? To jest ważne! Nawet więcej niż ważne! To jest fundamentalne! To może oznaczać, że zarobimy w tym roku dodatkowe jedenaście lub dwanaście milionów funtów i osiągniemy znaczne zyski w przyszłym roku, bez względu na to, co się stanie z Niemcami.

– Co masz na myśli? – sztywno zapytała Effie. Teraz doszła już do samochodu i McVitie trzymał otwarte dla niej drzwi.

– Cóż, wojna wydaje się teraz bardzo prawdopodobna, czyż nie? – odparł Robert. – Powinniśmy po prostu się upewnić, że niezależnie od jej wyniku nie poniesiemy żadnych strat. Wojny toczy się dla osiągnięcia zysków, ożywiania przemysłu, zajmowania nowych i bogatych terytoriów. Wojny sprzyjają biznesowi. Nie chcemy stracić okazji, prawda?

– Ty naprawdę chcesz wojny?

– Nie ma najmniejszego znaczenia, czy ja jej chcę czy nie. Dojdzie do niej albo nie dojdzie niezależnie od moich upodobań. Ja chcę tylko dopilnować, aby Watson's Bank skorzystał na tej nieuchronnej fali historii. Nie możesz mnie za to winić.

Effie odwróciła wzrok.

– Pan Niblets mówił mi, gdy byłem w Londynie, że Watson's Bank udziela ogromnych kredytów zarówno Austrii, jak i Serbii. Powiedział mi też, że największa część tych pieniędzy prawdopodobnie będzie wykorzystana na wyposażenie wojska i uzbrojenie. Właśnie to nazywasz korzystaniem na nieuchronnej fali historii? Wydaje mi się, że twoje preferencje mogłyby, tak czy inaczej, mieć znaczny wpływ na Europę.

Robert wyciągnął chusteczkę i otarł pot z nabrzmiałego karku.

– Doprawdy pochlebiasz mi, Effie. Chciałbym być choćby w połowie tak wpływowy. Ale będziesz jutro wieczorem, prawda? To przede wszystkim w twoim interesie. Trzecia część banku jest twoja, a to oznacza, że jesteś warta około dziewięciu i pół miliona, ja zaś sądzę, iż nadszedł czas, abyś zrobiła coś, żeby udowodnić, choćby tylko sobie, że jesteś warta takiej fortuny.

– Jestem zupełnie pewna swojej wartości, dziękuję.

– Czyżby? Matka nie była. A ty zawsze byłaś do niej taka podobna.

Effie spojrzała na Roberta z najwyższym zdumieniem. Uśmiechał się. Wszystko dookoła, wiązy, starannie przystrzyżone trawniki, szare budynki St Vigeans wydawały się tak sztuczne, że Effie czuła, jakby całe to otoczenie było rozmyślnie stworzone niczym dekoracja do wzruszającego filmu, której jedynym celem jest spotęgowanie dramaturgii tej rozstrzygającej konfrontacji.

– Dobrze. Możesz mnie oczekiwać jutro wieczorem – Effie usłyszała samą siebie. – Dzisiaj zatrzymam się u państwa Calder-Haigów, gdybyś potrzebował się ze mną skontaktować, ale w czwartek wracam do Londynu, obiecuję.

Joan Duff zbliżała się do nich owym strasznie sztywnym krokiem pracującej dziewczyny wystrojonej w suknię o wiele dla niej za drogą i w pantoflach, w których trudno jej było utrzymać równowagę.

– Robbie? – powiedziała.

– Nie odzywaj się – burknął Robert, a potem z ostatnim gniewnym spojrzeniem na Effie odwrócił się i ruszył z powrotem po zwirowej ścieżce. Trzęsąc tłustymi pośladkami w czarnych żałobnych spodniach i szeroko stawiając stopy, skinął bezceremonialnie na Joan Duff, żeby szła za nim.

Joan Duff poprzez czarny welon spojrzała na Effie z gniewnym zdumieniem.

W samochodzie mknącym z powrotem do Edynburga Effie pomyślała, że Robert zupełnie się myli. Wcale nie jestem podobna do matki. Matka była ofiarą. Zamiast stanąć w obronie miłości, której pragnęła, pozwoliła się terroryzować, obrażać i bić. Kiedy Jamie popełnił samobójstwo, zachowała się dokładnie tak, jak kobiety umierające z miłości mają się zachować. Zagrała rolę heroiny gazetowych romansów. Sprzątała, opłakiwała i popadła w lekkie szaleństwo. Oszalała jednak wystarczająco, aby w teatralnej zemście zabić ojca i wystarczająco, by narazić się na stratę reszty życia w domu opieki. Nie na tyle jednak, aby wznieść się przeciwko towarzyskim konwenansom.

W porządku, przyznała przed sobą, za długo opłakiwałam miłość do Karla. I wciąż za nim tęsknię. Teraz jednak będę silniejsza. Będę szła swoją własną drogą, według własnych zasad. Nie zamierzam być przytłoczona przez Roberta ani przez żadnego innego mężczyznę. Będę robić to, co chcę, a nie to, czego ode mnie oczekują. Te wszystkie przyjaciółki, które tak żalują mnie, nieszczęsnej starej panny. Sprawię, że zagwizdzą z podziwu. Nie chcę być taka jak Celia Calder-Haig ani taka jak Vera Cockburn. Nie chcę tracić reszty swego życia na zakupy, poranne kawki i głupie przyjęcia. Nie chcę być mężatką tylko dla seksu.

Gdy następnego dnia, ślicznie ubrana w jasnoniebieski letni kostium, zesza z frontowych schodów domu państwa Calder-Haigów przy Charlotte Square, zastała Johna McDonalda, który w białym blezerze i słomkowym kapeluszu stał na chodniku.

– John! – wykrzyknęła. – John McDonald!

Zdjął kapelusz i objął ją.

– Słyszałem, że się tutaj zatrzymałaś i pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę.

Wydawał się szczuplejszy i wyższy niż kiedykolwiek. Był opalony na

brząz. Znów zapuścił wąsy, w których teraz widać było cienkie pasemka siwizny.

– Wyglądasz teraz tak dostojnie – uśmiechnęła się Effie, splatając z nim ramiona. – Wciąż jesteś w pułku Black Watch?

– Tak. Wróciliśmy z Indii przed dwoma miesiącami i od tego czasu jesteśmy ulokowani w zamku. W tym momencie jestem na urlopie, lecz jeśli w Europie sprawy będą się toczyć tak jak teraz, spodziewam się, że niebawem zostanę zmobilizowany.

– Jak dobrze cię widzieć. Cóż za radosna niespodzianka!

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Effie.

– Jesteś żonaty? – zapytała. – Ilekroć o tobie myślę, zawsze sobie wyobrażam, że znalazłeś cudowną, wrażliwą żonę i mnóstwo małych McDonaldów raczkujące wokół twoich kostek.

– Wciąż o mnie myślisz?

– Oczywiście! – odparła Effie. – A ty o mnie nie myślisz?

Na chwilę zapadło milczenie, a potem John ścisnął jej rękę i obdarzył nieco cierpkim uśmiechem.

– Pozwolisz mi zaprosić cię na obiad? – zapytał.

– Bardzo chętnie. Gdzie pójdziemy?

– Nie wiem. Masz samochód?

– Drogi Johnie, rozmawiasz z kobietą, która posiada większość szkockiego przemysłu samochodowego i kilka angielskich fabryk. Umiesz prowadzić auto?

– Nauczono mnie w Indiach. Raczej kiepsko, ale odróżniam kierunki do przodu i do tyłu i umiem powiedzieć w języku urdu „Zjeżdżaj z drogi, leniwy próżniaku”.

Effie się roześmiała.

– Właśnie dostarczono nam nowy model. Chciałbyś spróbować?

– Spróbuję od razu. Moglibyśmy pojechać do Newhaven. Jest tam dobra mała restauracja. Najlepsze ryby w Szkocji.

McVitie niechętnie wyprowadził ze stajni należący do Roberta nowy model Stara o mocy niemal szesnastu koni mechanicznych. Był to długi, otwarty kabriolet, jaskrawoczerwony, z mosiężnym klaksonem, który zagiął się za zapasowym kołem na stopniu, a potem unosił nad maską jak róg alpejski. John zatrąbił, na co mały terier na drodze odpowiedział mu, szczekając jak szalony.

Był jasny, gorący dzień. Jechali na północ w stronę Leith w powolnym, ale nie zawsze dostojnym tempie, ponieważ John miał trudności ze skrzynią biegów, ale gdy dotarli do brzegów Firth of Forth, toczyli się całkiem radośnie i John zaczął na cały głos recytować starą szkocką pieśń. Effie usiadła blisko niego i intonowała najgłębszym głosem, jaki mogła z siebie wydobyć, zakończenie każdego wersu.

Nadeszło popołudnie, a oni, sami na poboczu, spoglądali na morze. Przez szprychy kół zaparkowanego w trawie jaskrawoczerwonego stara przefruwały białe motyle. John rozłożył kraciany pled. Położyli się na nim, patrzyli w niebo, na leniwie przesuujące się w słońcu obłoki i rozmawiali.

– W Indiach jest bardzo dziwnie – rzekł John, zapalając papierosa. – Zaproszono mnie na spotkanie dawnych kolegów ze szkoły w Edynburgu do restauracji Peliti w Kalkucie. Gdyby nie tamtejszy upał i hinduscy kelnerzy, znalazłbym się z powrotem w Szkocji. Jedliśmy nawet haggis. Haggis!

– Daj mi swojego papierosa – powiedziała Effie.

John oparł się na łokciu i przyglądał jej się, jak paliła.

– Nie ożeniłem się. Przyznam, że miałem okazję, ale w końcu powiedziałem „nie”. Zrozum, ja kocham cię, Effie, nawet po tych wszystkich latach i zawsze będę miał nadzieję, że zmienisz zdanie.

Effie wypuściła dym. Wiatr wokół niej szeleścił w trawie. Z morza w kąpeli diamentowej piany rybackie łodzie wracały do Newhaven, gdzie miały wylądować połów.

John McDonald pochylił się nad Effie i zasłaniając słońce, pocałował ją. Oddała mu pocałunek bez wahania, rozkoszując się dotykiem jego wąsów na swojej górnej wardze, smakiem śliny i tytoniu, a przede wszystkim swobodą całowania każdego, kogo chciała. Nie zamierzam być przytłoczona przez Roberta ani żadnego innego mężczyznę. Teraz będę szła własną drogą.

– Effie, kocham cię – wyszeptał.

Bez słowa uniosła spódnice kostiumu i jedwabną halkę z koronkami, a potem opuściła białe jedwabne majtki. Uklękła z twarzą, na której mieszały się pytania i zaskoczenie, ale zaczął rozwiązywać krawat, rozpinać koszulę i niebawem leżał w trawie nagi.

Patrzyła na niego i zrozumiała, że go nie kocha i nigdy nie pokocha. Jednak podniecenie w tej chwili było wystarczające. Wiatr owiewał jej nagie uda i chłodził wilgoć sromu, a John McDonald był nagi, jego twarz, kolana i ramiona brązowe tak, jakby były zanurzone w czekoladzie, zaś reszta ciała biała jak noga owieczki. Był miękki, więc wyciągnęła rękę, wzięła w dłoń jego penis, ścisnęła go i masowała, aż zaczął sztywnieć.

Było to jednak zbyt trudne. Trwało zbyt długo. John wszedł w nią niezdarne, sapał, wpychał i przeproszał, twarz coraz bardziej mu czerwieniała i w końcu, po blisko kwadransie niewygody, wycofał penis błyszczący, ale ledwie wzniesiony i wcisnął go z powrotem w spodnie.

– Przepraszam – powiedział. – To było najwyraźniej coś śmiesznego, co zrobiłem.

– Nie, nie było – powiedziała Effie. – To tylko dowiodło, że niektórzy ludzie są przeznaczeni, by być kochankami, a inni nie mogą być nikim więcej niż tylko przyjaciółmi.

– Wstyd mi.

– Nie wstydz się, John, nie wstydz się, proszę. Nie można zmienić ludzkiej natury. Jest zbyt wielką tajemnicą dla każdego z nas.

John wydał z siebie westchnienie rozpaczy i oddał się bardzo skomplikowanemu zajęciu wiązania krawata.

– Chciałbym, żebyś się przykryła.

Effie leżała na trawie, wsłuchując się w jej szept i czując obracający się pod nią świat. Spódnica i halka wciąż uniesione były wokół talii.

– Chciałbym, żebyś mnie pocałował – powiedziała, patrząc na Johna.

John wyprostował krawat i pochylił się nad nią.

– Nie tu – powiedziała, osłaniając usta dłonią. Wydawał się zaszokowany, ale ona znów oderwała rękę od ust i rzekła: – Nie bój się mnie. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? – zapytał, jakby nigdy w życiu nie słyszał tego słowa, jakby było to jakieś chińskie wyrażenie oznaczające coś tak egzotycznego i nieuchwytnego, że cudzoziemcy nie mogli mieć nadziei, iż to zrozumieją.

Zawahał się. Spojrzał na nią błagalnie, ale nie zmieniła wyrazu twarzy. Słońce skryło się za chmurą, a potem wyszło znowu. Odchrząknęła, a następnie powoli, ostrożnie wsunęła głowę między jej nagie białe uda.

Ledwie poczuła jego pocałunek. Nie było w tym owego naglącego odkrywania, do którego pobudzał ją Karl. Był to jednak pocałunek warg o wargi, męskiego zarostu i łonowego owłosienia kobiety i on był potwierdzeniem wielu spraw: ich bliskości jako przyjaciół, nowo koronowanej królewskości Effie i prostego faktu, że prawdziwe uwielbienie i szacunek nie muszą się niczego wstydzić. Nie byli kochankami. On już nigdy nie miał zobaczyć jej nagiej. Pod pewnymi względami pocałowanie jej waginy było gestem jego niepowodzenia i jego służebności. Ale miał też osiągnąć chwałę. Nie był stracony. Gdy zobaczył ją następnym razem, w 1920 roku, krótko i ze zbyt daleka, by z nią porozmawiać, on – pułkownik, a ona tak bogata, że ludzie tłoczyli się wokół niej, żeby chociaż odetchnąć zapachem pieniędzy – mógł się uśmiechnąć, przypomnieć sobie, jacy byli odważni erotycznie i z ufnością trzymać za rękę swoją nową przyszłą żonę.

Tym jednym gestem Effie sprawiła, że prysnął czar beznadziejnej miłości Johna, a jednak pozwoliła mu zachować nie tylko podziw dla niej, ale również jego własną godność. Wiedziała, gdy wyciągnęła ku niemu rękę, aby pomógł jej wstać, że wcale nie jest taka jak matka, którą właśnie pochowała i nigdy taka nie będzie, a wynikająca z tego ulga i satysfakcja dała jej jeszcze większą siłę na wieczór.

Señor Marilia i señor Lacaze jednak nie oczekiwali takiej siły w kobiecie i wcale się im się nie podobała. W kobiecie siła była albo wybrykiem natury, albo rozmyślną i obraźliwą sugestią, że oni, jako mężczyźni, są słabi. Przyszli na kolację do domu przy Charlotte Square z dwudziestominutowym opóźnieniem (wcześniej słyszeli o angielskim protokole), przynosząc narę-

cza niegustownych prezentów (dla Effie jarmarczną bransoletkę ze złota, rubinów i szmaragdów, zaś dla Roberta olejny obraz przedstawiający Serra do Roncador w środkowej Brazylii namalowany przez artystę, który miał fatalną słabość do jaskrawej purpury). Señor Marilia, prezes Banco de Recife, ubrany był w czarną wieczorową marynarkę, miał potężne czarne wąsy i szkocki kilt w kratę klanu McDonaldów, noszony zwykle przez kobiety. Jego tęgie nogi wybrzuszały się z grubych szetlandzkich skarpet. Natomiast señor Lacaze z Brazylijskiej Agencji Szmaragdów wyglądał, jakby się właśnie ubrał na popołudniowe pieczenie prosiaka, gdy nadeszła wiadomość, że ma pójść na kolację. Był niezwykle gładkim mężczyzną z czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami, idealnie czarnymi rzęsami i głową o migdałowym kształcie. Miał monokl, który nieustannie wypadał mu z oka i kołysał się na zielonym jedwabnym sznureczku. Prawie w ogóle nie mówił po angielsku. Przy kolacji, na którą podano szkockiego łososia z sosem kaparowym, homara przyrządzonego z curry, pieczeń wołową, indyka i krem malinowy (pani McNab zawsze twierdziła, że kolacja tylko wtedy bywa wystawna, jeśli jest ciężka), señor Marilia rozprawiał o groźbie wojny, Brazylii i przepływie pieniędzy. Miał też pewien sposób dopasowania sztućców do każdej uwagi, którą wygłaszał.

– Gdyby wybuchła wojna, panie Watson, a w kręgach bankowych wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak bliska jest taka możliwość... (widelec do ryby unosił się pół centymetra w górę)... na pewno będą trudności i ograniczenia w przepływie pieniędzy i niektóre kraje mogą też szukać sposobności, by nie dotrzymywać swoich zobowiązań... (nóż do masła poruszył się lekko w prawo i w dół)... myślę szczególnie o Rosji, Turcji i Grecji.

Na początku kolacji Effie nie miała pojęcia, jakiego rodzaju interesy Robert robi z tymi Brazylijczykami. Siedzenie obok señora Lacaze, który nie przestawał się do niej uśmiechać z pewną lunatyczną poządlivością i wciąż upuszczał monokl, utrudniało jej podążanie za ściszym głosem señora Marilii. Przy pieczeni jednak nagle zrozumiała, co Robert próbował zaaranżować.

– Robercie? – powiedziała ostro.

Robert miał pełne usta jarmuzu.

– Słucham cię, Effie? – zapytał, a potem odwracając się z wypchanym policzkiem do señora Marilii, dodał: – Będzie pan musiał wybaczyć mojej siostrze. Jest czarną owieczką w tej rodzinie.

Señor Marilia się roześmiał i powtórzył to po portugalsku señorowi Lacaze, który znów upuścił monokl i uderzył w stół, by pokazać swoją aprobatę.

Effie odpowiedziała łagodnym głosem.

– Jeśli zrobisz jeszcze jedną taką uwagę, kochany Robercie, sięgnę po

pólmisek ziemniaków i wywalę go na twoją tłustą głowę.

Señor Marilia potrzebował kilku chwil namysłu, aby przetłumaczyć to, co powiedziała Effie. Kiedy zaś wreszcie zrozumiał, spojrział w osłupieniu najpierw na Effie, a potem na Roberta i zapytał:

– *Que ela disse?*

– Ona żartuje – ze skrzywieniem odparł Robert. – Wie pan, co to „żart”?

– Nie żartuję na temat pożyczania pieniędzy Niemcom. Właśnie to załatwiasz z señorem Marilia, prawda? Przesłanie pieniędzy do Brazylii pod pretekstem finansowania wydobycia szmaragdów, a następnie przekazanie ich do Niemiec, żeby sfinansować ekspansję militarną Kaisera.

– Sądziłem, że pochwalasz działania Niemców – rzekł zjadliwie Robert. Wypił łyk wina i znad krawędzi kieliszka obdarzył señora Marilię spojrzeniem, które wyraźnie oznaczało: proszę się nią nie przejmować, to tylko historyczna kobieta.

Señor Marilia sięgnął po kieliszek, uniósł go ku Effie w milczącym toaście i zachichotał.

– Effie, kochanie – rzekł Robert, pochylając się w jej stronę – skomplikowany stan polityki międzynarodowej nie ma nic wspólnego ani ze mną, ani z tobą. My jesteśmy odpowiedzialni jedynie za bank. Jeśli można uzyskać jakiś skromny zysk dzięki pożyczaniu pieniędzy Niemcom, to będziemy pożyczać Niemcom. Mogłbym ci także przypomnieć, że znacznie więcej pieniędzy pożyczamy rządowi brytyjskiemu na udoskonalanie silników turbinowych dla marynarki wojennej.

– A jeśli będziemy musieli toczyć wojnę z Niemcami? – Effie domagała się odpowiedzi.

– Nie mogłoby być lepiej – odparł Robert. – Zarówno Brytania będzie potrzebowała więcej pieniędzy, jak i Niemcy. Będziemy zabijać po obydwu stronach.

– Zabijać?! Dziś po południu spotkałam się z Johnem McDonaldem. Jeśli dojdzie do wojny, John będzie musiał wyjechać i walczyć za swój kraj. Czy sądzisz, że mogłabym choćby bez przekonania zaakceptować pożyczkę dla Niemiec, mogącą sfinansować właśnie tę kulę, która zatrzyma jego serce?

Robert westchnął i wznosił oczy.

– Znowu jesteś melodramatyczna, Effie. Większość pieniędzy, które pożyczymy Niemcom, pójdzie na fabryki chemiczne oraz na wytwórnię pasz.

Effie wstała. Miała na sobie piękną cytrynowożółtą wieczorową suknię z falbankami wokół rękawów i talii oraz z głęboko wyciętym dekoltem w kształcie litery V, który ukazywał krągłość jej drobnych piersi. Włosy spięła ku górze dwoma zaokrąglonymi grzebieniami ze złota i diamentów. Señor Lacaze znów włożył do oka monokl i spoglądał na nią z zachwytem.



– Panowie – oświadczyła Effie – przykro mi, że panów rozczarowuję, ale ja również posiadam znaczny udział w Watson's Bank. Nie jest to udział większościowy, ale wystarczający, nawet zanim otrzymam dodatkowe aktywa, które matka zostawiła mi w spadku, aby zawetować takie porozumienie. Watson's Bank nie pożyczycy żadnych pieniędzy Drugiej Rzeszy niezależnie od sposobu, w jaki miałyby to zostać zrobione. To jest moje ostatnie słowo. Mam nadzieję, że smakuje panom kolacja.

Właśnie miała się odwrócić, żeby odejść od stołu, gdy señor Marilia krzyknął gniewnie do Roberta:

– Co to znaczy?! Czy to kolejny żart pańskiej siostry!

– Nie sędzę – odparł Robert.

– Zatem musi jej pan powiedzieć, jaki to nonsens! Nie pokonałem prawie czterech tysięcy mil, aby być zlekceważonym przez jakieś dziewczę, panie Watson!

Robert zignorował señora Marilię i spokojnie zwrócił się do Effie.

– Effie, to nie jest bardzo pragmatyczne, rozumiesz?

– Rozumiem – odparła. – Jednak jestem pewna, że będziesz umiał wytłumaczyć señorowi Marilii, że bankowość nie zawsze jest pragmatyczna. Czasami jest honorowa, a bardzo rzadko bywa moralna.

Señor Lacaze zmarszczył brwi, patrząc na señora Marilię w kompletnym zdumieniu, po czym w gwałtownym portugalskim języku powiedział coś, co mogło być pytaniem:

– Czy to oznacza, że nie będę mógł wziąć dziś wieczorem tej kobiety do łóżka?

– Ciii... – Señor Marilia z irytacją machnęła ręką.

Robert cisnął na stół serwetkę.

– Ten drobny gest honoru i moralności, Effie, może nas kosztować wartość pożyczek od dwudziestu do trzydziestu milionów funtów.

– Wiem – odparła Effie. – Dokładnie wiem, jak bardzo Kaiser jest chętny do pożyczania pieniędzy z jakiegokolwiek źródła i wiem również, jaki ty jesteś skory, aby mu pożyczać. Ale tego nie zrobisz. Honor i moralność Watson's Bank jest bezcenna. Tego nie można kupić.

Robert wiedział, kiedy pora, by wycofać się bez kłótni. Nie docenił Effie. Był tak zajęty pożyczkami udzielanymi przez Watson's Bank w całej Europie i czerpaniem korzyści z historycznych lęków, jakie każdy kraj czuł przed swoim sąsiadem, że zapomniał o „kolczastej” osobowości Effie. Wszystko zostało zaplanowane: pieniądze przepłynęłyby z oddziału banku w Cornhill do Brazylii za sfinansowanie wydobycia szmaragdów, szmaragdy z Brazylii byłyby sprzedane na światowym rynku z pewnym zyskiem i podczas gdy ów zysk wróciłby z powrotem do kopalni szmaragdów, kapitał przetransferowano by jako złoto w sztabach do Niemiec. Tylko dwadzieścia lub trzydzieści milionów, ale wystarczająco na ciężarówkę, konie, karabiny

maszynowe, bomby i więcej pocisków niż jeden człowiek zdoła wystrzelić, nawet gdyby strzelał co sekundę przez całe swoje życie. Zapomnienie o Effie było niepojętym, ale zasadniczym niedopatrzaniem, jednak w przeciwieństwie do señora Marilii, który robił teraz o to jakąś niedorzeczną scenę, Robert wolał się wycofać i poczekać na odpowiedni moment. Rodzinna kolacja była właściwą scenerią dla porozumień, a nie dla sporów.

– Proszę się uspokoić, señor Marilia – rzekł do gościa. – Moja siostra ma rację. Musimy myśleć o honorze.

– Pańska siostra najwyraźniej wodzi pana za nos – odparł pogardliwie señor Marilia.

– Prawdopodobnie – powiedział Robert, który za wszelką cenę chciał porzucić ten temat.

– Zatem jest pan taką samą kobietą jak ona – odpowiedział mu señor Marilia, splatając ręce w złości i sprzeciwie. – Nie pokonałem czterech tysięcy mil, żeby rozmawiać z kobietami.

Robert spuścił głowę i wpatrywał się w swoją pieczeń. Potem ponownie podniósł wzrok, a jego twarz była tak biała, jakby obtoczono ją w mące. Dla Effie, która go znała, było jasne, że jest tak wściekły, iż nie może mówić, ale señor Marilia rozszerzał owłosione nozdrza, sapał i czekał na odpowiedź.

Robert powoli odsunął swoje krzesło i wstał.

– Robercie... – powiedziała ostrzegawczo Effie, ale ją zignorował, nie usłyszał lub nie chciał jej usłyszeć.

Señor Marilia i señor Lacaze także unieśli się krzesel, ale szybko znowu usiedli. Señor Marilia spojrział na Effie i rzekł:

– Señor Lacaze i ja przejechaliśmy cztery tysiące mil. Nie rozumiem.

Robert ku kompletnemu zdumieniu señora Marilii włożył obie ręce aż po mankiety w głęboką salaterkę duszonych kabaczków w białym sosie. Kabaczki stały na stole od pięciu czy dziesięciu minut, więc już trochę ostygły, ale wciąż były jeszcze na tyle ciepłe, że parowały.

– Panie Watson, uważam, że...

Robert bez słowa wyjął z salaterki wielką podwójną garść ociekających kabaczków, zatrzymał się chwilę, a potem cisnął je w twarz señora Marilii oraz w gors jego koszuli i jakby tego było mało, wytarł sos ze swoich palców w ramiona czarnej marynarki gościa.

Señor Marilia z wąsami sklejonymi sosem wpatrywał się w Roberta ze strachem i niedowierzaniem. Nikt nic nie mówił. Jedynym dźwiękiem było szalone bębnienie palców señora Lacaze o stół.

– Mam nadzieję, señor Marilia, że zechce pan przyjąć moje przeprosiny – powiedział Robert łamiącym się głosem. – Jestem pewien, że możemy nadal robić wspólne interesy i mogę pana zapewnić, że nic podobnego więcej się nie zdarzy. Nie jest to typowy przykład gościnności, jakiej można się spodziewać w domu Watsonów ani ze strony Watson's Bank. Jednak... – tu

skinął na Camerona, nowego kamerdynera, który właśnie wsunął głowę przez drzwi, żeby sprawdzić, czy dolać wina lub wynieść niepotrzebne talerze – zawsze może pan się spodziewać, że każda zniewaga spotka się z natychmiastowym odwetem. To jest mój sposób. Cameron, zechciej pokazać señorowi Marilii łazienkę, aby mógł się umyć. Pożyczysz mu także czystą koszulę i kilt. Upewnij się, że ten kilt jest w odpowiednią kratę i w męskich kolorach, żeby nie przypominał damskiego kiltu, który teraz ma na sobie.

Señor Marilia wymaszerował z pokoju, wysoko unosząc głowę, z duszonymi kabaczkami ciekącymi z jego stroju. Señor Lacaze zaś powiedział, co musiało być całym zasobem jego angielskiego słownictwa „to niemiłe”, a potem obronnie uniósł rękę i zamknął oczy na wypadek, gdyby on również mimowolnie obraził gospodarza i był następny w kolejce do ozdobienia warzywami.

Effie czystym głosem zwróciła się do Roberta.

– Jesteś równie prostacki jak zawsze, prawda? Równie prostacki jak ojciec, tylko gorszy, ponieważ powinieneś być dorosnąc, by rozumieć więcej.

Robert odwrócił wzrok.

– Jedynym co prawdopodobnie może cię zrehabilitować za to, co zrobiłeś señorowi Marilii, jest fakt, iż była to jedna z najśmieszniejszych rzeczy, jakie widziałam w życiu. Dobranoc, Robercie.

## 8

Dwa lata później, w październiku 1916 roku Effie przebywała w domu przy Cheyene Walk w Chelsea, gdy pewnego ranka Tessie powiedziała jej, że ma niezapowiedzianego gościa, jakiegoś dzentelmena. Włożyła więc długi, biały płaszcz kąpielowy i stukając jedwabnymi pantofelkami, zeszła na dół. W salonie zastała wysokiego młodego mężczyznę w szarym płaszczu, oglądającego jej fotografię, którą najwyraźniej zdjął z półki nad kominkiem.

Młodzieniec wydawał się zmęczony i był nieogolony, ale zdołał zgrabnie stuknąć obcasami.

– Panna Watson? Przepraszam, że niepokoję panią o tak wczesnej porze. Zechce mi pani wybaczyć – powiedział.

Tessie wyczekiwała na dole, by mieć pewność, że jej pani jest bezpieczna. W tych czasach tyle dziwnych postaci kręciło się po Londynie; zbirów, przeszukiwaczy śmietników i dotkniętych frontową nerwicą żołnierzy. Ten młodzieniec, chociaż sprawiał wrażenie zabiedzonego, wydawał się dość bezpieczny, więc Effie dała Tessie znak, żeby odeszła.

– Czy ma pan ochotę na herbatę? – zapytała.

– Mam dla pani wiadomości – odparł. Mówił z lekkim cudzoziemskim akcentem, którego nie potrafiła określić. – Nazywam się Milos Rašzboeni. Przed wojną byłem przyjacielem hrabiego von Ahlbeck. Polowaliśmy razem. W tamtych czasach nasi ojcowie się przyjaźnili.

– Ma pan wiadomości na temat hrabiego? – zapytała Effie. Salon wydawał się bardzo cichy, a wpadające do niego październikowe światło przypominało cienkie zasłony jej pamięci. Na zewnątrz była tylko fotograficzna szarość wczesnej londyńskiej zimy.

Rodd, kamerdyner, utykając przeszedł majestatycznie przez hol. Był oficerem łącznikowym z Australijczykami w Bapaume i został ranny w goleń. Wciąż lubił, żeby Effie nazywała go „sierżantem”.

– Rodd, podaj, proszę, herbatę – powiedziała szeptem.

Rodd wyczuwał, że jest spięta. Spojrzał na Milosa Rašzboeniego, potem znów na Effie, a wreszcie skinął głową i pokuśtykał z powrotem do kuchni. Zazwyczaj pytał, czy życzy sobie, aby podać także biszkopty czy wafelki i jaki gatunek herbaty woli tego dnia, ale dzisiaj było oczywiste, że powinna to być herbata Darjeeling i zwyczajne herbatniki i że im mniej będzie interwencji ze strony służby, tym lepiej.

– Hrabia von Ahlbeck napisał do mnie tuż przed wojną – powiedział Milos Rašzboeni. – Pisał, że zamierza wstąpić do Regimentu Pruskich Huzarów i że będzie zachwycony czynną służbą. Nie chciał jednak wyjeżdżać bez pozostawienia wiadomości dla pani. Przynoszę ją ze sobą.

Młodzieniec wyjął z płaszcza kopertę i w milczeniu wręczył ją Effie. Na odwrocie koperty znajdowała się granatowa woskowa pieczęć z wytłoczoną literą „A”. Effie ją złamała i zaczęła czytać tkwiący w kopercie list.

*Moja Najdroższa Effie,*

*Podobno wybaczać jest rzeczą boską, ale mnie zajęło dość dużo czasu nabycie tej umiejętności. Wiedziałem, że nie jesteś osobiście odpowiedzialna za sposób, w jaki Watson's Bank zdradził nas w sprawie umowy tureckiej, ale Ty i Twój brat kosztowaliście mnie zarówno wiele tysięcy funtów, jak i moją dumę i przepelniał mnie gniew nawet wtedy, gdy wciąż byłem pełen miłości.*

*Wydaje się jednak, że nadszedł czas, gdy barbarzyństwo świata jako całości jest znacznie większe niż barbarzyństwo jednego człowieka wobec drugiego, czy jednej kobiety wobec mężczyzny. Tęsknię za Tobą tak, jak tęskniłem pierwszego dnia po Twoim wyjeździe mimo tego, co mi zrobiłaś, niezależnie od tego, jak często przysięgałem sobie zemstę za Twoje straszne oszustwo. Być może mnie oszukałaś, a może nie. Nie sądzę już, że to jest istotne. Znaczenie ma teraz tylko to, że idę na wojnę i że pragnę, abyś wiedziała, że kocham Cię tak żarliwie i głęboko, jak kochałem wtedy, gdy cały świat składał się tylko z*

nas, zamku von Ahlbeck i okolic wschodniego Hamburga.

*Nie mogę żądać, abys na mnie czekała, ale błagam: spróbuj. Ta wojna, ktokolwiek ją wygra, nie może trwać wiecznie, a kiedy się skończy, znów możemy być razem, bez goryczy, bez wzajemnych oskarżeń i bez zrad.*

*Z szacunkiem i miłością  
Karl.*

Effie powoli złożyła list na czworo i położyła go na stoliku obok siebie. Milos Rašzboeni obserwował ją uważnie, a potem nagle uniósł dłonie, jakby wykonywał chwyt na boisku rugby. Była tak blada, że być może pomyślał, iż zemdleje.

– Czuję się dobrze – uspokoiła go Effie – tylko minęło już tak dużo czasu od ostatniej wiadomości od niego, że jestem trochę zaszokowana, co chyba można sobie wyobrazić.

– Oczywiście – rzekł Milos.

Zegar wybił dziewiątą. Rodd wniósł owalną tacę z zastawą do porannej herbaty.

– Nie podałeś waniliowych wafelków – zauważyła Effie.

– Nie, madam. Sądziłem, że dzisiaj bardziej stosowne będą herbatniki.

– Muszę zjeść wafelki! – rzuciła Effie.

– Jak pani sobie życzy – cierpliwie odparł Rodd.

Gdy kamerdyner wyszedł ponownie, Milos przekazał jej następną informację.

– Musi pani wiedzieć, że Karl nie żyje – powiedział.

Effie trzymała w dłoni przykrywkę porcelanowego dzbanuszka, którą uniosła, by poczuć, jakiego gatunku herbatę podano.

– Co? – powiedziała. Wiedziała to od pierwszej chwili, gdy zobaczyła Milosa w salonie, a jednak nadal pytała: – Co?

Zapadło długie milczenie. Milos oparł czoło na rękach i pochylił się w fotelu.

– Karl nie żyje. Umarł w piątek, w zeszłym tygodniu, w Broodseinde, w Belgii. Musi pani wiedzieć, że do końca był wspaniały, zabrał na wojnę swoje psy i zawsze nosił kompletny mundur *Liebusaren*. Twierdził, „że to inspiruje jego ludzi... – po kolejnej długiej chwili milczenia Milos przełknął ślinę i mówił dalej: – Nazywano go *Der Verrückte Kolonel*, szalonym pułkownikiem, ale on nie był szalony. Nie sądzę nawet, że można by było nazwać go lekkomyślnym. Jego problem polegał po prostu na tym, że nie chciał, nawet po tym czego sam doświadczył, zrozumieć, że *Somma* to nie *Waterloo*; że wojna, którą teraz toczyliśmy, nie ma nic wspólnego z rycerskością, militarną etykietą czy starannie zaplanowanymi manewrami. Widział śmierć na własne oczy, a jednak zawsze mówił o „uczeniu wroga pewnych

manier”.

- Czy pan wie, jak umarł? – zapytała Effie.
- Stało się to dość szybko. Tak mi powiedziano.
- Jak szybko? Chcę wiedzieć.

Milos czuł się niezręcznie.

- Panno Watson, to co dzieje się z ludźmi na froncie... Cóż, zdarza się tam wiele rzeczy, o których w domu nie ma się pojęcia.
- Czy pan jest historykiem, panie Rašzboeni?
- Byłem studentem filozofii w Wiedniu.
- Zatem zrozumie pan miłość.

Milos skinął głową.

Effie wstała, ciasno zacisnęła ręce i przeszła na skos przez pokój.

- Zrozumie pan, że zarówno wojna, jak i miłość mogą stwarzać historię.
- Miłość może stwarzać wiele rzeczy, panno Watson. Może dzielić narody, tak jak to czyni i będzie czynić.

Effie zaczęła drżeć. Czowała się tak, jakby miała gorączkę, jakby ciarki przechodziły jej po skórze, a po nogach pełzał ogień. Za oknem, po przeciwnej stronie ulicy podjechał samochód dostawczy od Harrodsa i dwaj mężczyźni w długich brązowych fartuchach wynosili z niego wielką stylową sofę. Odwróciła się. Pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała brzydszego mebla. Sofa wyglądała jak martwy koń na rzeźbionych nogach.

– Musi mi pan powiedzieć prawdę o Karlu – nalegała. – Byliśmy kochankami.

– Oczywiście – rzekł Milos. – Jak powiedział Wolter: *On ne doit aux morts que la vérité*. Nie zawdzięcza się śmierci niczego oprócz prawdy.

Starannie, swoją podręcznikową angielszczyzną, opisał, jak rano w miniony piątek Karl jechał na swym koniu, Tygrysie, przez pola. Towarzyszyły mu jego wyżły weimarskie, a w niewielkiej odległości z tyłu jechał adiutant i pewien kapitan z drugiego oddziału huzarów. Wcześniej zjedli śniadanie (wędzoną szynkę, jajka i kawę) i byli w drodze na rozmowę z oficerem dowodzącym Śląskim Regimentem Piechoty Liniowej, aby omówić zbliżające się wycofywanie i przegrupowanie. Bez żadnego ostrzeżenia, a nawet bez hałasu Karl został postrzelony przez zabłąkany pocisk brytyjskiej ciężkiej artylerii, który chociaż nie eksplodował, natychmiast zabił konia, a jemu urwał obydwie nogi.

– Powiedziano, że leżał w błocie... ta połowa, jaka została... wsparty na nagim szkielecie własnej miednicy niczym człowiek siedzący w wannie. Był w skrajnym szoku i zmarł w ciągu kilku minut. – Milos zawahał się, a potem dodał: – Przepraszam, że mówię tak obrazowo, ale rozumiem, że pani chce wiedzieć. Ja również byłem jego przyjacielem i czułem się zmuszony, by zapytać. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli teraz wyjdę.

- Pańska herbata – powiedziała Effie.

Milos siedział i patrzył, jak para z dzióbka herbacianego dzbanuszka unosi się w bladym świetle październikowego dnia. Effie podeszła i położyła mu rękę na ramieniu.

– Panie Rašzboeni – powiedziała – musi pan zostać i napić się herbaty.

## 9

Wcześniej myślała, że zamkneła ten rozdział swego życia, którego bohaterem był Karl. Prawdopodobnie był zamknięty... dopóki miała pewność, że Karl żyje i jest bezpieczny. Teraz jednak boleśnie sobie uświadomiła, że jedynym sposobem, dzięki któremu udawało jej się pogodzić z rozstaniem, było zachowanie w głębi serca cichej nadziei, że pewnego „dnia, po zakończeniu wojny, w Londynie, Hamburgu czy Paryżu mogą się przypadkowo spotkać, choćby w restauracji albo na konnej przejażdżce lub w wagonie restauracyjnym jakiegoś transeuropejskiego pociągu.

– To się nigdy nie zdarzy – powtarzała sobie, myśląc o tych fantazjach. Jednak dopóki takie wizje mogły się zrealizować, myśl, że nigdy się nie spełnią, wydawała się łatwiejsza do zniesienia.

Teraz Karl odszedł; ani los, ani przypadek nie dawał możliwości spotkania go, nie było takiej szansy.

Dwa następane dni spędziła w Londynie, ale w sobotni wieczór na przyjęciu u państwa Willisów w Queens Gate wdała się w nieprzyjemną polemikę z pewnym młodym pułkownikiem z regimentu Northamptonshire na temat celowości brania udziału w wojnie. Pułkownik był sztywny i według Effie nieznośnie głośny, chociaż zarówno jego hałaśliwość, jak zaciętość przypuszczalnie była spowodowana tym, iż ostatnio widział, jak czterystu jego ludzi uwięzionych w pułapce błota i drutu kolczastego zostało zmasakrowanych ogniem niemieckiego karabinu maszynowego.

– Musimy walczyć, aby ochronić Imperium i stać na straży brytyjskiego stylu życia, jaki znamy – oświadczył pułkownik.

– Jeśli pan myśli, że właśnie o to pan walczy, to się pan ludzi – zripostowała Effie. – Zgadzam się, że musimy powstrzymać Niemców, ale musimy myśleć o cenie. Ile młodych ludzi już straciliśmy? Ile milionów funtów niezastąpionych rezerw finansowych? Sama kampania w Afryce Południowej już kosztuje nas siedemdziesiąt dwa miliony funtów, co przekracza ostateczny koszt całej wojny burskiej i tylko Bóg jeden wie, ile kosztuje nas zachodni front. Musimy walczyć, tak, ale musimy też zrozumieć, że gdy walka się skończy, nie będziemy mogli sobie pozwolić na Imperium ani na narzucanie naszego sposobu życia innym, a może nawet sobie.

Przy stole zapadło zdumione milczenie. Pani Catherine Willis, gospodyni, próbowała jednego ze swych słynnych perlistych śmiechów, ale także

szybko umilkła.

– Damy w mojej rodzinie, madam, wychowywane były tak, by uważać, że odpowiedzialność za wojnę, interesy i pieniądze jest obowiązkiem mężczyzn, a rolą kobiet jest wspieranie mężczyzn w tych wszystkich sprawach i zachowanie owej cichej i pełnej wdzięku obyczajności, która czyni brytyjskie damy obiektem zachwytu i szacunku na całym świecie.

– Gdzie pan to przeczytał?! – zapytała Effie. – Na odwrocie obrazka dołączanego do paczki papierosów?

– Doprawdy, coś podobnego! – ostro zachnął się pułkownik.

Effie odłożyła serwetkę i wstała.

– Czy państwo choćby w połowie rozumieją, co się dzieje ze światem? – powiedziała podniesionym i pełnym napięcia głosem. – Jako bankier widzę to wyraźnie. Pożyczamy coraz więcej pieniędzy od Stanów Zjednoczonych, trwoniemy nasze rezerwy złota i surowce, a co najgorsze ze wszystkiego: trwoniemy całe pokolenie młodych mężczyzn. Czy państwo wiedzą, ile kosztuje nasz kraj wychowanie, wyżywienie i wykształcenie tych ludzi? Byli inwestycją kapitałową równie wielką jak każdy metal szlachetny albo przemysł, a wystarczy tylko jeden tani karabinowy pocisk, żeby zniszczyć każdego z nich. Na zawsze tracimy ich uzdolnienia, ich potencjalne zarobki oraz ich zdolność do pracy. Musimy walczyć, tak. Musimy walczyć, ale nie udawajmy, proszę, że możemy wyjść z tej wojny inaczej jak tylko znacznie biedniejsi.

– Czy pani myśli tylko o pieniądzu? – z dalekiego końca stołu zapytała lady Landes-Hartley. – Czy wszystko, nadzieję, odwagę i ludzkie poświęcenie, sprowadza pani do banknotów? Jeśli tak, panno Watson, to niezbyt przyjemnie mi zasiadać z panią przy jednym stole. Straciłam już na tej wojnie dwóch synów i jestem z nich dumna.

– Ja, lady Landes-Hartley – odparła Effie – straciłam na tej wojnie kucharka i żałuję jego śmierci z większą goryczą, niż pani może sobie wyobrazić.

Przeszła dwa kroki od stołu, a potem potknęła się o krzesło i zemdląła.

Teraz na dworcu King's Cross siedziała we własnym, prywatnym przedziale pociągu odjeżdżającego o godzinie dziewiątej rano do Edynburga. Pan Niblets odprowadził ją z Cheyne Walk do Marylebone Road i przyniósł dwie butelki napoju imbirowego, pudełko miętowych chipsów, których nie produkowano od wybuchu wojny oraz „Timesa” i pismo dla dam „Lady”. Czekał z nią, jak go poinstruowano, do odjazdu pociągu, od czasu do czasu starając się powiedzieć coś miłego. „Times” przynosił wiadomości o ogromnych stratach wśród wojsk kanadyjskich w Menin, gdy ruszyła ofensywa flandryjska.

– Ufam, że będzie pani miała wygodną podróż – powiedział pan Niblets. Stracił tę bujną czuprynę na czubku głowy, którą tak rozśmieszył



Effie, gdy zobaczyła go pierwszy raz. Włosy mu się przeredzały, przytył i zamiast okularów w rogowej oprawie nosił złote pince-nez, które uważał za bardziej odpowiednie dla poważnych bankierów.

Effie miała na sobie powłóczystrą niebieską suknię drukowaną w jasne, kremowe kwiaty, która sprawiała, że wydawała się jeszcze mizerniejsza, niż rzeczywiście była. Kapelusz z woalką leżał obok niej.

– Prawdopodobnie postaram się zasnąć.

– Z pewnością pani rozumie, że darzę panią głęboką życzliwością, prawda? Mam nadzieję, że przyjmie pani moje kondolencje, nie sądząc, że jestem impertynencki.

– Nie, nie jest pan impertynencki – odparła Effie. – Pan również znał hrabiego von Ahlbeck.

Pan Niblets nie mówił nic przez kilka sekund, a potem rzekł:

– Czy pani wie, że miałem panią szpiegować, gdy była pani w Niemczech?

Effie podniosła wzrok.

– Tak mi się wydawało.

– Pan Robert... cóż, on zawsze lubi wiedzieć, co się dzieje. To człowiek, który wierzy, że wiedza jest potęgą, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Effie odpowiedziała po krótkiej chwili.

– Nie jestem całkiem pewna. Czy próbuje mi pan coś powiedzieć, panie Niblets?

Pan Niblets zdjął pince-nez i ustawił soczewki pod kątem w ten sposób, by sprawdzić, czy są czyste.

– Sprawa wygląda tak, panno Watson, że w chwili gdy pierwszy raz weszła pani do banku w Cornhill, znalazła pani miejsce w moich pokornych uczuciach.

– Próbuje mi pan powiedzieć, że...

– Po prostu mówię, że uważam panią za damę niezwyklej urody oraz wybitnego charakteru i że w sposób pełen najgłębszego szacunku zakochałem się w pani. Ja... – tu się zawahał, aby dodać sobie nieco więcej odwagi, gdyż Effie mogłaby powiedzieć: Co też panu przychodzi do głowy? Co pan mówi? Chce pan poświęcić całą swoją karierę?! – ...ja zbierałem prasowe wycinki o pani; fotografie, relacje... wklejałem je do albumu...

– To naprawdę bardzo miłe – cicho powiedziała Effie. – Nie jestem urażona i bardzo dziękuję za troskę.

– Czy miałyby pani coś przeciwko temu, abym poczęstował się jednym napojem imbirowym?

– Proszę bardzo.

Pan Niblets nalał sobie szklankę napoju i przeplukał nim gardło, a potem mówił dalej.

– To było dla mnie niezwykle trudne, panno Watson, nieustannie

dostarczać z Londynu informacje, których oczekiwał pan Robert, i jednocześnie mieć tak silny wzgląd na pani dobro. Nie mogę powiedzieć, że nie wyszedłem na tym dobrze. Jestem teraz szefem działu inwestycji i papierów wartościowych, mam własny dom w Wimbledon Common i gosposię. Wiem jednak, że pani poglądy na to, jak powinien być kierowany bank, różnią się od poglądów pana Roberta i wiem, że jest pani damą o wielkiej niezależności i talencie.

– Panie Niblets... – rzekła Effie.

Jednak pan Niblets musiał powiedzieć to, co miał do powiedzenia, albo straciłby zimną krew.

– Zastanawiam się, panno Watson... – mówił, patrząc na nią tym dziwnym szklanym, zmrużonym spojrzeniem kogoś, kto właśnie zdjął okulary – zastanawiam się, czy mógłbym jakoś pani służyć. Mam na myśli jakieś bankowe informacje. Jeśli moglibyśmy spotykać się regularnie, może... ośmielam się zaproponować... raz w miesiącu na obiedzie, w dogodnym dla pani czasie, zapewne moglibyśmy, to znaczy, jeśli to jest dla pani do przyjęcia, mógłbym pani przekazywać wszystkie informacje, które uda mi się zebrać w ciągu miesiąca.

Effie patrzyła na niego uważnie. Ten człowiek naprawdę był w niej zakochany. Szef działu inwestycji i papierów wartościowych Watson's Bank był w niej zakochany. Nawet zbierał wycinki na jej temat i prasowe fotografie. Teraz zaś był tutaj, oferując jej utrzymanie w kontakcie ze wszystkim, co dzieje się w banku, za jeden wspólny obiad.

W pewnym sensie Effie nim gardziła. Ale czyż nie gardzimy zawsze tymi, którzy oferują nam swoją miłość i ich wiecznym oddaniem?

Z drugiej strony, jego uczucie wydawało się jej wzruszające. Przed wszystkim jednak rozumiała wartość tego, co proponował: informacji o najbardziej krętackich działaniach Roberta, a w końcu przewagi nad Robertem.

Powoli, choć ostrożnie odpowiedziała pytaniem.

– Jakiego rodzaju informacje, panie Niblets?

– Wszystkie. Wystarczy jedno słowo, tylko słowo. Proszę powiedzieć tylko słowo.

– Proszę dać mi przykład.

– Dobrze, jak pani sobie życzy. Czy pani wie na przykład, że pan Robert zamierza przenieść pana Cockburna do inwestycji zamorskich, aby móc uczynić pana Dunninga odpowiedzialnym za Londyn? Dobre posunięcie, jak widać, jeśli chodzi o pana Roberta. Pan Cockburn robi wszystko, co mu się każe, z powodu wydatków pani Cockburn i z powodu tego, jak dużo pan Robert pożycza mu niskoprocentowo na wychodzenie z długów. Pan Dunning zaś wykorzystywał swoje stanowisko szefa działu kredytów osobistych do uwicia własnego gniazda, a teraz twierdzi, że za swoje poprzednie oszu-

stwa będzie odpowiadać tylko przed sobą. Pan Robert lubi nieco poetycką sprawiedliwość.

– Dobrze... – Effie była pod wrażeniem.

– Jest również coś jeszcze – odparł, ożywiając się pan Niblets. – Czy pani wie, że Watson's Bank wciąż pożyczka pieniądze Niemcom?

Effie przeszły dreszcze.

– Co pan powiedział?

– To prawda. Zadałem sobie trud prześledzenia tej sprawy. Minionej jesieni Watson's Bank udzielił pewnej pożyczki w wysokości pięćdziesięciu pięciu milionów z pomocą Brazylii, Urugwaju i niemieckiej społeczności w nowojorskiej dzielnicy bankowej. To przerastało zarząd. Pani sama zaaprobowała tę pożyczkę.

– Ma pan na myśli pożyczkę na wsparcie południowoafrykańskiej kampanii w niemieckiej Afryce Wschodniej?

– Tak. Te pieniądze nie dotarły do Bothy ani do de Weta, jak sądzono. Przeszły przez pewną agencję zwaną Radą Wsparcia Południowoafrykańskich Działań Wojennych, a następnie trafiły do pewnej spółki inwestycyjnej w Cape Town, gdzie zostały przeznaczone na zakup diamentów oraz dostawy kawy i kauczuku, które ponownie w Johannesburgu zamieniono na złoto przetransportowane ciężarówką do Dar-es-Salam i przekazane niemieckiemu dowódcy von Lottowowi. Von Lottow zatrzymał pewną część złota na wsparcie własnej kampanii, a resztę wysłał do Niemiec.

– Kto o tym wie? – zapytała Effie.

– Prawie nikt. Pan Robert oczywiście, i pan Cockburn, ale nikt inny, chyba że zadano sobie trud prześledzenia całej drogi tych pieniędzy, co ja zrobiłem. Mogę panią zapewnić, że nie jesteśmy jedynym bankiem, który to robi. Przynajmniej dwa inne banki brytyjskie przesyłają pieniądze do Austrii. Jednym z nich jest... – po tych słowach pan Niblets pochylał się i wyszeptał nazwę banku do ucha Effie.

Effie spojrzała na pana Nibletsa nieruchomym wzrokiem. Na peronie zabrzmiał gwizdek. Pociąg drgnął, zasyczał i szarpnął, gdy hamulce zostały zwolnione.

– Panie Niblets – powiedziała Effie. – Jestem przekonana, że zasłużył pan sobie na comiesięczne zaproszenie na obiad. Teraz będzie musiał pan już iść, ale proszę mnie informować o wszelkich dalszych próbach przesyłania pieniędzy do Niemiec.

– Dziękuję za zaufanie, panno Watson – rzekł pan Niblets. Wstał i niezgrabnie ujął dłoń Effie, chociaż nie miał odwagi złożyć na niej pocałunku.

Gdy ekspresowy pociąg wyruszył z dworca King's Cross, lokomotywa buchała parą i szczekała, wylaniając się spod szklanego dachu i stawiając czoło blaskowi nowego dnia. Effie siedziała przy oknie i spoglądając w dół na błyszczące szyny, na drogę, którą biegły, a potem rozdzieliły się i skre-

ciły, poczuła się bardziej zdradzona i samotna niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu. Karl ją opuścił, ginąc. Robert dopuścił się zdrady finansowej.

Ból, jaki czuła, był większy niż wszystko, co dotąd знаła. Czuła, że jest bardzo bliska krzyku. Ale nie będzie krzyczeć. Nigdy nie będzie taką kobietą, której cicha i pełna wdzięku obyczajność uczyni ją obiektem zachwytu i szacunku na całym świecie. Ona będzie najpotężniejszą suką na ziemi i będzie się delektować każdą chwilą.

## 10

Jej siła jednak zaczęła słabnąć, gdy wraz z wieczorem pociąg zbliżał się do Edynburga. Czuła się wyczerpana zarówno fizycznie, jak i psychicznie, więc gdy na dworcu Waverley wysiadła ze swego przedziału, poleciła lokajowi, by niezwłocznie zawiózł ją do domu.

– Po moje bagaże możesz przyjechać później – powiedziała.

Robert, jak się dowiedziała, był na kolacji z państwem Morrisonami, podejmując dwóch przedstawicieli nowojorskiego Morgan's Bank. Bank ten zebrał w czasie wojny przeszło sto milionów funtów dla Ententy, oni zaś dokonywali dla aliantów zakupów w Stanach Zjednoczonych. Robert naturalnie był stanowczo przekonany, że obydwie banki powinny działać wspólnie na wypadek jakiegoś dramatycznego odwrócenia biegu wydarzeń na froncie zachodnim. Na wypadek, gdyby Niemcy nie mogły spłacić swoich długów, kwaśno pomyślała Effie.

Poszła prosto do swoich pokoi, gdzie się rozebrała, wzięła kąpiel i przebrała w prostą, popołudniową suknię z plisowanego perłoworóżowego jedwabiu. Tessie wyjechała do Dundee, żeby pomóc swojej rodzinie; jej brat wrócił znad Sommy ociemniały, a matka cierpiała na chroniczny artretyzm. Effie siedziała przed toaletką, szczotkując włosy i słuchając Mozarta z płyty na gramofonie. Przed nią leżały starannie ułożone, oprawne w złoto i lazuryt grzebienie i szczotki, które Alfred Rothschild przysłał jej na ostatnie urodziny, a obok stała elektryczna lampa w kształcie płonącej pochodni unoszonej przez nagą Boginię Ekstazy.

Kończyła upinać włosy, gdy rozległo się uprzejme pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zapytała.

Drzwi się otworzyły i wszedł Alisdair. Był teraz wysoki, miał prawie metr osiemdziesiąt, i zbudowany równie atletycznie jak niegdyś Dougal. W istocie, nie licząc trochę innych oczu i nieco ciemniejszej karnacji, mógłby być Dougalem w wieku piętnastu lat. Stał w miejscu, w charakterystycznym białym szkockim swetrze z podwiniętymi rękawami i granatowo-zielonym kilcie, i obserwował nieśmiało, jak wsuwa we włosy diamentowe grzebienie,

upina kilka niesfornych kosmyków, a potem spogląda na jego odbicie w lustrze.

- Przyjechałeś do domu ze szkoły?
- Ja... tak.
- Dano ci dzień wolny?
- Właściwie nie.

Głos Alisdaira był głęboki i chrypiący, właśnie przechodził mutację, co czyniło go dziwnie bezbronny i uroczym: oto chłopiec u progu wieku męskiego. Effie obróciła się na zydelku przed toaletką, z rękami na kolanach i światłem Bogini Ekstazy świecącym za jej włosami.

- Co to znaczy „właściwie”? Sam sobie dałeś dzień wolny?
- Próbowałem zaciągnąć się do służby wojskowej.

Effie patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła wzrok.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że wybrałeś odpowiedni pułk.
- Szkocki Pułk Królewski.
- Odrzucili cię, oczywiście?

– Jeden z oficerów mnie rozpoznał. Jego syn też jest uczniem szkoły Gordonstoun.

Effie wstała.

- Czy ty naprawdę myślałeś, że przyjmą piętnastolatka do wojska?

Alisdair wzruszył ramionami.

- Musiałem spróbować. Inni chłopcy również próbują.

Effie podeszła i położyła mu ręce na ramionach.

– Teraz jesteś wyższy ode mnie. Dawniej trzymałam cię na rękach. Jak dobrze cię widzieć. Cieszę się, że wziąłeś sobie wolny dzień i bardzo jestem rada, że nie przyjęto cię do wojska. Maszerowałbyś teraz tam i z powrotem z karabinem, gdyby pozwolono ci się zaciągnąć.

- Właśnie tego chciałem – odparł Alisdair.

Effie przytuliła go mocniej i ucałowała w policzek pokryty puchem pierwszego miękkiego zarostu dorosłej brody.

– Jeśli Bóg ma w ogóle jakieś wyczucie, to sprawi, że ta wojna się skończy, zanim będziesz wystarczająco dorosły, aby walczyć – powiedziała.

Uścisnął ją mocno i serdecznie. Zawsze było między nimi coś bardzo bliskiego. Częściowo była to tajemnica poczęcia Alisdaira, częściowo zaś odczucie, że sama Effie ucieleśniała taką gwałtowną, a dawno utraconą miłość, jaka matkę Alisdaira skłoniła do wydania go na świat, pielęgnowania, a potem przywiezienia do Szkocji, aby móc znaleźć dla niego możliwie najlepsze życie. W końcu Prudence oddała swoje życie za Alisdaira i nikt nie rozumiał tego tak głęboko jak Effie.

– Przepraszam – rzekł Alisdair. – Nie chciałem cię zmartwić. Myślałem, że będziesz ze mnie dumna.

Effie znów go pocałowała.

– Nie jest chlubą dać się zabić na tej wojnie, Alisdair. Giną na niej tysiące mężczyzn takich jak ty. Tylko Bóg wie, ilu dokładnie i w jakim piekle. Nie można zarzucać im brawury ani obwiniać ich patriotyzmu. Jednak znając ciebie i znając innego młodego mężczyznę po drugiej, niemieckiej stronie, który zginął w zeszłym tygodniu...

Myślała, że zdoła skończyć to zdanie, ale nagle gardło jej się zacisnęło. Alisdair dotknął jej ramienia, a potem policzka.

– Ciociu Effie...

Patrzyła na niego ze łzami i cierpkim uśmiechem.

– W tej wojnie nie ma żadnego sensu, Alisdair; właśnie to próbuję ci powiedzieć. Nic na niej nie można zyskać. Są tylko chłopcy, których ciała obraca się w strzępy, nie pozostawiając ich rodzicom niczego, co mogliby pochować. Ta wojna nie jest tego warta, a zanim się skończy, jeśli w ogóle kiedyś się skończy, Brytania będzie bankrutem. Już mamy niebezpiecznie mało aktywów w banku. Przyszłość będzie jedynie ubóstwem, niezgodą i niezadowolaniem, a za to nie warto umierać.

Alisdair spojrział na nią, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem. W szkole...

– To, co mówią w szkole i to, co dzieje się naprawdę, to dwie całkiem różne rzeczy. Szkoła nie ma dostępu do danych finansowych, które pokazują, jak głęboko Brytania pogrąża się w długi. Każda godzina wojny kosztuje ponad pięć milionów funtów. Każda godzina! Jest jeszcze coś, czego nie wiedzą w szkole; coś, czego nie wiadomo w odległości nawet kilku mil od frontu. Coś, o czym nie wiedziałam aż do zeszłego tygodnia. Sam front jest nieustannym okropieństwem śmierci, znużenia i strachu. Ta śmierć zaś jest tak straszna, że nawet nie mogę ci jej opisać.

Alisdair milczał, a potem skinął głową i w końcu się uśmiechnął.

– Tak naprawdę przyszedłem, żeby zobaczyć, czy jesteś gotowa do kolacji.

Usiedli w jadalni przy długim stole: Alisdair z jednego końca wypolerowanego stołu, Effie z drugiego. Obsługiwała ich tylko Rosie, jedna z dziewcząt kuchennych, ponieważ obaj ich kamerdynerzy zaciągnęli się do armii. Młody Cameron (choć nie mieli sposobu, by się o tym dowiedzieć) biegł wczoraj w ciemnościach między dwoma okopami, niosąc po filiżance herbaty w każdej ręce, gdy nagle nadział się na długi, ostry pał, który przebił jego nowiutki mundur, przeszedł przez brzuch i wyszedł plecami. Tkwił tam, płacząc przez sześć godzin, zanim zginął. Nikt z jego oddziału nie był wystarczająco naiwny, żeby wyjść i go szukać.

Zjedli zupę z porów i pieczoną jagnięcinę. Effie pozwoliła, by Alisdair wypił mały kieliszek burgunda i po kolacji poszedł z nią do biblioteki, gdzie siedzieli przy kominku, pili likier drambuie i palili papierosy. Alisdair okropnie kaszlał, ale próbował być zblazowany i wytworny. Powiedział, że

jego ulubionym przedmiotem w szkole jest algebra, a tuż za nią pływanie.

– Wspomniałaś, że znałaś jakiegoś Niemca, który zginął. Czy to był... – zapytał poważnie przed jedenastą.

Effie powoli skinęła głową.

– Tak – szepnęła.

– Bardzo mi przykro – powiedział Alisdair.

– Nie musisz mi współczuć – uśmiechnęła się Effie. – Ja sama nie powinnam czuć się tak nieszczęśliwa z tego powodu. To wszystko było bardzo dawno.

– A jednak...

– Nie przejmuj się – powiedziała Effie. – To tylko ostatni przebłysk dawnego wspomnienia. Nic więcej.

– Płaczesz – rzekł Alisdair.

– To pewnie przez ten likier – odparła Effie. – Nie jestem do niego przyzwyczajona.

Siedzieli razem, wpatrując się w dogasający ogień, a potem Effie powiedziała:

– Teraz czas już, abyś poszedł spać, Alisdair. Jeśli twój ojciec wróci i stwierdzi, że jeszcze nie śpisz, natrze mi uszu.

– Nie przypuszczam, by ojciec wrócił dziś wieczorem. Nieczęsto wraca.

– Je tylko kolację z państwem Morrison. Dlaczego miałby nie wrócić?

– Znalazł przyjaciółkę.

– Chyba nie tę okropną pannę Duff?

– Och, nie. Ta nazywa się Marion Hetherington. Jest aktorką, albo nią była. Mieszka przy Eyre Place. Jest całkiem ładna, jeśli lubi się ten typ dziewczyny. Ma dużo czerwonej szminki na ustach, stopy strusich piór na kapeluszu i kręci biodrami, gdy chodzi. Zawsze nazywa ojca Gąsiorkiem.

Effie ujęła dłoń Alisdaira i przyciągnęła go ku sobie. Pocałowała go w czoło wciąż jeszcze rozgrzane od kominka, a potem w policzki.

– Jesteś ślicznym chłopcem, Alisdair. Kocham cię bardzo. Teraz idź już spać. Jeśli wyjechałeś ze szkoły, moglibyśmy jutro wybrać się do Stirling i spotkać się z kilkoma moimi przyjaciółmi.

Alisdair pocałował ją, życzył dobrej nocy i poszedł na górę. Effie siedziała przy wygasłym kominku aż do wpół do pierwszej w nocy, a potem kazała Rosie zgasić światła.

## 11

Nad ranem przyśnił się jej Karl. Śniła, że ją całuje, że się z nim kocha, że jedzie z nim konno przez jakieś wietrzne bagno, którego nie mogą przeciąć. Podszedł do niej i wiedziała, że czuje sznaps w jego oddechu oraz malinową

brandy i pomarańcze, które zjadł po kolacji. Boże, naprawdę go czuła. A jednak przez cały czas była przeraźliwie świadoma, że coś jest nie w porządku.

– Karl... – powiedziała, a jej głos brzmiał tak niewyraźnie, jakby starała się mówić przez grube warstwy muślinu.

Wpatrywał się w nią, poruszał ustami, ale go nie słyszała.

Potem w rogu pokoju, w którym stali, zobaczyła białą umywalkę. Uświadomiła sobie z bolesną trwogą, że to była nemezis Karla, że jeśli kiedykolwiek się zbliży, będzie stracony, a ona już nigdy nie zobaczy go ponownie. Krzyknęła i zrobiła wszystko, co mogła, by przeskoczyć pokój w jakichś spowolnionych susach, ale wtedy Karl pospieszył ku drzwiom, wyslizgnął się za nie i zniknął.

– Nie! Nie opuszczaj mnie! Nie! Nie! – krzyczała przerażona i nagle stwierdziła, że nie śpi, złana potem i szarpiąca prześcieradło.

Usiadła na łóżku, łkając i nie mogąc złapać tchu. Czuła Karla tak blisko, że nie mogła uwierzyć, iż już go nie ma. Nie tylko odszedł, ale umarł. Zaczęła płakać tak głęboko i spazmatycznie, że ów szloch rozdzierał jej serce.

– Effie? Ciociu Effie? – rozległ się łagodny głos.

Podniosła wzrok przez potok łez. Przy drzwiach, w białej nocnej koszuli stał ktoś cichy, uważny i nieśmiały. To był Alisdair.

Nie mogła mówić, ale wyciągnęła rękę, a on podszedł, usiadł na brzegu łóżka i objął ją mocno. Pachniał mydłem i mężczyzną; już nie chłopcem, lecz mężczyzną. Położyła głowę na jego udzie, a on głaskał jej włosy na karku i uspokajał ją szeptami i łagodnymi kołysankami.

– Śniłaś o nim? – zapytał.

Uniosła głowę i skinęła.

– Tak – powiedziała z bólem.

– Może ci coś przyniosę? Czekoladę? Albo drinka? – starał się być bardzo taktowny i dojrzały.

– Chyba nie. Myślę zresztą, że wypiałam dzisiaj za dużo.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem Alisdair zadał kolejne pytanie.

– Jesteś bardzo nieszczęśliwa, prawda?

Zamierzała temu zaprzeczyć, ale potem pomyślała: Komu mogę powiedzieć, jak bardzo cierpię, jeśli nie Alisdairowi?

– Tak – przyznała.

Pogłaskał ją po plecach i ramionach.

– Zdaje się, że obrałam niewłaściwy kurs i chyba rozminęłam się z rzeczywistością – mówiła dalej. – Czasami, gdy jestem w jakimś pomieszczeniu pełnym ludzi, czuję się, jakbym widziała ich przez grubą szybę. Oni zawsze wydają się wiedzieć o sprawach, o których ja nie mam pojęcia i sprawiają wrażenie włączonych w jakąś konspirację życia, do której ja nie jestem dopuszczona. Myślę, że jestem atrakcyjna. Ludzie, mężczyźni z



przyjemnością się ze mną spotykają, a jednak najwyraźniej nic z tego nie wychodzi. Inne kobiety znajdują kochanków, mężów i spełnienie, a ja nigdy – sięgnęła po dłoń Alisdaira i przy cisnęła ją sobie do policzka. – Nie próbuję uzalać się nad sobą – wyszeptwała w ciemność, w której siedział. – Pragnęłam zbyt wiele. Kiedy byłam młodsza, nie marzyłam o niczym innym, jak tylko o tym, żeby obracać się wśród królów, książąt i milionerów. Nagle mam trzydzieści dwa lata i to się spełniło, spotykam ich. Ale wiesz co? Przysmykam oczy i myślę sobie: *to są oni? Czy t o naprawdę są oni?* Ci pustogłowi, irytujący mali mężczyźni, te napuszone, zarozumiałe kobiety ze swoimi diamentami i rozkołysanymi biustami? Bo jeśli o n i są tymi królami i książętami, jeśli oni są tym szczytem, do jakiego można dojść, to co ja mogę teraz zrobić?

– Oni nie są szczytem, wiesz o tym – powiedział Alisdair.

Wypuściła dłoń Alisdaira, ale uniosła obie ręce i splotła je na jego karku.

– Oczywiście, masz rację – odparła i pocałowała go, tym razem w usta, a on poczuł się ciepły, kojący i męski. – Masz rację. Jesteś jak twój ojciec, mówiąc ściśle, jak twój prawdziwy ojciec.

Przez dłuższą chwilę siedzieli razem bez słowa. Zegar na dole wybił piątą, ale na zewnątrz wciąż jeszcze było ciemno.

– Jesteś pewna, że nie chcesz nic do picia? – zapytał Alisdair.

Effie przecząco pokręciła głową.

– Będzie lepiej, jeśli wrócę teraz do łóżka – powiedział Alisdair. – Zobaczmy się rano.

– Nie – odparła Effie. – Nie odchodź. Zostań i porozmawiaj ze mną. Nie chcę być sama.

Zawahał się. Dotknęła jego ręki, a wtedy jakieś krótkie, mroczne przesłanie, równie zagadkowe jak impulsy, które szybko przepływają z jednego nerwu do drugiego, przebiegło przez jej palce i zaalarmowało go. Bez ruchu zatrzymał się na brzegu jej łóżka. Tę noc wypełniła jakaś niereczywistość, która mogłaby już nigdy nie zdarzyć się ponownie, jakieś zawieszenie prawdziwych reguł egzystencji. Nie wiedział, gdzie skończyła się jego świadomość i zaczęła się ta noc.

– Pozwól, że opowiem ci pewną historię – wyszeptwała Effie – a może nie... – Zamknęła oczy i położyła się na poduszce. Wiedziała, co robi i wiedziała o wszystkich niebezpieczeństwach tego, co robi, o wszystkich lękach i dziwactwach; wiedziała, że to był Alisdair, a nie Karl. Jednak udawała przed sobą albo udawała, że udaje, iż jest pijana lub zapada w sen. Udawała, że jest w najwyższej wieży jakiejś przedziwnej bizantyjskiej fortecy ukrytej przed nocą i księżycem, ukryta przed szeptami dworzan i niechęcią wezyrów.

– Połóż się koło mnie – powiedziała z wciąż zamkniętymi oczami i przyciągnąwszy go ku sobie, pocałowała jego długie chłopięce rzęsy, nos i usta.

Nic nie mówił. Nie mógł powiedzieć niczego, co mogłoby sprawić, że ów czar pryśnie. Gdyby się odezwał, musiałby nazwać ją ciocią, a kiedy pierwszy raz całuje się kobietę w ciemności zimowej nocy, nie można jej tak nazwać. Zamknął więc oczy i udawał, że są innymi ludźmi w innym miejscu.

Effie rozpięła przód swojej koronkowej nocnej koszuli, znalazła rękę Alisdaira i skierowała ją ku swoim nagim piersiom. On zaś dotknął jej ostrożnie, delikatnie i czule muskając sutek w zahipnotyzowanym zdumieniu. Podobnie jak wszyscy chłopcy jego pokolenia o kobietach nie wiedział prawie nic, z wyjątkiem jakichś fantastycznych i zazwyczaj groteskowo niedokładnych historyjek, które szeptali w ciemności. Krążyło też między nimi kilka egzemplarzy miesięcznika „Photo Charm”, a Duncan McCormick miał zdjęcie Ewy Tanguay, amerykańskiej aktorki wodewilowej ubranej jedynie w haremowy strój z koralików i piór. Poznał oczywiście dziewczęta w miasteczku albo na góralskich tańcach, ale większość z nich wydawała się po prostu zwyczajna, albo miała aparaty korekcyjne na zębach. Czarnookie hurysy z „Photo Charm” pozostały dalekie i nieosiągalne, jeśli nie liczyć owych ulotnych chwil masturbacji, jakiej oddawali się przed zaśnięciem, kiedy, mówiąc słowami pewnego szczególnie zgryźliwego nauczyciela łaciny, „połączony wydatek kaloryczny między zgaszeniem światła i upływem pięciu minut byłby wystarczający do ogrzania sportowego basenu”.

Alisdair całował Effie raz za razem; jej usta, szyję, potem piersi. Pomyślała, że wystarczy już niewinności tych pocałunków. Mojej potrzeby ukojenia też wystarczy. Nie obchodzi mnie, czy to dobre czy złe. Sięgnęła pod jego nocną koszulę i stwierdziła, że jest już twardy i śliski z oczekiwaniami. Jego oddech był płytki i szybki, a dla Effie było oczywiste, że Alisdaira przytłaczało to się działo, jednak tego pragnął. Uspokajała go, szeptała mu do ucha jakieś niemądre słowa i kierowała w dół, a potem lekko po skosie, aż główka penisa znalazła się w kasku warg jej płci.

– Pchnij... wejdź we mnie – wyszeptała.

Było to urywane; w wybuchach niepewności, energii, strachu i intensywnego podniecenia. Leżała na plecach, wiedząc, że dopuściła się grzechu, chociaż jakoś owa grzeszność czyniła to słodszy. Wyobrażała sobie i przypominała najdziwniejsze chwile. Johna McDonalda, którego opalone ramiona przypominały długie, brązowe wieczorowe rękawiczki. Karła nagiego, stojącego obok kominka plecami do niej i powoli, powoli obracającego się w jej stronę, aby uśmiechnąć się przez ramię. Piknik kulo St Abb's Head na wschodnim wybrzeżu, gdy miała czternaście lat i jak nagle się zmoczyła, gdy na plaży szukała muszelek. Matkę, kochaną matkę sięgającą po dłoń Jamiego McFarlane'a na parapecie murów obronnych edynburskiego zamku.

Alisdair dyszał, drżał, a potem zastygł, niepewny co robić dalej, gdy jego penis skurczył się w niej. Wyszedł z niej i ukląkł wyprostowany na łóżku,

wpatrując się w nią poprzez ciemność, chociaż nie mogła zobaczyć jego twarzy. Nie powiedziała ani słowa. Chciała, żeby on odezwał się pierwszy. Jednak on milczał całkiem oniemiały, a nawet przerażony. „Charakter mężczyzny zmienia się tak r a d y k a l n i e po seksie, że nagle znajdujesz się w łóżku z innym człowiekiem. W jednej chwili nie pragnie niczego innego na świecie oprócz ciebie, a w drugiej chce kanapki z kurczakiem” – właśnie to pewnego dnia powiedziała jej Vera Cockburn, próbując zdecydować, czy okręcić wokół szyi sześć sznurów pereł czy osiem. – „Mężczyźni są jak samochody – skrzeczała. – Nie przestawaj od czasu do czasu kręcić ich dźwigienkami biegów, a będą jeździć całkiem radośnie, zabierając cię, dokąd tylko zechcesz”.

– Chyba powinienem już iść – rzekł schrypniętym głosem Alisdair.

– Tak – powiedziała Effie, wyciągając ku niemu rękę.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Za co? Byłeś wspaniałym ukojeniem i wielką rozkoszą. Nie musisz się niczego wstydzić.

Nie wiedział, jak na to odpowiedzieć.

– Jeśli mamy jechać do Striding... – rzekł po prostu.

– Tak – odparła. – Chyba masz rację. Lepiej się trochę wyśpij.

Poczuł się zakłopotany i niezręczny. To, co zdarzyło się między nimi, tak nagle i tak szybko, zaburzyło ich długoletnią przyjaźń. Wciąż się kochali, ale nie wiedzieli jak. Byli ciocią i bratankiem? Przyjaciółmi? Kochankami? Nawet jeśli teraz będą się izolować od siebie, co się stanie, kiedy znów poczują ochotę na seks?

– Zatem: dobranoc – powiedział Alisdair.

– Powinieneś mnie pocałować, gdy to mówisz – odparła Effie.

Pocałowali się, usta w usta, i objęli na moment takiej czułości i bliskości, że oczy Effie znów wypełniły się łzami.

– Śpij dobrze, kochanie – powiedziała Effie.

Wstał, zawahał się, a potem bez słowa wyszedł z jej sypialni.

Effie wsunęła dłoń między nogi, tak jak zwykle robiła to z Karlem. Ciepło i lekkość. Dowód spełnionej miłości. Ciecz będąca pozostałością radości. Nigdy nie była zawstydzona swoim ciałem i nigdy nie będzie, mimo że jej umysł wirował teraz niepewnością wobec tego, co właśnie zrobiła. Czy uwiodła Alisdaira, aby się zabawić, czy szukała prawdziwego ukojenia? Czy kochała go jako mężczyznę czy jako urojony obraz Karla?

Leżała twarzą do poduszki i myślała o tym, co się stało, aż wreszcie zasnęła z czystego zmęczenia. Światło bladego zimowego słońca padało na jej splątane włosy, pogniecioną koszulę na plecach i uniesioną krągłość nóg pośladków. Tego ranka wyglądała bardzo ładnie, gdyby był tam ktoś, by ją zobaczyć; ładniej niż przez ostatnie miesiące.

Rosie obudziła ją o ósmej filiżanką herbaty i talerzykiem biszkoptów.

Usiadła w łóżku i oparta na poduszkach obserwowała ptaki trzepoczące się na okiennym parapecie. Znowu pomyślała o Alisdairze i poczuła zadowolenie. To, co z nim zrobiła, nie było niczym więcej niż zwyczajną ludzką czułością i jakkolwiek by o tym myślała, nie będzie się czuła zawstydzona.

Nigdy więcej miało to się nie zdarzyć, ale pomogło jej uporać się ze śmiercią Karla i uświadomić sobie, że znów jest częścią realnego świata. Sprawilo też coś jeszcze, o czym miała się dowiedzieć znacznie później, a co miało na zawsze zmienić całe jej życie.

## 12

O dziesiątej rano, gdy jedli śniadanie w pokoju dziennym, Effie otrzymała kurierski list z Londynu zaadresowany całkiem nieznanym pismem. Otworzyła go złotym nożykiem Roberta, podczas gdy Alisdair jadł gotowane jajko i obserwował ją oczami wciąż jeszcze podkrążonymi z bezsenności. Był dla niej tego ranka uroczy: czuły, ale nadal pełen szacunku, i ucałował jej rękę, kiedy prowadził ją do jadalni.

– Coś ważnego? – zapytał, gdy Effie szybko przebiegła wzrokiem wiadomość napisaną na maszynie.

Effie skinęła głową.

– Tak. Chyba muszę przełożyć naszą wyprawę do Stirling.

Alisdair otarł usta serwetką i zmarszczył brwi.

List pochodził od pana Nibletsa. Nie było pod nim podpisu, a dla uniknięcia identyfikacji autora napisany został prawdopodobnie na biurowej maszynie.

*Droga Panno Watson,*

*Powinna Pani wiedzieć, że dzisiaj w Southampton dokonuje się załadunku niemal pięciu tysięcy ton złota w sztabkach z przeznaczeniem dla Brazylii. Zaangażowanym w to statkiem jest urugwajski liniowiec pasażerski „San José de Mayo”. W drodze do Brazylii będzie on zatrzymany przez niemiecki krążownik wojenny, który skonfiskuje jego ładunek. Złoto zostanie przesłane bezpośrednio do Niemiec jako ukryta pożyczka z Watson's Bank do Berlina. Musi Pani zniszczyć ten list zaraz po przeczytaniu, ponieważ teraz stąkam po bardzo niebezpiecznym gruncie.*

*Oddany Wielbiciel.*

Effie odłożyła serwetkę i wstała od stołu.

– Przepraszam cię, Alisdair – powiedziała.

Niezwłocznie poszła do siebie na górę, omiatając schody długą

jasnozieloną spódnicą, zamknęła drzwi i podniosła słuchawkę telefonu.

– Tak? – powiedziała telefonistka.

– Proszę mnie połączyć z Admiralicją w Londynie. Chcę rozmawiać z komandorem Horace'em Dawesem.

Horace Dewes był jedynym człowiekiem w marynarce wojennej, którego znała; poznała go w Kew, na nudnym przyjęciu wydanym przez państwa Wyng-Smytonów, gdzie podano pieczoną kaczkę z wiśniami i wszystkim kazano godzinami słuchać jakiegoś tria węgierskich śpiewaków, którzy pod koniec wieczoru okazali się (co dla nikogo nie było zaskoczeniem) trzema pośrednikami w handlu nieruchomości z West Ewell.

Uzyskanie połączenia z biurem komandora Dawesa zajęło Effie dwadzieścia minut, a kiedy je otrzymała, dowiedziała się od adiutanta, że tego dnia jest nieobecny.

– Sygnały – powiedziała tajemniczo. – Muszę z kimś porozmawiać. Istnieje potajemna umowa, aby na środku Atlantyku przekazać brytyjskie złoto niemieckiemu krążownikowi.

– Rozumiem. Powiedziała pani: złoto? Na nabrzeżu?

W końcu udało jej się sprawić, by ta informacja została przekazana do dyżurnego oficera, który zapewnił, iż sprawa będzie podjęta. Nie mając pewności, że tak się stanie, Effie zatelefonowała również do sir Godfreya Lelew, konserwatywnego posła z okręgu Thornton, któremu zawsze się podobała. Wydawał się na równi pijany, jak zaskoczony.

– Proszę się nie denerwować, panienko. Proszę się nie martwić – powtórzył siedem czy osiem razy.

Odłożyła słuchawkę, czując, iż trudno byłoby zrobić coś lepszego.

Siedząc samotnie w pokoju, zrozumiała też, że nadszedł czas, aby opuściła Brytanię. Nigdy nie będzie w stanie pokonać Roberta w jego własnej grze, nawet gdyby naprawdę tego chciała. Poza tym nie było tu dla niej nic interesującego towarzysko, jeśli nie chciała spędzić reszty życia, pusto się śmiejąc na przyjęciach w Chelsea lub występując w śmiesznych tartanowych strojach na szkockich igrzyskach. Był również inny istotny powód: śmierć Karła kazała jej zrozumieć, że pragnie miłości równie mocno, jak pragnęła kariery, a najlepsi i spełniający wszystkie niezbędne warunki kawalerowie byli na wojnie. Jako bankier potrafiła zrozumieć ze straszliwą jasnością, jak dużo pieniędzy ten konflikt kosztował aliantów. Jako kobieta wiedziała, jak drastycznie przeciął drogi całego pokolenia młodych mężczyzn. Teraz nad nimi płakała. Gdyby wiedziała, że do roku 1918 zginie ponad osiem i pół miliona młodych mężczyzn, wśród których będzie przeszło dziewięćset tysięcy Brytyjczyków, prawdopodobnie przestałaby płakać. Są tragedie zbyt wielkie dla łez.

Zeszła na dół. Alisdair skończył śniadanie i siedział w salonie obok świeżo rozpalonego kominka, pijąc kawę i czytając „Puncha”.

– Będziesz musiał wrócić do szkoły – powiedziała Effie, stając w drzwiach.

Alisdair odłożył czasopismo i spojrzął na nią.

– Semestr prawie dobiega końca. Naprawdę muszę? Chcę być z tobą.

Effie odpowiedziała mu najdelikatniej jak umiała.

– Alisdair, to co się wydarzyło ostatniej nocy... cóż... nie wolno ci kiedykolwiek myśleć, że tego żałuję, ponieważ nie żałuję. Kiedy dwoje ludzi zetknie się za sprawą losu lub pożądania, nie może z tego wyniknąć nic oprócz dobra... bez względu na to, co zrobili. Myślę jednak, że wiesz równie dobrze jak ja, że to nie może toczyć się dalej. Nie mogę być twoją kochanką, tak jak ty nie możesz być moim. Musisz wrócić do szkoły i skończyć edukację. Wielu młodych mężczyzn ginie we Flandrii, abys ty mógł zrobić właśnie to. Nie wolno ci ich lekceważyć.

Alisdair spojrzął na egzemplarz „Puncha”. Na stronie, którą czytał, widniał rysunek przedstawiający dwóch oszołomionych żołnierzy, Niemca i Brytyjczyka, zataczających się z powodu wybuchu armatniego pocisku. – *Kamerad!* – woła Niemiec, podnosząc ręce w geście poddania się. – To zabawne – odpowiada Brytyjczyk – właśnie się zastanawiałem nad tym samym słowem.

Robert wrócił do domu kilka minut po jedenastej. Był ubrany w dwurzędowy szary garnitur i dwubarwne, czarno-białe buty. Podał swój kapelusz Rosie, ciskając do niego rękawiczki.

– Effie – wykrzyknął, wchodząc do salonu. – Cóż za niespodzianka! Myślałem, że zamierzasz zostać w Londynie, żeby zrobić świąteczne zakupy.

– Lubię przyjeżdżać do domu.

– Cóż, to dobrze. Wiesz, że zawsze jest tu miejsce zarezerwowane dla ciebie.

– Jedna trzecia tego domu należy do mnie, Robercie, więc to oczywiste.

Robert podszedł do barku i nalał sobie dużą porcję whisky.

– Nie musisz być taka drażliwa na tym punkcie – powiedział z przesadnie przyjaznym uśmiechem.

– Alisdair mówi, że spotykasz się z jakąś młodą damą.

– No cóż, to prawda. W istocie myślę, by poprosić ją o rękę. Nazywa się Marion Hetherington, z rodu Dundee-Hetheringtonów. Bogaci ludzie, więc związek dobry dla banku.

– To dobrze. Byłoby mi przykro pomyśleć, że żenisz się dla czegokolwiek innego oprócz zysku.

Robert spojrzął na nią uważnie.

– Nie sądzę, żebym się przejął tonem tej uwagi.

– Możesz się przejmować lub nie przejmować, jak sobie życzysz – odpaliła Effie.

Robert przełknął whisky i przemierzył pokój tam i z powrotem.

– O co ci chodzi, Effie? Nie aprobujesz niczego, co robię. Stopniowo rozwijam ten bank w międzynarodowy koncern, który przynosi dwudziestokrotnie większy zysk, niż ojcu kiedykolwiek się śniło. Korzystasz z tych zysków tak samo jak ja i nawet Dougal dostaje swój udział, chociaż tylko Bóg wie, dlaczego tak ma być.

– Wiem o statku „San José de Mayo” – powiedziała Effie.

Robert miał właśnie wypić łyk whisky, ale opuścił szklankę i spojrzął na nią badawczo. Wyglądał jak człowiek, który okropnie potrzebuje okularów, lecz w jego krótkowzroczności było coś, co sugerowało zdolność do odgadywania myśli i twarzy.

– O „San José de Mayo”? – zapytał głosem tak cichym, że niemal niesłyszalnym.

– Powiadomiłam Admiralicję. Brytyjska Marynarka Wojenna prawdopodobnie przejmie go przed Niemcami.

– Rozumiem – rzeki Robert. Nawet jeśli nie podziwiała w nim niczego innego, musiała podziwiać jego opanowanie. – Zdajesz sobie sprawę, że można by zmienić cały przebieg wojny w Europie? Na pokładzie „San José de Mayo” są sztaby złota o wartości 9 780 000 funtów.

– Chcesz, żeby Niemcy wygrali?

Robert zaprzeczył ruchem głowy.

– Ja po prostu chcę widzieć spokojnie zrównoważoną Europę, w której Watson's Bank może się spodziewać osiągnięcia rozsądnych zysków. Tę wojnę spowodowało zrozumiałe pragnienie Niemców skonsolidowania ich imperium. Niemcy nie różnią się tak bardzo od Anglików. Przynajmniej nie są czarnuchami. A jeśli potrafią osiągnąć poprzez wojnę pewną stabilizację ekonomiczną, to znaczy, że Brytania i Niemcy mogą stanąć ramię w ramię jako polityczni i finansowi panowie Europy. Nasze rodziny królewskie są blisko spokrewnione, nasze systemy finansowe są ze sobą splecione, jakiz więc lepszy układ mógłby się pojawić?

– Robercie – powiedziała Effie – tysiące Anglików giną, próbując nie dopuścić, by tak się stało. Jak możesz choćby mówić o wspieraniu Niemiec. To nasi wrogowie!

Robert wydał policzki.

– Effie, to nonsens! Nie są naszymi wrogami i nigdy nie byli. Regularnie otrzymuję listy od Hermanna Kraussa z Deutsche Bank i od Uwe Feldmana z Diskonto Bank. Cokolwiek o wojnie mówią politycy i czymkolwiek powierzchownie wydaje się być wojna, bez względu na setki jardów terytorium zdobytego w jednym wielkim ataku i setki jardów terytorium straconego w kolejnej wielkiej defensywie, faktem pozostaje to, iż oboje jesteśmy po jednej stronie. Polityczne relacje między krajami istnieją na różnorodnych płaszczyznach; na płaszczyznach terytoriów, wpływów

międzynarodowych oraz na płaszczyznach rasy i kultury, a także na płaszczyźnie religii i w sferze finansów. Jak dotychczas najważniejszą z tych płaszczyzn jest płaszczyzna finansowa. Ludzkość istnieje zasadniczo dla zysku, a wszystko inne jest drugorzędne; sztuka, religia czy co jeszcze chcesz. Zatem Brytania i Niemcy mogą toczyć wojnę na jednym lub nawet na dwóch poziomach, terytorialnym czy rasowym, ale nie musi to oznaczać, że walczą ze sobą o kwestie religii czy pieniędzy. Hermann Kraus i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Czy jakaś bitwa może to zmienić? Czy powinna?

Effie milczała niemal minutę, a potem odpowiedziała Robertowi.

– Ty i ja powinniśmy się urodzić na innych planetach.

– Chyba tak – przyznał Robert. – Nabierasz mnie w sprawie tego „San José de Mayo”?

Effie przecząco pokręciła głową.

– Zadzwoiłam do komandora Horace'a Dawesa i do sir Godfrey'a Lewelw.

– Niech cię diabli! – burknął Robert, pokazując w końcu swoją złość. – To może nas zrujnować, strata tego złota.

– Wolę być zrujnowana niż napiętnowana jako zdrajczynie swojej ojczyzny.

– Och, na miłość boską – warknął Robert. – Naprawdę nie masz żadnego wyrobienia? Nie jesteśmy jedynym bankiem, który to robi. I kto do diabła powiedział ci o „San José de Mayo”? Nie był to chyba ten idiota Cockburn, prawda?

– Nie.

Irytacja Roberta gwałtownie osiągnęła punkt wrzenia. Z furią pocierał kark i chodził tam i z powrotem, aż wreszcie doszedł do małego stolika z drezdenskiemi bibelotami i małym wysadzonym klejnotami zegarem-karetą Carla Fabergé i zmiotł wszystko ramieniem tak, że talerzyki, figurki i kareta rozbiły się na parkiecie.

– Zanim kompletnie oszalejesz, Robercie – rzekła Effie spokojnie – i postanowisz mnie zamordować oraz rozbić wszystko co wartościowe w tym domu, powinieneś wiedzieć, że już poprosiłam Rosie, żeby spakowała moje kufry i że wysłałam McVitiego, aby zarezerwował mi bilet na statek „Milwaukee”, który w środę wieczorem wypływa z Liverpoolu do Nowego Jorku.

Robert patrzył na nią zdumiony.

– Płyniesz do Nowego Jorku? Myślałam, że wszystkie rejsy pasażerskie są zawieszono.

– „Milwaukee” jest amerykańskim statkiem towarowym i będzie płynąć pod eskortą.

– Możesz być storpedowana.



– Przez twoich przyjaciół z Frankfurtu i Drezna? Na jakiej płaszczyźnie? Finansowej, terytorialnej czy religijnej? A może są przeciwni mojej rasie?

– Effie! – ostrzegł Robert.

– Opuszczam Brytanię, Robercie – powiedziała Effie. – I opuszczam ciebie. Zabieram sto tysięcy funtów moich własnych pieniędzy w gotówce. Zadzwoniłam też dziś rano do pana Kerra w banku, prosząc, aby przetransferował trzy czwarte z miliona funtów moich osobistych aktywów na konto przejściowe, na którym nie będziesz mógł położyć swoich łap. Będziesz nadal potrzebował mojej aprobaty dla poważniejszych zmian w polityce banku, więc przyślę ci mój nowy adres, gdy tylko urządzę się w Nowym Jorku. Jeśli coś jeszcze jest ci potrzebne, będziesz musiał poczekać.

Robert nie powiedział ani słowa, ale podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

– Proszę mnie połączyć z biurem Żeglugi Urugwajskiej w Southampton – warknęła, a potem rzucił tym samym tonem:

– Nie znam! Niech pani sama znajdzie ten numer!

Obserwował Effie oczami tak obojętnymi jak dziecięce szklane kulki, gdy czekał na połączenie.

– Żegluga Urugwajska? – mówił potem do słuchawki. – Czy to señor Carrasco? Nie ma go? Proszę mu powiedzieć, że telefonował Robert Watson i przekazać, że statek nie może wypłynąć w żadnym wypadku. To wszystko. „San José de Mayo” nie wypływa. Nie obchodzi mnie to. Nie jestem zainteresowany. Płacę za tę podróż i takie są moje polecenia. Jeśli statek drgnie choćby o jedną dziesiątą cala od nabrzeża, obedrę pana ze skóry i wywieszę do wysuszenia. Zrozumiano? Dobrze.

Począł jeszcze dwie lub trzy minuty, po czym zwrócił się do Effie.

– Dlaczego nie zabierasz się do Nowego Jorku? W Edynburgu dokonałaś wystarczającej szkody jak jedną osobę.

Effie odwróciła się w stronę do drzwi. Stał w nich Alisdair z pobladłą i pytającą twarzą. Spojrzała przez ramię na Roberta.

– Tak. Wyjeżdżam.

## 13

Na przystani spotkał ją Dougal, któremu towarzyszyła bardzo ładna młoda Amerykanka z kręconymi ciemnymi włosami, w puszystym futrze z błękitnych lisów i szalenie nowoczesnym, ozdobionym piórem kapeluszu w kształcie hełmu. Dougal wydawał się znacznie potężniejszy i starszy; dobiegał czterdziestki, a jego kręcone blond włosy przeredziły się i posiwiały. Mięśnie nabrały tłuszczu, a pod oczami widniały nie dające się ukryć

ciemne kręgi. Miał na sobie doskonale skrojony płaszcz z alpaki, a pachniał brandy i wodą toaletową La Chasse po dwadzieścia pięć dolarów za uncję. Nie było wątpliwości, iż jest zamożny.

– Chodźmy tędy – powiedział z wyraźnym amerykańskim akcentem, biorąc ją za rękę. – Na zewnątrz czeka limuzyna.

– Zdaje mi się, że śnię – powiedziała Effie.

– Ty i ja, oboje... – odparł Dougal. – Nic nie mówmy. Po prostu wsiądźmy do samochodu i pojedźmy do mnie, zjedźmy obiad, a potem zobaczymy, dokąd się stamtąd udamy. Przy okazji; to jest May, moja asystentka, stenotypistka i ochrona.

– Miło mi panią poznać – powiedziała Effie zdziwiona takim demokratyzmem Dougala.

– Wzajemnie – rzekła May, unosząc cienko wyskubane brwi. – Jest pani jeszcze ładniejsza niż Dougal, a to coś mów.

Po wyjściu z portu na zatłoczonej ulicy oczekiwał ich nie tylko rześki nowojorski wiatr, ale także nieskazitelnie biały automobil Peerless prowadzony przez czarnoskórego szofera w białym uniformie ze złotymi guzikami i w białej czapce. Szofer otworzył przed nimi drzwi i dotknął daszka czapki, gdy Effie wsiadała do samochodu.

– Witamy w Stanach Zjednoczonych Ameryki, panno Watson – powiedział.

– To jest Nat – przedstawił go Dougal. – Jedyne szofer, który potrafi bezpiecznie prowadzić auto i jednocześnie grać w szachy z pamięci.

– Zwykłeś grywać w szachy w domu – uśmiechnęła się Effie, sadowiając się na swoim miejscu.

– I wciąż to robię – odparł Dougal. – Nat, pion e3 bije f4.

– Tak, sir – odparł Nat, uruchamiając silnik, wystawiając ramię i włączając się do śródmiejskiego ruchu, a potem rzekł: – Panie Watson, skoczek z f5 na g7.

– Wieża królewska na c3 i szach mat! – ripostował Dougal.

Nat się roześmiał.

– Znowu mnie pan pokonał, panie Watson.

Przejazd przez Bowling Greek gestem dłoni wskazał im policjant, który najwyraźniej rozpoznał samochód, gdyż zasalutował Dougalowi, kiedy go mijali.

– Widzę, że jesteś znany – zauważyła Effie.

Dougal się uśmiechnął.

– Powinienem. Drukują moje zdjęcia w rubrykach ekonomicznych trzy razy dziennie. Na Wall Street nazywają mnie Potentatem w Szkocką Kratę. Spójrz tam; to Broad Street. Tam są nasze biura.

– Mówisz jak Amerykanin – powiedziała Effie, trzymając go za rękę.

– Wszyscy Amerykanie uważają, że mówię jak Szkot. Wciąż mnie py-

tają, jak mi się udaje przeżyć bez haggisów. Odkąd tutaj jestem, podarowano mi już chyba dwadzieścia pięć egzemplarzy dzieł zebranych Roberta Burnsa. Każą mi recytować jego najważniejszy poemat na każdym przyjęciu. Teraz będą wielbić ciebie.

– Ten twój akcent – uśmiechnęła się May. – Mogłabym siedzieć i słuchać go przez cały dzień.

Effie zdumiewała się ruchliwością ulic. Chodniki były zatłoczone zabieganymi ludźmi, a na jezdniach roilo się od automobili wszystkich kształtów i kolorów, ciężarówek, trolejbusów i motocykli. Przedpołudnie było wyjątkowo rześkie i czyste; oto jeden z tych nowojorskich dni, gdy wszystko się błyszczy, a wiatr jest równie ostry jak ostrze brzytwy.

– Oto Woolworth Building – rzekł Dougal, gdy przejeżdżali przez Barclay Street. – Będziesz musiała wygiąć szyję, żeby go zobaczyć. To najwyższy budynek na świecie! Dwieście dziewiętnaście metrów wysokości! Nazywają go Katedrą Handlu.

Effie ze zdumieniem wpatrywała się w ogromny klif fasady Woolworth Building. Nad frontonem widniały kamienne gotyckie półki i szanice, a nad nimi wzbijała się wieża, która sięgała nieba tak wysoko, że patrzenie na nią przyprawiło Effie o zawrót głowy.

– Jutro zabiorę cię na szczyt, jeśli będzie ładny dzień – obiecał Dougal. – Pięćdziesiąt osiem piętér! Można zobaczyć Long Island, wschodnią część New Jersey, a nawet Adirondack. Jakby się leciało aeroplanem!

Limuzyna wioząca ich do Fifth Avenue mijala szeregi starych budynków federalnych, place rozbiórki, stacje benzynowe, eleganckie nowe biurowce, a także płataninę wyburzeń i konstrukcji, gdzie śródmieście było poprzecinane krętymi, zabudowanymi brunatnymi kamienicami ulicami dzielnicy West Village do Seventh Avenue South. Wysokie i eleganckie nowe biurowce stały ramię w ramię z rzędami upadających i zaniedbanych czynszówek. Podupadłe, ale wciąż porządne dziewiętnastowieczne domy obwieszane były ogromnymi plakatami zachęcającymi nowojorczyków do jedzenia trzy razy dziennie pszennego chleba z firmy Washburn-Crosby; albo ciasteczek Warda „nieudolnie naśladowanych przez inne, nigdy tak doskonałe” lub lodów Weeda. Wszędzie panował hałas; zamiast statecznego strumienia samochodów jeżdżących w obie strony edynburskiej Princes Street, do którego Effie była przyzwyczajona, czy nawet kulturalnie podenerwowanego przepychania się taksówek, rolls-royce'ów i autobusów wzdłuż londyńskich Pall Mail i Picadilly, tutaj rozlegało się nieustanne walenie młotów, tyrada klaksonów i straszne, niosące się echem, wyjące dźwięki, które jak wyjaśnił Dougal, były syrenami policyjnymi.

– Nowojorczycy nie wierzą, że żyją, jeśli nie robią hałasu – tłumaczył.

Nat dowiózł ich w końcu do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, a potem skręcił na południe w Fifth Avenue, obok siedziby Huntingtona, aż wreszcie

podjechali przed dom z wąskimi wykuszowymi oknami i czarnymi balustradami.

– To tutaj – rzekł Dougal. – *Chez Watson*. Nie przypomina rezydencji Vanderbilta, ale jest wystarczająco elegancki.

Nat otworzył drzwi samochodu, żeby mogli wysiąść.

– Pion królewski na pierwszą linię skoczka – powiedział bez mrugnięcia okiem.

– To „otwarcie Krausenitcha” – odparł Dougal.

– Tak, sir. Muszę się jakoś odegrać.

Dom Dougala może był mały, według standardów takich amerykańskich miliarderów jak Gouldowie, Vanderbiltowie czy Astorowie, których ogromne zamki stały po obu stronach górnej Fifth Avenue niczym siedziby królów i królowych w bajkach z dzieciństwa Effie, ale był bardzo wykwintny. Grube dywany tłumiły odgłos kroków, na ścianach wisiały olejne obrazy Johna Fredericka Kensetta i Jeana Baptysty Corota oraz trzy szkice Constable'a i wykonane przez Leonarda srebrnym sztyftem studium do rzeźby anioła. Salon umeblowany był w wiktoriańskim stylu: ze złożonymi lustrami, grającymi zegarami i bocznymi stolikami; obrusami i bieżnikami, szydełkowymi serwetkami i skamieniałymi kwiatami w lśniących szklanych kopułach.

Dougal od razu przedstawił Effie czarnoskórą dziewczynę o imieniu Kitty, którą zatrudnił, gdy tylko dowiedział się z telegramu, że siostra przybywa do Ameryki. Kitty była niską, obdarzoną dużym biustem, żywiołową, ładną i ujmującą dziewczyną, która wcześniej została wyszkolona w domu pani Hermann-Oelrichs, ale musiała opuścić tę posadę na sześć miesięcy, żeby opiekować się chorym ojcem.

– Pójdzie pani ze mną prosto na górę – powiedziała i bez żadnych formalności skierowała Effie do pokoi przeznaczonych dla niej przez Dougala: purpurowo-różowej sypialni z baldachimowym łóżem udrapowanym purpurowym brokatem, niewielkiego saloniku po brzegi wypełnionego książkami i oprawionymi zbiorami motyli oraz łazienki z jasnozieloną porcelanową wanną i prysznicem. – Pozwoli pani, że wezmę jej płaszcz, panno Watson – mówiła dalej Kitty. – Z pewnością jest pani niezłe zmęczona po tak długiej morskiej podróży. Ja dostaję mdłości, gdy tylko spojrzę na łódź! Ma pani ochotę na kąpiel? Panna May kupiła dla pani kilka sukien, więc będzie pani mogła się przebrać w coś świeżego, zanim rozpakuje pani swoje kufry.

Effie usiadła na brzegu łóżka

– Chętnie bym się wykąpała. Prawdę mówiąc, kręci mi się w głowie. To wszystkie jest tak inne.

– Proszę się nie martwić, szybko się pani przyzwyczai – uśmiechnęła się Kitty. – Moi rodzice sprowadzili mnie tutaj z Red Bank w New Jersey,

gdy miałam dziewięć lat i daję słowo, myślałam, że jestem na księżycu! Byłam Małym Nemo z krainy baśni.

– A ile lat masz teraz? – spytała Effie, gdy uklękła i zdjęła jej buty.

– Osiemnaście, panno Watson, co mój ojciec nazywa „wiekiem do wzięcia”. Osiemnaście lat, zwykł mawiać, to wiek, gdy dziewczyna powinna być zamężna, urządzona i gotowa na wydanie na świat pierworodnego dziecka.

Effie się uśmiechnęła.

– Masz jakiegoś młodzieńca?

– Miałam, ale poszedł do pracy na kolei jako konduktor i więcej go nie zobaczyłam. Miał na imię Eustachy. Miał też cudowne wąsy!

Effie wzięła kąpiel i przebrała się w kremową suknię z falbanami. May kupiła jej również kilka par jedwabnych pończoch i parę zabawnych pantofelków.

– Przynajmniej May ma dobry gust – powiedziała Effie, gdy Kitty szcztokowała jej włosy.

– To bystra dziewczyna i jest naprawdę zakochana w pani bracie.

– Jest w nim zakochana!

– Jasne! Nie widzi pani, jak go rozpieszcza? A wychodzą razem prawie każdego wieczoru.

– Cóż... – rzekła Effie, spoglądając na siebie w lustrze.

Dougal spędził większość przedpołudnia w swoim gabinecie, rozmawiając przez telefon i paląc cygaro za cygarem. Głównie zdawał się bardzo głośno krzyczeć do rozmówcy o imieniu Horace i uskarżać się na kogoś innego, kto nazywał się Sherman. Jednak w porze obiadu opuścił gabinet i wszedł do salonu, gdzie Effie piła kawę i czytała magazyn „Colliers”.

– Chodźmy coś zjeść. Muszę cię zapoznać ze wspaniałym amerykańskim homarem. Najlepszym lokalem prawdopodobnie będzie Cuttle's, chyba że chcesz od razu zobaczyć Delmonico's.

– Gdzie wolisz – uśmiechnęła się Effie. – Nie zapominaj, że ja tu niczego nie znam.

Weszli znowu w jaskrawe światło dnia, tym razem dla wygody biorąc taksówkę. Proponowany przez Dougala lokal Cuttle's mieścił się przy Pięćdziesiątej Szóstej Wschodniej między Park Avenue a Madison Avenue i był restauracją w okazałym edwardiańskim stylu z połaciami wykrochmalonych obrusów, hektarami ciemnej, mahoniowej boazerii i przyćmionymi, witrażowymi lampami Tiffany'ego. Giancarlo, *maître d'*, był tak wyniosły, że Effie widziała niemal tylko zadarty czubek jego nosa. Jednak ją i Dougala przeprowadzono obok kolejki przy wejściu do stolika w rogu pod dużym olejnym pejzażem przedstawiającym Darien w stanie Connecticut latem.

– Panie Watson – rzekł *maître d'*, odsuwając dla nich krzesła. – A to

zapewne jest panna Effie Watson.

– Giancarlo wie wszystko o każdym, kto jest kimś – powiedział Dougal, uśmiechając się do Effie. – Ty jesteś kimś, ponieważ o twoim wczorajszym przybyciu poinformowano na łamach „Globe”.

– Nie wiedziałam, że w Ameryce tak łatwo zostać sławnym.

– To pomaga, jeśli cuchnie się pieniędzmi.

– Mogę tylko żałować, że nie jestem bogata.

– Będziesz – zapewnił ją Dougal, a potem skinął na kelnera. – Podaj butelkę Dom Perignon '89, dobrze? A następną włóż do lodu na później.

– Tak, sir Watson.

Dougal wyciągnął rękę przez stół i ujął dłoń Effie.

– Effie – powiedział. – Jak dobrze cię widzieć! Z niecierpliwością oczekiwałem na to od wielu dni. Tak bardzo za tobą tęskniłem!

– Wybaczysz mi, że w taki sposób odesłałam cię z Anglii wraz Henrym Baeklanderem?

– Wybaczyłem ci w tej samej chwili, w której zarobiłem swoje pierwsze ćwierć miliona dolarów. Poza tym Henry był dobrym przyjacielem i bardzo taktownym pracodawcą. Nauczył mnie wszystkiego, czego potrzebowałem, aby poznać amerykańską bankowość.

– Gdzie teraz jest?

– Umarł – odparł Dougal. – Nie wiedziałas?

Effie przecząco pokręciła głową. Przy stoliku obok jakaś młoda dziewczyna w diamentach i perłach śmiała się piskliwym głosem.

– To doprawdy komiczne, Gilbercie!

– Po upadku Baeklander Trust Henry prawie nie pokazywał się na Wall Street. Nie chodzi o to, że nie miał mnóstwa własnych pieniędzy. Do stu lat mógł żyć z dostatniej emerytury. Może nie w stylu, do jakiego był przyzwyczajony, bez jachtów i dwudziestopokojowych rezydencji w Newport, ale znacznie lepiej niż przeciętny człowiek. Jemu jednak było tego mało. Próbował zbić szybką fortunę, inwestując w kopalnię srebra w Nevadzie, jedną ze starych kopalń Jamesa Flooda, ale okazało się, że poza kwarcem nie było w niej nic innego.

– I co się z nim stało? – zapytała Effie.

Dougal odchylił się nieco, gdyż zjawił się kelner z butelką szampana

– Znalezione go w pokoju hotelowym w Chicago, zastrzelonego. Nikt właściwie nie powiedział jak ani dlaczego. Nie zostawił żadnych listów. Tylko testament.

Effie obserwowała, jak kelner wprawnie wyjmuje korek z szampana i nalewa odrobinę Dougalowi, żeby spróbował.

– Przypuszczam, że wiesz, kto był odpowiedzialny za upadek Baeklandera?

Na twarzy Dougala pojawił się szybki grymas.

– Nietrudno było to ustalić. Ostrzegałem Henry'ego przed Robertem, ale nigdy nie słuchał. Henry uważał się za znawcę charakterów i był przekonany, że potrafi poradzić sobie z każdym, bez względu na to jak byłby szczywany. Ale sprawa z Baeklanderem i Deutsche Kreditbank była mistrzowskim zagranem Roberta. Nie do pokonania! Przyznaję Robertowi jedno: ma wspaniałe wyczucie czasu, kiedy chodzi o transakcje handlowe i cudowne wyczucie ludzkiej naiwności. Ilekroć aranżuje jedną ze swoich transakcji, przygotowuje ją tak starannie i tak jasno, że nikt nie wierzy, iż będzie wywiedziony w pole, nawet gdy to się dzieje. Jest tak dobry, że działa jak hipnotyzer. – Dougal wzruszył ramionami. – Henry został oszukany i stracił przeszło trzydzieści milionów dolarów, zapewniając przez cały czas, że jest wybornym znawcą charakterów. Karl von Ahlbeck dał się nabrać, mimo że był wystarczająco bystry, by znać się na tym lepiej. Przyznam, że ja też zostałem oszukany, choć nie tak okropnie, ponieważ już od kilku lat myślałem o odejściu z Baeklander Trust, miałem znakomite powiązania kredytowe i całkiem sporo własnych pieniędzy.

Główny kelner przyniósł karty dań.

– Ty zamów – powiedziała Effie. – Zjem wszystko, co nie będzie owsianką lub wędzonym śledziem.

Dougal patrzył na nią spokojnie.

– O wiele za długo nie mieliśmy ze sobą kontaktu – rzekł.

– To nie była moja wina – odparła Effie. – Ja pisałam, ale ty nie odpowiadałeś. No dobrze, prawie nigdy, a kiedy to robiłeś, pisałeś jedynie o pieniądzach, stawkach podatkowych i kwestiach związanych z kolejnictwem.

Dougal zamówił amerykańską zupę z owoców morza, sałatę i pieczonego homara.

– Tutaj jest inaczej, Effie – powiedział. – Tu się żyje jak na innej planecie. Jest o wiele więcej okazji i o wiele więcej pieniędzy. Tydzień po odejściu z banku Baeklandera pożyczyłem pięćdziesiąt osiem tysięcy dolarów z własnych pieniędzy pewnemu producentowi samochodów z Cleveland, który nazywał się Willi Humpler. Jego automobile nie były dobre; nie projektował karoserii zgodnie ze współczesnym gustem. Jechało się raczej w małym bungalowie niż w samochodzie. Jednak Humpler był doskonałym inżynierem, więc ja opatentowałem jego dyferencjał, przekładnie i system samosmarowania, aby wykorzystali je Ford, Marmon i Packard. Myślę, że Humpler w ciągu pierwszych trzech lat zarobił siedemnaście milionów, z czego ja miałem dziesięć procent.

– Chyba czytałam o czymś, co zrobiłeś z producentem opon, firmą Goodyear Tyres – powiedziała Effie.

– Tak – odparł Dougal. – Pomogłem pewnemu inżynierowi w Indianie rozwinąć sposób sprawdzania jednolitości w fabryce opon. Prawdopodobnie

zabrzmiałoby to dla ciebie nużąco, ale pomysł był doskonały. To zaś oznacza, że przedsiębiorstwo było jednym z pierwszych, które potrafiło produkować opony o całkowicie niezawodnej jakości. Jeśli kupisz jedną oponę Goodyear, zawsze będziesz mieć pewność, że następna, jaką kupisz, będzie równie trwała i da ci taką samą przyczepność i osiągi – patrzył na Effie dumny z siebie, ale także bardzo zadowolony, że ją widzi. – Wiem, że nie pisałem do ciebie zbyt często. Teraz tego żałuję. Może nauczyłbym się od ciebie kilku sztuczek, które by mi pomogły, ale jakiegokolwiek odczucia mieliśmy w przeszłości, trzymajmy się razem, ty i ja, zrobimy coś naprawdę dobrego i miejmy nadzieję, że Robert wpadnie głową w dół w jakąś długą czarną studnię.

Zapadła cisza. Kelner przyniósł dwie duże czarki parującej zupy z owoców morza i koszyk solonych krakersów.

– Nie życzyłamby Robertowi osobistej krzywdy – powiedziała Effie. – Nie mogłabym. Jest w nim jednak tyle rzeczy, których nie znoszę. Nawet teraz, gdy jestem tak daleko od niego, nie potrafię znieść myślenia o nim.

– Chyba nie... – zaczął Dougal.

– Nie – odparła Effie, dodając: – Nie, aż tak daleko się nie posunął. Chociaż po wszystkim, co zrobił, nic by mnie nie zdziwiło – odłożyła łyżkę i wsparła głowę na lewej ręce. – On zawsze tam jest. Nie da się go uniknąć. Jeśli zdarzy mi się w kimś zakochać, zawsze będę się zastanawiać czy jestem zakochana, ponieważ obmyślił to Robert, czy naprawdę zakochałam się z własnej woli. To jest podstawowy powód, dla którego opuściłam Szkocję i przybyłam tutaj. Nie mogłam znieść wrażenia, że każda chwila mojego życia jest dyskretnie aranżowana na korzyść Watson's Bank, a szczególnie na korzyść Roberta.

Dougal przełknął kilka łyżek zupy, a potem odpowiedział:

– Powinnaś wyjść za mąż.

– Cóż, może powinnam – przyznała Effie. – Może powinnam rzucić się na Duncana Drumma albo na Williama McCanna. Pamiętasz Williama McCanna?

Dougal jęknął z rozbawieniem.

– Oczywiście, że pamiętam. Nazywaliśmy go Cienki Willi. Ale było wielu innych. Jesteś ładna i bogata, a przecież nie ma żadnego prawa, które by nakazywało, że musisz wyjść za Szkota. A co z tymi młodzieńcami w Londynie? Niektórzy mieli szlacheckie tytuły, prawda? Dzisiaj byłabyś „lady Effie” i tańczyłabyś z królem.

Przez chwilę milczeli, a potem oboje próbowali powiedzieć coś jednocześnie.

– Mów dalej, ja po tobie – powiedział Dougal.

– Cóż, zastanawiałam się, dlaczego ty sam się nie ożeniłeś.

Dougal spojrział na nią dziwnie, a potem odpowiedział.



– Prawdę mówiąc, ożeniłem się.  
– Co? Jesteś żonaty? Dlaczego mi o tym nie napisałeś?  
– Och, dajże spokój, Effie, straciliśmy ze sobą kontakt, czyż nie? Robiłem, co chciałem i ty robiłaś, co chciałaś; to wszystko. Niedługo po przyjeździe poznałem pewną dziewczynę w Battery Park. Latem, w porze lunchu, chodziłem tam, by zjeść swoje kanapki. Henry początkowo nie dawał mi funduszu reprezentacyjnego i stwierdziłem, że łatwiej kupić kanapkę z soloną wołowiną albo hamburgera z cebulą za piętnaście centów, niż jechać do domu i próbować samemu coś ugotować. Jadając więc lunch w parku, pewnego dnia zacząłem rozmawiać z dziewczyną, która siedziała na ławce obok mnie. Zabrałem ją na tańce, a potem do teatru. Poznałem jej rodzinę i mniej więcej sześć lat temu ożeniłem się z nią.

– Sześć lat temu? – wykrzyknęła Effie. – Dougal, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Dougal sięgnął po stojącą w naczyniu z lodem butelkę szampana, ale kelner był szybszy i napelnił ich kieliszki.

– Podoba się pani Nowy Jork? – zapytał, unosząc brwi. – Czy to pani pierwszy pobyt?

– Uwielbia go – rzekł Dougal, krótko ucinając tę konwersację.

– Zdumiewasz mnie, Dougal – powiedziała Effie. – Naprawdę mnie zdumiewasz. Gdzie teraz jest twoja żona?

– Mamy inny dom, na Long Island. Tam spędza większość czasu.

– Nie chce mieszkać w Nowym Jorku, z tobą? Czy może jej się tutaj nie podoba?

Dougal zamieszał grzanki w zupie, a potem spojrzął na Effie z wyrazem, który był połączeniem żalu i przeprosin. Przez te wszystkie lata spędzone z dala od niej zapomniał, jacy byli sobie bliscy, a dzisiaj przypomniało mu się wszystko, co dzielili z sobą jako dzieci: uczucia i wspomnienia. Minęło piętnaście lat; cała epoka narodziła się i umarła, rozpoczęła się wojna, a jednak potrafili rozmawiać ze sobą równie łatwo, jakby wciąż siedzieli na parapecie okna ich bawialni w domu przy Charlotte Square z dziecięcymi książeczkami i zabawkami.

– To małżeństwo się nie udało, Effie – powiedział Dougal. – Wtedy ani mnie, ani Marielli nie wiodło się szczególnie dobrze. Przypuszczam, że przyłgnęliśmy do siebie głównie dla bezpieczeństwa. Jest bardzo atrakcyjna: ładna i pełna wdzięku. Ja jednak dopiero po dwóch czy trzech latach zrozumiałem, że nie jest odpowiednia dla mnie. Nawet nie próbuje zrozumieć bankowości. Woli spędzać czas na Long Island, zajmując się domem oraz ogrodem i czekając, kiedy mnie zobaczy.

– Nie jest nieszczęśliwa? A ty, czy nie jesteś nieszczęśliwy? – pytała Effie.

Dougal wzruszył ramionami.

– Nie narzeka. Wie, że mam inne przyjaciółki, albo przynajmniej się domyśla. Jestem pewien. Przypuszczam, że wypracowaliśmy pewien *modus vivendi* między sobą i to wszystko, co można na ten temat powiedzieć.

Effie, wychowanej w edwardiańskim Edynburgu i Londynie, w którym „pozory” wciąż były ważne, opowieść Dougala o jego małżeństwie wydała się niemożliwie nowoczesna, prawie niezrozumiała. Mężczyźni oczywiście utrzymywali kochanki, podobnie jak żony miały kochanków, ale żeby małżeństwo miało funkcjonować jak biznes, a jawne cudzołóstwo miało być uznawane za *modus vivendi*... na to nastroszyłaby piórka nawet Vera Cockburn, a Vera Cockburn zawsze uważała się *connoisseuse* czegoś, co nazywała „zmiętymi prześcieradłami”.

– Jaką jest kobietą? – zapytała Effie.

– Jest Estonką – odparł Dougal. – Jej panięskie nazwisko brzmi Mariella Aegyidu. Jak ci już powiedziałem, jest bardzo ładna, ale jedyne czego wydaje się pragnąć, to wieść spokojne, domowe życie. Nie dba o to, co dzieje się na świecie, dopóki jej kwiaty są starannie ułożone, pokoje nieskazitelnie czyste, a ogród wygląda idyllicznie.

– Macie dzieci?

Dougal przecząco pokręcił głową.

– Mariella zawsze ich pragnęła, a ja zawsze mówiłem „nie”.

– Nie chcesz mieć dzieci?

– Nie z nią.

– Mówisz tak, jakbyś jej nienawidził.

– Nie darzę jej niechęcią – rzekł Dougal. – Prawdę mówiąc, gdybym sobie na to pozwolił, prawdopodobnie nadal bym ją kochał. Ale ona nie jest kobietą dla mnie. Popełniłem błąd, żeniąc się z nią, to wszystko. To moja wina i mój problem. Muszę z tym żyć. Ilekroć wchodzę do domu i widzę, w jaki sposób na mnie patrzy, czuję się winny. Nie sądzisz, że to wystarczająco wysoka cena za oświadczenie się niewłaściwej osobie?

Przez chwilę jedli w milczeniu, a potem Effie zapytała:

– Czy poznam Mariellę?

– Oczywiście. Chciałbym, żebyś przyjechała na Long Island na weekend.

– A May? Co ona sądzi?

– Ona też przyjedzie.

Effie spojrzała na niego i wtedy się zaczerwieniła.

– Nagle sprawiłeś, że czuję się dość staroświecka.

Dougal ujął jej rękę.

– Nie jesteś staroświecka, Effie. Rzecz w tym, że zabałaganilem swoje życie i jakoś muszę sobie z tym radzić. Uwierz mi, wolałbym, żeby to się nie wydarzyło.

Effie wypila trochę szampana, a potem odstawiła kieliszek.

- Nie jestem pewna – powiedziała.
- Czego nie jesteś pewna? – Dougal zmarszczył brwi.
- Czy ci uwierzę – odparła Effie.

## 14

W ciągu następnych dwóch dni Effie zaczęła rozumieć, jak zamożny i dobrze ustosunkowany stał się Dougal. Uwolniony od autorytarnego wpływu Roberta, całym sercem rzucił się w swoją ulubioną formę bankowości; w pożyczanie pieniędzy prywatnym inwestorom i małym przedsiębiorstwom z kompetentnym zarządzaniem i ciekawymi pomysłami, ale jednocześnie z potrzebą silnego zaplecza finansowego. Jego Watson's New York Inc, ze swej siedziby o marmurowym frontonie przy Broad Street 23 kontrolowało teraz udziały we wszystkim: od opatentowanych świdrów wiertniczych Rockarda do ciągłego wolframu Coolidge'a i reflektora szperacza o łuku elektrycznym Sperry'ego. W roku 1915 roczne odsetki i dywidendy przyniosły bankowi ponad dwadzieścia siedem milionów dolarów i Dougal z przekonaniem powiedział Effie, że rok 1916 przyniesie kolejny rekord.

– Musisz tylko uwierzyć w przyszłość, bez względu na to jak dziwaczna ci się wydaje – powiedział, siedząc za szerokim, pokrytym skórą biurkiem, na którym chromowany model dwupłatowca Curtisa lśnił niczym symbol jutrzejszego świata.

– I naprawdę chcesz, żebym do ciebie dołączyła? – zapytała Effie.

– Oczywiście. Masz już pewną reputację w Nowym Jorku. Frank Vanderlip z Citibank zawsze o tobie mówi, korespondujesz również z Amadeo Gianninim, prawda? W Nowym Jorku mają więcej szacunku dla kobiet, Effie. Tutaj oczekuje się kobiet agresywnych i rozumiejących interesy. Właśnie dlatego Mariella i ja nigdy nie możemy niczego stworzyć razem. Ona dla mnie nazbyt wiąże się z rodzinnym krajem. Dla ciebie będzie to wyjątkowo dobre.

Effie wypila łyk mocnej czarnej kawy, którą podała jej May. Z okna gabinetu Dougala mogła oglądać błyszczące wieże dolnego Manhattanu: Woolworth Building, Municipal Building i iglicę dopiero niedawno ukończonego wieżowca Metropolitan Life Insurance. To było miasto przyszłości i wiedziała już, że tutaj może znaleźć własną przyszłość.

– Dobrze – powiedziała. – Czego ode mnie oczekujesz?

Dougal zapalił cygaro.

– Chcę, żebyś użyła całego swojego uroku i całej zręczności w wyszukiwaniu dla nas nowych przedsiębiorstw i firm, nowych klientów, którzy potrzebują pieniędzy. Chcę także, abyś pomogła naszemu kierownikowi Kredytów Zagranicznych, Danowi Kressowi, ocenić zdolność kredy-

ową klientów z Europy. Jestem pewien, że wiesz znacznie więcej o kredytach europejskich niż ktokolwiek inny tutaj i zapewne mogłabyś zasugerować kilka nowych dla niego dziedzin do zbadania.

- To brzmi wspaniale – powiedziała Effie.
- Oczekuję, że będziesz pracować – z uśmiechem ostrzegł ją Dougal.
- Tylko spróbuj mnie powstrzymać – Effie odpowiedziała wyzwaniem.

W tamten weekend pojechali białą limuzyną Dougala na Long Island. Był to mokry, deszczowy dzień i wycieraczki na przedniej szybie skrzypiały monotonnie tam i z powrotem, gdy samochód podskakiwał i rozpryskiwał wodę, jadąc wzdłuż Middle Country Road przez Coram i Ridge w stronę Peconic Bay. Dopiero gdy dojechali do bram posiadłości Dougala, zza chmur nad oceanem za nimi wyjrzało blade, słabe słońce i krótkie złote iskry musnęły fale.

May otulona była w granatowy płaszcz z tkaniny bouclé, który musiał kosztować co najmniej sto dolarów.

– Czyż to nie jest okropne? Pogoda zawsze dopasowuje się do mojego nastroju.

- Chyba nie czujesz się źle, kochanie? – zapytał Dougal.
- Źle? Czuję się jak funt bekonu w koszernych delikatesach!

Dougal uśmiechnął się do Effie.

- May zawsze się denerwuje, gdy przyjeżdża na Long Island – wyjaśnił.
- Ja chyba też się denerwuję – odparła Effie.

Rezydencja, którą Dougal kupił jako wiejski dom dla swej niechcianej estońskiej żony, była ogromnym budynkiem w stylu królowej Anny, zaprojektowanym przez Henry'ego Hudsona Holly'ego, jednego z największych amerykańskich architektów, a pierwotnie zbudowanym dla Cyrusa Maconochiego, potentata kolejowego. Ten wielki dom miał balkony i oszklone werandy, a szerokie dwuspadowe dachy nadawały mu wygląd solidności, historycznej przeszłości i dziedzicznego bogactwa, mimo że Maconochie, syn sklepikarza, chodził boso jeszcze jako dwunastolatek.

Mariella, żona Dougala, czekała przy frontowych schodach, gdzie zakola na żwirze zarysowane przez koła wizytujących automobili uformowały się w spiralny wzór muszli. Była wysoką kobietą o ciemnej karnacji, którą podkreślała biała atlasowa suknia z pokryciem z pięknej białej koronki oraz szeroki biały kapelusz z kiwającymi się białymi pawimi piórami. Szofer Nat otworzył drzwi limuzyny, więc Effie wysiadła, a za nią podążyli May i Dougal.

Mariella ruszyła do przodu.

– Dougal – powitała go z wyraźnym nordyckim akcentem, kończąc jego imię tak, jak kończyła każde zdanie; dziwnie wysokim pytającym tonem, tak iż Effie miała wrażenie, jakby zadawała niekończącą się serię pytań.

– Mariello, oto moja siostra, Effie – rzekł Dougal. – Przyłączyła się do środę.

Mariella uściśniła dłoń Effie, a potem spontanicznie pocałowała ją w policzek. Effie pomyślała, że jej bratowa nie jest po prostu ładna, lecz wręcz piękna. Miała zachwycające ciemne oczy, wydatne kości policzkowe i usta, które były tak zmysłowe i tak klasycznie wykrojone jak świeżo rozwinięte płatki róż. Nawet sposób, w jaki chodziła, ujawniał wyrafinowaną elegancję doskonałej kobiecości; jej biodra wykonywały ruch, który dałoby się zapisać jedynie na najczulszym sejsmografie.

– Dzień dobry, May – powiedziała Mariella, witając „asystentkę, stenotypistkę i ochronę” Dougala chłodno, ale bez wrogości.

– Dzień dobry, pani Watson – odparła May z uśmiechem, który nie był całkiem pewien, czy chce być uśmiechem czy grymasem.

– Wejdźmy do środka – rzekł Dougal, skupiając spojrzenie na Effie.

– Proszę tędy – powiedziała Mariella, biorąc Effie pod rękę.

Weszli po stopniach do frontowych drzwi, przy których wysoki siwy odzwierny wziął od nich płaszcze i szale, a niski bladolicy kamerdyner poprowadził ich do Sali Lustrzanej, gdzie zwykle przyjmowali gości.

Salę Lustrzaną zaprojektowano tak, aby odzwierciedlała wytworność gości przyjęć Cyrusa Maconochiego, niestety jednak był on zbyt skąpy i kłótlivy, aby wydać w tym domu więcej niż dwa przyjęcia i zmarł zaledwie trzy lata po ukończeniu swej rezydencji. Teraz więc ogromne francuskie lustro odbijały tylko Effie, Dougala, May i panią domu, Mariellę. Effie, siedząc wśród wielu własnych odbić, pomyślała, że to osobliwe doświadczenie. Czuli się tak, jakby siedząca obok niej lustrzana Effie mogła nagle na nią spojrzeć i zażądać wyjaśnienia, dlaczego ubrana jest w tak staroświeckim stylu i jak może w ogóle sobie wyobrażać, że ktokolwiek w nowoczesnym i tętniącym życiem Nowym Jorku zechce mieć z nią coś wspólnego.

– Macie ochotę na filiżankę herbaty lub kawy? – zapytała Mariella.

– Prawdę mówiąc – odparła Effie – z rozkoszą napiłabym się whisky z wodą.

– Doprawdy jesteś szczerą osobą, panno Watson – powiedziała Mariella.

Dougal oparł się w fotelu i próbował uspokoić Effie uśmiechem, jakby mówił: „Nie zważaj na Mariellę, jest cudzoziemką i ledwie mówi po angielsku, a poza tym wiesz, że nie jest tym, czego pragnę od życia”.

– Dziękuję, proszę tylko o wodę sodową – powiedziała May.

Kamerdyner, którego buty skrzypiały niemal bezczelnie, przyjął zamówienia Marielli

– Jaki był wasz tydzień? – zapytała Mariella, uśmiechając się do wszystkich. – Byliście zajęci?

– Toczy się wojna – odparł Dougal z nieskrywanym zniecierpliwieniem. – Oczywiście, byliśmy zajęci. Poza tym musieliśmy pokazać Effie Nowy Jork.

– Podoba ci się Nowy Jork? – Mariella zapytała Effie.

Effie skinęła głową.

– Wydaje się bardzo ekscytujący, chociaż mówię to jedynie z trzydniowego doświadczenia.

– Ja także lubię to miasto – odparła Mariella.

– I wybrałaś życie z dala od niego? – pytała Effie.

Zapadło kłopotliwe milczenie. To było trudne pytanie. Mariella nie chciała, by zmuszano ją do wyjaśniania, że jej mąż wolał, aby pozostawała w odosobnieniu na Long Island, ani że ona to wolała, ponieważ trzymało ją to z dala od bolesnej prawdy o jej małżeństwie, które w istocie nie było małżeństwem. Ona i Dougal byli mężczyzną i kobietą, których losy zostały splątane za sprawą przypadkowego spotkania w Battery Park, gdy każde z nich płaciło nie więcej niż dwadzieścia pięć centów za piknikowy lunch, co sprawiło, że pewnego ciepłego i szczęśliwego dnia usiedli obok siebie na ławce, i którzy teraz byli nieodwołalnie związani mieniem, pieniędzmi i prawem małżeńskim. Mariella wiedziała, że Dougal sypia z May i być może powinna coś z tym zrobić. Ale co? Ona wciąż go kochała.

Dougal przez chwilę przekładał jedną nogę na drugą, wypił filiżankę kawy, a potem powiedział:

– Przejdę się nad staw. Chcę zobaczyć, co się dzieje z rybami.

– Może przejdę się z tobą? – powiedziała May.

Dougal i May wyszli z wyraźnym pośpiechem, zbyt znudzeni i spięci towarzystwem Marielli, aby mieć poczucie winy. Effie w milczeniu siedziała z Mariella przez trzy lub cztery minuty, obserwując siebie w otaczających lustrach, jak podnosi do ust szklaneczkę whisky z wodą sodową, upija łyk, a potem znów ją odstawia.

– Jesteś bardzo podobna do Dougala – powiedziała Mariella. W jej głosie brzmiał smutek, którego nawet nie próbowała ukrywać.

– Oboje jesteście podobni do matki. Do naszej zmarłej matki.

Mariella skinęła głową

– Cóż, postaram się zajmować tobą tak radośnie, jak umiem.

Znów zapadło milczenie, a po chwili Effie powiedziała:

– Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli powiem coś wprost, prawda? Powiedz mi, jeśli nie chcesz, żebym mówiła otwarcie.

Mariella wiedziała, co Effie chce powiedzieć.

– Możesz mówić otwarcie – rzekła.

Poszły razem wzdłuż rzędu cyprysów rosnących na tyłach domu, a potem przez ogród warzywny z dyniami, kapustą i kabaczkami do szerokiego trawnika graniczącego z jeziorem. Samo jezioro było przerażające w zimowym chłdzie, a w jego wodach nie odbijało się nic oprócz szarego nieba.

– Przypuszczam, że jestem równie nie w porządku jak Dougal – powiedziała Mariella. – Powinnam odejść i pozwolić mu żyć życiem, ja-

kiego pragnie. Musisz jednak zrozumieć, że to jest dla mnie trudne. Kocham go i wciąż mam nadzieję, że nadejdzie dzień, gdy on zda sobie sprawę, że jest zmęczony innymi kobietami, znużony pracą i chce wrócić do mnie.

– Nie masz żadnych przyjaciół? – zapytała Effie.

Mariella potrząsnęła przecząco głową.

– Dougal zabrał mnie z centrum Nowego Jorku i teraz mieszkam tutaj. Zimą nie ma tu nikogo. Czasami przez kilka dni nie rozmawiam z nikim oprócz służących.

– Powinnaś wyjechać – powiedziała Effie. – Sama to powiedziałaś i powinnaś to zrobić. Jaką przyszłość masz tutaj przed sobą?

Mariella wsunęła ręce w kieszenie futra z norek.

– Nie jestem pewna, czy Dougal pozwoliłby mi odejść.

– Co masz na myśli? Oczywiście, że pozwoliłby. W każdym razie nie mógłby nic zrobić.

Mariella odwróciła wzrok ku trawnikom, krzewom i starannie przyciętym żywopłotom i nie odpowiedziała.

– Twoi rodzice jeszcze żyją, nieprawdaż?

Mariella skinęła głową.

– Czy zatem nie mogłabyś wyjechać i na pewien czas za mieszkać z nimi? Wydajesz się taka nieszczęśliwa.

Mariella odwróciła się i spojrzała na Effie z wyrazem, którego ona nie mogła zrozumieć.

– Nie mogę odejść – odpowiedziała bezceremonialnie, a potem zaczęła wchodzić po stoku niecki do domu.

Effie pospieszyła za nią.

– Dlaczego nie możesz? Co masz na myśli, mówiąc „nie mogę”?

– Nie mogę i już. Proszę, nie pytaj mnie więcej.

– Ale Dougal jest moim bratem.

– On był twoim bratem, z pewnością, wiele lat temu. Teraz jest moim mężem.

Effie dogoniła Mariellę i chwyciła ją za rękę. Dwie kobiety stanęły naprzeciw siebie, a ich oddechy parowały w zimnym, atlantyckim powietrzu.

– Tak, jest twoim mężem – przyznała Effie – ale nie kochankiem ani nawet przyjacielem.

Mariella uważnie spojrzała na Effie, a potem spuściła głowę, jakby była bliska powiedzenia czegoś. Jednak jej nerwy były zszargane, a uczucia zbyt zranione. Poza tym nie znała Effie wystarczająco dobrze, by móc się jej zwierzać, szczególnie o Dougalu. Przebiegła szybko przez furtkę ogrodu warzywnego i pozostawiając Effie, wbiegła na schody domu. Żelazna furtka oddzielająca warzywnik od głównego klombu ze skrzypieniem i zgrzytem kołysała się powoli na zawiasach. Effie stała w miejscu ze ściśniętymi przed

sobą dłońmi, lekko uniesioną głową oraz wyrazem troski i bólu na twarzy.

Z oddali usłyszała wołanie Dougala.

– Effie? Effie? Gdzie jesteś, Effie?

## 15

Człowiekiem, który odmienił życie Effie w Ameryce, był John Browning. Poznała go przypadkowo, w lobby hotelu Savoy-Plaza, po obiedzie, na jaki zaprosił ją Dougal (ostrygi, pieczony strzępiel i szampan Perrier-Jouet). Czekala tam, aż Dougal skończy jakąś pilną rozmowę telefoniczną z klientem z Teksasu, obserwując odziane w futra i wyperfumowane kobiety wchodzące i wychodzące z windy, gdy niechcący sprawiła, że jej torebka ześlizgnęła się z oparcia krzesła, a z niej wypadł na podłogę grzebień, spinki do włosów i puderniczka.

Niemal natychmiast szczupły, siwowłosy mężczyzna z bujnymi wąsami schylił się, przyklękając na kolana, aby wszystko pozbierać. Starannie umieścił spinki jedną po drugiej w torebce, po czym wstał, otrzepał spodnie i uklonił się Effie.

– Jest pan bardzo uprzejmy – podziękowała Effie. – Byłam nieostrożna.

– Dla mnie była to przyjemność – odparł mężczyzna głębokim głosem.

– I to nie była nieostrożność. Ja upuściłem kiedyś całą skrzynkę wybornej brandy i nie było żadnego pożytku z podnoszenia jej.

– Jestem Effie Watson – przedstawiła się Effie.

– A ja John M. Browning – powiedział mężczyzna. – Czy byłoby zbyt wiele, gdybym poprosił, by napiła się pani ze mną herbaty w Palm Court? Właśnie tam siedłem, gdy upuściła pani swą małą bombę.

– Mam się tu spotkać z bratem. Rozmawia przez telefon.

John Browning podał Effie ramię.

– Każdy brat, który zostawia siostrę tak czarującą jak pani, pozwalając, by siedziała samotnie w hotelowym lobby, podczas gdy sam odbywa rozmowę telefoniczną, zasługuje na to, aby go porzucić. Czyż nie mam racji?

Effie próbowała wyglądać sztywno, ale wcale się tak nie czuła, a poza tym czyż nie była w Ameryce, gdzie ludzie robili to, na co mieli ochotę? Czyż to nie kraj demokracji?

– Dobrze – odparła. – Chętnie napiję się herbaty. Czy sądzi pan, że jeśli powiem szwajcarowi, gdzie będę, brat mnie odnajdzie?

– Komu?

Marszcząc brwi, spojrzała na napis nad recepcją.

– Przepraszam: recepcjoniście.

– Z pewnością, ale kto by się przejmował, jeśli pani nie znajdzie?

Effie zazwyczaj opierała się zaproszeniom nieznanym mężczyznom, ale



w panu Johnie Browningu było coś ciepłego i pociągającego; jakiś spokój, który mówił o odpowiedzialności, a także pewność siebie i siła wewnętrzna. Jego szary popołudniowy garnitur był wyraźnie kosztowny i doskonale skrojony, a sama orchidea, którą nosił w butonierce, musiała kosztować siedem lub osiem dolarów. Przy wejściu do Palm Court skinął na *maître d'*, który natychmiast poprowadził ich do niewielkiego stolika w głębi sali, gdzie wszyscy mogli ich widzieć i podziwiać i skąd nie było zbyt blisko do fortepianu.

- Herbata? – zapytał John Browning.
- Z cytryną, proszę – odparła Effie.
- Może ciastka? Mają tu naprawdę kuszące ciastka.
- Nie, dziękuję. Nie dlatego, by mnie nie kusiły, ale właśnie skończyłam obiad.
- Cóż, szkoda! Może kiedy indziej. Późno jada pani obiad; już niemal czwarta.
- Mieliliśmy rano trudną sprawę zawodową.
- Pani pracuje? – ze zdumieniem zapytał John Browning. – Nie mogę w to uwierzyć.
- Jestem bankierem. Mój brat jest właścicielem Watson's New York Inc., a ja właśnie przybyłam z Anglii, żeby mu pomagać.
- Kobieta bankier? To brzmi nieprawdopodobnie.
- Ludzie wydają się tak myśleć, ale to jest prawdopodobne, gdyż jestem kobietą bankierem.
- Gratulacje. Myślę, że to cudowne. Może pani wykorzystać mój rachunek bankowy, ilekroć pani zechce.
- Osobiście zajmuję się pożyczaniem pieniędzy. Jeśli chce się pan dowiedzieć o długoterminowym prowadzeniu rachunku, będzie pan musiał porozmawiać z moim bratem.

John Browning oparł się w fotelu. Nagle wydał się poważny.

- Czy pani wie, kim jestem? – zapytał.
- Nie, a powinnam? – powoli odpowiedziała Effie.
- Nie, niekoniecznie. Ale jestem właścicielem i głównym konstruktorem automatycznej broni marki Browning. Słyszała pani o maszynowym karabinie Colt-Browning? – przerwał i patrzył na wyraz konsternacji na twarzy Effie. – Cóż, nie, najwyraźniej pani nie słyszała. Jeśli jednak pani zajmuje się kredytami, ja zajmuję się działalnością, która potrzebuje kredytu, szczególnie teraz. Może moglibyśmy zająć się wspólnie czymś więcej niż herbatą. Zapewne moglibyśmy rozmawiać bez ogródek. Pani jest Angielką, nieprawdaż?
- Szkotką.
- Przepraszam, wnioskuję, że to bardzo zdecydowana różnica.
- Istotnie. Mieszkałam jednak zarówno w Edynburgu, jak i w Londynie.

Kelner podał herbatę oraz kanapki z ogórkiem na kromkach pieczywa ze starannie obciętymi skórkami. John Browning włożył do ust dwie czy trzy naraz.

– Jest pani pewna, że nie zje ani jednej? – zapytał. – Ja mam okropną słabość do kanapek z ogórkiem.

– Niczym Algernon w „Bądźmy poważni na serio” – powiedziała Effie.

– Przepraszam, nie dosłyszałem?

– Nieważne. Mówił pan, że działa w branży zbrojeniowej.

John Browning uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Można powiedzieć, że ja jestem przedsiębiorstwem zbrojeniowym.

– Jednak potrzebuje pan pieniędzy.

– A kto ich nie potrzebuje? Rzykując, że panią nudzę, powiem, iż od lat udoskonalam możliwy do zastosowania w praktyce średni karabin maszynowy, czyli karabin ustawiany na trójnogu, którego pociski są tak duże i silne jak pociski ze strzelby. Działa dzięki odrzutowi, to znaczy kiedy oddaje się z niego jeden strzał, mechanizm karabinu się cofa, umieszcza kolejny pocisk na właściwym miejscu i sam się odbezpiecza, gotów wystrzelić ponownie. W testach, jakie dotychczas przeprowadziłem, wystrzelił sześćset pocisków na minutę. Jest prosty, możliwy do zastosowania w praktyce i może strzelać jeszcze długo po tym, jak karabiny maszynowe wykorzystujące gaz się zanieczyszczą i przestaną działać.

– Nie jestem specjalistką, panie Browning, ale wydaje się, że właśnie z tym wojska sprzymierzonych mogłyby sobie poradzić we Francji.

– Cóż, mają tam własne karabiny, skonstruowane przez Vickersa i Lewisa, chociaż żaden z nich nie jest tak prosty i skuteczny jak mój. Pierwszy raz opatentowałem go w 1901 roku i od tego czasu majstruję przy nim, coraz bardziej poprawiając konstrukcję.

– Dziwię się, że armia amerykańska nie kupiła ani jednego.

– Musi pani zrozumieć amerykańską mentalność, panno Watson – odparł John Browning. – My tutaj bardzo oddaliliśmy się od Europy. Wielu z nas opuściło ją, gdyż mieliśmy pecha lub byliśmy gnębieni albo nieszcześliwi i wciąż spoglądamy raczej na zachód niż na wschód. Uważa się, że to bardzo mało prawdopodobne, by Stany Zjednoczone zaangażowały się w wojnę w Europie, chociaż ja jestem przekonany, że trzeba to zrobić i że to zrobimy. Jednak w obecnej chwili armia amerykańska jest bardzo mała i brakuje jej funduszy, więc nie przewiduję praktycznego zastosowania średniego karabinu maszynowego, nawet tak dobrego jak mój. Jedyńm sposobem, w jaki moje przedsiębiorstwo utrzymuje się na powierzchni w ostatnich kilku latach, jest sprzedawanie pistoletów i karabinów sportowych ludności cywilnej.

– Dlaczego miałabym pożyczyć panu pieniądze na dalsze udoskonalanie karabinu maszynowego, skoro nikt go nie kupi? – zapytała Effie.

John Browning sięgnął po następną trójkątną kanapkę z ogórkiem i odgryzł jej czubek.

– Ponieważ jest to broń przyszłości i ponieważ wcześniej czy później nadejdzie czas, gdy wojskowi nie tylko jej zechcą, ale nawet będą jej potrzebować. Nie słyszała pani? Zabijanie możliwie największej ilości ludzi w możliwie najszybszym tempie jest ostatnim krzykiem mody.

Effie sączyła herbatę z cytryną. Nie miała pojęcia o karabinach ani o kontraktach zbrojeniowych, poza tym, że Robert pożyczył kiedyś pieniądze pewnemu ekscentrycznemu Anglikowi, który nazywał się Leonard Jollye, na udoskonalenie czegoś wybuchowego o nazwie piroksyliny. Nie mogła sobie przypomnieć, czy przedsięwzięcie z piroksyliny zakończyło się sukcesem czy nie.

– Ile pieniędzy pan potrzebuje? – zapytała.

– Aby zbudować dwa działające prototypy, może dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Przez kilka minut Effie bez słowa piła herbatę i słuchała pianisty grającego modny przebój wodewilowy. John Browning skończył kanapki i zabrał się za ciastka z kremem, robiąc wyjątkowo widowiskowy bałagan z mrożonego waniliowego *mille feuilles*.

– A gdybym powiedziała „nie”, co by oznaczało, że nie pożyczę panu tych pieniędzy?

John Browning zlizął krem z tyłu widelczyka do ciasta.

– Nie zrobi pani tego. Zorganizuję dla pani pokaz mojego karabinu i pozwolę, by sama oddała pani z niego serię strzałów. Kiedy na własne oczy zobaczy pani, co on może, udzieli mi pani tej pożyczki bez wahania.

– Skąd pan wie, że mam dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

John Browning się uśmiechnął.

– Dziewczyna, która wygląda jak pięć milionów dolarów, na pewno ma gdzieś odłożone mizerne ćwierć miliona.

Nad ich stolikiem pochylił się skrzypek z szerokim uśmiechem.

– Ma pani jakieś życzenie, madam? – zapytał.

John Browning złożył dziesięciodolarowy banknot i wsunął go w kieszeń na piersiach skrzyпка.

– Zagraj „Jest tylko trochę inna od tych, które znam”.

W tym momencie Effie odwróciła się i zobaczyła Dougala z niezadowolonym marszczącym brwi i gestykulującym ku niej przez palmy.

Dougal był wściekły na Johna Browninga nie tylko za uprowadzenie Effie na herbatę, ale także za próbę podstępnego nakłonienia siostry do

udzielenia mu pożyczki na średni karabin maszynowy.

– Jeśli pożyczymy mu dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a Stany Zjednoczone nie przystąpią do wojny, co się wtedy stanie? Zostaniemy z jedną z najpotężniejszych broni piechoty, jakie kiedykolwiek wynaleziono, po to tylko, aby utrzymać kilku zabłąkanych Indian w jednym szeregu i mieć pewność, że meksykańscy bandyci nie będą przekraczać granicy. On jest czarującym mężczyzną, co do tego nie ma wątpliwości, ale istnieje też coś takiego jak właściwy produkt w niewłaściwym czasie i ja właśnie tak nazwałbym jego średni karabin maszynowy.

Effie paliła chesterfielda i czytała magazyn „Elite Style”. Już w ciągu tygodnia zaczynała stwierdzać, że odpowiada jej amerykański styl życia. Uwielbiała stroje, salony mody i restauracje. W Nowym Jorku było coś olśniewającego, swobodnego i energetycznego; jakaś szykowność, której brakowało statecznym ulicom Edynburga i zamglonym twierdzom Londynu. Ponadto było tu o wiele mniej uprzedzeń wobec kobiet. Od kobiet oczekiwano pracy. Spodziewano się, że w odpowiedzi mogą warknąć i się odgryźć. Spędziła już trzy dni w nowojorskim Watson's Bank i była tam traktowana przez męskie kierownictwo z niemal zdumiewającym brakiem dyskryminacji.

Howard Odkolek, wiceprezes odpowiadający za ubezpieczenia, zapytał ją nawet całkiem beznamiętnie, czy ma ochotę na cygaro.

– Nie palę cygar – odparła.

Wsunął ręce do kieszeni workowatego garnituru i wzruszył ramionami.

– Cóż, szkoda. Moja bratowa w zeszłym tygodniu urodziła bliźnięta i mój brat, w szoku, podarował mi dziesięć cygar.

Dougal jednak okazał się znacznie trudniejszy w relacjach z Effie niż reszta personelu. Lekceważąco wyrażał się o Johnie Browningu, ilekroć Effie wspominała to nazwisko. Szczególnie zaś zirytował się, kiedy John Browning zatelefonował do niej, gdy siedziała w jego gabinecie, przeglądając tygodniowe raporty.

– Dlaczego po prostu nie powiesz mu, że nie jesteśmy zainteresowani? – warknęła. – Jeśli armia nie jest zainteresowana, to my również. Pożyczamy pieniądze na wynalazki, które się sprzedadzą, nie zaś na rzeczy bezna-  
dziejne.

Effie skończyła rozmowę telefoniczną.

– Zaprosił mnie w piątkowe popołudnie do miejsca o nazwie White Plains, żebym sama zobaczyła ten karabin – powiedziała.

– Cóż, jedź w piątkowe popołudnie do White Plains, jeśli chcesz – odparł Dougal, z irytacją zbierając z papieru ze swego biurka – ale zapewnij, że nie pożyczysz mu żadnych pieniędzy bankowych.

– A jeśli pożyczę mu moje własne pieniądze?

Dougal podniósł wzrok, a potem z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jeśli pożyczysz mi własne pieniądze, będziesz głupia – powiedział. – Równie dobrze mogłabyś wyciągnąć dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów jako czek bankowy i użyć go do zapalenia jednego z cygar Howarda.

Mimo wszystko w piątek po południu Effie zdołała przekonać jednego z urzędników z działu inwestycji, by swoim wielkim, nabytym z drugiej ręki samochodem zawiózł ją do White Plains. Nazywał się Gregory Wilbur II i był jednym z owych żywiołowych wesołych młodzieńców, którzy nigdy nie przestają mówić i są niesłychanie uczynni. Poradził jej, żeby ubrała się ciepło, więc założyła futro z białych norek i białe, zapinane na guziczki botki, a kapelusz związała na dole długim „samochodowym” szalem. On sam nosił czapkę à la Sherlock Holmes i sfatygowany płaszcz z szopów. Przyniósł też piknikowy koszyk z bolońskimi kiełbaskami i świeżymi wiedeńskimi bułeczkami z piekarni przy Bleecker Street oraz butelką białego kalifornijskiego wina.

– Od kiedy dowiedzieliśmy się, że przyjeżdża pani, aby współpracować z bankiem, wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy, żeby panią poznać – powiedział, wyjeżdżając ociężałym kabrioletem z nowojorskiego City i przez kamienne przedmieścia kierując się na północ. Za miastem była prawdziwa jesień. Słońce skrzyło się za drzewami, a liście nabrały barwy miedzi, rdzy i czerwieni, jakby świat zalany został bilionami dolarów w bilonie. Nigdzie, nawet w Edynburgu, Effie nie czuła powietrza, które byłoby tak ostre.

– Spełniam wasze oczekiwania? – zapytała Effie.

Gregory Wilbur II spojrział na nią z uśmiechem. Jego oczy za okularami w drucianych oprawkach były błękitne i bystre, a zawadiacka twarz z zadartym nosem przypominała Effie czeską kukielkę.

– Jeśli zechce pani mi wybaczyć moją impertyncję, powiem, że zupełnie nie spodziewaliśmy się kogoś tak ładnego.

– Myślę, że wybaczę każdemu, kto pochlebia mi tak miło – rzekła Effie.

– W Szkocji nazywamy to „dęciem w czyjeś ucho”.

– Zatem jeśli pani pozwoli, będę dąć w pani ucho, ilekroć pani zechce – oświadczył Gregory Wilbur II. – Nathan Fishman powiedział, że gdyby nie była pani Watsonówną i gojką, a on zdołałby przekonać matkę, aby wynajęła mu pokój gościnny, to oświadczyłby się pani już jutro.

Gregory wiedział, że rozmawiając ze swoją pracodawczynią tak śmiało, ryzykuje nie tylko dezaprobatę, ale też zwolnienie. Jednak Effie się roześmiała. Rozumiała różnicę między niegrzecznością a serdeczną żartobliwością i wiedziała, że Gregory stara się tylko jej pokazać, że mu się podoba. Roztaczała wokół siebie pewną aurę, pewną dojrzałość i wytworność w ruchach rozjaśnioną oczywistym poczuciem humoru, która zawsze przyciąga młodych mężczyzn.

John Browning w ciężkim płaszczu i futrzanym kapeluszu czekał na nich

na zamglonym błotnistym polu przy Saxon Wood Road, niedaleko od Mamroneck Avenue. W pobliżu stały zaparkowane dwa samochody: ciężarówka, która przywozła karabin maszynowy i jego wyposażenie z zakładów Browninga w Buffalo oraz własne auto Browninga, wielki, lśniący czarny packard. Było tam również kilku pracowników fabryki zbrojeniowej w przeciwdeszczowych płaszczach i czapkach, którzy przywitali Effie oddechem parującym od chłodu.

– Zacznijmy, zanim słońce zajdzie – powiedział John Browning. – Tom, zdejmij, proszę, plandekę. Richard, zechciej przynieść amunicję.

John Browning wziął Effie pod rękę i zaprowadził ją na niewielkie naturalne wzniesienie gruntu, gdzie na trójnogu ustawiono karabin maszynowy. Przypominał on Effie raczej ciemny teleskop, poza tym, że z jednego końca miał niewielki wylot lufy, z drugiego zaś drewnianą rączkę i cyngiel.

– Niewiele to pani powie – rzekł John Browning – ale jest to trzydziestokalibrowa broń z prędkością wylotową ośmiuset czterdziestu metrów na sekundę. Strzela precyzyjnie na odległość 2500 metrów, a ładuje się, jak pani teraz zobaczy, dzięki amunicji niesionej przez Richarda, z taśmy parcianej o długości siedemdziesięciu centymetrów mieszczącej sto lub dwieście na boi. W osłonie otaczającej lufę, która wygląda trochę jak teleskop, znajduje się woda, która ją chłodzi, gdy karabin strzela. Słyszę, że w okopach Flandrii angielscy żołnierze często wystrzeliwują kilka pasów amunicji, tak że często doprowadzają wodę w tych osłonach do temperatury wrzenia i robią z niej herbatę. Całkiem sporo Niemców zginęło po prostu dlatego, że brytyjscy żołnierze stwierdzili, iż nadeszła pora na herbatę.

W odległym końcu pola ustawiono rząd starych drewnianych drzwi, które miały być celem. John Browning przykleknął za swoim karabinem.

– Proszę zasłonić uszy – powiedział do Effie.

Rozległ się ogłuszający, terkoczący dźwięk, któremu towarzyszyła fontanna łusek, a potem płaska chmura szarego dymu. Effie z dłońmi wciąż zaciśniętymi na uszach spojrzała w dół na rząd drzwi i zobaczyła, że jedne z nich są dosłownie przeszyte na pół.

– To nadzwyczajne – powiedziała.

– Niech pani sama spróbuje – zaprosił ją John Browning.

– Myśli pan, że mogłabym?

– Ależ proszę.

W białym futrze usiadła ostrożnie na odwróconej do góry dnem skrzynce po amunicji i ujęła w dłoń małą drewnianą rączkę karabinu maszynowego. Karabin przesuwiał się całkiem lekko z jednej strony na drugą, a przez przyrząd celowniczy widziała rząd drzwi. John Browning odbezpieczył broń.

– Dalej! Proszę strzelać, kiedy będzie pani gotowa – powiedział zachęcająco.

Effie wzięła głęboki, nerwowy oddech i pociągnęła cyngiel. Karabin na-

tychmiast zaterkotał w jej rękach niczym jakiś straszny aligator, którego próbowałaby trzymać w pasie, jednak to doświadczenie było osobliwie dziwne i złowrogo emocjonujące. Strumień kul napelnił lufę i rozerwał rząd drzwi na kawałki: roztrzaskane deski, wsporniki i zamki, a w nich dziury, wzory i poszarpane zygżaki. Wszystko w ciągu kilku sekund, podczas których Effie czuła straszną i ekscytującą moc. Pas amunicji dobiegł do końca o wiele za szybko i kiedy karabin ucichł, ona także wstała raczej zbyt gwałtownie, przewracając skrzynkę, na której siedziała i pokazując Johnowi Browningowi, że jest oszołomiona.

– O Boże, panie Browning, nigdy nie spotkałam się z czymś takim – przyznała.

John Browning, z rękami w kieszeni, obrócił się, wyężając wzrok ku drzwiom, które Effie roztrzaskała tak gwałtownie.

– Niezła rzecz, prawda? – zapytał. – Cieszę się, że jest pani pod wrażeniem. Spodziewałem się jednak, że będzie pani miała jakiegoś w pełni wykwalifikowanego inżyniera, który na to spojrzy, zanim pani udzieli odpowiedzi. Przecież w Ameryce mogą być inne karabiny maszynowe, znacznie lepsze niż ten, o których nigdy pani nie słyszała.

– A są? – spytała Effie.

John Browning pokręcił głową.

– Nie. Ten jest jedynym.

– Dobrze więc – odparła Effie. – W takim razie sama podejmuję tę decyzję. Pożyczę panu potrzebną kwotę i udzielę tej pożyczki na dogodnych warunkach.

John Browning podał jej ramię, które przyjęła. Wrócili razem do samochodu Gregory'ego Wilbura II, który szedł kilka kroków za nimi w swojej czapce à la Sherlock Holmes, wciąż będąc pod wielkim wrażeniem hałasu serii wystrzałów.

– Trrr... brrrp! – powtarzał od czasu do czasu.

– Naprawdę jest pani pewna, że Ameryka przystąpi do wojny? – zapytał John Browning.

– Nie sądzi pan, że to zrobicie? – Effie odpowiedziała pytaniem.

– Nie wiem. Chciałbym mieć taką pewność jak pani.

– Mam tę pewność, panie Browning – powiedziała Effie – nie dlatego, że jestem Brytyjką emocjonalnie i patriotycznie pragnącą zobaczyć zwycięstwo Brytanii i jej aliantów, lecz dlatego, że jestem bankierem. Nie byłoby rozsądne, aby Stany Zjednoczone pozwoliły Niemcom zwyciężyć, zbyt wiele amerykańskich pieniędzy tkwi w Anglii, Francji i krajach sprzymierzonych, a jeśli Niemcy zwyciężą, szanse odzyskania tych pieniędzy oraz korzystnych odsetek, jakie się z tym wiążą, będą równe zeru. Tutejsze społeczeństwo nie ma pojęcia, jak strasznie ta wojna rujnuje Europę; zarówno jej ludność, jak i gospodarkę. Jednak bankierzy widzą: trzeba

zapewnić pieniądze i podliczyć koszty.

John Browning nie powiedział ani słowa, ale znów spojrzął na pole i swój karabin maszynowy, który jego asystenci rozmontowali i nieśli do ciężarówki.

– Ameryka będzie musiała pójść na wojnę, panie Browning – mówiła dalej Effie. – Bez względu na to, co prezydent mówi publicznie i jak uspokaja Kongres. Za dużo pieniędzy jest do stracenia, niezależnie od zasad.

– Pani jest bardzo cyniczna, panno Watson – rzekł John Browning.

– To nie cynizm, panie Browning, to realizm. Pan również jest realistą, nieprawdaż? Człowiek, który potrafi skonstruować rewolwer przeszywający ludzi na pół, nie może być nikim innym jak realistą – jej rozmówca z niezadowoleniem zmarszczył brwi, lecz Effie mówiła dalej. – Dzisiaj strzelaliśmy do starych drzwi, panie Browning, ale przecież nie one są tym, do czego strzelać ma pański karabin, prawda?

– Nie – przyznał John Browning.

– A zatem – powiedziała Effie z zachodzącym za jej ramieniem słońcem, które wypalało na siatkówce Johna Browninga jej stylowy wizerunek; wizerunek, który miał pozostać mu w oczach jeszcze długo po jej odejściu – wie pan równie dobrze jak ja, że gdy Ameryka przystąpi do wojny, będzie potrzebowała takich karabinów jak pańskie. Tych zaprojektowanych przez pana. Setek takich karabinów. Tak więc każdy, kto zainwestuje pieniądze w Johna Browninga, nie tylko pomoże zapewnić przyszłą stabilizację Europy oraz korzystny zwrot amerykańskich kredytów wojennych udzielonych Wielkiej Brytanii i Francji, ale zdobędzie ogromne zyski dla siebie. Pańskie karabiny są zaprojektowane, aby zabijać ludzi i z tego, co widzę, zabiją setki ludzi wręcz bezkonkurencyjnie. Ubolewam nad tym, co pan robi, ale jest pan w tym najlepszy i właśnie dlatego pożyczę panu tyle, ile pan potrzebuje.

John Browning wpatrywał się w nią, nie będąc pewnym, co powiedzieć.

– Wspominał pan o dwustu pięćdziesięciu tysiącach dolarów – przypomniała.

– Faktycznie miałem nadzieję na trochę więcej – odparł John Browning.

– Powiedzmy trzysta pięćdziesiąt tysięcy?

– Pożyczę panu pół miliona dolarów tylko dlatego, żeby mieć pewność, że udoskonali pan ten karabin maszynowy możliwie najszybciej – odparła Effie.

– W takim razie – rzekł John Browning – Watson's Bank zyska milion.

– To nie jest kredyt Watson's Bank – odpowiedziała Effie. – Udzielam panu tej pożyczki z moich własnych pieniędzy.

– To nie będzie kredyt bankowy?

– Zdaniem mojego brata karabin maszynowy Browninga nie jest odpowiednią inwestycją. Ja, na szczęście dla pana, uważam, że on jest w błędzie.

John Browning zawahał się przez chwilę, a potem ujął dłoń Effie i ją



ucałował.

– Panno Watson – rzekł – pani jest dzentelmenem.

## 17

Effie nie widziała Dougala aż do następnej środy. Zabrał on bowiem May do Cape Cod na długi weekend, oficjalnie po to, aby rozmawiać z wynalazcą nowego typu maszyny przetwórczej i sterylizującej „Willco Packer”. Układała suszone kwiaty w swoim gabinecie, gdy wszedł, by się z nią zobaczyć. Dostała duży narożny pokój wychodzący na Broad Street i już zamówiła nowy biały dywan, modernistyczne biurko i komplet eleganckich mebli w bauhausowskim stylu. Gregory Wilbur II zabrał ją we wtorkowe popołudnie do kilku najlepszych nowojorskich galerii malarstwa, a obrazy i grafiki, które kupiła, stały oparte o ścianę, gotowe do zawieszenia albo oprawienia.

– Jak ci minął weekend? – zapytała Effie.

Dougal wyglądał na wymiętego i skacowanego.

– Doskonale. Maszyna przetwórcza wygląda obiecująco. Hotel był nie najlepszy. Jeśli nie były to odgłosy kanalizacyjne, to sprężyny łóżek gości mieszkających wyżej.

– Myślałam, że odgłos takich sprężyn jest zasadniczym elementem potajemnych weekendów.

Dougal spojrział na nią surowo.

– Zastanawiam się nad poszukaniem sobie własnego mieszkania – powiedziała Effie. – Sądzę, że to nie fair: oczekiwać, abys gościł mnie na stałe.

– Możesz mieszkać u mnie, jak długo zechcesz, wiesz o tym.

Effie skończyła układać kwiaty i cofnęła się, żeby je podziwiać.

– Wiem, Dougal, i dziękuję ci za to, ale naprawdę nie jestem przekonana, że dwoje ludzi działających w jednej dziedzinie powinno razem pracować i razem mieszkać. Na pewno dojdzie między nami do jakichś sporów i byłoby okropne, gdybyśmy nie mieli dokąd pójść, żeby od siebie uciec.

Dougal usiadł na brzegu jej biurka.

– Spory? Nie wiem, o czym mówisz. Posłuchaj... czy mogłabyś poprosić... jakże jej na imię... swoją sekretarkę, żeby zrobiła mi kawę? Czarną. Wydaje mi się, że w miejscu głowy mam balon Montgolfiera.

– Oczywiście – odparła Effie, po czym nacisnęła przycisk intercomu i powiedziała: – Louise, bądź tak dobra i zrób panu Dougalowi dzbanek kawy, proszę. Tak, Arabica. Mocna i czarna. – Potem znów zwróciła się do brata: – Mówiąc o sporach, mam na myśli na przykład to, co powiesz, gdy cię poinformuję, że pożyczyłam pół miliona dolarów panu Browningowi na

zbudowanie nowego prototypu jego karabinu maszynowego. Z własnych pieniędzy oczywiście, a nie ze środków bankowych. O takie inwestycje na pewno będziemy się spierać.

Dougal wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Pożyczyłaś Johnowi Browningowi pół miliona dolarów?! Effie, postradałaś zmysły! Po przybyciu do Ameryki spotykasz pierwszego lepszego przemysłowca żebraka i zachowujesz się jak dziecko oddające łoda kompletnie nieznanemu człowiekowi! Pół miliona dolarów!!! Nie wierzę!

Effie podeszła, położyła mu rękę na ramieniu i pocałowała w policzek.

– Cóż, będziesz musiał uwierzyć, bo to prawda.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię – powiedział Dougal. – Prezydent Wilson może prywatnie aprobować walkę Brytyjczyków przeciwko Hunom. Prywatnie może powiedzieć, że Brytyjczycy toczą amerykańską walkę, a kiedy pośle oficjalne skargi do brytyjskiego parlamentu na arbitralny sposób, w jaki Brytyjska Marynarka Wojenna blokuje Atlantyk, może prywatnie przyznać, że zapewne znajdą się one w koszu na śmieci. Wybrano go jednak ponownie na tej prostej zasadzie, że trzyma Amerykę z dala od wojny. Dobry Boże, Effie, Ameryka nie wypowiedziała wojny Niemcom, nawet w roku 1915, gdy zatopiono „Lusitanię”, a teraz Niemcy obiecali, że nie zatopią już żadnych innych statków pasażerskich, jeśli nie będą sprowokowani. Ameryka nie zamierza przystąpić do wojny, a to oznacza, że śmieszny karabin maszynowy Johna Browninga nigdy nie będzie niczym innym jak tylko kosztowną zabawką.

Effie przez moment milczała.

– Chyba pamiętam – powiedziała po chwili milczenia – jak bardzo dawno temu, w Edynburgu, wstałaś od niedzielnego stołu i wytaczałaś argumenty na rzecz kredytowania produkcji samochodów marki Albion, chociaż Robert mówił o nich, że są kosztowną zabawką dla bogatych.

– Samochody to co innego. Wszyscy pragną jeździć.

– Teraz, Dougal, ludzie w Europie nie martwią się jeżdżeniem, tylko wygraniem strasznej wojny. Od piętnastu lat mieszkasz i pracujesz tutaj, więc nie rozumiesz, jak to jest. Ja straciłam w tej wojnie mężczyznę, którego kochałam, a jeśli ona nie skończy się zdecydowanie i szybko, będzie ciągnąć się przez lata, rok po roku, a każdy rok będzie pochłaniać coraz więcej młodych mężczyzn i coraz więcej pieniędzy, dopóki w Europie nie pozostanie nic oprócz trupów i bankrutów. Jestem kobietą, Dougal, i uważam, że w wojnie nie ma żadnej chwały. Nienawidzę wojny. W zeszłym tygodniu strzelałam z karabinu maszynowego Johna Browninga i było to najbardziej poruszające i najokropniejsze doświadczenie mojego życia. Wyobraź sobie strzelanie z czegoś takiego do żywych ludzi! Ale to jest konieczne i tak się stanie, a moje pół miliona dolarów przyjdzie z pomocą.

Louise, zadziorna rudowłosa dziewczyna w koszulowej bluzce i długiej

zielonej spódnicy, przyniosła tacę z kawą. Dougal odezwał się dopiero, gdy wypił kilka gorących łyków i odstawił filiżankę.

– Zmieniłaś się, Effie. Zmieniłaś się nie do poznania.

– Oczywiście, że się zmieniłam. Ale ty też się zmieniłeś. Nie spoglądasz na siebie ostatnio? Zamiast emanować energią, jesteś niemrawy. Zamiast stawiać czoło obowiązkom i odpowiedzialności, unikasz ich. Chyba wiedziałam, kiedy wyjechałeś z Londynu, że nie jesteś tak rzutkim młodzieńcem, jakim wydawałeś się być. Może jestem niesprawiedliwa. Prawdopodobnie twoje małżeństwo ma z tym coś wspólnego. Może lepiej byłoby ci w Londynie niż w Nowym Jorku. Za wcześniej jesteś zmęczony, Dougal. Gdzie twój zapal? Jesteś bogatym i inteligentnym człowiekiem, a opowiadasz mi o maszynie przetwórczej i wymykasz się na weekendy ze stenotypistką. Gdzie się podział mój zuchwały, przedsiębiorczy brat? Gdzie jest Dougal?

Dougal się zaczerwienił i bębnił palcami o biurko.

– Przykro mi mówić ci takie rzeczy. Wiesz, że cię kocham – dodała Effie.

– Tak, oczywiście – rzekł Dougal, po czym znowu sięgnął po filiżankę z kawą, zajrzał do niej, a następnie ponownie odstawił i powiedział: – Żałuję, że nie mogłem zobaczyć matki, zanim umarła.

– To cię dręczy?

– Od czasu do czasu. Czuję, że ją zawiodłem, nie wracając do Szkocji, by się nią opiekować. Nie powinna była wyjeżdżać do tego domu, wiesz, o czym mówię. Robert nie powinien jej tam odsyłać.

– Dougal...

– W porządku. Wiem, co zrobiła i wiem, że miała szczęście, że jej nie zamknięto, ale nie mogę się oprzeć poczuciu winy.

– Nie powinieneś... – powiedziała łagodnie Effie. – To nie była twoja wina.

Patrzyła na niego ze smutkiem i zatroskaniem. Stracił więcej pewności siebie, niż początkowo sądziła, chociaż nie mogła zrozumieć dlaczego. Wciąż umiał być zabawny i pełen energii, a jednak była w nim jakaś pustka, jakby ktoś spoglądał z niepewnością i zdziwieniem przez otwory oczne wycięte w portrecie „Śmiejącego się kawalera” Fransa Halsy. Prawdopodobnie problemem był głęboki freudowski kompleks. Być może nie był niczym więcej niż problemem, jaki miałby każdy szkocki chłopiec wygnany z domu i zobligowany do odgrywania roli straszego potentata z Wall Street. Dougal był jednym z tych ludzi, którzy dorośli, aby stać się nie mężczyzną, lecz starym dzieckiem.

Po jego wyjściu Effie usiała przy biurku i zapaliła papierosa. W Ameryce palenie wśród kobiet było coraz bardziej modne, szczególnie od chwili, gdy Alice Roosevelt robiła to w swych szalonych dniach w Białym Domu. Effie

jednak po skończeniu papierosa zaczęła odczuwać wyraźne mdłości i miała wrażenie, że żołądek skręca jej się tak, jakby zagnieżdził się w nim szczur.

Poszła do luksusowej łazienki i zwymiotowała śniadanie. Długo przewieszona nad muszlą klozetową czuła dreszcze i z trudem oddychała. Potem podeszła do umywalki, przepłukała usta, wytarła twarz i poprawiła włosy przed lustrem. Ta blada Effie, która się w nią wpatrywała, była całkiem inną Effie. Zmieniłaś się, Effie, powiedział wcześniej Dougal. Zmieniłaś się nie do poznania.

## 18

Zatelefonował do niej tydzień później, do biura. Louise swoim nosowym akcentem z Queens zawiadomiła ją przez intercom.

- Jakiś doktor Schwarz.
- Połącz go – powiedziała Effie.

Rozmawiała właśnie z Danem Kressem, siedzącym naprzeciwko niej w szarym garniturze o kwadratowych ramionach, które w połączeniu z jego siwymi włosami upodobały go do człowieka odlanego z betonu.

- To potrwa minutę, zechce mi pan wybaczyć? – spytała Effie.

Dan Kress wyjął z obszernej kieszeni zegarek, który mógłby być młotem udarowym w zakładach metalurgicznych w Pittsburgu.

– Wróć po południu – powiedział. – Jestem umówiony na spotkanie z Billem McCombsem z Ministerstwa Finansów.

- Oczekuję pana za trzy minuty – odparła Effie bez mrugnienia okiem.
- Ale...
- Trzy minuty – oświadczyła.

Dan Kress sztywno wstał z krzesła i wymaszerował z gabinetu. Effie usłyszała, jak mówił do Louise coś o „przeklętej Szkotce”, zanim zamknęły się za nim drzwi z klonowego drewna.

– Panna Watson? – w słuchawce zabrzmiał głos doktora Schwarza.

– Tak. Dzień dobry, doktorze Schwarz.

– Zrobiliśmy wszystkie testy, panno Watson i dziś rano zapoznałem się z wynikami.

– Tak, doktorze? – ze wszystkich sił starała się być spokojna, próbując myśleć o czarnych, falowanych włosach doktora Schwarza, jego okrągłych okularach i drzeworytach przedstawiających „Lato w górach Catskills” na ścianie jego gabinetu.

- Obawiam się, że muszę to pani powiedzieć, panno Watson...

Effie nie usłyszała, albo nie chciała usłyszeć reszty. Ogarnęła ją jakaś dziwna głuchota i ślepotą, jakby przeniknął ją krótki spazm wstrząsu elektrycznego. Gdy ponownie otworzyła oczy, ze zdumieniem stwierdziła,

że wciąż siedzi w swoim gabinecie, wciąż rozmawia przez telefon z doktorem Schwarzem, a za oknem szare chmury zimnej godziny jedenastej nadal krążą z tą samą prędkością nad iglicami i wieżami centrum Manhattanu.

– Rozumiem – powiedziała.

W słuchawce zapadło milczenie. Po chwili doktor Schwarz odchrząknął i zaczął mówić:

– Oczywiście pod pewnymi warunkami moglibyśmy zgodnie z prawem zrobić coś dla pani.

Effie pokręciła głową.

– Panno Watson? – pytał doktor Schwarz.

– Nie – odparła Effie. – Cóż, niech mi pan przynajmniej da trochę czasu do namysłu.

– Zawsze do usług, panno Watson.

– Dziękuję, doktorze Schwarz.

Odłożyła słuchawkę, a potem sięgnęła na drugą stronę biurka po srebrno-onyksową papierośnicę, którą John Browning przysłał jej trzy dni wcześniej. Wyjęła jednego chesterfielda i zapaliła go, wypuszczając długą smugę dymu.

– Panno Watson? – przez drzwi zajrzała sekretarka.

– O co chodzi, Louise?

– Pan Kress mówi, że musi skończyć to spotkanie, bo jest umówiony w Ministerstwie Finansów o jedenastej trzydzieści.

Effie zaciągnęła się papierosem, a potem strząsnęła popiół do popielniczki.

– Powiedz... powiedz panu Kressowi, że ja... powiedz, żeby poszedł.

– Dobrze się pani czuje, panno Watson? Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

– Doskonale – odparła Effie i uświadomiła sobie, że powiedziała to jak Amerykanka, którą zaczynała się czuć. Jednak gdy Louise zniknęła za drzwiami, ona zamknęła oczy. Mój Boże, pomyślała. Boże, dziecko Alisda-ira.

## 19

16 stycznia 1917 roku, w mroczny śnieżny wtorek, wyprowadziła się z domu Dougala przy Fifth Avenue do własnego apartamentu na ósmym piętrze okazałego budynku przy Osiemdziesiątej Pierwszej Wschodniej. Nietypowo dla siebie udekorowała je w bogatym, staroświeckim stylu; ze ścianami pokrytymi jasną jedwabną morą i pozłacanymi, rokokowymi meblami. W jej mieszkaniu niemal nie było luster, a w oknach zawieszono wyszukane koronkowe firanki i aksamitne draperie, tak iż w całym wnętrzu

panowała atmosfera ciasnego zamknięcia. Nawet John Browning, który jako jeden z pierwszych złożył jej wizytę, powiedział, że ma wrażenie, jakby się tam dusił, niczym jedna z owych małych księżniczek zamknięta w wieży.

John Browning zbudował dzięki pieniądзом Effie dwa nowe prototypy swego karabinu maszynowego i był przekonany, że wynalazł broń „co najmniej tak rewolucyjną jak łuk i strzała”. Tego dnia zaprosił Effie do odwiedzenia fabryki, żeby mogła je zobaczyć, ale źle się czuła i musiała odmówić.

Wiedziała, że dziecko, które w niej rośnie, jest dzieckiem Alisdaira; nikt inny nie mógł być jego ojcem. Jednak ta sytuacja daleka od wprawienia jej w stan niepokoju czy nieszczęścia, co jak zakładała, powinna była uczynić, dała jej pierwszy raz w życiu niemal palące pragnienie opiekowania się innymi, pielęgnowania ich i otaczania miłością i szczęściem. Powinna być zrozpaczona, wynajmując mieszkanie i gdy teraz mizerna chodziła z pokoju do pokoju, ale nie była. Czuła skrytą radość, która czasami sprawiała, że była bliska łez.

Znaczna część radości Effie brała się z jej wiary, że gdy ktoś dobry umiera, ktoś inny przychodzi na świat, żeby go zastąpić. Parokrotnie w jej życiu zdarzyło się tak, że jakiś znajomy zmarł, a kilka tygodni lub kilka miesięcy później komuś innemu, kto był jej bliski, urodziło się dziecko. Być może Alisdair pojawił się na świecie, żeby zastąpić biednego Jamiego Arbuthnotta, a może z żalu po śmierci Karla von Ahlbecka jej zostało przeznaczone dziecko. Nasienie Alisdaira dało jej dziecku życie, ale ona myślała o nim nieustannie jako o dziecku Karla.

Nic nie mówiła Dougalowi, chociaż zwierzyła się Kitty, którą wzięła ze sobą do nowego mieszkania. Kitty, niech ją Bóg błogosławi, nic nie powiedziała, lecz objęła ją mocno i ucałowała. W ciągu kilku tygodni, gdy była pokojówką Effie, stały się sobie ogromnie bliskie, choć nie za sprawą słów i konwersacji, ale dzięki wzajemnemu szacunkowi i sympatii. Każdego wieczoru, gdy Effie wracała z banku, Kitty przygotowywała dla niej kąpiel, a potem, gdy Effie w jedwabnym szalu owijającym jej głowę i z twarzą pokrytą kremem leżała naga na otomanie w sypialni, Kitty masowała ją egzotycznymi wonnymi olejkami z Paryża (przedwojennymi, oczywiście), silnymi czarnymi palcami przynosząc ulgę mięśniom jej karku i ramion, ujędrniając policzki, masując piersi i brzuch oraz oklepując uda. Kitty знаła Effie bliżej niż którakolwiek inna kobieta. Po pewnym czasie Effie poznała Kitty równie dobrze, ponieważ poprosiła ją, aby także się rozbierała, ilekroć ją kąpie czy masuje. Effie nigdy nie kwestionowała swych własnych uczuć wobec Kitty i naprawdę nie było co kwestionować. Teraz, nosząc w sobie dziecko, czuła się bardziej kobieco niż kiedykolwiek w życiu, a kiedy ona i Kitty były razem, nie rozkoszowała się niczym bardziej skomplikowanym niż tylko świętowaniem kobiecości. Z zamkniętymi oczami leżała na ple-

cach, czując na brzuchu i biodrach dłonie Kitty, a na udach kołyszący dotyk jej nagich piersi, i miała wrażenie, że jest bliższa temu, czym rzeczywiście była; znacznie bliższa w istocie samej sobie niż kiedykolwiek mogła być w towarzystwie Roberta czy Dougala.

Czasami jednak następnego dnia w biurze zastanawiała się, czy nie jest nadmiernie romantyczna lub unoszona egzaltowaną prozą czasopism dla pań, albo zwyczajną osobliwością umysłu, na którą rzekomo zawsze cierpią ciężarne kobiety. Nie miała męża, który zapewniłby jej emocjonalną równowagę, a Kitty była tylko służącą.

Dougal wykorzystał milczący nastrój Effie i przeprowadzkę na Osiemdziesiątą Pierwszą Wschodnią, by bardzo mało się z nią widywać. Czasami spotykali się zaledwie dwa razy w tygodniu, a i wtedy jedynie podczas zebrań, w których uczestniczyło dziesięciu czy jedenastu innych członków kierownictwa banku. Dougal zdawał się być niespokojny, zaabsorbowany i zakłopotany sobą. Pewnego wieczoru poprosiła go, żeby przyszedł do jej mieszkania, mając nadzieję, że będzie mogła z nim porozmawiać, ale się nie pokazał. Następnego dnia, gdy przypomniała mu, że byli umówieni, spojrział na nią, jakby to ona się pomyliła.

1 lutego 1917 roku rząd niemiecki desperacko próbując odciąć Wielką Brytanię i Francję od dostaw wojennych, które wciąż wysyłano im z Ameryki, ogłosił podjęcie nieograniczonych działań wojennych przeciwko statkom państw niezaangażowanych. Sam Kaiser napisał na marginesie memorandum dowództwa niemieckiej marynarki wojennej: „Raz na zawsze koniec z negocjacjami z Ameryką! Jeśli Wilson chce wojny, niech ją ma!”.

Prezydent Wilson natychmiast rozkazał wyposażyć amerykańskie statki handlowe w karabiny, ale w marcu cztery z nich zostały zatopione przez niemieckie u-booty. Z końcem tego miesiąca stało się jasne, że prezydent, który „trzymał nas z dala od wojny”, nie ma innego wyboru, jak tylko włączyć w nią Amerykę. Wieczorem 31 marca usiadł na południowej werandzie Białego Domu z miseczką mleka i krakersami, które żona przyniosła mu z kuchni i na przenośnej maszynie do pisania napisał mowę, która położyła kres neutralności Ameryki. „Straszną jest rzeczą wprowadzać ten spokojny naród w wojnę, w najstraszniejszą i najtragiczniejszą ze wszystkich wojen. Ale słuszna sprawa jest cenniejsza niż pokój”.

Effie wysłała do Johna Browninga telegram o prostej treści: „Nareszcie”. Nie otrzymała odpowiedzi aż do maja, gdy John Browning napisał do niej własnoręcznie: „*Armia Stanów Zjednoczonych gruntownie przetestowała Browningowski średni karabin maszynowy i stwierdziła, że jest nadzwyczaj odpowiedni do powierzonego jej zadania. Złożono wstępne zamówienie na dwadzieścia tysięcy sztuk. Pani dalekowzroczność i odwaga opłaciły się tysiąckrotnie. Dwadzieścia razy po tysiąckroć! Pozdrowienia. John*”.

Później Dougal wszedłszy tego samego wieczoru do gabinetu Effie, spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Tyjesz. Wiesz o tym? – zapytał.

## 20

Nie mogła, oczywiście, już dłużej ukrywać ciąży. W maju była w połowie siódmego miesiąca i chociaż nosiła obszerne suknie, większość personelu nowojorskiego Watson's Bank domyślała się, że niebawem urodzi dziecko. Zapanowała ciekawość, mnożyły się plotki, ale na szczęście dla Effie wypowiedzenie wojny Niemcom dokonało ogromnej zmiany w postawie nowojorczyków wobec kobiet. Podczas gdy mężczyźni odpowiadali na odezwy Wujy Sama, które wołały: „Jesteś potrzebny!”, dziewczęta zostały kierownicami trolejbusów, funkcjonariuszkami policji drogowej, operatorkami maszyn fabrycznych i farmerkami. Korpus amerykańskiej piechoty morskiej zwerbował dwieście sześćdziesiąt dziewięć kobiet na stanowiska maszynistek i urzędniczek.

Gdy pod koniec maja Effie przestała pracować w Watson's Bank, w rubryce towarzyskiej „Evening Graphic” pojawiła się zagadka, „która niezamężna bankierka [...] świeżo przybyła do Gotham [...] niedaleko spokrewniona ze Szkockim Potentatem Dougalem Watsonem [...] porzuca stanowisko wicedyrektora fabryki „zielonych” przy Broad Street, aby jak słyszymy, stworzyć potentata-brzdąca?”.

Effie spodziewała się, że Dougal dostanie apopleksji. Faktycznie zaś była trochę rozczarowana, że tak się nie stało. Na początku czerwca, w piękny ciepły dzień z bryzą wiejącą przez miasto od strony wybrzeża Jersey, przyszedł ją odwiedzić w mieszkaniu przy Osiemdziesiątej Pierwszej Wschodniej, parkując nowy zielony samochód Pierce Arrow przy krawężniku i mówiąc: „Dzień dobry, pani oficer” funkcjonariuszce, która już otwierała notes i śliniła ołówek, aby wypisać mu mandat za blokowanie hydrantu przeciwpożarowego.

Effie siedziała z uniesionymi stopami na kopii szezlongu Ludwika XIV, układając na tacy puzzle z widokiem Mount Vernon, rodzinnego miasta Jerzego Waszyngtona. Kitty siedziała w kącie, naszywając koronki na bieliznę Effie. Effie miała na sobie jedwabny szlafrok w żywym seledynowym kolorze z beżowym szalowym kołnierzem. Jediną biżuterią, jaką nosiła, był pierścionek z dziewięciokaratowym brylantem, który John Brownig przyniósł na wiadomość wyczytaną o niej w rubryce towarzyskiej „Evening Graphic”.

– Jestem zachwycony – powiedział. – Teraz będzie pani miała dwoje dzieci. Mnie i juniora.



Dougal bezceremonialnie wręczył Effie ogromny bukiet białych róż owinięty w biały papier z białą wstążką. Effie przekazała go Kitty.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Mam nadzieję, że nie jest to dyskretny sposób powiedzenia mi, iż powinnam pozostać dziewicą.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Dougal. – Jestem uszczęśliwiony, o ile ty jesteś zachwycona.

– To najbardziej wymijający komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam.

– Co chcesz powiedzieć, Effie? Przyjechałaś do Nowego Jorku nie zaproszona...

– Och, nie z a p r o s z o n a, tak? Miałam błagać o zaproszenie od własnego brata?

– Nie to miałem na myśli. Chodzi mi to, że dałem ci partnerstwo w banku w dobrej wierze, a częścią owej dobrej wiary było to, że jesteś damą.

Effie spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Próbujesz mi powiedzieć, że nie jestem damą? Mam w brzuchu kopiące mnie dziecko, a ty próbujesz mi powiedzieć, że nie jestem damą? Czego ode mnie chcesz, żebym podniosła koszulę i dowiodła tego?

– Effie... na miłość boską!

Effie starannie odłożyła układankę na stojący obok niej okolicznościowy stolik i sięgnęła po rękę Dougala, a kiedy on z ociąganiem ujął jej dłoń, wyciągnęła drugą rękę i przytrzymała go mocno.

– Dzieje się coś złego, prawda? Czy to coś, co ma związek ze mną albo z tym dzieckiem?

Dougal szybko pokręcił głową.

– Masz dosyć własnych problemów. Nie zechcesz słuchać o moich.

– I tu się mylisz! Spójrz na mnie, zajmuję się układankami. Nie sądzisz, że byłabym zachwycona, mając inne zajęcie?

Dougal uwolnił dłoń i włożył ją pod ramię, jakby była zimna. Wydawał się zmęczony i przygnębiony. Jasnozielony kolor garnituru z czesankowej wełny nie poprawiał jego wyglądu. Jak większość ludzi, którzy źle się czują, nieomylnie wybierał te właśnie rzeczy, w jakich wyglądał najgorzej.

– Chodzi o May – powiedział. – Znalazła sobie kogoś innego. Powiedziała, że jeśli nie rozwiodę się z Mariellą, porzuci mnie i wyjdzie za niego.

Effie dotknęła jego rękawa.

– Zastanawiasz się, co zrobić?

– Nie – odparł. – Jeśli odejdę od Marielli, będę czuł się winny do końca życia. Jeśli pozwolę odejść May, zawsze będę sądził, że pozwoliłem wymknąć się z ramion kobiecie, którą powinienem poślubić.

– Jak zamierzasz postąpić? – zapytała Effie.

– Nie wiem. W jednej chwili czuję, że za nic w świecie nie mogę pozwolić May odejść, w drugiej zaczynam czuć udrękę z powodu Marielli.

- Chcesz mojej rady?
- Twojej rady?! Spójrz na siebie, w jakich jesteś kłopotach!
- Nie jestem w kłopotach – odparła Effie.
- Jesteś w ciąży, nie masz męża. Nikt nawet nie wie, kto jest ojcem.
- To nic w porównaniu z tarapatami, w jakich ty się znalazłeś. Ty jesteś nieszczęśliwy, a ja nie.

Dougal podniósł wzrok. Nie powiedział tego, ale było widać, że jest pełen zdumienia, iż Effie może być niezamężna, ciężarna i wcale się tym nie martwić. Była tym zatroskana, ale nie w taki sposób, w jaki jego zdaniem powinna się niepokoić. Powinna, on tak sądził, być zawstydzona i upokorzona. Przynajmniej zaś powinna wyjechać do jakiejś prywatnej kliniki położniczej w Kalifornii, potajemnie urodzić tam dziecko i załatwić dla niego przyzwoitą adopcję, najchętniej przez jakiegoś chrześcijańskiego mechanika samochodowego i jego żonę z Van Nuys.

- On się nazywa Morris – powiedział w końcu.
- Przyjaciół May? Ten, dla którego miałaby cię zostawić?
- Tak – wyszeptał Dougal. – Jest agentem ubezpieczeniowym. Młody, sprytny, elokwentny i bardzo amerykański. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo go nienawidzę. Mógłbym go zabić.
- Właśnie dlatego, że nie potrafisz podjąć decyzji – powiedziała Effie.
- Nie widziałas go – odparł Dougal. – Ma rude, falujące włosy i nos jak marchewka. Nie wiem, jak ona w ogóle może go dotknąć.
- Prawdopodobnie nie może. Pewnie umawia się z nim tylko dlatego, żeby ciebie zmusić do podjęcia decyzji.
- Do diabła! Nie wiem – wstał i z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni przemierzał pokój. – Nie potrafię opuścić żadnej z nich, a jednak nie mogę pozostać z obiema. Co ja mam, u licha, zrobić?

Effie sięgnęła po kawałek dachu domu Waszyngtona w Mount Vernon i starannie umieściła go we właściwym miejscu układanki.

- Jeśli nie możesz spokojnie odejść od Marielli, Dougal... jeśli nie czujesz się zmuszony do opuszczenia jej przez miłość, jaką żywisz dla May... to radzę ci, abyś pozostał w małżeństwie.
- Nie chcę pozostawać w małżeństwie z Mariellą.
- To od niej odejść.
- Nie mogę!
- Będziesz musiał coś zrobić. Tracisz głowę.
- Tracę głowę, tak? Masz coś do picia?

Effie zwróciła się do Kitty.

- Zechciej podać panu Dougalowi szkocką z wodą, a dla mnie martini.

Dougal usiadł po przeciwnej stronie pokoju w fotelu pełnym grubych poduszek z falbankami. Wyglądał wśród tych wszystkich falbanek jak zagniewane i nadąsane dziecko. W tym momencie przypominał Effie

Alisdaira; ojciec i syn tak bardzo byli do siebie podobni. Nigdy nie powiedziała Dougalowi, że Alisdair jest jego synem, ani że to życie, które w niej dojrzewa, jest dzieckiem Alisdaira. Dougal wiedział, że Robert poślubił dziewczynę o imieniu Prudence i że Prudence umarła, ale nie uświadomił sobie, gdy Effie pokazała mu ich ślubną fotografię, że to ta sama Prudence, którą poznał w Londynie. Czarna woalka, którą nosiła, do połowy skrywała jej rysy, a Prudence, podobnie jak Faith i Grace, była dość powszechnym imieniem, jakie wiktoriańscy rodzice nadawali córkom.

Utrzymywanie Dougala w niewiedzy na temat Prudence i Alisdaira było jedynym sekretem w życiu Effie, który sprawiał, że czuła się winna. Jednak przez wszystkie lata, jakie spędził w Ameryce, Dougal nie wydawał się szczególnie zainteresowany tym, co ona i Robert robili w Szkocji i w Londynie i teraz też go to nie ciekawiło, więc zastanowiwszy się, czy to słuszne czy niewłaściwe, by nie mówić mu, że spłodził syna, Effie uznała, że tak jest lepiej. Dougal miał dość cierpienia, z którym musiał sobie poradzić, a tamten niesforny dwudziestopięcioletni chłopak, który w Londynie w 1901 roku zrobił dziecko Prudence Cutting, nie był tym zmęczonym, bogatym potentatem finansowym z roku 1917, ze wszystkimi jego troskami i rozterkami. Dougal spełnił się w realizacji „amerykańskiego marzenia”, ale odkrył też ku swej konsternacji, że pieniądze to przede wszystkim tylko papier, a złoto to jedynie metal. Nosił futra z fok, ręcznie robione buty od Alana McAfee z Londynu i miał garnitury szyte przez Henry'ego Polle z Savile Row, przez krojczych specjalnie w tym celu sprowadzanych do Nowego Jorku. Jeździł po Nowym Jorku najdroższymi samochodami z połączanymi obudowami reflektorów i aksamitnymi zasłonami. Palił najlepsze hawańskie cygara i jadł w najelegantszych restauracjach. Mimo to zawsze wyraz jego twarzy zdradzał człowieka, który został boleśnie zawiedziony. Jego oczy nigdy na nikogo nie patrzyły wprost, lecz nieustannie szukały czegoś wokół, jakby czegoś mu brakowało. Współcześni psychologowie biznesu z pewnością powiedzieliby, że był bliski stanu zwanego syndromem „wypalenia”. Zdaniem psychiatrów z roku 1917 cierpiał na „wyczerpanie nerwowe”.

– Dlaczego nie pozwolisz mi przejąć banku na miesiąc lub dwa? Mógłbyś wziąć urlop – powiedziała Effie.

– O czym ty mówisz? Jesteś kobietą i niebawem urodzisz dziecko.

– Czy któryś z tych stanów jest nienaturalny?

Dougal parsknął sarkastycznie.

– Nie jest naturalne, by kobieta zajmowała się bankowością i nie jest naturalne, aby była w ciąży, nie mając męża.

Tak naturalne jak u nieszczęsnej Prudence, pomyślała Effie, ale zdołała ugryźć się w język.

– Ja tylko myślę o tobie – powiedziała.

– Cóż, to wykluczone. Dość już wysłuchuję narzekań od Dana Kressa.

Mężczyźni nie lubią, gdy polecenia wydaje im kobieta, niezależnie od tego, czy jest bogata czy biedna.

Do pokoju weszła Kitty z drinkami i Effie podała Dougalowi jego szkocką z wodą.

– To Dufftown Glenviet – powiedział z uznaniem, wachając trunek.

– Tak. Dla mojego brata wszystko co najlepsze. Poza tym mam co świętować. Armia amerykańska właśnie zamówiła kolejne dwadzieścia siedem tysięcy karabinów maszynowych Johna Browninga.

– Proszę, proszę – odparł Dougal. – Zanim się zorientujesz, będziesz miliarderką.

## 21

W Ameryce, która stanowczo i zapamiętale mobilizowała się do wojny; w Ameryce, której armia wysyłała niemal dwa miliony mężczyzn do Francji i której marynarka bezlitośnie tropiła niemieckie okręty podwodne na Atlantyku; w Ameryce akcji „Rób, co do ciebie należy” i „Dopaść Hunów”, Narodowej Pożyczki Wojennej i Domowych Ogródków; w Ameryce, w której zamożne damy z towarzystwa sumiennie obywały się bez chleba w czwartki, a bez mięsa w poniedziałki i upewniały się, by służba wyłączała latarnie w ogrodach, aby oszczędzać elektryczność, w takiej Ameryce 24 lipca 1917 roku o drugiej po południu, w Ollermeyer Memorial Clinic na Manhattanie przysła na świat Kay Fiona Watson.

Effie nieoczekiwanie dowiedziała się, że jest nowojorską znakomitością: bogatą szkocką dziedziczką bankową, która odrzuciła wszystkie konwencje i urodziła upragnione dziecko, nie poślubiając tajemniczego ojca. Reporterzy i fotografowie oraz redaktorki działów towarzyskich tłoczyli się w korytarzu przed jej pokojem i chwyтали za rękaw każdego, kto wyglądał tak, jakby mógł być jej krewnym albo lekarzem. Kwiaty przynoszono naręczami, szeleszcząc celofanem, pretensjonalnie powiązane kokardami i wstążkami. Dziennik „Daily News” opublikował na pierwszej stronie fotografię Kay zrobioną przez szparę w drzwiach pokoju noworodków z tytułem, który miał wzbogacić język angielski o nowe określenie: DZIECKO MIŁOŚCI.

W całej Ameryce znalazło się wielu ludzi, którzy zaprotestowali przeciwko „nagłaśnianiu” nieprawości Effie. Kaznodzieja Billy Sunday nazwał narodziny Kay Fiony „afrotem wobec wszystkich przyzwoitych religijnych Amerykanów” i sugerował, że Effie powinna być deportowana z Ameryki i odesłana z powrotem do „zdeprawowanej, dekadentkiej, pogrążonej w wojnie Europy”, z której przybyła. Pierwsza Dama, pani Edith Boiling Galt-Wilson, druga żona prezydenta, nie została wciągnięta w tę sprawę

publicznie, ale prywatnie powiedziała, że Effie „podważa zasady, które uczyniły Amerykę mistrzynią prawa i przyzwoitości”.

John Browning jednak przystał Effie butelkę Dom Perignon ze ślicznym bilecikiem ozdobionym koronkowym serduszkami, w którym napisał: „Dla Effie i jej nowo narodzonej córeczki Kay, z taką ufnością i wiarą w was obie, jaką zawsze okazujecie mnie”.

Poród był łatwy. Doktor Schwarz nazwał go *mechaiah*, szczęśliwą ulgą, jak kichnięcie. Mała Kay miała ciemne włoski, pąsową buzię i ważyła prawie trzy kilogramy. Effie we francuskiej koronkowej koszuli siedziała w swoim pokoju, otoczona różami, goździkami i storczykami, i trzymała w ramionach Kay z uczuciem, że nareszcie zaczyna odkrywać, czego naprawdę pragnie od życia. Udzieliła wywiadu tygodnikowi „Collier's”, mówiąc, dlaczego postanowiła urodzić dziecko i dlaczego zdecydowała się z tym nie ukrywać. Tygodnik został wyprzedany. Effie mówiła w nim: „Mężczyzna może spłodzić nieślubne dziecko bez żadnego wstydu ani jakiegokolwiek skandalu. Nie widzę powodu, dla którego kobiety miałyby się traktować inaczej. Dla mnie ważna jest córka, a nie to, co inni o mnie myślą. [...] Tak, jestem chrześcijanką i zamierzam wychować córkę w religii chrześcijańskiej. [...] Nie, nie chcę, aby moja córka wydawała na świat dzieci, jeśli będzie niezamężna. Mam nadzieję, że nigdy nie stanie wobec konieczności dokonania takiego wyboru. Proszę mi nie mówić, że Bóg nie pochwała narodzin mojej córeczki, gdyż wystarczy tylko na nią spojrzeć, żeby stwierdzić, jaką jest śliczną, najdroższą istotą. [...] Tak, zamierzam wrócić do pracy, gdy tylko będę mogła. Praca w banku na Wall Street jest w czasie wojny równie ważna jak szycie mundurów, produkowanie amunicji lub kierowanie ruchem. Jednym z powodów, dla których przybyłam do Ameryki, było to, że wiedziałam, iż mogę się przyczynić do pokonania Niemiec, pracując na Wall Street. Innym zaś jest to, że miałam nadzieję znaleźć tutaj równe szanse między mężczyznami a kobietami. Mogę nie mieć prawa głosowania, ale mam prawo pracy”.

Dougal przyszedł odwiedzić Effie w klinice trzy dni po przyjściu na świat Kay. Nie przyniósł jej kwiatów. Nawet nie usiadł na łóżku obok niej, ani nie okazał najmniejszego zainteresowania, żeby pójść do sali noworodków i obejrzeć Kay.

– Jesteś na mnie zły? – zapytała Effie.

– Bankowi nie przyniosło to korzyści – burknął. – Straciliśmy miliony dolarów na interesach z Południem, a także przez katolickich brokerów z Kalifornii. Sądzę, że jedynymi ludźmi, którzy z nami pozostają, są kwakrzy.

– Przykro mi – powiedziała Effie. – Nie chciałam zrobić tego wszystkiego publicznie. Po prostu tak się stało.

Dougal włożył ręce do kieszeni spodni i podszedł do okna.

– Cóż – rzeki po chwili – przepuszczam, że to rzeczywiście nie twoja

wina.

Zapadła długa cisza. Na zewnątrz jakaś sanitariuszka zamiatała korytarz, pogwizdując modną piosenkę.

– Co się stało, Dougal? – zapytała Effie. – Nie chodzi o dziecko, prawda?

– Nie – odparł i głos mu się załamał.

– Chodzi o May?

Skinął głową.

– Tak. Porzuciła mnie. Mówi, że skoro nie mogę odejść od Marielli, to wszystko między nami skończone.

– Więc co zamierzasz teraz zrobić?

– Co zrobię? – spojrzał na nią zdumiony. – Prawdopodobnie pójde do domu i się upiję.

– Myślisz, że to ci pomoże?

– Nie – odparł Dougal – ale co innego mi pozostało?

Effie nie wiedziała, co mu powiedzieć. Wydawał się być tak przybity, tak niezdolny, by poradzić sobie z tym, co się stało. Wyglądał jak człowiek uderzony cegłą w głowę podczas rozruchów, jak bokser, który wie, że ma iść do przodu, ale jest zbyt oszołomiony, żeby wiedzieć dlaczego.

Stał przy oknie przez chwilę, po czym podszedł do Effie i wziął ją za rękę.

– Nie wolno ci myśleć, że jestem na ciebie zły o dziecko. Nie jestem. Cieszę się, że wszystko przebiegło dobrze. Chciałem odwiedzić cię wcześniej, ale chyba nie potrafię uporać się z tym odejściem May i ze wszystkim.

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc – powiedziała Effie i na prawdę tak myślała.

Dougal uśmiechnął się cierpko.

– Ja także – odparł. Pocałował ją w policzek, a potem gotowy do wyjścia, zapiął marynarkę. – Jeszcze jedno – dodał. – Ustanowiłem fundusz powierniczy dla Kay. Nie będzie mogła tego ruszyć do ukończenia dwudziestu jeden lat, ale do tego czasu kwota powinna urosnąć do dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, przy obecnym oprocentowaniu.

– Dougal... – powiedziała Effie ze zdumieniem – dziękuję.

– To nic – wzruszył ramionami. – Równie dobrze mógłbym zostawić coś komukolwiek. Lepiej niż nic nikomu, prawda?

Dzień przed wyjściem do domu, w środę 1 sierpnia 1917 roku, Effie odwiedził jeszcze jeden niespodziewany gość. Była nim Mariella, bardzo przejęta, poruszona i zdumiona własnym postępowaniem, tym że odbywa wyprawę do Nowego Jorku sama i bez zgody Dougala. Miała na sobie powiewną, różową letnią suknię oraz kapelusz z szerokim rondem ozdobiony różowymi kwiatami i różową woalkę. Zapukała szybko i nerwowo, a weszła do pokoju tak gwałtownie, jakby ktoś ją wepchnął.

Effie właśnie karmiła piersią May, co Mariellę wprowadziło w zakłopotanie.

– Och, to ja wyjdę – powiedziała.

– Nie bądź niemądra. Siadaj. Kay je drugie śniadanie, zanim zabiorę ją do domu.

Mariella odłożyła torebkę i pakunki. Właśnie była na zakupach i u modystki (która zwykle pocztą przysyłała jej kapelusze na Long Island) po granatowy kapelusz z różowo-beżową lamówką.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tak wpadam – powiedziała. – Prawdę mówiąc, przyszedłam do ciebie specjalnie. Nie wygląda na to, prawda, z tymi wszystkimi pakunkami? Jednak nie mogłam zdobyć się na odwagę, by przyjść bez pośrednio tutaj. Myślałam, że możesz być zmęczona wizytami. Dzienniki, tygodniki, cały ten zgiełk...

– Cieszę się, że cię widzę – uśmiechnęła się Effie. Kay chwilowo usatysfakcjonowana pierwszą porcją drugiego śniadania, zapadała w sen i Effie musiała ścisnąć pierś, żeby krople mleka spadły z sutka i muskała nim dziecięce usta.

– Słyszałam, że jeśli połaskocze się stopki... – powiedziała Mariella.

Effie się roześmiała.

– Za chwilę znów się obudzi.

Mariella przyglądała jej się przez kilka minut, zagryzając usta.

– Sądzę, że jesteś bardzo odważna, wiesz, rodząc takie dziecko.

Effie, otarłszy pierś miękką chusteczką, ostrożnie umieściła ją ponownie w gorsecie z haftowanym wierzchem i nierdzewnymi fiszbinami, a następnie zapięła dopasowaną w talii szmizjerkę.

– Te gazetowe historie były pewną niespodzianką – powiedziała. – Myślałam, że będę mogła urodzić ją spokojnie.

– Uwielbiam dzieci – rzekła Mariella. – Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym ją pottrzymała?

– Ależ skąd! Uważaj tylko, żeby nie ułała pokarmu na twoją suknię. Ma niemiły zwyczaj robienia tego w najmniej spodziewanej chwili.

Effie skończyła się ubierać, podczas gdy Mariella trzymała dziecko w ramionach, łagodnie je kołysała i pieszczotliwie szeptała coś do snu. Na zewnątrz był czysty, amarantowy poranek i nic nie wydawało się dalsze niż wojna, ból czy agonía. Dwie przecznice dalej lśniąca w słońcu orkiestra wojskowa maszerowała przez Fifth Avenue, grając „When Johnny Comes Marching Home”.

– To Druga Dywizja Piechoty. Widziałam ich wcześniej – powiedziała Mariella.

– Boże, strzeż ich – szepnęła Effie.

– Dougal nie wrócił do domu na weekend – wyznała Mariella. Starła się być rzeczowa, ale jej głos zdradzał napięcie i niepewność. – Ja... Powiedział, że być może spóźni się w piątkowy wieczór, ale... w ogóle nie wrócił.

– Wiesz, że May go opuściła? – zapytała Effie.

Mariella była zaskoczona, że Effie mogła rozmawiać o romansie Dougala tak otwarcie. Większość jej znajomych, jeśli w ogóle o tym wiedzieli, nie mówiła wprost, żeby nie ranić jej uczuć. Trzymała Kay, więc nie mogła zrobić nic innego, jak tylko ze zdumieniem patrzeć na Effie ze łzami, które nagle trysnęły jej z oczu.

– On jest taki nieszczęśliwy. Wiem. Pragnę go uszczęśliwić. Zrobiłabym wszystko, żeby był szczęśliwy, ale mi nie pozwoli. Nie mogę znieść widoku jego udręki. To go niszczy, a okropne jest to, że niszczy również mnie.

– Mariello – powiedziała Effie najłagodniej, jak umiała – to może być wasza ostatnia szansa, aby rozpocząć małżeństwo od nowa, od zera.

Mariella żałośnie potrząsnęła głową.

– On mnie nie kocha – powiedziała. – Nie cierpi samego mojego widoku.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Effie.

Mariella przez chwilę milczała, a potem ostrożnie oddała Kay w ręce Effie, jakby nie ufała samej sobie. Kay zaczęła posapywać i płakać.

– Nie wiem, co robić – wyszeptła Mariella. – Przypuszczam, że gdybym w ogóle miała rozum, tobym się zabiła, ale nie mogę. Jestem za bardzo tchórzliwa i za bardzo Kocham Dougala.

Effie kołysała Kay w ramionach i spoglądała na Mariellę ze współczuciem i przykrością. Wiedziała, że nie jest odpowiedzialna za los Marielli, ale desperacko pragnęła czegoś, co mogłaby zrobić, aby jej pomóc. Cokolwiek pomogłoby Marielli, pomogłoby też Dougalowi i prawdopodobnie, gdyby jego trudności małżeńskie zostały pokonane, odzyskałby nieco tej werwy i energii oraz tej czystej „dougalości”, którą zawsze miał wcześniej.

Drzwi się otworzyły i weszła Kitty z haftowanym becikiem z różowego jedwabiu dla Kay i białym letnim płaszczem dla Effie.

– Nie przeszkadzam? – zapytała.

– Nie, wszystko w porządku, Kitty. Potrzymaj, proszę, dziecko, a ja skończę się ubierać – powiedziała Effie.

## 22

Podczas gdy Kay wyrastała z niemowlęcia w brzdąca, a potem z raczkującego berbecia w pewną siebie pięcioletnią damę, Effie spędzała w nowojorskim Watson's Bank coraz więcej godzin, czasami siedząc w gabinecie jedynie o kawie i kanapkach aż do dziesiątej lub jedenastej wieczorem, choć roziskrzone światła dzielnicy finansowej gasły jedno po drugim, podczas gdy ona nagrywała służbowe wiadomości na edisonowskim



fonografie i pisała kolejne strony sprawozdań. Standardową przechwałką każdego pracownika, który chciał zrobić na kolegach wrażenie, że śleczął po nocach, było powiedzenie, iż widział wychodzącą pannę Effie.

W maju 1918 roku, gdy w mieszkaniu Effie złotowłosa, kędzierzawa i już prześliczna mała Kay próbowała niepewnym krokiem pokonać drogę od jednego krzesła do drugiego, amerykańscy żołnierze przystąpili do działań wojennych w Montdidier, dowiadując się, jak wygląda walka o demokrację. W lipcu, gdy Kay siedząc na kolanach Effie raz za razem dmuchała na pojedynczą różową świeczkę na pierwszym urodzinowym torcie, amerykańska piechota pomogła Brytyjczykom i Francuzom zatrzymać Niemców w Château-Thierry, zaledwie kilka kilometrów od Paryża, a 24 września, w pełen zajęć czwartek, gdy Effie jadła lunch w restauracji La Table przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy z Bernardem Baruchem z Komisji Przemysłu Wojennego, amerykańskie oddziały podjęły kampanię w rejonie Meuse-Argonne i przyłączyły się do alianckiego natarcia, które ostatecznie przełamało linię Hindenburga i zmusiło Hunów do odwrotu.

Effie i Bernard jedli pieczonego strzępiela i sałatę. W czasie ich obiadu toczyła się największa bitwa w historii USA, w której wzięło udział ponad milion Amerykanów, spośród których sto dwadzieścia tysięcy zginęło.

– Mam dwadzieścia osiem tysięcy fabryk połączonych w jeden koncern produkcji wojennej – powiedział, dłubiąc w zębach osłanianych ręką. – Może pani w to uwierzyć? Dwadzieścia osiem tysięcy! O takim koncernie J. Pierpontowi Morganowi nawet się śniło. Zazgrzytałyby zębami! Nigdy wcześniej nie widziałem w Amerykanach takiego wspaniałego poświęcenia i w Bogu nadzieja, że nigdy nie będę musiał widzieć go znowu.

Effie się uśmiechnęła i dyskretnie skinęła dłonią na kelnera, aby podał jej rachunek. Za ten obiad płacił nowojorski Watson's Bank, a poza tym zaczynała być zmęczona towarzystwem pana Barucha. Aby odnosić sukcesy jako bankier, trzeba wiedzieć, co się stanie w kolejnym roku, a nie tylko to, co się dzieje teraz, albo co się zdarzyło w minionym miesiącu. Bernard Baruch nie rozmawiał o niczym innym jak o produkcji czasu wojny i kontraktach militarnych, podczas gdy Effie robiła wszystko, co mogła, aby wyobrazić sobie, co się stanie, gdy wojna dobiegnie końca.

Już teraz, dzięki lekturze licznych dzienników i magazynów oraz rozmowom z każdym, kogo spotkała, zaczęła dochodzić do przekonania, że większość Amerykanów wciąż tęskni za dawnymi dobrymi czasami, gdy Ameryka była wolna od międzynarodowych zobowiązań i spraw tego świata. W Nowym Jorku, a jeszcze bardziej w Waszyngtonie, istniała pewna zdumiewająca sprzeczność odczuć. Niewątpliwie wielu Amerykanów wciąż było odurzonych patriotycznymi wezwaniami do broni i wspaniałymi ideami „pokoju, wolności, kapitalizmu i demokracji”. Wciąż pragnęli pomścić „Lusitanię”. Istniał też jednak pewien nurt głębokiego zniecierpliwienia.

Minął rok (całe życie jednorocznej Kay), a wojna wciąż trwała. Matki i ojcowie ze Środkowego Zachodu pragnęli powrotu swoich synów do domu, a poza tym chcieli odzyskać swoją amerykańską niewinność. Panowało silne przekonanie, że Ameryka powinna znów być Ameryką, dalekowzrocznym państwem spłowiących kombinezonów oraz gorących letnich wieczorów nad farmami, miasteczkami i stacyjkami w Indianie, Iowa i Illinois. Przez całe lato 1917 roku Effie podróżowała pociągiem do St Louis, Chicago i Indianapolis, zabierając ze sobą Kay oraz Kitty i nową angielską nianię Burgess. Rozmawiała z bankierami, przemysłowcami, farmerami, inżynierami, budowlańcami i sklepikarzami. Od każdego z nich otrzymywała kolejne elementy układanki, które po złożeniu w całość miały jej dać jedyne w swoim rodzaju pojęcie o tym, czego Amerykanie naprawdę pragną. W owym czasie nazywała to „małomiasteczkowością”, ale pisarz Thomas Wolfe opisał jej to bardziej dobitnie na przyjęciu wydanym przez „Scribner's Magazin” dla uczczenia publikacji jego książki zatytułowanej „Spójrz ku domowi, aniele”. „To małe miasteczko Środkowego Zachodu – mówił z długą porcją popiołu zwisającą z papierosa – stanowi centrum wszechświata, wizerunek duszy, oś ziemi, wieczyste miejsce, gdzie wszystko nadchodzi i przemija, a jednak na zawsze pozostanie niezmiennie”.

– Czy sądzisz, że udaremnimy wysiłek wojenny, jeśli skrócimy ten obiad, a ty zamówisz mi taksówkę? – zapytała Effie Barucha.

Baruch wydał policzki.

– O co chodzi, Effie? Czy nie czujesz się dobrze?

– Sądzę, że Ameryka nie czuje się dobrze – odparła Effie.

W przeciwieństwie do Dougala, który każde ze swoich szesnastu lat spędzonych w Ameryce związał ze środowiskiem finansjery, podpisując kontrakty, zawierając przyjaźnie i starając się znaleźć nowe pomysły i nowo powstałe gałęzie przemysłowe, żeby zainwestować w nie swoje pieniądze, Effie natychmiast wyszła na zewnątrz i stała się znana nie tylko bankierom i maklerom giełdowym, ale również mieszkańcom małych miasteczek, rolnikom w Kansas i maklerom ubezpieczeniowym w Omaha. Była przewrażliwiona na punkcie własnych odczuć w kraju, który aprobował ją za ledwie umiarkowanie, a także dlatego, że była wyjątkowo uwrażliwiona na to, co Amerykanie naprawdę chcieli zrobić zarówno ze swoim życiem, jak i ze swoimi zarobkami. Podczas gdy Dougal siedział w Nowym Jorku, zarządzając poważnymi inwestycjami zagranicznymi, a kwestie poważnych ubezpieczeń powierzał Danowi Kressowi i Walterowi Leuchauserowi, Effie zapoczątkowała wśród innych bankowych przedsięwzięć Watsonowskie pośrednictwo maklerskie, które umożliwiało małym inwestorom zakup akcji dużych przedsiębiorstw, takich jak koleje, żegluga, stal i węgiel, a nawet zainicjowała swoje własne pośrednictwo maklerskie (któremu Dougal z rozdrażnieniem odmówił poparcia), aby pomóc kobietom w nabywaniu akcji

na raty.

Swoje kobiece towarzystwo maklerskie nazwała „Żółtym Żonkilem”, na cześć kwiatu, którego amerykańskie sufrażystki używały jako symbolu w swojej walce o prawo do głosowania. Reklamowała się w czasopiśmie „Woman's Home Companion”, „Ladies' Home Journal”, „The Secret”, „Popular Finance”, nawet w „Love Story”. Reklamy pisał dla niej przystojny i ekstrawagancki George Washington Hill, syn prezesa American Tobacco Company, który był kompanem od kieliszka Dougala, lecz szybko stał się jednym z najserdeczniejszych przyjaciół Effie. Hasłem, jakie wprowadził, było „Zdobądź jego zachwyty”, któremu towarzyszył rysunek przedstawiający dziewczynę w typie Margaret Gibson trzymającą certyfikat akcji i jej schludnego męża, który z czułym uwielbieniem wpatruje się w jej oczy. Pierwszy roczny obrót „Żółtego Żonkila” osiągnął wartość siedmiu i pół miliona dolarów.

11 listopada 1918 roku, gdy Kay jeszcze spała, a Effie siedząc w łóżku z filiżanką chińskiej herbaty przeglądała pierwsze szkice architektoniczne domu, który chciała zbudować na Long Island, niedaleko posiadłości Dougala, Niemcy bezwarunkowo poddali się aliantom, podpisując akt kapitulacji w wagonie generała Focha. Godzinę później zadzwonił telefon Effie.

– Panna Watson? – rozległ się głos Jacka Milwarda z Komisji Przedsiębiorstw Wojennych. – Wojna się skończyła. Niemcy skapitulowały.

Tamten dzień w Nowym Jorku był wyjątkowy. Na ulicach zgromadziły się wielkie, wiwatujące tłumy. Wszędzie powiewały flagi, a niebo wirowało kapeluszami, fajerwerkami i płatkami confetti. Ruch kołowy niemal zamarł. Wojna naprawdę się skończyła i wszyscy chcieli to świętować. W ciągu osiemnastu miesięcy pozbawiła życia stu trzydziestu tysięcy Amerykanów i pochłonęła ponad czterdzieści dwa miliardy dolarów.

Effie spędziła ten dzień w swoim gabinecie, spięta i powściągliwa, rozmawiając przez telefon z bankierami i maklerami w całych Stanach Zjednoczonych. Jeśli tego dnia wzięli sobie wolne, dzwoniła do ich domów.

– Sądzę, że prawdopodobnie najpierw będziemy mieć kryzys, a potem nastąpi szybki wzrost koniunktury – powiedziała senatorowi Henry'emu Cabotowi Lodge'owi.

Lodge, przewodniczący Senackiej Komisji do spraw Kontaktów Zagranicznych i żarliwy republikanin, wątpił w jakikolwiek boom gospodarczy pod rządami Wilsona.

– Wystarczy, aby ten człowiek tylko spojrzął na banknot jednodolarowy, a zmarniałby on jak przywędły liść sałaty – powiedział, ale obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy, aby pomóc Effie w Kongresie i zgłasza za każdą ustawą, która uchroni banki od rządowych interwencji i „nieprzesadnych utrudnień” Zarządu Rezerw czy Ministerstwa Finansów.

Lata, które nadeszły bezpośrednio po wojnie, były okresem, w którym

Amerykanie gorączkowo starali się odnaleźć własne „ja” i ponownie ukryć się w pościeli. Były to lata niesprawiedliwie trudne dla mężczyzn, których Amerykanie wybrali, aby im przewodzili. Woodrow Wilson załamał się pod napięciem prób przekonania nieżyczliwego Senatu do poparcia jego pomysłu „Ligi Narodów”, szczególnie po odrzuceniu przez Francję i Wielką Brytanię jego poglądu, że surowa zemsta na Niemcach jedynie zachęci ich do ponownego parcia ku wojnie „w ciągu następnego pokolenia”. Jego następca, Warren Gamaliel Harding, wybrany w 1920 roku dzięki obietnicom nostalgii i „normalności” oraz powrotu dawnej Ameryki załamał się i umarł pod napięciem starań, aby nadzorować niepoohamowanie skorumpowaną administrację bogatych i łobuzerskich przyjaciół z amerykańskiego Południa. Dopiero gdy w 1922 roku wybrano Calvina Coolidge'a zwanego „Cichym Calem” z jego sloganem, że Ameryka powinna „Zachować spokój i zachować Coolidge'a”, zaczęło powracać poczucie zadowolonego z siebie amerykańizmu, a wraz z nim wzrost narodowego zaufania i boom gospodarczy.

Effie przewidziała ten boom. Już wcześniej z wycuciem przepowiedziała ze swych podróży po Środkowym Zachodzie nowe marzenia, jakie ludzie będą snuć: o luksusowych kuchniach, samochodach i radiach. Zainwestowała ponad czterdzieści milionów dolarów ze środków Watson's Bank w samochody, sieć moteli, luksusowe urządzenia łazienkowe, hotele, nieruchomości, stal i ropę naftową. W dniu, w którym Coolidge pokonał Boba La Follette piętnastoma milionami głosów do ośmiu milionów, za dwa miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów kupiła preferencyjne akcje przedsiębiorstwa Waillard Oil z Forth Word w Teksasie i wyłączne prawa do roponośnego złoża w Sun Butte w stanie Wyoming.

Prezydent Coolidge kontynuował „normalność” obiecaną przez Hardinga. Pozwolił wielkiemu biznesowi zajmować się wielkimi interesami, bankom zaś pożyczaniem pieniędzy, ale pracował mniej i podjął mniej decyzji niż którykolwiek prezydent w historii Ameryki. Effie wykorzystwała Coolidge'owski rynek zwyżkujący, rozbudowując bankowy dział pośrednictwa maklerskiego i przekształciła „Żółty Żonkil” w przedsiębiorstwo finansowe o nazwie Women's Trust Inc.

Amerykańska niewinność, bez względu na to jak wyraźnie jej brakowało, nigdy nie wróciła. Wynaleziono „karty płatnicze” i Amerykanie zaczęli oczekiwać posiadania dzisiaj czegoś, na co może nie będzie ich stać jutro. Francis Scott Fitzgerald pisał skłaniające do refleksji powieści o „dzieciach epoki jazzu” i „szejkach”. W 1920 roku kobiety zdobyły prawo do głosowania, a trzy lata później roczny obrót firmy Women's Trust Inc, wyniósł dwadzieścia jeden milionów dolarów. Mężczyźni nosili szerokie spodnie i dyskutowali o futbolście Knute Rockne oraz drużynie uniwersytetu w Notre Dame w stanie Indiana i powtarzali stare dowcipy, które

poprzedniego wieczoru usłyszeli w programie stacji radiowej WEAf. Dziewczęta nosiły krótkie spódnice i pończochy, zaś studenci rywalizowali ze sobą o to, kto dłużej będzie siedział na jakimś słupie. Wprowadzono prohibicję, ale tacy przemytnicy alkoholu jak Bugs Moran i Al Capone zdobyli wyjątkową władzę i trwały złą sławę. Era prezydenta Coolidge'a pod sztandarem kontynuowania „normalności” zmieniła społeczne oblicze Ameryki i reszty świata wręcz nie do poznania i nie do odzyskania.

Uczyniła też z Effie jedną z najbogatszych kobiet.

## 23

W 1927 roku, gdy Effie miała czterdzieści trzy lata, „Wall Street Journal” ocenił wartość jej majątku na sto dwadzieścia siedem milionów dolarów. Była nieco mniej popularna niż Aimee Semple McPherson i trochę lepiej znana niż Renée Adorée. Jej dom na Long Island nieustannie prezentowano na łamach magazynów „Life” i „Ladies Home Journal”, zaś ona sama stała się jedną z ulubionych bohaterek plotkarskiej rubryki towarzyskiej prowadzonej przez Dorothy Dey w „Morning Telegraph”. „Multimilionerka Effie Watson uczestniczyła we wczorajszym przyjęciu wydanym przez gubernatora stanu Nowy Jork Alfreda E. Smitha, gdzie jej cekinowa srebrna suknia olśniła dosłownie w s z y s t k i c h łącznie z aktorką Ziegfielda, czarującą Mae Murray i gwiazdą „Salome” Ałłą Nazimova. Żona pana Sinclaira Lewisa wyraźnie sfrustrowana, że nie jest królową balu, wyszła wcześniej z bólem głowy(!) Panna Watson zwracała szczególną uwagę wymienianiem uprzejmości z magnatem branży napojów George'em „Getry” Sabatinim, słyszano też, jak jeden z gości powiedział, iż działają na siebie jak gorzelnia na ogień”.

Pod koniec lipca 1927 roku Dougal oprotestował w rozwlekłym urzędowym piśmie do Effie jej publiczną przyjaźń z George'em Sabatinim. Dwa tygodnie później, gdy Sabatini został zamordowany, przysłał Mariellę z jedenastoma czerwonymi różami do domu Effie na Long Island.

– Nie ma żadnego urzędowego pisma? – Effie z goryczą zapytała Mariellę.

Prawdopodobnie to właśnie śmierć George'a Sabatiniego i obojętność Dougala wobec jej żalu były tym, co bardziej niż cokolwiek innego skłoniło Effie do zrobienia bilansu własnego życia. Od ponad dziesięciu lat praca w banku pochłaniała jej czas, ale nie emocje. Jej bliski związek z Kay, która miała już dziesięć lat i była słodka jak cukierek, angażował jej uczucia, ale nie pragnienia.

Mężczyźni się jej bali, gdyż była rzutką i energiczną kobietą biznesu, ale prawda była taka, że ona w równym stopniu bała się mężczyzn. Obawiała

się, że będzie przez nich zdominowana i zmuszona do robienia czegoś, czego nie chce robić i jednocześnie bała się ich utraty. Były to czasy, gdy najatrakcyjniejszym mężczyznom groziło największe ryzyko, ją zaś przerażała myśl, że mogłaby się zakochać w kolejnym bohaterze lub kolejnym draniu tylko po to, żeby obudzić się i stwierdzić, że odszedł na zawsze.

Była smukła i wyrafinowana do granic, które Dorothy Dey nazywała „krawędzią elegancji”. Bardzo szczupła, odżywiła się w sposób, który był kwestią przyzwyczajenia, stosując plan specjalnie dla niej opracowany przez dziewięciu lekarzy dietetyków z kalifornijskiej Bestwick Foundation i regularnie zażywając suplementy witaminowe oraz tabletki z japońskich wodorostów morskich. Kiedy każdego ranka spoglądała na siebie nagą w lustrze, gdy Kitty przygotowywała jej strój, widziała piękną kobietę z modnie ostrzyżonymi włosami, modnie spleszczonym biustem, wyraźnymi zębami i smukłymi udami oraz wyglądającą tak młodo jak hollywoodzka gwiazda filmowa Dolores Costello. Jej twarz była regularnie odżywiana ekstraktem sporządzonym z łożysk szwajcarskich kóz mieszanych z mlekiem, lanoliną i błotem z Luizjany, a nogi i pachy woskowane preparatem Le Charot z Paryża. Wytwornie zadbane paznokcie Effie były długie jak pazury geparda.

Wśród swych klejnotów, których większość przechowywała w banku, miała przeszło siedemdziesięciokaratowy brylant Grange oraz szmaragdowo-rubinowy naszyjnik, niegdyś należący do madame Pompadour. Na Manhattanie wszędzie wożono ją ciemnozielonym rolls-royce'em z zastąpionymi szybami.

Wystarczająco bogata, by być nieprzejednanie uparta i irytująco ekscentryczna, często taka bywała. Chociaż wciąż nie była oficjalnym współnikiem Watson's Bank w Nowym Jorku i chociaż płęć uniemożliwiała jej wstęp na nowojorską giełdę, powszechnie uznawano ją na Wall Street za tę osobę, do której należało pójść, jeśli chciało się szybko otrzymać milionowy kredyt na coś nowatorskiego, ekscentrycznego i mogącego przynieść wysokie zyski. Spotykały ją oczywiście także niepowodzenia: udzieliła wsparcia pewnemu towarzystwu ubezpieczeniowemu w stanie Omaha, które zajmowało się jedynie roszczeniami samochodowymi, i straciła siedemset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Jednak jej sukcesy były oszałamiające: pomogła sfinansować sklepy „Piggly Wiggly”, gdy jako pierwsze wprowadziły „naukową organizację handlu”, która później przekształciła się w samoobsługę, a następnie w „supermarkety”. Pożyczyła pięć milionów dolarów Adolphowi Zukorowi, autokratycznemu szefowi wytwórni filmowej Paramount Picture, kiedy chciał wykupić całą sieć kin Scheinmana; dwadzieścia cztery kina za jednym zachłannym zamachem.

Wiedziała jednak, że pragnie czegoś więcej niż sukcesy, jedwabie, aksamity i klejnoty. Pragnęła czegoś więcej niż przywiązania Kitty i oddania

reszty personelu, a nawet czegoś więcej niż miłości córki.

Pewnego wtorkowego wieczoru, w lutym 1928 roku, gdy na zewnątrz budynku Watson's Bank przy Broad Street zaczynał padać śnieg, wyszła ze swego gabinetu na ósmym piętrze i poszła wyżej, żeby zobaczyć się z Dougalem.

– Obawiam się, że jest zajęty, panno Watson – powiedziała pospiesznie sekretarka, lecz Effie ją zignorowała i otworzyła drzwi gabinetu Dougala z takim impetem, jakby była agentem federalnym otwierającym wejście do nielegalnej fabryki whisky.

Dougal siedział za szerokim biurkiem z klonowego drewna, bez marynarki, a ogrzewanie w gabinecie było włączone na najwyższy stopień. Mimo słabego światła lampy nosił małe okulary z ciemnymi szklami, a jego twarz wydawała się biała i obrzmiała jak wielki grzyb.

Effie słyszała już z kilku źródeł (i złośliwych, i życzliwych), że Dougal nałogowo zażywa kokainę i wiedziała, że ostatnio rzadko zapraszano go na przyjęcia, ponieważ zawsze się upija, potyka o krzesła, stoły i akwaria, obraża kobiety i wszędzie wymiotuje. W zeszłym miesiącu po pewnym noworocznym przyjęciu na Park Avenue rzucił się w jakiejś futbolowej szarży przez wielkie szklane drzwi i przeciął sobie ramię tak okropnie, że wymagało założenia osiemnastu szwów.

Już wcześniej próbowała porozmawiać z nim w biurze, próbowała wszystkiego, aby go ułagodzić i uspokoić, ale zawsze odnosił się do niej tak grubiańsko i był w tak złym humorze, że rezygnowała. Pewnego wieczoru, gdy była w domu przy Fifth Avenue, zatelefonował pijany lub pod wpływem jakichś środków (albo jedno i drugie) i wrzeszczał na nią, że jest ladacznicą, zepsutą dziwką, która woli pieniądze niż mężczyzn, i że jej nienawidzi. Odłożyła słuchawkę, nie pozwalając mu powiedzieć nic więcej, jednak tego wieczoru, spokojna i opanowana, przestała go kochać jako brata, a zaczęła myśleć o nim wyłącznie jako o nieprzyjemnym i ordynarnym koledze z biura, w którym pracowała.

– Jesteś zajęty? – zapytała. Widziała, że próbował rozwiązywać jakąś krzyżówkę.

– Czekam na telefon – odpowiedział Dougal. – Czy Louise nie powiedziała ci, że jestem zajęty?

– Zbyt zajęty, żeby się spotkać z własną siostrą?

Dougal odłożył automatyczny złoty ołówek.

– Effie – rzekł z niecierpliwością – czekam na telefon z zachodniego wybrzeża. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, możesz to ująć w notatce służbowej albo nagrać fonografem.

– W sposób, w jaki poinformowałeś mnie, że tak zdecydowanie nie aprobujesz George'a Sabatiniego? – spytała Effie.

– W sposób, w jaki k a ż d y pracownik nowojorskiego Watson's Bank

wysłała pisma do prezesa, to wszystko – odparł Dougal.

– Rozumiem – powiedziała Effie, siadając i rozkładając plisowaną spódnicę zielono-złotej dziennej sukni od Wortha. – Posiadam ponad siedemdziesiąt osiem procent akcji banku i poręczenia osobistej wypłacalności przeszło trzydziestu pięciu milionów dolarów, które bank pożyczka drobnym pożyczkobiorcom; w pełni odpowiadam za działalność maklerską banku i to ja jestem jedynym wiarygodnym kontaktem z każdym w Zarządzie Rezerw Federalnych, a ty masz czelność nazywać mnie „pracownikiem”.

– Jak zwykle postanowiłaś być utrapieniem – rzekł Dougal.

– Wręcz przeciwnie – odparła Effie. – Postanowiłam przestać być utrapieniem. Zdecydowałam się odejść.

– O d e j ś ć ? ! – Dougal zażądał wyjaśnień. – Co masz na myśli, mówiąc „odejść”?

– Postanowiłam spakować moje problemy w stary żeglarski worek i pozwolić ci prowadzić nowojorski Watson's Bank samodzielnie.

Dougal zdjął swoje ciemne okulary, ostrożnie położył je na blacie przed sobą i ścisnął krawędź nosa między palcem wskazującym a kciukiem. Gdy wreszcie podniósł wzrok i jego twarz znalazła się w świetle biurowej lampy z zielonym abażurem, Effie była przerażona jego świńskimi oczami; jakież były małe, żółte i wodniste...

– Cóż – powiedział – wydaje się, że w końcu ujawnił się w tobie dobry stary duch watsonowski. Zniszczyć brata, zniszczyć matkę, zniszczyć synów, zniszczyć córki i kuzynów. To zabawne, czyż nie, jak tkwiąca głęboko rodzinna zgnilizna zawsze wychodzi na jaw?

Effie patrzyła na niego obojętnie, chociaż z trudem to wytrzymała.

– Dougal, tego dnia, kiedy poprosiłeś, żebym przyłączyła się do ciebie, nowojorski Watson's Bank był młodym i szanowanym bankiem; bankiem, który miał wpłynąć na zasady kredytowania na całym świecie. Całkiem nowym typem banku w nowym świecie. Watson's miał tak dobrą opinię na Wall Street, że gdy urodziłam Kay, byłam przerażona, że mogę zniszczyć twoją reputację. Możesz w to uwierzyć?

Dougal nie odpowiedział, ale zasłonił dłońmi twarz, tak że przez palce widać było tylko jego małe błyszczące oczy. Effie skierowała wzrok ku dywanowi leżącemu na podłodze.

– Problem tkwi w tym – mówiła dalej, znacznie łagodniejszym głosem – że z każdym mijającym dniem nowojorski Watson's Bank coraz bardziej wpływa na moją reputację. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy w okresie wzrostu gospodarczego, ale ty zachowujesz się jak mały chłopiec w sklepie ze słodyczami. Kiedyś miałeś zarówno umiejętność oceny sytuacji, jak i entuzjazm. Teraz wydajesz się nie mieć tej umiejętności i ludzie na Wall Street zaczynają to wyczuwać. Spójrz na siebie. Prawie nie wychodzisz z tego



gabinetu, a kiedy go opuszczasz, robisz coś tak okropnego, jak wypadanie przez oszklone drzwi. Bywasz rozrzutny w udzielaniu kredytów. Nie wiem, czy jesteś pijany, głupi czy tylko lekkomyślny.

– Rozumiem – powiedział Dougal głosem stłumionym przez dłonie.

Effie znów spojrzała na niego.

– Dan Kress pokazał kwoty pożyczek z ostatniego miesiąca. Nie rozumiem wszystkich wpisów, ale wydaje się, że wsparłeś National City Bank pożyczką w wysokości ponad stu czterdziestu siedmiu milionów dolarów. Czy to jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Nie masz żadnego szczególnego prawa, żeby wiedzieć o wszystkim – odparł Dougal. – Jesteś w radzie nadzorczej, ale to nie była decyzja rady. Będziesz mogła o tym przeczytać w rocznym sprawozdaniu.

– Pożyczyłeś sto siedemdziesiąt milionów bez aprobaty rady? Czy właśnie to próbujesz mi powiedzieć?

– Tylko na papierze, to wszystko. Charles Mitchell z National City Bank chciał obejść ograniczenia kredytowania narzucone przez Zarząd Rezerw Federalnych.

– Innymi słowy jest to nielegalny kredyt?

– Innymi słowy jest to sposób utrzymania boomu rynkowego, to wszystko.

Effie przez chwilę milczała. Wyjęła z torebki papierosa i włożyła go między umalowane na różowo wargi. Dougal sięgnął po zapalniczkę w kształcie samolotu Lindbergha o nazwie Spirit of St Louis i pstryknął przyciskiem, żeby podać jej ogień. Effie zignorowała ten gest i zapaliła papierosa własną zapalką.

– Gospodarczy boom nie będzie wieczny – powiedziała. – Co zrobisz, gdy się skończy?

– Nie skończy się – odparł Dougal.

– Chyba tak nie myślisz? Skończy się równie szybko, jak się narodził. Jest zbudowany jedynie na powszechnej ufności, Dougal, na niczym więcej.

Dougal też zapalił papierosa i głośno wypuścił przez nos smugę dymu.

– Nie słyszałaś, co powiedział ten profesor z Yale? Notowania giełdowe osiągną stale wysoki poziom. To czas wzrostu, Effie. Sprawy będą się układać wyłącznie lepiej.

– Na miłość boską, Dougal. Gdzie twoje wyczucie? Nie mam nic przeciwko pompowaniu pieniędzy w rynek bydła, a nawet przeciwko pożyczaniu trzydziestu pięciu procent naszych depozytów, jeśli to możliwe. Ale gdzie są nasze rezerwy? Co się stanie, jeśli rynek się załamie i choćby tylko jedna czwarta drobnych ciułaczy w całej Ameryce zechce zamienić swoje akcje na gotówkę w twardych dolarach po dzisiejszej cenie? Nowojorski Watson's Bank będzie zmieciony z powierzchni ziemi w ciągu jednej nocy. Ty możesz stwarzać złudzenie, że żonglujesz w powietrzu pięcioma piłeczkami, gdy w

istocie masz tylko trzy, ale wcześniej czy później ktoś cię zapyta, czy może odzyskać te pięć piłeczek, i co wtedy zrobisz? Pobiegiesz do Morgana, żeby ci oddał? Będziesz błagał na kolanach Zarząd Rezerw?

– Nie potrzebuję przedszkolnych lekcji bankowości od ciebie, dziękuję bardzo! – powiedział Dougal.

Odsunął krzesło, wstał i okrążył ją tą pulchną nadętością, która przypominała Effie boleśnie Roberta na pogrzebie ich matki. Wielki, tłusty zad, nabrzmiałe uda.

– Naprawdę mam zaplecze, jeśli o to chodzi, nawet gdy nastanie jakiś chwilowy zastój... którego nie będzie.

– Ach, tak. Jakie zaplecze?

Położył jej rękę na ramieniu i kilkakrotnie ścisnął.

– Hm... – zaczął rozbawiony sobą i zaciągnął się papierosem. – Jest nim Robert. Koresponduję z nim ostatnio i zgodził się nas asekurować.

– Robert?! – wykrzyknęła Effie. – Masz na myśli naszego brata Roberta?

– Tak. Nie mówiłem ci? Napisałem do niego mniej więcej trzy miesiące temu i zapytałem, czy byłby zainteresowany współpracą z nami. Przybywa piętnastego.

– Piętnastego? Jakiego piętnastego?

– Piętnastego kwietnia. Nie powiedziałem ci? No dobrze, dobrze, przyznaję: to niedbalstwo z mojej strony. Będzie jak za dawnych czasów. Jak w domu.

Effie poczuła, że jej zimno, a potem jeszcze zimniej, jakby ktoś powoli wylewał jej na plecy dzban lodowatej wody.

– Nie mogłeś tego zrobić! Chyba się ze mną droczysz.

Dougal skinął głową ze smugami dymu wydobywającymi się z jego nozdrzy.

– Nie możesz znieść urazy, prawda? Cóż, ty chyba możesz, ale ja nie mogę. Zresztą dlaczego miałyby cię to obchodzić? Przecież odchodzisz, czyż nie? Poddajesz się. Na wypadek gdyby twoja nieskazitelna reputacja miała zostać splamiona.

– Dougal... – powiedziała Effie.

Dougal znów zasiadł za swoim biurkiem i oparł się plecami w fotelu. Wydawał się taki spuchnięty i obcy za tymi ciemnymi okularami, że Effie czuła się tak, jakby dręczył ją bezsensowny nocny koszmar, w którymś jakiś rozdęty sztuczny twór udawał jej brata. Nie wyglądał jak Dougal i nie mówił jak Dougal, ale jednak był Dougalem. Przez ułamek sekundy zobaczyła go jako chłopca, w brązowym tweedowym płaszczku, stojącego na wietrznym szczycie Góry Artura w Edynburgu i mówiącego: *Spójrz, Effie, spójrz...* ale potem słowa zniknęły, pochłonięte przez zbyt wiele lat, zbyt wiele lat wrzenia i przez groteskowość tego człowieka, który teraz siedział naprze-

ciwko niej; otylego, niesympatycznego i mówiącego językiem, który był dla niej niemal niemożliwy do zrozumienia.

– Może zainteresuje cię wiadomość, że w zeszłym tygodniu znów spotkałem May – powiedział Dougal.

– May? Mówisz o tej dziewczynie, z którą...

– Tak, mówię o tej May. Wyszła za męż, wiesz? Nie mogę jej za to winić. Spotkaliśmy się przypadkowo w domu towarowym Macy's, w dziale kosmetyków, gdzie szukałem czegoś dla Marielli. Jest... nie jest zamożna. Wcale. Powinnaś była widzieć jej płaszcz. Wytarty! Cóż, bardzo sfatygowany, łaty i tak dalej. No dobrze, może nie łaty, ale bardzo tani. Prawie się nie poznaliśmy, dopiero gdy zapytałem sprzedawcę, ile płacę.

Effie nie powiedziała ani słowa. Oglądanie Dougala było trudne do zniesienia. W jednej chwili cierpiał, w następnej przeklinał, a potem próbował być przebiegły i sprytny. Ból tego przedstawienia był dojmujący.

– My... – zaczął Dougal, po czym wyciągnął rękę i strząsnął popiół z papierosa. – My... um... umówiliśmy się, że będziemy znowu się spotykać. Rozumiesz, z czasem. Żadne z nas nie chce się do niczego zobowiązywać. Jednak ona, cóż, ona powiedziała... – na minutę zapadło niemal druzgoczące milczenie, potem Dougal bardzo starannie odłożył papierosa do popielniczki, przycisnął ręce do twarzy i zaczął płakać. Głęboki szloch wstrząsał całym jego ciałem. Po chwili zdjął okulary, sięgnął po chusteczkę, otarł oczy i powiedział: – Przepraszam...

– Nie musisz – odparła Effie.

Dougal się skrzywił, złożył chusteczkę i głośno wytarł nos.

– To mnie zrujnowało, ten romans. Nie masz pojęcia. To mnie zrujnowało.

– Mogłeś odejść od Marielli. Mogłeś odejść z May.

– Żałuję, że nie odszedłem.

– Nigdy nie wiedziałam, dlaczego pozostajecie razem – powiedziała Effie. – Przypuszczam, że Mariella cię kocha, ale ty nie kochasz jej. Z kimś innym byłoby jej lepiej.

Dougal odzyskał panowanie nad sobą. Wsunął chusteczkę z powrotem do kieszeni, szarpnął za klapy, znów pociągnął nosem i uporządkował pióra oraz otwieracz do listów obok suszki do bibuły. Ten otwieracz był prezentem od prezydenta Coolidge'a.

– Z poczucia winy – odparł. – Mnóstwo ludzi zostaje razem z poczucia winy.

– Nie wiem, dlaczego czujesz się winny.

– Nie wiesz? No cóż, przypuszczam, że nie chciałabyś wiedzieć.

Znowu na chwilę zapadła cisza.

– Co z Robertem? – zapytała Effie.

– Z Robertem? Napisałem do niego, a on odpisał, to wszystko.

Wymieniliśmy poglądy o inwestycjach w Europie i o inwestycjach na amerykańskim rynku akcji.

– On w czasie wojny pożyczył pieniądze Niemcom. Wiesz o tym, nieprawdaż?

– Oczywiście, że pożyczył Niemcom pieniądze podczas wojny. To samo zrobiła większość prywatnych banków na Wall Street.

– Ty tego nie zrobiłeś.

– Nie, ja nie. Nawet nie pomyślałem, że to może być słuszne. Jednak to było dawno. Dziesięć lat temu! To całe wieki! Nie można pozwolić wspomnieniom, by stawały na drodze interesom. Zresztą Robert jest moim bratem; moim starszym bratem.

– Robert jest wyrachowanym łobuzem. Do tej pory powinieneś to już wiedzieć. Nie robi dla ciebie niczego dobrego.

Dougal z lekceważeniem machnął ręką.

– Histeryzujesz, Effie. Tylko dlatego, że pokłóciliście się w czasie wojny.

– Dougal, co się z tobą dzieje? – Effie domagała się wyjaśnień. – Spójrz na siebie! Kiedyś byłeś taki pogodny i pełen życia. Byłeś taki radosny. Zawsze mogłam liczyć na twoje zrozumienie, energię i rozwagę.

Dougal burknął, jakby to, co powiedziała Effie, było śmieszne.

– Jestem starszy, Effie, w tym rzecz. Bardziej odpowiedzialny. Bogatszy. Mądrzejszy.

– Nie – zaoponowała Effie. – To nie to.

– Ależ tak, to jest to – rzekł Dougal. – Ty również jesteś starsza, jeśli tylko zdasz sobie z tego sprawę. Może już czas, byś przestała się zachowywać jak dziewiętnastoletnia panienka i zrozumiała, że jesteś kobietą w średnim wieku z obowiązkami wobec rodziny i wielką odpowiedzialnością wobec banku, dla którego ta kobieta pracuje.

– A jednak odchodzę, bez względu na to, co mówisz.

– Odejdź, no ruszaj. Zobacz, czy się tym przejmę.

– Bardzo dobrze wiem, że cię to nie obchodzi. Właśnie dlatego próbuję się dowiedzieć, co się z tobą dzieje.

Dougal wyduł wargi, a potem wzruszył ramionami.

– Za ciężko pracuję, to wszystko. Powinienem trochę zwolnić.

– Wcale się nie przepracowujesz. Dan Kress powiedział mi, że zlecasz mu niemal wszystko. Prawie wszystkie popołudnia spędzasz w klubie Côte D'Or przy Pięćdziesiątej Ulicy, pijąc tam przemywany alkohol i bawiąc się z tanimi dziewczętami, a jeśli nie jesteś pijany, to wciągasz kokainę w męskiej toalecie. Dan mówi, że od miesiący nie był w stanie uzyskać od ciebie żadnej konkretnej decyzji.

– Wspaniale! – powiedział Dougal. – Mam to po tobie, kobiecie bankierze, która urodziła bękarta i zabawiała się ze znanym gangsterem.

Effie wstała i obeszła dookoła biurko Dougala. Przez chwilę patrzyła na niego, a potem zerwała mu z twarzy ciemne okulary i połamała je gołymi rękami.

– Jesteś tłustym, śmiesznym nieudacznikiem. Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę własnego brata w takim stanie. Nie Dougala. Nie brata, który zawsze był mi bliski i który wszystko ze mną dzielił. To ty jesteś powodem, że odchodzę; ty sam. Nie dlatego, że cię nienawidzę, bo tak nie jest, bez względu na to, co mi mówisz, ale dlatego, że cię kochałam, a oglądanie kogoś, kogo się niegdyś kochało, a kto się zdegradował do bełkoczącego idioty, jest nie do zniesienia.

Dougal spojrział na nią swymi małymi świńskimi oczami, a potem wyduł wargi i odwrócił wzrok.

– Doskonale! Rób jak chcesz – powiedział.

– Wcale tego nie chcę, ale czasami nie ma się wyboru.

Wyszła z banku o dziewiątej wieczorem, ale zamiast pojechać taksówką do domu, poszła na długi spacer w padającym śniegu, z podniesionym kołnierzem czarnego futra i nisko naciągniętą futrzaną „rosyjską” czapą, na wypadek, gdyby ktoś ją rozpoznał. Doszła aż do University Square i z rękami w kieszeniach przystanąła na rogu Fifth Avenue, patrząc na białe płatki spadające obok ulicznych latarni.

Gdy dotarła do domu, Kay jeszcze nie spała, choć była już bardzo senna. Effie usiadła na brzegu jej pokrytego różowym brokatem łóżeczka w różowo-białym pokoju i pochyliła się, żeby ją ucałować.

– Masz zimne ręce – powiedziała Kay.

– Poszłam na spacer w śniegu.

Kay zmarszczyła brwi, a potem pocałowała i pocierała jej dłonie, żeby je ogrzać.

– Jesteś smutna? – zapytała.

Effie pokręciła głową.

– Nie jestem smutna. Już niedługo będzie Boże Narodzenie.

– Mam nadzieję, że dostanę ten domek dla lalek, który widziałam w sklepie z zabawkami.

– Może. Musisz napisać do Świętego Mikołaja.

– Nie ma żadnego Świętego Mikołaja.

– Wiem – przyznała Effie. – Obawiam się, że wszyscy się o tym wkrótce przekonamy.

Jej romans z Sabatinim był krótki, bujny i przejmująco tragiczny. Nie oplakiwała go długo, chociaż jej przyjaciółka, projektantka wnętrz Margaret

Shaw, do której eleganckiego domu w New Hampshire wycofała się na trzy tygodnie po morderstwie, mówiła jej od czasu do czasu, że niewystarczająco płakała.

– Straciłaś go, prawda? – twierdziła uparcie Margaret. – Zatem daj swej miłości wszystkie łzy, na jakie zasługuje.

– Próbowałam – odpowiadała Effie – ale po prostu nie mogę już płakać.

Tak samo prawdziwa była wobec kwestii Dougala: nie mogła już dłużej płakać z jego powodu. Tak całkowicie stracił wiarę w siebie, w swą pracę i we wszystkich wokół. Jego stan nie był ani trochę lepszy niż stan szpitalnego pacjenta z nieuleczalną chorobą, oszołomionego środkami przeciwbólowymi, mówiącego bez składu w strachu i cierpieniu, a z nadzieją czekającego tylko na jedno: że umrze, zanim ból stanie się zbyt trudny do zniesienia.

Effie wiedziała, że teraz najważniejsza jest dla niej ona sama i Kay oraz ochrona własnego majątku. Tydzień po wtorkowej rozmowie z Dougalem złożyła wizytę swoim adwokatom w kancelarii „Schwab & Moorhouse” i zaczęła załatwiać wycofanie swego prywatnego kapitału z nowojorskiego Watson's Bank i ze wszystkich spółek, których akcje (o czym wiedziała z zewnętrznych źródeł) były sztucznie zawyżane przez nielegalne kredyty.

Siedziała teraz wśród kolekcjonowanych przez pana Moorhouse'a rzadkich doniczkowych paproci, ubrana w zieloną przedpołudniową suknię od Wortha z dużą, zieloną kokardą na biodrze i brzegiem podkreślonym półokrągłymi ząbkami z drobnych pereł.

– Chyba lepiej będzie zamówić butelkę szampana, zanim zaczniemy – powiedziała łagodnie. – Obojgu nam będzie potrzebny.

Mecenas Moorhouse był zaszokowany i nie mógł pojąć decyzji Effie o sprzedaniu tak cennego pakietu akcji. Siedział za wielkim marokańskim biurkiem ze swymi wspaniałymi siwymi, falowanymi i lśniącymi w słońcu włosami, a jego małe niczym myszki dłonie przebiegały z jednego arkusza papieru na drugi.

– Jest pani pewna, że naprawdę chce pani to zrobić, panno Watson? – zapytał. – Rynek akcji notuje teraz stabilny wzrost. Poświęć pani miliony dolarów, jeśli pozbędzie się pani swoich udziałów akurat w tym momencie. Akcje wcale nie zaczynają spadać i nie ma żadnych oznak, że spadną.

Effie jednak była niewzruszona. W Watson's Bank w Nowym Jorku sama widziała, jak rynek akcji był pompowany niczym balon na gorące powietrze pieniędzmi, które po prostu nie istniały. Akcje dużych korporacji wyceniano trzy a nawet cztery razy wyżej od ich rzeczywistej wartości, a co gorsza, drobni inwestorzy kupowali je za dziesięć procent ceny, resztę ceny zakupu spłacając kredytami brokerskimi, które z kolei finansowane były przez prywatne banki i przez same duże korporacje.

Effie chciała sprzedać akcje przedsiębiorstw Standard Oil, General Motors, Aluminium Company of America i Bethlehem Steel Company. Pan

Moorhouse zrobił się błąd, przesuwając ołówek w dół listy udziałów, których pozbywała się Effie. Wstał, potem usiadł, a za chwilę znowu wstał i drżącą ręką dołał Effie trochę szampana.

– Zechce mi pani wybaczyć – powiedział. – Muszę porozmawiać przez chwilę z panem Schwabem.

Dziesięć minut później, trochę bardziej różowy, wrócił, usiadł i patrzył na nią, mrugając oczami.

– Panno Watson – rzekł – doprawdy nie polecamy pani tego posunięcia. To jest katastrofalna decyzja. Może powinna się pani udać do lekarza. Może nawet do dwóch. Zasięgnąć drugiej opinii. Może jakiś krótki odpoczynek, a potem ponownie wszystko rozważymy?

Effie wypila łyżeczek szampana.

– Jeśli nie chce pan zrealizować dla mnie tych transakcji, panie Moorhouse, wystarczy mi godzina, aby znaleźć kogoś, kto zechce.

– Panno Watson, pani chyba nie w pełni rozumie konsekwencje tego, co pani robi. Przenosi pani niemal cały kapitał ze zwykłego, dynamicznego, ogromnie zyskowego głównego nurtu akcji, w inwestycje bezpieczne, to prawda, ale w porównaniu z nimi prawie całkiem statyczne. Ma pani listę nieruchomości, które chce pani zakupić w Kalifornii. Doprawdy, kto chce teraz kupować nieruchomości w Kalifornii?! Ma tu pani na swojej liście także ziemię uprawną, a wie pani równie dobrze jak ja, że ceny w tej dziedzinie tkwią w zastoju. Pragnie pani złota, srebra i koncesji wydobywczych, a nawet kolejnych nieruchomości oraz dzieł sztuki. Są na tej liście „obrazy Giotta, Martiniego i Lorenzettiego”. To brzmi jak firma producentów włoskich kielbasek – przesunął drobną dłonią po włosach i westchnął. – Panno Watson, nie sądzę, że chce pani stracić tak dużo pieniędzy przez inwestowanie w te rzeczy. Nie znam się na ziemi uprawnej, to zależy od cen. Jeśli chodzi o sztukę, cóż, sztuka dla dobra sztuki, pieniądze dla miłosierdzia boskiego. Doprawdy chyba nie możemy pani pomóc. Jeśli na Wall Street rozniesie się, że to my jesteśmy odpowiedzialni za wyeliminowanie z rynku jednej z największych prywatnych fortun w historii Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza pani fortuny... cóż... może pani sobie wyobrazić, że ludzie nie ustawią się w kolejce po nasze usługi.

– Panie Moorhouse – powiedziała Effie – zrobi pan to, o co proszę?

– Nie, madam – odparł pan Moorhouse.

Effie wstała.

– W takim razie może pan przysłać swój ostatni rachunek do mego biura. Dam panu znać, gdzie przenieść moje dokumenty, gdy podejmę inne ustalenia.

Pan Moorhouse także wstał, zmieszany i podenerwowany.

– Nie chcę stracić takiej klientki jak pani, panno Watson, proszę mi wierzyć.

– Wierzę, ale właśnie pan stracił.

Tego popołudnia wróciła do swego apartamentu przy Fifth Avenue. Nie miała ochoty wracać do banku. Posłała już Dougalowi oficjalne pismo, że odchodzi, na które on formalnie jeszcze nie odpowiedział. W istocie nadal rozmawiał z nią tak, jakby zmieniała decyzję, jakby zrozumiała, że się pomyliła i postanowiła zostać. Kilka razy dziennie wchodził i wychodził z jej gabinetu w ciemnych okularach sklejonych plastrem i silił się na niemądre uwagi o krwi gęstszej niż forsa.

Gdy dotarła do domu, Kay grała na fortepianie jakiś prosty gawot Haendla. Effie przeszła przez pokój dzienny, w którym stał biało-złoty steinway i pocałowała Kay w czubek pokrytej loczkami głowy.

– Ślicznie – powiedziała.

– Panna Kremer mówi, że moje wycucie rytmu jest okropne. Panna Kremer mówi, że kłopot ze mną polega na tym, że nie potrafię liczyć – relacjonowała Kay.

– Myślę, że to jest również mój kłopot – uśmiechnęła się Effie i usiadła, aby posłuchać przez chwilę. Uświadomiła sobie, że tworzą obraz: matka i córka w pokoju udrapowanym błękitnym aksamitem i koronką i zawieszonym flamandzkimi akwarelami; a ich odbicia miękko padają na wyfroterowaną do połysku podłogę z dębowego parkietu. Gawot był wyrazisty, elegancki i kojący. Effie zamknęła oczy i myślała tylko o miłych wspomnieniach.

Zadzwoił telefon, Kitty wyszła, żeby go odebrać, a po chwili wróciła.

– To do pani, panno Watson. Jakiś dżentelmen o nazwisku Caldwell Brooks.

– Brooks? Nigdy o nim nie słyszałam. Powiedział, o co mu chodzi?

– Przedstawił się jako doradca finansowy, jeden ze współników kancelarii „Byrd Brooks Stein” przy Canal Street. Tylko tyle.

Effie o nich czytała. Mieli opinię jednej z najostrzejszych spółek na rynku doradców sztucznie wywołanych cen, ekspertów w dziedzinie przepisów maklerskich, wyrafinowanych, szybkich i bardzo drogich. Cieszyli się sławą młodych rycerzy ery Coolidge'a. Effie posłuchała jeszcze jednego taktu gawota, a potem odpowiedziała:

– Dobrze, porozmawiam z nim. Zechciej mi przynieść kieliszek białego wina. Pouilly-Fuissé.

Wyszła do marmurowego stolika w hallu i podniosła słuchawkę.

– Mówi Effie Watson.

– Panna Watson? Nazywam się Caldwell Brooks. Przepraszam, że telefonuję do pani w taki sposób, ale słyszałem, że potrzebuje pani pełnomocnika do zbycia części pani akcji.

– Kto panu to powiedział?

– Mówi się o tym, panno Watson. Ulica żyje pogłóskami.



- Stawia pan siebie jako kandydata, czy tak, panie Brooks?
- To był ogólny pomysł. Może mógłbym przyjść do pani biura i przedyskutować go z panią.
- Co sprawia, że uważa pan, iż będzie w stanie zajmować się takim kon-tem jak moje? Nie mówimy o dwóch czy trzech milionach, lecz o dziesiątkach milionów.
- Wiem o tym, panno Watson. To przyprawia mnie o błądność, ale nie mdleję.

Effie namyślała się przez chwilę. Kitty przeszła wzdłuż holu z wysokim kieliszkiem Pouilly-Fuissé na srebrnej tacy. Effie sięgnęła po wino i podziękowała jej.

- Jeśli może to być jakąś gwarancją – rzekł Caldwell Brooks – to powiem, że osobiście zajmuję się sprawami pani Ursuli T. Hunt.
- Pani Ursula T. Hunt jest hazardzistką, nie bankierem.
- Rozumiem, panno Watson. Uważam jednak, że mam pewną szczególną umiejętność dopasowywania swoich usług do wszystkich osobistych wymagań klienta. Jeśli chce pani sprzedać, sprzedamy. Uzyskamy optymalne możliwe ceny, a następnie dokonamy bezpiecznej i sensownej reinwestycji pani pieniędzy.

Effie upiła nieco wina.

- Jest pan bardzo pewny siebie w tej paplaninie.
- To nie paplanina, panno Watson. Nigdy nie obiecuję czegoś, czego nie mogę zapewnić.
- W porządku – odparła Effie. – Właściwie dlaczego nie miałby pan wpaść do mnie dzisiejszego popołudnia? Jestem w domu do czwartej. Porozmawiamy przy herbacie.
- Byłoby mi bardzo przyjemnie, panno Watson. Przyjdę punktualnie o trzeciej.

Effie wzięła prysznic i przebrała się w przylegającą popołudniową suknię z jasnobłękitnego jedwabiu obszytą niebieskim aksamitem. Usiadła przed toaletką, pałac papierosa, a Kitty szczotkowała jej włosy.

– Nie wydaje się pani zbyt zadowolona, panno Effie – powiedziała Kitty.

Effie próbowała się uśmiechnąć.

- Nie?
- Nie. Od kiedy pomyślała pani o opuszczeniu banku, jest pani naprawdę przygnębiona.
- Faktycznie, nie odeszłam w najprzyjemniejszych okolicznościach.
- Z panem Dougalem wciąż jest źle?

Effie skinęła głową.

– Wydaje się, że codziennie czuje się gorzej. Fizycznie i umysłowo. Naprawdę nie wiem, co on próbuje sobie zrobić?

Kitty odłożyła szczotkę i grzebień, a potem nachyliła się nad toaletką, żeby móc zobaczyć, jak włosy Effie ułożyły się z przodu.

– Miałam kiedyś takiego wujka – powiedziała. – Stracił pracę w zakładzie stolarskim, bo przypadkowo obciął sobie dwa palce. Po tym wypadku popadł w rozpacz i ruinę. Upijał się do nieprzytomności spirytusem drzewnym, a wachał i palił każde paskudztwo, jakie zdołał znaleźć. Klej, proszek do pieczenia, środki do dezynfekcji, nawet jakiś suchy, utarty włoski ser, jeśli tylko sprawiało mu to zadowolenie.

– Naprawdę nie rozumiem, co się dzieje z Dougalem. Powinien był przed laty opuścić Mariellę, albo ona powinna odejść od niego, jednak żadne z nich najwyraźniej nie jest do tego zdolne, a ja nie wiem dlaczego. Każde mówi: „nie mogę”.

Kitty rozczesła trochę grzywkę Effie i przybrała filozoficzną minę swojej ulubionej czarnoskórej śpiewaczki.

– Gdy ktoś mi mówi, że czegoś nie może, to zwykle oznacza, że po prostu nie chce. Na pani miejscu nie przejmowałabym się już tak bardzo panem Dougalem. Niech sobie będzie, jaki jest. Jeśli ma go spotkać jakieś przeznaczenie, niech mu pani pozwoli, żeby go sam poszukał.

– On chyba nie potrafi zrobić nawet tego – powiedziała Effie, patrząc na siebie w lustrze, jak wypuszcza papierosowy dym. – Poprosił naszego starszego brata Roberta, żeby przyjechał i połączył się z nim w jakąś spółkę finansową. Dawniej zawsze się kłócił z Robertem. Gdy byli młodszy, przez cały czas rzucali się na siebie jak dzikie psy. Dougal w ogóle nie przyjechałby do Ameryki, gdyby nie Robert, który przepędził go ze Szkocji. A teraz chce wchodzić z nim w spółkę.

– Cóż, nie wiem – przyznała Kitty. – Przypuszczam, że bracia są braćmi.

– Nie ci dwaj bracia.

– Nie może pani się wtrącać, panno Effie, nawet jeśli to pani rodzina. Nie może pani mówić wszystkim, co mają robić ze swoim życiem, niezależnie od tego jak bardzo pani tego chce. Wie pani o tym nawet lepiej niż ja.

– Tak – powiedziała Effie. – Chyba tak.

## 25

Kitty wprowadziła Caldwell Brooksa do biblioteki, a następnie pospieszyła do pokoju dziennego, gdzie Effie słuchała Kay, która ćwiczyła gamy.

– On na panią czeka, panno Effie – zaanonsowała. – I coś pani powiem: jest strasznie wysoki!

– Bardzo dobrze, Kitty. Kay, możesz już skończyć na dzisiaj. Kitty,

masz jeszcze trochę tych klonowo-orzechowych lodów, które zostały z wczorajszej kolacji? Jestem pewna, że Kay zasługuje na więcej niż małą łyżeczkę. Może również trochę gorącego sosu czekoladowego.

Effie weszła do biblioteki i stwierdziła z pewnym przestachem, że Kitty miała rację. Caldwell Brooks stał obok kominka, przeglądając opatrzony autografem egzemplarz „Bobbita” Sinclaira Lewisa, który otrzymała po tym, jak ona i pani Lewis zdecydowały się w końcu na towarzyski rozejm. Choć faktycznie strasznie wysoki, metr dziewięćdziesiąt, w dwubarwnych służbowych butach, był też bardzo przystojny w pewnym eleganckim, swobodnym, akademickim stylu, z krótkimi, zaczesanymi do tyłu włosami, spiczastym nosem i wesołymi brązowymi oczami. Nosił dobrze skrojony szary garnitur z kamizelką w czarno-białą kurzą stopkę, a w jego czarny krawat wpięta była odznaka harwardzka. Ostrożnie odłożył książkę na obudowę kominka i wyciągnął rękę.

– Panno Watson, często panią widuję, ale nie miałem przyjemności być pani przedstawionym. Jestem zaszczycony i bardzo dziękuję za zaproszenie mnie tutaj.

– Napije się pan herbaty? – spytała Effie.

– Nie piję herbaty, ale z przyjemnością napiję się wody sodowej, jeśli mogę prosić.

– Oczywiście. Ma pan jakąś ulubioną?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Proszę usiąść – powiedziała Effie i wskazała jeden z dwóch wysokich, skórzanych bibliotecznych foteli, więc usiadł i skrzyżował swe długie nogi.

– Ciekawa jestem, skąd się pan dowiedział, że zrezygnowałam z usług kancelarii „Schwab & Moorhouse” – mówiła dalej Effie, otwierając inkrustowaną szkatułkę z papierosami, która stała obok niej. – Zapali pan? – zapytała.

– Nie, dziękuję. Bycie doradcą finansowym jest wystarczająco złym nałogiem, żeby popadać w inne – odparł, ale sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wąską złotą zapalniczkę i podał Effie ogień.

Effie wypuściła smugę dymu.

– Rozmawiałam z panem Moorhouse'em dopiero dzisiaj przed południem. Chyba do pana nie zadzwonił?

– Nie, nie zadzwonił – odparł Caldwell Brooks. – Ale być może dostrzegła pani dość ładną rudowłosą dziewczynę siedzącą za recepcyjnym biurkiem, gdy pani weszła. Ona jest... cóż, ujmijmy rzecz w ten sposób... jest kimś w rodzaju mojej przyjaciółki. Nic niestosownego, zapewniam. Jednak przyjaźnimy się na tyle, że daje mi znać, gdy dzieje się coś naprawdę interesującego, a to co dziś przed południem pani powiedziała panu Moorhouse'owi, było naprawdę interesujące. W istocie nadzwyczajnie interesujące, rzekłbym sprawa kategorii A-1. Zawsze chciałem zajmować się

takimi kwestiami bankowymi, jak pani interesy.

Effie namyślała się przez chwilę, a potem odpowiedziała:

– Chcę się pozbyć akcji wartości około dziewięćdziesięciu sześciu milionów dolarów. Pan Moorhouse uważa, że jestem szalona, ponieważ rynek jest mocny, ale ja mam kilka bardzo poważnych własnych powodów.

– Jakie to powody?

Rozległo się pukanie i do biblioteki weszła Kitty z tacą.

– Kitty, przynieś, proszę, herbatę dla mnie i szklanek wody mineralnej dla pana Brooksa.

– Tak, madam – odparła Kitty i wyszła.

Effie uśmiechnęła się do Caldwell Brooks, jakby nie mogła sobie przypomnieć, o co ją zapytał.

– A zatem, panie Brooks – powiedziała – mówił pan coś o kategorii A-1. Cóż to dokładnie oznacza?

– Kategoria A-1 opisuje pani poziom interesów finansowych, panno Watson.

– Czy pan jest nerwowy, panie Brooks? – zapytała Effie.

– Słucham?

– Pytałam, czy pan jest nerwowy?

– Nerwowy? Nie. Dlaczego miałbym być nerwowy?

– To byłaby dla pana bardzo wielka sprawa, Ogromnie zyskowne przedsięwzięcie, nie mówiąc już o prestiżu wynikającym z prowadzenia osobistych spraw finansowych tej szeroko opisywanej Effie Watson, niezwyklej bankierki. Mógłby pan nawet stać się sławny.

Caldwell Brooks przyglądał jej się przez sekundę lub dwie, a potem się roześmiał.

– Kpi pani ze mnie, panno Watson.

– Ani trochę. Próbuję się zorientować, jakim jest pan doradcą. Znakomitym czy nijakim. Hałaśliwym czy statecznym. Dobrze się pan reklamuje, to przyznam chętnie. Ale co zamierza pan zrobić z akcjami o wartości dziewięćdziesięciu sześciu milionów dolarów i upartą milionerką, która chce, żeby pan się ich pozbył, co najwyraźniej musi na panu robić wrażenie przyływu złości, kaprysu albo chwilowego szaleństwa?

– Zwykle robię to, czego życzą sobie moi klienci – odparł Caldwell Brooks. – Czasami proponuję im radę. Niekiedy wzdycham niechętnie. Bywa, że krzyczę. Jeśli jednak ktoś tak utalentowany w interesach jak pani, panno Watson... i proszę nie sądzić, że próbuję pani pochlebiać, ponieważ już sam pani majątek jest świadectwem prawdziwości tego, co mówię... więc jeśli ktoś taki jak pani mówi, że chce sprzedać pakiet akcji, niezależnie od tego jak stabilne i zyskowne się wydają, to ja je sprzedaję.

Effie milczała dość długo, kilka razy zaciągając się papierosem.

– Ile pan ma lat, panie Brooks?

– Trzydzieści dziewięć.  
– Jakie ma pan wykształcenie? Przygotowanie?  
– Bardzo zwyczajne. Mój ojciec miał małą agencję nieruchomości w Dabury, w stanie Connecticut. Byliśmy zwyczajnymi, szanowanymi, przeciętnymi protestantami. Poszedłem do szkoły, a następnie na Wydział Zarządzania Uniwersytetu Harwardzkiego. Potem przygotowywałem się do zawodu adwokata. Lubię żeglować, czytać i tańczyć. Nie jestem nadętym nudziarzem, jak pani sądzi, tylko dlatego, że nie palę i piję wodę mineralną. Posiadam podrasowanego hudsona-roadstera i przeszło dwa tysiące płyt jazzowych.

– Jest pan żonaty?

Caldwell Brooks uniósł głowę i spojrzał na nią przenikliwie.

– Czy to ma znaczenie?

– Być może.

– No cóż, nigdy nie byłem.

– Był pan zbyt zajęty? – zapytała Effie. – Czy niezainteresowany?

Caldwell Brooks namyślił się, a potem odpowiedział:

– Chyba zbyt zajęty. Poza tym nigdy nie wydawało mi się to naprawdę konieczne.

– Nie zadał mi pan jednego kluczowego pytania, którego się spodziewałam – powiedziała Effie.

– Dlaczego pozbywa się pani swoich akcji? Cóż, domyślałam się, że jest pani przekonana, iż robi to z najistotniejszego możliwego powodu.

– Nie chciałby pan wiedzieć, co to za powód?

– Ja to wiem – odparł Caldwell Brooks.

Stojący na obudowie bibliotecznego kominka zegar Fabergé wykonany emalią i ozdobiony wijącymi się złotymi roślinami skomponowanymi z rubinów, opali i szafirów zaczął odmierzać połowę godziny, wygrywając ładny temat z pieśni „Das Sonntagskind” Alberta Dietricha.

– Jest pan lepiej poinformowany, niż początkowo sądziłam, pani Brooks – powiedziała Effie.

– Proszę mówić mi: Caldwell.

Effie się uśmiechnęła z odrobiną zażenowania. W Caldwellu Brooksie było coś szczerego i pociągającego; coś, czego od bardzo dawna nie zauważyła w żadnym mężczyźnie. George Sabatini od czasu do czasu okazywał jakiegoś przebłytki tego pierwiastka: taki rodzaj skupionej uwagi, która pozwala kobiecie upajać się tym zainteresowaniem, flirtować i popisywać się sobą bez przecucia, że będzie musiała wziąć odpowiedzialność za wszystkie konsekwencje. George chwilami bywał cudowny ze swoim pisaniem dymem na niebie, kwiatami i pretensjonalnymi kompozycjami ze sztucznych ogni. Jednak Caldwell Brooks od samego początku kazał jej wierzyć – częściowo dzięki okazaniu tak profesjonalnie oszczęd-

nego podziwu dla niej, częściowo zaś dzięki swemu spokojowi, opanowaniu i bezpośredniości – że jest pochłonięty wszystkim, co robiła i mówiła, a w tych krzykliwych czasach nowoczesnych panna, laleczek i cynicznego zachowania trudno było znaleźć tak romantyczną intensywność.

– Przypuszczam, że będę musiał przejść do wyjaśnień. Inna dziewczyna, którą znam, pracuje dla pana Gienniniego w Bank of America. Nie mogła dowiedzieć się wszystkiego, o czym pani z nim dyskutowała, ale odkryła, że myśli pani o wycofaniu z nowojorskiego Watson's Bank wszystkiego oprócz nazwiska i stworzeniu własnego banku w Kalifornii, aby prowadzić interesy w sferze wydobywania ropy naftowej, uprawy warzyw i pro dukcjifilmów.

– Przyjaciółki dobrze panu służą – uśmiechnęła się Effie.

Caldwell upił trochę wody mineralnej, a potem odpowiedział:

– Spotka się pani z ogromnym oporem. Wie pani o tym, prawda? Niejedne brwi uniosły się ze zdziwienia na Wall Street na wieść o... kobiecie, która pracuje jako bankier. Jeśli jeszcze założy pani własny bank...

– Właśnie dlatego potrzebni mi są zdolni mężczyźni do pomocy – powiedziała Effie.

– Ktoś szczególnie?

– Mówił pan tak, jakby był pan zainteresowany tą pracą.

Caldwell zarobił poważną minę.

– To zależy od wysokości pensji.

Oboje się roześmiali.

– Posłuchaj, Caldwell: najpierw sprzedaj moje akcje. Będę potrzebowała takiej płynności środków, jaką uda mi się uzyskać, aby odpowiednio zainaugurować działalność tego banku. Jeśli dobrze się wywiążesz z tego zadania, wtedy może porozmawiamy o jego części dla ciebie. Podobasz mi się, podoba mi się twoja postawa, ale muszę mieć dowód, że jesteś najlepszy.

– Proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie, jeśli pani zechce – odparł Caldwell. – Dlaczego pani to robi? Ma pani dużą część jednego z najlepszych prywatnych banków na Wall Street, własne pakiety akcji o wartości wielu milionów dolarów. Nowy Jork stanowi centrum światowego boomu gospodarczego. Dlaczego sprzedaje je pani właśnie teraz?

Effie zgasiła papierosa.

– Z dwóch powodów – odpowiedziała spokojnym głosem. – Po pierwsze, wcale nie wierzę w ten boom. Nowojorski Watson's Bank, podobnie jak wszystkie inne banki, udzielił wielomilionowych pożyczek na sfinansowanie prywatnych zakupów akcji. A co się stanie, jeśli ceny tych akcji zaczną spadać? Kto będzie w stanie spłacić te kredyty? Nie ma zysku na wsparcie rynku, jeśli dotknie go jakiś kryzys i właśnie to sprawia, że się denerwuję. Wolę, aby moje pieniądze zostały zainwestowane w działalność, nad którą będę miała większą osobistą kontrolę.

– To wystarczająco jasne – powiedział Caldwell. – A co jest tym drugim powodem?

– Drugim powodem jest mój brat Robert – odparła Effie. – Przybywa do Nowego Jorku, aby wypracować jakiś rodzaj konsolidacyjnej umowy bankowej z Watson's Bank na Wall Street i wierz mi, Caldwell, tam gdzie chodzi Robert, tam trawa wysycha i umiera. Chcę być z dala od tego, zanim tutaj dotrze.

## 26

Caldwell dowiedział, że jest zarówno skuteczny, jak i dyskretny. Sprzedał akcje Effie w nierzucających się w oczy pakietach, często działając za pośrednictwem pięciu lub sześciu innych brokerów, aby ukryć ich źródło. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to wywołać alarm na rynku akcji, albo spowodować run na nowojorski Watson's Bank, zanim Effie wycofa z niego wszystkie swoje aktywa. W swym własnym budynku przy Canal Street założył dla niej biuro pod nazwą nowego towarzystwa ubezpieczeniowego F.E. Securities & Investments, aby Effie, kiedy wyjechała do Kalifornii, miała nowojorskie towarzystwo do prowadzenia operacji giełdowych i zajmowania się tymi interesami na Wall Street, którymi nadal mogła być zainteresowana. Jako prezes F.E. Securities zatrudniła Richarda B. Coogana III, młodego bankowca, który wcześniej przez pięć lat pracował dla Chase Manhattan Bank. Był inteligentnym, szykownym okularnikiem, typowym dumnym absolwentem Yale Univeristy, a mówił tak, jakby każde słowo było skrawkiem metalu. Effie zaproponowała mu osiemdziesiąt osiem tysięcy dolarów rocznie i obiecała więcej, jeśli uzyska wyniki, jakich chciała.

– W tym momencie największą dla mnie nagrodą jest to, że nie pracuję już dla tych starych tłustych, grających w pokera oszustów w Chase Bank. Panno Watson, z całym szacunkiem, pani jest piękna.

Caldwell polubił Dicka Coogana. Czasami grali razem w squasha. Jednak Caldwell upewniał się, by o wszystkich posunięciach Dicka w F.E. Securities dowiadywał się przed Effie.

Caldwell stał się najtroskliwszą, od rana do wieczora, eskortą Effie. Nieustannie dostarczał jej informacji o posunięciach na rynku akcji, uczestniczył wraz z nią w spotkaniach i wieczorami zabierał na kolacje, by mogli przedyskutować strategię tworzenia nowego amerykańskiego imperium bankowego. Zamawiał i płacił za codzienne dostawy świeżych kwiatów na biurko Effie, a w dniu, w którym sprzedał ostatni pakiet akcji zakładów General Motors, podarował jej maleńkiego złotego cadillaca do bransoletki z diamentami zamiast reflektorów. Często widywano ich razem na obiedzie w restauracji 21 albo Huberts lub L'Histoire, co wieczorne ga-

zety zaczęły odnotowywać porozumiewawczymi plotkami na ich temat, chociaż każdy podsłuchujący ich konwersację nie usłyszałby nic bardziej namiętnego od listy jednorazowych ubezpieczeń lub ustaleń dotyczących dzierżawy lokalu biurowego w południowej Kalifornii.

Największym osiągnięciem Caldwell jako służbowego partnera było zdobycie dla niej przyzwolenia na przebywanie w porze lunchu w Salonie Dębowym Plaza Hotel, tradycyjnie zarezerwowanym dla mężczyzn aż do popołudniowego zamknięcia giełdy. Caldwellowi ogromnie to pomogło, że właśnie jemu dyrekcja zawdzięczała taki zaszczyt, ale sama dyrekcja w wystarczającym stopniu zdawała sobie sprawę z majątku i statusu Effie na Wall Street, by zaakceptować ją jako „honorowego bankiera”. Effie i Caldwell jadali tam rzadko, lecz na tyle często, by zamanifestować jej prawa do obecności w tym miejscu, ale wielu starszych klientów uskarżało się zawzięcie, inni zaś prosili, aby uprzedzono ich telefonicznie, ilekroć Effie rezerwowała stolik, żeby mogli utrzymać niskie ciśnienie krwi, jedząc gdzie indziej.

Czasami, gdy kończyli pracę, Caldwell zabierał Effie do Harlemu, do klubu Connie's przy Sto Trzydziestej Pierwszej Ulicy, albo do Lafayette lub do Cotton Clubu u zbiegu Lenox Avenue ze Sto Czerdziestą Drugą. Były to lata, gdy biali zachwycali się obskurnym Harlemem; na ulicach przed Barrons Cabaret albo Ye Olde Nest parkowały cadillaki, packardy i Jordany. W środku publiczność podzielona na bogatych białych i krzykliwie odzianych czarnych siedziała z butelkami przemycanego alkoholu pod stolikami, oglądając widowiskowe czarne rewie, takie jak „Fletcher Handerson Band”, pięćdziesiąt czarnych dziewcząt w „Jazz Fantasy” lub Bessie Smith śpiewającą „Missisipi Days”. Każdego wieczoru biały entuzjasta jazzu mógł posłuchać orkiestry Duke'a Ellingtona, Louisa Armstronga, Ethel Waters i wielu innych. Jednak początkowo niewielu białych przychodziło dla jazzu, gdyż magazyn „Variety” opisywał główną atrakcję jako zespół rewiowy „bardzo wesołych dziewcząt”, które znają „najdoskonalsze pieśńoty”.

Effie uwielbiała towarzystwo Caldwell. Był zawsze pewny siebie, uprzejmy i bez przerwy myślał o nowych wyzwaniach. Jego spokój został zachwiany tylko dwa razy. Pierwszy raz, gdy siedzieli w Cotton Clubie, słuchając Duke'a Ellingtona, a George „Gruby Francuz” De Mange, aktualny właściciel klubu i jeden z najbardziej podejrzanych nowojorskich gangsterów, przemierzył parkiet w swojej dwurzędowej wieczorowej marynarce, ujął dłoń Effie i donośnie ją pocałował, zapewniając ją o współczuciu z powodu śmierci Sabatiniego.

– Panno Watson, musi mi pani uwierzyć, jak mi przykro z powodu Spatsa. On i ja byliśmy sobie tak bliscy, jak Spats z panią. Pani rozumie, co mam na myśli?

Po raz drugi zdarzyło się to pod koniec marca, gdy Caldwell zabrał Effie



na kolację do Colony, aby uczcić sprzedaż ostatniego pakietu jej akcji i zaoferować swoją gotowość do pomocy stworzenia przez nią (przy współpracy Amadeo Gianniniego) Banku Handlowego w Kalifornii. W ten sam sposób, w jaki Giannini obchodził amerykańskie przepisy, które ograniczały operacje bankowe do jednego stanu, Caldwell zorganizował dla Effie prowadzenie towarzystwa o nazwie Scotbank Corporation, które nadzorowało zarówno bank kalifornijski, jak i nowojorski dział ubezpieczeń. On z kolei był kontrolowany, razem z interesami naftowymi i węglowymi Effie, przez superkompanię noszącą nazwę PanStates Inc.

– Nazwa twojego nadrzędnego przedsiębiorstwa powinna brzmieć jak wielka instytucja patriotyczna – powiedział Caldwell, siedząc elegancko na wysokim stoiku w niebiesko-złotym barze, ubrany w wieczorowy garnitur firmy Brooks Brothers z białym krawatem. – Giannini nazwał swoje TransAmerica Corporation i trudno uzyskać większą górnołotność niż to, prawda? Zwłaszcza gdy jest się jedynie starym włoskim imigrantem.

– A kim ja jestem? – zapytała Effie, umieszczając różowego, koktajlowego papierosa w złotej cygarniczce. – Starą szkocką imigrantką?

Caldwell się uśmiechnął.

– Zawsze starasz się mnie podejść, czyż nie?

Podał jej ogień, a potem trochę się odsunął na krześle, żeby ją podziwiać. Miała na sobie czarno-złotą cekinową suknię wieczorową z falbankami z czarnego jedwabiu oraz opaskę na głowie ze złota, diamentów i agatów. Suknia miała z przodu dekolt w kształcie litery V, tak głęboki, że prawie odsłaniał jej piersi. Effie była pod nią kompletnie naga, z wyjątkiem srebrzystych jedwabnych pończoch, podtrzymywanych srebrzystymi podwiązkami.

Do stolika podszedł Gerardo, *maitre d'*.

– Państwa stolik jest gotowy, panno Watson. Dobry wieczór, panie Brooks.

– Za chwilę przyjdziemy, Gerardo – odparł Caldwell.

Effie przyglądała mu się lekko zwężonymi oczami.

– Coś ci chodzi po głowie – powiedziała.

– Oczywiście – przyznał. – I ty wiesz, o czym myślę.

– Myślisz o prezesurze kalifornijskiego Banku Handlowego.

Caldwell skinął głową.

– Twoja sekretarka powiedziała mi dzisiaj, że zarezerwowałaś już miejsce w ekspresie do Chicago na poniedziałkowe popołudnie, że w środę, po spotkaniach w tamtejszym banku, zamierzasz nocować w Ambassador East Hotel w Chicago, skąd wyjeżdżasz w czwartek rano do Los Angeles.

Effie wypila łyk szampana, a potem przechyliła na bok głowę z wyrazem uznania dla wewnętrznej sieci informacyjnej Caldwell.

– Masz wyjątkową władzę nad sekretarkami, Caldwell. Co do tego nie

ma wątpliwości.

– Być może mam – rzekł Caldwell szczerze. – Mnie jednak zajmuje to, czy mam wyjątkową władzę nad tobą.

– Może nie wyjątkową – z uśmiechem odparła Effie – ale pewną władzę masz. Moja sekretarka pominęła informację, że ty także masz zarezerwowane miejsce w pociągu do Chicago i że mamy sąsiednie pokoje w Ambassador Hotel. Nie wspomniała też, że postanowiłam cię poprosić, abyś został dyrektorem Banku Handlowego w Kalifornii i wiceprezesem PanStates Inc. Podoba mi się twoja praca, Caldwell, i lubię cię. Jesteś dobry.

Caldwell znów na nią spojrział, zaskoczony i zadowolony.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzekł. – Zawsze jesteś o krok przede mną, prawda?

– Dzień, w którym nie będę, to dzień, w którym będziemy musieli się pożegnać – odparła Effie. I tak myślała; nie dlatego, aby kiedykolwiek chciała się pozbyć Caldwell, lecz dlatego, że nigdy nie chciała być na jego łasce, do czego mogłoby dojść, gdyby kiedykolwiek straciła przewagę nad nim. Jak dla niej był niemal zbyt silny, zbyt dobrze znał się na rzeczy, był aż za szybki i za sprytny. Effie nie chciała, aby pracowali dla niej głupcy, ale z drugiej strony zawsze musiała zdawać sobie sprawę, że jest kobietą w świecie mężczyzn i gdyby pozwoliła jakiemuś mężczyźnie kontrolować swoją zawodową karierę, byłaby nieodwołalnie zepchnięta na drugie miejsce.

Caldwell ujął jej dłoń.

– Dziękuję – powiedział. – Jesteś cudowną osobą, dla której z przyjemnością się pracuje. Nie sądziłem, że zdołam zaakceptować przyjmowanie poleceń od osoby przeciwnej płci, ale... cóż, najwyraźniej mogę. Wydaje się również, że lubię to robić.

– Pójdziemy teraz do stolika i zaczniemy jeść? – zapytała Effie.

– Jeszcze jedno – rzekł Caldwell.

Po drugiej stronie restauracyjnej sali, gdzie ksiączę Windsoru jadł kolację z panią Hope Williams i tłumem kawiarnianego towarzystwa, orkiestra zaczęła grać popularnego bluesa. Jimmy Walker, niski, elegancki i roześmiany burmistrz Nowego Jorku, przyszedł z jakimiś gośćmi z Detroit. Panowała atmosfera ekscytacji, wesołości i bogactwa.

– Zamierzałem wybrać lepszy moment – powiedział Caldwell – ale potem stwierdziłem, że nie będzie żadnego lepszego momentu niż ten, od razu, szybko, tak szybko że i ty zrozumiesz, że to prawda.

Effie zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli? Tak szybko jak rozumiem, że co jest prawdą?

– Cóż, zabawne – odparł Caldwell – ale prawdą jest to, Effie że się w tobie zakochałem. Prawdopodobnie zakochałem się w tobie w tej samej chwili, w której pierwszy raz cię zobaczyłem.

Effie otworzyła i zamknęła usta, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć.

Widziała po napięciu na twarzy Caldwell, że mówi prawdę. Mój Boże, pomyślała, on naprawdę mnie kocha. Naprawdę. Prawie uzyskał nade mną przewagę, tylko dzięki szczerości i bezpretensjonalności. Na chwilę straciła pewność siebie w związku z tym wszystkim, co zamierzała zrobić i poczuła, że kręci jej się w głowie z niepokoju.

Odpowiedziała na poły żartobliwie, na poły desperacko.

- To chyba nie jest dobry pomysł, prawda?
- Dlaczego?
- Prezes banku uczuciowo związany z dyrektorem banku?

Caldwell obdarzył ją nikłym uśmiechem.

- Ja naprawdę nie myślałem w ten sposób.
- No cóż, należało. To zupełnie niemożliwe.

Caldwell położył rękę na jej dłoni.

– Posłuchaj – odparł – zapomnij, że w ogóle to powiedziałem. Przepraszam. Rzecz w tym, że widzę cię tak piękną, tak niezwykłą i tak pewną siebie. Czuję jednak, że jesteś także na swój sposób bezbronna. Nie masz nic przeciwko temu, co mówię, prawda? Mam wrażenie, że szukasz w życiu czegoś, czego jeszcze nie odkryłaś. Pomyślałem, chyba nadmiernie zadufany, że czymkolwiek jest to czego szukasz, to tym czymś mógłbym być ja.

Effie nagle poczuła, że jest bliska łez. Nie wiedziała dlaczego. Czuła się raczej zadowolona niż smutna, a gardło miała tak ściśnięte z emocji, że nie mogła mówić. Pochyliła się i Caldwell zrobił to również, wahali się tylko przez sekundę, a potem pocałowali. W tej samej chwili głośny dźwięk wydała lampa błyskowa. Effie była zaszokowana.

– Dziękuję, panno Watson – powiedział fotoreporter z „Daily News”. – To powinno świetnie wyglądać na trzeciej stronie.

Caldwell skoczył na równe nogi, odrzucając za siebie barowy stołek.

– Ty łobuzie! – krzyczał. – Jeśli wydrukujesz to zdjęcie, osobiście cię dopadnę i rozwalę łeb! Gerardo! Wyrzuć tę kreaturę!

Gerardo wzruszył ramionami.

– Przykro mi, panie Brooks, to będzie trudne. Faceci z prasy, pan rozumie? Wyrzucanie ich nie służy interesom.

– W takim razie odwołuję rezerwację stolika. Panna Watson i ja wychodzimy.

– Ależ panie Brooks, proszę...

– Zechcesz podać damie płaszcz?! – zażądał Caldwell. – Żadne z nas nie przyszło tutaj po to, aby stać się bezpłatnym modelem dla brukowców.

– Caldwell... – szepnęła Effie.

– Płaszcz!!! – krzyknął Caldwell.

– Caldwell – powiedziała Effie, biorąc go za rękę. – Daj spokój. Opanuj się. Kiedy jest się tak sławnym jak ja, można się spodziewać podobnych rzeczy. Gazety interesują się nami. Powiedzmy sobie po prostu, że to jest

dobre dla naszych interesów.

– Zrobił to cholerne zdjęcie, nawet nie pytając!

– Caldwell, opanuj się. Wiem, że je zrobił. Ale dajmy temu spokój. Działasz teraz w bankowości. Bez względu na to, jak wielu ludzi nas prowokuje, zawsze mamy być opanowani i zrównoważeni. Czy powierzyłbyś swoje pieniądze bankowi, którego dyrektor krzyczy i robi sceny w restauracjach?

Caldwell zacisnął pięści, zamknął oczy i wziął głęboki, spokojny oddech.

– Dobrze, jestem z tobą. W porządku – powiedział w końcu, a potem otworzył oczy i zwrócił się do fotoreportera.

– Słuchaj pan. Przepraszam. Po prostu wyszedłem z siebie.

– Ja też przepraszam, stary – odparł lakonicznie reporter, zapisując tytuł w notesie.

Sherry Devino z „World Telegram” podeszła do nich w jaskraworóżowej sukni z diamentową broszką, głową w złotych loczkach i szeroko pomalowanymi oczami Glorii Swanson.

– Panno Watson, ile jest prawdy w opowieściach, że pani i pan Brooks jesteście kochankami? – zapytała.

Effie przecząco pokręciła głową.

– Jesteśmy tylko dobrymi bankierami.

– Czy to prawda, że co tydzień chodzi pani na grób George'a Sabatiniego i składa tam wieniec?

– Zlecam wysłanie wieńca panu Sabatinemu przez kwiaciarnię. Nie robię tego osobiście.

– Co sądzi pan Brooks o pani romansie z jednym z cieszących się najgorszą sławą nowojorskich gangsterów?

– Proszę zapytać pana Brooksa.

– Czy pan się tym niepokoi, panie Brooks? – zapytała Sherry Devino.

Caldwell spojrzał na Effie i przez chwilę widziała w jego oczach coś, co nie było wątpliwością ani niepewnością, ale mogło być tym skupionym, utkwionym wzrokiem akrobaty, który ma przed sobą ułamek sekundy do skoku z najwyższej trampoliny. Potem wyciągnął rękę, objął jej ramię i udzielił odpowiedzi Sherry Devino.

– Przeszłość panny Watson jest wyłącznie jej osobistą sprawą. Ja zajmuję się jej inwestycjami finansowymi, a nie uczuciowymi.

– Zawsze całuje pan swoich klientów inwestycyjnych?

– Czasami, jeśli uda nam się dokonać jakiejś wyjątkowo udanej transakcji. Ostatnim klientem, którego pocałowałem, był Baxter Patrick z Meat-Packing Company.

Wszyscy się roześmiali. Księżę Windsoru, który podniósł wzrok, aby zobaczyć, o co chodzi, nieznacznie pomachał ku Effie. Orkiestra zaczęła grać.

– Chodźmy, Caldwell – powiedziała Effie. – Usiądźmy i zacznijmy jeść.

– Te opowieści o tobie i George'u Sabatinim zawsze mnie zdumiewają – rzekł Caldwell nad aromatycznym bazantem i schłodzonym szampanem.

Effie uniosła wzrok.

– Dlaczego? Może był gangsterem, ale był również dżentelmenem. Był serdeczny, dowcipny i zrobiłby dla mnie wszystko.

– Robię się zazdrosny – oświadczył Caldwell. – Dasz wiarę, że jestem zazdrosny?

– Nie musisz. George jest martwy, a ty żyjesz.

Caldwell przez chwilę jadł w milczeniu, a potem zapytał:

– Naprawdę go kochałaś? Mimo tego jaki był?

– Przypuszczam, że w pewnym sensie kochałam go właśnie dlatego, że taki był. On wiedział, jak niebezpieczne było to, co robił. Zawsze ryzykował, a jednak zawsze był czuły i radosny – przerwała, a po chwili dodała: – Mam nadzieję, że nie cierpiał, gdy go zabili.

Caldwell poprosił kelnera o następną butelkę szampana. Znow zaczął jeść, ale po chwili odłożył nóż i widelec.

– Właśnie dlatego nie możesz mnie pokochać? Dlatego, że nie robię niczego, co stawiałoby mnie w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Właśnie to kochasz w mężczyźnie? Fizyczne męstwo? Zimną krew pod ogniem? – pytał. – Słyszałem o hrabim von Ahlbecku podczas wojny. Nie wiem, ile w tym co słyszałem, jest prawdy. Czy mężczyzna musi zginąć, aby udowodnić, że cię kocha i aby zdobyć twoją wzajemność?

Effie się zaczerwieniła.

– Nie – odpowiedziała bardzo łagodnie.

– Ale to cię pociąga?

Spojrzała na niego otwarcie.

– Odwaga? Tak, sądzę, że tak.

– W takim razie – rzekł Caldwell – myślę, że będę musiał powiedzieć, że twoja propozycja objęcia dyrekcji Banku Handlowego została z wdzięcznością rozważona, ale odrzucona.

– Nie rozumiem cię – odparła Effie.

– Nie rozumiesz? Przecież łatwo mnie zrozumieć. Nie spełniam twojego kryterium heroizmu, to wszystko. Nie ma w tym nic bardziej skomplikowanego. Nie jestem mężczyzną, który chętnie narazi swoje życie za cokolwiek, a już najmniej za pieniądze. Effie... jestem zwyczajnym, przeciętnym mężczyzną. Mam talent do tego, co robię, jednak nie jestem żołnierzem, gangsterem ani nawet niedzielnym pilotem. Najbardziej niebezpieczną rzeczą, jaką robię, jest prowadzenie samochodu z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Po prostu nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, a gdybym nawet wiedział, wątpię, czy byłbym zdolny to spełnić.

Wybacz.

Effie spuściła wzrok na kilka chwil, a potem znów go podniosła i nie patrząc na Caldwell, skinęła na *maître-d'*, który, zobaczywszy jej sygnał, kiwnął głową.

Orkiestra przerwała taneczny utwór i zaczęła grać melodię radosnej piosenki o Kalifornii z najnowszego broadwayowskiego musicalu zatytułowanego „Bombo”. Z odległego końca restauracji ruszył niewielki orszak kelnerów niosących między sobą ogromny, trzypiętrowy srebrzysto-biały tort wspaniale udekorowany kwiatami, lukrem i zwieńczony ponad setką płonących świeczek. Pokonali drogę między stolikami, aż stanęli przy Effie i Caldwellu, a potem ustawili tort tuż przed nim i zaczęli bić brawo. Gerardo dał znak.

– Hip-hip-hurra! Trzy razy! – zawołał i chociaż prawie nikt nie wiedział, co to za uroczystość, wszyscy wstali i bili brawo.

Caldwell z twarzą oświetloną świeczkami spojrzał na Effie, potem na Gerarda, a potem znowu na tort, którego najwyższe piętro zdobił sporządzony zielonym literami napis: „*Gratulacje dla Dyrektora Banku Handlowego w Kalifornii od pełnego podziwu Prezesa*”.

Sięgnąwszy do torebki, Effie wyjęła z niej wąskie czarne pudełko, położyła je obok tortu i otworzyła. W środku, połyskując dwudziestoma diamentami, leżał zegarek marki „Baume & Mercier”. Na bileciku wsuniętym za pasek widniał napis: „Dla Caldwell’a z dumą i miłością – Effie”.

W oczach Caldwell’a zalśniły łzy. Przycisnął dłoń do ust, by powstrzymać na wodzy uczucia.

– Mogę cię kochać, Caldwell, i Kocham – powiedziała Effie. – Naprawdę myślałaś, że mogłabym nie dostrzec i nie docenić twojej troskliwości i czułości wobec mnie?

Caldwell wahał się przez chwilę, a potem sięgnął po zegarek.

– Jest bardzo piękny – powiedział zduszonym głosem, a potem spojrzał na Effie i dodał: – Znów to zrobiłaś, czyż nie? Wyprzedziłaś mnie o jeden krok. Nawet zakochałaś się pierwsza.

– Tak, panie dyrektorze – odparła Effie. – Myślę, że chyba tak.

## 27

Niespodziewanie czekał na nią w sobotnie popołudnie, gdy wróciła ze śródmiejskiej wyprawy na zakupy ze swą przyjaciółką Tiffany Mears, szaleńczo rudowłosą córką Herberta Mearsa, potentata przemysłu hutniczego. Kupiła sobie zarówno cały zestaw francuskich, jedwabnych nocnych koszul w różnych pastelowych kolorach, różach, beżach i seledynach, jak i nowy komplet weneckich kieliszków do likieru, które miały być dostarczone

później. Wchodząc na schody z ulicy, śmiała się z czegoś, co Tiffany wcześniej powiedziała jej o Winthropie Aldrichu, zięciu starego Johna D. Rockefellera.

Kitty w mundurku pokojówki, czepku, fartuszką i długiej zielonej spódnicy, otworzyła jej drzwi.

– Ma pani gościa, panno Effie – powiedziała.

Effie zmarszczyła brwi, a potem odwróciła się w stronę ulicy i dopiero teraz dostrzegła, że w odległości kilku domów stoi długi czarny rolls-royce typu lando, z podniesionym dachem i przyciemnianymi szybami. Effie natychmiast domyśliła się, kim jest ów gość, i spokojnie zwróciła się do przyjaciółki.

– Tiffany, kochana, czy uznasz, że jestem okropnie nieuprzejma, jeśli odwołam naszą herbatkę... tylko w to popołudnie?

Tiffany spojrzała na rolls-royce'a, a potem znowu na Effie.

– Chodzi o mężczyznę? – zapytała melodramatycznie. – W takim razie natychmiast się ulotnię!

– Tiffany, to nic osobistego. Rzecz tylko w tym, że muszę załatwić to sama.

– Nie gniewam się, wierz mi – powiedziała Tiffany, machając jej smukłymi dłońmi w długich białych rękawiczkach. Potem jednak spojrzała na Effie poważniej i zapytała: – Dobrze się czujesz, prawda? Nie jesteś czymś zdenerwowana?

– Nie, czuję się doskonale. Bardzo dobrze. Może zadzwonię do ciebie później.

Tiffany odchyliła do tyłu głowę.

– Później – obwieściła głębokim głosem operowego kontraltu – mam nadzieję zatracić się w ramionach mojego kochanka, Herberta A. Schumachera juniora!

Effie się uśmiechnęła, ale nie zdołała zatrzymać tego uśmiechu na dłużej. Wiedziała, kto czeka na nią w środku. Pomachała więc półprzyciemnie przyjaciółce i weszła za Kitty do domu. Kitty w milczeniu wzięła jej płaszcz i powiesiła w garderobie.

– Może napiłaby się pani herbaty, panno Effie – zaproponowała.

– Myślę, że butelka szampana byłaby lepsza – odparła Effie.

– Jest pani pewna? Butelka szampana?

– Tak, Kruga. W kuflach Buccelattiego.

– W dwóch, panno Effie?

– Tak – odpowiedziała, po czym zdjęła rękawiczki, podała je Kitty i sztywnym krokiem weszła do salonu.

W przeciwieństwie do Dougala Robert prawie się nie zmienił. Tylko trzy lata dzieliły go od sześćdziesiątki, a jego krótko ostrzyżone włosy były całkiem siwe i przypominały futro z żelaznych opiłków przyciągniętych

przez magnes. Jednak policzki miał gładkie jak zawsze, oczy jasne i bezbarwne, a podwójny podbródek jędrny, błyszczący i różowy. Jego czarny bankierski garnitur był obszerny, ale dobrze skrojony. Pachniał bogactwem i wodą kolońską Floris Special No. 127, tą samą, której przed wieloma laty w Londynie używał Henry Baeklander, jakby rozmyślnie postanowił ją sprowokować i wytrącić z równowagi.

– Witaj, Effie – powiedział, szeroko rozkładając ramiona.

Szybkimi i tak pełnymi wdzięku krokami, jakby były wcześniej wypróbowane, ominęła zamierzony przez niego uścisk i podeszła do okna. Trzymał je w górze jeszcze przez kilka chwil, a potem opuścił po bokach.

– Jesteś wcześniej – powiedziała. Jej ruchy były równie wzburzone jak ruchy baletnicy. – Nie spodziewaliśmy się ciebie przed początkiem przyszłego miesiąca.

– Uparałem się ze wszystkim, co robiłem w Edynburgu i postanowiłem wsiąść na najbliższy statek. Jak się okazało, był to liniowiec „Ile de France”. Może powinienem był zaczekać aż do sierpnia. Niemcy mają wtedy zwodować liniowce „Europa” i „Bremen”. Prawdziwe morskie giganty, przeszło pięćdziesiąt tysięcy ton, niczym dwie nowe planety. Watson's Bank pomógł sfinansować ich budowę.

– Nadal pomagasz Niemcom, nawet teraz?

– Roztropnie jest pomagać Niemcom, moja złociutka. Są zdolną rasą, niezbyt różną od Brytyjczyków, gdy wszystko jest już powiedziane i zrobione. Gdy im się uda pokonać problem tych reparacji wojennych i uporządkować przemysł ciężki, to... cóż, zapamiętaj moje słowa, Effie, znów będą na szczycie.

– Pragnąc zemsty?

– Nie pragnąc niczego oprócz tego, co zgodnie z prawem jest ich.

Effie długo milczała. Robert spojrzał na nią kilka razy, a potem wzruszył ramionami i usiadł. Jedynie szczeniasty czubek jego głowy odbijał się w złoconym lustrze nad kominkiem niczym mroczne słońce wstające nad odwróconym światem albo dryfująca po oceanie mina, która wiruje i zmienia kierunek w oczekiwaniu na pasażerski liniowiec zatłoczony kobietami i dziećmi.

– Nie jestem zadowolona, że cię widzę. Mam nadzieję, że to rozumiesz – powiedziała wreszcie Effie.

– To niezadowolenie jest wzajemne, wierz mi. Jednak jesteśmy bratem i siostrą, nieprawdaż? Najbliższą rodziną. Jak mógłbym przybyć do Nowego Jorku i nie wpaść do mojej siostry Effie, żeby się przywitać.

– Zamówiłam szampana.

– Cóż, to doskonale. Nie zechciałabyś zamówić do niego kanapki z zimną wołowiną?

– Poproszę – sztywno odparła Effie.



– Z korniszonem, jeśli to nie będzie zbyt wielki kłopot.

Do salonu weszła Kitty ze srebrną tacą, na której stała otwarta butelka szampana i dwa srebrne kufle, których rączkami były wyrzeźbione w kości słoniowej papugi kakadu z rubinami w oczach. Postawiła ją na stoliku obok Effie, ale Effie powiedziała:

– Pan Robert je napelni, dziękuję, Kitty. I jeszcze jedno, Kitty, zechciej, proszę, zrobić panu Robertowi kanapkę z tej wołowiny, która została po kolacji z Douglassami.

– Tak, madam – odpowiedziała Kitty.

Robert napenił obydwie kufle szampanem, a potem stanął plecami do różowego marmurowego kominka, z jedną ręką wsuniętą pod połę garnitur, a drugą trzymającą kufel jakimś dziwnym, dwupalcowym chwytem.

– Dobrze ci się wiedzie – powiedział – ale słyszę, że wszystko sprzedajesz i wyprowadzasz się do Kalifornii.

– To prawda.

Robert się skrzywił.

– Z tego co wiem, w Kalifornii jest prawie dziko. Nic z tych rzeczy, do jakich my przywykliśmy w Troon.

– Mieszkasz teraz w Troon?

– Mam tam dom.

– Jak się miewa Marion?

– Całkiem dobrze. Poza pewną skłonnością do astmy. Jednak całkiem dobrze.

Znów na długo zapadło milczenie.

– Byłeś na grobie matki? – zapytała Effie.

– Tak, byłem – odparł Robert.

– Co tam położyłeś? Wieniec? Kwiaty? Jakieś przesłanie? Mam nadzieję, że podpisałeś je w imieniu nas wszystkich.

– Położyłem tam dokładnie to, czego matka zawsze pragnęła – zawiesił głos, wiedząc, że przyciągnął całą uwagę Effie, po czym uśmiechnął się niemile. – Pieniądze – wyjaśnił. – Podarte banknoty z Bank of Scotland. Spadały jak błękitna zawieja. Powinnaś była widzieć minę cmentarnego dozorca. Upadł na kolana i próbował poskładać kilka kawałków na nowo. Było ich dziesięć tysięcy, wszystkie matki inwestycje w Easton McKirk.

– Kłamiesz – powiedziała Effie, wpatrując się w Roberta z uczuciem na wpół rozbawienia, na wpół absolutnej zgrozy. – Daj spokój. Znęcasz się nade mną.

– Tak myślisz? – zapytał Robert, sącząc szampana.

Effie wzięła szybki oddech.

– Nie wiem. I chyba mnie to nie obchodzi. Jeśli podarłeś dziesięć tysięcy funtów, to wybrałeś strasznie głupi sposób okazania swoich uczuć. Nie mówiąc już o braku szacunku wobec matki, która cię urodziła.

Robert się roześmiał.

– Nie zmieniłaś się, prawda, Effie? Boże, nie zmieniłaś się. Świętoszkowata do ostatniego tchu. Bogata, sprytna i moralna.

– Rozmawialiśmy o grobie twojej matki; o grobie, do którego może nie poszłaby tak wcześnie, gdyby nie ty.

– Nie osądzaj mnie, Effie – ostrzegł Robert. – Gdyby nie ja, prawdopodobnie poszłaby do kobiecego więzienia albo do domu wariatów i umarłaby tam. Pamiętaj o czymś jeszcze: zapewne była moją matką, ale udusiła mojego ojca. Groby bywają okrywane hańbą ze znacznie bardziej błahych powodów niż ten.

– Obiecałam sobie kiedyś, że zbeczeszczę twój – bezbarwnym głosem odpowiedziała Effie.

– Doprawdy? Ach tak, pamiętam! Jednak nie będziesz miała okazji, gdyż niewątpliwie cię przeżyję.

Usilnie się opanowując, Effie zdołała usiąść na małej, francuskiej brokatowej sofie obok biblioteczki. Odgarnęła niewielki kosmyk włosów. Miała ochotę wybiec z salonu i trzasnąć drzwiami. Najchętniej wrzasnęłaby na Roberta, żeby wyniósł się z jej domu. Wiedziała jednak z doświadczenia, że jeśli w rozmowie z Robertem przestanie nad sobą panować, straci wszelką ewentualną przewagę, jaką może nad nim mieć. Robert grał na słabości: zawsze zaczynał finansowe negocjacje od zaszokowania i zirytowania ludzi, z którymi robił interesy. Poza tym, jak sam mawiał, byli „ścigającymi się królikami”.

Dzisiaj Effie miała tę podwójną przewagę, że znacznie lepiej niż Robert znała Amerykę i amerykańską bankowość i że wszyscy jej przyjaciele byli tutaj. Była to przewaga, którą musiała wykorzystać szybko i roztropnie.

– Z pewnością było ci trudno po wojnie. Tak słyszałam – powiedziała.

– Tak – przyznał Robert. – Przez kilka lat było dość ciężko. Straciliśmy dziesiątki milionów funtów i był taki okres, chociaż nie pojawiło się to w raportach o kapitale akcyjnym, które otrzymywałam, gdy spadliśmy do rezerwy mniejszej niż dwa miliony funtów. Wyobraź sobie, że Bank of England podczas wojny zszedł do rezerwy dziesięciu milionów, więc mówiąc porównawczo, nie było z nami tak źle. Żałuję tylko, że zniesiono brytyjski parytet złota. To nam przysparza nieodwracalnych szkód.

Effie nie skomentowała jego odpowiedzi. Miała własny pogląd na ten temat.

– Dougal opowiada mi, że chcesz zawrzeć jakąś umowę z nowojorskim Watson's Bank – powiedziała szorstko.

Robert skinął głową.

– To prawda. Już od pewnego czasu spoglądam na Nowy Jork. W każdym razie robimy tu niezły interes, ale z przyjemnością będę myśleć, że mamy tu centralę dla załatwiania zagranicznych rachunków i inwestowania

w nowojorski rynek akcji. Niektórzy moi szkoccy klienci chcą zainwestować pieniądze w amerykańskie samochody, stal i chemikalia. Wielu z nich już to zrobiło, ale byłoby znacznie wygodniej, gdyby tym wszystkim mógł się dla mnie zajmować Dougal. Przynajmniej wiedziałbym, że interes jest w dobrych rękach; w rodzinnych rękach. Przykro mi tylko, że ty postanowiłaś się wycofać.

– Wciąż jestem poważnym udziałowcem zarówno nowojorskiego, jak i edynburskiego Watson's Bank – przypomniała mu Effie.

– W takim razie – uśmiechnął się Robert – jestem pewien, że mogę liczyć na twój głos, gdy przyjdzie do przedstawienia moich nowych planów.

– Jakich nowych planów?

Robert odstawił kufel, wyjął chusteczkę i starannie wytarł usta. Jedyłą oznaką jego wieku było to, że zaczynał się trochę ślinić. W zeszłym roku większość jego przednich zębów została usunięta przez sir Gordona Loutha, szkockiego chirurga szczękowego, i zastąpiona protezami.

– Watson's Bank miał się wyjątkowo dobrze w zeszłym roku dzięki dyskontowaniu rachunków do francuskich spółek w oczekiwaniu na pieniądze otrzymywane z Niemiec w ramach reparacji wojennych. Nie przypuszczam, aby można było uzyskać znacznie więcej z tego konkretnego rynku: gospodarka niemiecka jest teraz, jak wiesz, w całkiem rozpaczliwym stanie. Ale zakończyliśmy z kilkoma przyzwoitymi milionami, które można pożyczyć amerykańskim brokerom na pokrycie zakupów akcji na rynku amerykańskim. I właśnie to chcemy zrobić – powiedział.

– W zasadzie nie mam nic przeciwko temu – chłodno odparła Effie.

– To świetny interes – mówił dalej Robert. – Wrzuci dużo pieniędzy w amerykańską gospodarkę, co nikomu nie zaszkodzi, a szczególnie nie przyniesie szkody ani tobie, ani Dougalowi. Przeciętnym amerykańskim inwestorom pozwoli zastanawiać się nad udziałami, które chcą kupić, amerykańscy brokerzy będą mogli robić interesy, na których tak bardzo im zależy, zaś udziałowcom i inwestorom Watson's Bank przyniesie to znaczną część zysków z amerykańskiego boomu giełdowego, bez faktycznej konieczności angażowania ich w zakup amerykańskich akcji.

– Sądziłam, że nie ufasz Dougalowi – powiedziała Effie.

– Oczywiście, że mu ufam! Jak możesz mówić coś takiego? Bywało, że kłóciliśmy się, gdy byliśmy młodzieńcami, ale spójrz na nas teraz. Jesteśmy dojrzałymi mężczyznami.

– Widziałeś się już z nim po przyjeździe?

– Zamierzam do niego zadzwonić teraz. Telefonowałem wcześniej, ale nie było go w biurze, więc postanowiłem najpierw przyjść tutaj.

– Cóż – rzekła Effie – nie wiem, co powiedzieć. Ty i ja okropnie kłóciliśmy się w przeszłości. Jedyнным powodem, dla którego opuściłam Anglię, było to, że dłużej nie mogłam znieść ani pracy z tobą, ani życia z tobą, jeśli

już o to chodzi. Nadal nie wybaczyłam ci pożyczania pieniędzy Niemcom.

– To kwestia, o której prawdopodobnie najlepiej zapomnieć – odparł Robert.

– Powiedziałbyś tak, gdyby Niemcy zwyciężyły?

– Niemcy były bardzo bliskie wygranej, kochaniutka, ale tak, straciliśmy dość dużo pieniędzy w czasie wojny. Ja miałem nadzieję, że prezydent Wilson wysłucha propozycji pokojowych Kaisera po tym, jak Amerykanie zajęli Saint-Mihiel. Ale cóż, tak się nie stało, prawda? Zamiast ekonomicznie zrównoważonej Europy, jaką moglibyśmy mieć, gdyby wszystko ustalono znacznie wcześniej, mamy tę absurdalną sytuację, w której od Niemców wymaga się płacenia reparacji. To po prostu pokazuje, że politycy nie mają pojęcia o bankowości. Gdyby Niemcy miały rzeczywiście spłacić choćby część tych reparacji, cała gospodarka światowa by się zachwiała. Kiedy oni w ogóle rozumieją, że państwa mogą mieć granice, ale pieniądze ich nie mają?!

– Ty wydajesz się całkiem zadowolony, czerpiąc pieniądze z reparacji.

– Oskarżysz mnie, gdy się zastanowisz, ile tych pieniędzy najpierw należało do Watson's Bank? Poza tym bankier, który nie wykorzystuje wszelkich możliwych okazji, jakie są dostępne, jest głupcem. Oto dlaczego jestem tutaj, w Nowym Jorku.

Do salonu weszła Kitty, przynosząc dla Roberta kanapkę z wołowiną. Sięgnął po nią bez słowa i zaczął jeść szybko i łapczywie, od czasu do czasu sięgając po chusteczkę, żeby wytrzeć ręce.

– Umieram z głodu. Nie mogę jeść na tych statkach. To kołysanie, rozumiesz, i zapach oleju. Mam szczęście, jeśli uda mi się nie wymiotować talerza owsianki.

– Jak będzie działać twoja umowa z nowojorskim Watson's Bank? – spytała Effie.

– To bardzo proste – powiedział Robert. – Wszystko jest kwestią gwarancji. Dougal pokryje koszty zaliczek brokerom z Wall Street do wysokości dwudziestu czterech milionów funtów, co dla brytyjskiego Watson's Bank jest kwotą dostępną dla amerykańskiej inwestycji, więc będziemy działać jako akceptanci tych pożyczek. Dougal będzie moim agentem, moim nowojorskim przedstawicielem, to wszystko. No i oczywiście będzie niezwykle sownie wynagradzany za ten trud.

– Ja będę mu usilnie radzić, żeby nie zwracał się do nikogo, dopóki nie otrzyma podpisanego przez ciebie listu – oświadczyła Effie.

– Och, jesteś taka podejrzliwa – rzekł Robert z pełnymi ustami. – Naprawdę sądzisz, że oszukałbym własnego brata?

– Nie wiem. Chyba nic by mnie nie zdziwiło w twoim zachowaniu.

Robert znów wytarł ręce, odchrząknął i wypił jeszcze trochę szampana.

– Coś ci powiem – odparł. – Abyś była całkiem pewna, że nie zamie-

rzam tu robić żadnych machlojek, pozwolę ci być świadkiem podpisywania zagranicznego rachunku dla Dougala i mogę cię zapewnić, że zagwarantuje mu on całe dwadzieścia cztery miliony przed upływem trzech miesięcy. To chyba będzie satysfakcjonujące?

Effie wzruszyła ramionami i odwróciła się, a potem odpowiedziała niechętnie:

– Przypuszczam, że tak. Skoro Dougal jest zdecydowany prowadzić z tobą interesy, to ja niezbyt wiele mogę zrobić, prawda?

– W istocie niewiele. Muszę jednak powiedzieć, że przykro mi, iż odczuwasz to w taki sposób. Myślałem, że może po dziesięciu latach...

– Za mną nie próbuj być sentymentalny, Robercie – ostro odpowiedziała Effie. – Nigdy taki nie byłeś.

– Wszyscy Szkoci są sentymentalni! – zaprotestował Robert. – Naprawdę, mogę ci pokazać jak bardzo. Przywiozłem kogoś na spotkanie z tobą. – Robert skończył ostatnią kanapkę. – Każ swojej pokojówce pójść do frontowych drzwi i przywołać mojego szofera.

– Robercie, o co chodzi?

– Effie... mówisz jak Amerykanka. Zrób, co ci mówię, a wtedy sama zobaczysz.

Kitty właśnie przechodziła za drzwiami, zmierzając do bawialni.

– Kitty, zechciej, proszę, wyjść przed dom i przywołać kierowcę pana Roberta, dobrze?

– Tak, panno Effie, jak pani sobie życzy.

Czekali w milczeniu. Robert pijąc głośno szampana, obserwował Effie z wielką satysfakcją. Wreszcie usłyszeli kroki na frontowej werandzie i Kitty mówiącą coś niewyraźnie, a potem drzwi salonu się otworzyły.

Effie ze złośliwego błysku w oczach Roberta już wcześniej domyśliła się, kto to jest. Jednego tylko nie wiedziała i nie potrafiła odgadnąć: czy Robert odkrył, co zdarzyło się między nimi przed laty, tamtej dziwnej nocy w Edynburgu, gdy żal przytłoczył czas, moralność i wszystko oprócz pragnienia miłości.

– Witaj, ciociu Effie – powiedział z głębokim, wyraźnie edynburskim akcentem, głosem, który sprawił, że dziesięć minionych lat wprost się zapadło; głosem, który przywrócił nie tylko szok wspomnień, że Karl von Ahlbeck został okaleczony i umarł, ale również tamte dni, miesiące, ludzi i rozmowy, tamte bale, kolacje i samochodowe rajdy, a także chwile śmiechu, życzliwości, bez troski i zabawy. Wstała i starała się stać, ale z powrotem opadła na fotel i patrzyła na niego przez łzy, których nie mogła powstrzymać.

Robertowi się to podobało i energicznie zacierał ręce z zadowolenia.

Alisdair miał teraz dwadzieścia siedem lat i był tak bardzo podobny do swego ojca, gdy tamten był dwudziestokilkulatkiem, że Effie musiała sobie

nieustannie przypominać, że to nie jest Dougal; że Dougal jest teraz mężczyzną w średnim wieku, załamany i tęgi, a ten starannie ubrany młodzieniec w szarym trzyczęściowym garniturze i jasnym krawacie jest jedynym synem Dougala. Co więcej zaś: jej jedynym kochankiem i ojcem jej jedynej córki, Kay.

– Witaj, Alisdair – wyszeptła. Nie miała pojęcia, dlaczego płacze i drży, ale płakała i drżała.

Ujął jej dłonie; miał ciepłe ręce. Czekał w samochodzie, aż Robert go przywoła. Poczula zapach papierosów na jego ubraniu i pomyślała o tej chwili, gdy razem siedzieli w bibliotece przy Charlotte Square i palili. Na małym palcu lewej ręki miał pojedynczą złotą obrączkę.

– Jaka niespodzianka! Robert... twój ojciec nic mi nie powiedział!

– Prawdopodobnie dowiedział się już tego pocztą pantoflową – powiedział Robert z twarzą zaróżowioną od szampana, kanapek z wołowiną i czystego zachwytu – ale Alisdair jest teraz dyrektorem naszego działu inwestycji zagranicznych. Oto dlaczego moim obowiązkiem było przywiezienie go ze sobą.

– Rozumiem – odparła Effie. – Cóż, Alisdair, gratulacje.

– Cudownie widzieć cię znowu – powiedział Alisdair całkiem innym, łagodniejszym tonem. – Jesteś... jesteś taka sama, jaką cię zapamiętałem.

– Może powinniśmy dostać kolejny kufel szampana – zasugerował Robert.

– Tak, oczywiście – odparła Effie. – Kitty, przynieś, proszę, następną butelkę i trzeci kufel.

Kitty wyczuła, że coś się dzieje.

– Tak, panno Effie. Zaraz podam – powiedziała i wyszła, nie zamykając za sobą drzwi.

Alisdair usiadł.

– Często myślałem, żeby do ciebie napisać, ciociu Effie – powiedział nieśmiało. – Przepraszam, że nie napisałem.

– To nieważne – odparła Effie. – Kiedyś myślałeś o napisaniu... myślałeś o napisaniu do... do kogo? – pragnęła, żeby łyzy przestały płynąć jej z oczu; nie lubiła płakać, jednak nie mogła się powstrzymać.

– Do Rockefellera? – podsunął jej Alisdair. Wiedział, że miała na myśli Dougala, że wymknęło jej się to niechcący.

– No właśnie! – szybko przyznała Effie. – To był on! Rockefeller! Myślałeś o napisaniu do Rockefellera. Nie sądzę, by był bardziej niezadowolony niż ja, że do niego nie napisałeś. Teraz jesteś tutaj, więc jakie to ma znaczenie, że nie pisałeś?

– Effie – wtrącił się Robert – mówisz głupstwa.

– Jestem zadowolona, że widzę Alisdaira, to wszystko – powiedziała Effie drżącym głosem. – Mam prawo mówić głupstwa.

- Mój widok cię nie ucieszył.
- Och, nie bądź taki piekielnie drażliwy. Nie protestuję, że jesteś grubiański, ale nie musisz być jednocześnie marudny.
- No proszę! – rzekł z rozbawieniem Robert, przybierając przesadnie obrażoną minę. – Wydaje się, że w pełni przyswoiłaś sobie amerykański, całkowicie bezpośredni sposób bycia. Nie sądzisz, że ta osoba służąca mogłaby się ruszyć z szampanem?

Effie otarła łzy i spojrzała na Roberta z takim gniewem i opanowaniem, że pociągnął nosem, odwrócił wzrok i burknął coś zakłopotany.

- Kitty – oświadczyła Effie bardzo dobitnie – nie jest „tą osobą”. Jest moją pokojówką i przyjaciółką. Jeśli chcesz pracować z ludźmi w Ameryce, lepiej będzie, jeśli zrozumiesz od początku, że podziały rasowe i klasowe nie są tutaj tak znaczące jak w Anglii.

Robert oparł się na swoim krześle i bębniąc palcami o pusty kufel, zwrócił się do Alisdaira tak, jakby Effie już wyszła z pokoju.

- Tak właśnie jest kłopot z twoją ciotką. Zawsze jest przekonana, że może dyktować wszystkim innym, jak mają postępować. Oczywiście jej własne postępowanie nie ma dla niej żadnego znaczenia. Ona jedynie eksperymentuje dla naszego większego dobra. Jeśli ona ma nieślubne dziecko, to całkiem w porządku, po prostu się upewnia, że dla reszty z nas robienie takich rzeczy jest niewłaściwe. Jeśli ona wyciąga wszystkie swoje osobiste fundusze z banków własnych braci, dwukrotnie w ciągu jednego dziesięciolecia, w czasie kiedy najbardziej ich potrzebujemy, cóż, to jest całkowicie do przyjęcia. Ona po prostu demonstruje reszcie z nas, że bankierzy panowie muszą się zachowywać obyczajnie, roztropnie i z odpowiedzialnością wobec udziałowców, natomiast bankierzy damy, będąc bardzo rzadkim gatunkiem, mogą robić wszystko, co chcą, bez oglądania się na to, jaką krzywdę robią swoim wspólnikom i krewnym. Twoja ciotka... – tutaj Robert zaczął wpadać w taką złość, że jego podwójny podbródek zrobił się niebieskawobiałym i trząsł się jak galareta – ...twoja ciotka trwa w przekonaniu, że w bankowości istnieje tylko jedno prawo, a jest nim święta ochrona czyichś osobistych funduszy, niezależnie od odpowiedzialności, jaką każdy bankier ponosi za gospodarkę całego świata, za pomyślność każdego banku i każdego człowieka, który ma dość wiary i filantropii, aby zainwestować swoje pieniądze w przedsięwzięcie i umiejętności innych ludzi.

Alisdair spojrzał na Roberta i obdarzył go żartobliwie besztającym wydechem ust.

- Powstrzymaj złość, ojczy – powiedział. – Wiesz, że ciocia Effie wcale nie jest taka.

Effie wbrew sobie roześmiała się głośno.

- Robercie – powiedziała – jestem przekonana, że zostałeś zmiażdżony przez własnego syna.

Wzrok Roberta gwałtownie przesunął się z Effie na Alisdaira i z powrotem. Effie widziała, jak jego czarna kamizelka unosi się i opada, gdy głęboko wdychał i wydychał powietrze, żeby powściągnąć swój temperament.

– Lepiej zrozum, Effie, że Alisdair i ja – powiedział w końcu – przed kilkoma laty omówiliśmy kwestię jego pochodzenia...

Effie nie odpowiedziała ani słowem, tylko rzuciła okiem na Alisdaira.

– ...Alisdair jest w pełni świadomy, że Dougal jest jego biologicznym ojcem, jeśli mogę ująć rzecz w taki sposób – mówił dalej Robert. – Cóż, o tym już wiesz. Alisdair twierdzi, że powiedział ci to bardzo wcześnie, po śmierci Prudence. Jednak, czego możesz nie wiedzieć, Alisdair postanowił, mniejsza o okoliczności, zostać ze mną i z Marion. Biologiczny ojciec to jedna sprawa, ale ojciec, który bierze na siebie trud wychowania, wykarmienia, wykształcenia i w końcu wprowadzenia do banku jako silnego, wiodącego młodego urzędnika wysokiego szczebla... cóż, oto czym jest prawdziwy ojciec.

Alisdair ani razu nie oderwał wzroku od Effie. Intensywny wyraz na jego twarzy mówił: ciociu Effie, wierz mi, nie było innej drogi. Byłem tylko chłopcem, a poza tym on mnie wychował, on był przy mnie, gdy wszyscy inni mnie odepchnęli; mój własny ojciec, nawet ty...

Robert uśmiechnął się do Alisdaira z nieskrywaną dumą.

– Czasami bywa narowisty. Młoda, gorąca głowa. Gada trzy po trzy, ale tylko dlatego, żeby zademonstrować swoją niezależność i poczucie humoru, a nie dlatego, że ma ochotę mnie zdradzić, tak jak kiedyś ty to zrobiłaś. Masz oto przed sobą, Effie, młodzieńca bardzo miłego i zamożnego; młodzieńca wartego pięćdziesiąt razy więcej niż ty w jego wieku i to mimo Winstona Churchilla i jego „złotego standardu”.

– Bardzo się cieszę – powiedziała Effie. – Zamierzasz powiedzieć Dougalowi, że jest ojcem? Mam na myśli ojcostwo biologiczne, a nie typ ojca, który cię wychowuje, żywi i czyni dyrektorem banku?

– Ciociu Effie... – protestował Alisdair, ale Robert uniósł dłoń, aby go uciszyć.

– Dougal nie musi wiedzieć, prawda? – zapytał Robert, mówiąc teraz uspokajająco. – Naprawdę myślisz, że to będzie roztropne? Ja bym tak nie uważał, dla dobra Alisdaira. Naturalnie Alisdair jest ciekawy spotkania z nim i myślę, że powinien go poznać, ale powiedzenie Dougalowi o jego ojcostwie niczemu sensownemu nie służy, a tylko wywoła niepotrzebne frustracje.

– A jeżeli ja mu powiem? – spokojnie zapytała Effie.

– Nie wyjawiałaś tego przez dwadzieścia siedem lat, więc dlaczego miałabyś mu mówić teraz? Co by to dało?

– Może Dougal byłby zainteresowany poznaniem syna, którego dał kobiecie niegdyś przez siebie kochanej?



– Nie zrobiłabyś czegoś takiego – stwierdził Robert.

Effie przechyliła głowę na bok i dociekliwie spojrzała na Alisdaira.

– A ty, Alisdair? – zapytała. – Myślisz, że powinien wiedzieć?

Alisdair wzruszył ramionami, a właściwie całym sobą; złocistymi, kręconymi włosami, nadgarstkami i dużymi chłopcymi rękami.

– Nie chciałbym go zranić.

– Prawdę mówiąc – powiedziała Effie – nie sądzę, aby cokolwiek mogło jeszcze bardziej zranić Dougala. Ty, Robercie, już dawno zniszczyłeś brata, wyganiając go z rodziny. Myślę, że naprawdę nigdy nie doszedł do siebie.

– Powiedział mi, że jest szczęśliwie żonaty – odparł Robert.

– Jest żonaty, to prawda, ale nieszczęśliwie. A jak myślisz, dlaczego ożenił się tak szybko i tak nierozważnie? Bo rozpaczliwie potrzebował bezpieczeństwa i własnej rodziny.

Alisdair przeniósł wzrok z Effie na Roberta i z powrotem.

– Wciąż chcę go poznać – oznajmił – i jeśli ktoś mu powie, że jestem jego synem, to tylko ja. Sądzę, że mam do tego prawo.

– Proszę, proszę, jakże jesteś cudownie niewinny – powiedziała Effie, zwracając się do chłopca, który kiedyś był jej kochankiem; do chłopca, który dał jej jedyne dziecko, jakie miała. – Gdybyś był starszy i trochę bardziej doświadczony, rozumiał byś, że nikt nie ma żadnego prawa do czegokolwiek. Naprawdę jesteś przekonany, że tylko dlatego, iż twój ojciec przed wieloma laty... w świecie, gdzie wciąż jeździły konne omnibusy i nikt nie latał aeroplanem... kochał się z twoją matką, nie myśląc przy tym o żadnym dziecku, masz prawo zaskakiwać go wiadomością, że uczynił ją brzemienną i że bezwiednie na dwadzieścia siedem lat zrzekł się ojcostwa?

Alisdair otworzył usta, a potem je zamknął. Usiadł i wzrokiem szukał pomocy u Roberta. Robert jednak tylko się przyglądał, zachwycony ich konsternacją, mruczając coś pod nosem i kołyszając na palcu pustą kufel do szampana.

– Ostatnio nie jestem w dobrych stosunkach z Dougalem – powiedziała Effie. – Nie spotykamy się często, a gdy się to zdarzy, zwykle się kłócimy. Nie zamierzam mu jednak powiedzieć o Alisdairze. Są takie rany serca, o których lepiej zapomnieć, zwłaszcza gdy czas już je zagoił.

– Wciąż ta sama Effie – uśmiechnął się Robert. – Zranione serca, kwiaty, czasopisma dla dam...

Właśnie wtedy weszła Kitty z dodatkowym kuflem i świeżo otwartą butelką szampana. Tuż za nią, ze słońcem padającym z holu na jej włosy, weszła Kay zaciekawiona gośćmi swojej mamy. Miała na sobie seledynową aksamitną sukienkę z górą z białej koronki i zieloną przepaskę we włosach.

Effie wyciągnęła rękę i Kay podbiegła do niej przez salon.

– Kay – łagodnie zapytała Effie – skończyłaś już lekcję angielskiego?

- Pan Unsworth powiedział, że zrobiłam postępy na konto gramatyki.
- Nie sądzę, aby to zdanie było szczególnie poprawne gramatycznie.

Robert usadowił się wygodnie w fotelu, unosząc kufel, żeby Kitty mogła go napełnić.

- Cóż – powiedział – czy to jest moja siostrzenica?

Effie obróciła Kay dookoła.

– Tak, Robercie, oto ona. Kay, przywitaj się z wujem Robertem, a to jest... – zawahała się na chwilę, nagle ogarnięta lodowatym strachem, modląc się, by móc zakończyć tę prezenta cję spokojnym głosem – to jest twój kuzyn, Alisdair.

Kay dygnęła przed Robertem, który uśmiechnął się i mrugnął do Effie z aprobatą, a następnie przed Alisdaiem.

– Witaj – Alisdair był skrepowany. – Wystroiłaś się w śliczną zieloną sukienkę.

– Wuj Robert i kuzyn Alisdair przyплыnęli dzisiaj ze Szkocji na pokładzie „Île de France” – wyjaśniła jej Effie – To był statek „Île de France”, prawda?

– Tak – odparł Alisdair. – To cudowny statek. Bardzo nowoczesny. Jedyny problem tkwi w tym, że wszystkie kabiny dekorowane są drewnianym fornirem i że skrzypi na pełnym morzu, gdy fale są silne.

– Miałaś mdłości? – zapytała otwarcie.

– Jeden raz – uśmiechnął się Alisdair – ale chyba tylko dlatego, że zjadłem jakieś krewetki, które mi zaszkodziły.

– Długo zostaniesz w Ameryce? – chciała wiedzieć Kay.

– Miesiąc lub dwa. Nie jestem pewien. To zależy od ojca... to znaczy od wuja Roberta.

– Wuj Robert... – zachichotał, rozbawiony brzmieniem tego zwrotu.

– Posłuchaj, Alisdair – prosiła Effie – czy twój ojciec i ja moglibyśmy na kilka minut zostać sami? Kay na pewno będzie tak uprzejma, by pokazać ci nasz dom. Grasz w bilard?

Alisdair próbował wyrazić oczami więcej, niż potrafił powiedzieć, ale Effie, nie chcąc o tym mówić, tylko się uśmiechnęła i ponownie zwróciła do Kay.

– Oprowadź, proszę, kuzyna po domu. Pokaż mu pokój bilardowy. Alisdair, weź ze sobą swój kufel.

Kay w nienaganny sposób, jakiego nauczyła ją Effie, wzięła Alisdaira pod rękę i wyprowadziła z salonu.

– Najpierw powinniśmy pójść na samą górę naszego domu – Effie usłyszała jej głos. – Stamtąd widać Fifth Avenue aż do Waldorf Hotel przy Park Avenue.

Alisdair odwrócił się, żeby spojrzeć na Effie, ale ona powiedziała zachęcająco:

– Idź, Alisdair. Jestem pewna, iż stwierdzisz, że Kay jest wspaniałym przewodnikiem.

Gdy poszli na górę, Robert znów usiadł ze świeżo nalany szampanem, uważnie obserwując Effie.

– Jesteś sprytną kobietą, wiesz – powiedział po chwili. – Masz więcej sprytu, niż ci kiedykolwiek przypisywałem. Żałuję, że przez te wszystkie lata nie pracowałaś dla mnie.

– To była twoja wina, że wyjechałam.

– Sądzisz, że zdołałbym cię przekonać, abyś znowu pracowała ze mną? Effie potrząsnęła głową.

– Nie, Robercie.

Robert się skrzywił i spojrzał w swój kufel, obracając nim, aż szampan się spenił.

– Cóż – powiedział – będziemy musieli się o tym przekonać.

## 28

Tego samego wieczoru z banku zatelefonował Dougal. Długo rozmawiał z Robertem, a potem poprosił o rozmowę z Effie.

– Effie – powiedział głosem, który brzmiał bełkotliwie i dziwnie daleko. – Zaprosiłem Roberta i Alisdaira na Long Island, żeby spędzili tu resztę weekendu. Wiem, że w poniedziałek wyjeżdżasz na wybrzeże Pacyfiku, ale byłbym wdzięczny, gdy byś przyjechała tutaj razem z nimi. Przywieź Kay. Będzie nas więcej.

Effie przycisnęła palce do oczu jak kobieta cierpiąca na migrenę. Spędzanie niedzieli z Robertem i Dougalem nie było najlepszym pomysłem na relaksujący weekend, ale pomyślała, że powinna się zdobyć na jakiś wyraz serdeczności, a przede wszystkim zamierzała uwolnić się od nich do poniedziałkowego popołudnia, żeby w poniedziałkowy wieczór zjeść kolację z Caldwellem w luksusowym pociągu do Chicago, ciesząc się odpoczynkiem, wolnością i rozgrzeszeniem.

– Dobrze – odparła. – Przywiozę Roberta i Alisdaira moim samochodem. Powiedziałeś Marielli?

– No... nie. Nie powiedziałem – po tych słowach usłyszała stłumiony głos, jakby zasłonił dłonią słuchawkę: – Cóż, masz te przekłete raporty! – Po chwili znów mówił do niej: – Effie? Posłuchaj, Effie, zrób mi tę przysługę, proszę, i zadzwoń za mnie do Marielli. Chyba nie będę mieć czasu.

– Doprawdy, Dougal, sam powinieneś do niej zadzwonić.

– Do diabła, Effie, tylko ten raz! – warknął Dougal.

Effie zamknęła oczy i nie powiedziała ani słowa.

– Effie, proszę...

Jechali na wschód w ciemność Long Island i mglistą atlantycką noc, nie mając niczego, co by ich prowadziło oprócz własnych słabych reflektorów i migoczących w oddali domów. Robert szybko zapadł w sen, gdy przecięli East River, wjeżdżając do Queens i siedział w kącie samochodu Effie, z dłońmi w czarnych rękawiczkach zasłaniającymi twarz i rondem czarnego bankierskiego kapelusza przyciśniętym do jasnej tapicerki, chrapiąc cicho, ale bezustannie. Kay siedząc naprzeciwko Effie w jednym z rozkładanych siedzeń, wydawała się blada i zmęczona. Tylko Alisdair pozostawał ożywiony, obserwując nieznanne znaki drogowe i reklamowe billboardy.

– Naprawdę musisz wyjechać w poniedziałek, ciociu Effie? – zapytał. Effie skinęła głową.

– W środę mam spotkanie w Chicago, a pod koniec tygodnia muszę być w Los Angeles. Mówiłam ci o nowym banku, który tam otwieram. To dla mnie bardzo ważne.

Alisdair umilkł.

– Dość często o tobie myślałem przez te lata – powiedział po chwili.

– To dobrze – uśmiechnęła się. – Ja też myślałam o tobie dość często.

– Miałem nadzieję, że... no cóż, nie wiem. Chyba miałem nadzieję, że pewnego dnia cię zobaczę. Że może przyjedziesz z wizytą do Szkocji i...

Effie uściśnęła jego dłoń, kładąc jasną liliową rękawiczkę z włoskiej giemzowej skóry na ciężką szetlandzką rękawicę z kremowej szkockiej wełny. Wcześniej przykręcili ogrzewanie, gdyż Kay wciąż zdawała się cierpieć na chorobę lokomocyjną.

– Nie zapomniałam o tobie, ale zawsze sądziłam, że będzie lepiej, żebyś dorastał bez kłótni i sporów, które zawsze toczyły się wokół mnie, gdy byłam dzieckiem. Doskonale wiesz, że twój ojciec i ja nigdy nie byliśmy zgodni, w każdym razie nie dłużej niż przez dwie minuty. Gdybym została w Szkocji, nie działałoby się nic oprócz wzajemnego obrzucania się wyzwiskami, ciskania różnymi przedmiotami po domu i trzaskania drzwiami na dole i na górze. Czy wiesz, że twój dziadek uderzył kiedyś twojego ojca w głowę, twojego biologicznego ojca, udźcem jagnięcym? Taki był ów całkiem szczęśliwy dom, w którym ja dorastałam.

– Udźcem jagnięcym? – z niedowierzaniem zapytał Alisdair.

– Łup! – Effie uniosła ramię, aby gestem zademonstrować tamto zdarzenie. – Cała niedzielna pieczeń prosto w policzek!

– Cóż – rzekł Alisdair, wydając z siebie jeden z tych śmiesznych chichotów, do jakich wydają się być zdolni tylko młodzi mężczyźni. Effie pomyślała, że to niezwykle, iż Dougal mający wtedy dwadzieścia pięć lat wydawał jej się tak dojrzały. A Alisdair, dziś dwa lata starszy niż Dougal był wtedy, jest taki nieopierzony i taki niezdamny... Czy to chłopcy dojrzewają później, myślała, czy po prostu minęło dwadzieścia siedem lat i ja jestem znacznie starsza?

Koscinski, szofer Effie, uruchomił gwizdek interkomu, a kiedy Effie go wyłączyła, powiedział:

- Dojedziemy za dziesięć minut, panno Watson.
- Dziękuję, Koscinski – odparła Effie.

Za radą Henrietty, żony Hermana T. Weidermeyera III, postanowiła zaangażować raczej polskiego kierowcę niż jakiegoś Francuza czy Włocha.

– Właściwie nie mam nic przeciwko brawurowemu prowadzeniu samochodu – powiedziała jej wtedy Henrietta. – Chodzi tylko o ten podmuch czosnku, jaki czuje się na twarzy, gdy odchylają wewnętrzną szybę, żeby coś powiedzieć.

Effie mogła sobie pozwolić na grymasy; utrzymywała wtedy, trochę większą niż naprawdę potrzebowała, „stadninę” sześciu samochodów z głównym specjalistą do opieki nad nimi, mechanikiem odbywającym tygodniowe przeglądy i szoferem. Samo utrzymanie samochodów kosztowało ją ponad jedenaście tysięcy dolarów miesięcznie.

– Nie pozwolisz, by ojciec wszedł między nas, prawda? – zapytał Alisdair.

– Kto? *Robert*? Dlaczego miałabym pozwolić?

– Ja naprawdę muszę go wspierać, wiesz o tym. Pracuję dla niego, on *jest* moim ojcem.

– Oczywiście, że nie pozwolę Robertowi wejść między nas – zapewniła go Effie – ale chcę ci coś powiedzieć, Alisdair. Dougal, twój prawdziwy ojciec, nie jest teraz w dobrym stanie. Zawarł trudne małżeństwo i przeżywa ciężki okres w interesach. Czasami bywa dość dziwny. Chcę tylko, żebyś zrozumiał, że nawet gdy wydaje się wybuchowy i niemal niemożliwy do zniesienia, wciąż jest moim bratem i twoim wujem, a także bratem twojego ojca.

– Co mu dolega? – zapytał Alisdair.

– Nie wiem, jak by to nazwać – odparła Effie, zwracając większą uwagę raczej na Kay niż na Alisdaira. Kay z zamkniętymi oczami prawie spała, a jej głowa kołysała się w rytmie jazdy. Dla Effie niemal niewiarygodna była myśl, że ten młody chłopak obok niej jest ojcem siedzącej naprzeciwko dziewczynki. W przyćmionym świetle samochodowych lampek ich twarze wydawały się takie młode. Mogliby być bratem i siostrą.

– Czy to jakaś choroba? – ponownie zapytał Alisdair.

Effie potrząsnęła głową.

– Nie jest to zwyczajna dolegliwość, tylko jakieś załamanie, wyczerpanie. Jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

Alisdair położył rękę na jej dłoni tak, że teraz jej rękawiczka znalazła się między jego rękawicami. Effie delikatnie, ostrożnie wysunęła swą dłoń i położyła ją sobie na kolanach.

– Bardzo dużo o tobie myślałem – powtórzył Alisdair.

– Masz chociaż dziewczynę? Jestem zaskoczona, że do tej pory się nie ożeniłeś.

– Spotykałem się krótko... Problem tkwił w tym, że byłem zbyt zajęty bankiem i musiałem to przerwać. Cóż, prawdę mówiąc, to ona zerwała. Lubiała, żeby zapraszać ją na tańce do Caledonian, a ja zwykle nie mogłem się oderwać od biurka.

– Jak miała na imię?

– Flora. Była bardzo ładna. No... niebrzydka. Nie podobały mi się jej odstające uszy!

Effie obdarzyła go uśmiechem dobrej cioci. Przyjaznym, ciepłym, ale niewątpliwie zdystansowanym przez wiek.

– Spotkasz kogoś innego, jestem pewna. A ta obrączka na twoim palcu? Alisdair ściągnął rękawiczkę i uniósł dłoń.

– Ta? To ślubna obrączka mojej mamy. Ojciec dał mi ją w zeszłym roku. Nie pogrzebano jej z obrączką. Zachował ją. Posłuchaj, Effie...

Effie natychmiast przyłożyła palec do ust i Alisdair w jednej chwili umilkł. Czowała w nim wszystkie naglące pytania i sny dziesięciu sfrustrowanych lat; sny i rojenia na jawie, jakie z pewnością snuł o tej jednej nocy w łóżku z nią, gdy się z nią kochał, gdy sprawił, że jęczała i płakała. Co więcej; nagle zrozumiała najbardziej przytłaczający powód, dla którego starsze kochanki powinny trzymać się z dala od młodszych kochanków: ponieważ starsze kochanki zbyt szybko pokazują trzymającą w napięciu zmysłowość dojrzałości i zawsze zwodzą swych młodszych partnerów wspomnieniem, którego nie można odtworzyć. Effie zapamiętała tę noc jako namiętą, naiwną i niezręczną, natomiast Alisdair prawdopodobnie zachował ją w pamięci jako raj.

– Czy będzie tam czas, choćby pięć minut, abyśmy mogli porozmawiać? – zapytał ochryłym głosem.

– Tak – z wielką łagodnością odpowiedziała Effie. – Może jutro rano. Jednak lepiej, żebyś wiedział, że jestem zakochana.

– Cóż... – zaczął Alisdair, siląc się na nonszalancję – naprawdę nie mogłem oczekiwać niczego innego. Myślałem, że wyszłaś za mąż. Powinnaś wyjść za mąż. Uczyniłabyś kogoś szczęśliwym... – przerwał, unosząc dłoń i przyznając się do banału, jakiego był bliski. – Cóż, myślę, że wielu mężczyzn chciałoby cię poślubić.

Kay spała z głową opartą o poduszkę fotela i lekko uchylonym ustami oddychała spokojnie.

– Wydaje się, że jesteśmy sami – powiedziała Effie, widząc przed sobą światła rezydencji Dougala. Robert zachrapał, a jego kapelusz podskoczył, jakby poruszało nim jakieś wymyślne urządzenie, dzięki któremu śpiący dzentelmen mógł składać ukłon przechodzącej przyjaciółce.

Alisdair przez chwilę przyglądał się Kay, a potem uśmiechnął się do Ef-

fie.

– Śliczna dziewczynka – rzekł. – Aż do zeszłego roku nawet nie wiedziałem, że masz córkę. Potem na jakiejś kolacji w Londynie poznałem kogoś z Citibanku i on mi powiedział. Z pewnością trzymasz ją z dala od świateł reflektorów, prawda?

– Chcę, żeby dorastała normalnie. Nie tak jak ja.

– Nie zabraknie jej adoratorów. Sam bym po nią sięgnął.

– Ty nie mógłbyś tego zrobić.

– Och, oczywiście, nie. Nie chodziło mi o to, że... – Alisdair spojrzął na Effie z nagłą niepewnością. Wjeżdżali w bramy posiadłości Dougala i Robert zaczynał się kręcić, oblizując wargi, jakby jadł wyjątkowo tłusty kotlet. – Ciociu Effie...?

– Nic nie mówiłam – odparła Effie z nieruchomą twarzą, jedną ręką ściskając połę płaszcza. – Powiedziałam po prostu, że ty nie mógłbyś wziąć jej dla siebie. Rozumiesz?

Robert ziewnął i nagle puścił wyjątkowo głośnego bąka.

– Och – rzekł zażenowany, wyprostowując się – przepraszam. Spałem...

– Papierosy, ojciec! – westchnął Alisdair, wachlując się ręką, ale jego druga ręka mocno ścisnęła dłoń Effie, gdyż zrozumiał, co próbowała mu powiedzieć, wreszcie zrozumiał i w tej jednej, przyprawiającej o zawrót głowy sekundzie zachwiał się cały jego świat.

## 29

Ich widokiem zachwycona była Mariella; nieco niespokojna, gdyż Dougal wciąż jeszcze nie zszedł na dół, ale zdumiewająco śliczna, znacznie ładniejsza niż Effie kiedykolwiek ją widziała, w wąskiej granatowej sukni z odkrytymi ramionami i z mieniącym się diamentowym naszyjnikiem-obrożą na szyi.

– Taka jestem zadowolona, że przyjechałaś, Effie! – powiedziała. – Mam ci tak wiele do opowiedzenia! Widziałaś, że Stephanie Moss Hartley zamierza wyjść za Lelanda Woodalla? Czyż nie będzie to małżeństwo roku? Ale wybacz; musisz mnie przedstawić swojemu bratu. To jest Robert, prawda? Tak dużo o tobie słyszałam, Robercie.

Robert zdjął kapelusz, ujął dłoń Marielli i schylił się w ukłonie.

– Jestem oczarowany, że mogę panią poznać, pani Watson. Gdybym wiedział, że w Ameryce można zdobyć takie nagrody jak pani, wyemigrowałbym ze Szkocji wiele lat temu. Dougal jest szczęściarzem.

Mariella uśmiechnęła się, ujęta komplementem. Szybko jednak rzuciła Effie spojrzenie, które wyrażało wdzięczność, że Effie nie powiedziała mu, jaką okropną katastrofą jest w rzeczywistości jej małżeństwo.

– Oto Alisdair, mój syn – mówił dalej Robert. – Alisdair jest tym, co lubię nazywać *nowym gatunkiem* bankierów. Najpierw daje kredyt, a potem zadaje pytania!

– Wejźmy do środka – powiedziała Mariella i poprowadziła ich po oświetlonych schodach do domu. – Przepraszam, że Dougal jeszcze nie jest gotowy. Miał dziś trudny dzień w mieście.

– Macie naprawdę piękny dom – rzekł Robert, podziwiając żyrandol jaśniejący w holu. – Czy sama go pani dekorowała, pani Watson? Wyborny gust!

Effie pomyślała, że opinia o guście Marielli wyrażona przez Roberta, którego własne wizje dekoracji rzadko wychodziły poza dwa nie pasujące do siebie zestawy szkockiej kraty, przekracza arogancję. Mariella udekorowała wszystkie wnętrza w swoim domu serią coraz głębszych odcieni pastelów, obficie używając jedwabnej mory, galonów, lambrekinów i pastelowych aksamitów. Jednak Mariella była wyraźnie zadowolona, gdyż wzięła Roberta pod rękę i weszła z nim do salonu, gdzie czarnoskóry odzwierciany Rousseau czekał z szampanem.

Alisdair był bardzo cichy. Wciąż zaszokowany tym, co Effie wyjawiała mu w samochodzie, nie odrywał wzroku od Kay, jakby od niej oczekiwał, że w jakimś momencie zrobi coś magicznego: rozplynie się w powietrzu albo zamieni w jakiś mebel. Jak to możliwe, że ta ujmująca, subtelną amerykańską dziewczynka w chabrowej sukience ze splecionymi ku górze warkoczami i niesfornymi loczkami na karku naprawdę jest jego córką? Rozmawiała z nim tak mądrze i z taką ufnością, i tak otwarcie patrzyła mu prosto w oczy. Z serdecznym uczuciem już zwracała się do niego imieniem Alisdair, chociaż w rzeczy samej powinna nazywać go „tatusiem”.

– Jak ci się podoba Ameryka? – Mariella zapytała Alisdaira, gdy wszyscy usiedli. – Pamiętam, jak wysokie wydawały mi się budynki, gdy pierwszy raz tutaj przyjechałam, ale oczywiście teraz są jeszcze wyższe. Słyszę, że Bank of Manhattan zamierza postawić budynek siedemdziesięciopiętrowy.

– Tak? Naprawdę? Och, no cóż, oni rzeczywiście bardzo wysoko... Chciałem powiedzieć, że wysokie stawiają te budynki. Ale wyspa Manhattan jest przecież bardzo solidną skałą, czyż nie? Te wszystkie budynki muszą mieć mocne fundamenty – powiedział Alisdair.

Robert sięgnął po kieliszek szampana z tacy, z którą do wszystkich podchodził Rousseau, po czym rzekł, uśmiechając się do wszystkich, a szczególnie do Marielli:

– Jeśli zabiorę ze sobą do Szkocji jedno naprawdę szczęśliwe wspomnienie z Ameryki, to będzie przyjęcie mnie w cudownym domu przez najbardziej ponętą gospodynię – powiedział. – Zachowajcie sobie w pamięci wszystkie swoje wysokie domy. Ja się zadowolę panią Watson.

Wszyscy się roześmiali.



– Nazywaj mnie Mariella, proszę – odpowiedziała, rumieniąc się. – Jeśli masz zamiar komplementować mnie do śmierci, to mogłabym umrzeć, słuchając mego imienia na twoich wargach.

Znów wszyscy przyjęli to ze śmiechem.

Właśnie w tej chwili z holu wyłonił się Dougal, wchodząc niezgrabnie i obciążając na sobie białą wieczorową kamizelkę. Effie nie widziała go od kilku tygodni i była wstrząśnięta tym, jak bardzo wydawał się zniszczony. Wyglądał raczej jak człowiek dobrze po sześćdziesiątce niż pięćdziesięciodwuletni. Twarz miał nabrzmiałą, a jednocześnie pomarszczoną niczym ludzkie palce we wnętrzu kraba. Prawą rękę przyciskał do prawego boku, a gdy przechodził przez salon, powłóczył prawą nogą i niemal się potknął.

Robert wstał przed Dougalem i tak samo postąpił Alisdair, ale w sposobie, w jaki go powitali, była wyraźna różnica. Alisdair – już wcześniej wstrząśnięty odkryciem, że Kay jest jego córką, a teraz nagle mając przed sobą spotkanie z nieznanym, wyraźnie chorym człowiekiem, który nie wiedział, że jest jego ojcem – wstał niezgrabnie, upijając trochę szampana i rozglądał się nerwowo za Effie, by dodała mu pewności siebie.

Robert, przeciwnie, gładko wstał z fotela w swym wyfraczonym triumfie; wysoki, bogaty i przytłaczający. Effie nigdy i na żadnej twarzy nie widziała uśmiechu takiej satysfakcji, okrucieństwa i mściwej przyjemności. Uprowadził Dougala i ująwszy jego dłoń w swoje ręce, energicznie nią potrząsał.

– Dougal... po tylu latach! Co za spotkanie!

Dougal niepewnie zasznurował wargi, starając się patrzeć Robertowi prosto w oczy, ale jakoś nie mógł tego zrobić.

– Cieszę się, że przyjechaliście – powiedział głosem brzmiącym jak szelst papieru. – Czy Mariella dobrze was przyjęła?

Robert nie puszczał Dougala.

– Czy dobrze nas przyjęła? – zawołał głośno i serdecznie, nie przestając potrząsać ramieniem Dougala. – Twoja śliczna żona jest wcieleniem gościnności, królową!

– No tak... to dobrze – rzekł Dougal i wreszcie zdołał uwolnić rękę, a potem łagodnie zwrócił się do siostry: – Witaj, Effie. Dziękuję, że przyjechałaś. Przepraszam, że byłem tak opryskliwy przez telefon.

Effie pokręciła głową, pokazując, że nie ma to znaczenia.

– Lepiej podejdź i przywitaj Alisdaira – mówił dalej Robert. – Mój pierwszy i jedyny chłopak! Watson, w doskonałej tradycji Watsonów!

Effie nie miała wątpliwości, że dla Roberta był to moment największej przyjemności. Przedstawić nieświadomemu sytuacji Dougalewi jego własnego syna, ostatecznie upokorzyć Dougala przed własną siostrą, a nawet przed jego własną żoną i Alisdaiem; zwłaszcza teraz, gdy Dougal wydawał się tak złamany i niezdrowy. To właśnie była jedna z owych chwil dla któ-

rych, o czym był przekonany, przyszedł na ten świat.

Dougal i Alisdair uścisnęli sobie ręce. Robert rozplątał się w zachwycie.

– Wznieśmy za to toast! – wykrzyknął. – Nie możemy pozwolić, aby tak historyczny moment minął bez toastu!

Wszyscy wstali i unieśli kieliszki; nawet Kay, której podano „mimozę”, musujący napój pomarańczowy. Robert wsunął kciuk w kieszonkę kamizelki.

– Za banki Watsonów po obydwu stronach Atlantyku i za pomyślność ich właścicieli! – zawołał.

– Za Watsonów! – odpowiedzieli unisono i spełnili toast, ale zanim zdążyli usiąść, Robert oplótł ramieniem talię Marielli i powiedział: – Chcę zaproponować jeszcze jeden toast. Wznoszę go z zazdrością, wielkim szacunkiem i sympatią. Za naszą gospodynię, która sprawiła, że czujemy się tutaj jak w domu i mogę chyba powiedzieć, że flaga Stanów Zjednoczonych Ameryki powinna nosić czterdziestą dziewiątą gwiazdę, symbolizującą damę, która jaśnieje pod każdym względem.

Effie, pragnąc przerwać napięcie, w którym wszyscy wydawali się zawieszeni, zaczęła klaskać. Alisdair zaklaskał także i to samo zrobiła Kay. Dougal jednak tylko zakaszał, obrócił się powoli na jednej nodze, ruszył przez salon do swojego fotela i opadł na niego ciężko niczym wór mąki.

Robert zagrzmiął w jego stronę.

– Cóż, chłopie, muszę powiedzieć, że nie wyglądasz najlepiej! Czy to grypa?

Mariella, wciąż trzymając Roberta pod ramię, udzieliła mu odpowiedzi.

– Dougal... po prostu nie czuje się zbyt dobrze w tym momencie, Robertcie. Lekarz mówi, że jest przepracowany.

Dougal z wysiłkiem podniósł głowę. Jedno z jego oczu było okropnie przekrwione.

– Wracam do formy – powiedział. – To jest dla mnie trudny rok, a nie pomogło mi odejście Effie. Przysporzyła mi wiele dodatkowej pracy.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli znów przez to przechodzić – spokojnie odpowiedziała Effie.

– Niemniej to prawda – rzekł Dougal.

– Ja po prostu nie mam zaufania do amerykańskiego rynku akcji, to wszystko – odparła Effie. – Możesz to nazwać brakiem wiary, jeśli chcesz. Ale ja nie rozumiem, jak Stany Zjednoczone mogą nadal przeżywać koniunkturę, gdy Niemcy są na krawędzi finansowego upadku, a reszta Europy pozostaje w okropnym nieustającym kryzysie ekonomicznym. Ameryka nie jest już sama na tym świecie. Wojna nam to pokazała.

Robert wysączył resztę swojego szampana i rozglądał się za następnym kieliszkiem.

– No cóż – powiedział – nie rozmawiamy o interesach przed kolacją.

Mariello, czy nie zechciałabyś mi pokazać waszego pięknego domu? Alisdair, ty zostań na górze i poznaj bliżej swego wuja. Spodziewam się, że ma do opowiedzenia wiele wspaniałych historii o życiu w Ameryce, prawda, Dougal? A zatem...

– Kay i ja przebierzemy się do kolacji – powiedziała Effie. – Chcesz się ubrać w tę brązową aksamitną sukienkę? Czy wolisz niebieską?

Robert z uśmiechem przyglądał się, jak Rousseau napełnił jego kieliszek szampanem, po czym wziął pod rękę Mariellę.

– Prowadź, moja złociutka – powiedział.

Dougal, rozparty w fotelu, obserwował ich z mieszaniną niechęci i zazdrości, jak wyszli z salonu do holu i nawet gdy Effie coś do niego powiedziała, było widać, że wciąż nasłuchuje ich głosów rozbrzmiewających echem, gdy Mariella wprowadziła Roberta do galerii, by podziwiać ich kolekcję pejzaży Toma Cole'a.

W końcu Dougal zwrócił się do Alisdaira

– Pracujesz więc w banku w Edynburgu, Alisdair?

– Głównie w Edynburgu, sir. Ale spędzam też trochę czasu w Londynie – Alisdair wyglądał wyjątkowo blado i Effie przyglądała mu się z troską.

– Jesteś... starszy, niż przypuszczałem – rzekł Dougal. – Chyba widziałem kiedyś twoją fotografię, w jakiejś gazecie finansowej, prawda? Kilka lat temu...

– Tak, sir. W 1918 roku, kiedy miałem osiemnaście lat. To był artykuł o ważnych postaciach finansjery w domu, z rodzinami.

– Z rodzinami... – powtórzył Dougal, bardziej do siebie niż do Alisdaira. Uniósł głowę i potoczył wzrokiem po ogromnym salonie, jakby czegoś szukał. – No cóż, jak widzisz, nie ma tutaj rodziny. Tylko ja i moja żona. Och, jest jeszcze wiele koni. Ja... moja żona głównie hoduje konie. Jeździsz konno, Alisdair?

– Tak, sir.

– Dobrze. Przypomnij mi jutro, a będziesz mógł odbyć przejażdżkę.

Dougal na chwilę pogrążył się w milczeniu.

– Kay i ja pójdziemy teraz na górę. Zostaniesz tutaj przez chwilę, Alisdair, dobrze?

Alisdair był wyraźnie niezadowolony na myśl o pozostaniu z Dougalem, ale skinął głową.

– Dobrze, ciociu Effie. Idźcie.

Dougal zakaszłał kilkakrotnie, a potem głośno wypluł flegmę w chusteczkę.

– Kiedyś sam dużo jeździłem – powiedział. – Zwykłem też biegać. Czy ty w ogóle odbyłeś kiedyś jakiś bieg? Prawdziwy trudny bieg? Ja przebiegałem całą drogę aż do pomnika sir Waltera Scotta. Sądzisz, że mógłbyś to zrobić?

– Nie wiem, sir. Staram się utrzymywać formę.  
– Hm... – mruknął Dougal. Potem zamknął oczy, a po chwili znów je otworzył.

– Co o tym myślisz?

– O czym, sir?

– O pieniądzach, o bankowości. A o czym by innym?

Alisdair czuł się niewygodnie na krześle. Dokładnie zdał sobie sprawę, że Dougal, mimo wieku i choroby, był jego niemal lustrzanym odbiciem i zdumiało go, że Dougal nie widział tego podobieństwa i nie domyślił się prawdy.

– Mamy teraz bardzo trudny okres, sir – powiedział. – Londyńska bankowość nie przypomina tej, jaką z pewnością była przed wojną. Pożyczyliśmy trochę pieniędzy Australii i Kanadzie, ojciec zaś postanowił udzielić Peru jakiejś wspólnej pożyczki z francuskim Banque de Caen, ale tak wielu naszych dłużników nie spłaca należności, że dopóki nie nastąpi jakaś stabilizacja walutowa...

– Właśnie dlatego twój ojciec chce robić interesy ze mną – przerwał mu Dougal. – On wie, że my, amerykańskie banki, mamy ogromny udział w rynku kredytów zagranicznych. Ameryka Łacińska, Ameryka Południowa, Europa. Amerykańskie banki pożyczyły światu ponad bilion dolarów w ciągu ostatnich pięciu lat. Wiedziałeś o tym?

– Mam nadzieję, iż nie wątpicie, że będziecie spłaceni – powiedział Alisdair.

Dougal prychnął.

– Ameryka jest w rozkwicie. W takim okresie, jeśli uda nam się rozlać dość pieniędzy po świecie, ten rozkwit rozszerzy się także na Europę. Dla wszystkich nadchodzą dobre czasy.

Alisdair skończył swego szampana. Dougal obserwował go, nie mówiąc ani słowa. Alisdair zdobył się na krótki uśmiech, ale Dougal go nie odwzajemnił.

Minęło pięć długich minut. Alisdairowi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć, a jednak Dougal wciąż się w niego wpatrywał, nieustannie pociągając nosem i od czasu do czasu kaszłąc.

– Pozwól, że dam ci jedną radę – powiedział w końcu.

– Tak, sir?

– Nigdy nie żeń się z cudzoziemką.

Alisdair odpowiedział mu najuprzejmiej, jak mógł.

– Pan to zrobił, sir. Chcę powiedzieć, że pańska żona jest...

– Wiem, co chcesz powiedzieć! – rzucił Dougal. – *Dokładnie* wiem, co chcesz powiedzieć!

Dalej siedzieli w milczeniu aż do chwili, gdy wrócili, śmiejąc się, Robert i Mariella.

- A cóż to? – zapytał Robert – Doroczne zgromadzenie zakonu trapi-  
stów?!
- Wybaczcie – rzekł gniewnie Alisdair i wyszedł, by znaleźć łazienkę.

### 30

Przez całą kolację, od nadziewanych małży do lodów z syropem klonowym, rozgrywała się trudna farsa. Gdy milczący, ciemnoskóry lokaj Dougala podał kaczkę, łososia z Nowej Szkocji i pieczone piersi bekasa, Robert flirtował z Mariellą jeszcze bardziej przekonująco, niepowstrzymanie i tak chwilami otwarcie, że niektóre komplementy, jakimi ją obdarzał, sprawiły, iż żołądek Effie podnosił się tak, jak w czasie jazdy po pagórkach szybkim samochodem.

– Wiesz co – powiedział ze swoim silnym edynburskim akcentem, na oczach wszystkich sięgając po jej dłoń – masz usta, które aż proszą, żeby je całować.

Kay zdawała sobie sprawę z atmosfery pełnej napięcia, czuła je w głosie swojej matki, w jej nadmiernie opanowanym sposobie mówienia i próbie odsunięcia konwersacji od osoby Marielli. Widziała również, że wujek Dougal, na drugim końcu stołu, był coraz bardziej zniecierpliwiony i ponury, i że prawie nie tknął kolacji. Alisdair był tak blady, że wyglądał, jakby miał mdłości, a ilekroć Kay próbowała się do niego uśmiechnąć, odwracał wzrok.

Po kolacji zasiedli na chwilę przed kominkiem, aby napić się ponczu i Effie namówiła Kay do zaśpiewania piosenki, a potem zatańczenia krótkiego charlestona do muzyki z płyty „Piosenka o Kongu”. Na pół godziny zapanowało coś, co niemal zbliżało się do ciepłej rodzinnej atmosfery, ale później Robert, który siedział na poręczy fotela Marielli, pochylił się i ostentacyjnie pocałował ją w czoło, mówiąc:

– Widzisz, moja kochana, jaką macie utalentowaną bratanicę?

Effie wyprostowała się w fotelu.

– Myślę, że pora na rozmowę o interesach – powiedziała ostro. – Jutro rano nie będę miała zbyt wiele czasu; przed południem chcę być w Nowym Jorku. Chyba możemy skorzystać z twojej biblioteki, Dougal?

– Cóż, Effie zawsze wszystkim psuła zabawę – oznajmił Robert, z uczuciem ściskając Mariellę. – Przypuszczam jednak, że powinniśmy przejść do konkretów. Alisdair, czy zechcesz nie mieszać się do tego na tym etapie?

– Nie mieszać się do tego? Przecież znam wszystkie kwoty – zaprotestował Alisdair. – Poza tym jak można dyskutować o londyńskich sprawach, jeśli nie...

Robert włożył ręce do kieszeni spodni.

– Alisdair, ja tylko prosiłem, abys się do tego nie mieszał, prawda? Prosiłem. Chyba nie chcesz postawić mnie w sytuacji, w której byłbym zmuszony ci to kazać.

– Nie, ojciec – rzekł Alisdair, spuszczać wzrok.

Effie uspokajająco dotknęła jego ręki.

– Nie martw się. Spodziewam się, że będziemy musieli omówić kilka dawnych spraw. Nie chciałbyś tracić czasu na słuchanie tej gadaniny.

– Nie – odparł Alisdair, ale był wyraźnie niezadowolony. Spojrzał na Effie, a ona ujrzała w jego twarzy jedno gwałtowne uczucie: *Sam jestem ojcem, ojcem twojego dziecka, a ty traktujesz mnie jak dziecko. Co mam zrobić? Zaśpiewać ci piosenkę dla tatusia, a potem iść spać z kubkiem ciepłego mleka?*

Po tym jak Effie ucałowała Kay na dobranoc i Alisdair wyszedł do swojego pokoju, by oddać się lekturze, Effie, Dougal i Robert spotkali się w bibliotece pełnej rzędów książek oprawnych w złoconą skórę, umeblowanej skórzanymi fotelami i oświetlonej przyćmionym żółtopomarańczowym światłem lamp Tiffany'ego. Dougal wyjął butelkę whisky i Robert już rozpierał się wygodnie ze skrzyżowanymi nogami i szklaneczką wspartą na wydatnym brzuchu.

– Możecie palić, jeśli chcecie – powiedziała Effie, siadając i sięgając po swoją papierosnicę.

– W takim razie lepiej będzie otworzyć okno – odparł Dougal i zadzwonił po lokaja. – Rousseau, otwórz okno, proszę, i przynieś mi trochę tej tureckiej rozkoszy. Miałem po niej słodkie sny.

– Jak pan sobie życzy, panie Watson.

– Już wcześniej trochę spraw wyjaśniłem Effie – rzekł Robert – więc nie będę wchodził w nużące szczegóły. W istocie proponuję, aby nowojorski Watson's Bank i Watson's Bank w Edynburgu od dzisiaj blisko współpracowały. Uważam, że brytyjscy i europejscy inwestorzy powinni móc kupować obligacje południowoamerykańskie i akcje przemysłu północnoamerykańskiego za pośrednictwem Watson's Bank w Nowym Jorku, zaś inwestorzy północnoamerykańscy powinni móc operować swoimi pieniędzmi w krajach europejskich i tych, które należą do imperium brytyjskiego poprzez Watson's Bank w Edynburgu. Takim dwukierunkowym ruchem... ponieważ jesteśmy krewnymi i możemy sobie ufać... możemy zachować między sobą wyjątkowo korzystne kursy wymiany, możemy też nieźle zarobić, manipulując walutami tam i z powrotem na naszą korzyść. Dougal już się zgodził, że to jest doskonały pomysł, który powinniśmy wprowadzić w życie wiele lat temu, gdyby nie nasze niedorzeczne i niekorzystne rodzinne spory. Mówiąc między nami, jestem przekonany, że możemy zaoferować inwestorom bardzo ekscytujące zyski oraz bardzo kuszące kursy i ponownie stworzyć wspaniałe imperium bankowe.

– Niewątpliwie Dougal ma znacznie więcej do zaoferowania tobie, niż ty masz do zaoferowania jemu – powiedziała Effie, odkładając zapalniczkę. – Przede wszystkim Watson's Bank w Nowym Jorku, nawet bez udziału, który ja w nim miałam, wciąż ma wartość pięciokrotnie większą niż Watson's Bank w Edynburgu. I podczas gdy amerykańskie banki dosłownie przeczesują świat w poszukiwaniu ludzi, którym mogą pożyczyć pieniądze, większość twoich brytyjskich i europejskich inwestorów nie ma pojęcia o operacjach finansowych. Będzie to zatem jednostronny zysk. Na twoją korzyść.

Robert się zachnął.

– Moim wkładem są dwadzieścia cztery miliony, o których ci mówiłem. To są pieniądze, które zarobiliśmy, przejmując niemieckie długi wojenne. Aby ci udowodnić, że naprawdę myślę o interesach, przeznaczę całą tę kwotę dla Dougala na pożyczki dla amerykańskich inwestorów. Dougal uzyska niezłą prowizję i porządne oprocentowanie zysków, a Watson's Bank w Edynburgu, oprócz niewielkich profitów, jakie to przyniesie, będzie mieć pewność, że jego pieniądze są w sprawnych rodzinnych rękach.

Dougal nie powiedział ani słowa. W świetle bibliotecznych lamp wydawał się trochę zdrowszy, był nawet nieco zaróżowiony, ale wciąż miał niepokojący wygląd człowieka całkowicie zniszczonego własnymi lękami i rozczarowaniami. Effie wydawało się przedziwne, że Robert tak niefrasobliwie rozmawia z człowiekiem, bratem czy obcym, tak chorym. Chociaż nowojorski Watson's Bank był jednym z najbogatszych małych prywatnych banków w Nowym Jorku, bogatszym na przykład niż Hallett's Bank czy Bank of Columbia, było to głównie zasługą kompetentnego zarządzania Dana Kressa i w czasie gdy ona tam była, samej Effie. Kilka osób z Wall Street informowało Effie przez ostatnie miesiące, jak bardzo chory i nieobecny myślnymi wydawał się Dougal. Jean Monnet, którego Effie poznała przez korporację Trans-American, przysłał jej nawet nazwisko swojego lekarza.

– Zgadzasz się potwierdzić przyrzeczenie tej pożyczki z wekslem. Zanim Dougal zacznie pożyczać własne pieniądze.

– Tak jest.

Zapadło milczenie.

– Cóż, przypuszczam, że to dobry pomysł – po chwili powiedziała Effie. – Pora, aby rodzina się pogodziła i znów działała razem. Co o tym myślisz, Dougal?

Dougal odchrząknął i wzruszył ramionami.

– Chcesz to zrobić czy nie? – nalegała. – Zdaje się, że nawet nie jesteś w odpowiedniej formie, aby podjąć konkretną decyzję.

– Jestem w doskonałej formie – odparł Dougal zduszonym i rozdrażnionym głosem. – Przepracowałem się, to wszystko.

Robert sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej arkusz papieru, który wręczył Effie.

– Oto wasz weksel – powiedział.

Effie rozłożyła arkusz, przeczytała go, a potem spojrzała na Dougala.

– Wydaje się możliwy do przyjęcia, pod warunkiem, że kurs wymiany nie spadnie zbyt ostro.

– To jest ryzyko, które z czasem jesteśmy gotowi podjąć – rzekł Dougal.

– Nawet jeśli spadek będzie tak poważny jak pół procenta, z pewnością będziemy mogli go złagodzić, szczególnie mając takie pieniądze na kredyty.

– Sądzę zatem, że możemy wypić za tę umowę – powiedział Robert, unosząc swoją szklaneczkę whisky.

Dougal podniósł rękę, aby pokazać, że potwierdza ten toast.

Effie zwróciła się do Roberta z pytaniem:

– Czy macz prawników w Nowym Jorku?

Robert skinął głową.

– Korzystam z usług kancelarii „Dayton, Friedman & Kurst”. Mogą się spotkać z prawnikami Dougala w poniedziałek. Mam jednak nadzieję, że my możemy powiedzieć już teraz, że umowa została zawarta.

Dougal znów machnął ręką.

– Zawarta.

– Effie? – zapytał Robert.

– Nie wiem – odpowiedziała. – W zasadzie to dobry pomysł i zakładam, że twój weksel jest niepodważalną gwarancją wypłaty. Ale wciąż ci nie ufam; nie ufam ci ani trochę bardziej niż w czasie wojny. To wszystko wydaje się zbyt uczciwą bankowością jak na ciebie.

Robert się roześmiał.

– Słyszałeś, Dougal? Mała Effie wciąż mi nie ufa. Mam nadzieję, że zdobędzie więcej zaufania wśród tych drobnych inwestorów w Kalifornii, dla tego zwariowanego banku, który zamierza tam założyć. Wspomnisz moje słowa, Effie, że nim minie rok, będziesz zrujnowana i ty, i te nieszczęsne, bezmyślne kmiotki, które powierzą ci swoje pieniądze.

– A co ty o tym myślisz? – zapytał Dougal w jakiś szczególnie pusty sposób.

– O czym mam myśleć? – Robert odpowiedział pytaniem, odwracając się z niezadowolaniem.

Dougal się uśmiechnął i przenosił wzrok od Roberta do Effie i z powrotem z miną tak pozbawioną wyrazu i upośledzoną jak mina Staną Laurela z filmów o Flipie i Flapie.

– Nie wiem... o pieniądzech... o bankowości w ogóle.



Nad ranem, zanim zrobiło się jasno, obudził Effie szmer głosów dochodzących z podestu piętra. Z szeroko otwartymi oczami leżała jeszcze, nasłuchując, przez dwie lub trzy minuty. Gdzieś w oddali sowa uszata pohukiwała i pogwizdywała wokół swego gniazda. Potem jednak znów usłyszała szepczące głosy, więc wstała z łóżka, sięgnęła po jedwabny szlafrok, ciasno zawiązała go w talii i podeszła do drzwi.

Nie była zwolenniczką skradania się po domach innych ludzi, ale w tych głosach brzmiało coś, co kazało jej bardzo cicho otworzyć drzwi sypialni i ze wstrzymanym oddechem wyjrzeć w ciemność. Kompletna cisza panowała długo; dłużej niż zdołała wytrzymać, ale wtedy usłyszała skrzywienie podłogowej deski, odgłos otwieranych drzwi. W jednej z sypialń nagle zapalono przyćmione światło.

Ostrożnie wyszła na palcach na zewnątrz i dotarła do końca korytarza. W dole widziała hol z białą marmurową posadzką połyskującą poprzez cienie. Po lewej stronie, za trzecimi kolejnymi drzwiami, znów usłyszała głosy i coś, co brzmiało jak jęk albo westchnienie.

Zatrzymała się. Jestem szanowaną, bogatą kobietą w średnim wieku, pomyślała. Dlaczego u licha skradam się w ten sposób w środku nocy, w domu własnego brata? Wciąż jednak ciągnęła ją jakaś ciekawość, która nie pozwalała jej wrócić do łóżka, zanim nie dowie się, kto tak szepcze i śmieje się w tych przedrannych godzinach. Miała wrażenie, jakby ktoś naprawdę się bawił, po tych wszystkich zatargach, kłopotliwych sytuacjach

i pełnych spieć dyskusjach poprzedniego wieczoru, zatem to, co robili, musiało być bardzo znaczące, zarówno duchowo, jak i finansowo. Radość bardzo rzadko odwiedzała dom Watsonów, a kiedy to robiła, zawsze niosła śmierć na ramieniu, niczym okrętowy kucharz ze swą skrzeczącą papugą z „Wyspy skarbów” Stevensona.

Zamknęła oczy. Muszę podjąć decyzję. Albo wracam prosto do swego pokoju i udaję, że w ogóle nic nie słyszałam, albo podchodzę na palcach do tego trzeciego pokoju i zobaczę, czy zdołam odkryć, co się dzieje.

Wysoki stojący zegar w holu wybił godzinę drugą trzydzieści. Zanim wybrzmiała ostatnia nuta, Effie podjęła decyzję. W bankowości wiedza chroniła skórę: wczesne informacje z wielu pewnych źródeł. Właśnie to zawsze było mocną stroną Roberta, a od kiedy sama pracowała w amerykańskiej bankowości, skuteczny wywiad stanowił także jej siłę. Jedna dobra plotka może ocalić fortunę.

Uniosła brzeg szlafroka i ostrożnie stąpała na palcach, aż dotarła do drzwi, spod których przenikała światło. Faktycznie drzwi były lekko uchylone, więc całkiem wyraźnie słyszała, że w środku są mężczyzna i kobieta i że do siebie szepczą. Boże, pomyślała, czując się winna, że szpieguje innych

w taki sposób. Jednak nie na tyle winna, aby o tym zapomnieć i wrócić do łóżka.

Wstrzymując oddech, szybko przebiegła za szparę w drzwiach i próbowała spoglądać przez szczeliny między zawiasami. Przesączało się przez nie trochę światła, ale to wszystko. Stała więc bez ruchu, niepewna co powinna zrobić dalej.

Mężczyzna chrząknął i teraz miała pewność, że to był Robert. Nikt inny nie chrząkał w tak głęboki, paskudnie żarłoczny sposób jak Robert. Potem usłyszała głos kobiety.

– Droczyysz się ze mną. Dlaczego tak się ze mną droczyysz?

Mariella, pomyślała od razu Effie, to Robert i Mariella. Flirtował i bawił się z nią przez cały wieczór, a teraz, w środku nocy, uprawia z nią miłość.

Zahipnotyzowana, przerażona i spięta wyciągnęła rękę i czubkami palców lekko trąciła drzwi. Bezgłośnie uchylily się na kolejny centymetr, ale to wystarczyło, by mogła patrzeć przez szparę. Serce jej waliło. Czują gorąco i dreszcze z zakłopotania i strachu, a jednak musiała patrzeć. Musiała się przekonać, jak Robert sprzeniewierza się własnemu bratu, jak go zdradza. Była gotowa przyznać przed sobą, że być może przygląda się również dlatego, że ją to podnieca.

Rozróżniła różową plamę uda Roberta, a potem, znów lekko popychając drzwi, niemal jego całego. Leżał na plecach na żółto-złotym łóżku, tłusty, nagi i zdumiewająco pokryty gęstymi grubymi włosami. Mariella kuciała między jego rozłożonymi nogami, z fałszywą skromnością odziana w białą nocną koszulę, chociaż jak zauważyła Effie, uniosła tę koszulę aż do biustu i związała ją w luźny węzeł tak, że pozostała naga od pasa w dół.

Początkowo Effie nie rozumiała, co oni robią. Robert jedną dłonią trzymał jaskrawoszkarłatny członek, który wystawał z gęstego czarnego owłosienia. Penis był dość mały, ale najwyraźniej bardzo sztywny i było w nim coś, co przyciągało żywe zainteresowanie Marielli.

– Jeśli go chcesz, jest tutaj – uśmiechnął się Robert. – Twój, możesz go mieć w każdej chwili.

Mariella uniosła obie ręce do twarzy i wydała z siebie zabawne westchnienie.

– Droczyysz się ze mną.

– Trochę. Ale jest twój, jeśli chcesz.

Effie stała się lekko krótkowzroczna przez minione cztery lata, więc musiała wyteńczyć wzrok, by wyraźniej zogniskować go na Robercie. Gdy to zrobiła, nagle zrozumiała, o jaką grę chodzi. W fałdzie penisa, w sokach pobudzonej masturbacją erekcji, lśnił diament wielkości przynajmniej trzech karatów; diament, którego prawdopodobna wartość przekraczała dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, jeśli był prawdziwy. O ile Effie знаła Roberta, na

pewno przywiózł ze sobą cały worek takich diamentów kupionych na osłabionym europejskim rynku kamieni szlachetnych, za które w Stanach mógł dostać dwukrotną lub trzykrotną cenę.

Obraz Roberta i Marielli razem był odrażający, ale fascynujący, i choć Effie wiedziała, że powinna wrócić prosto do swego pokoju, gdy już dokładnie wiedziała, co się dzieje, stwierdziła, że nie ma ochoty się ruszyć, że zahipnotyzowana tym, co zobaczyła, nie jest w stanie odejść.

Mariella położyła dłonie na ogromnych, owłosionych udach Roberta i pochyliła głowę tak, że jej twarz znalazła się zaledwie o centymetr od ozdobionego diamentem penisa. Robert poruszał nim przed twarzą Marielli z jednej strony na drugą, uśmiechając się niczym łagodny imperator, ona zaś obdarzała go w zamian uśmiechem przebiegłym i uwodzicielskim. Biedna Mariella, pomyślała Effie: od lat nie zaznała większego zainteresowania od żadnego mężczyzny. Nic dziwnego, że Robert zawładnął nią tak szybko i tak całkowicie.

Równie powoli i równie wdzięcznie jak piękny ptak sfruwający na jezioro Mariella rozchyliła wargi i wzięła członek Roberta do ust, jego rozdęte ciało opierając o wnętrze policzków i zsuwając diament na czubek języka. Robert westchnął z głęboką satysfakcją; nie tyle w erotycznej przyjemności, jaką sprawiała mu Mariella, ale w znacznie głębszej rozkoszy, jaką sprawiał mu fakt, że oto Mariella klęczy przed nim już pierwszej nocy, nakłoniona, aby tak łatwo przyjąć diamentową „łapówkę” i wykonać dla niego ten rodzaj hołdowniczego rytuału seksualnego, o którym w 1928 roku bardzo niewiele przyzwoitych kobiet słyszało, nie mówiąc już o tym, by go spróbowały.

Długą drogę powrotną do swego pokoju Effie odbyła tak ostrożnie, jakby chodziła po linie, nie stąpając po żadnych deskach, które skrzypiały. Nie mogła złapać tchu i trzęsła się, gdy zamknęła za sobą drzwi i musiała pozostać przez chwilę w ciemności, by odzyskać panowanie nad sobą. Nie wiedziała, które z odczuć, jakie się w niej pojawiły, poruszyło ją najbardziej: przerażenie tym, co Robert może robić, obrzydzenie widokiem, w jaki sposób poniża Mariellę, czy podniecenie obrazem dwojga nagich osób oddających się tak rażącej grze seksualnej. Zdjęła szlafrok, pozwalając, aby zsunął się na dywan. Potem położyła się do łóżka i leżała z rękami zaciśniętymi na ramionach, bez snu, zatrwożona i cierpiąca z powodu najsilniejszego szoku, jakiego kiedykolwiek doświadczyła.

Następnego ranka wzięła Mariellę na bok i powiedziała, że jej bagaże są już spakowane, a ona sama gotowa do odjazdu. Mariella była rozczarowana.

– Tak szybko? – zapytała tymi samymi ustami, które w nocy otaczały penis Roberta.

– Muszę spotkać się z kilkoma osobami w Nowym Jorku, zanim wyjadę. Przepraszam, ale mam nadzieję, że rozumiesz, prawda?

– Musisz spotkać się z tymi ludźmi w niedzielę?

Effie obdarzyła ją cierpkim uśmiechem. Wiedziała, że nie była przekonująca, ale nic nie mogło jej nakłonić do pozostania choćby godzinę dłużej w tej rodzinnej menażerii. Nad zatoką, ponad drzewami wleciało stado mew, niczym gazety ciśnięte w powietrze, które potem znów opadły.

Robert i Alisdair przyszli, żeby się pożegnać. Robert był blady, ale zadowolony z siebie. Alisdair ledwie się odezwał.

– Do widzenia – powiedziała Effie, ściskając dłoń Alisdaira, a potem podnosząc głowę, by pocałować go w policzek. – Nie myśl o mnie źle.

– Nie zamierzasz jej powiedzieć? – zapytał Alisdair.

– Co masz na myśli?

Alisdair spojrzał w stronę Kay, która była zajęta podciąganiem wiosennych podkolanówek.

– Nie zamierzasz powiedzieć Kay, że jestem jej ojcem?

– Myślisz, że jest jakiś powód, dla którego powinnam to zrobić?

Alisdair nie wypuszczał jej dłoni.

– Kocham cię. Czyż to nie jest wystarczająco dobry powód?

– Wcale mnie nie kochasz. Jesteś tylko młody i samotny samotnością młodości. Niebawem kogoś znajdziesz, a wtedy nawet o mnie nie pomyślisz. Jeżeli zaś pomyślisz, to ujrzysz w tych myślach jedynie apodyktyczną ciocię, która najlepsze ze swoich lat ma już za sobą.

– Nigdy. Kocham cię.

Effie starała się wyglądać tak, jakby nie robiła niczego więcej poza wymianą pożegnalnych żarcików.

– Głuptas z ciebie – uśmiechnęła się.

– Pragnę cię – uparcie twierdził Alisdair. – Chcę, żeby Kay była moją córką, a ty moją żoną.

Effie powoli wzięła głęboki wdech. Zrobiłaby wszystko, aby uniknąć tego momentu, ale wiedziała, że musiał nadejść. Będzie musiała być dla niego okrutna; rozmyślnie i szokująco okrutna, tylko dlatego, by sprawić, żeby zrozumiał, że ani go nie pragnęła, ani nie potrzebowała.

– Czymże jest siedemnaście lat? – pytał Alisdair. Poranna bryza zwichrzyła jego kędzierzawe włosy, a pragnienie i lekki chłód zaróżowiły mu policzki i czoło. – Jedyna różnica, jaka nas dzieli, to siedemnaście lat. Wielu ludzi o znacznej różnicy lat wiąże się małżeństwem. To nic niezwykłego.

Effie patrzyła na niego przez chwilę, a potem odpowiedziała.

– Co ja, czterdziestoczteroletnia milionerka z własnym bankiem i wyrafinowanym życiem towarzyskim obejmującym takie osoby, jak George Gershwin, Henry Mencken i Dorothy Parker, cóż więc ja miałabym robić z dwudziestosiedmioletnim szkockim chłopcem, który pozwala, aby ojciec traktował go jak siedmiolatka i nie ma nawet choćby tyle klasy, żeby wiedzieć, że muszka w szkocką kratę w Ameryce nadaje mu wygląd najgłupszego wiejskiego przebierańca?

Alisdair, w tym samym momencie żalując, że to robi, przysłonił muszkę ręką.

– No tak, właśnie o to chodzi – powiedziała zjadliwie Effie i odwróciła się, żeby odejść.

Alisdair brutalnie chwycił ją za ramię. Robert spojrział na nich z wyrazem ciekawości i rozbawienia, ale tym razem Alisdair nie dbał o to, co myśli jego ojciec.

– Nie sądz, że ci to wybaczę – powiedział cicho, ale z wielkim napięciem.

– A cóż ja zrobiłam, by prosić o wybaczenie? – zapytała Effie. – Ani nie jest mi potrzebne, ani go nie chcę. Dajże spokój, proszę. Robisz scenę. Jeśli chcesz o tym porozmawiać później, zadzwoń do mnie do hotelu „East Ambassador” w Chicago. Zapłacę za to połączenie.

Alisdair bliski był splunięcia na nią, ale jego młodość, poplątana miłość do Effie i konsternacja, nie mówiąc o tym, że był w obcym kraju i już trochę tęsknił za Szkocją, powstrzymały go przed tym. Nic nie powiedział, po prostu opuścił ręce i poszedł za Effie przez zwirowy dziedziniec do czekającego na nią samochodu, gdzie Kay siedziała już z pledem na kolanach i pudełkiem czekoladek, które Mariella podarowała jej, by oderwać jej myśli od choroby lokomocyjnej.

Gdy samochód cicho potoczył się ku bramie posiadłości, Effie obróciła się i przez szeroką, przydymioną tylną szybę spojrzała na Roberta, Dougala, Mariellę i Alisdaira. Sprawiali wrażenie wyniosłych i oderwanych; nie tylko od niej, ale także od siebie, niczym nieznajomi, którzy zgromadzili się na podjeździe jedynie w tym celu, aby zrobiono im fotografię. Sfotografowane w sepii utracone aspiracje.

W końcu odwróciła się ponownie i położyła rękę na ramieniu Kay. Pierwszy raz w życiu zaczęła pojmować nie tylko te dziwne i duszące pęta, jakie rodzice stworzyli dzieciom: Robertowi, Dougalowi i jej, ale również to, co musi zrobić, żeby zrekompensować niepowodzenie rodziców.

– Nie bardzo spodobał mi się kuzyn Alisdair – powiedziała Kay.

Effie spojrzała na córkę.

– Nie masz nic przeciwko temu, mamusi? – zapytała Kay. – Że go nie polubiłam.

– Nie. Nie, kochanie – wyszeptała Effie.

## 32

W poniedziałek po południu Effie i Kitty przyjechały na Grand Central Station i szybko przeszły po czerwonym dywanie prowadzącym do luksusowego ekspresu. Dworzec był zatłoczony, powietrze przesywało

syczenie ogromnych parowych lokomotyw gotowych do odjazdu, okrzyki konduktorów, nawoływania bagażowych i tragarzy, a także osobliwie zmieszane odgłosy setek ludzi rozmawiających, śmiejących się i pospiesznie przebiegających duży sklepiony hol.

Czerwony dywan prowadził prosto do błyszczącego złoto-zielonego pociągu, gdzie konduktor w stylowym zielonym uniformie ze świeżym goździkiem w butonierce czekał, by je powitać. Effie jeszcze nie podróżowała tym pociągiem, ale nowojorska kolej centralna miała już legendarną reputację: gościła kiedyś wielką śpiewaczkę Nellie Melbę i skrzypka Fritza Kreislera, podejmując ich specjalną kolacją złożoną z zupy rakowej, pieczonej soli z Dover i chateaubrianda, po której rachunek wyniósł zaledwie... wpis: „Z wyrazami uznania dla gospodarzy wspaniałego pociągu”.

– Panno Watson, jesteśmy zaszczyceni pani obecnością – powiedział konduktor. – Wskażę pani przedział. Mój zastępca zaopiekuje się pani pokojówką. Pan Brooks jest już w pociągu i przesyła wyrazy uszanowania.

Konduktor poprowadził Effie przez cały pociąg do małego, dyskretnie oświetlonego saloniku umeblowanego na różowo-kremowo z fotelami w stylu art déco i dopasowaną do nich sofą. Na stole stał kosz białych i różowych goździków z ręcznie napisaną kartą: „Dyrekcja New York Central wita Pannę Effie Watson w najnowocześniejszym pociągu ekspresowym”. Mieścił się tam również kosz owoców, butelka szampana w srebrnym ochładzaczach i oprawna w skórę teczka z papeterią.

Gdy Kitty rozpakowała jej bagaże i wyjęła stroje, Effie przebrała się w granatową koktajlową suknię z migotliwymi perłami i drobnymi brylancikami na jednym ramieniu. Steward wszedł, aby otworzyć jej butelkę szampana i poinformować, że kolacja dla niej oraz pana Brooksa będzie przyniesiona do jej saloniku o ósmej, a po chwili, gdy z uniesionymi stopami siedziała na sofie, sącząc szampana, luksusowy pociąg ekspresowy nr 25 z lokajami, pokojówkami, fryzjerami i wszelkim luksusem, jaki zdołano w nim zmieścić, wyruszył z nowojorskiej Grand Central Station we własnym iluminowanym płaszczu węglowego dymu, punktualnie co do sekundy, by rozpocząć triumfalny bieg do Chicago według najściślejszego rozkładu jazdy, jaki kiedykolwiek znano.

O szóstej rozległo się pukanie do drzwi. Kitty otworzyła je i z uśmiechem obróciła się do Effie.

– To pan Brooks, panno Effie – powiedziała.

– Caldwell! – ucieszyła się Effie. – Wejdz, proszę. Co cię zatrzymywało tak długo?

Caldwell w czarnym smokingu i starannie wyprasowanej białej koszuli wszedł do saloniku z nieśmiałym uśmiechem.

– Przepraszam. Myślałem, że chcesz trochę odpocząć.

– Gdyby konduktor nie powiedział mi, że jesteś w pociągu, sama bym

się nie domyśliła – powiedziała Effie. – Napij się szampana.

– Dziękuję, ale właśnie wypiliśmy dwa dość mocne koktajle martini. Czy wiesz, kto jeszcze jest w tym pociągu? James Beckman z kalifornijskiego United Finance Trust. Cóż... to właśnie James Beckman postawił mi te dwa koktajle. A raczej szklaneczki i dwie oliwki...

– Usiądź – ze śmiechem powiedziała Effie. – Wyglądasz, jakby ktoś uderzył cię młotkiem w głowę.

Caldwell opadł ciężko na sofę obok niej, wydał policzki w udawanym wyczerpaniu, a potem się pochylił i pocałował Effie w usta; najpierw szybko, a następnie powoli pieszcząc jej wargi, szyję i ramiona. Z drugiej strony salonu rozległ się głos Kitty, która wyjmowała służbowe dokumenty swojej pani.

– Ojej, panie Brooks! Ten John Gilbert z filmów jest przy panu zerem! – Effie odsunęła go czule.

– Kitty ma rację – powiedziała z uśmiechem. – Wszystko ma swój czas i miejsce, ale nie jestem pewna, czy to jest pora i miejsce na przedstawienie o południowoamerykańskim romansie.

Caldwell rozsunął różowe aksamitne zasłony w oknie. Nie było widać nic oprócz ich odbicia w szybie zawieszzonego w ciemności i światłał przebiegających obok niczym zbłąkane planety, którym towarzyszył pojedynczy odgłos dzwonów.

– Kto wie, co to za miejsce? – rzekł. – I kto wie, jaka to pora? Jeszcze nie słyszałem, byśmy wjechali na długi most w Albany, jesteśmy więc gdzieś między Manhattanem a czystym szaleństwem.

– Te koktajle z pewnością były mocne – powiedziała Effie z udawanym niezadowoleniem.

– A żebyś wiedziała! – przyznał Caldwell. – Beckman wpadł na mnie na korytarzu i powiedział: „Znam pana, to pan jest Caldwell Brooks, co u licha, ciągnie pana do Chicago?”. No więc mu powiedziałem, a on, bardzo podekscytowany, zaciągnął mnie do wagonu klubowego i postawił drinka. Powiedział, że wie o tobie wszystko i marzy o tym, żeby robić z tobą interesy. Przez większą część swego życia był kalifornijskim farmerem, więc jeśli chcesz się zaprzyjaźnić ze środowiskiem plantatorów warzyw i owoców, będzie twoim człowiekiem. Doskonały sojusznik, chociaż z tego co słyszę, bardzo nieprzyjemny przeciwnik, jeśli cię nie polubi.

– Pomijając złoto i ropę, a w tych dziedzinach już mamy bezkonkurencyjne koneksje, co jeszcze jest w Kalifornii oprócz warzyw i owoców? – zapytała Effie.

– No właśnie.

– Zaprosimy więc pana Beckmana na kolację, dobrze? – zapytała Effie. – Zobaczymy, czy nie mógłby nam udzielić jakiejś pomocy.

– Naprawdę chcesz go gościć na kolacji? Myślałem, że czeka nas rado-

sna kolacja we dwoje.

– Caldwell... – odparła Effie – wiesz, że interesy mają pierwszeństwo przed przyjemnością.

Caldwell westchnął i przesunął ręką po włosach.

– Chyba najlepiej zrobię, zamawiając dzbanek bardzo mocnej kawy – powiedział ze smutkiem.

Czarnoskóry posłaniec wrócił z odpowiedzią Jamesa Beckmana na zaproszenie, jakie przesłała mu Effie z taką szybkością, że było to niemal śmieszne. Przekazał jej też bukiet cieplarnianych gardenii i butelkę szampana marki Perrier-Jouet. Punktualnie o ósmej James Beckman pojawił się w drzwiach jej salonu odziany w strój wieczorowy z czerwoną jedwabną chusteczką wystającą z rękawa oraz laseczką ze złotą gałką, którą zonglował jak iluzjonista. Był niskim, baryłkowatym mężczyzną z krzaczastymi wąsami i przekrwioną, purpurową twarzą człowieka, który spędził większą część życia na świeżym powietrzu, a mniejszą na wpadaniu w niepohamowany gniew. Dan Kress nazwał go kiedyś Wściekłym Bakłażanem.

– Panno Watson – rzekł, schylając głowę i całując jej dłoń w białej rękawiczce. – Nie ma pani pojęcia, jaki to dla mnie zaszczyt. Pierwsza Dama amerykańskiej finansjery; bogata jak Kleopatra, ale pięć razy piękniejsza.

– Jestem pewna, że takich pochlebstw nie nauczył się pan w Morgan Hill w Kalifornii – uśmiechnęła się Effie.

– Cóż... – odparł James Beckman, przechylając głowę. – Pani z pewnością się przygotowała, czyż nie?

W istocie, pijąc z Caldwellem martini w wagonie klubowym, James Beckman dwukrotnie powiedział, że jest „najszczęśliwszym synem miasta Morgan Hill w Kalifornii”, lecz najwyraźniej o tym zapomniał. Zachwycony uśmiechnął się do Effie, a potem zrobił kilka kroków po wyłożonej dywanem podłodze jej salonki.

– Muszę pani powiedzieć, panno Watson, że byłem naprawdę zaintrygowany, kiedy usłyszałem, że rozważa pani przeniesienie się na wybrzeże Pacyfiku. Jeśli chodzi o bankowość, nie mamy tam zbyt wiele *klasy*. Jest oczywiście Giannini i Wells Fargo, ale nie ma *klasy*. Ani prawdziwego wschodnioamerykańskiego stylu Wall Street.

– Jest pan zbyt uprzejmy – powiedziała Effie.

– Och, nie – z uśmiechem zachnął się James Beckman. – Wcale nie jestem zbyt uprzejmy. Po prostu mówię prawdę. Potrzebujemy w Kalifornii kogoś takiego jak pani; kogoś, kto przyda naszemu przemysłowi i handlowi pewnego poważania i stylu. Giannini jest w porządku, znam go od lat. Prowadził handel owocami i warzywami po swoim ojcu, więc jesteśmy częścią tej samej społeczności. Ludzie jednak wciąż pamiętają, że Giannini założył swój bank w namiocie po trzęsieniu ziemi w San Francisco i że pokazywał wszystkie sztaby złota swego banku za ladą, aby klienci widzieli,



jak dobrze działa jego przedsiębiorstwo. Obecnie to jest trochę prymitywne, a inwestorzy stają się trochę zbyt wyrafinowani jak na takie coś. Bankierzy powinni być ludźmi z klasą, mieć w sobie spokój i wiarygodność. Pani to wszystko ma.

– Mimo że jestem kobietą?

– Nie umniejszajmy wartości tego faktu, zwłaszcza w Kalifornii. To nie jest minusem, w Kalifornii to jest plus! Pracownicy plantacji owoców i warzyw są przyzwyczajeni do oddawania zarobków swoim żonom, aby nimi zarządzały. Nie mają więc żadnych uprzedzeń wobec kobiet zajmujących się ich pieniędzmi. Pani zaś, z tym swoim solidnym szkockim akcentem, będzie przyjęta świetnie.

– Chciałabym mieć choć połowę tej pewności, jaką ma pan, panie Beckman – powiedziała Effie.

– Proszę mówić mi James – odparł. – Wszak wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie? Braćmi i siostrami tej samej krwi i tej samej waluty.

Caldwell spojrział na Effie z drugiego końca salonu, gdzie dąsał się lekko, z jedną ręką w kieszeni spodni i kieliszkiem martini w drugiej, jakby miał ochotę zmiażdżyć go jednym zazdrosnym zaciśnięciem dłoni.

Zjedli kolację, gdy pociąg przejeżdżał przez stan Nowy Jork, zmierzając na wschód w drodze do Buffalo i mrocznych brzegów jeziora Erie. Stewardzi podali im zupę z homara, opiekaną żabnicę, befszytk z polędwicy i świeże owoce. Z powodu prohibicji serwowany szampan był formalnie wcześniej sprowadzany do pociągu przez samych pasażerów, a stewardzi podawali jedynie mnóstwo lodu i schłodzone kieliszki.

Effie szybko zrozumiała, że Caldwell miał rację: James Beckman zamierzał być kluczem do zwycięstwa w zdobyciu zaufania kalifornijskich plantatorów warzyw i owoców w San Joaquin Valley. Znał właścicieli farm i brygadzystów. Wiedział, kiedy co dojrzewa i ile farmerzy muszą pożyczać z jego banku na wypełnienie finansowej „dziury” między okresem sadzenia a porą sprzedaży zbiorów. Co więcej: zależało mu na stworzeniu sojuszu z szanowanym nowojorskim bankierem o takiej sile finansowej, aby plantatorzy mogli przetrwać zarówno dobre, jak i złe czasy. Teraz czas był nie najlepszy dla farmerów w całych Stanach Zjednoczonych, ponieważ sztucznie wywołana zwyżka cen nie przyniosła niczego, w kategoriach realnych, dla wzrostu ich dochodów. Zyski z gwałtownie rosnącej w Ameryce wydajności produkcji trafiły głównie do wielkich inwestorów, banków i posiadaczy kapitału, podczas gdy kolejne farmy upadały. „Cóż, farmerzy nigdy dużo nie zarabiali” – beznamytnie powiedział kiedyś prezydent Coolidge, chociaż zgodził się pozować na tle stogu siana do jakiejś „żniwnej” fotografii (w czystym kombinezonie i wypolerowanych na wysoki połysk butach).

– Nie widzę, by Kalifornia zmierzała ku czemukolwiek innemu oprócz

kryzysu – rzekł James Beckman do Effie. – Straciłem już miliony dolarów w długach, które byłem zobowiązany umorzyć; czasami z uprzejmości, ale głównie dlatego, że nie można pozwać do sądu człowieka, który nic nie ma. Powiem jednak tak: owoce i warzywa zawsze będą potrzebne. Ludzie zawsze będą musieli jeść. Jeśli więc pomoże pani wesprzeć kalifornijskich farmerów teraz, gdy cena owego wsparcia jest niska dla pani, ale bardzo ważna dla nich, tysiącrotnie zwróci się to pani w przyszłości, gdy gospodarka tego kraju przestanie się chwiać.

Effie, ku nieskrywanemu rozdrażnieniu Caldwellella, łagodnie położyła rękę na wierzchu dłoni Jamesa Beckmana i spojrzała mu prosto w oczy.

– Panie Beckman – powiedziała – czy może mi pan coś powiedzieć o kalifornijskim banku United Finances Trust?

James Beckman zasnurował wargi, a potem spuścił wzrok na swoje dłonie.

– Cóż... – powiedział wreszcie – ostatnio sprawy nie wyglądają zbyt dobrze.

– Wciąż dobrze tuszuje pan ten fakt.

– Ciężko tam pracowałem.

– Ale?

James Beckman całkiem wyraźnie chciał cofnąć rękę, lecz nie mógł tego zrobić, nie sprawiając wrażenia, że jest nieuprzejmy. Czuł, że lekkie palce Effie przybijają jego dłoń do stołu i wiedział, że go nie puści, dopóki on nie powie jej prawdy.

– Mamy pewne trudności ze spłatami – przyznał. – Niemal jedna trzecia naszych kredytobiorców zalega z płatnościami.

– Czy wasi inwestorzy o tym wiedzą?

– W konkretnych cyfrach... nie.

– A co by się stało, gdyby się o tym dowiedzieli?

James Beckman spojrzał na nią teraz po raz pierwszy odważnie.

– Wie pani równie dobrze jak ja. Splajtowalibyśmy. Razem z połową farm owocowych, fabryk przetworów i konserw rybnych oraz niezależnych poszukiwaczy ropy naftowej w Kalifornii.

Effie wciąż nie pozwałała mu cofnąć dłoni.

– Jaka jest twoja propozycja? – zapytała. – Nie postawiłeś Caldwellowi dwóch mocnych koktajli martini dla samej przyjemności.

– Moja propozycja jest taka, aby pani przejęła całość United Finance i dokapitalizowała ten bank. Proponuję, że będę dla pani pracować jako dyrektor wykonawczy, ruszę w teren i sprowadzę tyle kapitału inwestycyjnego, ile zdołam, i że pani wyłoży trochę pieniędzy na zakup ziemi i działek roponośnych. Myślę w taki sam sposób jak pani: że ta zwyczajka cen nie potrwa bardzo długo. Widziałem te farmy i fabryki na własne oczy i wiem, że ceny giełdowe na Wall Street nie mają żadnego związku z rzeczywistą wartością

ich wydajności, niezależnie od tego na ile ta wydajność wzrosła. Co więcej, pensje nie idą w górę, a jeśli zarobki się nie podnoszą, wtedy zwykłego człowieka na ulicy nie stać na przedmioty produkowane przez te farmy i fabryki. Wiara w rynek nic nie znaczy bez rzeczywistego dobrobytu. Pani to rozumie równie dobrze jak ja. Przecież właśnie dlatego przenosi się pani z nowojorskiego Watson's Bank, prawda?

Effie wreszcie odsunęła rękę. James Beckman natychmiast cofnął dłoń i rozcierał jej wierzch drugą ręką, jakby go podrapała albo zamroziła.

Effie namyślała się przez chwilę, zanim mu odpowiedziała.

– Próbuje mi pan sprzedać instytucję finansową, która plajtuje i której jedyne aktywa z dnia na dzień tracą swoją wartość. Dlaczego miałabym być zainteresowana?

– A po cóż innego wyrusza pani do Kalifornii?

– Może zamierzam poczekać na właściwy moment aż do całkowitego załamania rynku, a potem wykupię pana za grosze. Dlaczego miałabym zainwestować dwadzieścia milionów dzisiaj, skoro za kilka miesięcy mogę dostać to samo za dwa miliony?

James Beckman uśmiechnął się powoli.

– Nie nabierze mnie pani, panno Watson, ani trochę bardziej niż ja panią. Jesteśmy z tej samej gliny – rzekł, stukając się w czoło. – Mamy takie samo rozumienie rynku, wyobrażenie o pieniądzach i ich znaczeniu. Nie będzie pani czekać na załamanie rynku, ponieważ farmy i przedsiębiorstwa muszą być utrzymywane w dobrej kondycji i ponieważ ostatnią rzeczą, na jaką możemy pozwolić, jest rozproszenie siły roboczej i obniżenie jakości ziemi. My tutaj inwestujemy w ludzi, nie tylko w glebę czy w bogactwa mineralne. W słabych, bezbronnych, zwykłych ludzi. To oni generują pieniądze, oni tworzą bogactwo z niczego. Prawdziwe bogactwo, na które może pani liczyć. Właśnie to zamierza pani znaleźć w Kalifornii i ja mogę pani to sprzedać.

Caldwell spojrział ostro na Effie, a potem sięgnął przez stół po butelkę szampana Perrier-Jouet.

– Myślisz, że to jest coś, za co powinniśmy wnieść toast – zapytał cierpko. – Czy nie?

## 33

Tuż po północy ekspresowy pociąg do Chicago przemknął przez Ashtabulę w stanie Ohio, niczym kaskada zielono-złotego luksusu, która kipiąc, minęła śpiących mieszkańców tego miasta nad brzegiem jeziora równie szybko jak ogon komety, której nigdy nie zdołaliby schwytać. Pojawiał się na minutę z dudnieniem szynowych złącz, zapowiadany pesymistycznymi

dzwonekami na przejazdach, a potem... błysk... i zniknął, nie zostawiając niczego oprócz kłębu żużlowego dymu i śpiewających szyn.

James Beckman wrócił już do swego przedziału, ale Effie i Caldwell wciąż jeszcze rozmawiali. Caldwell wcześniej przyniósł ze sobą butelkę koniaku, więc włąli go trochę do małych filiżanek czarnej tureckiej kawy. Pociąg zakolysał się i zatrząsł, a potem odzyskał równowagę. Caldwell obserwował Effie, która usiadła pod przyćmioną lampą w szlafroku z brzoskwińowego jedwabiu, a smugi papierosowego dymu owijały się wokół niej, drżąc wraz z ruchem pociągu.

– Zamierzasz go wesprzeć? – zapytał z udawaną nonszalancją.

Effie skinęła głową.

– Chyba tak. Wprowadzi nas bezpośrednio na rynek drobnych farmarów, dzięki czemu nie będziemy musieli wykonywać wszystkich prac przygotowawczych.

– Cóż... – rzekł Caldwell z niezadowoloną miną.

– To był twój pomysł, żeby z nim porozmawiać – przypomniała mu Effie.

– Masz rację. Wtedy jednak byłem pijany. Teraz jestem trzeźwy.

– Gdy jesteś trzeźwy, to ci się nie podoba?

Caldwell oparł się w fotelu i założył nogę na nogę.

– Niezupełnie – odparł.

– Zatem o co chodzi?

Caldwell splótł palce z tyłu głowy i zamknął oczy. Przez chwilę wyglądał, jakby zasnął, ale Effie widziała, że jest niezwykle spięty.

– Faktycznie – powiedział – niepokoi mnie jego nastawienie do ciebie.

Mam na myśli jego *osobiste* nastawienie.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, co masz na myśli – powiedziała Effie, spokojnie wypuszczając dym. – Jakie było to jego osobiste nastawienie, że tak bardzo cię zirykowało?

Caldwell otworzył oczy i spojrzał na nią przenikliwie.

– Wiesz, co mam na myśli. Nie udawaj, że jest inaczej.

– Uważasz, że był zbyt przyjacielski.

– Jeśli chcesz tak to nazwać.

– A jak ty chcesz to nazwać? – zapytała Effie.

Teraz się z nim drażniła i był tego świadomy, lecz zbyt się zaplątał w sieć własnej zazdrości, aby się uwolnić.

– Po prostu uważam, że sprawy służbowe powinny zostać sprawami służbowymi. To wszystko – odparł ostro.

– Nie podobało ci się, że położyłam rękę na jego dłoni?

– Nieszczęśliwie.

– Nie podobało ci się, że cmoknęłam go w policzek na dobranoc?

– Naprawdę nie sędzę, że to było konieczne.

Effie wstała i podeszła do baru. Opierając się o chromowaną poręcz, napełniła dla nich obojga ostatni kieliszek szampana. Caldwell obserwował ją z wyrazem nadęsania i niepokoju.

– Jest coś, czego będziesz musiał się nauczyć, jeśli zostaniesz ze mną – powiedziała Effie. – Jestem kobietą w męskim świecie interesów. Z dezaprobatą odnoszą się do mnie prawie wszyscy. Moi partnerzy w interesach, szeroko rozumiana opinia publiczna, administracja rządowa, Kościół, giełda. Mówiąc wprost: ja nie istnieję. Jeśli chcę dokonać jakichkolwiek posunięć bankowych, muszą być za mnie przeprowadzane przez należących do kierownictwa mężczyzn, oni zaś muszą udawać, że nigdy o mnie nie słyszeli i nie wolno im przyznać, że działają na moje polecenie. Prawo do głosowania mam dopiero od siedmiu lat; nie sądzę, że kiedykolwiek zostanę wpuszczona na nowojorską giełdę lub w ów zaczarowany krąg Morganów, Wigginów i Mitchellów. Nie dopuszczają mnie – stwierdziła, a potem dodała łagodniej: – Nie skarżę się. Bankowość jest tym, do czego się urodziłam, nawet jeśli przypadkiem urodziłam się z nieodpowiednią dla tej dziedziny płcią. Pamiętaj jednak, że zawsze mu siałam się dostosowywać, żeby przeżyć, zawsze musiałam być miła, wstydliva i ugodowa, nawet wtedy, gdy naprawdę chciałam krzyczeć na cały głos. Kiedy rozmawiam z takimi mężczyznami jak James Beckman, muszę robić to tak, jakbym była drocząca się, podniecającą dziewczyną, a nie doświadczoną, realistycznie myślącą kobietą interesu. To jedyny sposób. Nie cierpię go, ale nie ma innego. Będziesz widział, jak stosuję go raz za razem, więc skoro ty nie możesz tego znieść, to ja mogę tylko powiedzieć, że lepiej zrobisz, jeśli opuścisz mnie teraz, ponieważ nie ma żadnego innego ewentualnego sposobu, abym mogła zrobić to, co mam do zrobienia i żyć życiem, jakie muszę prowadzić. Nie mam wyboru, Caldwell, zatem jeśli chcesz zostać ze mną, również go nie masz. Taki jest świat. Taki jest *mój* świat.

Caldwell przyjął kieliszek szampana, który mu podała. Mijali teraz Saybrook, zmierzając ku miejscowości Geneva w stanie Illinois. Na północy rozciągała się bezkresna ciemność jeziora Erie zmienionego nocą w nieprzeniknione lustro, od strony południowej migotały drobne światła środkowej części Ameryki rozrzucone na tysiącach mil kwadratowych farm, miasteczek i wsi. Ameryki roku tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego, śpiącej biednie, ale mocno pod kołdrami i kocami, w jej miejskich kamienicach i drewnianych domach; w pierwszym roku fordą A, w roku piosenki „Barney Google”, w roku maratonów tańca, konkursów siedzenia na flagowych masztach oraz nowojorskiego gubernatora Ala Smitha, pierwszego katolika, który otrzymał nominację demokratów jako kandydat na prezydenta.

– Kocham cię – powiedział Caldwell. – Jeśli okazuję zazdrość, to przepraszam. Nigdy wcześniej nie byłem zazdrosny. O nikogo.

Effie przyklękła obok Caldwell'a i oparła głowę na poręczy jego fotela.

– Wiesz co? – powiedziała. – Powinieneś się ożenić z jakimś słodkim, ślicznym, nieporadnym, dziesięć lat od ciebie młodszym dziewczęciem.

– Naprawdę myślisz, że jestem taki niedojrzały?

– Nie – westchnęła. – Wcale nie uważam, że jesteś niedojrzały. Jednak nigdy wcześniej nie byłeś zakochany, prawda?

Spojrzał na nią bez słowa, po czym wypił niemal pół kieliszka szampana i powiedział:

– Chyba lepiej już pójść.

– Zdenerwowałam cię?

Potrząsnął głową.

– Nie, wcale. Może tylko trochę mnie przestraszyłaś, ale nie zdenerwowałaś.

– Dlaczego cię przestraszyłam?

– Ponieważ zawsze myślałem, że jesteś słaba. Bystra, utalentowana, ale bezbronna. Właśnie tak o tobie myślałem. Teraz stwierdziłem, że słabość jest twoją największą siłą, i to jest dla mnie szok. Nie rozumiesz dlaczego? Każdą kobietę mniej elastyczną od ciebie już dawno by wyśmiano. Widziałś tę reklamę kawy bezkofeinowej: „Oto dlaczego mężczyźni się załamują”? Cóż, nie sądzę, abyś ty się załamała dlatego, że pijesz zbyt dużo kawy z kofeiną, ale być może nie wytrzymałaśbyś napięcia, gdybyś starała się prowadzić swoje bankowe przedsiębiorstwo jak mężczyzna. Ty tak nie postąpiłaś. Zrobiłaś majątek, działając po kobiecemu. Ty uderzasz w system i właśnie tym mnie przerażasz, ale jednocześnie robisz na mnie wrażenie.

– Nie wierzysz, że jesteś równie dobry? – zapytała Effie, muskając kostki jego dłoni i wodząc palcem po żyłach na jej zewnętrznej stronie.

– Myślę, że jestem głupcem – stwierdził Effie. – Sądziłem, że jestem sprytny, dopóki nie spotkałem ciebie. Teraz widzę, że bez najmniejszego trudu owijasz mnie sobie wokół palca.

– Mylisz się. Jesteś doświadczony, serdeczny i masz wyjątkową wiedzę o pieniądzach.

Caldwell obserwował sposób, w jaki dotyka kostek jego dłoni, a potem podąża wzdłuż palców ku ich czubkom i krąży wokół krótko obciętych paznokci. Z jakiegoś powodu jej bezwiedna pieszczota wydała mu się niezwykle erotyczna. Wpatrywał się w jej twarz z rosnącym zachwytem.

– Dlatego mnie tutaj zatrzymujesz? – zapytał. – Z powodu mojej wiedzy o pieniądzach?

– Właśnie dlatego tutaj jesteś. Jednak nie dlatego jesteś ze mną.

– Zatem...

Effie położyła Caldwellowi palec na ustach, aby powstrzymać go od powiedzenia czegoś więcej.

– Jesteś *tutaj*, ponieważ jesteś doskonałym przedstawicielem banku.

Jesteś *ze mną*, bo kocham cię tak bardzo, jak ty kochasz mnie.

Powiedzieli sobie niewiele więcej. W ciepłym wnętrzu pędzącego pociągu nie musieli już rozmawiać. Do ostatniej kropli wysączyli butelkę szampana, po czym Effie wstała i z całkowitym opanowaniem zamknęła drzwi swego kolejowego salonu. Caldwell rozluźnił krawat i rozwiązał sznurowadła butów.

Z gwizdem, który zabrzmiał równie przeraźliwie i samotnie jak wycie kojota, przejechali przez Elyrię w stanie Ohio. Na górnym łóżku w sypialni Effie, strzeżeni sprytnie, ale łagodnie przez barwioną fioletem i turkusem litografię z widokiem jakiejś wyrafinowanej pary rozkoszującej się papierosem i szampanem, Effie i Caldwell kochali się nie bez trudu. Effie, naga oprócz diamentowego naszyjnika i diamentowo-szafirowych kolczyków, z piersiami ściśniętymi rękami i nogami rozłożonymi na zewnątrz, jedną wspartą o chromowaną ścianę, drugą zaś zgiętą wokół krawędzi owego łóżka, podczas gdy Caldwell, muskularny jak tenisista i równie szczupły niczym jeniec wojenny, wchodził raz za razem w puszystą różowość jej sromu, jęcząc, uderzając pięścią w ściankę, pocąc się, krzycząc i zlorzcząc na piekielną trudność uprawiania seksu w pociągu.

Spróbowali ponownie, na dywanie salonu. Podłoga wagonu kołysała się pod ich nagimi ciałami. Pożądali się i rzucali ku sobie, ale w końcu Caldwell usiadł i powiedział:

- Wypiłem za dużo szampana. Po prostu za dużo wypiłem.
- Poczekaj – szepnęła Effie, wyslizgując się spomiędzy jego ud niczym kobieta-wąż.

Zdecydowanie ujęła członek lewą ręką i mimo miękkości kierowała go prosto do swoich ust, całując i pieszcząc językiem.

- Nie, Effie, nie wolno... – powiedział, ale ona pocierała w górę i w dół, by nie zdołał się oprzeć, liżąc, aż poczuła słodycz i sól jednocześnie. – O Boże! – zawołał wtedy i mimo wszystkich obaw i lęków wytrysnął, a Effie poczuła ciepłe, kleiste krople, które spadły na jej czoło, policzki i powieki.

Niemal posepny, nie powiedział potem ani słowa. Siedział w salonie z łazienkową szklanką pełną koniaku, gdy ponownie wyłoniła się z sypialni, z umytą twarzą i wyszczotkowanymi włosami, lekko wyperfumowana i z brzoskwiniowego jedwabnego szlafroka przebrana w czarno-srebrny negligé. Usiadła obok i pocałowała go.

- Jesteś niezadowolony?
- Tylko z siebie.

Pocałowała go ponownie.

- Dlaczego żądasz od siebie tak wiele? Czy nie potrafisz cieszyć się tym, co już zrobiłeś?
- Najwyraźniej zawsze mnie przewyższasz.
- I to cię niepokoi?

Uniósł łazienkową szklanekę, kołyszając w niej koniakiem.

– Przepraszam za to, co się stało – powiedział.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście, nie chodziło mi...

– Mnie się to podobało! Jeśli dwoje ludzi decyduje się na seks, aby osiągnąć całkowitą wzajemną bliskość, wtedy wszystko, co ich zachwyca i uszczęśliwia, jest dozwolone – przerwała, a potem dodała: – Dowiedziałam się tego bardzo dawno, Caldwell.

Caldwell zmarszczył brwi. Patrzył na nią tak, jakby widział ją pierwszy raz; jakby w końcu dowiedział się, jaka jest i zrozumiał, co do niego mówi.

– Chcesz powiedzieć... – zaczął, zataczając ręką krąg wokół twarzy.

– Właśnie ci powiedziałam. Mnie się podobało. Kocham cię.

Dość gwałtownie odstawił szklanekę, ale już nie wydawało się to służyć jakiemuś celowi. Kilka sekund przyciskał dłonie do ust, jakby grał jedną z trzech mądrych małek, a potem znów je odsunął

– Nie zdawałem sobie sprawy – powiedział. – Nie uświadamiałem sobie tego. Że to prawda... Ale ty naprawdę...? Na prawdę mnie kochasz.

Effie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Przez cały czas mi nie wierzyłeś?

– Nie pozwalałem sobie w to uwierzyć. Ale ty naprawdę mnie kochasz.

Boże, to cudownie! Myślisz, że mogliby znaleźć dla nas trochę szampana?

Effie ujęła go za nadgarstek.

– Myślę, że masz już dość jak na jedną noc. Jutro mamy służbowe spotkanie w Chicago, pamiętasz? A poza tym chcę, żebyś zrobił mi to, co zrobiłeś wcześniej. Jeszcze raz.

Caldwell zdecydowanie pokiwał głową.

– Masz rację. Mam dość. A jutro naprawdę mamy służbowe spotkanie – potem utkwił w niej wzrok z poważnym wyrazem twarzy i powiedział: – Chcę, żebyś za mnie wyszła. Wiesz o tym, prawda? Bardzo chcę, żebyś była pierwszą panią Caldwellową Brooks.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć w odpowiedzi na takie pytanie? – zapytała Effie. Próbowwała być nonszalancka i twarda, ale w jej głosie słychać było wyraźne drżenie.

– Wolałbym... – odparł Caldwell, ze wszystkich sił starając się, by słowa nie ugrzęzły mu w gardle. – Wolałbym... abyś powiedziała „tak”.

Luksusowy ekspres zakołysał się i zagwizdał tak, że jego echo poniosło się daleko w ciemną noc nad stanem Ohio.

Effie odpowiedziała mu głosem, który zabrzmiał znacznie ciszej niż kosmetyczne płatki spadające na jedwabny szlafrok.

– Jeśli to jest słowo, które wolałbyś usłyszeć, więc... tak.



Pobrali się w sobotę, 12 maja 1928 roku w siedzibie Sędziego Pokoju miasta Arroyo Grande w kalifornijskim hrabstwie San Luis Obispo. Gdy roześmiani wychodzili od niego, nagle tak ciasno otoczyli ich fotoreporterzy i ciekawscy przechodnie, że miejscowy szeryf ze splamionymi potem pachami i kołyszającym się piwnym brzuchem musiał siłą przeprowadzić ich po ulicy do miejsca, gdzie czekał zaparkowany lincoln. Effie usiadła na swoim miejscu, funkcjonariusz policji zamknął za nią drzwi limuzyny, ale wścibska dziennikarka o ostrych rysach twarzy w rdzawym kapelusiku-helmie zdołała wsunąć głowę przez otwarte okno i domagała się odpowiedzi.

– Proszę powiedzieć, panno Watson, czy to oznacza, że wreszcie będzie pani szczęśliwa?

Effie mocno ścisnęła rękę Caldwellella i uśmiechnęła się najpiękniej, jak mogła.

– Zawsze byłam szczęśliwa, a teraz jestem jeszcze szczęśliwsza.

– Czy córka aprobuje pani małżeństwo?

– Moja córka jest zachwycona. Dziś rano pół godziny rozmawiałam z nią przez telefon. Dołączycy do nas za tydzień.

Młody reporter w postrzępionym słomkowym kapeluszu odepchnął łokciem dziennikarkę.

– Pete Jones z „Los Angeles Examiner” – przedstawił się szybko. – Niech pan powie, panie Brooks, co pan sądzi o małżeństwach maja z wrześniem? No, wie pan... młody mężczyzna poślubia dojrzałą kobietę?

Effie czuła wzbierającą w Caldwellellu irytację, ale on opanował się i odpowiedział spokojnie:

– Nie wiem, panie Jones. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Niech pan mi powie, co pan sądzi o braku kumulacji wzrostów giełdowych?

Reporter zamrugał oczami.

– Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem.

W końcu ruszyli z policyjną eskortą motocyklową i skierowali się na północ do Point St Luis spoglądającego na Pacyfik, a położonego w odległości zaledwie dwóch kilometrów od dawnej hiszpańskiej misji St Luisa Obispo de Tolosa. Jechali kawalkadą złożoną z trzech samochodów: należącym do Effie i Caldwellella lincolnem będącym luksusową limuzyną, która przypominała dyliżans ozdobiony wspianiałymi reflektorami i odlanymi z brązu klamkami drzwi; cadillakiem Jamesa Beckmana i czarnym pierce'em-arrowem wynajętym dla przewiezienia czworga przyjaciół Backmana z United Trust. Był mglisty, ozłocony słońcem dzień charakterystyczny dla wybrzeży Pacyfiku, z lekką bryzą wiejącą przez przewody telefoniczne i kładącą się płasko na skrzydłach kalifornijskich mew. W odległości niespełna kilometra od białego domu, w którym zamieszkali jako goście Jamesa

Beckmana, Effie poprosiła kierowcę, aby się zatrzymał, by móc wraz z Caldwellem przejść resztę drogi po plaży.

Przez kilka pierwszych minut nie mówili do siebie ani słowa, lecz ramie w ramie szli brzegiem oceanu, gdzie piana cicho szumiała na szarym piasku. Effie z okazji ślubu miała na sobie jasną, kremową suknię z plisowanej *crêpe-de-chine* z obniżonym stanem i trójwarstwową spódnicą oraz dopasowany do niej kapelusz z szerokim rondem i długi jedwabny szal, który powiewał w lekkiej bryzie. W nieco zamglonym słońcu żółte warstwy sukni przywierały do jej ciała i Caldwell był przekonany, że wygląda jak młoda, dwudziestoletnia radosna nimfa. Miał nadzieję, że zdoła nadążyć za kobietą, która łączyła w sobie tak wyraźną młodość z tak dużym doświadczeniem, taki urok z tak realistycznym sposobem myślenia.

Effie natomiast czuła w sobie taki spokój, jakiego nie odczuwała od lat. Była świadoma, że pokochała Caldwell'a bardziej czule niż płomiennie, ale nie rozczarował jej ani jako przyjaciel, ani jako kochanek. W tamtym pędzącym pociągu przekonała się, że może go kochać zarówno romantycznie, jak i erotycznie. Wzięcie go do ust było dowodem bardziej dla niej samej niż dla niego, że kocha i akceptuje w nim wszystko. (W dziwnym i złożonym sensie, którego nie mogła ani nie chciała analizować, ów akt był również jakoś sprowokowany tym, co widziała w sypialni Roberta na Long Island). Ten akt określił warunki związku: szczerłość, całkowitą otwartość i wzajemny szacunek. Caldwell spodziewał się uznania dla swego talentu i męskości. Effie z kolei oczekiwała, że zrozumie on zarówno to, jak wiele w niej ducha niezależności, jak i to, że przyjdą czasy, gdy będzie musiał pozwolić, by rzuciła się w jakąś szalenie niepopularną sprawę finansową i że będą chwile, gdy przyjdzie do niego po ciepło, otuchę i słowa prostego ukojenia.

Przyjdzie jej wracać myślami do tego dnia później... znacznie później... i zastanawiać się, jak jeden akt seksualny może określać tak wiele, zapominając, że w 1928 roku był on dla każdej kobiety czymś nadzwyczajnie i skandalicznie swobodnym.

Ujęła dłoń Caldwell'a, gdy zbliżyli się do domu. Był to letni dom Jamesa Beckmana, zbudowany w prostym kolonialnym stylu, powiązany z kalifornijskim otoczeniem przez dobudowanie werandy ozdobionej na modłę hiszpańską i barokowego dachu z wygięciami przypominającymi skrzypce. James Beckman i reszta weselnych gości już w nim byli, stojąc na schodach i czekając na nowożeńców.

– Kochasz mnie, prawda? – zapytała Effie.

Caldwell pochylił się i ją pocałował.

– Kocham cię jak nikogo innego.

– Mam nadzieję, że zapamiętam ten dzień na zawsze. Nie chcę, żeby minął.

- Będą setki innych dni.
- Tak, ale żaden nie będzie taki jak ten.

Caldwell delikatnie ścisnął jej dłoń.

- Nie jesteś przerażona, prawda?

– Tylko sobą – odparła. – Próba tak swobodnego życia własnym życiem czasami jest ciężarem. Czasami chętnie w ogóle rzuciłabym bankowość i była po prostu zwyczajną żoną, kobietą, która nikogo nie irytuje. Nie chcę nikogo denerwować. Nigdy nie zakładałam, że kogoś zdenerwuję, ale nie mogę tego uniknąć. Nie mogę być tym, kim muszę być, nie wyprowadzając ludzi z równowagi.

- No, małżonko pana Brooksa, użalasz się nad sobą – rzekł Caldwell.

Uśmiechnęła się i przecząco pokręciła głową. Szal powiewał za nią niczym przezroczysta chorągiewka żaglowca.

– Wcale się nie użalam. Nawet nie czuję się już samotna. Teraz mam do pomocy ciebie. Mam ochotę mniej się zмагаć, mniej walczyć. Teraz moim jedynym pragnieniem jest uszczęśliwianie ciebie.

Caldwell znów ją pocałował, a potem poprowadził ku trawiastej ścieżce, która przywiodła ich przed dom. James Beckman w ekstrawaganckim białym garniturze i turkusowych getrach już wcześniej polecił otworzyć szampana i gdy Effie z Caldwellem podeszli bliżej, goście wzniesli kieliszki, spełniając toast na ich cześć.

Później, gdy słońce zaczęło się topić we mgłę Pacyfiku, a cienie chodziły po palach, weselni goście usiedli w skromnym salonie, słuchając płyt Duke'a Ellingtona i gawędząc jak ludzie, którzy przyjaźnią się od wielu lat. Był też oczywiście pokryty białym lukrem weselny tort oraz zimny bufet z wędzoną kaczką, kalifornijskimi serami, jabłkami, pomarańczami i sałatą. Effie usiadła obok Caldwell'a i prawie nic nie mówiąc, słuchała i pieszczotliwie muskała jego dłoń.

Jeden z gości, młodzieniec z lśniącymi brylantyną włosami, odziany w prążkowany jachtowy blezer, zagrał na ukulele i zaśpiewał liryczną piosenkę o sercu przepojonym miłością.

Tej nocy, w wyłożonej papierową tapetą sypialni, po godzinach namiętnego seksu, gdy Caldwell zapadł w sen, Effie leżała z otwartymi oczami i słuchała szemrzącego oddechu Pacyfiku. Gdyby ktoś mógł widzieć ją w tej ciemności, dostrzegłby w kącikach jej oczu migoczące w świetle księżycza łzy.

Małżeństwo Effie i Caldwell'a wywołało ogólnokrajową sensację. Fotografowano ich dla wszystkich dzienników i ilustrowanych magazynów

w całej Ameryce i proszono o wywiady na wszelkie możliwe tematy: od zarządzania budżetem domowym do stanu upraw ziemniaków w stanie Idaho. Effie nagle stwierdziła, że jako małżonka jest znacznie milej widziana zarówno przez społeczeństwo, jak i środowisko bankowe. Teraz była godna szacunku, była bowiem „żoneczką” Caldwella Brooksa, więc gdyby ktoś naprawdę miał z nią jakiś kłopot, zawsze mógł się uciec do Caldwella, aby wszystko wyjaśnić.

Nie zrobiła niczego, co mogłoby rozczarować prasę czy bankowców. Jeśli chętniej robiono z nią interesy dlatego, że wyszła za mąż za Caldwella, bądź dlatego, że w wywiadach dla kobiecych pism podała przepis na „szkockie bułeczki”, to była całkiem zadowolona. Zdaniem kalifornijskich farmerów i sadowników wydawała się mieć właśnie taką godną zaufania, tradycyjną, „południową” osobowość, jakiej szukali w kobiecie. Zaufanie zyskała nawet dzięki klasycznemu sposobowi ubierania się, nosząc w pracy tweedowe stroje i wynajmując czarnego sedana, a nie pierce'a-arrowa czy cadillaca.

Siedzibę kalifornijskiego Commerce Bank otwarto na rogu Flower i First Street 25 lipca 1928 roku. Pierwotnie budynek był salonem roślin i kwiatów („Kwiaty na Kwiatowej”), więc Effie poleciła, aby dekoratorzy zachowali oryginalną białą-czerwoną marmurową okładzinę na zewnątrz i chłodne marmurowe posadzki w holu głównym. Bank reklamował się w radio, a także we wszystkich kalifornijskich dziennikach i magazynach. Reklamowy slogan napisany dla Effie przez Arthura Pendiera z agencji „Young & Rubicam” brzmiał: „Dan McKay dzisiaj zasiewa swoje jutro”. Nie będąc kolejnym banałem, już w pierwszym tygodniu przyciągnął ponad ośmiuset klientów. Pod koniec roku 1928 kalifornijski Commerce Bank był najszybciej rozwijającym się i najbardziej rentownym nowym przedsiębiorstwem finansowym na Zachodnim Wybrzeżu.

Caldwell jako prezes kierował nim ze znakomitą efektywnością i płynnością. Było kilka trudnych chwil (jak ta, gdy bezwiednie uraził jednego z największych nowych klientów, potentata naftowego R. Waltera Learninga, całując dłoń jego tęgiej hiszpańskiej służącej i mówiąc: „Miło mi panią poznać, pani Learning”), ale zwykle był opanowany i spokojny, a przy tym bardzo lubiany wśród pracowników banku, więc gdy prosił, aby oszczędzali spinacze biurowe lub nie odbywali prywatnych rozmów telefonicznych, brzmiało to raczej sympatycznie niż rygorystycznie. Kalifornijski Commerce Bank prowadzony był przy najniższym zatrudnieniu i najszczuplejszym funduszu plac na Zachodnim Wybrzeżu częściowo dlatego, że Effie nie godziła się na rozrzutne trwonienie pieniędzy, a częściowo dlatego, że wszelkie pozyskane środki były potrzebne na delegowanie przedstawicieli mających działać na szerszą skalę. Caldwell zatrudnił dwudziestu akwizytorów (w większości młodych, ujmująco przystojnych

hollywoodzkich statystów) i prawdziwą flotyllą fordów A wysłał ich do Bakersfield, Kettleman City, Fresno i Tulare, każdego z nich zaopatrując w wyraźnie napisaną instrukcję i walizkę pełną bezpłatnych prezentów: bankowych kalendarzy oprawionych w sztuczną skórę i skarbonki w kształcie zamku. Ich zadanie było proste, ale dobitne. Rozmawiać z hodowcą i ostrzegać, że nadchodzą ciężkie czasy; ma już przecież podejrzenia, gdyż widzi, jak gwałtownie spadają ceny jego produktów. Przekonać go, że jego dochody tylko wtedy będą bezpieczne i przetrwają następny sezon, jeśli zaufa uczciwości strategii Commerce Bank. Pieniądze umieszczone na rachunkach w Commerce nie będą wykorzystane na szalonym rynku spekulacji giełdowych, nie, proszę pana, ani nie posłużą do wypychania portfeli tłustych polityków z Sacramento. W Commerce nawet prezes musi oszczędzać biurowe spinacze, gdyż płacą za nie klienci i nikomu, ale to nikomu, od kancelisty do założyciela, nie wolno trwonić pieniędzy klientów. Bez względu na to, co się stanie, Commerce Bank gwarantuje wypłatę wszystkich depozytów, więc gdy nadejdą ciężkie czasy, on również ich doświadczy, ale pana pieniądze zawsze będą bezpieczne.

– Czyż nie jest pan tego winien swojej rodzinie? – takim pytaniem mieli zawsze kończyć akwizytorzy, przybierając wyraz twarzy, jakiego nauczyli ich Effie i Caldwell. Połączenie mądrości Abrahama Lincolna, wiary Dale'a Carnegie i tęsknoty Jackiego Coogana.

– Niech poczują się winni... niech popadną w bezsenność, jeśli nie przeniosą swego konta do Commerce – powiedziała kiedyś Effie na zebraniu poświęconym strategii banku. Potem, wiosną 1929 roku, zamówiła serię codziennych prasowych reklam opatrzonych tytułem „Commerce ma sens”, którym towarzyszyły litograficzne wizerunki zadowolonych, zdrowych kalifornijskich rodzin. Żaden z jej klientów nie narzekał, że Effie prowadzi najdroższą kampanię reklamową, jaką miał którykolwiek z amerykańskich banków. Pamiętali tylko to, że ona również jest zobligowana do oszczędzania biurowych spinaczy.

James Beckman wprowadził do Commerce Bank milionowej wartości małe przedsiębiorstwa; sady nektarynowe, gaje pomarańczowe, farmy pomidorowe, a nawet kilka większych kombinatów hodowlanych. Jedną z największych jego zdobyczy był rachunek cudzoziemskiej San Joaquin Apple Corporation, ogromnego zrzeczenia producentów jabłek zorganizowanego i nadzorowanego przez Vita Malucciego i jego braci, trzech potężnych i bogatych imigrantów z Neapolu, których pewnego razu sfotografowano z Alem Capone na pokładzie jego jachtu na Florydzie. Wszyscy, którzy próbowali sprzedawać jabłka taniej niż bracia Malucci, znajdowali zwykle swoje sady spryskane kwasem, a ukochane psy – martwe.

Effie osobiście zdobyła kilka wielomilionowych rachunków spoza środowiska hodowców warzyw i owoców: trzy kompanie naftowe z Seal

Beach przeniosły do Commerce Bank swoje środki obrotowe, podobnie jak uczyniła to Jenners Seaplane Corporation, aby sfinansować kontrakt amerykańskiej Straży Ochrony Wybrzeża na pięćdziesiąt pięć samolotów obserwacyjnych. Naprawdę jednak zrozumiała, że Commerce Bank odniósł rzeczywisty sukces, gdy pewnego ranka zatelefonował do niej właściciel koncernu prasowego, Douglas Bean Wallis. Zaprosił ją na lunch do swej bajecznej, położonej na wzgórzu rezydencji „Santa Ysabel” w Woodland Hills, i tam, między krewetkami a „słodką niespodzianką”, w dźwięczącej echem wielkiej sali bankietowej, która pachniała kalifornijskim cedrem, otarł usta serwetką i rzekł:

– Przenoszę do pani konto „Los Angeles Post”.

– Och – odparła Effie.

– To wszystko co ma pani do powiedzenia? – zapytał Wallis. Był śniady, spasiony i brodaty niczym jeden z Borgiów. Uniósł połączany kielich, mając zamiar napić się wina.

– Czy doprawdy powinnam powiedzieć coś jeszcze?

Wallis pomyślał chwilę, a potem zachichotał.

– Chyba nie. Mogłaby pani powiedzieć: Proszę obchodzić się ze mną delikatnie.

Effie spojrzała na swój talerz, a potem znów podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Myślę, że jeśli ktoś powinien apelować o delikatność, to pan.

Latem 1929 roku Commerce Bank dorównywał wszystkim innym bankom w Kalifornii, a nieoficjalnie uważany był za piętnasty największy bank w Stanach Zjednoczonych. W czerwcu, po roku mieszkania w Bel-Air Hotel, Effie i Caldwell kupili wielką białą, zdobioną sztukateriami rezydencję przy Benedict Canyon Driver. Miała jedenaście sypialni, kolumnową salę balową i salę bilardową oraz spadzisty ogród pełen drzew pomarańczowych i cytrynowych oraz krzewów bugenwilli, jaśminu i heliotropu. Dom został wybudowany w 1921 roku przez gwiazdora niemych filmów Owena Starka, o którym chodziły słuchy, ich był kochankiem Ethel Jackson. Stark wycofał się z filmu, gdy nadeszła era dźwięku, głównie z powodu zbyt wyraźnego włoskiego akcentu. Nazwał swój dom „Casa Superba”, ale Effie nadała mu nazwę „Caledonia”.

We wrześniu na głośnym szampańskim przyjęciu w Culver City Caldwell poznał Kerry'ego T. Scrymana z Renown Picture Corporation i w niespełna tydzień Commerce Bank pożyczył tej korporacji przeszło dwa miliony dolarów na realizację dwugodzinnej filmowej wersji „Życia Chrystusa” z udziałem Glorii Pesca i Nolana Twilleya. Wielebny Charles E. Coughlin, popularny, siejący zamęt kaznodzieja radiowy wczesnych lat trzydziestych miał później stwierdzić, że „film »Życie Chrystusa« robi więcej, by podtrzymać nadzieję i odwagę Amerykanów w tych czasach

kryzysu, niż jakiegokolwiek inne natchnione przesłanie w każdym innym medium”. Poparcia Coughlina nie umocniło późniejsze odkrycie, że jego udział w tym filmie wynosił piętnaście tysięcy dolarów, ale jednak „Życie Chrystusa” zarobiło w ciągu trzech lat siedemdziesiąt jeden milionów dolarów.

Pewnego późnosierpniowego dnia, gdy wraz z Caldwellem siedziała na wychodzącym na ogród tarasie „Caledonii”, Effie otrzymała pilny list od Dougala. Hiszpański kamerdyner o imieniu Primo, który wcześniej podał im śniadanie, sok grapefruitowy, kawę i duńskie ciasteczka, teraz wszedł na taras z listem na srebrnej tacy.

– Dostarczony przez posłańca – rzekł. – Zdyszany czeka na dole.

– Daj mu, proszę, dolara, Primo – powiedziała Effie i otworzyła kopertę.

– Od kogo? – zapytał Caldwell. Siedział z uniesionymi stopami, popijając kawę i czytając sobotnią gazetę. Poprzedniego wieczoru oboje byli na późnych służbowych spotkaniach, a potem na kolacji i dancingu w Los Angeles Country Club.

– Chyba od Dougala – odparła Effie. Nie było nic niezwykłego w tym, że Dougal do niej pisał. Od czasu gdy zamieszkali w Kalifornii, utrzymywał regularny kontakt w najważniejszych sprawach służbowych, szczególnie w kwestii planu inwestycyjnego o wartości dwudziestu czterech milionów dolarów sporządzonego dla niego przez Roberta. Jak dotychczas ów program wydawał się dość schematyczny i wcześniejsze podejrzenia Effie niemal zupełnie zniknęły. Rynek akcji wciąż sprawiał wrażenie, iż trzyma się mocno. Robert dotrzymał słowa i pomógł Dougalowi we wszystkich umowach. Zarówno londyński, jak i nowojorski Watson's Bank zaczęły robić dobry interes na zamorskiej inwestycji obejmującej budowę na rzece Kabale we wschodniej Afryce wysokiej zapory, którą finansowali klienci nowojorskiego Watson's Bank poprzez Watson's Bank w Londynie. Mimo niebezpiecznej chwiejności większości europejskich banków oraz kryzysu, który już doprowadził do upadku setek niemieckich i austriackich firm, fabryk i instytucji spółek kredytowych, mimo niebotycznej inflacji nowojorskiego rynku finansowego bracia Watsonowie bogacili się z tygodnia na tydzień, a ich wspólna przyszłość jako spadkobierców świata międzynarodowej bankowości wydawała się bezpieczna. Dougal jednak własnoręcznie napisał:

*Droga Effie, z powodów, których nie mogę łatwo wyjaśnić, zaczynam nabierać podejrzeń co do umowy inwestycyjnej z Robertem. Czy istnieje możliwość, abyś w ciągu kilku dni wróciła do Nowego Jorku?*

To wszystko. List nawet nie był podpisany. Effie odłożyła go, a potem

przeczytała ponownie i wreszcie złożyła z powrotem.

- Coś ciekawego? – zapytał Caldwell.
- Nie jestem pewna. Chyba będę musiała wrócić do Nowego Jorku.
- Do Nowego Jorku?! Kiedy?
- Możliwie najszybciej. Dzisiaj.
- Dzisiaj? Żartujesz!

Effie podała Caldwellowi list.

– Dzieje się coś złego, Caldwell. Czuję to. Nie znasz Roberta tak dobrze jak ja. On czerpie jakąś szczególną przyjemność z bankowych szwindli, a przynajmniej przekrętów. Pamiętaj, że w nowojorskim Watson's Bank mam zamrożone własne miliony dolarów. Dwadzieścia milionów.

– Nie możesz do niego zatelefonować? Na miłość boską, naprawdę musisz tam być osobiście?

Effie pochyliła się i pocałowała Caldwell'a w czoło. Lubiła jego zapach, gdy wychodził spod prysznic i miał umyte włosy.

– Mogę skorzystać z usług tych nowych połączeń kolejowo-lotniczych. Słyszałeś o nich. Wylatuje się z lotniska w Glendale około dziewiątej rano, do Nowego Meksyku przylatuje się o dziewiątej wieczorem, potem w sypialnym wagonie dojeżdża się do Oklahomy rano, następnie aż do następnego wieczora leci się do Indiany, a wreszcie wsiada się w nocny pociąg do Nowego Jorku. Mogłabym tam być już we wtorek rano.

Caldwell był wyjątkowo niezadowolony. Złożył list i cisnął go na stolik, przy którym jedli śniadanie.

– Twoja rodzina – rzekł cierpko. – Wystarczy, by jęknęli, a ty już biegniesz. Są mężczyznami, a przynajmniej tak o sobie myślą. Dlaczego sami nie mogą troszczyć się o siebie?

– A czy ty możesz sam troszczyć się o siebie? – uprzejmie zapytała Effie. – Sądzisz, że ja mogę? W tym biznesie jesteś my wszyscy razem. Dougal mnie potrzebuje, więc muszę jechać. Ty też możesz jechać, jeśli chcesz. James bez trudu dopilnuje wszystkiego przez tydzień.

Caldwell pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Raczej nie.

Effie przystanąła za nim na chwilę, lekko opierając rękę na jego ramieniu.

– W porządku – powiedziała, – Zrozum jednak, że to może być poważne i naprawdę muszę jechać.

– Och, z pewnością – odparł Caldwell, głośno przewracając strony gazety. – Tak poważne, że nie będzie cię tutaj w dniu moich urodzin.

Effie ucałowała czubek jego głowy, potem uszy, a w końcu policzki.

– Tak czy inaczej nie mogę dać ci prezentu w dniu twoich urodzin.

– Nie chcę żadnego prezentu, daj spokój.

– Och, nie bądź taki nadąsany! Wyjeżdżałam na tydzień do San



Francisco i nie robiłeś o to żadnej awantury. Poza tym musisz dostać ten prezent, czy go chcesz czy nie.

Caldwell odsunął na bok gazetę i spojrzał na nią gniewnie, jednak nie potrafił gniewać się długo, zwłaszcza gdy Effie uśmiechała się do niego z taką przesadną słodyczą. Zasznurował wargi i próbował być ponury, ale po chwili wybuchnął śmiechem.

– Przepraszam – powiedział. – Przypuszczam, że to kac. Zatem co zamierzasz dać mi w prezencie?

– To nic specjalnego.

– Nie chcę niczego specjalnego. Jedyne czego naprawdę pragnę, to mieć cię przy sobie.

– Cóż... Nie mam stuprocentowej pewności.. Jeszcze tego nie potwierdzono... ale prawdopodobnie... będziesz tatusiem.

Caldwell wręcz się w nią wpatrywał.

– Jesteś w ciąży?

Effie skinęła głową.

– Ależ ty... – Otworzył usta, ale po chwili bezgłośnie je zamknął.

Effie czekała, lecz Caldwell najwyraźniej nie był w stanie mówić.

– Ależ co ja? – zapytała w końcu. – Ależ ja mam czterdzieści cztery lata, tak? Jestem za stara, żeby urodzić dziecko? Cald, zaszłam w ciążę i to wszystko, więc nie jestem aż tak wiekowa! Ty zaś mówisz tak, jakbyś nawet nie chciał mieć własnego dziecka!

– Ja... – pozwolił rękom opaść na oparcia fotela. – Nie wiem – powiedział. – Nigdy nie sądziłem, że to się może zdarzyć. Dziecko? To mi nigdy nie przyszło do głowy.

– Jesteś rozczarowany? – zapytała Effie. Z nagłym rozgoryczeniem i przykrością poczuła, że jej oczy napęniają się łzami.

– Rozczarowany? Oczywiście, że nie. Jestem tylko zaskoczony. Czego się spodziewałaś, jak miałem zareagować? Chodzi mi o to, że wyszliśmy już z wieku, gdy ludzie *zwyczajnie* mają dzieci.

– Czy kiedykolwiek twierdziłam wobec ciebie, że jestem zwyczajna?

– Jednak istnieje również ryzyko – protestował Caldwell. – Pomyślałaś o ryzyku? Wszystko jest dobrze, gdy kobieta ma dwadzieścia... nawet trzydzieści lat. Ale ilość przypadków wadliwie rozwiniętych dzieci urodzonych przez kobiety po czterdziestce... cóż, w zeszłym tygodniu czytałem statystyki dotyczące ubezpieczeń i...

– To nie jest statystyka! – wybuchła Effie. – To jest twoje dziecko! Jak możesz mówić o czymś takim?!

Caldwell przycisnął palce do szczęki, a wyraz jego twarzy nieoczekiwanie stał się cierpki i sztywny. Wydał z siebie mocno kontrolowany oddech, a potem odwrócił twarz od Effie. Złość stopniowo go opuszczała, ale wciąż nie mógł na nią spojrzeć ani mówić.

– Caldy – powiedziała Effie najłagodniej, jak mogła. – To jest twoje dziecko i chcę je urodzić.

Nie odpowiedział. Obeszła jego fotel dookoła, ale wciąż odwracał od niej twarz.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się złościś – powiedziała.

– Myślałam, że będziesz zadowolony.

– Jestem – rzekł nieprzekonująco. – Wierz mi, że jestem.

– Więc o co chodzi?

– Mogłaś mi powiedzieć – odparł.

– Co ci miałam powiedzieć; że małe dziewczynki czasem rodzą dzieci, jeśli mali chłopcy bawią się z nimi w lekarzy i pielęgniarki? Właśnie to powinnam ci wcześniej powiedzieć?

– Nie bądź taka wulgarna.

– Wulgarna?! Jak możesz nazywać mnie wulgarną? To ty zachowujesz się jak piętnastoletni smarkacz.

– Przepraszam – powiedział.

Effie wyciągnęła ręce i ujęła obie dłonie Caldwell, ale jego palce wciąż były zaciśnięte niczym palce człowieka, który właśnie umarł.

– Caldy – zwróciła się do niego poważnie – musisz mi powiedzieć, co się dzieje?

Caldwell odpowiedział jej z gwałtownym i szokującym potokiem łez.

– Myślę o odejściu od ciebie.

Effie patrzyła na niego zlodowaciała, zlodowaciała w sierpniowej Kalifornii.

– Co? – usłyszała własny głos.

– Zastanawiam się nad tym od kilku miesięcy – wyjaśnił Caldwell, ocierając oczy. – Wybacz. To okropny moment na powiedzenie ci tego.

– Jakby w ogóle kiedykolwiek był na to dobry moment... – Effie była tak zdruzgotana, że mogła odpowiedzieć tylko gorzkim żartem.

Obdarzył ją szybkim, smutnym uśmiechem.

– Przykro mi. Akurat wtedy, gdy przyszedł list od Dougala...

– ...i wtedy, gdy ci powiedziałam, że urodzę twoje dziecko... – prze-rwała mu Effie.

– Tak – przyznał Caldwell.

– Ale dlaczego? Nie jesteś ze mną szczęśliwy? Czy stało się coś złego? – pytała Effie.

Caldwell długo milczał. Jakiś mały ptak usiadł na balustradzie tarasu, zaświergotał i odleciał.

– Czy jest ktoś inny? – chciała wiedzieć.

– Nie – odparł. – Nie o to chodzi.

– A o co?

Uniósł ku niej wzrok. Jego oczy były zmętniałe i rozbiegane.

– Chyba sama to sobie tłumaczyłaś, tego dnia, gdy się pobraliśmy. Pamiętasz, jak szliśmy wzdłuż plaży? Powiedziałaś wtedy, że jesteś wolna, niezależna i że nie bacząc jak bardzo irytuje to innych, ty jesteś zdecydowana wieść wolne i niezależne życie.

– Jednak jestem zależna od ciebie. Wiesz o tym.

– Z pewnością. Jesteś uzależniona ode mnie, ilekroć potrzebny ci ktoś, z kim mogłabyś przedyskutować swoje przedsięwzięcia finansowe, albo gdy pod koniec miesiąca nie udaje ci się osiągnąć jakiegoś planowanego poziomu inwestycyjnego. Jesteś ode mnie uzależniona w kwestii seksu, jak sądzę, ale każdy może ci go zapewnić. Potrzebujesz mnie jako partnera biznesowego i jako wsparcia towarzyskiego. Myślę, że jest kilka chwil, kiedy naprawdę zapewniam ci komfort. Jednak dość tego, Effie. Bardzo łatwo mogłabyś dostarczyć go sobie sama i nigdy nie pozwalasz mi o tym zapomnieć. Zanim się z tobą ożeniłem, byłem zdolnym, odnoszącym sukcesy i pewnym siebie człowiekiem. Byłem prawdziwym mężczyzną. Jednak twoja wewnętrzna siła i niezależność... niezależnie od tego jak starannie je kryjesz i jak wydajesz się być potulna... bez względu na to, jak się sobie sprzeniewierzasz i grasz skromną panienkę... owej siły i niezależności jest za dużo jak dla mnie. Nie mogę tego znieść – po tych słowach wstał z fotela. – Przed rokiem wszyscy mówili o Effie Watson jako o „żonce” Caldwell’a Brooksa. Teraz ludzie mówią o Caldwellu Brooksie jako o „mężusiu” Effie Watson. Kocham cię, Effie. Wiesz, że cię kocham. Jednak nie potrafię wieść szczęśliwego życia w twoim cieniu. Muszę myśleć o własnej niezależności. O własnej wolności.

Effie powoli spuszczała wzrok, aż nie widziała niczego oprócz meksykańskich terakotowych płytek posadzki tarasu, nieostrego wzoru kamiennych kwadratów. Wiedziała, że Caldwell ma rację; że budowała Commerce Bank uparcie i szybko, zgodnie z planem, który przechowywała tylko we własnej głowie. Wiedziała, że wykorzystywała Caldwell’a, sprawdzając jego reakcje na swoje najbardziej szokujące pomysły finansowe, takie jak ostatni plan „obligacji zerowych”; obligacji, które formalnie rzecz biorąc wcale nie budzą zainteresowania, ale które w dniu sprzedaży miały cenę obniżoną do dwóch trzecich wartości, a gwarantowaną pełną przynosić w dniu wykupu, dziesięć lat później. Wiedziała, że wykorzystuje zarówno zawodową roztropność Caldwell’a, jak i jego miłość, czasami bardziej jedną niż drugą.

Jednak czułość dla Caldwell’a nigdy nie osłabła. Gdy więc w zeszłym miesiącu nie dostała okresu i zrozumiała, że może być w ciąży, nie poczuła niczego oprócz spokoju i radości.

– Calddy... nie możesz odejść – powiedziała drżącym głosem.

– Nie mogę również zostać – odparł. – Ty się nie zmienisz, a ja nie mogę cię o to prosić.

– Czy możesz zostać przynajmniej do czasu, gdy wrócę z Nowego Jorku? Musimy to omówić.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba tak. Skoro cię tu nie będzie, przypuszczam, że nie zrobi mi to żadnej różnicy.

– Nie obchodzi cię dziecko? – zapytała.

Starał się być niemiły ponad wszelką miarę. Próbował tak ją rozgniewać, żeby było mu łatwiej wybuchnąć. Effie jednak nie była na niego zła. Może nie był największą i najbardziej szaloną miłością jej życia, ale kochała go czule i głęboko. Postanowiła spędzić z nim resztę życia, a upadek ich małżeństwa zaledwie po roku był wręcz nieprawdopodobny. Nie brała tego pod uwagę. Nie przypuszczała, że to się zdarzy.

– Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyś w ogóle nie pojechała do Nowego Jorku? Jeśli naprawdę jesteś w ciąży, te loty i podróże koleją... – powiedział Caldwell.

– Muszę jechać.

– No cóż, jasne, musisz. To twoja rodzina. A kontaktem z twoją rodziną jest jeden sukinsyn, którego nie potrafisz przekazać nikomu innemu, nawet mnie.

– Staram się być rozsądna, ale ty nie chcesz mi pomóc.

– A dlaczego miałbym ci pomagać? Ty jesteś szefem. Ty jesteś osobą, która zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Naprawdę czujesz do mnie taką gorycz? Co ja ci zrobiłam?

– Nic nie zrobiłaś. Nic co miałoby jakieś znaczenie – odparł Caldwell, patrząc jej prosto w oczy. – W pracy jestem tylko poczciwym, uprzejmym prezesem Commerce Bank, a w domu poczciwym grzecznym mężem. Niczym dobroduszny, stary lew w cyrku, Effie; lew, który kiedyś był władczy, szybki i zręczny, a teraz musi siadać, prosić i podawać łapę, gdy treserka trzaska batem. Och, w porządku, ta treserka jest miła. Karmi mnie i poi, a nawet rzuca kostki cukru. Zapewnia mi dach nad głową, a manicure moich pazurów zleca najlepszemu weterynarzowi w mieście. Jestem szczęśliwym stworzeniem, Effie, ale nie jestem już lwem i właśnie dlatego muszę odejść.

Effie usiadła, zmęczona i oszołomiona. Wyjęła papierosa z kieszeni płaszcza kąpielowego, a Caldwell podał jej ogień.

– Naprawdę tak cię traktuję? – zapytała.

– Ja właśnie tak to odczuwam, Effie. Pogrzebałaś moją niezależność pod swoją.

– Muszę pomyśleć – powiedziała.

– Pewnie – skinął głową. – Myśl, co chcesz. Ja od miesięcy myślałem o tym w dzień i w nocy.

Kamerdyner Primo wszedł na taras i zaczął zbierać ze stołu nakrycia.

– Primo, czy mój samochód wyprowadzono z garażu? – zapytał Cald-

well.

- Zaraz o to poproszę, sir.
- Nieważne. Sam go wyprowadzę.
- Czy życzy pan sobie, aby Carl usiadł za kierownicą, sir?
- Nie, dziękuję. Pojadę sam.
- Powiesz mi, dokąd jedziesz? – zapytała Effie, nie patrząc na niego.
- Gdybym wiedział, powiedziałbym ci – odparł Caldwell. – Może pojadę do San Luís Obispo i sprawdzę, czy może na tamtej plaży też czekają na mnie jakieś rewelacje.

Jeszcze wiele rzeczy Effie chciała powiedzieć, ale nie był to odpowiedni moment. Caldwell wyszedł do swego pokoju i zostawił ją na tarasie palącą papierosa, podczas gdy Primo cicho ustawiał na tacy śniadaniowe talerze.

- Primo, jaki dzień dziś się zapowiada? – zapytała.

Primo zebrał skórki melona i pomarańczy z jednego z talerzy. Nie podniósł wzroku na niebo, tak jak Effie nie spozjrzała na Caldwella.

- Zbyt gorący na spacer, panno Watson.

Pierwszy raz od roku ktoś nazwał ją „panną Watson”.

## 36

W niedzielę, tuż po dziewiątej, Effie wyleciała z lotniska Glandale, udając się w czterdziestoosmiodzinna, kilkusetapową podróż z Los Angeles do Nowego Jorku. Na toaletce zostawiła list do Caldwella; krótki sentymentalny list mówiący jak bardzo go kocha i jak bardzo pragnie, żeby wrócił. Łącznie napisała cztery listy, ale pierwsze trzy były albo zbyt mentorskie, albo za bardzo żalodne, albo takie i takie.

Siedziała przy oknie, podczas gdy aeroplan marki Fokker chwiejnie i hałaśliwie wzbił się nad czerwono-białą Pasadeną. Czuli się ogromnie samotna. Wciąż nie miała pewności, czy jest w ciąży. Nie miała okresu dopiero przez jeden miesiąc. Przecież zawsze, od tamtego pierwszego dnia gdy płakała w ramionach matki, ponieważ myślała, że wykrwawia się na śmierć, miesiączkowała tak regularnie. Poza tym intuicyjnie *wiedziała*, że Caldy dał jej dziecko. Na pewno. Za wiele mieli gorących, miłosnych nocy, by nie poczuć dziecka.

Być może jednak, pomyślała, zachowuję się jak bankier. Pewnie zachowuję się tak, jakby wszystko w życiu, łącznie z uprawianiem miłości, miało przynosić jakąś dywidendę. Wszak możliwe, że po prostu nie dostałam okresu w tym miesiącu z powodu napięcia, zmiany diety albo wręcz z powodu zmiany trybu życia. Możliwe. Jestem już dobrze po czterdziestce. I oto siedzę tutaj, w tym ciasnym fotelu samolotu wierzgającego i opadającego nad Górami San Gabriel, chociaż jedyne czego pragnę, to mieć przy sobie

Caldy'ego, zachować go blisko i chronić moje małżeństwo tak czule, jak pragnę chronić to dziecko, które w sobie noszę.

Z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, dzięki silnikom o mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych fokker wznosił się coraz wyżej w gorącym letnim powietrzu, z warkotem zmierzając ku wschodowi na wysokości ponad dwóch i pół kilometra przez pustynię Mojave do Kingsman w stanie Arizona. Steward podał Effie szklaneczkę wody sodowej oraz kilka tartinek z owocami morza i zapytał, czy na śniadanie woli cynaderki w ostrym sosie czy warzywno-owocową sałatkę z szynką. Sączyła wodę i obserwowała cień, jaki fokker rzucał na piasek w kolorze ochry, zastanawiając się, czy w mieście Kingman w stanie Arizona warto wynająć inny samolot, który zabierze ją bezpośrednio z powrotem do Los Angeles.

– Czy nie pogniewa się pani, jeśli przerwę jej zadumę? – zapytał siedzący po drugiej stronie środkowego przejścia mężczyzna wyglądający jak gimnazjalny profesor w wymiętym lnianym garniturze.

Effie próbowała się uśmiechnąć.

– Oczywiście, że nie.

– Chodzi mi o to, że jestem pewny, iż widziałem pani twarz w gazetach – powiedział, po czym zdjął okrągłe okulary i przyglądał się jej, mrużąc oczy.

– Obawiam się, że jest pan w błędzie – odparła Effie, starając się być uprzejma, ale nie zachęcając do dalszej konwersacji. – Moje zdjęcie pokazało się w gazecie tylko raz, gdy ukończyłam szkołę w Winslow, w stanie Arizona.

Mężczyzna ponownie włożył na nos okulary.

– Przepraszam. Doprawdy mógłbym przysiąc.

– Czasami wszyscy mamy ochotę to zrobić – powiedziała Effie.

Ta lądowo-powietrzna podróż trwała nieprzerwanie przez całą niedzielę, noc z niedzieli na poniedziałek i cały następny dzień. Chociaż był to najszybszy sposób na przejechanie przez cały kontynent, z Kalifornii do Nowego Jorku, i chociaż inaugurujący rejs pilotował Charles Lindbergh, a do jego pasażerów zaliczała się Mary Pickford, wciąż był to męczący wyścig z przeszkodami z lotniska do Kinoman, z Winslow do Albuquerque, z Kansas City do St Louis i z Indianapolis do Port Columbus. Gdy w Port Columbus, na kwadrans przed ósmą w poniedziałkowy wieczór, Effie wsiadła do ekspresowego pociągu linii „American Express”, kręciło jej się w głowie od ciągłego wsiadania i wysiadania, licznych międzylądowań dla zatankowania paliwa i trudnego przewozu z lotniska na dworzec.

Jednak we wtorek rano, gdy zegar w elegancko zwieńczonej łukami hali dworca Pennsylvania Station wybił dziesiątą, „American Express” z gwizdem wjechał na peron jedenasty, dysząc jak ogromny zwierzę wyczerpany całonocną rują. Effie obudziwszy się w swoim przedziale sypialnym,

stwierdziła, że jest w Nowym Jorku. Gdy się ubrała i zjadła podane jej śniadanie składające się z filiżanki rosyjskiej herbaty i gorącego maślanego rogalika pochodzącego z wagonowej kuchni, wyszła z pociągu wprost na rozłożony dla niej czerwony dywan. Zobaczyła też, że czekają już na nią Dan Kress i jej kierowca, Koscinski, a także fotoreporterzy z Agencji Reutersa i Associated Press oraz z nowojorskiego „World Telegram”. Pogłoski o możliwym rozpadzie małżeństwa Effie i Caldwell'a dotarły już telegraficznie na wschodnie wybrzeże.

– Jak się pani czuje, pani Brooks? Czy pani małżeństwo wciąż trwa? – brzmiały pierwsze słowa, jakie Effie usłyszała po dwudniowej podróży.

– Doskonale, dziękuję – odpowiedziała.

– Czy może pani to skomentować? – poprosił inny fotoreporter, unosząc w górę gazetę z wielkim tytułem: ROZŁAM Z ZAŁOŻYCIELKĄ BANKU. PREZES KALIFORNIJSKIEGO BANKU TWIERDZI, ŻE ŻYCIE Z SZE-FOWĄ JEST MĘCZĄCE.

– Jak mam to skomentować, skoro nie czytałam – odparła Effie.

– Zatem to prawda? Caldwell Brooks faktycznie od pani odszedł?

– Pozwólcie pani odpocząć, dobrze? – zażądał Dan Kress, odpychając natręta na bok.

Effie uśmiechała się, przechodząc pod ostrzałem lamp błyskowych, aż wreszcie dotarła do wyjścia z dworcowego budynku, przed którym czekała jej nowojorska limuzyna pierce-arrow. Koscinski szybko włączył się w ruch na Manhattanie, zachowując równowagę i spokój, mimo że ścigały ich plymouthy i fordys A z hałasem klaksonów i niebezpiecznie wychylonymi z okien fotoreporterami, którzy próbowali wykrzykiwać pytania poprzez kilkumetrową Park Avenue.

Dan Kress zamknął okno, aby we wnętrzu samochodu było cicho.

– Wiele dobrego słyszymy o tym, co robicie w Kalifornii – rzekł. – Prawdziwie dobre wieści.

– Cieszę się – powiedziała Effie. – Pracujemy bardzo ciężko.

– Doprawdy nie było żadnej potrzeby, abyś tu przyjeżdżała. Wszystko jest pod kontrolą.

– Zatem wiesz, dlaczego wróciłam?

– Mogę się domyślać – powiedział Dan Kress. – Niepokoisz się o swój udział w nowojorskim Watson's Bank. Nie byłoby żadnego innego powodu, prawda?

– Może po prostu składam wizytę towarzyską – zasugerowała Effie.

Dan Kress poprawił wąski, popielaty krawat, który pasował do srebrzystych, ostrzyżonych na jeża włosów.

– Nikt nie pokonuje prawie pięciu tysięcy kilometrów w czterdzieści osiem godzin tylko dla odbycia wizyty towarzyskiej – powiedział. – Martwisz się o swoje udziały. Nie odbywa się takiej czterdziestoosmiodzinnej

podróży jedynie dla zabicia czasu...

– Dan – przerwała mu Effie – nie rozmawiasz ze mną zwyczajnie.

– Zwyczajnie? – Dan aż się cofnął na siedzeniu. – Co masz na myśli, mówiąc „zwyczajnie”? Jestem zupełnie zwyczajny.

– Nie, nie jesteś. Jesteś ciut za sprytny. W istocie jesteś wręcz makiaweliczny. Wcześniej nie próbowałeś czegokolwiek przede mną ukrywać, a teraz to robisz i pozwól, że ci to powiem, przebiegłość do ciebie nie pasuje.

– Przypuszczasz, że jestem przebiegły?

– Ja nie przypuszczam, że jesteś przebiegły; ja jestem tego pewna. Uważasz, że przyjechałam, ponieważ nagle martwię się o swoje udziały w tym banku, prawda? Cóż, to mi sugeruje, że dzieje się w nim coś, co powinno mnie niepokoić. Rozumiesz, co mam na myśli? Coś się dzieje, Dan, i ty wiesz, o co chodzi. To dlatego Robert przysłał cię po mnie na dworzec, czyż nie? Robert chce wiedzieć, co ja tu robię i ile wiem o jego przedsięwzięciach.

– Robert poprosił mnie tylko, abym zabrał cię z dworca i odwiózł do domu. Wiedział, że będziesz zmęczona.

Effie powoli pokręciła głową.

– Nie próbuj mnie nabierać, Dan. Nie jestem w odpowiednim nastroju.

– Przykro mi, ale możesz myśleć, co ci się podoba. Ja wiem tylko, że Robert zainwestował dwadzieścia cztery miliony brytyjskich i europejskich pieniędzy w akcje amerykańskie, korzystając z nowojorskiego Watson's Bank jako ze swojej amerykańskiej centrali i że wszyscy są z tego bardzo zadowoleni.

– Nie wszyscy.

– A kto nie jest?

– Po pierwsze ja. Chcę zobaczyć pełną listę waszych inwestycji, a także poznać terminy i warunki związane z ich zakupem.

– Mogę to załatwić – rzekł Dan Kress. – Wydam polecenie, aby wysłano ci tę listę po południu.

– Żadnych sztuczek – powiedziała Effie. – Wszystko dwukrotnie sprawdzę.

– Bardzo proszę. Wszystko jest zgodne z prawem i uczciwe.

Znaczna część brytyjskich i europejskich pieniędzy została wykorzystana na zakup akcji i obligacji na amerykańskim rynku papierów wartościowych i spodziewamy się, że za rok lub dwa będziemy mogli obwieścić naszym inwestorom, że wzbogacili się o duży zysk. Z kolei amerykańskie środki Robert zainwestował dla nas w jakąś brytyjską fabrykę odbiorników radiowych i włoskie przedsiębiorstwo wędliniarskie, nie mówiąc o zaporze na rzece Kabała. Jak dotąd wszystko jest dość skromne, ale działa dobrze i za kilka lat powinniśmy osiągnąć dodatkowy dochód.

Effie obdarzyła Dana niejasnym uśmiechem, a potem obróciła się, żeby



wyjrzeć przez okno.

– Nie wierzysz mi? – zapytał Dan. – Pokażę ci komplet ksiąg. Wszystko jest zgodne z prawem, legalne i dobrze rokuje.

– W porządku – odparła Effie. – Nie zamierzałam cię denerwować.

Mieszkanie Effie zostało dla niej wcześniej przygotowane przez dwie pokojówki z DuLac Agency, które zdjęły pokrowce z foteli i stołów, rozpałyły w kominku i pościeliły łóżka. Dougal załatwił także, aby jedna z pokojówek Marielli, czarnoskóra dziewczyna o imieniu Charlene, troszczyła się o Effie podczas jej pobytu w Nowym Jorku. Charlene więc powitała Effie w domu, wzięła od niej płaszcz i rozpakowała bagaże, gdy Effie brała prysznic.

O trzeciej po południu przyszedł posłaniec z obiecaną przez Dana Kressa listą inwestycji. Effie ubrana jedynie w piękny jedwabny szlafrok siedziała na otomanie przy oknie salonu, pałac tureckiego papierosa i pijąc kawę. Przejrzała uważnie całą listę, złotym ołówkiem od Cartiera zaznaczając te akcje, o których sądziła, iż prawdopodobnie są niepodważalne; krzyżykiem zaznaczając te, które uznała za podejrzone, a znak zapytania umieszczała obok tych, o których nigdy nie słyszała lub których wyniki były wątpliwe.

O czwartej zadzwonił telefon. Dougal wydawał się zdyszany, jakby przed chwilą uprawiał jakieś ćwiczenia albo seks.

– Dojechałeś w porządku? – zapytał.

– Punktualnie – odpowiedziała. – Było to trochę męczące, ale przynajmniej tu jestem. To połączenie kolejowo-lotnicze jest cudowne, jeśli trzeba szybko przejechać przez cały kraj i jeśli jest się obdarzonym kondycją olimpijskiego biegacza, nie mówiąc o niezniszczalnym żołądku. Gdybym jeszcze raz zjadła coś w którejś z dworcowych restauracji, zasłabłabym z powodu chronicznego braku *haute-cuisine*.

– Cieszę się, że dojechałeś – rzekł Dougal. – Czy u ciebie w domu wszystko w porządku? Czytałem kilka dość niemiłych gazetowych historii o tobie i Caldwellu.

– To nic – powiedziała Effie. – Oboje zbyt ciężko pracowaliśmy, budując ten bank. Caldwell miał ochotę na samotny weekend, to wszystko, a gazety źle to zrozumiały.

– Mam nadzieję, że nie zdenerwował się tym, iż musiałś tak szybko pojechać do Nowego Jorku – powiedział Dougal.

– Oczywiście, że nie – zapewniła go Effie.

Dougal zasłonił słuchawkę, ale Effie usłyszała, jak zwrócił się do kogoś, mówiąc:

– Zechciej zamknąć drzwi, dobrze? Muszę porozmawiać kilka minut przez telefon – a potem wrócił do Effie i powiedział: – Posłuchaj, od dwóch miesięcy podejrzewałem coś w sprawie tej umowy brokerskiej, ale do ostatniego tygodnia... no cóż... do przedostatniego tygodnia nic nie miałem. Żadnego faktycznego dowodu. Nadal nie mam twardego dowodu, ale na

liście inwestycji są jakieś dwie czy trzy anomalie i cała ta sprawa jakoś nieprzyjemnie pachnie.

– Sądziłam, że ty i Robert znów jesteście przyjaciółmi.

– Jesteśmy. Przypuszczam, że jesteśmy. W maju wrócił do Nowego Jorku i zatrzymał się w hotelu Savoy-Plaza. Cały czas się widujemy. Przyjeżdża na Long Island niemal na każdy weekend i Mariella mówi, że naprawdę bardzo go lubi. Ja jednak wciąż jestem bankierem, Effie, i bez względu na bliskość, jaka łączy mnie teraz z Robertem, czuję też, że dzieje się coś złego.

– Czy jest coś szczególnego na tej liście inwestycji?

– Masz ją? – zapytał Dougal.

– Oczywiście, właśnie trzymam ją na kolanach.

– Przejrzałaś ją?

– Pobieźnie – odparła Effie.

– Cóż, jeśli przejrzałaś tę listę tylko pobieżnie, to nie dostrzegłaś tego, czego zrozumienie zajęło mi kilka miesięcy. Ta lista pięćdziesięciu jeden różnych przedsiębiorstw nie przedstawia tego, co widać na pierwszy rzut oka. Ona jedynie wydaje się prezentować szeroko zakrojoną inwestycję w różnorodne przedsiębiorstwa z kluczowych branż przemysłu amerykańskiego. Osprey Automobiles, Duncanon Aviation, Wildbur & Schneider Meat-Packing to dochodowe firmy z wyrobionymi markami na rynku, wysoko notowane na giełdzie i ciągle tam zwyżkujące. Przez czysty przypadek pewnego dnia odkryłem, że firmę Osprey Automobiles rok temu przejął jakiś holding ze stanu Delaware o nazwie Automotive Interests Inc., który sam jest częścią Poind Corporation. Kiedy zaś sprawdziłem Duncanon Aviation, odkryłem, że również to przedsiębiorstwo mniej więcej przed rokiem zostało przejęte i refinansowane przez Poind Corporation.

– Nie zapytałeś o to Dana Kressa? – próbowała dowiedzieć się Effie. – Z pewnością on był odpowiedzialny za te inwestycje.

– Tak, był i jest za nie odpowiedzialny, ale jeszcze z nim nie rozmawiałem. Przede wszystkim chciałem dokładnie się dowiedzieć, co się dzieje. Mam przed sobą dużo sprawdzania, chociaż już wiem, że co najmniej połowa z tych pięćdziesięciu jeden przedsiębiorstw, w które europejscy klienci Roberta zainwestowali dwadzieścia cztery miliony funtów, ostatecznie znalazła się w posiadaniu tylko czterech holdingów. Przynajmniej ja sądzę, że czterech, ale może ich być mniej. Sposób, w jaki te przedsiębiorstwa są połączone, jest arcydziełem korporacyjnego szwindla.

– Rozmawiałeś z Robertem? Przypuszczam, że nie.

– Nie, jeszcze nie. Nie mam żadnego dowodu i nie chcę zdenerwować Roberta, dopóki go nie zdobędę. Rzecz w tym, że nowojorski Watson's Bank poręczył pożyczkę w wysokości dwudziestu czterech milionów funtów maklerom z Wall Street w imieniu edynburskiego Watson's Bank na mocy

pisma Roberta. Jeśli te akcje zaczną zniżkować, a brokerzy zapragną większego zysku, będę zmuszony im go zapewnić niezależnie od tego, czy Robert będzie honorować swój list.

– Musi honorować to pismo.

– Mógłby nie spłacać wystarczająco długo, żeby mnie zrujnować. Wystarczyłaby tylko niewielka pogłoska, odejście od nas kilku poważnych depozytariuszy, a nowojorski Watson's Bank stanąłby w obliczu upadku. Jakąś znaczną nerwowość czuje się teraz w powietrzu.

Effie wypila łyk kawy.

– Zarząd Rezerwy Federalnej pomógłby ci, prawda? – zapytała.

– Po tych nielegalnych pożyczkach, jakich udzielaliśmy brokerom? Nie jestem pewien.

Effie milczała przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Za oknem po Fifth Avenue przejechał wóz strażacki z syreną dudniącą po rozgrzanych ulicach.

– Nie mam żadnego faktycznego dowodu, że Robert i Dan planują coś kryminalnego, oszukańczego czy nieetycznego – mówił dalej Dougal. – Jednak to całe przedsięwzięcie holdingowo-spółkowe jest dla mnie zbyt podejrzane, bym mógł przejść koło niego obojętnie.

– Jak szybko możesz zdobyć jakiś konkretny dowód? Jakies dokumenty... coś, co będziesz mógł podsunąć Robertowi pod nos i postawić zarzuty?

– Nie wiem. Mam dwóch młodych urzędników, którzy nad tym pracują: Koogera i Willisa. To gorliwi młodzieńcy, ale wszystko jest niesłychanie misternie zrobione. Nie wystarczy też udowodnić, że połowa z tych pięćdziesięciu jeden przedsiębiorstw jest w posiadaniu czterech korporacji holdingowych. Chociaż jest to podejrzane, jednak w istocie nie jest nielegalne. Dopóki te przedsiębiorstwa są dochodowe i wysoko notowane na giełdzie, nie możemy zakładać, że ktoś zamierza dokonać oszustwa lub defraudacji. Przyjrzałem się prospektom, które maklerzy przygotowali dla inwestorów Roberta i nie ma w nich nic, co byłoby mylące lub nieprecyzyjne. Mówiły tylko, że to są „ekscytujące, nastawione na przyszłość możliwości inwestycyjne”, że „z pakietu amerykańskich akcji każdy Europejczyk może być dumny” i że „stary świat pokłada wiarę w nowy”. Takie rzeczy.

– A może źle zrozumiałeś, o co chodzi? – zapytała Effie. – Może widzisz jakieś straszidła pod łóżkiem czy coś takiego? Wiesz, że ostatnio byłeś chory.

– Jedyne straszidłem pod moim łóżkiem jest Robert – rzekł kwaśno Dougal. – Nie znosił mnie przez całe życie, odkąd byliśmy chłopcami. Połamał mi latawiec, gdy poszliśmy na Colton Hill, żeby stamtąd puszczać latawce, pamiętasz? Gdy miałem cztery lata, podstępem zabrał mi kieszon-

kowe, udając, że ma prawdziwą magiczną fasolkę z bajki o Jasiu i trzech czaro dziejskich fasolkach. Nadal nie doszedłem do tego, co się stało w Londynie, kiedy musiałem wyjechać z Henrym Baeklanderem, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby Robert maczał palce w tamtej sprawie. Powinienem pluć sobie w brodę za to, iż zaprosiłem go do działania za pośrednictwem nowojorskiego Watson's Bank, ale rzecz w tym, że jest moim starszym bratem i z jakiegoś niedorzecznego powodu zawsze myślę skrycie, że powinienem go podziwiać i że powinniśmy trzymać się razem. Głupie jest w tym wszystkim to, że ja naprawdę go kocham.

– Chyba możemy się spotkać jutro rano – zasugerowała Effie.

– Nie w biurze – odparł Dougal. – Umówmy się na kawę w „Curb House”. Robert przychodzi ostatnio do biura niemal codziennie i przechadza się po banku, jakby był jego właścicielem. Mój dom na Long Island także traktuje jak swój.

Mariellę również, pomyślała Effie z gorzkim współczuciem.

– Jest jedna rzecz, która daje mi pewność, że mam rację – dodał Dougal.

– Nawet jeśli nie udowodnię, co się dzieje, zawsze będę przekonany, że miałem rację. Robert nie zdołał się oprzeć pewnemu paskudnemu żarcikowi, gdy przygotował ten plan. Poin Corporation... czy wiesz, co to naprawdę oznacza? „Poin” to szkockie słowo oznaczające zatrzymanie czyjejś własności dla spłacenia własnych długów.

Effie odstawiła filiżankę

– Zatem to właśnie znaczy u Roberta „w porządku” – powiedziała szeptem.

## 37

Tego wieczoru Effie zadzwoniła do domu. Telefon odebrała Kitty i chociaż jej głos trzeszczał i był ledwie słyszalny, zdołała powiedzieć Effie, że Caldwell wrócił tylko raz, żeby zabrać walizkę i kilka czystych koszul, a potem wyjechał, nie zostawiając ani żadnej wiadomości, ani numeru telefonu. Effie wsłuchiwała się, jak drut telefoniczny śpiewa i przenosi echo przez całą Amerykę, od ciemności nowojorskiego wieczoru do słonecznego kalifornijskiego popołudnia i pierwszy raz od chwili, gdy usłyszała, że Karl von Ahlbeck został zabity, poczuła się beznadziejnie.

– Czy mam przekazać panu Caldwellowi jakąś wiadomość, jeśli wróci? – zapytała Kitty.

– Powiedz tylko, że telefonowałam – odparła Effie.

– Nie słyszę pani, panno Effie.

– To nieważne.

Później zadzwonił Robert, witając ją ponownie w Nowym Jorku. W tle

rozlegał się hałas, a jego głos brzmiał tak, jakby telefonował z jakiejś restauracji.

- Czy mogę zabrać cię jutro na kolację? – zapytał.
- Oczywiście, wpadnij po mnie o siódmej.
- Wiesz, że Alisdair znów przybędzie w przyszłym miesiącu na pokładzie „Mauretanii”?
- Z góry się na to cieszę.
- Wiesz, on wciąż o tobie mówi. Ten chłopak cię podziwia. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni. Dokonujesz cudów z tym kalifornijskim bankiem.
- Słyszę, że ty sam czynisz cuda tutaj.
- Och, nie. Jestem teraz tylko figurantem. W niczym nie uczestniczę. Mam już pięćdziesiąt siedem lat.
- Czujesz się stary?
- Za stary, żeby biegać za młodymi dziewczynami dookoła łóżka.
- A co z mężatkami? Rozumiem, że nie biegają zbyt szybko.

Nastąpiła przerwa. W tle Effie usłyszała śmiejącą się kobietę i dźwięki fortepianu.

- Cóż, do zobaczenia jutro.
- Robercie?
- O co chodzi?
- Chyba nie jesteś obrażony, prawda? Nie odkładasz słuchawki naburmuszony?
- Obrażony? – zapytał Robert bez emocji. – Dlaczego miałbym się obrazić?
- Bez powodu. Nie sądzę, żebym zdołała cię obrazić, gdybym próbowała.

Gdy Robert odłożył słuchawkę, Effie zadzwoniła do kilku nowojorskich przyjaciół i umówiła się z nimi na obiady i spotkania przy kawie na resztę tygodnia. O ósmej Charlene podała Effie w jadalni lekką kolację złożoną z łososia, jajecznicy, kukurydzianego chleba, świeżej zielonej sałaty i pół butelki szampana. Effie poszła spać o dziesiątej i czytała „New Yorkera” oraz „Timesa”, aż poczuła się zmęczona. Zasypiała i budziła się przez kilka godzin. O wpół do trzeciej nieprzyzwyczajona do nowojorskiej duchoty zdjęła jedwabną nocną koszulę i leżała nago na prześcieradle, paląc papierosa.

Zastanawiała się, po co żyje. Czy tylko dla pieniędzy. Wiedziała, że nie. Jednak jeśli nie dla pieniędzy, to co robi w Nowym Jorku, zazdrośnie strzegąc swoich udziałów w Watson's Bank, skoro powinna być w domu w Kalifornii, zazdrośnie strzegąc własnego małżeństwa? Może najprostszą odpowiedzią było to, iż niemal poczuła taką ulgę, że Caldwell ją opuścił, jak Caldwell, który musiał odejść. Może ich szczęśliwe, dobrze prosperujące, kalifornijskie małżeństwo nie było niczym więcej niż tylko radosnym

udawaniem.

Być może, gdy umarł Karl, jej zdolność zarliwego kochania mężczyzny umarła wraz z nim. Może w ogóle nigdy nie kochała namiętnie żadnego mężczyzny.

Przygnębiona leżała jeszcze prawie godzinę. Potem, wciąż naga, podeszła do okna i patrzyła na poranne chodniki, zaparkowane samochody i ciemne rezydencje milionerów. Zaczęła czuć, że zbliża się do jakiegoś życiowego kryzysu, że zmierza do momentu, gdy będzie musiała stawić czoło swoim największym słabościom i albo się im podda, albo je pokona. Czowała, że gdzieś w przyszłości jest jakaś lepsza Effie, jakaś silniejsza i bardziej zrównoważona kobieta, umiejąca się pogodzić nie tylko z własnymi pragnieniami, ale również ze społeczeństwem, które zwykle traktowało ją albo podejrzliwie, albo pogardliwie lub też jako bohaterkę skandalu seksualnego. Przetrawiała we własnym wnętrzu, ponieważ żyła w sobie, ale wszystkie jej miłości i przyjaźnie ucierpiały. Myślała o przydomku, jakim zawsze obdarzały ją brukowce; „Bankiereczka”, i uśmiechnęła się do siebie. Trudno byłoby znaleźć „bankiereczkę” w tej zmęczonej, urodziwej czterdziestoczteroletniej kobiecie. Była prawdziwym bankierem obdarzonym całą przenikliwością, bystrością i finansowym wyczuciem kogoś, kto rozumie pieniądze emocjonalnie. Przypominała skrzyпка wirtuoza, który jest zarówno panem, jak i niewolnikiem muzyki: on ją tworzy i kontroluje do najdrobniejszego muśnięcia, a jednak nie może bez niej żyć.

Skrzyżowała ręce na nagich piersiach. W dali, od Atlantyku, niebo zaczynało jaśnieć. Obserwowała, jak ostrość stojących przy Fifth Avenue domów i przecznic zmienia się stopniowo z nieprzeniknionego cienia w ziarnistą fotograficzną szarość. Po chodnikach szybko zaczęli chodzić ludzie, poszły też w ruch samochody osobowe i ciężarówki. Słońce wstało i odbijało się od okien budynku stojącego naprzeciwko.

O szóstej wróciła do łóżka i spała jeszcze półtorej godziny. O ósmej zadzwoniła po Charlene i poprosiła o filiżankę kawy i grzanekę.

- Ktoś tutaj dzwonił tej nocy, pani Brooks – powiedziała Charlene.
- Dzwonił? Do drzwi?
- Ktoś telefonował. Chyba z daleka. Zapytał, czy jest pani Brooks. A kiedy odpowiedziałam, że tak, odłożył słuchawkę.
- Nie przedstawił się?
- Nie, madam.
- Nie zostawił jakiejś wiadomości?
- Nie, madam.

Effie usiadła na łóżku, marszcząc brwi. Wiedziała, że to na pewno był Caldwell. Pomyślała, że zatelefonuje do niego, ale potem zdecydowała, że tego nie robi. To nie była przewrotność ani brak wielkoduszności. Rzecz w tym, że bała się zniechęcić go tym, że dzwoni zbyt ochoczo. Na Caldwellu,

jak na większości finansistów niezależnie od ich wieku, o wiele większe wrażenie robił właściwy rytuał niż szybkość. Znacznie większą szansę na udane pojednanie będzie miała, dając mu czas do namysłu, a nie naciskając. To przecież jej pewność siebie go zniechęciła. Jak większość mężczyzn Caldwell oczekiwał, że żona będzie skromna, posłuszna i elegancka. Może najpierw pociągające wydały mu się jej niekonwencjonalne poglądy na miejsce i zadania kobiety. Teraz jednak, gdy się pobrali, czy naprawdę chciał, by kierowała powstającym, niezależnym bankiem? Czy naprawdę chciał, żeby publicznie paliła papierosy, prowadziła własny samochód i traktowała jego kontakty biznesowe, jakby byli równi?

Nie dopuściła do siebie myśli, że być może odkłada telefon do Caldwell, ponieważ ochrona własnych udziałów w nowojorskim Watson's Bank była dla niej teraz sprawą znacznie pilniejszą.

Na spotkanie z Dougalem w „Curb House” spóźniła się dziesięć minut, ale on czekał, rozmawiając z pewnym hurtownikiem, który nosił nazwisko Stravinsky. Stravinsky wstał, gdy Effie podeszła, uściśnął jej dłoń i się pożegnał.

– Życzę szczęścia w Kalifornii – zawołał od drzwi.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał Dougal. Wydawał się szczuplejszy niż przed rokiem, mniej nalany, ale choroba, marszcząc jego dłonie i szyję, sprawiła, że dramatycznie się postarzał. Wciąż zdawał się z trudem poruszać prawym ramieniem.

– Chętnie napiję się herbaty – odparła Effie. – Jak się miewasz?

– Na tyle dobrze, na ile to możliwe w moim stanie.

– Co mówią lekarze?

– Niewiele. Albo są ostrożnie optymistyczni, albo obawiają się powiedzieć mi prawdę.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, co się stało.

Dougal się skrzywił.

– Nie sędzę też, że kiedykolwiek to zrobię.

Effie rozluźniła swój jedwabny szalik.

– Jesteś równie uparty jak ojciec.

– Ojciec nie był uparty. Ojciec się bał. Łatwo pomylić strach z oślim uporem. Wiesz, kiedy jest się naprawdę przerażonym, niewiele więcej można zrobić dla ocalenia własnej godności niż powiedzieć „nie”.

– Co cię tak przerażało? – zapytała Effie. – Jesteś bogaty, szanowany, ożeniłeś się z piękną kobietą.

– Cóż... – ze smutkiem rzekł Dougal. – Tak, to wszystko prawda. Brzmi jak bajkowe życie, czyż nie? Dopóki nie spojrzysz na nie z innej perspektywy.

Effie uniosła dłoń i bardzo delikatnie pogłaskała Dougala po policzku. Próbował się uśmiechnąć, ale widziała, jak trudno przychodzi mu zrobienie

choćby dobrego wrażenia.

– Nie chodzi tylko o Roberta, prawda? – pytała. – Wydarzyło się coś złego.

– Coś złego dzieje się od lat.

– Masz na myśli siebie i Mariellę?

Dougal skinął głową.

– Nie rozumiem – powiedziała Effie. – Najwyraźniej nie znosisz Marielli, a jednak wydajesz się nie móc od niej odejść. Czy to ma coś wspólnego z twoją chorobą? O co chodzi? Czy ktoś wie? A co z tą dziewczyną, z którą się spotykałeś? Jak ona miała na imię...

– May – rzekł Dougal posępnie. – Tak, ona wiedziała.

– Dobrze, skoro May wiedziała, możesz powiedzieć mnie – ostro powiedziała Effie. – Psiakrew, Dougal, jestem twoją siostrą. Przyjechałam tutaj, żeby ci pomóc i zamierzam to zrobić. Przynajmniej tyle możesz zrobić: pozwolić, abym się dowiedziała, o co u licha chodzi.

Podeszła kelnerka.

– Dzień dobry, co mam podać? – spytała.

– Szklankę wody – odpowiedziała Effie.

– Tylko? Może coś do jedzenia? Mamy świeże angielskie muffinki.

– Zechce pani przynieść tę wodę? – niecierpliwie zapytał Dougal.

– No dalej, Dougal, mów – powiedziała Effie, gdy kelnerka odeszła. – Musisz. Zawsze zapowiadałeś się najlepiej z nas trojga. Najbardziej optymistyczny, najbardziej wysportowany, najbardziej urodziwy. Co się z tobą stało?

Dougal długo milczał, ale Effie nie przerwała jego milczenia. Kelnerka przyniosła jej wodę. Effie wypła pół szklanki, zanim otworzyła kopertową torebkę, wyjęła z niej małą płaską butelkę szkockiej whisky „McCullum's Perfection” i dopełniła szklankę aż do krawędzi i zamieszała w niej automatycznym złotym ołówkiem.

W końcu Dougal się odezwał.

– Z pewnością zauważyłaś, że Mariella i ja nie mamy dzieci.

Effie nie powiedziała ani słowa, czekając, że będzie mówił dalej, on natomiast uniósł jedną rękę z rozłożonymi palcami w geście żalu i pogodzenia się z tym faktem.

– Najpierw myślałem, że to wina Marielli; w istocie byłem o tym przekonany. Wysłałem ją do ośmiu różnych lekarzy, łącznie z doktorem Nowotnym. Wszyscy powiedzieli, że ona jest w porządku. Jest płodna, stwierdzili, i może urodzić mi dzieci.

– Zatem to ty.

– Pewien lekarz w niecałą godzinę wyjaśnił mi powód. Pamiętasz, że jako piętnastolatek zachorowałem na świnkę? Cóż, najwyraźniej to ona spowodowała częściową atrofię jąder. Nie byłem kompletnie bezpłodny, w



ogóle niewiele osób cierpi na bezpłodność po przebytej śwince, niezależnie od tego co mówią popularne opowieści. Ja jednak byłem na tyle bezpłodny, by nie móc obdarzyć dzieckiem Marielli.

Goście w restauracyjnym boksie za plecami Effie rozmawiali donośnie.

– Bank Goldman-Sachs pokazuje swoje zaufanie do obecnego poziomu cen, jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz? Rynek akcji jest stabilny. Nie chcesz akcji Blue Ridge? To ich nie kupuj, ale nie przychodź do mnie z płaczem za rok, kiedy zrozumiesz, co straciłeś...

Dougal mówił dalej.

– Marielli bardzo trudno było to zaakceptować. No wiesz, że nie możemy mieć dzieci. Czyli, że nie będziemy ich mieć. Znasz ją. Ona pragnie dzieci. I właśnie dlatego spotykałem się z May. May nie zależało na dzieciach. Ona chciała tylko dobrze się bawić. Tak mi powiedziała. Jednak w końcu zakochała się we mnie tak, że spodziewała się, iż odejdę od Marielli.

– Właśnie wtedy, gdy zachorowałeś?

– Ja... – Dougal przerwał, nie mogąc skłonić ust, by powiedziały cokolwiek więcej.

– Dougal, musisz mi powiedzieć – rzekła szybko Effie.

On jednak nie mógł zrobić nic, jak tylko wpatrywać się w nią, próbując wyrazić wzrokiem wszystko, co czuł. Wszystko, dobry Boże, oprócz wyznania tego na głos. Potem odpowiedział pospiesznie.

– Okaleczyłem się. Po tym jak May mnie porzuciła. A ściślej: po tym, jak ją spotkałem w domu towarowym. Ja... ja... ja się okaleczyłem. Pewnego razu obudziłem się w środku nocy, nawet nie wiem dlaczego. Czułem się tak piekielnie beznadziejny. Myślałem: jaki ja właściwie naprawdę jestem? Nie jestem dobry dla May, nie jestem dobry dla Marielli. Nie jestem dobry dla nikogo. A wszystko przez to... przez to coś... co nie funkcjonuje jak należy.

– Okaleczyłeś się? – zapytała Effie z rosnącą zgrozą. – Co masz na myśli, mówiąc, że się okaleczyłeś?

Dougal wyprostował się na krześle tak mocno, jak mógł. Jego twarz przypominała zmięty, ciemny papier pakowy. Za dużo słońca Florydy, za dużo nowojorskiego bólu. Za duże pieniądze, za duża odpowiedzialność, zbyt duża udręka, zbyt głęboka rozpacz. Mężczyzna, który pewnej nocy budzi się w wartej milion dolarów rezydencji na Long Island ze świadomością, że został oszukany przez los. Mężczyzna, któremu dane było wszystko – uroda, urok, zręczność i mnóstwo pieniędzy – ale którego zawiodło jego własne ciało. Urywającymi zdaniami i słowami, tak obrazowymi jak opis łazienkowej umywalki pełnej rozbitego szkła, Dougal opisał Effie, jak poszedł tamtej nocy do swojej garderoby, wyjął brzytwę z górnej szuflady i ostrzył ją niemal dziesięć minut na skórzanym pasie. Potem ruchami, które były wystarczająco szybkie i gwałtowne, by utrzymać siłę jego desperacji, otworzył rozporek piżamy, położył penis na bibule z papeterii i przeciął niemal na

pół. Krew się polalała jak z przewróconej butelki czerwonego atramentu. Nie zdając sobie z tego sprawy, krzyczał głośno. („Nigdy nie słyszałem swego krzyku. Do tamtego dnia. Nie pamiętam siebie krzyczącego. Myślałem, że jestem cichy i opanowany?”) Gdyby jednak nie krzyczał, prawdopodobnie by umarł. Mariella, która znalazła go krwawiącego na podłodze, natychmiast wezwała ambulans i lekarza. Czekaając na ich przyjazd, podwiązała uszkodzony penis opaską uciskową zrobioną z jedwabnej chusteczki i ołówka z cedrowego drewna. Effie była wstrząśnięta.

– Nie wiedziałam, że to się stało. Nie miałam pojęcia – powiedziała.

– Nikomu nie powiedziano. Lekarzom zapłacono za milczenie.

– Ale Dougal... – wyszeptała Effie.

– Wiem – przerwał. – Trudno ci zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. Dla mnie zrozumienie tego jest jeszcze trudniejsze. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem i wciąż nie wiem, czy tego żałuję. Przynajmniej zwolniło mnie to z obowiązku podejmowania prób uczynienia Marielli brzemienią. Żałuję tylko, że nie było łatwiejszego sposobu, a jeszcze lepiej, łatwiejszego życia.

Effie sięgnęła po chusteczkę i otarła łzy z oczu.

– Och, Dougal – powiedziała – tak mi przykro. Gdybyś tylko powiedział mi wcześniej...

– Nie sądzę, że czułbym się na siłach. Po tym jak lekarze mnie pozszywali, złapałem jakąś infekcję, zapalenie wątroby. Dlatego czułem się tak podle. Cała ta cholerna sprawa jest okropna od początku do końca.

– Właśnie dlatego zwróciłeś się ku Robertowi?

– Częściowo – odparł Dougal. – Przynajmniej on może uszczęśliwić Mariellę na pewien czas.

– Więc ty w i e s z ?

Dougal skinął głową.

– Zakładam, że to ja załatwiłem to w pewien sposób, chociaż Robert prawdopodobnie nawet teraz nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie mówię, że to było łatwe. Jestem zazdrosny, wściekły i chory od tego. Jednak nie jestem głupcem, Effie. Jeśli Mariella znajduje z Robertem jakąś odmianę, ekscytację i szczęście; i jeśli ja mogę robić z nim interesy, to wszystko jest w porządku. Zrozumiałem, już przed laty, że nigdy nie zdołam go pokonać, więc się z tym pogodziłem. Pozwalam mu odnieść zwycięstwo. Ma moją żonę, korzysta z moich amerykańskich możliwości.

– Ale zamierzasz pozwolić, żeby cię zrujnował, prawda?

Dougal wzruszył ramionami

– Jeszcze niedawno może nie miałbym nic przeciwko temu. Teraz jednak czuję się trochę lepiej. Lekarze mówią, że pokonam problemy nerwowe, które mam.

– Masz też syna.

Dougal oglądał rachunek i sięgał do wewnętrznej kieszeni po portfel.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.
- Masz syna – powiedziała.

## 38

Tego samego popołudnia Effie spotkała się z Jimmym Byrdem, dawnym partnerem Caldwell'a ze spółki maklerskiej „Brooks, Stein, Caldwell”. Jimmy Byrd był dwa lata młodszy od Caldwell'a, ale w pewnym sensie znacznie dojrzałszy. Był dokładny i drobiazgowy, tam gdzie Caldwell kierował się impulsem.

Działał ostrożnie, podczas gdy Caldwell był pełen inwencji. Nosił garnitury po sto dwadzieścia dolarów i krawaty, które wyglądały tak, jakby komponowały je florystyki. Miał idealnie okrągłą głowę i lśniąco ciemne włosy. Jego rysy można by malować na gałkach poręczy eleganckich klatek schodowych.

Wyszli z biura mieszczącego się na Canal Street. Był duszny, hałaśliwy dzień. Spacerem doszli aż do Bowling Greek i usiedli na jednej z ławek z widokiem na pomnik Abrahama de Peystera, mając dookoła wznoszące się ku niebu budynki nowojorskiego kapitalizmu, a za sobą Broadway. Szpetne gołębie z Wall Street kroczyły dumnie wokół ich stóp z nadzieją na okruchy. Gdzieś otwarto okno i słyszeli głos Rudy'ego Valle z włączonego radia.

– To właściwie publiczne miejsce, jak na naszą konferencję, nie sądzisz? – zapytał Jimmy Byrd. Miał nosowy akcent absolwentów renomowanego Yale University i pocierał kark w pewien specyficzny sposób, gdy mówił coś szczególnie wnikliwego.

– Głośno tutaj – odparła Effie. – Na tyle głośno, że nikt oprócz nas nie usłyszy, o czym rozmawiamy.

Jimmy Byrd wzruszył ramiona,

– Właściwie nie jestem pewien, czego ode mnie oczekujesz. Jeśli twój brat Robert użył zdrowego rozsądku przy aranżowaniu tego porozumienia, można być pewnym, że będzie ono całkowicie nie do rozwikłania. Słynie z tego nawet na Wall Street. Spójrz też na funkcjonalne struktury, które się łączą w tych dniach: spółka X częściowo należy do spółki Y, która z kolei w części jest własnością spółki Z, a wszystkie trzy stanowią częściową własność spółki W. Zresztą hermetyczność tej struktury niekoniecznie czyni ją oszukańczą. Może głupio robią ci wszyscy faceci z Europy, inwestując swoje nielegalnie zdobyte zyski poprzez Watson's Bank, ale nie ma żadnych przepisów prawnych, które mówią, że nie można obracać własnymi pieniędzmi tak głupio, jak się chce.

– W najmniejszym stopniu nie martwię się o europejskich inwestorów Roberta – ostro odpowiedziała Effie. – W istocie zaczynam sądzić, że oni

może nawet nie istnieją. Niepokoi mnie jedynie fakt, że Dan Kress poprzez nowojorski Watson's Bank uzgodnił, że pięćdziesiąt jeden amerykańskich korporacji pożycza dwadzieścia cztery miliony funtów dziewięciu różnym brokerom, żeby odsprzedać akcje z dwudziestoprocentowym zyskiem edynburskiemu Watson's Bank. Teraz, przynaj, Robert potwierdza umowę kredytową zagranicznym rachunkiem na dwadzieścia cztery miliony dolarów, ale to nowojorski bank wciąż ponosi odpowiedzialność na miejscu. Wszystko będzie dobrze, jeśli rynek nadal będzie zwyżkować. Wiem, wiem, wszyscy myślą, że rynek akcji będzie zawsze piął się w górę. Założmy jednak, że spadnie, tak jak stało się to w lutym i w czerwcu? Brokerzy natychmiast żądają większej marży zysku, korporacje niezwłocznie zapragną zwrotu kredytów dla zachowania własnej wypłacalności, a Dougal stanie w obliczu odpowiedzialności wzięcia kredytów na siebie za dodatkowe zabezpieczenie, które będzie spadać z minuty na minutę. Jak myślisz, Jimmy, dlaczego ja wycofałam się z nowojorskiej bankowości? Ta cała błyszcząca piramida zmierza do upadku pod własnym ciężarem i pociągnie za sobą nowojorski Watson's Bank.

Jimmy Byrd wydał policzki.

– Wiem, że to dość podejrzana struktura – powiedział – musisz jednak pamiętać, że w tych czasach niemal wszystko jest możliwe. Zwyżkujący rynek powoduje, zechciej mi wybaczyć to określenie, masę bzdur. Wiedziałaś, że Gerrard's Bank stworzył fundusz inwestycyjny wyłącznie w celu pozbycia się siedemnastu milionów dolarów wyczerpanej miedzi i papierów wartościowych, których w żaden inny sposób nie mógłby prze rzucić na niczego niepodejrzewającego uczestnika rynku?

– Masz na myśli spółkę Columbia Cooper?

– Właśnie, a także Illinois Electric.

– Dougal dowiedział się bardzo wiele o tej strukturze, która sprawia wrażenie wyjątkowo podejrzanej – powiedziała Effie.

– Nie ma żadnego dowodu i bardzo trudno mu jakiś znaleźć, ale wydaje się, że te pięćdziesiąt jeden korporacji jest całkowicie lub częściowo kontrolowanych przez trzy czy cztery spółki holdingowe.

– Nic niezwykłego – rzekł Jimmy, wyjmując oprawny w skórę notesik i srebrny ołówek. – Możesz mi podać jakieś nazwy?

– Poind Corporation, Balmoral Trust, Unidexter Company.

– Znam Unidexter. Są bardzo wiarygodni. Nie słyszałem jednak o spółce Poind.

– To stare szkockie słowo oznaczające „konfiskować lub zatrzymywać”. Dougal sądzi, że jego starszy brat robi mu jakiś niesmaczny dowcip.

Jimmy Byrd schował notesik i odchrząknął.

– Zdajesz sobie sprawę, co cię czeka, jeśli te wszystkie korporacje są powiązane. Wystarczy, że ktoś będzie musiał zacząć sprzedawać brakujące

akcje w tych trzech czy czterech holdingach, a pięćdziesiąt jeden spółek poszłoby na dno w czasie jednej porannej sesji.

– Skoro są kontrolowane i finansowane przez Roberta, to jak mógłby sobie pozwolić na coś takiego?

– To bardzo łatwe. Cóż, może nie łatwe, ale i nie trudne. Prawdopodobnie zdobył te spółki, najpierw odkrywając gałęzie przemysłu, których notowania giełdowe były rażąco zawyżone i kupując minimalny pakiet ogólnodostępnych akcji z zyskiem przez anonimowego brokera. Potem jedyne co musiał zrobić, to udać się do rady nadzorczej, ujawnić się i zagrozić, że pozbędzie się tego pakietu po najniższej cenie, jaką można sobie wyobrazić, nadając całej sprawie maksymalny rozgłos. Jego nie kosztowałyby to ani centa. Idźmy jednak dalej; gdybyś była leciwą damą z Ohio i dowiedziałybyś się, że Robert Watson sprzedaje te same akcje, w których ulokowałaś wszystkie oszczędności swojego życia, co wtedy byś zrobiła? Szybko byś je sprzedała. Zatem Robert prawdopodobnie przekonał te przedsiębiorstwa do znacznego inwestowania w jego spółki holdingowe... jedynie pod pretekstem poprawy mobilności ich kapitału albo jakiejś innej bajeczki, jaką zdołał wymyślić. I oto proszę: właściwie niemal bez początkowego własnego kapitału, ogromne udziały w przeszło pięćdziesięciu amerykańskich spółkach; udziały oparte nie na solidnym inwestowaniu, ale po prostu na tym, że ceny prawie wszystkich akcji są szalenie zawyżone.

– Wciąż nie rozumiem, co chciał przez to osiągnąć oprócz upokorzenia własnego brata.

– Uzyskał bardzo wiele. Jak widzisz, on nad wszystkim panuje. Może pociągać sznurki i robić, co mu się podoba. Może sprzedawać akcje własnej spółki holdingowej; może przewrócić całą piramidę, którą stworzył, i w ciągu kilku godzin zrujnować nowojorski Watson's Bank. Dougal ma rację, niepokojąc się, że Robert może nie honorować jego zagranicznego rachunku tak długo, aż będzie za późno: nawet jeśli Robert byłby na tyle uprzejmy, by przysłać z Europy cały statek złotego kruszcu, to dwudziestu czterech milionów dolarów i tak nie starczyłoby na uratowanie banku, gdyby nastąpił rzeczywisty run na depozyty. Pamiętaj: nikt nie będzie trzymać pieniędzy w żadnym banku, jeśli usłyszy choćby najcichszą pogłoskę, że zbliża się krach. W każdym razie Robert prawdopodobnie z powodzeniem mógłby dowieść, że nie jest zobligowany do honorowania tego rachunku, ponieważ nowojorski Watson's Bank tak wyraźnie źle zarządzał pieniędzmi klientów.

– Ja chyba wiem, czego szuka – powiedziała Effie. – Oprócz zysku.

– Dla mnie to, czego pragnie, jest oczywiste, zakładając, że to o czym mówiłem, jest prawdą – przerwał jej Jimmy Byrd.

– Chce przejąć nowojorski Watson's Bank jako swój amerykański rynek zbytu, nie płacąc za niego zbyt wiele. Kiedy już to zrobi, może zacząć skupować akcje, które sprzedał, odbudować zaufa nie do swoich pięćdziesięciu

jeden amerykańskich spółek i od zyskać to, czego rozmyślnie się pozbył. To tylko przypuszczenie, ale z tego co opowiedział mi o nim Caldwell...

– To brzmi bardzo prawdopodobnie – przyznała Effie – ale co możemy zrobić?

– Po pierwsze: potrzebujemy kilku dowodów – odparł Jim my Byrd. – Potem usiądziemy i zobaczymy, czy istnieje jakiś sposób, którego możemy użyć jako środka nacisku przeciwko Robertowi. Tutaj jednak stąpamy po kruchym lodzie. Robert ma wszystkie atuty w rękę, lecz wystarczy, byśmy dali mu do zrozumienia, że go podejrzewamy, a jesteśmy skończeni. Może sięgnąć po telefon i zniweczyć wszystko jednym słowem. Nie mogę ci nawet poradzić, żebyś zlikwidowała własne akcje w Watson's Bank w Nowym Jorku... chyba że chcesz zobaczyć wielki run na giełdę. Zobacz, co się stało, gdy w czerwcu upadł Bank of Italy: tysiące graczy giełdowych zostało zrujnowanych w ciągu jednej nocy.

– Gdybyś tylko mógł mi dostarczyć nieco więcej informacji o Poind Corporation – powiedziała Effie.

– Postaram się, ale nie mogę niczego obiecać – odparł Jimmy Byrd.

– Wiesz, że dobrze ci za to zapłacę.

– Jasne. Zrozumiałe. Posłuchaj, może napijesz się kawy?

– Nie mam czasu – powiedziała Effie – Muszę się zająć rodziną.

## 39

W drodze powrotnej, siedząc w swojej tapicerowanej pluszem limuzynie pierce-arrow z zaciągniętymi zasłonkami, znów myślała o Dougalu. Wcale nie była pewna, co Dougal czuł w związku z jej nagłym ujawnieniem, że Alisdair nie jest synem Roberta, tylko jego. Tyle głębokiego bólu sprawiła mu konieczność opowiedzenia jej o swojej próbie kastracji, że wiadomość o Alisdairze wydawała się nie wzbudzić w nim niczego oprócz konsternacji. Wymruczał pod nosem jakieś osobliwe przeprosiny, coś o upale, potem zapłacił rachunek i tak szybko wyszedł z „Curb House”, jakby się dowiedział, że bank stanął w ogniu.

Koscinski, nucąc popularną melodię z najnowszego broadwayowskiego musicalu „Statek komediantów”, przebiegał przez popołudniowy natłok samochodów. Effie myślała, że może nie miała prawa mówić tego Dougallowi, a z drugiej strony, że może powinna była zrobić to przed laty. Gryzła kostkę własnego kciuka, czując się winna najgorszego tchórzostwa, arogancji i hipokryzji oraz, co najbardziej zawstydzające, samozadowolenia. Jak mogła tak protekcyjnie rozmawiać z Dougalem o jego niemożności obdarzenia Marielli dziećmi, skoro sama już po roku nie zdołała utrzymać swojego małżeństwa? Jak mogła krytykować sposób, w jaki Dougal tak

naiwnie zaakceptował złożoną przez Roberta ofertę finansowej współpracy, skoro jej samej wielokrotnie nie udawało się stawić czoła starszemu bratu? W Ameryce znalazła się tylko dlatego, że Robert wykorzystał ją, aby doprowadzić do upadku Deutsche Bank. Wycofała się do Kalifornii, ponieważ nie zdołała odeprzeć napięć rynku akcji ani znieść myśli o ponownej pracy z Robertem.

Czuła, że to właśnie jej niezdolność do tego, aby wystarczająco odważnie stanąć twarzą w twarz z Robertem, przywiodła rodzinę Watsonów do takiego samego kryzysu, wobec jakiego stanęła, gdy jeszcze żył ich ojciec, a matka nie potrafiła mu się sprzeciwić. Tak jak przedtem Watsonowie byli brutalnie związani nieczystymi okowami pieniędzy i wątpliwej moralności oraz ich własnym rodzajem finansowego heroizmu. Tylko to ich łączyło. Nigdy nie spoglądali na siebie z miłością, która nie pragnęła korzyści. Sądziła, wszyscy troje; Robert, Dougal i Effie (a teraz również Alisdair), że wzajemna życzliwość oznacza tylko mówienie do siebie bez złości i i powstrzymywanie się od rozmyślnego i nieskrywanego wzajemnego wykorzystywania się dla pieniędzy. Ojciec Thomasa Watsona desperacko przebiegał ulicę Edynburga w poszukiwaniu schronienia przed swoimi wierzycielami i bił syna, żeby wpoić mu bezwzględność, która w przyszłości pozwoli Robertowi uniknąć takiego samego poniżającego losu. Echa odgłosów dyscypliny słyszalne były jeszcze siedemdziesiąt lat później, w 1929 roku, i groziły rozszarpaniem rodziny Watsonów na strzępy oraz zachwianiem całą finansową strukturą wartą miliony dolarów.

Gdy Effie wróciła do swego apartamentu, czekały na nią dwie wiadomości. Jedna od Emily Truscott-Hornweather mówiąca, że będzie zachwycona spotkaniem przy herbacie pod koniec tygodnia, druga zaś, że Jimmy Byrd dzwonił z domu. Poszła do gabinetu, usiadła na różowej sofie pod niewielkim obrazem Picassa „Dzieci z cyrku Medano” i zatelefonowała do Jimmy'ego. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Effie, to ty? – zapytał.
- Właśnie weszłam do domu. Musiałam zatrzymać się po drodze, żeby kupić dla Kay tenisowe skarpetki.
- Tenisowe skarpetki?
- W przyszłym tygodniu wraca z New Hampshire.
- Och, dobrze, ale teraz słuchaj. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, wróciwszy do biura, był telefon do pewnego znajomego z kancelarii „Sawyer, Fuchs & Weibart”. Znam go od lat; wędkowaliśmy razem w Tyler Pond w stanie Connecticut. Jest mi winien przysługę w związku z przedsiębiorstwem Gianniniego. Załatwiłem, że go poznał u mnie w domu, ponieważ tak było trochę bardziej prywatnie, rozumiesz?
- Co ci powiedział?
- Ona zna pewnego faceta z kierownictwa w spółce Unidexter. Tym

facetem jest człowiek o nazwisku Sigsby. Z tego co mówi Sigsby, wydaje się, że pięć dużych spółek, łącznie z Unidexterem, połączono dzięki poważnemu dokapitalizowaniu z Ameryki Południowej i Europy mnóstwem pieniędzy, których znaczną część, jak sądzi mój przyjaciel, szmuglowano z Niemiec w ostatnich etapach wojny. Nadrzędnym holdingiem jest dobrze ci znana Poind Corporation. Cała sprawa wygląda bardzo podobnie do takiego sposobu prania niemieckich zysków wojennych, aby alianci nie sięgnęli po nie jako po ratę reparacji. Nic dziwnego, że niemieckie huty i fabryki zbrojeniowe wydawały się doprowadzone do upadku, kiedy przejęły je alianci: wszystkie pieniądze, które przedsiębiorstwom takim jak Schmaussen, Krebs i Wonlarts wypłacono podczas wojny, a znaczna ich część pochodziła przede wszystkim z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, w 1919 roku zostały błyskawicznie odesłane z Niemiec i ukryte na tajnych kontaktach przejściowych w Urugwaju, Szwajcarii i Meksyku.

– Zatem Robert robi to wszystko, aby legalizować środki z czerpanych przez Niemcy nadmiernych korzyści wojennych?

– Nie lekceważ go – powiedział Jimmy Byrd. – On nie tylko wyciąga te środki z południowoamerykańskich banków i otwarcie inwestuje je w korporacje amerykańskie. Pragnie całkowicie je ukryć, a jedynym sposobem, w jaki będzie mógł to zrobić, jest doprowadzenie owych spółek holdingowych i pięćdziesięciu jeden przedsiębiorstw albo do upadku, albo do tego, by sprawiały wrażenie upadających, żeby móc te pieniądze niepostrzeżenie przejąć. Jeśli ludzie zaczną zadawać kłopotliwe pytania, będzie musiał powiedzieć tylko, iż te spółki są zrujnowane i wszystko przepadło. Oto dlaczego nazwa „Poind Corporation” ma więcej niż tylko jedno znaczenie. Słowo „poind” może również oznaczać reparacje.

– Co twoim zdaniem przyniesie to ostatecznie samemu Robertowi? – zapytała Effie.

– Niebotyczne prowizje od niemieckich banków i przedsiębiorstw, których pieniądze zdoła ocalić. Sądzę, że dziesiątki milionów dolarów. Może nawet więcej, kto wie? Widzisz, co się dzieje teraz w Niemczech. Może pewnego dnia te pieniądze znajdą swoją drogę powrotu i będą wykorzystane do sfinansowania odbudowy militarnej i politycznej.

– Dlaczego Sigsby to wszystko zdradził? Sądziłabym, że Robert zaprzysiął wszystkich zaangażowanych w tę sprawę do dochowania całkowitej tajemnicy.

– Wygadał to, ponieważ mój przyjaciel obiecał mu kilka tysięcy dolarów prowizji, jeśli ten układ okaże się podejrzany, a co jeszcze ważniejsze, przyrzekł mu nieograniczoną możliwość korzystania z klucza do apartamentu numer 788 w Walford Hotel przy Pięćdziesiątej Pierwszej, który jest rezydencją pewnej młodej damy, Sabiny... powiedzmy Jakiejśtam. Nie wygląda mi również na to, że Robert naprawdę przejmuje się zachowaniem



tajemnicy. Cokolwiek mówi Sigsby, trzeba by nieuczciwość tej sprawy udowodnić, aby usatysfakcjonować sąd, a przynajmniej członków zarządu nowojorskiej giełdy, a nawet wtedy zbyt wiele palców okaże się tkwić w tym jednym plastrze miodu, aby dla Roberta stanowiło to jakieś szczególne ryzyko. Niemcy mają zbyt wielu sympatyków na Wall Street.

Effie powoli potarła czoło. Czowała, że nadchodzi jedna z dręczących ją latem migren. Ostatnio miała je coraz częściej i zastanawiała się, czy rzeczywiście jest w ciąży, czy po prostu powodem są zmiany w jej życiu. Ale ona przecież musi być w ciąży. Była tego pewna.

– Jest coś jeszcze – rzekł Jimmy Byrd. – Nie jestem pewien, jak zdołam ci to powiedzieć.

– Co takiego? O czym ty mówisz?

– Sigsby zdradził mojemu człowiekowi tożsamość faceta, który pomógł Robertowi zorganizować cały ten interes. Chyba nie zamierzał się wygadać, ale mój człowiek ma szczególny sposób takiego rozmawiania z ludźmi, jakby wszystko już wiedział. Facetem, który to wszystko wymyślił, jest Caldwell.

– Caldwell? Czy to jakiś żart? – Effie odsunęła słuchawkę od twarzy i wpatrywała się w nią tak, jakby telefon ją opluł. Potem znów przyłożyła ją do ucha. – Caldwell?!

– Wierz mi, jestem równie zaszokowany jak ty – odparł Jimmy Byrd. – Moja babka ze strony matki była Niemką i nie opowiadałem się zbyt żarliwie za przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, ale jestem przekonany, że jeśli te wojenne profity miałyby gdzieś pójść, to powinno się je włożyć w ponowne scalenie Europy, a nie w nabijanie kieszeni kilku przebywających na emigracji niemieckich milionerów czy w dochody nowojorskiej giełdy, by można je było reinwestować w kolejną wojnę.

– Caldwell... – wyszeptała Effie.

– Przykro mi – rzekł Jimmy Byrd. – Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

– Dziękuję za wszystko, Jimmy – odparła głucho Effie. – Dziękuję, że zadziałałeś tak szybko. Jeśli dowiesz się jeszcze czegoś...

– Oczywiście. Posłuchaj, naprawdę mi przykro...

– To nie twoja wina – powiedziała Effie. – Myślę, że jeśli ktoś tu jest winien, to ja.

## 40

Próbowała się dodzwonić do Caldwell, ale w Los Angeles była burza i gdy telefon w hotelu Caledonia w końcu odebrano, nie słyszała niczego oprócz szumów i trzasków. Próbowała też się dodzwonić do biura Dougala,

lecz jego sekretarka powiedziała, że wyszedł, aby wrócić na Long Island. Próbowala również skontaktować się z Mariellą, ale nerwy ją zawiodły, gdy Mariella odebrała telefon, więc odłożyła słuchawkę.

Tego wieczoru ubrała się starannie: w prosty czarny kostium od Chanel i czarne czółenka, a jeśli chodzi o biżuterię, ograniczyła się do gałązki z diamentów na lewej klapie żakietu i pięciu diamentowych pierścionków. Robert przyszedł punktualnie o siódmej w ciemnym wieczorowym garniturze i pelerynie obszytej purpurą. Wydawał się być w dobrej formie, stracił trochę na wadze i był opalony po tygodniu żeglowania z Cape Cod.

– Cóż, miło widzieć cię znowu – powiedział, całując ją w policzek. – Miałem nadzieję, że twoja dziewczynka również tu będzie.

– Przyjedzie w przyszłym tygodniu. Uczy się w szkole w Nowej Anglii.

– A jak ty się miewasz? – zapytał Robert, wirującym ruchem zrzucając pelerynę i siadając, bez zaproszenia, na sofie. – Nie wyglądasz, jakbyś złapała trochę więcej tego kalifornijskiego słońca. Widziałas, co teraz robią młode dziewczyny? Zsuwają ramiączka kostiumów kąpielowych, aby mieć opalone plecy. Muszę przyznać, że było kilka niezłych rzeczy do obejrzenia na wybrzeżu Massachusetts i wcale nie były to ryby i spienione fale.

– Dobrze, że znalazłeś coś podniecającego – powiedziała Effie. Doszła do przekonania, że ledwie może patrzeć na Roberta. Jego jasne, bezbarwne oczy przypominały jakiś odpychający magnes, z którego w nieładzie wylatywały żądania i opilki żelaza.

– Miałaś wiadomości od Caldy'ego? – dociekał Robert.

– Od Caldy'ego? – spytała zdumiona, bo tylko ona nazywała tak Caldwell.

– Od twojego kochanego męża, którego zostawiłaś tak pośpiesznie, żeby być tutaj z nami w tym tygodniu.

– Nie, nie miałam. Nie takie, które miałyby coś wspólnego z tobą.

– Nie musisz być taka drażliwa, kochaniutka – uśmiechnął się Robert. – Wiem, dlaczego tutaj jesteś. Czyż nie mówiłem ci zawsze, że dobry wywiad jest połową zwycięstwa w bankowości? Trzeba wiedzieć, co zrobi twój adwersarz; wiedzieć, które waluty się utrzymają, a które spadną, wiedzieć kiedy rynki akcji są gotowe wzrosnąć, a kiedy zmierzają wprost do granicy upadku.

Do salonu weszła Charlene.

– Czy mam podać koktajl, panno Effie? – spytała.

– Nie, dziękuję, Charlene. Rozumiem, że pan Watson zabiera mnie na kolację.

Robert się uśmiechnął.

– To prawda. Mój samochód czeka przed domem. Zamówiłem dla nas stolik w L'Ecstase.

– Nie szczędzisz kosztów, jak widzę – rzekła Effie. – Charlene, zechciej

podać mi płaszcz.

Restauracja L'Ecstase, najdroższa i najelegantsza w Nowym Jorku, a prawdopodobnie również na świecie, mieściła się przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy, między Madison i Park Avenue. Nawet przy cenach 1929 roku, gdy skrzynka dwudziestoletniej (objętej prohibicją) szkockiej whisky potaniała do mniej niż czterdziestu pięciu dolarów, a całkiem nowy odkurzacz kosztował niespełna dwadzieścia dziewięć dolarów, wieczór w L'Ecstase rzadko kosztował mniej niż sześćdziesiąt dolarów na osobę, a często więcej. Rolls-royce Roberta podjechał do wejścia i odziany w szary uniform odźwierny zasalutował ręką w białej rękawiczce, gdy Robert i Effie przeszli po wyłożonym szarym dywanem trotuarze do restauracyjnego lobby. W środku podeszło do nich kilku lokajów, którzy wzięli od nich płaszcz, pelerynę, kapelusze i rękawiczki, po czym szybko poprowadzili ich do sznurowej barierki, gdzie Ernesto, władczy *maitre d'*, panował nad niezadowoloną kolejką potencjalnych gości.

– Pan Watson... proszę tędy – skłonił się Ernesto i otworzył przed nimi barierki, aby mogli przejść obok niepokieszonej kolejki i podążyć za jego czarną, lśniącą fryzurą przez całą salę, której dekoracją były francuskie, ekstrawaganckie, skrzące się bogatymi zdobieniami wersalskie żyrandole i pozłacana stolarka. Wszędzie lśniły płomienie, ponieważ wszystko: od pstrąga do doskonałych żeberek widowiskowo podpalano. Henri Carvel, człowiek, który stworzył L'Ecstase, wierzył, że gość zapłaci więcej, jeśli upiecze się zamówione danie na jego oczach. Zwykł mawiać, żeby w razie wątpliwości podsycać płomień.

Robertowi i Effie wskazano niewielki, odizolowany od innych stolik w rogu, tuż obok jaskraworóżowego obrazu jakiejś renoirowskiej dziewczyny kąpiącej się w czymś, co Effie przypominało patelnię.

– Teraz rozumiem, dlaczego to jest twój ulubiony stół – powiedziała do Roberta, gdy Ernesto rozłożył przed nią serwetkę.

– Dla pana szklaneczkę White Rock? – zapytał Ernesto. – A dla pani Brooks może z lodem?

Gdy kelner przyniósł im szklaneczki i Robert napelniał je whisky z przyniesionej piersiówki, Effie oparła się na krześle i patrzyła na niego w milczeniu.

– Jesteś zaniepokojona tą pożyczką dwudziestu czterech milionów dolarów, czyż nie? – zapytał Robert.

– Oczywiście. Kiedy pierwszy raz akceptowaliśmy ją, nie wiedziałam, że zamierzasz kupować akcje z dwudziestoprocentową marżą. To oznacza, że nowojorski Watson's Bank może ponosić odpowiedzialność za kredyty sięgające przeszło stu dwudziestu milionów funtów. To fortuna według wszelkich standardów, nawet twoich.

Robert wyjął cygaro, a kelner pospieszył z ogniem. Wydmuchał dym i

uspokoiwszy rękę kelnera, mocno ściskając jego nadgarstek, obserwował Effie, jakby mierzył ją wzrokiem w partii pokera.

– Ile wiesz? – zapytał w końcu.

– Prawdopodobnie nie wiem nawet połowy tego, co powinnam, ale wystarczająco dużo, by się niepokoić.

– Nowojorski Watson's ma mój rachunek.

– Naprawdę sądzisz, że jest coś wart?

– Oczywiście. Jego wartość wynosi dwadzieścia cztery miliony funtów.

To wystarczy na pokrycie kredytów, które Watson's Bank w Nowym Jorku nadzoruje dla nas.

– Założmy, że rynek upada i brokerzy żądają większej marży?

Robert wzruszył ramionami.

– W takim razie ja zapewnię większy zysk. Jestem w tym interesie, żeby zarabiać pieniądze, Effie, a nie po to, żeby je tracić. Poza tym rynek nie zmierza ku upadkowi.

Effie poczuła niemal nieodpartą potrzebę powiedzenia Robertowi, jak dużo już się dowiedziała o tym, co on robił, albo co sądziła, że robił.

– Wiem... – zaczęła nawet mówić, ale powstrzymała się, ciasno przykryła dłonią usta i siedziała nieruchomo, podczas gdy Robert wpatrywał się w nią zza stołu.

– Źle mnie oceniasz. Jak zawsze – rzekł, pochylając się ku niej. – Zawsze uważałaś mnie za kawał łajdaka. Owszem, załatwiłem Niemcom kilka kredytów, ale to nie zrobiło żadnej różnicy w wyniku wojny. Owszem, przechytryłem kilka europejskich banków i kilka przejąłem. Ale jestem bankierem, Effie, a nie dyrektorem schroniska dla wycieńczonych pracą koni ani domu opieki dla sędziwych dam z artretycznymi stawami. Mam obowiązek ochrony i wzbogacania zasobów, które powierzyli mi klienci, a moi klienci nie są żarłocznymi francuskimi posiadaczami statków przewozowych, tłustymi tureckimi plantatorami tytoniu ani żydowskimi handlarzami diamentów z długimi palcami i haczykowatymi nosami. Watson's prowadzi tysiące zwykłych rachunków należących do zwykłych mężczyzn i kobiet, a ja mam taki sam obowiązek ochrony i wzbogacania również ich zasobów za pomocą wszystkich możliwych, legalnych środków.

– Bardzo wzruszające – powiedziała Effie. – Wygłosiłeś mi dość podobną mowę, gdy zniszczyłeś Deutsche Kreditbank, a wraz z nim Karla von Ahlbecka.

Podszedł kelner, więc Robert złożył zamówienie.

– Ja jem sardynki w sosie pomidorowym, a co dla ciebie?

– Chyba nie jestem głodna – odparła Effie.

– Musisz coś zjeść. Zamów karczochy.

– Nie jestem w nastroju do rozrywania czegoś na kawałki.

– Za to wydajesz się być w nastroju do rozrywania mnie na kawałki. Nie

rozumiem cię. Co ja twoim zdaniem robię? Inwestuję trochę europejskich pieniędzy w kilka amerykańskich przedsiębiorstw za pośrednictwem porządnych biur nowojorskiego Watson's Bank. Czynię to przy pełnej wiedzy i aprobachie zarówno twojej, jak i Dougala, a ty traktujesz mnie niczym jakiegoś finansowego potwora.

– A co z „Poind Corporation”? – Effie nie zdołała się powstrzymać.

Robert spojrział na nią badawczo.

– Nie rozumiem?

– Z płatną pomocą Caldwella utworzyłeś niewielką grupę spółek holdingowych, powołując następnie Poind Corporation, aby kontrolować losy każdej ze spółek w twoim tak zwanym portfelu. Wartość akcji tych spółek jest więc całkowicie nieprawdziwa, możesz bowiem podnosić ją lub obniżać, kiedy ci się spodoba.

Robert skinął głową.

– To prawda. Oczywiście w granicach, które wyznaczy rynek.

– Jednak to oznacza, że masz całkowitą kontrolę nad kredytami, za które może być odpowiedzialny nowojorski Watson's Bank, to zaś znaczy, że masz wyłączną kontrolę nad moimi dwudziestoma milionami, nad siedemdziesięcioma siedmioma milionami Dougala i nad wszystkimi innymi milionami, które zainwestowano w ten bank.

– To też prawda – przyznał Robert.

– Taka sytuacja jest zarówno niedopuszczalna, jak i nielegalna.

– Cóż w niej nielegalnego? Te inwestycje załatwił dla mnie twój pracownik.

– Dan Kress, wiem. Biedny, uparty Dan Kress. Jaki kawałek tego tortu zamierza dostać Dan Kress, skoro jest już po wszystkim i nawet dym się rozwiął?

Kelner przyniósł zamówione przez Roberta sardynki: cztery tłuste srebrzyste ryby w gęstym pomidorowo-cebulowym sosie wzbogaconym przyprawami i czosnkiem. Robert poprosił o kolejną szklaneczkę White Rock.

– Nie zamierzałam ci powiedzieć, że wiem o wszystkim – oświadczyła Effie. – Byłam gotowa zachować spokój i patrzeć, jak postępujesz. Obawiam się jednak, że to jest chwila, kiedy prawdopodobnie nie potrafię utrzymać zamkniętych ust.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabyś je zamykać – rzekł Robert, brzegiem widelca odcinając głowę jednej z ryb. – Ja zawsze wyznawałem całkowitą bezpośredniość i otwartość między członkami rodziny, a ty nie?

– Robercie – powiedziała Effie – chcę wiedzieć, że nie wykorzystasz tego układu, aby doprowadzić nowojorski Watson's Bank do upadku.

Robert zerknął na nią jednym agatowym okiem.

– Czemu u licha miałbym chcieć zrobić coś takiego? Chcę wykorzystać

ten bank dla własnej, osobistej korzyści. Dlaczego miałbym go niszczyć?!

– Chcę twojej gwarancji.

– Masz moją gwarancję. Masz mój rachunek w walucie wymiennej na dwadzieścia cztery miliony funtów, który każdy duży bank, taki jak Morgans czy Chase, podniósłby do pełnej kwoty, gdybyś poprosiła o to wystarczająco uprzejmie.

– Te dwadzieścia cztery miliony tylko pokryją dwadzieścia procent całkowitej wartości zwykłych akcji, które Dan Kress kupił w twoim imieniu.

– Jeśli Dan Kress błędnie odczytał przyszłe trendy rynku, to moja wina? Ja jestem tak samo odpowiedzialny za stratę pieniędzy jak ty. W każdym razie Dan Kress jest twoim pracownikiem, a nie moim.

– Robercie, ostrzegam cię...

Robert uniół rękę w geście błogosławieństwa niczym papież międzynarodowej finansjery.

– Pozwól, że coś ci powiem Effie, zanim zaczniesz rzucać te ostrzeżenia. Ten układ, który najwyraźniej tak cię złości, jest w pełni legalny i całkowicie nie do obalenia. Jeśli uważasz, że daje mi uciążliwy dla otoczenia zakres kontroli nad losem moich własnych pieniędzy, to masz rację. Jednak nic nie możesz z tym zrobić, nic, a jak już prawdopodobnie wiesz, w załatwianie tego wszystkiego wraz ze mną zamieszany był twój własny mąż, co także wskazuje na ciebie, nie powiedziałabyś tak? Gdybym był na twoim miejscu, zachowałbym milczenie na ten temat i robiłbym to, co wcześniej uważałaś za rozsądne, a nie uderzał głową w mur. Zamierzam zrobić to, co muszę zrobić, czyli rozdrobnić i zainwestować ogromną kwotę europejskich pieniędzy w imieniu pewnych moich ulubionych klientów...

– Samych Niemców – rzuciła Effie.

– Kilku Niemców – z naciskiem przyznał Robert – lecz również kilku Brytyjczyków i paru Portugalczyków. Skoro już rozdrobniłem te pieniądze, wszystko może wrócić do normalności i mam nadzieję, że obie strony Watson's Bank mogą kontynuować współpracę ku kwitnącej przyszłości.

Effie skończyła swojego drinka. Kelner zapytał, czy zmieniła zamiar i ma ochotę na coś „*petite*” do zjedzenia, ale uśmiechnęła się i odmówiła.

– Cóż, Robercie – powiedziała. – Wyraźnie mnie wciągnęłaś.

– Raczej biznesowy sposób wyłożenia tego – rzekł Robert z pełnymi ustami – ale dość trafny.

Effie odsunęła krzesło i wstała.

– Chyba nie wychodzisz?

Nie odpowiedziała, a tylko uniosła za ogon jedną z pomidorowych sardynek, zakolysała nią przez chwilę nad głową Roberta i spuściła mu prosto na kark. Ryba nie zostawiła żadnego śladu swego nagłego nurkowania w głębinie jego koszuli oprócz małej czerwonej plamki na białym kołnierzyku. Robert zastygł w bezruchu, a potem gwałtownie wykaszał cały do połowy

przeżuty kęs ryby w serwetkę.

– Kiedyś zrobiłeś komuś coś podobnego – powiedziała Effie, ze wszystkich sił starając się, by jej głos brzmiał spokojnie, – To była jedyna rzecz, którą w tobie podziwiałam i wciąż jest jedyną rzeczą, którą w związku z tobą podziwiam.

Po tych słowach odwróciła się i zrećnie przeszła przez całą restaurację, ani raz nie patrząc wstecz. Robert ze szkarłatną furią na twarzy rzucił za nią jakąś bułką równie mocno jak piłką do krykieta, ale chybił i zamiast w Effie trafił w głowę pewnego leciwego handlarza dziełami sztuki.

Następnego ranka nowojorski „Daily News” przyniósł plotkarską wiadomość opatrzoną tytułem „Szkocki bankier nokautuje znawcę sztuki bułką”.

Effie lekturę tej gazety w łóżku przerwał dzwonek telefonu. Charlene weszła i podając jej aparat, powiedziała:

– To pan Caldwell, madam. Mówi bardzo zdecydowanie, że naprawdę musi z panią porozmawiać.

Effie wzięła głęboki oddech, a potem odpowiedziała.

– Powiedz, że biorę prysznic.

– Zdaje się, że jest naprawdę zdenerwowany, panno Effie.

– Spodziewam się. Nie on jeden. Powiedz, że biorę prysznic.

## 41

Effie, mimo wszystkich odczuć, jakie budziła w niej Mariella, tego samego dnia pojechała na Long Island, żeby porozmawiać z Dougalem. Jak się okazało, Marielli nie było, gdyż pojechała z wizytą do przyjaciółki, więc ona i Dougal mieli posiadłość dla siebie. Poszli więc nad zatokę, puszczały kaczki po wodzie, a potem usiedli na wydmie wśród szeleszczących traw i dzielili się piersiówką whisky. Jakiś jacht przecinający zatokę, z żaglami tak białymi i sztywnymi jak wyprane i wykrochmalone prześcieradło, przypominał Effie dawny dzień, gdy spacerowała z Alisdaiem wzdłuż luku St Andrews Bay.

Dougal miał na sobie dużą czapkę golfową z białej bawełny, sweter i pumpy do kolan z długimi skarpetami. Był spokojny i trochę niepewny siebie, ale z drugiej strony dawał wyraźne oznaki całkiem dobrego stanu zdrowia. Effie nosiła różowy kapelusz w kształcie hełmu i różowo-beżowy rozpinany sweter ze spódnicą w kolorze różowej chryzantemy.

– Caldwell próbował dodzwonić się do mnie dziś rano – powiedziała.

Dougal przechylił piersiówkę i wypił trzy duże łyki szkockiej.

– Próbował? – zapytał.

– Nie rozmawiałam z nim.

- Szkoda. Mógł mieć coś interesującego do powiedzenia.
- Jak mógł to zrobić?! Jesteśmy w impasie i dobrze o tym wiesz. Ta umowa Roberta przypomina tykającą bombę. Nie możemy dotknąć żadnej z jej części, bo wybuchnie prosto w nasze twarze, a straszne jest to, że wybuchnie tak czy inaczej; pytanie tylko: kiedy.
  - Kiedy Robertowi się to spodoba, jak przypuszczam – odparł Dougal, spoglądając zmrużonymi oczami w stronę oceanu.
  - Nie masz żadnych koneksji, które mogłyby pomóc? – zapytała Effie.
- W Morgan's Bank nie ma nikogo, kto może to dla nas rozplątać?
  - To zbyt ryzykowne. Ponadto problem tkwi w tym, że kupując sobie lojalność Caldwellella i Dana Kressa, Robert sprawił, że cała sprawa wygląda tak, jakbyśmy również byli w nią zaangażowani.
  - Ale Morgan nie chciałby widzieć upadku Watson's Bank, prawda? Ani żaden z innych wielkich banków.
  - Oczywiście, że nie. Ale co twoim zdaniem mamy im powiedzieć: „*Och, wybaczcie, niezamierzenie pozwoliliśmy naszemu bratu wplątać nas w najbardziej niewiarygodny finansowy preceł od czasu skandali Harding Oil i będziemy naprawdę wdzięczni, jeśli nas wypłacacie!*”! Mogliby nas wypłacić i prawdopodobnie by to zrobili, ale ceną byłoby to, że dłużej nie pozwoliliby nam kierować żadnym cholernym własnym bankiem. Ty byś pozwoliła, gdybyś była na ich miejscu? Dodatkowo przerażają mnie te niemieckie pieniądze. Wiążą się z nimi jakieś potężne interesy. Nie chcę beztrzesko tańczyć w sali posiedzeń Morgana ani kręcić tam piruetów na niewyćwiczonych palcach.
  - Jimmy Byrd znów do mnie dzwonił dziś rano – powiedziała Effie. – Jemu wydaje się możliwe, że Robert będzie czekać do początku września. Jeden z jego informatorów jest przekonany, że termin kilku bardzo dużych niemieckich weksli przypada na pierwszy dzień września i że Robert zechce włączyć wpływy z tych weksli do swego planu.
  - Zdumiewa mnie, jak powszechnie o tym wszystkim wiadomo – rzekł Dougal.
- Effie wzięła od niego piersiówkę whisky i wypila mały łyk.
  - Szczyt arogancji, czyż nie? Robert tak nas w to wplątał, że nawet nie musi się niepokoić o ukrycie tego, co robi.
  - Moim zdaniem nam pozostaje tylko czekać – powiedział Dougal. – Wciąż szukam dowodu poważnego wykroczenia, ale nadal nie wygląda to obiecująco. Pomyśl tylko, może siedzę tu po raz ostatni. Za dzień albo tydzień lub miesiąc mogę być zrujnowany.
  - Masz ogromną posiadłość, wysokie ubezpieczenie.
- Dougal się skrzywił.
  - Znaczna część jest obciążona przez bank z powodów podatkowych. Gdybym spróbował spłacić je gotówką teraz, kiedy wiem, co może się zda-



rzyć w banku, byłbym tak samo winny defraudacji jak Robert. Mogę zachować uczciwość... nie pozostało mi nic innego.

- Alisdair przybędzie tu za dwa tygodnie na pokładzie „Mauretanii”.
- Alisdair?
- Twój syn.

Dougal odwrócił wzrok, a wiatr szumiał i wzdychał w trawach na piaszczystej wydmie. Kiedy znów na nią spojrzął, miał w oczach łzy.

- Nie sądzę, że jest mój.
- Prudence przysięgła.
- Może powiedziała tak jedynie dlatego, że chciała pieniędzy od rodziny Watsonów. Dziecko mogło pochodzić z innego związku.
- Możesz patrzeć na Alisdaira z jego kręconymi włosami i podbródkiem i dać mi słowo, że nie może być twoim synem?

Dougal sięgnął po chusteczkę i wytarł nos.

- To wszystko dzieje się cholernie za późno – rzekł. – W tym problem, że ja zawsze byłem cholernie spóźniony.

## 42

Effie pozostała w Nowym Jorku na resztę września. Konferowała z Dougalem regularnie, telefonując codziennie i spotykając się z nim na obiedzie lub kolacji przynajmniej raz w tygodniu. Pomocnicy Dougala nie przestawali poszukiwać dyskredytującego dowodu związanego z finansowymi układami Roberta i szczególnie z Poind Corporation, ale wraz z nadchodzącą jesienią i coraz chłodniejszą atmosferą zaczęli zdawać sobie sprawę, że od strony prawnej nie można mu nic zarzucić.

Adwokaci Dougala powiadomili go, że nie jest powiedziane, iż nie może zaskarżyć Roberta w związku z bezzasadnym naruszeniem umowy kredytowej, takim jak późne dostarczenie dokumentów i niedostarczenie odpowiednich informacji o inwestorach. Takie działanie przyniosłoby skutek w postaci wyciągnięcia przed sądem większych spraw, ale byłoby również niewspółmiernie kosztowne przy zaledwie dziesięciu procentach szansy na sukces. Co gorsza: zachwiałyby publicznym zaufaniem do nowojorskiego Watson's Bank i generalnie rynkiem akcji oraz zraziłoby wielu najbliższych zwolenników Dougala.

Effie, czując się teraz spokojniejsza i lepiej przygotowana, aby z nim rozmawiać, czekała na kolejny telefon od Caldwell, ale on nie zadzwonił. Kilkakrotnie sama telefonowała do Los Angeles, lecz nigdy nie było go w domu. Kitty powiedziała, że przebywa z przyjaciółmi w Coldwater Canyon. Pewnego wieczoru napisała do niego długi, spokojny list, wspominając szczęście i radość, jakie z sobą dzielili, i prosząc o kontakt. Jednak nie wy-

słała tego listu. Przez kilka dni stał oparty na gzymsie kominka, zanim w końcu go podarła bez ponownego przeczytania. Domyślała się, była pewna, że Caldwell współpracował z Robertem tylko z jednego powodu. Jeszcze zanim zaledwie od miesiąca byli małżeństwem, zaczął się czuć przytłoczony przez nią, więc propozycja Roberta, aby zorganizować ten wątpliwy układ kompanii holdingowych i nielegalnych pożyczek, był pierwszą nadarzącą się okazją, aby umniejszyć jej siły i ograniczyć wpływy oraz uczynić bardziej posłuszną. Była całkiem pewna, że ją kochał i prawie pewna, że kocha nadal. Desperacko ciężko pracował dla niej, by zbudować od podstaw Commerce Bank. Jednak od samego początku nie potrafił pogodzić się z myślą o życiu z kobietą, która była bardziej ujmująca i bardziej wpływowa niż on.

Przypomniała sobie wersy z „Ballady o więzieniu w Reading” Oscara Wilde’a, której kiedyś pani McCreith kazała jej się nauczyć: *„Każdy zabija kiedyś to, co kocha... Chcę, aby wszyscy tę prawdę poznali... Jeden to lepkiem pochlebstwem uczyni... Inny spojrzeniem, co jak piolun pali... Tchórz się posłuży wtedy pocałunkiem...”*.

Kay pomogła jej w tych dniach, gdyż po prostu była radosna, serdeczna i wyraźnie zadowolona, że są razem. Jeździły na przejażdżki po rzece Hudson, chodziły na popołudniową herbatę do Plaza Hotel i ręka w rękę spacerowały po Central Parku. Na jeden z weekendów państwo Rockefellerowie zaprosili je do Pocantico, gdzie całe niedzielne popołudnie spędziły, grając duet fortepianowy w salonie muzycznym, bardzo zadowolone ze swego towarzystwa. Kay była już tak dorosła, tak pewna siebie i tak zabawna, że Effie w nocy, gdy weszła zobaczyć ją śpiącą, modliła się w duszy, żeby córka nigdy nie dowiedziała się, jak przyszła na świat i dlaczego.

Wrzesień był wspaniałym miesiącem dla nowojorskiej giełdy papierów wartościowych. Indeks Dow Jones osiągnął wysoką średnią i najwyraźniej był gotowy wspiąć się jeszcze wyżej. Trzeciego września spółka American Telephone & Telegraph, której akcje zaledwie półtora roku wcześniej kosztowały 179  $\frac{1}{2}$ , osiągnęła 335  $\frac{5}{8}$ , General Motors wspiął się z 139  $\frac{3}{4}$  do 181  $\frac{7}{8}$ , a Electric Bond & Share z 89  $\frac{7}{4}$  do 203  $\frac{7}{8}$ . W całych Stanach Zjednoczonych zwykli ludzie robili niewielkie, ale spektakularne fortuny. Pewna pielęgniarka zarobiła trzydzieści tysięcy dolarów dzięki giełdowym poradzom udzielonym jej przez wdzięcznego pacjenta; pewna aktorka rzuciła scenę, aby zajmować się wyłącznie akcjami, a pewien młody bankowiec sprzedał wszystko, co miał, żeby kupić akcje w „Niles-Bennend-Pond” i teraz był ustawiony do końca życia. Jednak ten gwałtownie pęczniejący balon amerykańskiego biznesu, nadmiernie rozдутy przez powszechne zaufanie i reklamę kredytu komercyjnego, zaczynał już pękać. Na absolutnym szczycie rynku, ponad siedemset pięćdziesiąt milionów dolarów jego wartości pochodziło nie z inwestycji gotówkowych, ale z nielegalnych

kredytów, a niezliczone miliony przekraczające tę kwotę pochodziły prosto z drukarni. Koniunktura utrzymywana była wysoko jedynie przez narodowy akt woli i przez wspólne interesy małej grupy potężnych graczy giełdowych; ludzi takich jak John J. Raskob, W.C. Durant, bracia Fisherowie i Arthur Cutten; ludzi, którzy w 1928 roku nabyli udziały w rynku z pełną świadomością, że jeśli oni je kupili, to ceny wzrosną, i że jeśli ceny wzrosną, to Amerykanie nie będą w stanie oprzeć się atrakcyjności gwałtownie zwyżkującego rynku.

John J. Raskob, kumpel Ala Smitha, owego „Szczęśliwego Wojownika”, którego Herbert Hoover zdecydowanie pokonał w wyborach prezydenckich w 1928 roku, osiągnął taki zysk na tej sztucznej zwyżce cen, że postanowił sam wznieść sobie pomnik w centrum Nowego Jorku i nazwał go Empire State Building.

Wrzesień 1929 roku był miesiącem, który Effie miała zapamiętać do końca życia. Był to bowiem miesiąc, w którym jej dziecięce marzenia wreszcie się spełniły; miesiąc, w którym pogodziła się, po czterdziestu czterech latach, z własnym charakterem i własnym życiem.

Wiele innych marzeń dopełniło się i zgasło tamtego września. Bokser Jack Dempsey, parokrotny mistrz świata wagi ciężkiej, stracił ten tytuł na rzecz Gene'a Tunneya, a Gene Tunney zakończył karierę jako niepokonany champion. Baseballista Babe Ruth grał w tym sezonie tak samo dobrze jak w każdym, ale jego sportowa kariera zmierzała do końca. Erich Maria Remarque opublikował swą słynną powieść „Na Zachodzie bez zmian”, ostatecznie burząc nią romantyczne i złudne wyobrażenia o wojnie. William Tilden, jeden z najwybitniejszych zawodników w historii tenisa, po raz siódmy wygrał turniej o Puchar Davisa.

W piątkowy ranek 19 października zatelefonował do Effie Jimmy Byrd.

– Nie mam na to jeszcze żadnego potwierdzenia, ale słyszę, że blisko dziewięćdziesiąt pięć milionów dolarów niemieckich zysków wojennych trafiło do Unidexter z przeznaczeniem do dystrybucji wśród pozostałych spółek holdingowych w Poind Corporation.

– Chcesz powiedzieć, że te niemieckie weksle są honorowane? – spytała Effie.

– Na to wygląda. A to oznacza, że Robert może gotów jest cię zdradzić.

– Dziękuję, Jimmy. Dasz mi znać, jeśli dowiesz się czegoś więcej, dobrze?

– Oczywiście. Aha... dziękuję za czek.

– Zapracowałeś na niego, wierz mi.

Effie zatelefonowała do Dougala na Long Island i podzieliła się z nim tą wiadomością. Dougal nie powiedział prawie nic, oprócz dwóch zdań.

– Może pora, abyśmy poprosili Roberta o kolejne spotkanie. Myślisz, że to dobry pomysł?

- Wszystko jest lepsze niż siedzenie i czekanie, aż nas zrujnuje.
- W porządku, przyjeżdż więc dzisiaj wieczorem i zjedz z nami kolację, a ja zadzwonię do Roberta i zapytam, czy zechce spędzić z nami weekend i wszystko omówić.

Effie odłożyła słuchawkę. Była zdenerwowana i spięta. Zapaliła papierosa i przez pewien czas chodziła po pokoju tam i z powrotem, myśląc o Robercie, Dougalu i konsekwencjach postępowania Roberta wobec nich. Zatrzymała się przy niewielkim obrazie kąpiących się, niegdyś podarowanym jej przez Henri Matisse'a. Palila, spoglądała na ten obraz i doznała uczucia straty i frustracji, które były częściowo finansowe, częściowo zaś sentymentalne. Muszę stawić temu czoło, pomyślała, znowu jestem sama. Czy naprawdę te wszystkie lata były po to, po nic innego?

Do pokoju weszła Charlene w bluzce w białe prążki.

- Przyszedł jakiś dżentelmen, panno Effie – powiedziała.

Effie obróciła się z papierosem w prawej ręce, lewą dłonią podtrzymując lokieć.

- Kto to jest? Nie ma mnie.
- Mówi, że nazywa się Watson, madam.

Początkowo Effie nie rozumiała, kto mógł być tym niespodziewanym Watsonem. Który Watson? Potem jednak uświadomiła sobie, że to musi być Alisdair i szybko wbiegła do holu, gdzie Alisdair, smukły i opanowany, w eleganckim szarym garniturze, czekał na nią, uśmiechając się tak, jakby przyniósł wiadomość o najwspanialszym finansowym wyczynie, o jakim świat kiedykolwiek wiedział. Wydawał się znacznie starszy, a pachniał kosztowną wodą kolońską, cygarami i pieniędzmi.

- Alisdair... – powiedziała ciepło.
- Witaj, ciociu Effie.

Wzięła go pod rękę i serdecznie poprowadziła do salonu.

– Nie musisz już nazywać mnie „ciocią Effie”. Możesz mówić mi po imieniu, jeśli chcesz.

Usiadł i uśmiechnął się do niej.

- Chciałbym, bardzo.
- Jesteś w Nowym Jorku od przeszło trzech tygodni, niemal od miesiąca i nie zadzwoniłeś – zbesztła go Effie.

– Cóż... byłem uwiązany. Ojciec wciąż trzyma mnie w pracy do drugiej albo trzeciej nad ranem.

– Milczałeś również ze strachu, bojąc się, że nadal jestem na ciebie zła. Alisdair przesunął ręką po swych kręconych włosach i skinął głową.

- Tak, masz rację. Bałem się.
- Jak cudownie znów słyszeć szkocki akcent.
- Ja w twojej wymowie wciąż słyszę szkockie brzmienia.
- Nie wierz w to. Odkąd wyjechałam do Kalifornii, mówię „korner”

zamiast „koroner” i „chodnik” zamiast „trotuar”. Rzecz w tym, że jeśli nie mówisz tak jak oni, Amerykanie cię nie rozumieją.

– Chciałem przyjść sam, żeby cię bardzo przeprosić.

– Przeprosić? Za co?

– Wiesz za co. Za wszystko co się wydarzyło w zeszłym roku. Za sposób, w jaki z tobą rozmawiałem. Byłem oszołomiony myślą, że jestem ojcem Kay i uważałem, iż właśnie dlatego, że spłodziłem z tobą dziecko, powinniśmy się kochać. Wciąż cię Kocham i myślę, że zawsze będę cię kochać, ale doszedłem do przekonania, że my nigdy naprawdę nie będziemy mogli... cóż... no, wiesz... pobrać się ani w ogóle...

– Czy zechciałbyś nalać nam whisky? Karafka stoi na kredensie za tobą – powiedziała łagodnie Effie, a gdy Alisdair nalał im mocnego trunku z kryształowej karafki Black & White, dodała: – Sprawiasz mi wiele radości, mówiąc te słowa.

Alisdair ponownie usiadł.

– Muszę przyznać, że najbardziej pomogło mi to, iż w Londynie zakochałem się w pewnej ślicznej młodej damie. Ma na imię Sara i jest aktorką.

– Cieszę się – powiedziała Effie. – Nie tylko ze względu na ciebie, ale także ze względu na Kay. Nie chcę, żeby wiedziała, kto jest jej prawdziwym ojcem. Zwłaszcza że niebawem może mieć braciszka albo siostrzyczkę.

Alisdairowi rozszerzyły się oczy.

– Będziesz mieć kolejne dziecko?

– Tym razem będzie to dziecko mojego męża. Caldwell.

– Myślałem, że ty i on jesteście...

– Cóż – odparła Effie, wygladzając spódnicę – jesteśmy. Zamierzam jednak za tydzień lub dwa, gdy tylko zdołam wyprostować wszystko w Nowym Jorku, wrócić do Kalifornii, poza tym naprawdę nie sądzę, że któreś z nas pozwoli kilku miesiącom separacji stanąć nam na drodze. Prawdopodobnie stwierdzimy, że raczej umacnia nasze małżeństwo, niż je kończy.

Alisdair zamilkł na chwilę, uważnie się jej przyglądając.

– Jak się miewa mój ojciec? – odezwał się w końcu.

– Dougal? – zapytała Effie, a gdy skinął głową, odpowiedziała: – W zeszłym roku bardzo cierpiał z powodu żółtaczki, ale myślę, że teraz już doszedł do siebie.

Alisdair wypił łyczek whisky.

– Powiedziałam mu, że jesteś jego synem – oznajmiła Effie.

– P o w i e d z i a ł a ś mu?! – Alisdair był zaszokowany.

– Pomyślałam, że nadszedł czas, aby się dowiedział. Nie chciałam powtórki przedstawienia zeszłorocznej szarady.

– Co powiedział?

– Najpierw mi nie uwierzył. Myślę jednak, że teraz wierzy. Nie wie, co zrobić czy powiedzieć, ale jestem przekonana, że się ucieszy, widząc cię znowu.

– Czy ojciec wie, że on się dowiedział? Mam na myśli Roberta.

– Nie sądzę. Ja na pewno mu nie powiedziałam. Zresztą nie rozmawiałam z Robertem od tygodni. Naszą ostatnią dyskusję można by opisać jako zajadłą.

– Och, to wtedy wrzuciłaś mu rybę w koszulę – rzekł Alisdair, uśmiechając się znacząco. – Opowiedział mi o tym. Jak się domyślasz, wcale nie był rozbawiony.

– Nie zrobiłam tego, żeby go rozbawić.

Porozmawiali jeszcze trochę o banku, o Edynburgu i o giełdzie, a potem Effie zapytała:

– Przypuszczam, że pracujesz nad tymi niemieckimi funduszami dla ojca.

– Wiesz o tym?

– Robert nie robi z tego żadnej tajemnicy – odparła. – Nie musi. O ile przejdzie przez wszystkie prawne korowody, nikt w rządzie ani na Wall Street nie będzie zaniepokojony. Bardziej zainteresowani są widokiem pieniędzy inwestowanych w amerykański biznes niż etyką. Jedynymi ludźmi, którzy wpadną w prawdziwą furję, są Francuzi i Brytyjczycy.

– Nie uważam, że to co robimy jest nieetyczne. Nie chciałbym mieć nic wspólnego z działaniem nieetycznym.

– Cóż, nie. Zakładam, że masz rację. Po pierwsze, to głupie ze strony aliantów, upierać się przy tak poważnych reparacjach od Niemców. Jednak pranie niemieckich pieniędzy jest tylko częścią tej historii.

– Co masz na myśli?

Effie sięgnęła po kolejnego papierosa i zapaliła. Potem w najdrobniejszych szczegółach wyjaśniła Alisdairowi, w jaki sposób Robert zaaranżował kredyt w wysokości dwudziestu czterech milionów funtów, aby zablokować nowojorski Watson's Bank i jak wykorzystuje pozycje Effie i Dougala, by wprowadzić warte miliony dolarów reichsmarki na rynek Stanów Zjednoczonych.

– Teraz już wiesz – powiedziała, zgasiwszy papierosa. – Twój adopcyjny ojciec ma kontrolę nad twoim prawdziwym ojcem i nade mną. Nie mamy odwagi cokolwiek zrobić z obawy, że zacznie się run na bank i z lęku przed zrujnowaniem nie tylko naszych inwestorów, ale również nas samych.

– Nie ma ż a d n e g o wyjścia z tej sytuacji? – spytał Alisdair.

– Och tak, jest mnóstwo wyjść – odparła Effie. – Ale wszystkie są dla nas zbyt kosztowne w kategoriach straconej gotówki i utraconej reputacji, abyśmy brali je pod uwagę. Stoimy na szczycie bardzo śliskiego i długiego stoku, i możemy się tylko modlić, żeby Robert nie postanowił zepchnąć nas

w dół.

Alisdair skończył drinka i odstawił szklaneczkę na stół.

– Może powinienem z nim porozmawiać i przekonać, by załatwił to jakoś inaczej.

– Sądziś, że to zrobi? – sceptycznie zapytała Effie.

Alisdair pokręcił głową.

– Nie, nie sądzę. Nigdy nie udało mi się zmienić żadnej jego decyzji podjętej wcześniej.

– W takim razie chyba zrobisz najlepiej, jeśli zachowasz milczenie – powiedziała Effie. – Pozwól jednak, że poproszę cię o pewną przysługę: jeśli usłyszysz najdrobniejszą pogłoskę, że twój ojciec myśli o rychłej sprzedaży własnych spółek po niskiej cenie, natychmiast daj mi znać. Możesz to zrobić?

– Tak. Żałuję tylko, że nie mogę zrobić nic więcej – odparł Alisdair.

Effie wyciągnęła ku niemu rękę.

– Możesz. Dziś wieczorem jadę na Long Island, żeby spotkać się z Dougalem. Bardzo bym się cieszyła, gdybyś pojechał ze mną.

## 43

Gdy przyjechali, Dougal opierając się na lasce, czekał na nich na szczycie schodów, a kiedy Koscinski wysiadł z samochodu i obszedł go dookoła, żeby otworzyć Effie drzwi, zszedł kilka stopni niżej, ale zatrzymał się, czekając, aż wysiądzie Alisdair.

Nie było żadnego powodu do zdenerwowania, podobnie zresztą, jak nie było powodu, by się kochali. Kiedy jednak Alisdair wysiadł z auta na podjazd i stał, wpatrując się w swego ojca w to wietrzne, szare październikowe popołudnie, obaj stanęli przed sobą z mieszaniną przemożnego uczucia i nieskrywanego niepokoju. Effie stając nieco dalej w ciemnym futrze z norek, obserwowała ich bez słowa, chociaż w duszy wciąż parafrazowała słowa Oscara Wilde'a: *Każdy boi się tego, co kocha.*

Dougal zszedł po schodach nerwowo, chwycił twarzą w twarz ze swoim synem, a jego oblicze przybrało wyraz zachwyty, dumy i naglej, niespodziewanej pewności. Zrozumiał, że nic, co zrobił, nie poszło na marne, ponieważ wypełnił przeznaczenie, dla którego przyszedł na świat: ustanowił bankową dynastię. Odniósł sukces tam, gdzie Robert nie zdołał. Wszystkie jego zmagania i cały ból nagle okazały się warte tej ceny.

Uścisnęli sobie dłonie. Ojciec i syn. Potem ze łzami w oczach Dougal przyciągnął Alisdaira do siebie i mocno go objął. Żaden nie powiedział ani słowa. Dougal dlatego, że nie był w stanie, a Alisdair dlatego, że się bał. Obaj jednak wiedzieli, że nareszcie znaleźli odpowiedź na swoje nieustanne

niezadowolenie i na to, co wydawało się być niepojętą bezcelowością życia.

Mariella wyszła z domu i stała na szczycie schodów, obserwując tę scenę.

– Powiedziałem Marielli – rzekł Dougal do Effie.

Effie spojrzała na Mariellę pytająco, ale bratowa się uśmiechnęła.

– Jestem szczęśliwa, że stało się to w ten sposób. Mamy teraz syna, nawet jeśli nie ja go urodziłam. Dougal jest tak zadowolony, jak dziecko w czasie Bożego Narodzenia.

Weszli do środka, gdzie kamerdyner Rousseau już otworzył butelkę Dom Perignon. Onieśmiałony Alisdair mówił bardzo mało, ale Dougal był tak podekscytowany, że mówił nieustannie, nie przestawał klaskać w dłonie i chodzić z jednego końca pokoju na drugi.

– Oczywiście, nam obydwu zajmie to całe lata, zanim przyzwyczaimy się do tej myśli. Nie chcę siłą wdzierać się w twoje życie, Alisdair... nie mógłbym. Jednak kiedy Effie mi powiedziała, uświadomiłem sobie, że poczułem to już wcześniej... gdy pierwszy raz tu przyjechałeś...

Zjedli razem kolację, rozmawiali o Szkocji i Watson's Bank w Londynie, a Dougal opowiadał o swoich dawnych czasach w Baeklander Trust i o tym, jak często bliski był zaokrętowania się na statek do Szkocji choćby po to, że zobaczył stary, dobry Edynburg.

– Prawdopodobnie umrę, nie odwiedzając Edynburga – powiedział, ocierając usta z szampana. – Myślę jednak, że teraz, gdy ty tutaj jesteś, Alisdair, już nie muszę.

Po kolacji, przy kominku, Alisdair zwrócił się do Dougala.

– Masz jakiś problem z moim ojcem, chciałem powiedzieć: z Robertem.

– Nie mam nic przeciwko temu, byś nazywał go ojcem – rzekł Dougal.

– Wszak był z tobą przez całe twoje życie i wychował cię całkiem dobrze.

– Tak właśnie myślałem – odparł Alisdair. – Teraz ty nie możesz w żaden sposób wystąpić przeciwko mojemu ojcu, z powodu sposobu, w jaki on przygotował tę umowę kredytową. Nie masz żadnego środka nacisku. Czy raczej... nie miałeś. Teraz masz.

– Cóż to takiego? – zapytał Dougal, prostując się w fotelu.

– To ja – uśmiechnął się Alisdair. – Jeśli ojciec pomyśli, że mnie straci, że straci jedyne męskie następcę i spadkobiercę Watsonów, to możesz być pewien, że zmieni zdanie. Teraz ci mówię: zrozumiałem, jak szkodliwy jest ten układ z Poind Corporation. Jest on niebezpieczny nie tylko dla nowojorskiego Watson's Bank, ale także dla amerykańskiego środowiska bankowego jako całości i ostatecznie dla całego świata. Jeśli ojciec zacznie tanio sprzedawać własne firmy, wtedy inni inwestorzy mogą pomyśleć, że on panikuje, i również zaczną sprzedawać. Wiemy też, że na nas spocznie odpowiedzialność za poważny krach, do jakiego dojdzie nie tylko tutaj, w Nowym Jorku, ale także w całej Europie.

– Cóż, chyba nadmiernie dramatyzujesz – powiedział Dougal – ale



rozumiem twój punkt widzenia. Zaprosiłem tutaj Roberta na weekend i spotkanie. Czy sądzisz, że zdołasz go przekonać, iż musi dokonać takiej zmiany umowy kredytowej, abyśmy już dłużej nie ryzykowali tak poważnego zagrożenia?

– Nie wiem – odparł Alisdair, spoglądając na Effie, a gdy się uśmiechnęła, powiedział: – Spróbuję.

## 44

Robert w kiepskim nastroju dotarł do nich w niedzielny poranek. Zamierzał spędzić ten weekend z panią Ernestową K. Walsh, zalotną i piękną żoną kongresmana Ernesta K. Walsh'a z Nowego Jorku, i był rozwścieczony naleganiami Dougala na pilne spotkanie w interesach.

– Czy nie można ich przedyskutować przez telefon? – pytał zirytowany, ale Dougal spokojnie odpowiedział, że nie.

Zebrali się w jadalni wokół wypolerowanego stołu, w atmosferze, która od początku była surowa i naelektryzowana. Alisdair siedział obok Effie... zajmując tym stanowisko, co nie mogło ująć uwagi Roberta, a z Flatbush przejechała Rosalind, sekretarka Roberta, żeby robić notatki.

Dougal wstał i z ręką wsuniętą w kieszonkę kamizelki otworzył spotkanie.

– Nie będę owijać w bawełnę, Robercie. Rozmyślnie wykorzystałeś porozumienie kredytowe, jakie zawarłeś poprzez nowojorski Watson's Bank dla własnych celów, do postawienia mnie oraz, w mniejszym zakresie, Effie w sytuacji nie do przyjęcia. Nie wiem, czego od nas chcesz; przypuszczam, że nosisz się z zamiarem wyjaśnienia nam tego w pełni, kiedy tobie będzie to odpowiadać. Być może myślisz o zdobyciu pakietu kontrolnego w Watson's Bank w Nowym Jorku, czyli nieograniczonego wykorzystania usług tego banku do finansowania swoich przyjaciół w Niemczech. Nie wiem i szczególnie mnie to nie obchodzi. Wiem jednak, że tego nie osiągniesz. Effie i ja nalegamy, tu i teraz, abyś zwolnił nowojorski Watson's Bank z wszelkich zobowiązań zarówno wobec twoich europejskich inwestorów i brokerów, jak i wobec wszystkich swoich absurdalnie powiązanych firm i holdingów, a także, idąc dalej, abyś dał nam kolejny weksel, który pokryje pełną wartość akcji, które teraz posiadają twoi europejscy inwestorzy.

Robert przenosił wzrok z Alisdaira na Effie i z Effie na Dougala, po czym uśmiechnął się szybko do Rosalind, a ona odwzajemniła mu się uśmiechem.

– Cóż... – powiedział. – Nie wiem, dlaczego oboje tak panikujecie. Czyż wcześniej nie powiedziałem wam, że robienie czegokolwiek na szkodę nowojorskiego Watson's Bank jest wbrew moim interesom? Prawdopodobnie teraz jesteście w bezpieczniejszych rękach niż kiedykolwiek przedtem.

– Niemniej nie podoba nam się myśl o takich zobowiązaniach. Zarówno Dougal, jak i ja pozostajemy niewzruszeni w życzeniu, abyś w stu procentach zabezpieczył kredyty, które pobierasz dla siebie i dla swoich brokerów, albo, jeśli cię na to nie stać, abyś znalazł inny bank, który cię zaasekuruje.

Robert złożył dłonie, jakby się modlił.

– Rozumiem – powiedział. – Oto co mnie spotyka za moją konstruktywność finansową. Oto co mnie spotyka za wciągnięcie was bez chwili wahania w lata dwudzieste dwudziestego stulecia. No cóż, załóżmy, że odmawiam? Załóżmy, że przypomnę wam, iż jako szefowie nowojorskiego Watson's Bank musicie wypełnić i prawne, i moralne zobowiązania, a ja nie jestem skłonny zwolnić was z tych zobowiązań?

Dougal nie czekał z odpowiedzią.

– Załóżmy, że przypomnę ci, iż twój syn nie jest twoim synem i uprzedzam, że jeśli będziesz się upierać przy tym planie, ja ogłoszę to publicznie? Przypuśćmy, że wyjawię, iż niemal trzydzieści lat ukrywałeś przede mną fakt, że Alisdair jest moim naturalnym spadkobiercą, a robiłeś to w celu zagwarantowania sobie tego, aby główna część wszelkich dziedzicznych aktywów z Watson's Bank przypadła twojej stronie rodziny, a nie mojej ani Effie?

– To niedorzeczne! – wykrzyknął Robert. Pocił się, a jego twarz była purpurowa. – Niczego takiego nie możesz udowodnić i dobrze o tym wiesz!

– Nie muszę tego udowadniać – odparł Dougal. – Wszystko co muszę zrobić, to ogłosić, że Alisdair jest moim nieślubnym synem, co jest faktem, który Effie gotowa jest poświadczyć przed sądem.

Robert patrzył z wściekłością na siostrę i brata po kolei, a w końcu zwrócił się do Alisdaira.

– To jest podziękowanie, jakie otrzymuję za wychowywanie ciebie? To, że jesteś po stronie tych dwojga tchórzliwych partaczy? Chryste Panie!

– Masz wybór, Robercie – powiedziała Effie cichym, ale przenikliwym głosem. – Alisdair gotów jest nadal publicznie występować jako twój syn oraz przejąć twoje spółki i kierować nimi w twoim imieniu, gdy w końcu będziesz musiał przejść na emeryturę, ale tylko pod warunkiem, że zwolnisz jego prawdziwego ojca z umowy dotyczącej Poind Corporation.

Robert długo milczał, gryząc wargi i wpatrując się w nich z nieskrywaną nienawiścią.

– Boże, jesteście niekompetentni – powiedział w końcu, odpychając krzesło. – Boże, nawet nie wiecie, co robicie! Stworzyłem z tej rodziny imperium, coś czego nie potrafił zrobić ojciec i czego żadne z was nie umiało. Przebudowałem Watson's Bank w jeden z najpoważniejszych międzynarodowych banków na całym świecie. Drugi po Chase Bank! Postawiłem wszystko na przyszłość, bezinteresownie, aby pewnego dnia Watson's Bank górował nad wszystkimi innymi bankami na Wall Street czy

w londyńskim City. Jakie u licha znaczenie ma to, czy Alisdaira spędził Dougal czy ja? Jakie to ma znaczenie? Pewnego dnia Watson's Bank będzie największym bankiem na świecie, najbogatszym od złotej ery Rothschildów. Chcecie wiedzieć, dlaczego związałem nowojorski Watson's w takie węzły? Po pierwsze: żeby udowodnić wam obojgu, jacy jesteście słabi i bezbronni... wy, bankierzy! Połknęlibyście tę ofertę, jaką złożyłem, nawet gdyby była na gołym haczyku. Naprawdę interesował was tylko sentyment i szybki zysk. „Och, te dawne dobre czasy, gdy Robert był z nami i zarabialiśmy zdumiewające pieniądze...”. Akurat! Ja na to pracowałem, a pracowałem ciężko i nigdy nie pozwoliłbym żadnemu z was ani utorować sobie drogi do mojego banku, ani przekonywać mnie do podpisania umowy, która wyraźnie stanowi, że bank będzie załatwiał kredyty na zakup akcji do wartości dwudziestu czterech milionów funtów pod warunkiem, że każdy pakiet akcji zostanie nabyty przy zysku nie większym niż dwadzieścia procent. To wszystko jest w umowie, czytaliście ją! Daliście mi *carte blanche* na zaciąganie pożyczek ze wszystkich amerykańskich korporacji i udzielanie kredytów brokerom na osiem czy dziewięć procent, aby moi europejscy klienci mogli wejść na rynek finansowy. Jak dotąd nie miałem ani jednej skargi, listownej czy telefonicznej, wskazującej, że jacyś moi klienci są niezadowoleni. W istocie, ich udziały średnio wzrosły o  $21\frac{5}{8}$  procent od chwili, gdy nabyli je tak niedawno! Dostajecie prowizję od kredytów, dostajecie prowizje od brokerów, macie wszystkie niezbędne zabezpieczenia. Czego jeszcze chcecie?

Nastąpiła sekundowa przerwa, sekundowa cisza, a potem Alisdair odpowiedział mu bardzo wyraźnie.

– Lojalności, ojcze; oto czego chcemy. Szacunku, jaki jeden członek rodziny powinien okazywać innemu. Prawa, by nie wykorzystywano go w celach handlowych. Prawa do poszanowania jego uczuć – obszedł stół dookoła i stanął obok Roberta, z malującym się na twarzy wyrazem bólu, żalu i smutku, ale także słusznego gniewu. – Rozmyślnie przez całe moje życie ukrywałeś przede mną fakt, że jestem synem twego brata, a nie twoim. Ukradłeś mnie dla własnych celów, jakiegokolwiek by one były i jakiegokolwiek nadal pozostają. Mój prawdziwy ojciec uważa, że chciałeś mieć pewność, iż jedynie twoje potomstwo odziedziczy aktywa bankowe. Nie wiem, czy ma rację czy się myli. Ciocia Effie również tego nie wie, mimo że jest równie winna skrywania przede mną mojego prawdziwego pochodzenia jak ty. Sprzeniewierzyłeś się prawu przysługującemu mi z urodzenia dla własnej korzyści. W pewnym sensie mnie wykorzystałeś, czego prawdziwy ojciec nigdy by nie zrobił i dlatego zaprzeczam twojemu ojcostwu i wypowiadam ci prawo nazywania mnie synem – uniósł rękę i przez stół wskazał na Dougala. – Ten człowiek jest moim ojcem. Wychowałby mnie i wykształcił równie dobrze jak ty, gdy by dana mu była szansa. Co więcej: nauczyłby

mnie moralności.

Robert zmierzył wzrokiem adoptowanego syna.

– Zdajesz sobie sprawę, co poświęcasz?

– Nie poświęcam niczego oprócz dyrektorskiej posady w Watson's Bank. Jestem jednak najstarszym męskim spadkobiercą i nic nie może mi tego zabrać. Nie stworzyłeś żadnego imperium, ojcze. Nie zrobiłeś niczego, oprócz postawienia finansowej świątyni swojej nędznej próżności.

Robert był teraz bardzo opanowany. Wstał, wychylił ostatnią whisky i pstryknął palcami na kamerdynera, żeby podał mu płaszcz i kapelusz.

– Widzę, że wylądowałem niczym jakiś niefortunny żeglarz wśród społeczności stukniętych głupców.

– Co zamierzasz zrobić w związku z tym? – ostro spytała Effie. – Wrócić do krainy ohydnych hipokrytów?

Robert spojrzał na nią wściekle.

– Ciebie – powiedział – powinno się udusić w dniu, w którym przysłaś na świat.

Nie mówiąc już nic więcej, chwycił kapelusz od kamerdynera i wymaszerował z domu brata. Dougal, Effie i Alisdair siedzieli przy stole i spoglądali na siebie z rozwągą i smutkiem. Gdy silnik rolls-royce'a należącego do Roberta ruszył z donośnym, nadmiernie pewnym siebie rykiem, Dougal powiedział:

– Wiecie, że on tego nie przepuści. Nie wybaczy nam tego.

– Pragniecie jego wybaczenia? – zapytała Effie.

– Nie, ja tego nie pragnę – odparł Alisdair, a potem dodał: – Może.

Jednak czuję się wolny.

Dougal raz z razem obracał ćwierćdolarówkę między palcami.

– Obawiam się, Alisdair, że nigdy nie będziesz wolny. Wielkie bogactwo przynosi z sobą wielką odpowiedzialność. Wolność od ubóstwa doprowadza do niewoli pracy, wolność od głodu prowadzi do niewoli troski. Nikt na całym świecie, oprócz idiotów i kobiet, nie może się nią cieszyć.

– Cóż, dziękuję – powiedziała Effie.

– Ciebie to nie dotyczy – rzekł Dougal. – Pod żadnym względem.

## 45

Oczywiście wszyscy troje poważnie nie docenili srogości gniewu Roberta, ani nawet nie zrozumieli, dlaczego wpadł we wściekłość. Jeśli o niego chodzi, są niezdolnymi dzieciakami, a ich próby wymuszenia na nim zmiany warunków dwudziestoczwemilionowego kredytu były nieprzemyślane i śmieszne. Zatem grożą mu pozbawieniem spadkobiercy? A co go to obchodzi? Największy udział w Watson's Bank, po jego śmierci, i tak przejdzie na

Alisdaira, a Alisdair został nauczony, by zarządzać pieniędzmi banku w takim samym błyskawicznym i bezwzględny stylu, w jakim on zawsze nimi zarządzał.

Effie i Dougal nawet nie potrafili zrozumieć, że zorganizował ten układ obcych inwestycji właśnie dla ich największej korzyści; że od początku zamierzał bezpiecznie przeprowadzić ich przez sztucznie wywołaną Hooverowską zwyżkę cen i przez krach, który w jego osobistym przekonaniu niebawem musiał nadejść; że nie zamierzał robić nic innego, jak tylko pokierować losem nowojorskiego Watson's Bank przez dobre i złe czasy, aż będzie on wystarczająco silny, by stać się samodzielnym i aby stanowić część światowego imperium Watsonów pod jego, Roberta, naczelną dyrekcją.

Sam siebie widział jako łagodnego finansowego imperatora, którego słowo było poważne, a miecz szybki, ale którego sercu zawsze najbliższe były interesy rodziny Watsonów. Chciał tylko przez te wszystkie minione lata trzymać Dougala z dala od Edynburga, gdyż był przekonany, że brat zagrażał stałej ekspansji banku i kompromitował jego departament inwestycji. Teraz zaś chciał przejąć nowojorski Watson's Bank tylko dlatego, że Dougal jest tak chory i zamroczony alkoholem. Po nowojorskim zaś (dzięki strachowi, jaki czuła przed nim Effie i jej udanej przeprowadzce do Los Angeles) był też do przejęcia kalifornijski Commerce Bank, gotowa siedziba na zachodnim wybrzeżu USA. Przedyskutował już całą sprawę z Caldwellem i Caldwell widział w tym sens. Effie byłaby chroniona przed własnymi zwariowanymi pomysłami finansowymi; Caldwell działałby jako przedstawiciel Roberta na zachodnim wybrzeżu, a cała światowa grupa Watson's Bank rozrosłaby się i rozkwitła.

Furię Roberta, gdy wracał na Manhattan, rozniecała nie tylko nieojalność, którą jego zdaniem okazała mu cała rodzina, ani nawet ucieczka Alisdaira do Dougala, lecz samo rozgoryczenie obserwacją dwojga tak doświadczonych bankierów jak Dougal i Effie odrzucających szansę bycia częścią jego marzenia. Mogli wybrać rodzinną jedność, bezpieczeństwo i bajeczny majątek. Zamiast tego postanowili go oskarżać i traktować niczym jakiegoś oszusta i kryminalistę.

Ojciec przekazał mu pewną wizję i obowiązek. Solidnie i nieustępliwie, przez trzydzieści lat swojej bankierskiej kariery, starał się sprawiać, aby ta wizja była spełniana, a obowiązek przestrzegany. Teraz Dougal i Effie grozili jemu, jednocześnie grożąc pamięci i misji ojca. Jeśli o Roberta chodziło, bez wgłębiania się w sprawę, byli winnymi herezji dziećmi jego matki: niepoważnymi i niestałymi. Nie należało im ufać. Matka miała szczęście, że umarła w St Vigeans, a nie w więzieniu. Był pobłażliwy i wyrozumiały dla niech wszystkich. Czyż o nich nie dbał? O Prudence i o Alisdaira? I patrzcie, jak mu się odwdzięczono. Wolałby nie otrzymać żadnych podziękowań niż

taką wdzięczność.

Wrócił prosto do hotelu Savoy-Plaza, do swego pięciopokojowego apartamentu wychodzącego na Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę. Tej nocy prawie wcale nie spał i już o szóstej rażno siedział przy biurku w swojej gotowni, pijąc whisky i rozmawiając przez telefon z Danem Kressem, którego głos brzmiał sennie i rozważnie.

– Powinieneś być ostrożny, wyprzedając się po zaniżonych cenach – radził. – Rynek jest teraz nieco przeczulony.

– Posłuchaj mnie, chłopczyku – warknął Robert. – Zamierzamy doprowadzić ten bank do upadku i zrobimy to szybko. Sprzedaj Poind za 1283/4, sprzedaj Unidexter za 91, sprzedaj wszystko inne na tym rynku.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – rzekł Dan Kress.

– Wiem, że płacę ci więcej, niż jesteś wart, żebyś robił to, co ci powiedziano – zripostował Robert.

– Tak jest, panie Watson. Pozbędę się tych akcji zaraz po otwarciu giełdy.

Robert odbył jeszcze kilka telefonicznych rozmów ze współnikami w interesach, po czym wybrał numer telefonu na Long Island. Była to osobista linia telefoniczna Marielli w jej garderobie. Telefon dzwonił niemal trzy minuty, zanim podniesiono słuchawkę.

– Słucham? – powiedziała Mariella. – Kto mówi?

– Twój przyjaciel – odparł Robert.

– Czy wiesz, która godzina? – zapytała Mariella.

– Oczywiście, wiem. Prawie nie spałem tej nocy.

– Cóż, nie możesz zadzwonić później?

– Mariello, to jest ta chwila. Ten moment.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj. Zejdz na dół i zrób to, gdy tylko się ubierzesz.

– Ale, Bobby...

– Nie zrani go to, nie poważnie. Ale powstrzyma go od działania na dzień lub dwa, a tylko tyle mi trzeba. Zatem zrobisz to?

Mariella milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Nie sądziłam, że to będzie tak szybko. Naprawdę nie myślałam, że chcesz, abym to zrobiła.

– Zrobisz to? Jeśli nie, znajdę jakiś inny sposób. I jakąś inną damę.

– Bobby, nie mów tak.

– Właśnie tak myślę. Zrobisz to?

Znowu cisza, a potem:

– Dobrze, ale czy jesteś pewien, że nie będzie go bolało?

– Nie będzie go bolało, jeśli zrobisz to, co ci powiedziałem.

– Mam nadzieję, że potrafię to sobie przypomnieć.

– Cholera! – warknął. – Oczywiście, że sobie przypomnisz.

– W porządku – powiedziała Mariella i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę wpatrywał się w słuchawkę, a potem także ją odłożył. Siedział nieruchomo przy biurku przeszło dziesięć minut, zanim wstał i podszedł do okna. Pod nim na ulicy zaparkowana była ogromna ciężarówka z wymalowaną na dachu nazwą INŻYNIERIA ŻYCIA. Październik w Nowym Jorku... Czas na zmiany, czas na jego własny rodzaj bankowej apokalipsy. Czas, aby w Londynie i na Wall Street zrozumiano, że Robert Watson jest tutaj i że tutaj zostanie.

## 46

W poniedziałek 21 października 1929 roku ogromna transza akcji Poind Corporation pojawiła się na rynku finansowym, tuż po jego otwarciu o godz. 10.00, po okazjnych cenach. Po nich pojawiły się tanie udziały w firmach Unidexter, Scott, Milwaukee-Union i pięciu innych spółkach holdingowych.

Przez kolejne tygodnie ceny udziałów w giełdowych spółkach stopniowo spadały. Taniała firma Steel, podobnie jak American Can i General Electric, a spółka Radio zanotowała spadek wartości swoich akcji z  $114\frac{3}{4}$  do  $88\frac{1}{2}$ . Masowa wyprzedaż po okazjnych cenach akcji spółek Poind i Unidexter okazała się wystarczająca, by z najwyższą prędkością uruchomić dalekopisy i wywołać w społeczności bankowej i inwestorskiej pomruk, który dzięki bliskości ich interesów stał się histerycznym bełkotem. „Załamanie rynku” było wiadomością, która przechodziła od maklera do maklera, od maklera do banku, a z banku do giełdowego inwestora. Reakcja tych ostatnich była natychmiastowa; zlecali bezzwłoczną sprzedaż swoich akcji, za cenę jaką makler zdoła uzyskać.

Tuż po poniedziałkowym obiedzie do Dougala zadzwonił Walter Kuntz z Watson's Bank i powiedział, że mogą się pojawić poważne kłopoty. Poind i Unidexter sprzedawano po obniżonych cenach, a brokerzy żądali wyższego zysku. Dougal kilkakrotnie próbował dodzwonić się do Roberta, zanim wyruszył z Long Island, ale nie otrzymał odpowiedzi ani z jego hotelu, ani z biura. Rynek akcji upadał i nowojorski Watson's Bank był pod presją przejęcia pożyczek, których wysokość mogła sięgać niemal ośmiu milionów dolarów.

– To Robert – powiedziała Effie, gdy Dougal wsunął się w swój płaszcz i przygotowywał do powrotu do miasta. – Chce nas zrujnować.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał Dougal. – Cóż, może tak. A może tylko próbuje nas przestraszyć. Może jutro zacznie ponownie kupować własne akcje i znów uspokoi rynek.

Effie wyszła z nim na chłodne, wilgotne popołudniowe powietrze.

Jego długi zielony cadillac już czekał. Silnik był włączony, a skośny dach

dobrze umocowany. W tych dniach sam jeździł do miasta. Lubił samotną jazdę przez przedmieścia, przez zabudowane schludnymi domkami ulice Nassau i Queens i zawsze był urzeczony linią wieżowców Manhattanu na tle nieba.

– Wróć o dziewiątej – powiedział, całując Effie w policzek. – Zjedźmy razem kolację i opracujmy plan działania.

Effie obserwowała, jak cadillac, mrużąc silnikiem, wyrusza w drogę. Alisdair, stając w drzwiach z rękami w kieszeniach, sprawiał wrażenie skrepowanego.

– Zdaje się, że spowodowałem jakieś zamieszanie – powiedział, gdy Effie ponownie weszła na schody.

Effie wzięła go pod rękę.

– To nie twoja wina. Byłam zachwycona tym, co powiedziałeś wczoraj. Nikt z nas nie miał żadnego prawa ukrywać przed tobą prawdziwego pochodzenia. Teraz wszyscy płacimy za to jakąś cenę, więc to jest nasza wina. Mogę tylko przyznać, że sądziłam, iż robię wszystko co w mojej mocy.

Weszli z powrotem do domu. Mariella siedziała w salonie przy kominku, czytając „Dumę i uprzedzenie”.

– Wyglądasz na zmęczoną, Mariello – powiedziała Effie. – Nie mężczyzny cię za bardzo, prawda?

Mariella z ciasno zamkniętymi ustami odpowiedziała Effie przeczącym ruchem głowy. Ogień miotał iskry, płonął nierówno w kutym z żelaza koshu.

## 47

Niemal dokładnie w połowie drogi między Riverhead a Ridge, zaledwie kilka mil na zachód od rezydencji Dougala, był długi, spadzisty zakręt zaczynający się na grzbiecie wzgórza, a kończący wśród sosen niewielkiego lasu. Tego dnia panowała mgła i gdy Dougal dotarł na szczyt wzgórza i zaczął zjeżdżać, opony cadillaca zazgrzytały na mokrej powierzchni drogi. Gdy pokonał jedną trzecią dystansu w dół wzgórza, zwiększył prędkość o trzydzieści kilometrów na godzinę i kiedy przemknął obok kilku pierwszych drzew, jechał z prędkością stu dziesięciu. Lubił szybką jazdę; dawała poczucie śmiałości i męskości, którego brakowało mu od lat, szczególnie od czasu, gdy próbował się okaleczyć. Wprowadził cadillaca w lewostronny zakręt z przesadnym gestem rajdowych kierowców w filmach, a potem nacisnął pedał gazu jeszcze raz czy dwa, aż przekroczył prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Z zadowolenia nucił, prowadząc.



Policjanci z patrolu drogowego, opierając się na zeznaniu jedynego naocznego świadka, jakiego zdołano znaleźć, starszej kobiety wracającej do domu po odbyciu rozmowy telefonicznej z dużego sklepu spożywczego w High Ridge do siostrzeńca w Teaneck w stanie New Jersey, stwierdzili, że bezdyskusyjną przyczyną wypadku była nadmierna prędkość. Starsza kobieta powiedziała im, że „automobil śmignął tuż obok niej jak coś piekielnego i wjechał w drzewa, a potem... luuup!”.

Nie było sposobu udowodnienia innej przyczyny. Cadillac zjechał z drogi w najwęższej części zakrętu biegnącego z góry, przeleciał niemal dwa metry, zanim uderzył w pierwszy pień, następnie zapalił się w gąszczu niewielkich sosenek i eksplodował. Samochód spłonął aż do podwozia, kierowcę zaś znaleziono uwięzionego w ramie przedniej szyby i strawionego ogniem tak głęboko, że jego ciało jakby wyparowało, a wszystkie tkanki przestały istnieć. Wyglądał jak rozżarzony węgielek, jak spalona ogniem małpka.

Tego popołudnia, siedem minut po piątej, patrol drogowy zatelefonował do domu Dougala i poinformował Mariellę, że jej mąż nie żyje.

## 48

Następnego dnia, w chłodny i pochmurny wtorek, o godzinie dziesiątej rano rynek akcji zaczął upadać na dobre. Dwudziestu tysięcy akcji Conne-cott Cooper wyzbyto się za 78%, tyle samo udziałów w General Motors sprzedano za 56 $\frac{1}{2}$ . Spółka US Steel spadła z 261 $\frac{3}{4}$  do 193 $\frac{1}{2}$ , a Radio do 44 $\frac{1}{2}$ . Wąskie strumyki sprzedaży, które Robert zapoczątkował w próbie zrujnowanie nowojorskiego Watson's Bank, stały się szeroką Niagarą.

Chociaż J.P. Morgan & Company oraz pięć innych wiodących nowojorskich banków było w stanie spowolnić panikę przez podniesienie dwustu czterdziestomilionowego funduszu specjalnego, nacisk banków Wall Street i brokerów był katastrofalny. Do zamknięcia dnia dalekopis pracował cztery godziny i osiem minut poza giełdą, sprzedano ponad trzynaście milionów akcji ze stratą netto jedenastu miliardów dolarów.

W piątek giełda zaczęła trochę dochodzić do siebie, ale po weekendzie notowania znowu spadły i tym razem bankierzy nie mogli nic zrobić, by to powstrzymać. We wtorek, 29 października, rynek się załamał i główne kapitały spadły do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu dolarów za akcję.

W czwartek, 31 października 1929 roku nowojorski Watson's Bank upadł pod ciężarem pożyczek udzielonych holdingowi Poind Corporation oraz amerykańskim przedsiębiorstwom w całym kraju i zamknął swoje drzwi na zawsze. Dan Kress wrócił do Chicago, by zamieszkać z osiemdziesięcioletnimi rodzicami, a rok później doznał załamania psychicznego, które

zaprowadziło go do szpitala na resztę życia.

Effie została w Nowym Jorku, żeby zorganizować pogrzeb Dougala i pomóc przy likwidacji Watson's Bank, ale każdego dnia telefonowała do Commerce Bank w Los Angeles, żeby mieć pewność, że Wielki Krach nie wpływa na jej własne aktywa zbyt poważnie i żeby podtrzymać zaufanie swojego kierownictwa i personelu. Obiecała, że wróci do Kalifornii za dwa tygodnie, cokolwiek się wydarzy.

Od Caldwellella nie było nic, nawet krótkiego listu, ale teraz gazety nie przejmowały się separacją, gdyż były zbyt zajęte Wielkim Krachem i wszystkimi tragicznymi opowieściami o samobójstwach i rozpaczach wśród zrujnowanych akcjonariuszy. Effie zaczęła czuć, że jej małżeństwo to już przeszłość, i to bardzo daleka.

Dougal został pochowany na cmentarzu na Long Island w dniu, w którym upadł jego bank. Effie miała na sobie czarny płaszcz od Chanel i czarną woalkę nasywaną perełkami. W drodze powrotnej do rezydencji Dougala, z tyłu błyszczącego, czarnego cadillaca karawanu siedziała z Mariellą, która drżała z zimna i żalu. Ranek minął je za zasłonami obszytymi czarnym jedwabiem.

Mariellą ujęła rękę Effie, ale nie podniosła ku niej wzroku.

– Możesz zamieszkać ze mną na pewien czas, jeśli chcesz – powiedziała Effie. – To znaczy, jeśli Robert nie ma nic przeciwko temu.

Zapadło długie milczenie. Potem Mariellą zapytała:

– Robert?

– Wiem o tobie i Robercie – powiedziała Effie, najłagodniej jak zdołała. – Wiedziałam od samego początku.

– Nie powiedziałaś Dougalowi?

– Dougal też wiedział. Nie był temu bardzo przeciwny. Uważał, że będzie lepiej, jeśli ty będziesz usatysfakcjonowana. Sądził, że ma większą szansę zatrzymania cię w ten sposób.

Mariellą uniosła głowę i z twarzą białą jak ściana wpatrywała się w Effie.

– O Boże... – szepnęła.

– Co się stało? – spytała Effie. Mariellą wydawała się tak spięta, tak zdenerwowana i krucha, że Effie czuła, iż mogłaby pęknąć niczym figurka ze szkła.

Mariellą otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

– Mariello...

– Myślałam, że nie wie – szeptała Mariellą. – Myślałam, że on...

– Mariello, proszę...

Mariellą pochyliła się ku Effie tak blisko, że Effie poczuła kości jej obojczyka na swoim ramieniu.

– Ja jestem winna – powiedziała. – Ja go zabiłam. Robert pokazał mi, jak to zrobić.

– Mariello, stajesz się histeryczna.  
– Histeryczna? Opowiem ci, jaka jestem histeryczna. Mogłabym narysować... narysować dla ciebie... masz ołówek?... system hamowania cadillaca... ma hydrauliczny przewód... który można naciąć... tylko naciąć... ostrzem jakiejś piłki... tak, że przecieka w czasie jazdy...

– Mariello – powiedziała, słysząc swój głos, jakby mówił to ktoś inny. Potem cały świat runął na nią niczym kawałki czarnego granitu dudniącym ciężarem życia, które było zbudowane z kłamstw, wymówek, wykretów. Fundamenty pozorów, urwiska złudzeń, szanice niepowodzeń i przeoczeń.

To właśnie tamtej nocy odbyła jedną rozmowę telefoniczną z człowiekiem o nazwisku Peruggio, starym przyjacielem George'a Sabatiniego. Powiedziała mu tylko cztery zdania. Jedno z nich wiązało się z blisko czterdziestoma pięcioma tysiącami dolarów.

– Przerażona, co? Okay – powiedział człowiek nazywany Peruggio i odłożył słuchawkę.

Effie spotkała go tylko raz, na jakimś przyjęciu w Nowym Jorku i jedynym co zapamiętała w związku tym człowiekiem, były jego getry w gołęmbim kolorze.

W najbliższe poniedziałkowe popołudnie Effie złapała luksusowy pociąg do Chicago z biletem na przesiadkę do Los Angeles. Wydała konduktorowi ścisłe polecenie, by jej nie przeszkadzano, a potem wzięła prysznic i przebrała się w czarny jedwabny szlafroczek. Przez całą noc siedziała na sofie, pracując, z dwiema paczkami papierosów i butelką whisky, żeby nie zasnąć. Od czasu do czasu odkładała ołówek i słuchała samotnych odgłosów dzwonek na przejazdach kolejowych, jakby były dzwonekami na pobudkę.

Effie już nie wiedziała, czy miała rację, czy się myliła; ani też czy była zdolna czy nieudolna. Wielki Krach ukazał wszystkich amerykańskich bankierów, łącznie z nią, jako głupców, za rok o tej porze ponad pięć tysięcy banków będzie miało zamknięte podwoje.

Jedno wszakże wiedziała na pewno: że Robert fatalnie przeszarżował i pierwszy raz w życiu pozwolił swemu temperamentowi wziąć górę nad profesjonalną oceną sytuacji. Chociaż rynek już wcześniej się walił, to podjęte przez Roberta impulsywne wyprzedawanie akcji holdingu Poind Corporation ostatecznie doprowadziło do jego katastrofalnego upadku. Prawdopodobnie był w stanie ocalić większą część owych milionów, które powierzyli mu Niemcy, ale z pewnością stracił również sporo własnych milionów. Ostatnie wiadomości, jakie Effie otrzymała od Jamesa Beckmana z Los Angeles, mówiły, że przerażeni depozytariusze wycofali przeszło dwanaście milionów funtów z Commerce Bank i że bank przejął kontrolę nad pięcioma milionami pożyczek brokerskich, aby pomóc ochronić swoich klientów.

Długa i samotna podróż koleją do Los Angeles była niczym wyprawa

przez ciemną i nieopisaną na mapach planetę. Gdy dotarła do Union Station w Los Angeles, przywitani ją James Beckman i Tulsa Ward, jej nowa sekretarka, ale uczucie samotności pozostało. Był chłodny kalifornijski dzień. W ciemnych okularach przeciwsłonecznych usiadła w głębi białego cadillaca limuzyny, zgrabna i tajemnicza w kremowym lnianym kostiumie.

– Było mi naprawdę bardzo przykro, kiedy się dowiedziałem o śmierci pani brata – powiedział James Beckman. – Wszyscy w banku byli tym poruszeni.

– Dziękuję – odparła Effie. – Czy są jakieś wieści o Caldwellu?

– Nie, madam. Nie pojawia się w banku od chwili pani wyjazdu.

– Chcę wam podziękować za opiekę nad wszystkim podczas mojej nieobecności. Wspaniale się spisaliście.

– Tylko dlatego, że bank był doskonale zorganizowany, pani Brooks, i że nie trzymał wszystkiego w kredytach i papierach wartościowych. Obawiam się, że teraz jesteśmy znacznie biedniejsi niż przed dwoma miesiącami, ale nadal jesteśmy otwarci i przez cały czas odbudowujemy coraz większe publiczne zaufanie.

Effie wyjrzała przez okno na owiewane wiatrem juki i na barwne wzgórze Hollywood. Pomyślała o Nowym Jorku, szarym i histerycznym. Pomyślała o Edynburgu i popołudniu, gdy na Princes Street kupiła Johnowi McDonalldowi tamtą ogromną klatkę z wypchanymi ptakami. Wszystkie obrazy teraz zbladły, a złudzenia zniknęły. Cały świat zniknął w ciągu jednej nocy, świat, w którym Effie, jak wcześniej sądziła, była kimś niemal boskim.

Zrozumienie, że jest tylko jedną z wielu zwyczajnych osób, okazało się najtrudniejsze do akceptacji. Właśnie to był dla niej prawdziwy Krach.

James Beckman odwiózł ją do Caledonii. Samochód przemknął przez cienie palmowych drzew. Kitty, w różowej sukience z falbankami i słomkowym kapeluszu, czekała na nią w drzwiach. Uśmiechnięta machała ręką, gdy Effie wysiadła z samochodu.

Effie odwróciła się do Jamesa Beckmana.

– Czuję się tak, jakbym nigdy wcześniej tu nie była. Możesz to zrozumieć?

## 49

Tego samego dnia, w odległości trzech stref czasowych na wschód, o godzinie jedenastej przed południem Robert wyszedł z hotelu Savoy-Plaza i był w drodze na biznesowe spotkanie przy lunchu z Richardem Whitneyem z banku J.P. Morgan & Company. Miał na sobie długi czarny płaszcz i kapelusz. Zaciągał się świeżo zapalonym cygarem.

– Dzień dobry, Jeffrey – rzucił hotelowemu odźwiernemu i przeciął

ukośnie Fifth Avenue, żeby znaleźć się na rogu Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. To był ostatni raz, kiedy widziano go żywego.

Poza momentem, kiedy przez chwilę, dwie godziny później, gdy piesi przechodzili na Lexington do Czterdziestej Trzeciej, pod dopiero ukończoną wieżą siedemdziesięciosiedmiopiętrowego, najwyższego w mieści Chrysler Building, widziano coś, co zdawało się być olbrzymim krukiem sfruwającym z nieba. Dopiero gdy ów kruk opadał coraz bliżej ziemi, zdali sobie sprawę, że to wcale nie ptak, ale mężczyzna w czarnym płaszczu. Uderzył w dach zaparkowanej taksówki i przebił go, natychmiast zalewając krwią wszystkie okna samochodu.

Wieczorne gazety przyniosły ogromny tytuł: „ZAŁAMANY BANKIER RZUCA SIĘ Z CHRYSLER BUILDING”. „Siostra zmarłego, pani Effie Watson-Brooks, jest w głębokim szoku i nie udziela wywiadów. Pan Alisdair Watson, syn zmarłego, skomentował śmierć ojca: *Był wspaniałym człowiekiem, za którym ze smutkiem będą tęsknić wszyscy, którzy go znali*”.

Tego wieczoru Effie poszła na spacer wzdłuż brzegu przy Pacific Palisades, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie płaszcza i oczami niewidocznymi za ciemnymi okularami. Zatrzymała się na długo na samym brzegu, patrząc, jak słońce tonie we mgle. Zapaliła papierosa, lecz wcale jej nie smakował.

Ocean ryczał i szalał tak głośno, że nie słyszała ani drugiego samochodu zatrzymującego się za jej autem, ani trzaśnięcia drzwi, ani odgłosu kroków zbliżających się do niej po piasku. Usłyszała jednak, gdy...

– Effie? – powiedział Caldwell najcichszym i najbardziej skruszonym głosem, a ona odwróciła się i patrzyła na niego jakby był fatamorganą.

– Effie... – powiedział znowu.

## 50

Effie i Caldwell rozwiedli się w środę 13 maja 1931 roku. Caldwell przyznał się do cudzołóstwa z aktorką filmową Hildą Corinth. Effie przyznano dom wraz z wyposażeniem oraz wyłączną opiekę nad ich jedyną córką Poppy. Caldwell pozostał z filią Commerce Bank w San Francisco aż do 1943 roku, gdy został mianowany prezesem jakiejś spółki przetwórstwa rybnego w Marin County.

Po krachu na Wall Street Alisdair wrócił do Edynburga, by kierować Watson's Bank w latach depresji i kryzysu bankowego na początku lat trzydziestych. Wiosną 1934 roku wybrał się do Los Angeles, aby omówić z Effie przeprowadzenie pewnej ulepszonej międzynarodowej operacji bankowej. W drodze powrotnej do Nowego Jorku trójpłatowiec fokker, którym leciał, przypadkowo uderzył tuż po starcie w linię wysokiego

napięcia i wszyscy pasażerowie (w liczbie dwudziestu jeden osób) oraz załoga zginęli na miejscu.

Po śmierci Alisdaira, poprzez osiem różnych spółek holdingowych i międzynarodowych zarządów, Effie osobiście kontrolowała kierowanie nowojorskim i edynburskim Watson's Bank. A Commerce Bank przemianowała tak, iż teraz nosił nazwę Watson's Interbank.

W latach trzydziestych, samotna, obdarzona ciętym językiem i coraz bardziej ekscentryczna Effie poświęciła się stworzeniu ze swoich banków jednego z najbogatszych i najnowocześniejszych finansowych imperiów, jakie świat kiedykolwiek znał. Współ z innymi dużymi bankami pomogła odbudować amerykańską gospodarkę po Krachu i przez kilka lat była ulubionym gościem Roosevelta w Białym Domu. Po wojnie jednak jej przekonania polityczne ostro skrzyły w prawo. Stawała się coraz większą samotniczką, chociaż córki trzymała blisko siebie i rozpieszczała je tak, jak tylko mogła to robić multimilionerka. Panny Watson z ich futrami, diamentami i niewyobrażalnym dziedzictwem były w latach trzydziestych i czterdziestych najlepszymi partiami.

Przez wiele lat Effie próbowała się dowiedzieć, gdzie zniknęły niemieckie zyski wojenne, które Robert transferował w 1929 roku do Stanów Zjednoczonych. Trzy lata płaciła Jimmy'emu Byrdowi siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie za przeglądanie ksiąg jednej dużej korporacji po drugiej i szukanie niewyjaśnionych wpływów zagranicznych środków finansowych. W 1938 roku pojechała nawet do Berlina, by porozmawiać z Heinzem Kruse, dyrektorem Geldsmark Banku, o piętnastu milionach dolarów, które w 1921 roku przetransferowano z Zagłębia Ruhry do Brazylii. Herr Kruse, uśmiechając się, nie potrafił na ten temat nic powiedzieć, ale tego wieczoru zabrał ją na prywatną kolację, gdzie została przedstawiona Herr Adolfowi Hitlerowi i Reichsmarschallowi Hermannowi Goeringowi. Hitler wydał jej się nużący i podenerwowany, chociaż ona zrobiła na nim bardzo duże wrażenie i jak napisał później: „Frau Watson-Brooks jest właśnie takim rodzajem Amerykanki, jaki powinniśmy pielęgnować; jest też pewna siebie, bogata i nader czarująca!”.

Nigdy nie dowiedziała się, gdzie zniknęły niemieckie pieniądze ani jak zonglowano nimi w księgach Watson's Bank. Robert niczego nie powierzył papierowi i sekret owych milionów dolarów zginął wraz z nim, na trotuarze Czterdziestej Trzeciej Ulicy. W 1947 roku brytyjskie śledztwo finansowe prowadzone pod nadzorem Lorda Strethera znalazło jakiś dowód, że środki „przekraczające sto milionów dolarów” dotarły we wczesnych etapach wojny do niemieckiego Reichsbanku i znacząco wspomogły militarne siły Hitlera, szczególnie prace nad pociskiem V2, który zdaniem Lorda Strethera był budowany „niemal całkowicie na sile kredytów z zagranicznych banków”. Wszystkie finansowe księgi projektu V2 pod koniec wojny zostały

zdobyte przez wojska amerykańskie i jak oświadczył generał Omar Bradley, „przypadkowo zniszczone”.

Kay w 1939 roku poślubiła Barnesę Ralpa Jr., szykownego młodego milionera, który trzy lata wcześniej przeraził Nowy Jork, piętnastokrotnie okrążając swoim prywatnym samolotem Empire State Building, zdobywając butelkę szampana i... karę grzywny w wysokości dwudziestu trzech tysięcy dolarów. Poppy w 1952 roku poślubiła Dicka Mellera, producenta filmowego, a rozwiodła się z nim trzy lata później. Drugie małżeństwo zawarła z Fritzem Langenhafterem, prezesem Schagen Electrical Industries, mężczyzną starszym od niej o dwadzieścia dwa lata. Kay i Poppy dały Effie łącznie pięcioro wnucząt.

Dla Effie najbardziej urzekający spośród wszystkich wnucząt był Merritt, drugi syn Kay. Tak bardzo przypominał Alisdaira, że Effie przyglądała mu się czasami przy kolacji lub gdy opalał się obok jej basenu i naprawdę wierzyła, że to Alisdair. Merritt zawsze był jej bliski, spędzając z nią weekendy podczas wakacji, robiąc dla niej na lekcjach prac ręcznych upominki w postaci zakładek do książek lub stojaków na tygodniki. W wieku dwudziestu trzech lat skończył studia na wydziale ekonomii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, za co nagrodziła go prezesurą spółki Watson's West Coast Securities i nowym kabrioletem rolls-royce w kolorze złota. Gdy miał trzydzieści cztery lata, został prezesem całej amerykańskiej części Watson's Interbank i głównym udziałowcem w jej pięciu dużych spółkach holdingowych.

Tydzień przed swoją tak gwałtowną rezygnacją z Watson's Merritt zaprosił Effie do restauracji Andre's w Beverly Hills, co czynił bardzo rzadko. Jechali spokojnie nowym rolls-corniche'em wzdłuż Wilshire Boulevard, gdy Effie dotknęła jego ręki.

– Wiesz, Merritt, jesteś tak bardzo podobny do swego dziadka, Alisdaira – powiedziała bez zastanowienia.

Merritt pozwolił rolls-royce'owi stopniowo się zatrzymać, na samym środku drogi. Ignorując poirytowane klaksony, wpatrywał się w Effie.

– Alisdair był moim dziadkiem?!

Effie nagle zrozumiała, że zdradziła sekret, który miał już ponad sześćdziesiąt lat. Tajemnicę, której, wszak przysięgła to sobie, miała nigdy nikomu nie wyjawić. Teraz złapała się na tym, że nie jest w stanie mówić, nie jest w stanie myśleć. Może tylko patrzeć na niego z tak strasznym bólem.

– O mój Boże – powiedziała w końcu. – O mój Boże, przepraszam...

-----